

Orson Scott Card ENDER NA WYGNANIU



Prószyński i S-ka

↔ **Spis treści** ↔

Rozdział. 1
Rozdział. 2
Rozdział. 3
Rozdział. 4
Rozdział. 5
Rozdział. 6
Rozdział. 7
Rozdział. 8
Rozdział. 9
Rozdział. 10
Rozdział. 11
Rozdział. 12
Rozdział. 13
Rozdział. 14
Rozdział. 15
Rozdział. 16
Rozdział. 17
Rozdział. 18
Rozdział. 19
Rozdział. 20
Rozdział. 21
Rozdział. 22
Rozdział. 23

Orson Scott Card

**ENDER
NA
WYGNANIU**

Tytuł oryginału ENDER IN EXILE

Przełożył: Piotr W. Cholewa

Warszawa 2010

Prószyński i S-ka

Rozdział. 1

To: jpwiggin@gso.nc.pub, twiggin@uncg.edu

From: hgraff%educadmin@ifcom.gov

Subject: Kiedy Andrew wróci do domu

Drodzy Johnie Paulu i Thereso Wiggin,

Rozumiecie zapewne, że podczas niedawnej próby przejęcia Międzynarodowej Floty przez Układ Warszawski w EducAdmin naszą jedyną troską było bezpieczeństwo dzieci. Teraz wreszcie możemy się zająć logistyką wysyłania ich do domów.

Gwarantujemy Andrew ciągły nadzór i aktywną ochronę podczas przekazania przez MF pod opiekę rządu amerykańskiego. Negocjujemy jeszcze, w jakim zakresie MF ma zapewnić ochronę po dokonaniu transferu.

EducAdmin podejmuje wszelkie wysiłki, by Andrew mógł powrócić do możliwie normalnego dzieciństwa. Jednakże chciałbym zasięgnąć rady Państwa, czy może pozostawić go tutaj, w izolacji, do zakończenia śledztwa w sprawie działań EducAdmin podczas niedawnej kampanii. Bardzo możliwe, że niektóre zeznania przedstawią Andrew i jego czyny w niekorzystnym świetle w celu uderzenia poprzez niego (i inne dzieci) w EducAdmin. Tutaj, w dowództwie MF, możemy się postarać, by nie dotarło do niego to, co najgorsze; na Ziemi taka ochrona nie będzie możliwa; jest też bardziej prawdopodobne, że będzie musiał „zeznawać”.

Hyrum Graff

Theresa Wiggin siedziała w łóżku, czytając wydruk listu Graffa.

- Będzie musiał „zeznawać”. To znaczy, że wystawią go na pokaz jako... kogo? Bohatera? Raczej potwora, bo już teraz różni senatorzy potępiają wykorzystywanie dzieci.

- To go oduczy ratowania ludzkości - stwierdził jej mąż, John Paul.

- To nie pora na żarciki.

- Bądź rozsądna, Thereso. Tak samo jak ty chcę, żeby Ender wrócił do domu.

- Wcale nie chcesz - odparła gniewnie żona. - Nie cierpisz codziennie z tęsknoty za nim.

Ale już kiedy to mówiła, wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Zasłoniła oczy dłonią i potrząsnęła głową.

Trzeba przyznać, że nie próbował z nią dyskutować o tym, co czuje, a czego nie.

- Nigdy nie odzyskasz tych lat, które nam odebrali, Thereso. On już nie jest chłopcem, jakiego znaliśmy.

- W takim razie będziemy musieli poznać chłopca, jakim jest. Tutaj. W naszym domu.

- Otoczonego przez strażników.

- I na to nie mogę się zgodzić. Kto chciałby go skrzywdzić?

John Paul odłożył książkę. Już dawno przestał udawać, że ją czyta.

- Thereso, jesteś najbardziej inteligentną osobą, jaką znam.

- Przecież to jeszcze dziecko!

- Zwyciężył w wojnie przeciwko siłom o wiele potężniejszym.

- Wystrzelił z jednej broni. Której nie zaprojektował.

- Dostarczył ją w zasięg strzału.

- Formidów już nie ma! On jest bohaterem, nic mu nie grozi!

- No dobrze, Thereso, jest bohaterem. I teraz pójdzie do szkoły? Jaki nauczyciel w ósmej klasie jest przygotowany na takiego ucznia? Na jaką szkolną zabawę Andrew może się wybrać?

- To wymaga czasu. Ale tutaj, ze swoją rodziną...

- No tak, jesteśmy przecież taką ciepłą, kochającą się rodziną, prawdziwym gniazdkiem miłości, gdzie natychmiast znajdzie sobie miejsce.

- Przecież naprawdę się kochamy!

- Thereso, pułkownik Graff chce nas po prostu ostrzec, że Ender nie jest wyłącznie naszym synem.

- Nie jest niczym innym synem!

- Przecież wiesz, kto chciałby go zabić.
- Nie, nie wiem.
- Każdy rząd, który uważa, że amerykańska potęga militarna jest przeszkodą w realizacji jego planów.
- Ale Ender nie będzie w wojsku, będzie...
- W tym tygodniu nie trafi jeszcze do amerykańskiego wojska. Może. Thereso, w wieku dwunastu lat wygrał wojnę. Skąd pomysł, że gdy tylko wróci na Ziemię nasz łaskawy i demokratyczny rząd nie powoła go natychmiast? Albo umieści w areszcie zapobiegawczym? Może dadzą nam z nim iść, a może nie.

Theresa pozwoliła, by łzy pociekły jej po policzkach.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy stąd odszedł, utraciliśmy go na zawsze?

- Chcę powiedzieć, że kiedy twoje dziecko idzie na wojnę, już nigdy go nie odzyskasz. Nie takie, jakie było. To już nie będzie ten sam chłopiec. Będzie odmieniony, jeśli w ogóle wróci. Pozwól zatem, że zadam ci pytanie. Czy chcesz, żeby przeniósł się w miejsce, gdzie jest najbardziej zagrożony, czy został tam, gdzie jest stosunkowo bezpieczny?

- Myślisz, że Graff próbuje nas skłonić, byśmy go poprosili, aby zatrzymał Endera przy sobie, w kosmosie?

- Myślę, że Graff obawia się o Endera i daje nam do zrozumienia... chociaż nie mówi tego wprost, bo każdy list, który napisze, może być użyty przeciw niemu w sądzie... że Ender znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Minęło chyba ledwie dziesięć minut od jego zwycięstwa, kiedy Rosjanie podjęli brutalną próbę przejęcia kontroli nad MF Zabili tysiące oficerów floty, zanim udało się ich zmusić do kapitulacji. Co by zrobili, gdyby wygrali? Sprowadzili Endera do domu i urządzili defiladę na jego cześć?

Theresa wiedziała to wszystko. Wiedziała - przynajmniej

podświadomie - od chwili, kiedy przeczytała list Graffa. Nie, wiedziała nawet wcześniej, już kiedy usłyszała, że skończyła się wojna z formidami.

Ender nie wróci do domu.

Poczuła na ramieniu dłoń Johna Paula. Strząsnęła ją, ale dłoń powróciła, gładząc delikatnie jej rękę. Theresa leżała odwrócona do męża plecami i płakała, bo wiedziała, że przegrała już w tym sporze; płakała, bo nawet ona sama nie stała po swojej stronie.

- Kiedy tylko się urodził, wiedzieliśmy, że nie należy do nas.

- Ale należy do nas!

- Jeśli wróci do domu, jego życie będzie należało do tego rządu, który ma siłę, by go ochraniać... albo zabić. Jest najważniejszym pojedynczym obiektem, jaki przetrwał tę wojnę. Śmiercionośną bronią. I tym już pozostanie... a także gwiazdą tak sławną, że samo to całkiem wyklucza normalne dzieciństwo. Czy możemy jakoś mu pomóc, Thereso? Czy rozumiemy, jakie było jego życie przez ostatnie siedem lat? Jakimi rodzicami bylibyśmy dla chłopca... dla mężczyzny... jakim się stał?

- Bylibyśmy cudowni - oświadczyła.

- A wiemy o tym, ponieważ jesteśmy tak idealnymi rodzicami dla tych dzieci, które mamy przy sobie.

Theresa przewróciła się na plecy.

- Ojej... Biedny Peter... To, że Ender może wrócić, musi być dla niego straszne.

- Całkiem straci wiatr w żaglach...

- Nie, tego wcale nie jestem pewna. Założę się, że już planuje, jak wykorzystać powrót Endera.

- Szybko się przekona, że Ender jest za sprytny, by dać się wykorzystywać.

- Ale jakie przygotowanie ma Ender do polityki? Przez cały

czas był w wojsku.

John Paul zaśmiał się krótko.

- No tak, pewnie - zgodziła się Theresa. - Armia jest tak samo upolityczniona jak rząd.

- Ale masz rację - przyznał John Paul. - Tam Ender miał ochronę. Ludzie chcieli go wykorzystać, to jasne, lecz sam nie musiał prowadzić biurokratycznych bitew. Jeśli chodzi o tego typu manewry, jest pewnie jak dziecko we mgle.

- Czyli Peter rzeczywiście mógłby go wykorzystać?

- Nie to mnie niepokoi. Martwię się, co zrobi Peter, kiedy się przekona, że jednak by nie mógł.

Theresa znów usiadła i spojrzała na męża.

- Nie sądzisz chyba, że Peter podniósłby rękę na Endera?

- Peter nie podniósłby własnej ręki, żeby zrobić cokolwiek trudnego albo niebezpiecznego. Wiesz, jak wykorzystuje Valentine.

- Tylko dlatego, że ona pozwala mu się wykorzystywać - zaprotestowała Theresa.

- Dokładnie o tym mówię.

- Ender nie jest zagrożeniem dla własnej rodziny!

- Thereso, musimy podjąć decyzję: co jest najlepsze dla Endera? Co jest najlepsze dla Petera i Valentine? Co jest najlepsze dla przyszłości świata?

- Siedząc tutaj, w łóżku, w środku nocy, my dwoje mamy decydować o losach świata?

- O losach świata, moja droga, zdecydowaliśmy, kiedy poczęliśmy małego Andrew.

- I mieliśmy z tego sporo radości - dodała.

- Czy powrót do domu jest dobry dla Endera? Czy da mu szczęście?

- Naprawdę sądzisz, że o nas zapomniał? - spytała. - Myślisz, że mu nie zależy na powrocie?

- Powrót do domu trwa dzień, może dwa. Potem to już życie tutaj. Zagrożenie ze strony obcych mocarstw, nienaturalność jego nauki w szkole, bezustanne naruszanie prywatności... No i nie zapominajmy o nienasyconych ambicjach i zazdrości Petera. Więc pytam: czy Ender będzie tutaj szczęśliwszy, niż gdyby...

- ...gdyby został w kosmosie? A jakie tam czeka go życie?

- MF złożyła zobowiązanie: absolutna neutralność w stosunku do wszystkiego, co dzieje się na Ziemi. Jeśli będzie miała Endera, to cały świat... każdy rząd dobrze się zastanowi, zanim spróbuje wystąpić przeciwko Flocie.

- Czyli nie wracając, Ender będzie nadal ratował świat w sposób ciągły - uznała Theresa. - Jakież użyteczne życie będzie prowadził.

- Najważniejsze, że nikt inny nie będzie mógł go wykorzystać.

- Czyli twoim zdaniem... - Theresa użyła swojego najśrodszego tonu - ... powinniśmy napisać do Graffa i powiedzieć mu, że nie chcemy, by Ender wracał do domu?

- Tego zrobić nie możemy - odparł John Paul. - Napiszemy, że nie możemy się już doczekać, by znowu zobaczyć naszego syna, i nie sądzimy, by ochrona była konieczna.

Dopiero po chwili zrozumiała, czemu wydaje się negocjować wszystko, co do tej pory powiedział.

- Wszelkie listy, jakie wyślemy do Graffa - stwierdziła - będą tak samo publiczne jak list, który on do nas napisał. I równie nieistotne. My tymczasem nie zrobimy nic i pozwolimy sprawom toczyć się własnym torem.

- Nie, moja droga. Tak się składa, że w naszym własnym domu, pod naszym dachem, żyje dwoje najbardziej wpływowych manipulatorów opinią publiczną.

- Ale przecież, John Paul, oficjalnie nie wiemy, że nasze dzieci włączą się po sieciach i sterują wydarzeniami poprzez

sieć korespondentów Petera i błyskotliwy, perwersyjny talent Valentine do demagogii.

- A one nie wiedzą, że w ogóle mamy mózgi - odparł John Paul. - Myślą chyba, że jakieś elfy podrzuciły nam ich oboje, a nie że mają w sobie nasz materiał genetyczny. Traktują nas jak podręczne próbki nieświadomej niczego opinii publicznej. Zatem... przekażmy taką opinię publiczną, która skłoni ich do zrobienia tego, co będzie najlepsze dla ich brata.

- Najlepsze... - powtórzyła Theresa. - Nie wiemy, co będzie najlepsze.

- Nie - zgodził się John Paul. - Wiemy tylko, co wydaje się najlepsze. Ale jedno jest pewne: wiemy o tym o wiele więcej niż nasze dzieci.

Valentine wróciła ze szkoły zagniewana. Głupi nauczyciele! Czasami dostawała szału, kiedy zadawała pytanie, a potem słuchała, jak nauczyciel cierpliwie jej wszystko tłumaczy - całkiem jakby pytanie było znakiem, że to Valentine nie zrozumiała tematu, a nie on. Ale siedziała grzecznie i milczała, gdy równanie pojawiło się na holodisplayach nad biurkami, a nauczyciel zaczął omawiać je punkt po punkcie.

Wtedy zakreśliła w powietrzu kółko wokół tego elementu problemu, którego nauczyciel nie omówił, jak należy - powodu, dla którego wynik nie był prawidłowy. Oczywiście, kółko Valentine nie pokazało się na wszystkich biurkach; taką możliwość miał tylko komputer nauczyciela.

No więc nauczyciel zakreślił kółko w tym samym miejscu i powiedział:

- Czego nie zauważyła Valentine, to że nawet przy tym wyjaśnieniu, jeśli pominiemy ten element, nadal nie otrzymamy poprawnego wyniku.

Było to takie oczywiste tuszowanie błędu mające chronić

jego ego... Ale oczywiście tylko dla Valentine. Inni uczniowie, którzy i tak ledwie pojmowali, o czym mowa (zwłaszcza że tłumaczył im to ignorant), myśleli, że to Val przeoczyła wyrażenie w nawiasach, choć właśnie z jego powodu w ogóle zadała pytanie.

A nauczyciel rzucił jej głupawy uśmiezek mówiący wyraźnie: „Nie uda ci się mnie pokonać i upokorzyć przed całą klasą”.

Tylko że Valentine wcale nie próbowała go upokorzyć. Zależało jej tylko, by materiał został wyłożony należycie. A gdyby - uchowaj Boże - któryś z uczniów jej klasy został inżynierem budowlanym, żeby jego mosty nie waliły się i nie zabijały ludzi.

Na tym polegała różnica między nią a idiotami tego świata. Wszyscy oni starali się uchodzić za inteligentnych i utrzymywać swoją pozycję towarzyską. Valentine tymczasem nie obchodziła pozycja, zależało jej, żeby wszystko było prawidłowo. Zależało jej na dojściu do prawdy, jeśli prawda była osiągalna.

Nic nie powiedziała nauczycielowi ani innym uczniom. Wiedziała, że w domu też nie może liczyć na współczucie. Peter drwiłby z niej, że zbyt się przejmuje szkołą i pozwala, by taki klaun jak nauczyciel psuł jej humor. Ojciec spojrzełby tylko na problem i wskazał właściwe rozwiązanie, a potem by wrócił do pracy, w ogóle nie zauważając, że Valentine nie prosi o pomoc, prosi o współczucie.

A mama? Mama zechce od razu popędzić do szkoły i zrobić coś w tej sprawie, przeciągnąć nauczyciela po rozżarzonych węglach. Nawet nie wysłucha Val tłumaczącej, że wcale nie chce zawstydząć nauczyciela, chce tylko, żeby ktoś powiedział: „To dziwne, że w tej specjalnej szkole dla wybitnie uzdolnionych dzieci trzymają nauczyciela, który nie zna własnej dziedziny”, a ona by wtedy odpowiedziała: „Faktycznie”, i poczułaby się

lepiej. Bo ktoś stanąłby po jej stronie. Ktoś by zrozumiał i nie byłaby osamotniona.

Mam takie proste potrzeby, myślała. Jedzenie. Ubranie. Wygodne miejsce do spania. I żadnych idiotów.

Ale świat bez idiotów byłby raczej pusty. O ile nawet ona by się tam dostała. W końcu to nie jest tak, że sama nigdy nie popełnia błędów.

Jak ten błąd, kiedy pozwoliła Peterowi zmusić się do bycia Demostenesem. On nadal uważał, że codziennie po szkole musi jej tłumaczyć, co powinna napisać - jak gdyby przez te lata nie przyswoiła sobie tej postaci. Eseje Demostenesa mogłaby pisać nawet przez sen. A gdyby potrzebowała pomocy, wystarczyłoby jej posłuchać autorytatywnych wypowiedzi ojca o stanie spraw świata; zdawało się, że jak echo powtarza wszystkie demagogiczne, nacjonalistyczne, wojownicze opinie Demostenesa, choć twierdził, że nigdy nie czytuje jego tekstów.

Gdyby wiedział, że pisze to wszystko jego słodka, naiwna córeczka, chyba by go rozniosło.

Ze złością wpadła do domu. Od razu siadła przed komputerem, przejrzała wiadomości i zaczęła pisać esej, który Peter by na pewno jej zlecił - diatrybę o tym, że MF nie powinna kończyć konfliktu z Układem Warszawskim, nie żądając przedtem, by Rosja oddała swoje głowice jądrowe, bo powinna zapłacić jakąś cenę za rozpoczęcie otwarcie agresywnej wojny. Wszystkie typowe bluzgi jej antyawataru - Demostenesa.

A może ja - jako Demostenes - jestem prawdziwym awatarem Petera? Czy zmieniłam się w postać wirtualną?

Klik... Przyszedł e-mail. Wszystko będzie lepsze od tego, co właśnie pisała.

List był od mamy. Zawierał e-mail od pułkownika Graffa. O tym, że kiedy Ender wróci do domu, będzie miał ochroniarza.

Pomyślałam, że zechcesz to zobaczyć, pisała mama. Czy to

nie CUDOWNE, że powrót Andrew jest już TAK BLISKO?

Nie krzycz, mamó. Dlaczego używasz wielkich liter do akcentowania? To takie... jak z podstawówki. No cóż, nieraz mówiła to Peterowi: mama jest taką trochę cheerleaderką.

Dalszy ciąg listu mamy miał taki sam ton. *BARDZO SZYBKO da się przygotować dawny pokój Endera na jego powrót i nie ma powodu, żeby odkładać sprzątanie choćby o SEKUNDE dłużej, chyba że - jak myślisz? - może Peter chciałby mieć WSPÓLNY pokój ze swoim młodszym braciszkiem, żeby mogli się ZAPRZYJAŻNIĆ i znowu do siebie ZBLIŻYĆ? I co twoim zdaniem Ender chciałby na swój PIERWSZY obiad w domu?*

Jedzenie, mamó. Cokolwiek zrobisz, z pewnością będzie dostatecznie SPECJALNE, by wiedział, że za nim TĘSKNILIŚMY i go KOCHAMY.

Wszystko jedno. Mama była taka naiwna, że brała list Graffa za dobrą monetę. Val wróciła do niego i przeczytała jeszcze raz. Nadzór. Ochrona. Graff przesyłał ostrzeżenie, a nie chciał jej ucieszyć powrotem Endera. Enderowi będzie groziło niebezpieczeństwo. Czy mama tego nie widzi?

Graff pytał, czy powinni zatrzymać Endera w przestrzeni do zakończenia śledztwa. Ale to potrwa miesiące... Skąd mamie przyszło do głowy, że trzeba szybko usunąć z jego pokoju graty, które zebrały się tam przez lata? Graff oczekiwał od niej prośby, żeby jeszcze Endera nie odsyłać. Bo nie byłby bezpieczny.

I natychmiast wyobraziła sobie cały zakres groźących Enderowi niebezpieczeństw. Rosjanie uznają, że jest bronią, której Ameryka może użyć przeciwko nim. Chińczycy pomyślą to samo - że uzbrojona w Endera Ameryka może stać się agresywna i znowu wtargnąć w chińską strefę wpływów. Oba kraje odetchną, jeśli Ender zginie. Choć oczywiście muszą się postarać, żeby zabójstwo wyglądało na dokonane przez jakąś organizację terrorystyczną. A to znaczy, że nie ograniczą się do

zastrzelenia go, raczej wysadzą w powietrze jego szkołę.

Nie, nie, nie, nie! - upomniała samą siebie Val. Nie musisz w to wierzyć tylko dlatego, że coś takiego napisałby Demostenes.

Ale wizje kogoś, kto wysadza Endera w powietrze albo strzela do niego, czy jakiegokolwiek metody użyje - te wizje wciąż pojawiały się w jej myślach. Czy to nie ironiczne - a przy tym typowo ludzkie - że osoba, która ocaliła ludzkość, ma zginąć w zamachu? To całkiem jak zabójstwo Abrahama Lincolna albo Mohandasa Gandhiego. Niektórzy zwyczajnie nie rozumieją, kim są ich zbawcy. A to, że Ender wciąż jest jeszcze dzieckiem, na pewno im nie przeszkodzi.

Nie może wrócić, uznała. Mama tego nie zrozumie, nie mogę jej tego powiedzieć, ale... nawet jeśli go nie zabiją, to jakie będzie tu miał życie? Nigdy mu nie zależało na sławie ani stanowiskach, a jednak wszystko, co robi, znajdzie się w widach; ludzie będą komentować jego fryzurę (*Głosujcie! Podoba się wam czy jest okropna?*) czy jakie zajęcia wybrał w szkole (*Kim zostanie bohater, kiedy dorośnie? Głosujcie, do jakiej kariery powinien się waszym zdaniem przygotowywać!*).

Co za koszmar... To nie byłby powrót do domu. Zresztą i tak nie można sprowadzić Endera do domu. Ten dom, który opuścił, już nie istnieje. Dzieciaka, którego z tamtego domu zabrali, także już nie ma. Kiedy Ender był na Ziemi - niecały rok temu - Val pojechała nad jezioro i spędziła z nim te godziny. Wydawał jej się stary. Czasami skłonny do żartów, owszem, ale wyraźnie czuł na ramionach ciężar świata. A teraz zdjęto mu to brzemie - lecz konsekwencje go nie opuszczą, przygniotą do ziemi, zniszczą mu życie.

Dzieciństwo przeminęło. Kropka. Ender nie będzie już chłopcem, który w domu rodziców zmienia się w młodzieńca. Już teraz był młodzieńcem - w latach i w hormonach - a dorosłym mężczyzną pod względem odpowiedzialności, jaka na

nim spoczywała.

Jeśli mnie szkoła wydaje się bez sensu, jak będzie się w niej czuł Ender?

Już kończąc esej o rosyjskich głowicach i koszcie porażki, układała w myślach kolejny. Ten, w którym tłumaczyła, że Ender nie może wrócić na Ziemię, ponieważ stanie się celem dla każdego wariata, szpiega, paparazzo i zamachowca, więc normalne życie nie będzie dla niego możliwe.

Ale nie napisała go. Wiedziała bowiem, że wystąpi poważny problem: Peter byłby wściekły.

Albowiem Peter miał już inne plany. Locke, jego sieciowa tożsamość, zaczął już przygotowywać grunt na powrót brata. Dla Valentine było oczywiste, że kiedy Ender będzie już w domu, Peter ujawni się jako prawdziwy autor tekstów Locke'a, a zatem osoba, która zaproponowała warunki zawieszenia broni, wciąż obowiązującego między Układem Warszawskim a ME Peter zamierzał wykorzystać sławę Endera - młodszy z braci uratował ludzkość przed formidami, starszy ocalił ją przed wojną domową zaraz po zwycięstwie. Dwaj bohaterowie!

Ender nienawidziłby sławy, Peter pragnął jej tak bardzo, że zamierzał ukraść bratu tyle, ile zdoła.

Oczywiście nigdy się do tego nie przyzna, myślała Valentine. Będzie miał bardzo wiele argumentów, że to dla dobra Endera. Prawdopodobnie tych samych, o jakich ja pomyślałam.

Czy w takim razie sama nie postępuję tak samo jak Peter? Czy nie wymyśliłam wszystkich argumentów za tym, żeby nie wracał do domu, bo w głębi serca go tu nie chcę?

Ta myśl wzbudziła takie emocje, że Val zaczęła szlochać nad biurkiem. Chciała go znowu zobaczyć. I chociaż rozumiała, że Ender naprawdę nie może wrócić - pułkownik Graff miał rację - wciąż tęskniła za swoim małym braciszkiem, którego jej ukradziono. Tyle lat spędziłam z bratem, którego nienawidzę, a

teraz brata, którego kocham, staram się trzymać z dala dla jego dobra...

Zaraz... wcale nie muszę go trzymać z dala od siebie. Nie cierpię szkoły, nie cierpię swojego życia tutaj, nie cierpię, nie cierpię, nie cierpię chodzić na smyczy Petera. Po co mam zostawać? Dlaczego nie mogę odlecieć w kosmos razem z Enderem? Przynajmniej na pewien czas. Mnie jest najbliższy. Tylko ze mną się spotkał w ciągu ostatnich siedmiu lat. Jeśli nie może wrócić do domu, to kawałek domu - właśnie ja - może polecieć do niego.

Trzeba przekonać Petera, że powrót Endera nie leży w jego interesie - ale tak, by Peter się nie zorientował, że ona próbuje nim manipulować.

Wtedy ogarnęło ją zniechęcenie, bo Peter niełatwo dawał sobą manipulować. Potrafił przejrzeć wszystko. Dlatego musiała być całkiem szczerą, a do tego subtelnie okazywać pokorę, gorliwość, by Peter zdołał pokonać swoją pogardę dla wszystkiego, co ona mówi, uznał, że od początku sam tak uważał i...

A czy moim prawdziwym motywem jest opuszczenie planety? Chodzi mi o Endera, czy o to, żeby się uwolnić?

Jedno i drugie. Możliwe jest jedno i drugie. Powiem Enderowi prawdę - z niczego dla niego nie rezygnuję. Wolę raczej być z nim w kosmosie i nigdy nie oglądać Ziemi, niż zostać tutaj, z nim czy bez niego. Bez niego - bolesna pustka. Z nim - ból, gdy będę patrzeć, jakie żałosne, frustrujące życie go czeka.

Zaczęła układać list do pułkownika Graffa. Mama była nieuważna i nie usunęła jego adresu. To prawie naruszenie procedur bezpieczeństwa... Mama jest czasem taka naiwna. Gdyby była oficerem MF, zwolniliby ją już dawno.

Przy kolacji mama nie mogła przestać mówić o powrocie Endera. Peter słuchał tylko jednym uchem, ponieważ mama - oczywiście - nie potrafiła spojrzeć poza sentymentalną perspektywę „utraczonego synka, który wraca do gniazda”; Peter tymczasem rozumiał, że sprawa jest niezwykle skomplikowana. Trzeba podjąć wiele przygotowań. I nie chodzi tylko o ten głupi wspólny pokój, Peter może oddać bratu nawet własne łóżko - liczy się to, że przez krótki czas Ender znajdzie się w centrum uwagi całego świata, a wtedy Locke odrzuci anonimowość i zakończy spekulacje co do tożsamości „wielkiego dobroczyńcy ludzkości, który z powodu własnej skromności pozostaje nieznany i tylko dlatego nie może odebrać Nagrody Nobla, choć bardzo na nią zasługuje, gdyż doprowadził do końca ostatnią wojnę w dziejach naszej cywilizacji”.

Te słowa napisał dość entuzjastyczny fan Locke'a - który przypadkiem był też szefem partii opozycyjnej w Wielkiej Brytanii. Naiwna była ta jego wiara, że nieudana próba przejęcia przez Nowy Układ Warszawski kontroli nad Międzynarodową Flotą miała być „ostatnią wojną”. Jedyнным sposobem, by mieć rzeczywiście „ostatnią wojnę”, jest zjednoczenie całej Ziemi pod władzą jednego skutecznego, silnego, a równocześnie popularnego przywódcy.

A sposobem prezentacji tego przywódcy było pokazanie go przed kamerami, stojącego obok wielkiego Endera Wiggina, obejmującego go za ramiona, ponieważ - chyba nikogo by to nie zdziwiło - „Chłopiec wojny” i „Człowiek pokoju” są braćmi.

Teraz ojciec coś paplał, tyle że tym razem zwracał się bezpośrednio do Petera, więc Peter musiał odgrywać rolę grzecznego syna i słuchać, jakby go to obchodziło.

- Naprawdę sądzę, że powinieneś się zdecydować, jaką karierę dla siebie planujesz. Zanim jeszcze twój brat wróci do domu.

- A to dlaczego? - spytał Peter.

- Och, nie udawaj naiwnego. Czy nie rozumiesz, że brat Endera Wiggina zostanie przyjęty do każdego college'u, jaki sobie wybierze?

Ojciec wymówił te słowa takim tonem, jakby była to absolutna mądrość wypowiedziana na głos przez kogoś, kto już wkrótce zostanie deifikowany przez rzymski senat albo kanonizowany przez papieża. Ojcu nigdy nie przyjdzie do głowy, że doskonale oceny Petera i jego wyniki na wszystkich testach dają mu przepustkę do dowolnej szkoły. Nie musi korzystać ze sławy brata. Ale nie, on zawsze uzna, że wszystko, co dobre, Peter zawdzięcza Enderowi. Ender, Ender, Ender... jakie głupie imię.

Ale jeśli ojciec tak myśli, to z pewnością wszyscy inni także. A przynajmniej wszyscy inni poniżej pewnego minimalnego poziomu inteligencji.

Peter dostrzegał tylko, jaką popularność da mu powrót Endera do domu. Ojciec przypominał mu o czymś innym - że wszystko, czego dokonał, ludzie zlekceważą właśnie dlatego, że jest starszym bratem Endera Wielkiego. Owszem, zobaczą ich ramię w ramię - ale zaczną się zastanawiać, czemu brat Endera nie trafił do Szkoły Bojowej. Peter wyjdzie na kogoś słabszego, gorszego...

Stanie tam wyraźnie wyższy - starszy brat, który został w domu i nic nie robił. „Ale przecież pisałem wszystkie teksty Locke'a, zakończyłem konflikt z Rosją, zanim zdążył się przerodzić w wojnę światową!”... No więc jeśli jest taki sprytny, czemu nie pomagał młodszemu bratu w ratowaniu ludzkości przed całkowitą zagładą?

Owszem, okazja zdobycia popularności. Ale też koszmar.

Jak może wykorzystać tę okazję, by nie wyglądało, że jest tylko pasożytem, niczym remora usiłującym się pożywić sławą

brata? To straszne, gdyby jego ujawnienie zabrzmiało jak żalosne „ja też!”. Myślicie, że mój brat jest wspaniały? No więc musicie wiedzieć, że ja też uratowałem świat na swój smętny, mizerny sposób!

- Dobrze się czujesz, Peter? - spytała Valentine.

- Coś się stało? - zmartwiła się mama. - Niech ci się przyjrzę, skarbie.

- Nie zdejmę koszuli ani nie pozwolę ci użyć na sobie termometru doodbytniczego tylko dlatego, że Val ma halucynacje. Wyglądam bardzo dobrze.

- Dam ci znać, kiedy i jeśli zacznę mieć halucynacje - oświadczyła Val. - Potrafię sobie wyobrazić lepsze widoki niż twoja twarz, jakbyś właśnie miał wymiotować.

- Interesujący pomysł na reklamę - stwierdził Peter, niemal odruchowo. - Wybierz własną halucynację... A nie, przecież jest już coś takiego. Nazywa się „narkotyki”.

- Nie lekceważ nas, ludzi na głodzie. Ci uzależnieni od własnego ego nie potrzebują narkotyków.

- Dzieci! - wtrąciła mama. - Czy tak samo będziecie się kłócić, kiedy Ender wróci?

- Tak - odpowiedzieli chórem Val i Peter.

- Chciałbym wierzyć - rzekł ojciec - że uzna was za odrobinę bardziej dojrzałych.

Ale Peter i Val zaśmiewali się już do rozpuku. Nie mogli się uspokoić, więc ojciec kazał im odejść od stołu.

Peter przejrzał esej Val o rosyjskich głowicach jądrowych.

- Strasznie nudne...

- Nie wydaje mi się - odpowiedziała. - Mają te głowice i to powstrzymuje inne kraje od dania im klapsa, kiedy trzeba... czyli często.

- Co właściwie masz przeciwko Rosji?

- To Demostenes ma coś przeciwko Rosji - wyjaśniła Val z udawaną nonszalancją.

- I dobrze. Zatem Demostenes przestanie się martwić o rosyjskie rakiety, a zacznie o to, żeby Rosja nie dostała w ręce najpotężniejszej broni ze wszystkich.

- System destrukcji molekularnej? - zdziwiła się Val. - MF nigdy nie dopuści, żeby Ziemia znalazła się w zasięgu.

- Nie dr System, dzieciaku. Mówię o naszym bracie. Naszym niszczącym cywilizacje młodszym rodzeństwem.

- Jak śmiesz wyrażać się o nim z pogardą?!

Na twarzy Petera pojawił się drwiący uśmiezek. Ale za tą maską kryły się gniew i uraza. Wciąż potrafiła go zranić, choćby tylko wyraźnie pokazując, że Endera kocha o wiele bardziej.

- Demostenes napisze esej, w którym postawi tezę, że Ameryka musi natychmiast Andrew Wiggina sprowadzić na Ziemię. Koniec ze zwlekaniem. Świat jest dla Ameryki zbyt niebezpieczny, by rezygnować z usług największego przywódcy wojskowego, jakiego zna ludzkość.

Valentine zalała nowa fala nienawiści do Petera. Po części dlatego, że jego podejście będzie o wiele skuteczniejsze niż ten esej, który już napisała. Nie zinternalizowała Demostenesa tak dobrze, jak jej się wydawało. Demostenes z pewnością żądałby powrotu Endera i wcielenia go do amerykańskiej armii.

I będzie to w pewnym sensie równie destabilizujące jak wezwanie do rozmieszczenia na wysuniętych pozycjach głowic jądrowych. Artykuły Demostenesa były pilnie czytane przez rywali i nieprzyjaciół Stanów Zjednoczonych. Jeśli zażąda, by natychmiast ściągnąć Endera na Ziemię, zaczną się manewry zmierzające do zatrzymania go w kosmosie. A przynajmniej niektórzy otwarcie oskarżą Amerykę o wrogie zamiary.

Wtedy przyjdzie pora na Locke'a, który po kilku dniach czy tygodniach zaproponuje kompromis, rozwiązanie godne męża

stanu: zostawcie dzieciaka w przestrzeni.

Valentine dobrze wiedziała, kiedy zmienił zdanie. Powodem była ta głupia uwaga taty przy kolacji - przypomnienie, że cokolwiek Peter by zrobił, zawsze pozostanie w cieniu Endera.

Cóż, nawet polityczna owca powie czasem coś, co przyniesie dobre rezultaty. Teraz Val nie musi już przekonywać brata o konieczności zatrzymania Endera z dala od Ziemi. Teraz to w całości jego pomysł, nie jej.

Theresa znowu siedziała na łóżku i płakała. Wokół leżały rozrzucone wydruki artykułów Demostenesa i Locke'a, o których wiedziała, że uniemożliwią Enderowi powrót do domu.

- Nic nie poradzę - oświadczyła mężowi. - Wiem, że to słuszne, rozumiem to tak, jak chciał Graff. Ale miałam nadzieję, że znowu go zobaczę. Naprawdę miałam nadzieję...

John Paul usiadł przy niej i objął mocno.

- To najtrudniejsza rzecz, jakiej dokonaliśmy.

- A nie oddanie go wtedy?

- To było trudne - zgodził się - ale wówczas nie mieliśmy wyboru. I tak by go nam zabrali. A tym razem... Sama wiesz, gdybyśmy wstawili do sieci nasze widy, jak prosimy, żeby pozwolić naszemu synowi wrócić do domu... mielibyśmy spore szanse.

- A nasz synek będzie się zastanawiał, czemu tego nie zrobiliśmy.

- Nie, nie będzie.

- Ach, uważasz, że jest taki sprytny i domyśli się, co robimy? Dlaczego nic nie robimy?

- A czemu nie?

- Bo nas nie zna - oświadczyła Theresa. - Nie wie, co myślimy i co czujemy. Może uważać, że całkiem o nim zapomnieliśmy.

- Jest coś, co poprawia mi humor w całej tej historii - wyznał John Paul. - Wciąż dobrze nam wychodzi manipulowanie naszymi genialnymi dziećmi.

- Ach, to... - mruknęła lekceważąco Theresa. - Łatwo jest manipulować kimś, kto jest absolutnie przekonany o twojej głupocie.

- Natomiast smuci mnie - mówił dalej John Paul - że Locke wygląda na takiego, który najbardziej się troszczy o Endera. Więc kiedy jego tożsamość wyjdzie na jaw, wszyscy pomyślą, że lojalnie wystąpił w obronie brata.

- To nasz syn - przypomniała mu Theresa. - Ależ z niego typ...

- Mam takie filozoficzne pytanie. Zastanawiam się, czy to, co nazywamy dobrocią, nie jest cechą dowodzącą złego przystosowania. Dopóki przejawia ją większość ludzi, a zasady społeczne promują ją jako cnotę, wtedy naturalni przywódcy mają otwarte pole do działania. Właśnie z powodu dobroci Endera zostaniemy w domu na Ziemi z Peterem.

- Och, Peter też jest dobry - odparła z goryczą Theresa.

- Tak, zapomniałem - odparł John Paul. - Przecież dla dobra ludzkości zostanie władcą świata. Takie altruistyczne poświęcenie.

- Kiedy czytam, jak się wdzięczy w tych swoich tekstach, mam ochotę wydrapać mu oczy.

- On także jest naszym synem - przypomniał jej mąż. - I tak samo jak Ender i Val produktem naszych genów. I sami go do tego zachęciliśmy.

Theresa wiedziała, że mąż ma rację. Ale to wcale nie pomagało.

- Nie musiał przecież tak się z tego cieszyć, prawda?

Rozdział. 2

To: hgraff%educadmin@ifcom.gov

From: demosthenes@LastBestHopeOfEarth.pol

Subject: Zna Pan prawdę

Wie Pan, kto decyduje, co pisać. Zapewne domyśla się Pan również dlaczego. Nie mam zamiaru bronić mojego tekstu ani tego, jak wykorzystują go inni.

Kiedyś użył Pan siostry Andrew Wiggina, żeby przekonała go do powrotu w kosmos i wygrania tej Waszej wojenki. Wykonała swoją robotę, prawda? Taka grzeczna dziewczynka, zawsze odrabia zadania.

No więc mam dla niej nowe zadanie. Kiedyś przysłaliście do niej brata, by znalazł pociechę i towarzystwo. Będzie mu potrzebna znowu, bardziej niż kiedykolwiek, ale tym razem on nie może do niej przylecieć. Tym razem nie będzie domku nad jeziorem. Ale nie ma powodu, żeby ona nie poleciała w przestrzeń, żeby być przy nim. Wciągnijcie ją do MF, płąćcie jako konsultantowi czy coś w tym rodzaju. Ale ona i brat potrzebują siebie nawzajem - bardziej niż którekolwiek z nich potrzebuje życia na Ziemi.

Proszę nie próbować jej przechytryć. Niech Pan pamięta, że jest sprytniejsza od Pana i że kocha młodszego brata bardziej niż Pan. A poza tym jest Pan porządnym człowiekiem. Wie Pan, że to dobre i słuszne. Zawsze starał się Pan robić to, co dobre i słuszne, prawda?

Niech Pan wyświadczy przysługę nam obojgu, przepuści ten list przez niszcarkę i wetknie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Pański oddany i pokorny sługa - oddany i pokorny sługa wszystkich - oddany i pokorny sługa prawdy i szlachetnego szowinizmu - Demostenes

Jak spędza czas trzynastoletni admirał?

Nie dowodzi okrętem - to było jasne od dnia, kiedy otrzymał nominację. „Dostajesz stopień odpowiedni do swoich osiągnięć - powiedział admirał Chamrajnagar - ale będziesz pełnił obowiązki odpowiednie do swojego wykszolenia”.

Do czego został wykszolony? Do gry w wirtualną wojnę na symulatorze. I teraz, kiedy nie miał już z kim walczyć... do niczego.

Aha, jeszcze nauczono go prowadzić dzieci do walki, wyciskać z nich ostatnią kroplę energii, koncentracji, talentu i inteligencji. Ale te dzieci nie miały tu już nic do roboty i jedno po drugim wracały do domów.

Każde z nich przychodziło się z Enderem pożegnać.

- Niedługo będziesz w domu - powiedział mu Kant Zupa. - Muszą przygotować odpowiednie powitanie dla bohatera.

Wracał do Szkoły Taktycznej, by zaliczyć te kilka elementów programu potrzebnych do uzyskania dyplomu.

- Żeby od razu po powrocie pójść na uczelnię - wyjaśnił.

- Piętnastolatki świetnie sobie radzą na uniwersytetach - stwierdził Ender.

- Muszę się skupić na studiach. Skończyć je, odkryć, co chcę robić ze swoim życiem, a potem znaleźć kogoś, z kim się ożenię i założę rodzinę.

- Włączysz się w wielki krąg życia?

- Mężczyzna bez żony i dzieci to zagrożenie dla cywilizacji - oświadczył Han Tzu. - Jeden kawaler to tylko irytacja. Dziesięć tysięcy kawalerów to wojna.

- Uwielbiam, kiedy cytujesz chińskie mądrości.

- Jestem Chińczykiem, więc muszę wymyślać je na bieżąco. - Han Tzu uśmiechnął się szeroko. - Przyjedź kiedyś do mnie, Ender. Chiny to piękny kraj. Więcej różnorodności znajdziesz w Chinach niż w całej reszcie świata.

- Na pewno, jeśli tylko będę mógł - zapewnił Ender.

Nie miał serca przypominać, że Chiny pełne są ludzkich istot i że stosunek zawartości w nich dobra i zła, siły i słabości, odwagi i tchórzostwa jest pewnie mniej więcej taki sam jak w każdym innym kraju, kulturze czy cywilizacji... albo w wiosce, domu i sercu.

- Och, na pewno będziesz mógł! Poprowadziłeś ludzkość do zwycięstwa i wszyscy o tym wiedzą. Możesz robić, co tylko

chcesz.

Oprócz powrotu do domu, odpowiedział w myślach Ender. A głośno powiedział:

- Nie znasz moich rodziców.

Miało to zabrzmieć tak samo żartobliwie jak słowa Hana Tzu, ale ostatnio nic mu nie wychodziło. Może jakieś głęboko ukryte przygnębienie zabarwiało jego słowa bez udziału świadomości. A może Han Tzu nie potrafił dostrzec żartu, gdy miał wyjść z ust Endera. Może on i inne dzieciaki zbyt dobrze pamiętały, jak pod koniec bały się już, że Ender traci rozum.

Ender jednak wiedział, że go nie traci - raczej odzyskuje. Głęboki umysł, pełnia ducha, człowiek pełen współczucia, ale bez serca... zdolny pokochać innych tak mocno, by ich zrozumieć, lecz pozostać tak obojętnym, by wykorzystać tę wiedzę do ich zniszczenia.

- Rodzice... - westchnął smutnie Han Tzu. - Mój ojciec siedzi w więzieniu, wiesz? Chociaż może już wyszedł. Skłonił mnie do oszukiwania na teście, żebym na pewno się tutaj dostał.

- Przecież nie musiałeś oszukiwać! - zdziwił się Ender. - Masz prawdziwe zdolności.

- Ale ojciec musiał mnie tym obdarować. Nie liczyłoby się, gdybym sam to osiągnął. W ten sposób czuł się niezbędny. Teraz to zrozumiałem. Moim celem jest być lepszym ojcem niż on. Będę Dobrym Rodzicem.

Ender zaśmiał się i uścisnął go na pożegnanie. Ale nie mógł zapomnieć o tej rozmowie. Uświadomił sobie, że Han Tzu wykorzysta swoje szkolenie i stanie się ojcem doskonałym. I większość tego, czego nauczył się w Szkole Bojowej i tutaj, w Szkole Dowodzenia, na pewno mu się przyda. Cierpliwość, absolutna samokontrola, poznanie zdolności podwładnych, tak by szkoleniem mogli nadrabiać swoje braki.

A do czego ja zostałem wyszkolony?

Jestem wojownikiem, myślał Ender. Wodzem. Mogą mi zaufać, że zrobię to, co słuszne dla plemienia. Ale takie zaufanie oznacza, że jestem tym, który decyduje, kto ma przeżyć, a kto zginąć. Jestem sędzią, katem, generałem, bogiem... Do tego mnie przeszkolili. I zrobili to dobrze; wykonałem swoje zadania. A teraz przeglądam w sieci ogłoszenia o pracy i nie mogę znaleźć ani jednej posady, do której byłyby to wymagane kwalifikacje. Żadne plemiona nie szukają dla siebie wodzów, żadne wioski nie potrzebują króla, żadne religie nie chcą wojowniczego proroka.

Oficjalnie Ender nie powinien być informowany o toczącym się przed sądem wojskowym procesie byłego pułkownika Hyrama Graffa. Oficjalnie Ender był za młody i zbyt silnie zaangażowany emocjonalnie, więc kilku specjalistów od psychologii młodocianych uznało, że jest zbyt delikatny, by stawać wobec konsekwencji własnych działań.

No tak, teraz to się martwili...

Ale o to właśnie chodziło w procesie, prawda? Czy Graff i inni urzędnicy - ale przede wszystkim Graff - nie popełnili błędów, wykorzystując dzieci, które im powierzono. Wszystko traktowano ze śmiertelną powagą. Z tego, jak dorośli oficerowie milkli albo odwracali wzrok, gdy wchodził do pokoju, Ender z rozsądną pewnością wnioskował, że chodziło o jakieś straszne skutki czegoś, co zrobił.

Zanim jeszcze proces się rozpoczął, poszedł do Mazera i wyłożył swoje hipotezy na temat tego, co naprawdę się dzieje.

- Przypuszczam, że pułkownik Graff stanął przed sądem, ponieważ uważają go za odpowiedzialnego za coś, co ja zrobiłem. Ale wątpię, by chodziło o to, że rozwaliłem planetę formidów i zniszczyłem cały inteligentny gatunek. To im się podobało.

Mazer z mądrą miną pokiwał głową, ale milczał - jego normalny tryb reakcji pozostały z czasów, kiedy był trenerem Endera.

- Czyli chodzi o coś innego - mówił dalej Ender. - Przychodzą mi do głowy tylko dwa moje czyny, za które postawiliby człowieka przed sądem, bo pozwolił mi je popełnić. Jeden to bójka, w jakiej uczestniczyłem w Szkole Bojowej. Większy dzieciak dorwał mnie w łazience. Groził, że tak mi wtłucze, że nie będę już taki inteligentny. I przyprowadził swoją bandę. Zawstydziłem go i skłoniłem do walki sam na sam, a potem załatwiłem jednym atakiem.

- Tak? - mruknął Mazer.

- Bonzo Madrid. Bonito de Madrid. Myślę, że on nie żyje.

- Myślisz?

- Następnego dnia zabrali mnie ze Szkoły Bojowej. Nigdy o nim nie mówili. Zakładałem, że musiałem naprawdę mocno go zranić. Ale myślę, że nie żyje. Za takie rzeczy stawiają człowieka przed sądem polowym. Muszą jakoś wytłumaczyć rodzicom Bonza, dlaczego zginął ich syn.

- Interesujące rozumowanie - stwierdził Mazer.

Mazer mówił tak niezależnie od tego, czy domysły Endera były słuszne, czy nie. Ender nie usiłował nawet tego interpretować.

- To wszystko? - zapytał Mazer.

- Istnieją rządy i politycy, którzy próbują mnie zdyskredytować. Podejmują działania, żeby nie dopuścić do mojego powrotu na Ziemię. Czytam, co się dzieje w sieciach, i wiem, co mówią: że będę polityczną piłką, celem zamachowców albo atutem, który mój kraj wykorzysta, by zdobyć świat... albo podobne bzdury. Dlatego myślę, że niektórzy chcą wykorzystać proces Graffa, by opublikować o mnie coś, co normalnie byłoby utajnione. Coś, co sprawi, że wyjdę na jakiegoś potwora.

- Zdajesz sobie sprawę, że brzmi to jak paranoja: ta wiara, że w procesie Graffa chodzi o ciebie.

- Więc tym lepiej, że trafiłem do tego domu wariatów.

- Rozumiesz chyba, że nie mogę ci nic powiedzieć.

- Nie musisz - zapewnił Ender. - Myślę, że był jeszcze inny chłopiec. Lata temu. Kiedy byłem całkiem mały, a on chyba niewiele większy ode mnie. Ale miał swoją bandę. Udało mi się go przekonać, żeby nie korzystał z ich pomocy; zrobiłem z tego sprawę osobistą, jeden na jednego. Jak z Bonzem. Wtedy nie umiałem się bić. Nie wiedziałem jak. Mogłem tylko wściec się na niego. Zranić go tak mocno, żeby już nigdy nie ośmielił się mnie zaczepić. Tak mocno, żeby jego gang też dał mi spokój. Musiałem dostać szału, żeby wystraszyć ich tym, jaki jestem szalony. Dlatego przypuszczam, że ten wypadek także stanie się tematem procesu.

- Twoje zaabsorbowanie własną osobą jest słodkie. Naprawdę jesteś przekonany, że cały wszechświat obraca się wokół ciebie.

- Ten proces obraca się wokół mnie. Chodzi o mnie. Inaczej ludziom by tak nie zależało, żeby wszystko utrzymać przede mną w sekrecie. Brak informacji też jest informacją.

- Wy, dzieciaki, jesteście takie mądre - stwierdził Mazer z akurat taką dozą sarkazmu, by wywołać uśmiech Endera.

- Stilson nie żyje, prawda? - rzucił.

- Ender, przecież nie każdy, z kim walczysz, umiera...

Ale nastąpił moment zawahania - już po tym, jak to powiedział. I Ender zrozumiał. Każdy, z kim walczył - ale naprawdę walczył - był martwy. Bonzo. Stilson. I formidzi, każda królowa kopca, każdy robal, każda larwa i jajo, czy jak się tam rozmnażały.

- Wiesz... - powiedział cicho Ender - myślę o nich bez przerwy. O tym, że nigdy nie będą mieli dzieci. Bo przecież tyle

oznacza życie, prawda? Zdolność do replikacji. Nawet jeśli ktoś nie ma dzieci, jego ciało i tak bez przerwy tworzy nowe komórki. Replikuje je. Tylko że dla Stilsona i Bonza to się skończyło. Nie żyli dostatecznie długo, by się zreprodukować. Ich linia została odcięta. Byłem dla nich jak natura o czerwonych zębach i szponach. Określiłem ich nieprzystosowanie.

Już mówiąc to, Ender wiedział, że jest niesprawiedliwy. Mazer miał rozkaz, by nie mówić z nim o tych sprawach, a nawet gdyby jego domysły były prawdziwe, by ich nie potwierdzać. Teraz Ender praktycznie zmuszał go do mówienia, pocieszania go, reakcji na tę wyrażoną potrzebę.

- Nie musisz odpowiadać - uspokoił go. - Nie jestem tak załamany, jak mogłoby się wydawać. Nie obwiniam siebie.

Mazer zamrugał niespokojnie.

- Nie, nie jestem szaleńcem - zapewnił Ender. - Żałuję, że zginęli. Wiem, że jestem odpowiedzialny za śmierć Stilsona, Bonza i wszystkich formidów we wszechświecie. Ale to nie moja wina. Nie ja zaczepiałem Stilsona i Bonza. To oni przyszli do mnie, oni mi zagrozili. Wiarygodna groźba... Powtórz to na procesie. Albo pokaż nagranie tej rozmowy, bo z pewnością nagrywasz. Nie chciałem ich zabić; chciałem tylko ich powstrzymać przed krzywdzeniem mnie. A jedyną metodą było działać brutalnie. Przykro mi, że zginęli wskutek ran. Cofnąłbym to, gdybym potrafił. Ale nie miałem takich umiejętności, by poranić ich dostatecznie, żeby zniechęcić do przyszłych ataków, a jednak nie zabijać. Czy cokolwiek to było, co im zrobiłem. Jeśli doznali uszkodzeń mózgu, jeśli są kalekami, zrobię dla nich, co tylko mogę, chyba że ich rodziny wolą, bym trzymał się z daleka. Nie chcę powodować dalszych szkód. Ale co ważne, Mazerze Rackham: wiedziałem, co robię. To śmieszne, że Hyrum Graff stanął za to przed sądem. Nie miał pojęcia, w jaki sposób myślę, kiedy chodziło o Stilsona. Nie

mógł wiedzieć, co zrobię. Tylko ja wiedziałem. I chciałem go zranić... zranić mocno. To nie wina Graffa. Winien był Stilson. Gdyby mnie nie zaczepiał... Dałem mu szansę, żeby odszedł. Błagałem go, żeby sobie poszedł. Gdyby wtedy dał mi spokój, żyłby do dzisiaj. Sam wybrał. To jego wina. Myślał, że jestem słabszy od niego, że nie potrafię się obronić. Postanowił zaatakować, bo wierzył, że nie będzie żadnych konsekwencji. Ale były konsekwencje.

Mazer odkaszlnął.

- To zaszło już dostatecznie daleko.

- Jednak z Bonzem Graff podejmował straszne ryzyko. Co by się stało, gdyby Bonzo i jego kumple mnie poranili? Gdybym zginął? Albo doznał uszkodzeń mózgu? Albo po prostu zrobił się nieśmiały i bojaźliwy? Straciłby tę broń, którą wykuwał. Groszek wygrałby tę wojnę nawet po usunięciu mnie z obrazka, ale Graff nie mógł tego wiedzieć. Stawka była wysoka. Ponieważ Graff wiedział również, że jeśli ze starcia z Bonzem wyjdę żywy, zwycięski, to uwierzę w siebie. W swoją zdolność zwyciężania w każdych okolicznościach. Gra mi tego nie dała, to przecież tylko gra. Bonzo pokazał, że potrafię wygrywać także w prawdziwym życiu. O ile tylko zrozumiem nieprzyjaciela. I ty z pewnością wiesz, o czym mówię, Mazer.

- Nawet jeśli cokolwiek z tego, co mówisz, jest prawdą...

- Weź ten wid i przedstaw jako materiał dowodowy. Albo, jeśli jakimś dziwnym przypadkiem nikt nie nagrywa naszej rozmowy, złóż zeznanie w jego obronie. Niech wiedzą... ten sąd połowy... niech wiedzą, że Graff postępował właściwie. Byłem zły na niego, że załatwił to w taki sposób, i pewnie nadal jestem. Ale na jego miejscu postąpiłbym tak samo. To był element wygrywania wojny. Na wojnie giną ludzie. Posyłasz swoich żołnierzy do walki i wiesz, że niektórzy nie wrócą. Ale Graff przecież nie wysłał Bonza. Bonzo był ochotnikiem do

zadania, które sam sobie wyznaczył: zaatakować mnie i pokazać nam wszystkim, że nie, w żadnych okolicznościach nie pozwolę sobie przegrać, nigdy. Sam się zgłosił. Tak jak robale zgłosiły się na ochotnika, przylatując tutaj i próbując zlikwidować ludzkość. Gdyby zostawiły nas w spokoju, nie zrobiłbym im krzywdy. Sędziowie muszą to zrozumieć. Jestem tym, co miała stworzyć Szkoła Bojowa, czego stworzenia pragnął cały świat. Nie można obwiniać Graffa o to, że ukształtował i wyostrzył broń. Nie on ją trzymał. Ani nikt inny. Bonzo znalazł nóż i się nim pokaleczył. Tak powinni na to patrzeć.

- Skończyłeś? - zapytał Mazer.

- A co, kończy się miejsce na nagranie?

Mazer wstał i wyszedł.

Kiedy wrócił, nie wspominał już ich dyskusji. Ale Ender mógł teraz chodzić, gdzie tylko chciał. Nie próbowali już niczego przed nim ukrywać. Mógł czytać transkrypcje aktu oskarżenia Graffa.

Miał rację we wszystkich punktach.

Ender rozumiał też, że Graff nie zostanie skazany. Ten proces miał wyłącznie zaszkodzić Enderowi i sprawić, by Stany Zjednoczone nie mogły go wykorzystać jako przywódcy wojskowego. Ender był bohaterem, ale obecnie stał się też oficjalnie naprawdę przerażającym dzieciakiem. A proces utrwalił ten wizerunek w opinii publicznej. Ludzie mogliby podążyć za swym zbawcą. Ale małe dzieci potwór, który zabija inne dzieci? Nawet jeśli w samoobronie, było to zbyt straszne. Polityczna przyszłość Endera na Ziemi przestała istnieć.

Ender śledził reakcje Demostenesa na sprawy, które zaczęły wychodzić na jaw podczas procesu. Od miesięcy - odkąd stało się jasne, że Endera nie odeślą do domu natychmiast - ten słynny amerykański szowinista agitował w sieciach, by

„sprowadzić bohatera do domu”. Nawet teraz, gdy dawne zabójstwa Endera wykorzystywano w procesie przeciw Graffowi, Demostenes nadal przekonywał, że Ender jest „bronią, która należy do ludu Ameryki”.

Co praktycznie gwarantowało, że nikt z żadnego innego kraju nie zgodzi się, by ta broń wpadła w amerykańskie ręce.

Ender uznał początkowo, że Demostenes musi być kompletnym idiotą i całkowicie błędnie rozgrywa swoje karty. Potem uświadomił sobie, że Demostenes może robić to celowo, by zmobilizować opozycję, ponieważ stanowczo nie chce mieć rywala w walce o przywództwo.

Czyżby był aż tak subtelny? Ender ślęczał nad jego tekstami - co innego miał do roboty? - i dostrzegł w nich wzorzec nieuchronnie prowadzący do porażki. Demostenes był elokwentny, ale zawsze naciskał odrobinę za mocno. Dostatecznie mocno, by zmobilizować przeciwników, w Ameryce i poza. By zdyskredytować własną stronę każdej dyskusji.

Umyślnie?

Zapewne nie. Ender znał historie wielkich mówców - zwłaszcza oryginalnego Demostenesa. Elokwencja nie świadczyła o inteligencji ani głębi analiz. Prawdziwi wyznawcy jakiejś sprawy często postępowali tak, że musieli przegrać, ponieważ wierzyli, że wszyscy zrozumieją słuszność ich poglądów, jeśli tylko wytłumaczą je dostatecznie jasno. W rezultacie często przesadzali i nie mogli pojąć, dlaczego wszyscy wspólnie stają przeciwko nim.

Obserwował, jak w sieciach rozwijają się dyskusje, jak tworzą się grupy, jak „umiarkowani”, prowadzeni przez Locke’a, wyciągają korzyści z prowokacji Demostenesa.

Teraz, gdy Demostenes wciąż agitował za powrotem Endera, właśnie on najbardziej Enderowi szkodził. Dla każdego, kto obawiał się ruchu Demostenesa - czyli dla całego świata poza

Ameryką - Ender nie był już bohaterem, lecz potworem. I tego potwora mieli sprowadzić na Ziemię, by kierował amerykańskim obłędem nuevo-imperialista? Pozwolić, by stał się amerykańskim Aleksandrem, Dżyngis-chanem, Adolfem Hitlerem, by podbił świat albo zmusił go do zjednoczenia w brutalnej wojnie przeciw sobie?

Na szczęście Ender nie chciał być zdobywcą. Więc nie cierpiał z tego powodu, że odebrano mu szansę spróbowania.

Natomiast chciałby dostać szansę, żeby wszystko Demostenesowi wytłumaczyć.

Chociaż tamten pewnie nigdy by się nie zgodził, żeby zostać w pokoju sam na sam z bohaterem zabójcą.

Mazer nigdy nie dyskutował z Enderem o samym procesie, ale mogli rozmawiać o Graffie.

- Hyrum Graff jest skończonym biurokrata - powiedział kiedyś Mazer. - Zawsze myśli o dziesięć kroków dalej niż wszyscy. Tak naprawdę nie ma znaczenia, jakie stanowisko sprawuje. Potrafi wykorzystać każdego: tych pod sobą i nad sobą, a nawet zupełnie obcych, którzy nigdy go nie spotkali, by osiągnąć to, co uważa za potrzebne dla ludzkości.

- Cieszę się, że tych swoich zdolności używa w dobrej sprawie.

- Nic o tym nie wiem. Używa ich w sprawie, którą uważa za dobrą. Ale nie mam pojęcia, czy jakoś szczególnie dobrze mu idzie rozpoznawanie, co jest dobre.

- Na zajęciach z filozofii uznaliśmy chyba w końcu, że „dobro” jest pojęciem nieskończenie rekursywnym. Nie da się go zdefiniować inaczej niż przez nie samo. Dobro jest dobrem, ponieważ jest lepsze od zła, chociaż dlaczego lepiej, kiedy jest dobrze, zależy od tego, jak zdefiniujemy dobro. I tak dalej, i dalej.

- Oto kwestie, których nowoczesna flota uczy swoich admirałów!

- Ty też jesteś admirałem i sam widzisz, do czego cię to doprowadziło.

- Do uczenia bezczelnego smarkacza, który ratuje ludzkość, ale nie wykonuje swoich obowiązków.

- Czasami chciałbym być bezczelny - wyznał Ender. - Marzę o tym, o sprzeciwie wobec władzy. Ale kiedy już się na to zdecyduję, nie potrafię się pozbyć odpowiedzialności. Ludzie, którzy na mnie liczą... to mną rządzą.

- Czyli nie masz żadnych ambicji oprócz obowiązku? - zapytał Mazer.

- A teraz nie mam już żadnych obowiązków. Dlatego zazdroszczę pułkownikowi... panu Graffowi. Wszystkie te plany... wszystkie cele... Zastanawiam się, jakie ma plany wobec mnie.

- A jesteś pewien, że ma? Znaczy, że planuje coś dla ciebie?

- Może nie - zgodził się Ender. - Ciężko pracował, by uformować to narzędzie. Ale teraz, kiedy już nigdy się nie przyda, może mnie odłożyć, pozwolić mi zardzewieć i już nigdy o mnie nie pomyśleć.

- Możliwe - przyznał Mazer. - Zawsze powinniśmy pamiętać, że Graff nie jest... miły.

- Chyba że mu to potrzebne.

- Chyba że potrzebuje, by wydawać się miłym. Chętnie zniży się do kłamstwa w żywe oczy, żeby doprowadzić do sytuacji, w której będziesz chciał zrobić to, co on chce.

- W ten sposób doprowadził cię tutaj, żebyś został moim trenerem w czasie wojny?

- O tak... - Mazer westchnął.

- Wracasz teraz do domu? - spytał Ender. - Wiem, że masz rodzinę.

- Prawnuki - odparł Mazer. - I praprawnuki. Moja żona umarła, a jedyne żyjące jeszcze dziecko całkiem zżarła demencja. Tak mi mówią wnuki. Mówią o tym swobodnie, gdyż pogodzili się z faktem, że ich ojciec czy wuj przeżył życie w pełni i teraz jest już bardzo stary. Ale jak ja mogę się z tym pogodzić? Nie znam tych ludzi.

- Powitanie bohatera nie wystarczy, żeby wynagrodzić stracone pięćdziesiąt lat... Prawda?

- Powitanie bohatera... Wiesz, na czym polega powitanie bohatera? Wciąż się zastanawiają, czy oskarżyć mnie razem z Graffem. Myślę, że pewnie to zrobią.

- No więc jeśli oskarżą cię razem z Graffem - stwierdził Ender - to uniewinnią cię razem z nim.

- Uniewinnią? - mruknął smętnie Mazer. - Pewnie, nie trafimy do więzienia ani nic takiego. Ale zostaniemy potępieni. Wpis o naganie znajdzie się w naszych aktach. Graffa prawdopodobnie zwolnią ze służby. Ludzie, którzy doprowadzili do tego procesu, nie mogą wyjść na durniów. Muszą wywołać wrażenie, że mieli rację.

Ender westchnął ciężko.

- Czyli obaj oberwiecie z powodu ich dumy. A Graffowi może to przerwać karierę.

Mazer zaśmiał się głośno.

- Nie, nie jest tak źle. Moje akta były pełne nagan, zanim jeszcze pobiłem robale w drugiej wojnie z formidami. Moja kariera została wykuta z nagan i ostrzeżeń. A Graff? Nigdy nie wiązał swojej kariery z wojskiem. To był tylko środek, by zyskać dostęp do wpływów i władzy, służących realizacji jego planów. Teraz wojsko nie jest mu więcej potrzebne, więc nie przeszkadza mu, że go wyleją.

Ender parsknął. Pokiwał głową.

- Pewnie masz rację. Założę się, że Graff już planuje, jak to

wykorzystać. Ludzie, którzy skorzystają na tym, że go wykopali... odwoła się do ich poczucia winy, żeby dostać to, na czym naprawdę mu zależy. Nagrodę pocieszenia, która się okaże prawdziwym celem.

- No wiesz, w końcu nie mogą dać mu medalu za to samo, za co postawili go przed sądem.

- Dadzą mu ten jego projekt kolonizacyjny?

- Och, nie wiem, czy ich poczucie winy sięga aż tak głęboko. Miliardy będą kosztowały budowa i wyposażenie floty w statki kolonizacyjne. Nie ma gwarancji, że na Ziemi znajdą się chętni, by odlecieć stąd na zawsze. Nie mówiąc nawet o załogach tych statków.

- Muszą przecież coś zrobić z całą wielką flotyllą i jej załogami. Statki muszą gdzieś lecieć. Są też ocaleli żołnierze MF na wszystkich zdobytych planetach. Myślę, że Graff dostanie swoje kolonie. Nie wyślemy statków, żeby sprowadzić tych ludzi do domu, ale pošlemy nowych kolonistów, żeby do nich dołączyli.

- Widzę, że opanowałeś całą argumentację Graffa.

- Ty też - stwierdził Ender. I założę się, że polecisz z nimi.

- Ja? Za stary już jestem na kolonistę.

- Mógłbyś prowadzić statek. Statek kolonizacyjny. Znowu wyruszyć w przestrzeń. Bo przecież raz już to zrobiłeś... Dlaczego nie? Podróż z prędkością światła, zabranie statku na jedną z planet formidów...

- Możliwe.

- Skoro wszystkich straciłeś, co jeszcze masz do stracenia? - spytał Ender. - Wierzysz w to, co robi Graff. Od samego początku taki miał plan: rozprzestrzenić rodzaj ludzki poza Układ Słoneczny, żebyśmy nie byli już zakładnikami losu jednej planety. Rozbiegniemy się jak najdalej między gwiazdne systemy, a wtedy jako gatunek staniemy się niezniszczalni. To

jest ta wielka sprawa Graffa. A ty też uważasz, że warto dla niej pracować.

- Nigdy ani słowem nie wypowiedziałem się na ten temat.
- Zawsze, kiedy o tym dyskutują i przedstawiają argumenty Graffa, nie robisz miny, jakbyś ssał cytrynę.
- Och, czyli teraz ci się wydaje, że potrafisz czytać z mojej twarzy? Jestem Maorysem i niczego mimiką nie okazuję.
- Jesteś pół - Maorysem, a ja obserwowałem cię całymi miesiącami.
- Nie potrafisz odczytać moich myśli, nawet jeśli się łudzisz, że potrafisz coś wyczytać z twarzy.
- Projekt kolonizacji to ostatnie, co zostało do zrobienia w kosmosie, czym jeszcze warto się zajmować.
- Nie zaproponowali mi, żebym cokolwiek pilotował - oświadczył Mazer. - Zresztą jestem już za stary na pilota.
- Nie masz pilotować, tylko dowodzić statkiem.
- Mam szczęście, jeśli pozwalają mi samemu celować przy sikaniu. Nie ufają mi. Dlatego stanę przed sądem wojskowym.
- Kiedy proces się zakończy - stwierdził Ender - nie będą mieli już dla ciebie nic do roboty, tak jak dla mnie. Muszą cię posłać gdzieś daleko, żeby MF znów była bezpieczna dla biurokratów.

Mazer odwrócił głowę i milczał, jednak z jego zachowania Ender poznał, że były nauczyciel zamierza powiedzieć coś ważnego.

- A co z tobą, Ender? - zapytał w końcu Mazer. - Poleciałbyś?

- Do kolonii? - Ender parsknął śmiechem. - Mam trzynaście lat. I na co mógłbym się tam przydać? Do uprawy ziemi? Przecież wiesz, na czym polegają moje umiejętności. Dla kolonii są bezużyteczne.

Mazer zaśmiał się chrapliwie.

- Aha, czyli mnie wysyłasz, ale sam nie polecisz?

- Nikogo nie wysyłam - zapewnił Ender. - A już na pewno nie siebie.

- Coś przecież musisz zrobić ze swoim życiem.

I to było to - niewypowiedziane wprost przyznanie, że Ender nie wróci do domu. Że nigdy nie będzie prowadził normalnego życia na Ziemi.

Pozostałe dzieciaki kolejno dostawały swoje rozkazy i przychodziły się pożegnać przed odlotem. I z każdym było to bardziej krępujące, ponieważ Ender stawał się dla nich coraz bardziej obcy. Nie trzymał się z nimi. Jeśli czasami włączał się w ich rozmowy, to nie na długo i nigdy się naprawdę nie angażował.

Nie był to jego świadomy wybór. Po prostu nie interesowało go już, co oni robią ani o czym dyskutują. Ich zajmowały studia, niedaleki powrót na Ziemię. Co będą robić potem. Jak znajdą sposób, żeby znowu się spotkać, kiedy już trochę pomieszkają w domu. Ile pieniędzy dostaną od wojska w ramach odprawy. Jaką wybiorą sobie karierę. Jak zmienią się ich rodziny.

To nie były sprawy Endera. Nie potrafił udawać, że jest inaczej, że ma jakąś przyszłość. A przede wszystkim nie potrafił rozmawiać o tym, co go naprawdę dręczyło. Nie zrozumieliby.

On sam nie rozumiał. Udało mu się zapomnieć o wszystkim, na czym się koncentrował tak mocno i przez tak długi czas. Taktyka wojskowa? Strategia? W tej chwili w ogóle go nie interesowały. Czy mógłby uniknąć początkowego zrażania sobie Bonza i Stilsona? W tej kwestii odczuwał silne emocje, ale nie miał żadnych racjonalnych pomysłów, więc nie tracił czasu na próby wymyślenia czegoś. Dał sobie spokój, tak samo jak z dogłębną wiedzą o każdym członku swojego jeeshu, małej armii

genialnych dzieciaków, prowadzonych przez system szkolenia, który okazał się wojną.

Kiedyś zrozumienie tych dzieci było jego zadaniem, było kluczowe dla zwycięstwa. Wtedy zaczął nawet myśleć o nich jak o przyjaciółach. Ale nigdy nie był jednym z nich - ich związek był zbyt niesymetryczny. Pokochał te dzieci, aby je poznać, a poznał, by lepiej je wykorzystać. A teraz nie miał już dla nich zastosowania - nie z wyboru, po prostu zabrakło już celu, jakiemu służyłoby utrzymywanie ich razem. Jako zespół przestali istnieć. Byli teraz grupką dzieciaków, które mają za sobą długą i trudną wycieczkę w góry - tak Ender to widział. Połączyli siły, żeby jakoś wrócić do cywilizacji, ale teraz odlatywali do domów, do swoich rodzin. Nic ich już nie łączyło. Oprócz wspomnień...

Dlatego Ender przestał o nich myśleć. Nawet o tych, którzy wciąż jeszcze tu byli. Widział, że ich to rani - tych, którzy chcieli być mu bliżsi niż zwykli kumple - ale nie pozwolił na żadne zmiany, nie dopuścił ich do swoich przemyśleń. Nie umiałyby wytłumaczyć, że wcale ich nie odpycha, po prostu w żaden sposób by nie zrozumieli, co go zajmuje zawsze, kiedy nie jest zmuszony, by myśleć o czymś innym:

Królowe kopców.

To, co zrobili formidzi, nie miało sensu. Przecież nie byli głupi. A jednak popełnili strategiczny błąd, gromadząc wszystkie swoje królowe - nie „swoje królowe”, oni byli królowymi, królowe były formidami - wszyscy zebrali się na ojczystej planecie, gdzie użycie przez Endera systemu DM mogło ich zniszczyć - i zniszczyło - całkowicie, wszystkich równocześnie.

Mazer tłumaczył, że królowe musiały się tam zebrać wiele lat wcześniej, niż mogły odkryć, że ludzka flota dysponuje systemem DM. Wiedziały - ze sposobu, w jaki Mazer pokonał

główną ekspedycję do ziemskiego systemu słonecznego - na czym polega ich największa słabość: jeśli ktoś odkryje królową i zabije ją, zabija też całą armię. Dlatego wycofały się ze wszystkich wysuniętych pozycji, zgromadziły się na macierzystej planecie, a potem ochraniały ten świat wszystkim, co miały.

Tak, tak, tyle Ender rozumiał.

Ale już na wczesnym etapie inwazji na światy formidów użył systemu DM, by zniszczyć formację okrętów. Królowe kopców natychmiast pojęły, jakie są możliwości tej broni, i nigdy nie pozwoliły, by ich jednostki znalazły się tak blisko, żeby system DM wzbudził samopodtrzymującą reakcję.

A więc: kiedy już wiedziały, że taka broń istnieje i że ludzie skłonni są jej użyć, dlaczego pozostały na jednej planecie? Musiały wiedzieć, że ludzka flota nadlatuje. Ender wygrywał jedną bitwę po drugiej, więc musiały pojąć, że istnieje szansa porażki. Łatwo byłoby im wsiąść na statki i rozproszyć się wśród swoich planet. I zanim zaczęła się ostatnia bitwa, mogły wszystkie znaleźć się poza zasięgiem systemu DM.

Wtedy musielibyśmy tropić je po kolei, okręt za okrętem, królową po królowej. Ich planety wciąż byłyby zamieszkałe przez formidów, więc mogłyby stawać do krwawych konfrontacji na każdym świecie, równocześnie budując nowe jednostki, wysyłając przeciw nam nowe flotylle.

Ale one zostały. I zginęły.

Ze strachu? Ender w to nie wierzył. Królowe kopców rodziły się do wojny. Do takich wniosków prowadziły wszystkie spekulacje naukowców, którzy badali anatomie i strukturę molekularną pozostałych po drugiej wojnie zwłok formidów. Formidzi powstawali przede wszystkim i głównie po to, żeby walczyć i zabijać. Co sugerowało, że ewoluowali w świecie, gdzie takie walki były konieczne.

Najlepsza hipoteza - a przynajmniej taka, która dla Endera miała najwięcej sensu - mówiła, że nie walczyli z jakimś drapieżnym gatunkiem swojej planety macierzystej. Jak ludzie, z pewnością bardzo wcześnie by wytępilli wszystkie naprawdę groźne drapieżniki. Nie - ewoluowali, by walczyć ze sobą nawzajem. Królowe stawaly przeciwko królowym, płodząc ogromne armie formidów, rozwijając dla nich narzędzia i broń, każda po to, by stać się królową dominującą, czy raczej jedyną pozostałą przy życiu.

A jednak udało im się przerwać te konflikty. Przestały ze sobą walczyć.

Czy stało się to, zanim opanowały loty kosmiczne i skolonizowały inne planety? Czy może jedna konkretna królowa wynalazła statki kosmiczne lecące z prędkością bliską prędkości światła, stworzyła kolonie, a potem wykorzystwała uzyskaną siłę, by zmiażdżyć pozostałe?

Nie miałyby to żadnego znaczenia. Jej własne córki z pewnością zbuntowałyby się przeciw niej - i to by się powtarzało za każdym razem, każda kolejna generacja próbowałaby zniszczyć poprzednią. Tak przynajmniej działają kopce na Ziemi - królowa rywalka musi się wynieść albo zginąć. Zostać mogą tylko niezdolne do reprodukcji robotnice, gdyż one nie są rywalkami, są służącymi.

Przypominało to system odpornościowy organizmu. Każda królowa kopca musiała dopilnować, by żywność wytwarzana przez jej robotnice służyła do karmienia wyłącznie jej robotnic, jej dzieci, jej partnerów i jej samej. A więc każdy formid, królowa czy robotnica, która próbowała przedostać się na jej terytorium i wykorzystać jej zasoby, musiał uciec albo zginąć.

A jednak przestały ze sobą walczyć i podjęły współpracę.

Jeśli potrafiły zakończyć starcia między sobą, nieprzejednanymi wrogami, którzy dostatecznie długo napędzali

swoją ewolucję i w końcu stali się wybitnie inteligentnym, świadomym gatunkiem, to czemu nie mogły tak samo postąpić z nami? Z ludzkością? Dlaczego nie próbowały się z nami porozumieć? Jakoś się dogadać, tak samo jak wcześniej między sobą? Podzielić między nas galaktykę? Życ i dać żyć innym?

Gdyby w którejś bitwie Ender zauważył jakikolwiek znak, że chcą porozumienia, natychmiast by pojął, że to nie jest gra. Nie istniał żaden powód, by nauczyciele symulowali chęć podjęcia rokowań. Nie uważali tego za sprawę Endera, a zatem nie szkoliliby go do takich działań. Gdyby próba komunikacji rzeczywiście nastąpiła, dorośli z pewnością natychmiast by zatrzymali Endera, udali, że „ćwiczenie” jest zakończone, i próbowali rozwiązać problem samodzielnie.

Ale królowe kopców nie starały się nawiązać łączności. Nie wykorzystywały też oczywistej strategii rozproszenia, która mogła ocalić część z nich. Siedziały tam i czekały, aż przyłeci Ender. A potem Ender zwyciężył w jedyny sposób, w jaki potrafił: miażdżącą siłą.

Zawsze tak walczył. Aby być pewnym, że dalszej walki nie będzie. By swoje zwycięstwo wykorzystać do zagwarantowania, że groźba już się nie pojawi.

Nawet gdybym wiedział, że wojna jest realna, próbowałbym zrobić dokładnie to samo.

I w myślach raz po raz pytał królowe kopców, choć wiedział, że są martwe i nie mogą odpowiedzieć: Dlaczego?

Dlaczego pozwoliłyście mi się pozabijać?

Racjonalny umysł podsuwał mu inne możliwości - wśród nich szansę, że w rzeczywistości mogły być całkiem głupie. A może tak niewiele miały doświadczenia w kierowaniu społecznością równych, że nie potrafiły wspólnie podjąć sensownej decyzji. Albo, albo, albo, albo... raz za razem analizował możliwe wyjaśnienia.

W tej chwili badania Endera, kiedy nie odrabiał szkolnych zadań, jakie ktoś - wciąż Graff? czy któryś z jego rywali? - nadal mu przydzielał, polegały na czytaniu raportów żołnierzy, którymi kiedyś nieświadomie dowodził. Po każdej skolonizowanej przez formidów planecie chodzili teraz ludzie. I każdy zespół badawczy przysyłał podobne meldunki: wszyscy formidzi są martwi i gniją, a wielkie farmy i fabryki czekają, by ktoś je przejął. Żołnierze zmienieni w odkrywców zawsze przewidywali możliwość zasadzki, ale mijały miesiące i nikt ich nie atakował; raporty donosiły o tym, czego dowiadywali się od wysłanych z nimi ksenologów: na każdej planecie formidów nie tylko możemy oddychać tutejszym powietrzem, ale też możemy jeść większość ich pożywienia.

I tak każdy świat formidów stał się ludzką kolonią, a żołnierze osiedlali się i żyli wśród pozostałości swych wrogów. Nie mieli ze sobą dostatecznej liczby kobiet, ale zaczęli opracowywać wzorce społeczne, które maksymalizowały reprodukcję i nie dopuszczały do zbyt wielkiej liczby samców pozbawionych szans na partnerkę. W ciągu pokolenia czy dwóch, jeśli tylko dzieci będą przychodzić na świat w zwykłych proporcjach - połowa chłopców, połowa dziewczynek - będzie można przywrócić normalny system monogamii.

Jednak zachowaniami ludzi na nowych planetach Ender interesował się tylko mimochodem. Badał przede wszystkim wytwory formidów. Schematy ich osiedli. Nory, które były kiedyś terenami lęgowymi królowych, pełne larw o zębach tak twardych, że mogły przegryzać skałę, budując nowe tunele. Formidzi uprawiali ziemię na powierzchni, ale schodzili w dół, by się rozmnażać i opiekować potomstwem, a młode osobniki były tak samo potężne i śmiertelnie groźne jak dorosłe. Przegryzały skałę - badacze natrafili na ciała larw, rozkładające się szybko, ale wciąż leżące tam, gdzie dawały się

sfotografować, zsekcjonować i zbadać.

- Więc na to poświęcasz całe dnie - stwierdziła Petra. - Gapisz się na zdjęcia tuneli formidów. To taki powrót do macicy, czy jak?

Ender uśmiechnął się i odłożył fotografie.

- Myślałem, że odleciałaś już do domu, do Armenii.

- Nie, dopóki nie zobaczę, czym się skończy ten głupi sąd wojenny - odparła. I dopóki ormiański rząd nie będzie gotowy, żeby powitać mnie w odpowiednim stylu. Co oznacza, że muszą zdecydować, czy mnie chcą.

- Oczywiście, że cię chcą.

- Sami nie wiedzą, czego chcą naprawdę. To politycy. Czy to dobrze, że tam wrócę? Czy trzymanie mnie tutaj jest dla nich gorsze niż mój powrót do domu? To takie strasznie trudne, kiedy człowiek nie ma żadnych poglądów prócz żądy utrzymania się przy władzy. Czy to nie piękne, że nie siedzimy w polityce?

Ender westchnął.

- Już nigdy nie zajmę żadnego ważnego stanowiska. Dowódca Armii Smoka to już było za wiele, a przecież chodziło o dziecięce zabawy.

- O tym właśnie starałam się ich przekonać. Nikomu nie chcę odbierać stanowiska. Nikogo nie będę popierać. Pragnę zamieszkać spokojnie z rodziną i przekonać się, czy jeszcze pamiętają, kim jestem. I vice versa.

- Pokochają cię - zapewnił Ender.

- A wiesz o tym, ponieważ...?

- Ponieważ ja cię kocham.

Przyjrzała mu się skonsternowana.

- I niby jak mam zareagować na taką uwagę?

- Hm... A co właściwie powinienem powiedzieć?

- Nie wiem. A co, mam teraz pisać dla ciebie scenariusze?

- No dobra... - rzekł Ender. - Wolałabyś żart? „Pokochają cię, bo ktoś musi, a tutaj, na górze na pewno nie możesz liczyć na nikogo”. Czy może etniczną obelgę? „Pokochają cię, bo przecież to Ormianie, a ty jesteś kobietą”.

- A to co ma znaczyć?

- Usłyszałem to od Azerów, z którymi rozmawiałem podczas imprezy z Sinterklaas, jeszcze w Szkole Bojowej. Jak zrozumiałem, chodzi o to, że Ormianie to jedyni ludzie, którzy uważają, że ormiańskie kobiety są... Nie muszę ci chyba tłumaczyć etnicznych zniewag, Petro. Nadają się do nieograniczonych przeniesień.

- A kiedy tobie pozwolą wrócić? - spytała Petra.

Zamiast udzielić wymijającej albo żartobliwej odpowiedzi, Ender choć raz odpowiedział szczerze.

- Podejrzewam, że nigdy.

- Co?! Myślisz, że ten głupi proces skończy się skazaniem ciebie?

- To przecież ja stoję przed sądem, prawda?

- Na pewno nie.

- Tylko dlatego, że jestem dzieckiem, a zatem nie mogę odpowiadać za swoje czyny. Ale w tym wszystkim chodzi właśnie o to, jakim jestem strasznym małym potworem.

- Wcale nie.

- Widziałem nagłówki w sieciach, Petro. Do świata dociera tyle, że zbawca ludzkości ma pewien drobny problem: zabija dzieci.

- Bronił się przed napastnikami. Wszyscy to rozumieją.

- Oprócz ludzi, którzy piszą w komentarzach, jak to jestem gorszym zbrodniarzem wojennym niż Hitler albo Pol Pot. Masowym mordercą. Czemu ci się wydaje, że chciałbym wrócić do domu i jakoś się przed tym bronić?

Petra też przestała udawać. Usiadła przy nim i wzięła go za

ręce.

- Masz przecież rodzinę, Ender.

- Miałem.

- Och, nie mów tak. Masz rodzinę. Rodziny nadal kochają swoje dzieci, nawet jeśli od ośmiu lat ich nie widziały.

- Nie było mnie tylko siedem. Prawie. Tak, wiem, że mnie kochają. Przynajmniej niektórzy. Kochają tego chłopczyka, którym byłem. Słodkiego sześciolatka. Musiałem być bardzo przytulankowy... w przerwach od zabijania dzieci.

- Więc stąd ta twoja obsesja pornografią formidów?

- Pornografią?

- Chodzi o to, jak oglądasz te zdjęcia. To klasyczne uzależnienie. Musisz ich mieć coraz więcej i więcej... Zbliżenia gnijących ciał larw. Fotografie z autopsji. Schematy struktury molekularnej. Ender, oni nie żyją i nie ty ich zabiłeś. A jeśli nawet ty, to my także. Ale to nieprawda. My tylko graliśmy w grę. Szkoliliśmy się do walki. Nic więcej.

- A gdyby to naprawdę była tylko gra? - spytał Ender. - A potem, po skończeniu szkolenia, gdyby przydzielili nas do floty, gdybyśmy naprawdę pilotowali te statki i dowodzili tymi eskadrami? Czy nie zrobilibyśmy tego samego naprawdę?

- Tak - przyznała Petra. - Ale nie zrobiliśmy. To się nie stało.

- Stało się. Oni zginęli.

- No więc studiowanie budowy ich ciał albo biochemii ich komórek na pewno nie wróci im życia.

- Nie próbuję przywracać im życia - zapewnił. - To byłby koszmar.

- Nie. Próbujesz sam siebie przekonać, że zasługujesz na te wredne rzeczy, które o tobie opowiadają na procesie, bo jeśli to prawda, to nie zasługujesz na powrót na Ziemię.

Ender pokręcił głową.

- Chciałbym wrócić do domu, Petra, nawet jeśli nie mogę

tam zostać. I nie mam żadnych wątpliwości co do wojny. Cieszę się, że walczyliśmy, cieszę się, że wygraliśmy, i cieszę się, że to już koniec.

- Ale nikomu nie pozwalasz się do siebie zbliżyć. Rozumieliśmy to, współczuliśmy albo przynajmniej udawaliśmy, że współczujemy. Ale trzymasz nas na dystans. Robisz takie demonstracje, że kiedy ktoś z nas wchodzi, rzucasz wszystko, żeby pogadać. To jest akt wrogości.

Jak mogła tak mówić?!

- To zwykła uprzejmość.

- Nigdy nawet nie powiesz: „Zaczekaj momencik”, po prostu rzucasz wszystko. To takie... oczywiste. Przekaz brzmi: „Mam mnóstwo roboty, ale nadal uważam, że jestem za was odpowiedzialny, więc odłożę, cokolwiek bym akurat robił, gdyż mój czas jest wam potrzebny”.

- Rany... Faktycznie, świetnie rozumiesz moje sprawy. Bardzo jesteś mądra, Petro. Taka dziewczyna jak ty... naprawdę mogli coś z ciebie zrobić w Szkole Bojowej.

- No, wreszcie szczerą odpowiedź.

- Nie tak szczerą jak to, co mówiłem wcześniej.

- Że mnie kochasz? Nie jesteś moim terapeutą, Ender. Ani spowiednikiem. Nie musisz mnie utulać, nie musisz mówić tego, co ci się wydaje, że powinnam usłyszeć.

- Masz rację - rzekł Ender. - Nie powinienem wszystkiego rzucać, kiedy zajrzy do mnie ktoś z przyjaciół.

Znowu sięgnął po dokumenty.

- Odłóż to.

- Aha, czyli teraz dobrze, że odkładam, bo poprosiłaś mnie o to tak niegrzecznie.

- Ender, wszyscy wróciliśmy z wojny. Ty nie. Ty nadal tam jesteś. Ciągłe walczysz... z czymś. Przez cały czas o tobie gadamy. Zastanawiamy się, czemu się do nas nie zwrócisz z

tym problemem. Mamy nadzieję, że w ogóle z kimś rozmawiasz.

- Z każdym rozmawiam. Z absolutnie każdym. Prawdziwa gaduła ze mnie.

- Masz kamienny mur wokół siebie, a słowa, które właśnie wypowiedziałeś, to cegły w tym murze.

- Cegły w kamiennym murze?

- Czyli słuchasz! - zawołała tryumfalnie. - Ender, nie próbuję naruszać twojej prywatności. Ukrywaj w sobie to wszystko. Cokolwiek to jest.

- Niczego nie ukrywam - odpowiedział. - Nie mam żadnych tajemnic. Całe moje życie jest teraz w sieciach, należy do całej ludzkości i naprawdę wcale mnie to nie martwi. To jakbym nie żył już w swoim ciele. Tylko w swoim umyśle. Jakbym jedynie próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, które nie chce mi dać spokoju.

- Jakie pytanie?

- Pytanie, które wciąż zadaję królowym kopców, a one nigdy nie odpowiadają.

- Jakie pytanie?!

- Ciągłe je pytam: „Dlaczego zginęłyście?”.

- Walczyły z nami, jak tylko potrafiły. Nie chciały ginąć, Ender. Nie popełniły samobójstwa przy pomocy ziemskich żołnierzy.

- Wiedziały, że pokonujemy je raz za razem. Musiały dopuścić przynajmniej możliwość, że zdarzy się to znowu. A jednak zostały.

- No więc zostały.

- Przecież nie musiały wykazywać lojalności czy odwagi zwykłym żołnierzom. Robotnice i wojownicy byli jak części ciała. To jakby powiedzieć: „Muszę to zrobić, żeby moje ręce wiedziały, jaki jestem odważny”.

- Widzę, że długo nad tym myślałeś. Obsesyjnie myślałeś, do

granic obłądu. No ale jeśli jesteś wtedy szczęśliwy... Bo jesteś szczęśliwy, wiesz? Na całym Erosie wszyscy powtarzają, jaki wesoły jest ten Wiggin. Chociaż powinieneś skończyć z pogwizdywaniem, doprowadza ludzi do szału.

- Petro, ukończyłem dzieło swojego życia. Nie sądzę, żeby pozwolili mi wrócić na Ziemię, nawet z krótką wizytą. Nie podoba mi się to, doprowadza mnie to do wściekłości, ale również ich rozumiem. I w pewnym sensie się z tym godzę. Miałem już tyle odpowiedzialności, ile mi trzeba. Skończyłem. Wycofałem się. Za nic i przed nikim nie odpowiadam. Więc mogę się zastanawiać nad tym, co naprawdę mnie gnębi. Nad problemem, który muszę rozwiązać.

Rzucił zdjęcia na biblioteczny stół.

- Kim są ci ludzie? - zapytał.

Petra spojrzała na fotografie martwych larw i robotnic.

- To nie są ludzie, Ender - powiedziała. - To formidzi. I już ich nie ma.

- Przez lata wszystkie moje myśli służyły zrozumieniu ich, Petro. Chciałem ich poznać lepiej niż dowolną ludzką istotę, jaką znałem w życiu. Pokochać ich. A potem użyć tej wiedzy, żeby ich pokonać i zniszczyć. Teraz są zniszczeni, ale to nie znaczy, że mogę przestać o tym myśleć.

Petra rozpromieniła się nagle.

- Złapałam. Nareszcie rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Czemu jesteś taki dziwny, Enderze Wiggin, sir. Bo wcale nie jesteś dziwny.

- Jeśli myślisz, Petra, że nie jestem dziwny, to tylko pokazujesz, że wcale mnie nie rozumiesz.

- My wszyscy, cała reszta, walczyliśmy na wojnie, wygraliśmy i wracamy do domu. Ale ty, Ender, ożeniłeś się z formidami. Kiedy wojna się skończyła, zostałeś wdowcem.

Ender westchnął i odjechał krzesłem od biurka.

- Nie żartuję - zapewniła Petra. - To całkiem jak wtedy, kiedy umarł mój pradziadek. Prababcia zawsze się nim opiekowała. Żal było patrzeć, jak nią rządzi, a ona robiła, co chciał. Mama mówiła mi: „Żebyś nigdy nie wyszła za człowieka, który będzie cię tak traktował”. Ale kiedy umarł... Można by pomyśleć, że prababcia będzie wyzwolona. Nareszcie wolna! Ale nie była. Była zagubiona. Ciągłe go szukała. Ciągłe opowiadała, co dla niego szykuje. Tego nie zrobię, tak nie można, Babo byłby niezadowolony... Aż w końcu mój dziadek, jej syn, powiedział jej: „On odszedł”.

- Wiem, że formidzi odeszli, Petro.

- Prababcia też wiedziała. Tak powiedziała: „Wiem. Tylko nie potrafię zrozumieć, czemu ja też nie odeszłam”.

Ender uderzył dłonią w czoło.

- Dziękuję, pani doktor, ujawniła mi pani moje najgłębsze motywacje i mogę wreszcie pójść dalej.

Petra nie zwracała uwagi na jego sarkazm.

- Zginęli, zanim udzielili ci odpowiedzi. Dlatego prawie nie widzisz, co dzieje się dookoła. Dlatego wobec nikogo nie umiesz się zachowywać jak przyjaciel. Dlatego chyba nawet się nie przejmujesz, że na dole są ludzie, którzy próbują nie dopuścić, byś kiedykolwiek wrócił na Ziemię. Wygrywasz dla nich wojnę, oni chcą cię posłać na wygnanie, a ciebie to nie obchodzi, bo myślisz tylko o swoich utraconych formidach. Są twoją zmarłą żoną i nie możesz sobie odpuścić.

- To nie było udane małżeństwo - zauważył Ender.

- Ale ciągle jesteś zakochany.

- Petro, naprawdę się nie nadaję do międzygatunkowych romansów.

- Przecież sam mówiłeś. Musiałeś ich pokochać, żeby ich zwyciężyć. I nie musisz zgadzać się ze mną od razu. To

przyjdzie później. Obudzisz się zlany zimnym potem i krzykniesz: „Eureka! Petra miała rację!”. I wtedy możesz zacząć walczyć o prawo do powrotu na planetę, którą ocaliłeś. Może znowu zacząć ci na czymś zależeć.

- Zależy mi na tobie, Petro - oświadczył Ender.

To, czego nie powiedział, brzmiało: już teraz mi zależy na zrozumieniu królowych kopców, ale nie możesz tego pojąć.

Pokręciła głową.

- Nie da się przebić przez mur - westchnęła. - Jednak pomyślałam, że warto jeszcze raz spróbować. Ale mam rację. Przekonasz się. Nie możesz pozwolić tym królowym kopców, żeby zdominowały resztę twojego życia. Musisz pozwolić im pozostać martwymi, a samemu iść dalej.

Ender się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że w domu znajdziesz szczęście, Petro. I miłość. Mam nadzieję, że urodzisz dzieci, których tak pragniesz, że będziesz miała dobre życie, pełne sensu i spełnione. Jesteś taka ambitna... Ale uważam, że zdobędziesz to wszystko, prawdziwą miłość i dom, i wspaniałe osiągnięcia.

Petra wstała.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chcę mieć dzieci?

- Bo cię znam - odparł Ender.

- Myślisz, że mnie znasz.

- W taki sam sposób, jak ty myślisz, że znasz mnie?

- Nie jestem zakochaną do szaleństwa panienką. A gdyby nawet, to na pewno nie w tobie.

- Ach, więc nie podoba ci się, kiedy ktoś zakłada, że zna twoje najgłębsze, skrywane motywy?

- Nie podoba mi się, że jesteś taki *oomo*.

- No cóż, znakomicie poprawiła mi pani nastrój, panno Arkanian. My, *oomo*, jesteśmy wdzięczni, kiedy składają nam wizyty piękni ludzie z wielkiego domu.

- No więc naprawdę cię kocham i zależy mi na tobie, Enderze Wiggin! - wykrzyknęła gniewnie i wyzywająco, po czym odeszła.

- A ja kocham ciebie i też mi na tobie zależy, tylko nie chcesz mi uwierzyć!

Już w drzwiach odwróciła się do niego.

- Enderze Wiggin, nie byłam sarkastyczna ani protekcyjna, kiedy to mówiłam.

- Ja też nie!

Ale jej już nie było.

- Może próbuję studiować niewłaściwy obcy gatunek - mruknął cicho.

Zerknął na ekran nad biurkiem. Nadal pokazywał przekaz, choć wyciszony, zeznań Mazera Rackhama. Mazer wydawał się tak spokojny, tak obojętny, jakby odczuwał pogardę dla całego procesu. Kiedy zapytali go o skłonność Endera do przemocy i czy utrudniało to szkolenie, Mazer uniósł głowę i spojrzał na sędziów.

- Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem. To sąd wojenny? Czy nie jesteśmy tu wszyscy żołnierzami, szkolonymi, by dokonywać aktów przemocy?

Sędzia uderzył młotkiem i upomniał go, ale Mazer przekazał swoją opinię. Przemoc była sensem istnienia wojska - kontrolowana przemoc, skierowana przeciwko wybranym celom. Nie mówiąc wprost ani słowa o Enderze, Mazer jasno dał do zrozumienia, że skłonność do przemocy nie jest wadą, że o nią właśnie chodzi.

Ender poczuł się lepiej. Mógł wyłączyć wiadomości i wrócić do pracy.

Wstał i sięgnął nad blatem, żeby podnieść plik zdjęć, które przesunęła Petra. I zobaczył przed sobą oblicze martwego formidzkiego farmera z jednej z odległych planet; tułów miał rozcięty, a organy wewnętrzne poukładane równo wokół ciała.

Nie mogę uwierzyć, że zrezygnowaliście, powiedział Ender bezgłośnie, zwracając się do fotografii. Nie mogę uwierzyć, że cały gatunek stracił wolę życia. Dlaczego pozwoliliście mi się pozabijać?

- Nie spocznę, dopóki was nie poznam - szepnął.

Ale oni odeszli. A to znaczyło, że już nigdy, nigdy nie będzie mógł odpocząć.

Rozdział. 3

To: mazerrackham%nonexistent@unguessable.com/imaginary.heroes

From: hgraff%educadmin@ifcom.gov

{protokół samoniszczący}

Subject: A może krótka podróż?

Drogi Mazerze,

Wiem chyba najlepiej, że niewiele brakowało, byś odmówił powrotu ze swojej ostatniej wyprawy, i z pewnością nie zamierzam im pozwalać, żeby Cię teraz dokądkolwiek posyłali. Ale podjąłeś spore ryzyko, składając zeznania w mojej obronie (albo w obronie Endera, albo prawdy i sprawiedliwości; nie próbuję zgadywać Twoich motywów) i polowanie się zaczęło. Moim zdaniem najlepszą metodą, żebyś stał się mniej widoczny, a zatem i mniej atakowany, jest ogłosić publicznie, że zostaniesz dowódcą pewnego statku kolonizacyjnego. Tego, który ma zabrać Endera w bezpieczne miejsce.

Kiedy już będziesz całkowicie ignorowany, ponieważ rzekomo wyruszasz w czterdziestoletnią podróż, w ostatniej chwili łatwo zmienimy Ci przydział na jakiś inny statek, który odleci później. Tym razem bez żadnego rozgłosu. Po prostu przypadkiem nie polecisz.

Co do Endera, powiemy mu o tym podstępnie od samego początku. Nie potrzebuje nowych niespodzianek. Ale także nie potrzebuje Twojej ani mojej opieki. Uważam, że wykazał to już wielokrotnie.

Hyrum

PS To urocze, że używasz własnego imienia jako tajnego pseudonimu na Unguessable.com. Kto by przypuszczał, że stać Cię na taką ironię?

Mamy ani ojca nie było w domu - niedobrze. To znaczyło, że Peter może przejść w tryb gryzienia dywanu, jeśli dopadnie go taki nastrój, a sprawy wyraźnie zdążyły w tym kierunku.

- Nie mogę uwierzyć, że dałem się w to wciągnąć - oświadczył.

- W co wciągnąć? - zapytała Valentine.

- Żeby Locke i Demostenes agitowali przeciwko powrotowi Endera.

- Chyba nie uważałeś. Demostenes nawołuje, by ściągnąć Endera do domu, żeby przywrócił dawną wielkość Ameryki. A Locke jest pojednawczo umiarkowany, próbuje szukać trzeciej drogi, jak zawsze. Nędzny lizus.

- Zamknij się - burknął Peter. - Już za późno, żebyś udawała idiotkę. Ale skąd mogłem wiedzieć, że zmienia ten idiotyczny sąd w kampanię oszczerstw przeciwko nazwisku Wiggin?

- Ach, rozumiem. Nie chodzi o Endera, tylko o to, że nie możesz wykorzystać bycia Lockiem, nie ujawniając, kim jesteś naprawdę, a naprawdę jesteś bratem Endera. I teraz nie da ci to takiego ładnego pchnięcia.

- Niczego nie osiągnę, jeśli nie osiągnę wpływowej pozycji, a teraz będzie to o wiele trudniejsze, ponieważ Ender zabijał ludzi.

- W samoobronie.

- Kiedy był dzieckiem.

- Dobrze pamiętam, że kiedyś obiecałeś go zabić.

- Nie mówiłem poważnie.

Valentine miała pewne wątpliwości. Ona jedyna nie ufała nagłemu atakowi dobroci u Petera sprzed kilku świąt Bożego Narodzenia, kiedy to najwyraźniej Święty Mikołaj - albo Uriasz Heap - namaścił go olejkiem altruizmu.

- Chodzi mi o to, że Ender nie zabijał każdego, kto mu groził.

I oto nastąpił - błysk dawnej furii. Patrzyła rozbawiona, jak Peter walczy ze sobą i opanowuje wściekłość.

- Za późno, żeby zmieniać nasze stanowiska w sprawie powrotu Endera.

Powiedział to oskarżycielskim tonem, jakby to był jej pomysł.

W pewnym sensie był. Ale nie jego ostateczna realizacja. Wszystko toczyło się według scenariusza Petera.

- Zanim pozwolimy odkryć, kim naprawdę jest Locke,

musimy naprawić reputację Endera. Co nie będzie łatwe. I nie mam pomysłu, które z nas powinno się tym zająć. Z jednej strony to pasuje do Demostenesa, tyle że nikt nie zaufa jego motywom. Z drugiej strony, jeśli Locke zacznie to robić otwarcie, wszyscy pomyślą, że miałem ukryte powody, kiedy już wyjdzie na jaw, kim jestem.

Valentine nawet się nie skrzywiła, choć była pewna - była pewna już od lat - że pułkownik Graff i pewnie połowa dowództwa MF wie, kim naprawdę są Locke i Demostenes. Dotrzymywali sekretu, żeby nie narażać Endera. Ale wcześniej czy później ktoś się wygada - i nie będzie to chwila, jaką by wybrał Peter.

- No więc uważam - rzekł Peter - że jednak powinniśmy sprowadzić Endera na Ziemię. Ale nie do Stanów Zjednoczonych, a przynajmniej nie pod kontrolę rządu USA. Sądzę, że Locke musi zacząć mówić ze współczuciem o młodym bohaterze, który nic nie mógł poradzić na to, jak go wykorzystywano. - Przybrał ton Locke'a: pojednawcze skomlenie, które użyte publicznie, w jednej chwili przekreśliłoby jego polityczne plany. - Pozwólmy mu wrócić do domu jako obywatelowi świata, który uratował. Niech go chroni Rada Hegemonia. Jeśli nikt mu nie zagraża, chłopiec nie jest niebezpieczny. - Peter spojrzał na nią tryumfalnie i wrócił do własnego głosu. - Widzisz? Sprowadzimy go do domu, a potem, kiedy moja tożsamość zostanie ujawniona, będę lojalnym bratem, owszem, ale też kimś, kto działał dla dobra całego świata, a nie tylko Stanów Zjednoczonych.

- Zapominasz o kilku sprawach - ostudziła go Valentine.

Popatrzył na nią gniewnie. Nie znosił, kiedy zarzucała mu błędy, ale musiał jej słuchać, gdyż często miała rację. Nawet jeśli udawał, że już wcześniej pomyślał o jej argumentach.

- Po pierwsze, zakładasz, że Ender chce wrócić do domu.

- Oczywiście, że chce wrócić do domu.

- Tego nie wiesz. Nie znamy go. Po drugie, zakładasz, że kiedy już wróci, będzie słodkim maluchem i wszyscy uznają, że naprawdę nie jest potworem mordującym dzieci.

- Oglądaliśmy nagrania z procesu - przypomniał jej Peter. - Ci ludzie kochają Endera Wiggina. To było widoczne we wszystkim, co mówili i robili. Dla nich liczyło się tylko to, żeby go ochraniać. I dokładnie tak samo zachowywali się wszyscy, kiedy Ender jeszcze tu mieszkał.

- Tak naprawdę nigdy tu nie mieszkał - zauważyła. - Przeprowadziliśmy się po jego wyjeździe, pamiętasz?

Znowu niechętne spojrzenie.

- Ender sprawia, że ludzie chcą za niego umierać.

- Albo go zabić. - Uśmiechnęła się.

- Ender sprawia, że kochają go dorośli.

- Czyli wracamy do pierwszego problemu.

- Chce wrócić do domu - upierał się Peter. - Jest człowiekiem. A ludzie chcą wracać do domu.

- Ale gdzie jest dom Endera? - zapytała Valentine. - Większą część życia spędził w Szkole Bojowej. Co w ogóle pamięta z czasów, kiedy z nami mieszkał? Starszego brata, który stale go dręczył i groził, że go zabije...

- Przepraszę - obiecał Peter. - Naprawdę mi przykro, że tak się zachowywałem.

- Ale nie możesz przeprosić, jeśli on nie wróci. Poza tym, Peter, on jest sprytnym dzieciakiem. Sprytniejszym od nas; dlatego jego zabrali do Szkoły Bojowej, nie nas. Domyśli się, jak próbujesz go wykorzystać. Rada Hegemona... to przecież bagno. On ci nie pozwoli prowadzić się na pasku.

- Wyszkolili go do wojny. Nie do polityki - oznajmił Peter.

Ten jego uśmiezek był tak pełen zarozumiałości... Valentine miała ochotę trochę nadłamać kij bejsbolowy na jego twarzy.

- To bez znaczenia - rzekła. - Nie sprowadzisz go do domu niezależnie od tego, co napisze Locke.

- A to dlaczego?

- Bo nie ty stworzyłeś siły, które się go boją i lękają się jego powrotu. Ty je tylko wykorzystałeś. Ci ludzie nie zmieniają zdania, nawet dla Locke'a. A poza tym Demostenes ci nie pozwoli.

Peter spojrzał na nią z pogardliwym rozbawieniem.

- Chcesz przejść na niezależność?

- Chyba o wiele lepiej potrafię nastraszyć ludzi tak, żeby trzymali go w kosmosie, niż ty wzbudzić w nich współczucie tak, żeby go ściągnęli z powrotem.

- Myślałem, że kochasz go najbardziej ze wszystkich. Myślałem, że chcesz, by wrócił.

- Przez ostatnie siedem lat chciałam, by wrócił. A ty byłeś zadowolony, że go nie ma. Ale teraz... sprowadzić go do domu i oddać pod opiekę Radzie Hegemonów... to znaczy pod twoją kontrolę, bo wepchnąłeś do Rady swoich zauszników...

- Zauszników Locke'a - poprawił ją.

- Nie mam zamiaru ci pomagać w ściągnięciu Endera na Ziemię, żeby stał się narzędziem do rozwijania twojej kariery.

- Więc zmusisz swojego ukochanego braciszka, żeby pozostał na wygnaniu w kosmosie, tylko dlatego, żeby zrobić na złość twojemu paskudnemu starszemu bratu? - spytał Peter. - Rany, cieszę się, że nie jestem twoim najukochańszym braciszkiem.

- Ty to załatwiłeś, Peter - odparła Valentine. - Tyle lat przeżyłam pod twoim butem... Dobrze wiem, jakie to uczucie. Ender by tego nienawidził. Wiem, bo ja tego nienawidzę.

- Ale uwielbiałaś tę zabawę. Być Demostenesem... Wiesz teraz, jak smakuje władza.

- Wiem, jak smakuje władza, która przepływa przeze mnie prosto w twoje ręce.

- O to właśnie ci chodzi? Nagle zapragnęłaś władzy dla siebie?

- Peter, jesteś strasznym idiotą, jeśli chodzi o ludzi, których powinieneś znać najlepiej. Nie mówię przecież, że chcę twojej władzy. Mówię ci, że zrywam się ze smyczy.

- Świetnie. Sam napiszę te eseje Demostenesa.

- Nie, nie napiszesz, bo ludzie zauważą, że coś się nie zgadza. Nie potrafisz pisać Demostenesem.

- Cokolwiek ty potrafisz...

- Zmieniłam wszystkie hasła. Ukryłam wszystkie członkostwa Demostenesa i wszystkie pieniądze. Nie dostaniesz się do nich.

Peter przyglądał się jej z politowaniem.

- Znajdę to wszystko, jeśli tylko zechcę.

- Nic ci z tego nie przyjdzie. Demostenes wycofuje się z polityki. Odejdzie ze względu na zły stan zdrowia i udzieli mocnego poparcia... Locke'owi.

Peter wydawał się przerażony.

- Nie możesz! Poparcie Demostenesa zniszczy Locke'a!

- Widzisz? Też mam broń, której się obawiasz.

- Ale dlaczego miałabyś tak postąpić? Po tylu latach nagle teraz postanawiasz spakować swoje lalki i filizanki i wyjść z herbatki?

- Nigdy nie bawiłam się lalkami, Peter. Ty najwyraźniej tak.

- Przestań - rzekł Peter surowo. - Naprawdę. To wcale nie jest zabawne. Sprowadźmy Endera do domu. Nie będę się starał go kontrolować tak, jak mówiłaś.

- To znaczy tak, jak mnie kontrolujesz?

- Daj spokój, Val. Jeszcze parę lat i będę mógł się ujawnić jako Locke... i jako brat Endera. Pewnie, ratowanie jego reputacji mi pomoże, ale jemu pomoże także.

- Myślę, że powinieneś spróbować, Peter. Ratuj, co się da.

Ale nie wydaje mi się, żeby Ender miał wrócić. Natomiast ja polecę do niego. Założę się, że mama i tato też polecą.

- Nie zapłacą za twoją wycieczkę w kosmos aż na Erosa. Zresztą to zajmie całe miesiące. W tej chwili jest praktycznie po drugiej stronie Słońca.

- To nie jest wycieczka - odparła Valentine. - Opuszczam Ziemię. Dołączę do Endera na wygnaniu.

Przez moment Peter jej wierzył. Przyjemnie było zobaczyć na jego twarzy prawdziwy niepokój. Ale zaraz się rozluźnił.

- Mama i tato ci nie pozwolą - uznał.

- Piętnastoletnie kobiety nie potrzebują zgody rodziców, żeby zgłosić się do kolonii. Jesteśmy w idealnym wieku reprodukcyjnym i uważa się, że jesteśmy dostatecznie głupie, by się zgłosić.

- A co koloniści mają z tym wspólnego? Ender nie będzie kolonistą.

- Co jeszcze mogą z nim zrobić? To jedyne zadanie, jakie stoi jeszcze przed MF, a on jest pod ich opieką. Dlatego zaczęłam już działać, żeby przydzielili mnie na ten sam statek co jego.

- Skąd ci przyszły do głowy takie *imasen* pomysły? - Jeśli nie rozumiała slangu Szkoły Bojowej, to miała pecha. - Kolonie, dobrowolne wygnanie... Przecież to jakiś obłąd. Przyszłość decyduje się tutaj, na Ziemi, nie gdzieś w dalekich regionach Galaktyki.

- Światy formidów leżą w tym samym ramieniu Galaktyki co Ziemia, i nie wszystkie są dalekie jak na Galaktykę - oświadczyła Valentine z wyższością, żeby go zirytować. I wiesz, Peter, to, że swoją przyszłość chcesz poświęcić na władanie światem, nie znaczy jeszcze, że ja chcę swoją przyszłość poświęcić na pomaganie tobie. Miałeś moją młodość, wykorzystasteś mnie, ale ostatnie lata życia spędzę już bez ciebie, mój ukochany.

- To obrzydliwe, kiedy mówisz, jakbyśmy byli małżeństwem.
- Mówię, jakbyśmy byli w starym filmie.
- Nie oglądam filmów - burknął Peter. - Więc skąd mam to wiedzieć?

- Tyle jest spraw, o których nie masz skąd wiedzieć - westchnęła Valentine.

Przez chwilę miała ochotę powiedzieć mu o wizycie Endera na Ziemi, kiedy Graff próbował ją wykorzystać, by skłonić wypalonego Endera do powrotu do pracy. I o tym, że Graff dobrze wiedział o ich sekretnej tożsamości w sieciach. To by starło ten uśmieszek z jego twarzy.

Ale co by w ten sposób osiągnęła? Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Peter pozostanie w błogiej niewiedzy.

Podczas rozmowy Peter z roztargnieniem wskazywał coś na ekranie i stukał w klawiaturę. Teraz zobaczył na swoim holo coś, co go rozwścieczyło.

- Co się dzieje? - spytała, zakładając, że to jakieś straszne wiadomości ze świata.

- Pozamykałaś wszystkie moje tylne wejścia!

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Najwyraźniej był przekonany, że nie zauważy tych ukrytych punktów dostępu do wszystkich kluczowych kont i tożsamości Demostenesa. Co za dureń... Kiedy tak się chwalił, jak to stworzył dla niej to wszystko, oczywiście założyła, że umieścił tylne wejścia, by zawsze mógł zmienić to, co pisała. Czemu sobie wyobraził, że tak to zostawi? Wyszukała je wszystkie w ciągu kilku tygodni; cokolwiek by zrobił w sieciach z Demostenesem, ona mogła to cofnąć. Więc kiedy zmieniała hasła i kody dostępu, naturalnie pozamykała również te wejścia.

Co on sobie myślał?

- Przecież gdybyś miał do nich klucze, nie byłyby zamknięte,

prawda?

Peter wstał. Poczzerwieniał na twarzy i zaciskał pięści.

- Ty niewdzięczna suko!

- I co mi zrobisz, Peter? Uderzysz mnie? Jestem gotowa.

Myślę, że wygram.

Usiadł znowu.

- Idź - powiedział. - Leć w kosmos. Wyłącz Demostenesa. Nie jesteś mi potrzebna. Nikogo nie potrzebuję.

- I dlatego jesteś takim nieudacznikiem - oświadczyła Valentine. - Nigdy nie będziesz rządził światem, jeśli nie zrozumiesz, że nie osiągniesz tego bez współpracy wszystkich ludzi. Nie możesz ich oszukać, nie możesz ich zmusić. Oni muszą chcieć podążać za tobą. Tak jak żołnierze Aleksandra chcieli iść za nim i za niego walczyć. A kiedy przestali chcieć, jego potęga zniknęła. Potrzebujesz każdego, ale w swoim narcyzmie tego nie pojmujesz.

- Potrzebna mi dobrowolna współpraca kluczowych postaci tutaj, na Ziemi - odparł. - Ale ty nie będziesz jedną z nich, prawda? Więc idź, powiedz tacie i mamie, co planujesz. Złamiesz im serca. Ale przecież nie dbasz o to. Lecisz na spotkanie ze swoim ukochanym Enderem.

- Nadal go nienawidzisz - zauważyła.

- Nigdy go nie nienawidziłem - zapewnił Peter. - Ale w tej chwili na pewno nienawidzę ciebie. Nie za bardzo, tylko na tyle, żeby mieć ochotę nasiusić ci do łóżka.

Był to stały żart w ich rozmowach. Nic nie mogła poradzić; zawsze doprowadzał ją do śmiechu.

- Och, Peter, ależ z ciebie dziecko!

Mama i ojciec przyjęli jej decyzję zaskakująco spokojnie. Ale nie chcieli z nią lecieć.

- Val, sądzę, że masz rację - powiedział ojciec. - Ender raczej

nie wróci. Ta świadomość złamała nam serca. I to cudowne, że chcesz do niego dołączyć, nawet gdyby żadne z was w rezultacie nie odleciało do kolonii. Nawet jeśli to tylko kilka miesięcy w przestrzeni. Czy kilka lat. Dobrze dla niego, że znów będzie z tobą.

- Byłoby jeszcze lepiej, gdyby miał tam także was dwoje.

Ojciec pokręcił głową. Mama przycisnęła palcami powieki - gest mówiący: Nie będę płakała.

- Nie możemy - stwierdził ojciec. - Tutaj mamy pracę.

- Poradzą sobie bez was przez rok czy dwa.

- Łatwo ci mówić. Jesteś młoda. Co dla ciebie znaczy parę lat? My jesteśmy starsi. Nie starzy, ale starsi od ciebie. Czas znaczy dla nas coś innego. Kochamy Endera, lecz nie możemy poświęcić miesięcy czy lat na podróż, by go odwiedzić. Nie zostało nam aż tak dużo czasu.

- Właśnie o to mi chodzi. Nie macie zbyt dużo czasu... I jeszcze mniej, by mieć okazję spotkania z Enderem.

- Val - wtrąciła drżącym głosem mama. - Nic, co zrobimy teraz, nie zwróci nam tych lat, które straciliśmy.

Miała rację. Valentine wiedziała, że ma rację. Ale nie dostrzegała znaczenia tego faktu.

- Więc zamierzacie go traktować, jakby już umarł?

- Wiemy, że nie umarł - zapewnił ojciec. - Ale wiemy też, że nas nie chce. Pisaliśmy do niego, odkąd skończyła się wojna. Graff... to ten, który stanął przed sądem... nam odpisał. Ender nie chce pisać do nas listów. Czyta nasze, ale powiedział Graffowi, że nie ma nic do powiedzenia.

- Graff kłamie - uznała Valentine. - Prawdopodobnie niczego Enderowi nie pokazał.

- To możliwe - zgodził się ojciec. - Ale Ender naprawdę nas nie potrzebuje. Ma trzynaście lat. Staje się mężczyzną. Wspaniale sobie radził, odkąd nas opuścił, ale miał też straszne

doświadczenia, a nas przy nim nie było. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek nam wybaczy, że pozwoliliśmy mu odejść.

- Nie mieliście wyboru - przypomniała Valentine. - Zabraliby go do Szkoły Bojowej, choćby i bez waszej zgody.

- Jestem pewna, że on to wie, rozumowo. Ale czy wie o tym w sercu?

- No więc odlatuję bez was - oznajmiła Valentine.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nie zechcą jej towarzyszyć.

- Zostawisz nas za sobą - stwierdził ojciec. - Tak właśnie postępują dzieci. Żyją w domu rodzinnym, a potem odchodzą. Nawet jeśli odwiedzają go, nawet jeśli potem wracają, nigdy nie jest tak samo. Tak stało się z Enderem i tak będzie z tobą.

- Dobra strona - dodała mama, która teraz trochę płakała - to że nie będziesz już z Peterem.

Valentine nie mogła uwierzyć, że mama coś takiego powiedziała.

- Za dużo czasu z nim spędzałaś. Ma na ciebie zły wpływ. Jesteś przy nim nieszczęśliwa. Wsysa cię do swojego życia i przez to nie masz własnego.

- Teraz to będzie nasze zadanie - oświadczył ojciec.

- Powodzenia...

Tyle tylko Valentine zdołała wykrztusić. Czy to możliwe, że rodzice naprawdę rozumieli Petera? Ale jeśli tak, to czemu przez tyle lat pozwalali mu robić swoje?

- Widzisz, Val - powiedział ojciec - gdybyśmy teraz spotkali się z Enderem, chcielibyśmy znów być jego rodzicami. Ale nie mamy już autorytetu. Nic mu nie możemy dać. On nie potrzebuje rodziców.

- Za to siostra... Siostra może mu się przydać. - Mama wzięła Valentine za rękę. Wyraźnie o coś prosiła.

Valentine zareagowała na tę prośbę impulsywnie - złożyła

obietnicę.

- Będę przy nim. Dopóki będzie mnie potrzebował.
- Wiedziałam, że możemy na ciebie liczyć, skarbie.

Mama uścisnęła jej dłoń i cofnęła rękę. Najwyraźniej tego właśnie potrzebowała.

- Jesteś dobrym, kochającym dzieckiem - rzekł ojciec. - Zawsze miałaś to w naturze. A Ender zawsze był twoim ukochanym braciszkiem.

Valentine się skrzywiła, słysząc to określenie z dzieciństwa. Ukochany braciszek... Błę.

- Będę pamiętać, żeby go tak nazywać.
- Tak zrób - zgodziła się mama. - Ender lubi, kiedy przypomina mu się dobre chwile.

Czy mama naprawdę sobie wyobraża, że cokolwiek, co wiedziała o Enderze sześciolatkiem, nadal pozostaje prawdą teraz, kiedy ma lat trzynaście?

I jakby czytała jej w myślach, mama odpowiedziała:

- Ludzie się nie zmieniają, Val. Nie w swej zasadniczej naturze. Cokolwiek zrobisz jako dojrzała osoba, jest to widoczne dla kogoś, kto zna cię od chwili narodzin.

Valentine się roześmiała.

- W takim razie dlaczego zostawiliście Petera przy życiu?

Zaśmiali się także, choć ze skrępowaniem.

- Val... - odparł ojciec. - Nie liczymy, że to zrozumiesz, ale pewne cechy, które czynią Petera... trudnym... to właśnie te, które kiedyś uczynią go wielkim.

- A skoro już jesteśmy przy wróżbach, co ze mną? - zainteresowała się Valentine.

- Och, Val... - Ojciec westchnął. - Wystarczy, że będziesz żyła swoim życiem, a wszyscy wokół ciebie będą szczęśliwsi.

- Czyli żadnej wielkości?

- Widzisz, Val, dobroć zawsze przebija wielkość - oświadczyła

mama.

- Ale nie w podręcznikach historii - zauważyła Valentine.

- W takim razie chyba niewłaściwi ludzie piszą te podręczniki - uznał ojciec. - Prawda?

Rozdział. 4

To: qmorgan%kontradmirał@if.com.gov/fleetcom
From: chamrajnagar%polemarch@ifcom.gov/centcom
{protokół samoniszczący}
Subject: Wchodzisz czy nie?

Drogi Quince, zdaję sobie sprawę z różnicy między dowodzeniem w bitwie a prowadzeniem statku kolonizacyjnego przez kilkadziesiąt lat świetlnych. Jeśli uważasz, że Twoja użyteczność w kosmosie dobiegła końca, to oczywiście możesz przejść w stan spoczynku, z pełnymi przywilejami. Jeśli jednak zostaniesz i będziesz się trzymał bliskiej przestrzeni, nie mogę Ci obiecać awansu w szeregach MF.

Widzisz, całkiem nagle dopadł nas pokój. To często jest katastrofą dla tych, których kariery nie osiągnęły naturalnego szczytu.

Statek kolonizacyjny, który Ci proponuję, nie jest - w przeciwieństwie do Twych aż zbyt często wygłaszanych opinii (spróbuj czasem być dyskretny, Quince, a przekonasz się, że to niekiedy bywa skuteczniejsze) - metodą skazywania Cię na zapomnienie. Emerytura jest zapomnieniem, drogi przyjacielu. Czterdziesto- czy pięćdziesięcioletnia podróż oznacza, że przeżyjesz wszystkich, którzy pozostaną na miejscu. Twoi przyjaciele umrą. Ale Ty wciąż będziesz żywy i będziesz mógł zawrzeć nowe przyjaźnie. I będziesz dowodził statkiem. Pięknym, wielkim i szybkim.

Z tym problemem musi się zmierzyć cała flota. Mamy tam wielu bohaterów. Walczyli w wojnie, w której zwycięstwo przypisuje się Chłopcu. Czy o nich zapomnieliśmy? Wszystkie nasze kluczowe misje będą wymagać lotu trwającego dziesięciolecia... A musimy wydelegować najlepszych oficerów, by nimi dowodzili. Zatem w dowolnym momencie większość naszych najlepszych oficerów będzie obca dla wszystkich w CentCom, ponieważ lecieli przez połowę życia.

W końcu cały personel centrali będzie się składał z gwiazdnych wędrowców. Będą patrzyli z góry na każdego, kto NIE ma za sobą dziesiątków lat lotów międzygwiazdnych. Wyrwą się z ziemskiej historii. Będą się znali tylko z transmitowanych przez ansible dzienników pokładowych.

To, co Ci proponuję, to jedyna możliwość tych niezbędnych dla kariery

wypraw: statek kolonizacyjny.

I to nie jakikolwiek statek kolonizacyjny, ale ten zmierzający do kolonii, której gubernatorem jest trzynastoletni dzieciak. Naprawdę chcesz mi wmówić, że tego nie rozumiesz? Nie masz być jego „niańką”; powierzam Ci bardzo odpowiedzialną misję - dopilnowanie, by Chłopiec pozostał możliwie daleko od Ziemi, a także zadbanie, by na nowym stanowisku odniósł pełen sukces. Nie chcemy, by przyszłe pokolenia uznały, że nie traktowaliśmy go dobrze.

Naturalnie nie wysłałem Ci tego listu, a Ty go nie czytałeś. Nic w jego treści nie może być traktowane jako tajny rozkaz. To jedynie moje osobiste uwagi na temat możliwości, jakie zaoferował Ci polemarcha, wierzący w Twój potencjał zostania jednym z wielkich admirałów MF. Wchodzisz w to? Czy nie? Tak czy inaczej, w ciągu tygodnia muszę przygotować dokumenty.

Twój przyjaciel Cham

Ender wiedział, że mianowanie go nominalnym gubernatorem kolonii to marny żart. Zanim dotrze na miejsce, kolonia będzie już funkcjonować, będzie miała własnych wybranych przywódców. A on będzie trzynastolatkiem - no, do tego czasu piętnastolatkiem - którego jedyną zasługą jest fakt, że czterdzieści lat wcześniej dowodził dziadkami kolonistów, w najlepszym razie ich rodzicami, podczas wojny, będącej dla nich epizodem z historii starożytnej.

Będą połączeni ścisłymi więzami w zamkniętą społeczność i to szaleństwo ze strony MF, by wysłać im jakiegokolwiek gubernatora, a co dopiero nastolatka.

Szybko jednak się przekonają, że jeśli nikt nie zechce jego rządów, Ender pogodzi się z tym bez oporów. Zależało mu tylko na tym, by dostać się na planetę formidów i zobaczyć, co po sobie zostawili.

Ciała, które niedawno poddano sekcji, przez ten czas ulegną rozkładowi, ale koloniści w żaden sposób nie zdołają zasiedlić ani nawet zbadać więcej niż drobnego ułamka pozostawionych przez cywilizację formidów budowli i artefaktów. Rządzenie kolonią byłoby kłopotliwe - Ender chciał się tylko przekonać,

czy w jakiś sposób zdoła zrozumieć nieprzyjaciół, których pokochał i unicestwił.

Mimo to musiał się zachowywać, jakby przygotowywał się do objęcia stanowiska. Uczestniczył na przykład w sesjach szkoleniowych z ekspertami prawa, którzy nakreślili ramy narzucanej wszystkim koloniom konstytucji. I chociaż Endera niespecjalnie to obchodziło, nie mógł nie zauważyć, że twórcy starali się uwzględnić wszystkie nadesłane raporty żołnierzy zmienionych w osadników. Właściwie powinien się tego spodziewać. Wszystko, co robił Graff albo do robienia czego się przyczyniał, było robione dobrze.

Były też jeszcze mniej istotne lekcje z budowy statków kosmicznych. Czemu Endera miałoby to interesować? Nigdy nie miał służyć w regularnej flocie. Nie zamierzał dowodzić żadną jednostką.

Trzeciego dnia zwiedzania statku, który miał zabrać jego i kolonistów, był już tak znudzony zaadaptowaną na potrzeby lotów kosmicznych sztuczną żeglarską terminologią, że zaczął rzucać sarkastyczne uwagi. Na szczęście nie wypowiadał ich głośno, jedynie w myślach. Czy mamy szorować pokład, żeglarzu? Czy bosman wzywa nas piszczalką? Jak ostro chodzi na wiatr?

- Wie pan, sir - powiedział kapitan, który dzisiaj pełnił dyżur przy Enderze - prawdziwą barierą dla lotów międzygwiazdnych nie jest tylko osiągnięcie prędkości światła. Chodzi przede wszystkim o rozwiązanie problemu kolizji.

- Chce pan powiedzieć, że mając do dyspozycji cały kosmos... - Po drwiącym uśmieszku kapitana Ender poznał, że wpadł w jego pułapkę. - Ach, ma pan na myśli kolizje z kosmicznymi śmieciami.

- Wszystkie te stare widy, pokazujące statki przemykające przez chmury asteroid... nie myliły się tak bardzo. Bo przy locie

z prędkością bliską prędkości światła nawet trafienie w molekułę wodoru wyzwala wielkie ilości energii. Jak zderzenie z wielką skałą przy locie o wiele wolniejszym. Rozrywa na kawałki. Wszystkie systemy ekranowania, jakie opracowali nasi przodkowie, wymagały tak wielkiej dodatkowej masy albo zużywały tyle energii, a więc paliwa, że zwyczajnie nie były praktyczne. Dostawaliśmy tak wielką masę, że nie dało się zabrać dość paliwa, by dokądkolwiek dolecieć.

- Więc jak w końcu to rozwiązaliśmy? - spytał Ender.

- Otóż wcale - odparł kapitan.

I znowu Ender się zorientował, że to tradycyjny żart, jaki robi się nowicjuszom, dał więc oficerowi satysfakcję zademonstrowania swojej wiedzy.

- Więc jak przelatujemy od gwiazdy do gwiazdy? - zapytał, zamiast od razu powiedzieć: Ach, czyli to technologia formidów...

- Formidzi to za nas zrobili - oświadczył z satysfakcją kapitan. - Kiedy tutaj przylecieli, owszem, zniszczyli część Chin i prawie nas załatwili w pierwszych dwóch wojnach. Ale też nas uczyli. Sam fakt, że tutaj dotarli, był dowodem, że to możliwe. A potem bardzo uprzejmie zostawili za sobą dziesiątki działających statków, żebyśmy mogli je badać.

Tymczasem przeprowadził Endera przez kilka wrót, których otworzenie wymagało najwyższego poziomu dostępu. Znaleźli się już na dziobie.

- Nie każdy to ogląda, ale powiedziano mi, że ma pan zobaczyć wszystko.

Było z krystalicznej substancji i jajowate w kształcie, z wyjątkiem tylnej części, gdzie zwężało się w ostry szpic.

- Proszę, niech mi pan nie mówi, że to jajo - powiedział Ender.

Kapitan parsknął śmiechem.

- Proszę nikomu nie powtarzać, ale silniki tego statku i całe nasze paliwo służą tylko do manewrów w pobliżu planet, księżyców i różnych takich. I do rozpędzania statku. Kiedy osiągamy jeden procent prędkości światła, włączamy to maleństwo i od tego momentu trzeba tylko kontrolować natężenie i kierunek.

- Czego?

- Pola napędu. To było takie eleganckie rozwiązanie, ale nie odkryliśmy wtedy nawet dziedziny nauki, która by nas do tego doprowadziła.

- A co to za dziedzina?

- Dynamika pól silnych oddziaływań. Kiedy się o nich wspomina, prawie zawsze się mówi, że pole silnych oddziaływań rozrywa molekuly, ale to nie jest cała historia. Tak naprawdę zmienia ono kierunek silnych oddziaływań. Molekuly nie mogą się utrzymać, kiedy jądra wszystkich składowych atomów nagle preferują pewien szczególny kierunek ruchu z prędkością światła.

Ender wiedział, że kapitan umyślnie używa technicznych określeń, ale miał już dość tej zabawy.

- Mówi pan, że pole generowane przez to urządzenie przechwytywa molekuly i obiekty, z którymi się zderzy w ruchu, i wykorzystuje silne oddziaływania jądrowe, by zmusić te obiekty do ruchu w tym samym kierunku z prędkością światła.

- *Touché* - uśmiechnął się kapitan. - Ale jest pan admirałem, sir, więc powiedziałem to, co zwykle mówię wszystkim admirałom. - Mrugnął porozumiewawczo. - Większość nie ma pojęcia, o czym mowa, a są zbyt nadęci, żeby poprosić o tłumaczenie.

- Co się dzieje z energią z rozpadu molekuł na atomy składowe? - spytał Ender.

- To właśnie ona napędza statek, sir. Nie, powiem bardziej

szczegółowo. To jest to, co realnie porusza statkiem. Piękne rozwiązanie. Ruszamy na raketowych, potem wyłączamy silniki... nie możemy przecież generować własnych molekuł... i uruchamiamy jajo. Tak, nazywamy je jajem. Pojawia się pole, ukształtowane dokładnie jak ta kryształowa bryła. Przednia powierzchnia zaczyna zderzać się z molekułami i je rozbijać. Atomy przepływają wzdłuż pola i są wyrzucane tym kolcem z tyłu, dając nam gigantyczny ciąg. Rozmawiałem z fizykami, którzy nadal tego nie chwytają. Twierdzą, że w wiązaniach cząsteczkowych nie ma dość zmagazynowanej energii, by uzyskać taki ciąg. Wysuwają różne teorie na temat tego, skąd się bierze ta dodatkowa energia.

- I wszystko to mamy od formidów.

- Zdarzył się jeden okropny wypadek, kiedy pierwszy raz włączyliśmy jedno z nich. Oczywiście nie używali ich wewnątrz systemu planetarnego. Ale jeden z naszych krążowników zwyczajnie zniknął, bo był zadokowany obok statku formidów, kiedy uruchomili jajo. Puff... Wszystkie molekuły krążownika, w tym cała najbardziej pechowa załoga w historii, zostały wessane do pola, potem wyplute z tyłu, a statek formidów przeleciał jak pocisk przez pół Układu Słonecznego.

- Czy nie zabiło to także ludzi na tym statku? Taki gwałtowny skok...

- Nie. Bo działał system antygravitacyjny formidów... technicznie raczej antyinercyjny. Też zasilany reakcjami jaja. To całkiem tak, jakby wszystkie cząsteczki w kosmosie istniały tylko po to, żeby stanowić tanie paliwo dla naszych statków i wszystkiego, co się na nich znajdzie. No, w każdym razie antygrav skompensował skok i jedynym problemem był kontakt z dowództwem MF, żeby im powiedzieć, co się stało. Bez krążownika nie mieli żadnej łączności oprócz krótkodystansowego radia.

Kapitan opowiadał dalej, w jaki sprytny sposób ludzie na statku zwrócili uwagę ratowników, ale Ender myślał o czymś innym - czymś tak wstrząsającym, że zakręciło mu się w głowie.

Jajo, generator pola silnych oddziaływań, było najwyraźniej podstawą systemu destrukcji molekularnej. To, co właśnie opisał kapitan, to reakcja wzbudzana przez ten system, Małego Doktora, użyty przez Endera do zniszczenia macierzystej planety formidów i zabicia wszystkich królowych kopców.

Wierzył, że ludzie sami opracowali tę technikę, ale najwyraźniej opierała się na konstrukcji formidów. Wystarczyło usunąć układy kontrolujące kształt pola, a powstawało takie, które przeżuwało wszystko na swej drodze i wypluwało nagie atomy. Pole podtrzymywane energią, jaką samo generuje dzięki zabawom z silnymi oddziaływaniami jądrowymi.

Pożeracz planet...

Formidzi musieli je rozpoznać, kiedy Ender użył go po raz pierwszy. Nie było dla nich tajemnicą - natychmiast zrozumieli, że to prymitywne zastosowanie w uzbrojeniu zasady zasilania każdego ich statku gwiazdowego.

Pomiędzy pierwszą bitwą a ostatnią formidzi mieli dość czasu, by zrobić to samo - przerobić na broń generatory pola silnych oddziaływań i jej użyć, zanim ich macierzysta planeta znalazła się w zasięgu ludzi.

Doskonale wiedzieli, co to za broń. Kiedy tylko zechcieli, mogli zbudować taką samą. Ale tego nie zrobili. Po prostu siedzieli tam i czekali na Endera.

Dali nam napęd, którego użyliśmy, żeby do nich dotrzeć, i broń, której użyliśmy, żeby ich zabić. Dali nam wszystko.

My, ludzie, jesteśmy podobno tacy sprytni. Tacy pomysłowi. Ale to było całkiem poza naszym zasięgiem. My budujemy pulpity ze sprytnymi holodisplayami, na których możemy uruchamiać zabawne gry. I jeszcze wysyłać sobie listy na

wielkie odległości. A w porównaniu z nimi nie potrafiliśmy nawet porządnie zabijać. Za to oni wiedzieli - i postanowili nie wykorzystywać w taki sposób swojej technologii.

- No cóż, ta część zwiedzania zwykle nudzi gości - stwierdził kapitan.

- Nie, wcale się nie nudziłem. Naprawdę. Myślałem tylko.

- O czym?

- O sprawach zbyt tajnych, żeby o nich mówić jakkolwiek metodą oprócz telepatii - odparł Ender.

Co było prawdą - o istnieniu systemu DM wiedzieli ci, którzy musieli; tajemnica była dobrze strzeżona. Nawet ludzie, którzy używali tej broni, nie wiedzieli, czym jest i co potrafi. Żołnierze, którzy widzieli, jak Mały Doktor pochłania planetę, zginęli wciągnięci w tę samą potężną reakcję łańcuchową. Żołnierze, którzy widzieli działanie broni w którejś z wcześniejszych bitew, myśleli, że to po prostu ogromna bomba. Jedynie najwyższe dowództwo znało sekret - i Ender, ponieważ Mazer Rackham uparł się, że musi wiedzieć, jaką bronią naprawdę dysponuje i jak ona działa. Mazer opowiadał: „Powiedziałem Graffowi, że nie daje się człowiekowi torby z narzędziami, nie tłumacząc, czym są, do czego służą i jak mogą się zepsuć”.

Znowu Graff. Graff, który uznał, że Mazer ma rację, więc pozwolił ujawnić Enderowi, czym są i do czego służą.

Rzeź formidów... cała jest tutaj, w tym jaju.

- Znowu pan się zamyślił, sir - zauważył kapitan.

- Uświadomiłem sobie, jakim cudem są loty międzygwiazdne. Cokolwiek myślimy o robalach, to one otworzyły nam drogę do gwiazd.

- Wiem. Zastanawiałem się nad tym już wcześniej. Gdyby po prostu ominęły Układ Słoneczny, zamiast wlatywać tu i próbować wytrzeć Ziemię do czysta, nawet byśmy nie wiedzieli, że istnieją. A przy naszym poziomie techniki pewnie jeszcze

bardzo długo nie dotarlibyśmy do ich gwiazd. I wtedy byśmy odkryli, że wszystkie bliskie planety są całkiem zajęte przez formidów.

- Kapitanie, to była cenna i bardzo pożyteczna wycieczka.

- Wiem. Jak inaczej nauczyłyby się pan znajdować toaletę na każdym pokładzie?

Ender roześmiał się z tego żartu. Po części dlatego, że to była prawda. Będzie musiał odwiedzać toaletę kilka razy dziennie przez całą podróż.

- Zakładam, że czas lotu spędzi pan, czuwając? - spytał kapitan.

- Nie chciałbym stracić widoków.

- Nie będzie żadnych widoków, bo przy prędkości światła... ach, to żart. Przepraszam, sir.

- Muszę popracować nad swoim poczuciem humoru, skoro moje żarty zmuszają ludzi do przeprosin.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale nie mówi pan jak chłopiec.

- A czy mówię jak admirał? - spytał Ender.

- Ponieważ jest pan admirałem, jakkolwiek by pan mówił, będzie pan mówił jak admirał, sir - odparł kapitan.

- Bardzo czujnie wymijająca odpowiedź, kapitanie. Proszę powiedzieć: leci pan ze mną w ten rejs?

- Mam rodzinę na Ziemi, sir, a moja żona nie chce żyć w kolonii na innej planecie. Obawiam się, że brak jej pionierskiego ducha.

- Ma pan tu życie. To dobry powód, żeby zostać w domu.

- Ale pan leci - zauważył kapitan.

- Muszę zobaczyć ojczyznę formidów - odparł Ender. - Albo coś zbliżonego, skoro ich macierzysta planeta już nie istnieje.

- Z czego jestem bardzo zadowolony - oświadczył kapitan. - Gdyby nie wykasował ich pan na dobre, sir, przez najbliższe dziesięć tysięcy lat ludzkiej historii musielibyśmy bez przerwy

ogłądać się przez ramię.

Było w tych słowach coś istotnego... Ender pochwycił to, ale natychmiast się wysliznęło. Coś o tym, jak myślały królowe kopców. Przyczyna, dla której pozwoliły się zabić.

Jeśli to prawda, pomyślę o tym znowu.

Miał nadzieję, że ten optymizm okaże się uzasadniony.

Kiedy wszystkie pokazy i szkolenia Endera dobiegły końca, mógł się wreszcie spotkać z ministrem kolonizacji.

- Proszę, nie nazywaj mnie pułkownikiem - powiedział Graff.

- Nie mogę pana nazywać MinKol.

- Formalnie do ministra Hegemonii zwracamy się „wasza ekscelencjo”.

- Na poważnie?

- Czasami. Ale my jesteśmy kolegami, Ender. Ja zwracam się do ciebie po imieniu. Ty też byś mógł.

- Nigdy w życiu. Jest pan dla mnie pułkownikiem Graffem i to się nigdy nie zmieni.

- Nieważne - uznał Graff. - Będę martwy, zanim dolecisz do celu.

- To niesprawiedliwe. Niech pan leci z nami.

- Muszę zostać tutaj, żeby zakończyć swoją pracę.

- Moja praca jest już wykonana.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Wykonałeś pracę, którą my dla ciebie mieliśmy. Ale nie masz pojęcia, jakie będą twoje własne zadania.

- Wiem, że nie będzie wśród nich zarządzania kolonią, sir.

- A jednak przyjąłeś to stanowisko.

Ender pokręcił głową.

- Przyjąłem tytuł. Kiedy znajdę się w kolonii, dopiero wtedy się przekonamy, czy będę gubernatorem. Konstytucja, jaką stworzyliście, jest dobra, ale prawdziwa konstytucja zawsze jest

taka sama: przywódca ma tylko tyle władzy, ile dadzą mu jego podwładni.

- Mimo to nie chcesz spędzić rejsu w stazie.

- To tylko dwa lata - odparł Ender. - Kiedy tam dotrzemy, będę miał piętnaście. Liczę, że trochę urosnę.

- Mam nadzieję, że zabierasz dość książek do czytania.

- Umieścili dla mnie kilka tysięcy tytułów w bibliotece statku. Ale jest bardzo ważne, żeby ansiblem przekazywał mi pan wszelkie informacje o formidach, jakie nadejdą w czasie naszego lotu.

- Naturalnie - zapewnił Graff. - Będą przesyłane do wszystkich statków.

Ender milczał.

- No dobrze, oczywiście, prześlę je też bezpośrednio do ciebie. A co, podejrzewasz, że dowódca statku spróbuje kontrolować twój dostęp do informacji?

- Gdyby pan był na jego miejscu, postąpiłby pan inaczej?

- Nigdy nie próbowałbym cię kontrolować wbrew twojej woli.

- Tym się pan zajmował przez ostatnie sześć lat.

- Stałem za to przed sądem, przypominam.

- I za karę dostał pan stanowisko, na którym zależało panu od początku. Pomyślmy. Minister kolonizacji nie lata na Ziemię, więc nie znajdzie się pod władzą hegemonia. Siedzi w przestrzeni, przyjemnie ulokowany w Międzynarodowej Flocie. Więc nawet jeśli zmienią hegemonia, pana to nie dotyczy. A jeśli pana zwolnią...

- Nie zwolnią - stwierdził Graff.

- Taki jest pan pewny?

- To nie jest przepowiednia, tylko intencja.

- Naprawdę jest pan niezwykłym człowiekiem, sir - przyznał Ender.

- Wracając do tej wykonanej pracy... Słyszałeś, że

Demostenes się wycofał?

- Ten gość w sieciach?

- Nie chodziło mi o greckiego autora filipik.

- Nie bardzo mnie to interesuje - stwierdził Ender. - To tylko sieci.

- Sieci, a zwłaszcza elaboraty tego podżegacza, były miejscem, gdzie toczyła się bitwa. I ty przegrałeś.

- Kto twierdzi, że przegrałem?

- *Touché*. Ale chodzi mi o to, że osoba ukrywająca się pod tym pseudonimem jest w rzeczywistości młodsza, niż większość czytelników sobie wyobraża. A więc to przejście w stan spoczynku nie wynika z wieku. Wynika z porzucenia domu. Opuszczenia Ziemi.

- Demostenes staje się kolonistą?

- Dziwna decyzja, prawda? - spytał Graff takim tonem, jakby wcale go nie dziwiła.

- Proszę mi tylko nie mówić, że leci na moim statku.

- Formalnie rzecz biorąc, to statek admirała Morgana. Przejmujesz rządy dopiero w chwili, kiedy postawisz stopę na gruncie swojej kolonii. Takie jest prawo.

- Wymijająca odpowiedź, jak zwykle.

- Tak, Demostenes będzie na twoim statku. Ale oczywiście nikt nie będzie używał tego imienia.

- Unika pan użycia męskiego zaimka. Jakiegokolwiek zaimka - zauważył Ender. - A zatem Demostenes jest kobietą.

- I nie może się doczekać spotkania z tobą.

Ender zgarbił się na krześle.

- Proszę, sir...

- To nie jest twoja typowa wielbicielka. A że także postanowiła nie korzystać ze stazy w czasie lotu, lepiej chyba, żebyś był przygotowany i spotkał się z nią wcześniej.

- Kiedy przyleci?

- Jest tutaj.
- Na Erosie?
- W mojej przytulnej poczekalni - oznajmił Graff.
- Chce pan, żebym się z nią spotkał teraz? Panie pułkowniku, przecież nie podobało się panu nic, co napisała. Ani rezultat.

- Musisz jej oddać sprawiedliwość. Na długo przedtem, nim ktoś potraktował to zagrożenie poważnie, ostrzegła świat, że Układ Warszawski spróbuje przejąć flotę.

- Ale też krakała, jak to Ameryka mogłaby podbić świat, kiedy już będzie miała mnie.

- Możesz ją o to zapytać.

- Nie mam zamiaru.

- Pozwól, że wyjawię ci jedną prostą prawdę. We wszystkim, co pisała o tobie, Ender, jej jedyną troską było uchronienie ciebie przed tym, co robiliby ludzie, żeby cię wykorzystać albo usunąć, gdybyś tylko postawił nogę na Ziemi.

- Jakoś bym sobie poradził.

- Nigdy się nie dowiemy, prawda?

- Znam pana, sir, i właśnie pan powiedział, że stał pan za tym wszystkim. Za trzymaniem mnie z dala od Ziemi.

- Nie, wcale nie - zapewnił Graff. - Ale nie przeszkadzałem, to fakt.

Ender miał ochotę się rozplakać - z czystego moralnego wyczerpania.

- Bo wie pan lepiej ode mnie, co jest dla mnie najlepsze.

- W tym przypadku, Ender, uważam, że poradziłbyś sobie z każdym wyzwaniem, z jakim byś się spotkał. Oprócz jednego. Twój brat, Peter, postanowił rządzić światem. Zostałbyś albo jego narzędziem, albo wrogiem. Co byś wybrał?

- Peter? - zdziwił się Ender. - Myśli pan, że naprawdę miałby szansę?

- Dotąd radził sobie znakomicie... jak na nastolatka.
- Teraz ma już chyba dwadzieścia lat? Nie, chyba jeszcze siedemnaście... Albo osiemnaście.

- Nie śledzę urodzin twoich krewnych - oświadczył Graff.
- Jeśli tak dobrze mu idzie, to czemu o nim nie słyszałem?
- Och, słyszałeś.

To znaczy, że Peter używa pseudonimu. Ender szybko przywołał w pamięci listę sieciowych osobowości, które można by uznać za bliskie jakiegoś rodzaju władzy nad światem. I kiedy zrozumiał, westchnął.

- Peter to Locke.
- A zatem, mądralo, kim jest Demostenes?

Ender się rozpłakał. Tak po prostu. Nawet nie wiedział, że płacze, dopóki policzków nie miał całkiem mokrych i nic nie widział przez łzy.

- Valentine... - szepnął.
- Teraz wyjdę z gabinetu i pozwolę wam obojgu porozmawiać
- rzekł Graff.

I kiedy wychodził, zostawił drzwi otwarte. A potem weszła ona.

Rozdział. 5

To: imo%testadmin@colmin.gov

From: hgraff%mincol@heg.gov

Subject: Po co są testy?

Drogi Imo,

Długo się zastanawiałem nad naszą rozmową i sędzę, że możesz mieć rację. Miałem taki nierozsądny pomysł, że powinniśmy szukać pożądanych i użytecznych cech, aby wysyłać do kolonii idealnie zbilansowane zespoły. Ale nie mamy takiego tłumu ochotników, więc nie stać nas na wybrzydzenie. A jak uczy nas historia, kiedy kolonizacja jest dobrowolna, ludzie sami doborą się lepiej niż dowolny system testów.

To jak te głupie próby kontrolowania imigracji do Ameryki w oparciu o cechy, które uznano za pożądane, podczas gdy w rzeczywistości jedyną historyczną charakterystyką określającą Amerykanina jest: „pochodzący od kogoś, kto skłonny był zrezygnować ze wszystkiego, żeby tu zamieszkać”. I nie będziemy zagłębiać się w to, jak dobierano kolonistów australijskich.

Chęć lotu to najważniejszy test, jak powiedziałaś. Ale to znaczy, że wszystkie pozostałe są... czym? Nie są bezużyteczne, jak sugerujesz. Wręcz przeciwnie. Uważam, że wyniki testów to wartościowy materiał. Nawet jeśli wszyscy koloniści są szaleni, to czy gubernator nie powinien dostać solidnego dossier na temat szczególnego typu szaleństwa każdego z nich?

Wiem, że nie przepuszczasz nikogo, kto do zachowania funkcjonalnej normalności wymaga leków. Ani też wykrytych narkomanów, alkoholików i socjopatów, ludzi z chorobami genetycznymi i tak dalej. Co do tego zawsze się zgadzaliśmy, by uniknąć przeciążenia kolonii. W ciągu kilku pokoleń dorobią się własnych odchyłeń genetycznych i psychicznych, lecz na razie dajmy im chwilę oddechu.

Co do rodziny, o którą pytałaś, tej planującej wydanie córki za gubernatora - z pewnością zgodzisz się ze mną, że w długiej historii motywów wyjazdu do odległych kolonii małżeństwo należy do najszlachetniejszych i najbardziej społecznie produktywnych.

Hyrum

- Wiesz, co dzisiaj zrobiłam, Alessandro?

- Nie, mammo.

Czternastoletnia Alessandra odłożyła plecak z książkami przy drzwiach wejściowych i przeszła obok matki do zlewu, gdzie nalała sobie szklanekę wody.

- Zgadnij!

- Załatwiłaś, żeby znowu włączyli nam prąd?

- Elfy nie chciały ze mną rozmawiać - poskarżyła się mama.

Kiedyś to udawanie, że prąd pochodzi od elfów, było zabawne. Ale teraz przestało śmieszyć - w parne lato nad Adriatykiem, bez lodówki na jedzenie, bez klimatyzacji i bez widów, które odwracałyby uwagę od upału.

- W takim razie nie wiem, co zrobiłaś, mammo.

- Zmieniłam nasze życie - oznajmiła mama. - Stworzyłam dla nas przyszłość.

Alessandra znieruchomiała i odmówiła bezgłośnie modlitwę. Dawno już straciła nadzieję, by któraś z jej modlitw została wysłuchana, uważała jednak, że każda pozostawiona bez odpowiedzi będzie kolejnym punktem na liście pretensji, jakie przedstawi Bogu, jeśli tylko nadarzy się okazja.

- A jaka to przyszłość, mammo?

Mama ledwie mogła się powstrzymać.

- Zostaniemy kolonistkami!

Alessandra odetchnęła z ulgą. Słyszała już o Projekcie Rozproszenie w szkole. Teraz, po zniszczeniu formidów, chodziło o to, żeby ludzie skolonizowali ich dawne światy, by los ludzkości nie był już związany z losem jednej tylko planety. Jednak kolonistom stawiano ostre warunki. Nie istnieje możliwość, by przyjęto osobę tak niestabilną i nieodpowiedzialną - nie, mówiąc wprost: nieodpowiedzialną i zwariowaną - jak mama.

- To cudownie, mammo.

- Jakoś nie wydajesz się podniecona.

- Akceptacja podania wymaga długiego czasu. Dlaczego mieliby nas zabrać? Na czym się znamy?

- Jesteś taką pesymistką, Alessandro! Nie będziesz miała żadnej przyszłości, jeśli zaczniesz się krzywić na wszystko, co nowe. - Mama tańczyła wokół niej, trzymając przed sobą trzepoczący arkusik papieru. - Złożyłam podania wiele miesięcy temu, kochana. Dzisiaj dostałam wiadomość, że nas przyjęto.

- I przez całe miesiące nic o tym nie mówiłaś?

- Potrafię dochować tajemnicy - zapewniła mama. - Mam bardzo wiele tajemnic. Ale to żadna z nich; ten kawałek papieru mówi, że wyruszamy do nowego świata i na tym świecie nie będziesz już częścią prześladowanej nadwyżki, ale będziesz potrzebna, a twoje talenty i uroki zauważone i podziwiane.

Jej talenty i uroki... W *coleggio* nikt ich jakoś nie zauważał. Była tylko jeszcze jedną niezdarną dziewczyną o zbyt długich rękach i nogach, która siedziała z tyłu, odrabiała zadania i starała się nie zwracać na siebie uwagi. Tylko mama uważała Alessandrę za jakąś niezwykłą, magiczną istotę.

- Mogę przeczytać to pismo? - spytała Alessandra.

- Czemu? Nie wierzysz mi? - Mama odtańczyła od niej z listem.

Alessandra była zbyt zgrzana i zmęczona, by ciągnąć tę zabawę. Nie goniła mamy.

- Oczywiście, że ci nie wierzę.

- W ogóle nie można dziś z tobą pożartować, Alessandro.

- Nawet jeśli to prawda, to okropny pomysł. Powinnaś mnie zapytać. Czy wiesz, jak będzie wyglądało życie kolonistów? Będą pracować na polach jako farmerzy.

- Nie bądź głuptasem. Mają do tego maszyny.

- I nie wiadomo, czy mogą jeść miejscową roślinność. Kiedy formidzi pierwszy raz zaatakowali Ziemię, po prostu usunęli wszystkie rośliny w tej części Chin, w której wylądowali. Nie

planowali jeść niczego, co rosło tam naturalnie. Nie wiemy, czy nasza roślinność może rosnąć na ich planetach. Wszyscy koloniści mogą umrzeć.

- Ci, co przeżyli z floty, która pokonała formidów, z pewnością rozwiążą już te problemy, zanim dolecimy na miejsce.

- Mamo, ja nie chcę lecieć - tłumaczyła cierpliwie Alessandra.

- Bo te martwe dusze w szkole przekonały cię, że jesteś zwyczajnym dzieckiem. A to nieprawda. Jesteś magiczna. Musisz opuścić ten świat, pełen brudu i nieszczęść, i wyruszyć do zielonej krainy pełnej pradawnych mocy. Będziemy mieszkały w jaskiniach martwych ogrów, będziemy zbierać żniwa z pól, które kiedyś do nich należały. A w chłodne wieczory, w sukni trzepoczącej na słodkich podmuchach wiatru, będziesz tańczyła z młodzieńcami, którym zachwyty nad twoją urodą i wdziękiem odbierze dech w piersiach.

- A gdzie niby znajdziemy takich młodzieńców?

- Zobaczysz - oświadczyła mama. A potem zaśpiewała te słowa: - Zobaczysz! Zobaczysz! Wspaniały młody człowiek z widokami na przyszłość odda ci swoje serce.

Wreszcie kartka papieru zatrzepotała tak blisko, że Alessandra zdążyła wyrwać ją mamie z ręki. Przeczytała, a mama stała tuż za nią ze swym uśmiechem wróżki.

Był prawdziwy. „Dorabella Toscano (29) z córką Alessandrą Toscano (14) zostały zakwalifikowane do Kolonii 1”.

- Najwyraźniej nie mają tam żadnych testów psychologicznych - stwierdziła Alessandra.

- Chcesz mnie urazić, ale matka wie, co jest dla ciebie najlepsze. Nie popełnisz tych błędów, które ja popełniłam.

- Nie, ale będę za nie płacić.

- Pomyśl chwilę, moja ukochana, prześliczna, inteligentna,

pełna wdzięku, łagodna, wielkoduszna i nadąsana córko. Zastanów się, na co możesz liczyć tutaj, w Monopoli, we Włoszech, żyjąc w mieszkaniu na niemodnym końcu via Luigi Indelli?

- Luigi Indelli nie ma modnego końca.
- Sama to powiedziałaś.
- Mamo, ja nie marzę o poślubieniu księcia i odjechaniu z nim w stronę zachodzącego słońca.
- No i dobrze, kochanie, bo nie ma żadnych książąt. Są tylko mężczyźni i zwierzęta, które udają mężczyzn. Ja wysłałam za jednego z tych drugich, ale przynajmniej dał ci geny tych pięknych kości policzkowych, tego olśniewającego uśmiechu... Twój ojciec miał bardzo ładne zęby.
- Gdyby tylko był bardziej uważnym rowerzystą...
- To nie była jego wina, skarbie.
- Tramwaje jeżdżą po szynach, mamo. Nie mogą przejechać nikogo, kto unika jazdy między torami.
- Twój ojciec nie był geniuszem, ale na szczęście ja jestem, więc masz w sobie krew wrózek.
- Kto by przypuszczał, że wróżki tak bardzo się pocażą? - Alessandra odsunęła mamie z twarzy mokry kosmyk. - Och, mamo, nie będzie nam dobrze w kolonii. Proszę, nie rób tego.
- Lot trwa czterdzieści lat. Byłam u sąsiadów i sprawdziłam w sieci.
- Czy tym razem spytałaś ich o pozwolenie?
- Oczywiście, teraz już zamykają okna. Kiedy się dowiedzieli, że zostaniemy kolonistkami, byli zachwyceni.
- Nie wątpię.
- Ale dzięki magii dla nas miną tylko dwa lata.
- Wskutek efektów relatywistycznych lotu z prędkością bliską prędkości światła.
- Co za geniusz z tej mojej córki! I nawet te dwa lata możemy

przespać, więc się nie zestarzejemy.

- Bardzo.

- Będzie tak, jakby nasze ciała przespały tydzień i obudzimy się czterdzieści lat stąd.

- I wszyscy, których znałyśmy na Ziemi, będą o czterdzieści lat starsi.

- Nie, będą martwi! - zaśpiewała mama. - W tym ta przerażająca wiedźma, moja matka. Wyrzekła się mnie, kiedy wyszłam za człowieka, którego kochałam, a zatem nigdy nie dotknie mojej ukochanej córki.

Melodia tego refrenu zawsze brzmiała radośnie. Alessandra nigdy nie spotkała babci, teraz jednak przyszło jej do głowy, że może ona zdoła uratować ją od kolonii.

- Nie lecę, mamó.

- Jesteś nieletnim dzieckiem i musisz lecieć ze mną, tralala.

- Jesteś obłąkana i raczej wystąpię do sądu o usamodzielnienie, niż z tobą polecę.

- Lepiej to sobie przemyśl, bo ja wyruszę nawet bez ciebie, a jeśli ci się wydaje, że życie ze mną jest ciężkie, to się przekonasz, jakie będzie beze mnie.

- Tak, może się przekonam - odparła Alessandra. - Pozwól mi się spotkać z babcią.

Mama popatrzyła groźnie, lecz Alessandra brnęła dalej.

- Pozwól mi z nią zamieszkać. A ty leć do kolonii.

- Nie ma żadnego powodu, żebym ja leciała do kolonii, kochanie. Robię to dla ciebie. A zatem bez ciebie nie polecę.

- No to nie lecimy. Zawiadom ich.

- Obie lecimy i jesteśmy tym zachwycone.

Mogła spokojnie zejść z tej karuzeli; mamie nie przeszkadzało powtarzanie w nieskończoność tych samych argumentów, jednak Alessandrze się to znudziło.

- Co musiałaś im nakłamać, żeby cię przyjęli?

- Wcale nie kłamałam! - Mama udała, że jest wstrząśnięta tym oskarżeniem. - Musiałam tylko udowodnić swoją tożsamość. Oni sami robią wszystkie badania. Więc jeśli dostają fałszywe informacje, to ich wina. Czy wiesz, dlaczego nas wzięli?

- A ty wiesz? Naprawdę ci powiedzieli?

- Nie trzeba być geniuszem ani nawet wróżką, żeby to odgadnąć. Przyjęli nas, bo obie jesteśmy w odpowiednim wieku i możemy rodzić dzieci.

Alessandra jęknęła z obrzydzeniem, ale mama puszyła się przed wymyślonym lustrem.

- Ciągłe jestem młoda - stwierdziła. - A ty właśnie rozkwitasz do kobiecości. Są tam młodzi mężczyźni z floty, którzy nie znaleźli sobie żon. Niecierpliwie na nas czekają. Wezmę sobie za męża jakiegoś gorliwego sześćdziesięciolatka, urodzę mu dzieci, a potem on umrze. Jestem przyzwyczajona do wdowieństwa. Ale ty... ty będziesz prawdziwym trofeum dla każdego młodego człowieka, który cię poślubi. Będziesz skarbem.

- Raczej moja macica będzie - odparła Alessandra. - Masz rację, na pewno właśnie tak pomyśleli. Założę się, że przyjmują praktycznie każdą zdrową kobietę, która się zgłosi.

- My, wróżki, zawsze jesteśmy zdrowe.

To była prawda. Alessandra nie pamiętała żadnej swojej choroby - z wyjątkiem zatrucia, kiedy mama się uparła, żeby zjadły na kolację dania z wózka ulicznego sprzedawcy pod koniec bardzo gorącego dnia.

- Posyłają stado kobiet. Jak krowy.

- Jesteś krową, tylko jeśli tak postanowisz. Jedyne pytanie, na jakie teraz muszę odpowiedzieć, to czy chcemy spać przez całą drogę i obudzić się tuż przed lądowaniem, czy też czuwać przez te dwa lata, odbywać szkolenie i zyskiwać umiejętności, żebyśmy były produktywne w tej pierwszej fali kolonistów.

Alessandra była zaskoczona.

- Naprawdę przeczytałaś dokumentację?

- To najważniejsza decyzja naszego życia, kochana Alesso. Jestem nadzwyczaj ostrożna.

- Gdybyś czytała rachunki za elektryczność...

- Nie były interesujące. Mówiły tylko o naszym ubóstwie. Teraz widzę, że Bóg przygotowywał nas do życia w świecie bez klimatyzacji, widów ani sieci. W świecie natury. My, siostry elfów, urodziłyśmy się dla natury. Przyjdiesz na tańce, swoją magiczną gracją oczarujesz królewskiego syna i królewski syn będzie tańczył z tobą, aż zakocha się tak, że serce mu pęknie dla ciebie. Wtedy ty będziesz mogła postanowić, czy akurat jego wybierzesz.

- Wątpię, czy będzie tam król.

- Ale będzie gubernator. I inni wysocy urzędnicy. I młodzi ludzie z widokami na przyszłość. Pomogę ci wybrać.

- Z całą pewnością nie będziesz mi pomagać.

- Równie łatwo można się zakochać w mężczyźnie bogatym, jak w biednym.

- A ty się na tym znasz...

- Znam się lepiej od ciebie, bo już raz zrobiłam to źle. Napływ gorącej krwi do serca to najczarniejsza magia i trzeba nad nią zapanować. Nie wolno ci do tego dopuścić, dopóki nie wybierzesz mężczyzny godnego twojej miłości. A ja pomogę ci wybrać.

Nie warto się spierać. Alessandra już dawno się nauczyła, że kłótnia z matką nie prowadzi do niczego, natomiast ignorowanie jej bywa całkiem skuteczne.

Z wyjątkiem tej sytuacji. Kolonia... Stanowczo czas już poszukać babci. Mieszkała w Polignano a Mare, następnym w miarę dużym miasteczku na adriatyckim wybrzeżu, i tyle właściwie o niej wiedziała. No i matka mamy na pewno nie

nazywa się Toscano. Alessandra musi się poważnie zająć poszukiwaniami.

Tydzień później mama ciągle wracała do kwestii, czy powinny spać w czasie lotu, czy czuwać. Alessandra tymczasem odkrywała właśnie, że jest bardzo wiele informacji, do których nie dopuszcza się dzieci. Szperając po mieszkaniu, znalazła swoje świadectwo urodzenia, ale wymieniało tylko rodziców. Potrzebowała świadectwa urodzenia mamy, a tego nie potrafiła znaleźć.

Urzednicy państwowi ledwie zauważali jej istnienie, a kiedy powiedziała im, o co chodzi, odesłali ją do matki. Dopiero kiedy w końcu pomyślała o kościele, zrobiła jakieś postępy. Co prawda przestały chodzić na msze, kiedy Alessandra była jeszcze mała, ale dyżurny ksiądz pomógł jej odszukać w księgach świadectwo chrztu. Mieli tam zapisanych także rodziców chrzestnych małej Alessandry Toscano, nie tylko biologicznych. Alessandra uznała, że rodzice chrzestni to jej dziadkowie albo znajomi jej dziadków.

W szkole sprawdziła w sieci i odkryła, że Leopoldo i Isabella Santangelo mieszkają w Polignano a Mare, co było dobrym znakiem, ponieważ w tym samym miasteczku żyła też babcia.

Zamiast wracać do domu, skorzystała z karty ucznia, by wsiąść do pociągu do Polignano, a potem przez trzy kwadranse chodziła po ulicach, szukając właściwego adresu. Ku jej rozczarowaniu dom, zaniedbany blok, stał przy krótkiej przecznicy via Antonio Ardito, tuż przy torach tramwajowych. Nie było domofonu, więc Alessandra wspięła się na czwarte piętro i zapukała.

- Jak chcesz pukać, to we własną głowę się puknij! - krzyknęła kobieta ze środka.

- Czy pani Isabella Santangelo?

- Nie, Maryja Dziewica i jestem zajęta odpowiadaniem na modły. Idź stąd!

Alessandra pomyślała: A więc mama kłamała, mówiąc, że jest dzieckiem wrózek. Naprawdę jest młodszą siostrą Jezusa.

Uznała jednak, że taka lekceważąca postawa nie będzie dzisiaj odpowiednia. I tak czekały ją kłopoty, gdyż bez pozwolenia wyjechała z Monopoli i od tej Maryi Dziewicy tutaj musiała się dowiedzieć, czy jest jej babką, czy nie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem córką Dorabelli Toscano i...

Tamta kobieta musiała stać za drzwiami i czekać, bo nagle się otworzyły, zanim Alessandra skończyła zdanie.

- Dorabella Toscano umarła! Jak martwa kobieta może mieć córki?

- Moja mama wcale nie umarła - odparła zaskoczona Alessandra. - W księgach parafialnych jest pani wpisana jako moja matka chrzestna.

- To była najgorsza pomyłka mojego życia. Wyszła za jakiegoś świniarza, tego kuriera rowerowego, kiedy miała ledwie piętnaście lat. I czemu? Bo już jej rosłaś w brzuchu! Uważała, że ślub oczyszcza wszystko i uniewinnia. A potem jej mąż idiota dał się zabić. Mówiłam jej: to dowód, że Bóg istnieje! A teraz idź do diabła!

Drzwi zatrzasnęły się Alessandrze przed nosem.

Dotarła już tak daleko... Babcia na pewno nie chce jej wypędzać. Nie miały nawet czasu, żeby przyjrzeć się trochę sobie nawzajem.

- Ale jestem twoją wnuczką - powiedziała do drzwi.

- Jak mogę mieć wnuczkę, kiedy nie mam córki? Przekaż matce, że zanim przyśle tu swojego niby-bękarta, żeby zebrał przed moimi drzwiami, lepiej niech najpierw przyjdzie sama z przeprosinami.

- Ona odlatuje do kolonii.

Drzwi odskoczyły znowu.

- Chyba do końca zwariowała! - uznała babcia. - Wejdz. Usiądź. Powiedz, jakich narobiła głupstw.

Mieszkanie wydawało się idealnie wysprzątane. Wszystko tutaj było niewiarygodnie tanie, najniższej możliwej jakości, ale było tego dużo - ceramiki, małych obrazków w ramkach... a wszystko odkurzone i wypolerowane. Na sofie i krzesłach leżały takie stosy serwetek, narzutek i przesłodzonych haftowanych poduszek, że nie zostało miejsca, by usiąść. Babcia Isabella niczego nie przesuwiała, więc Alessandra siadła w końcu na szczycie jednego ze stosów poduszek.

Poczuła się nielojalna i dziecinna - zamierzała mówić o mamie niczym szkolny skarżypyta. Spróbowała wyhamować nieco złość.

- Wiem, miała swoje powody, i chyba naprawdę wierzy, że robi to dla mnie...

- Co takiego robi dla ciebie, czego nie chcesz, żeby zrobiła? Nie mam całego dnia!

Kobieta, która wyhaftowała wszystkie te poduszki, miała cały dzień codziennie, lecz Alessandra zachowała tę złośliwą uwagę dla siebie.

- Wpisała nas na statek kolonizacyjny i zostaliśmy zakwalifikowane.

- Statek kolonizacyjny? Nie ma przecież żadnych kolonii. To są teraz osobne kraje. Zresztą Włochy nigdy nie miały prawdziwych kolonii, od czasów rzymskiego imperium. Potem mężczyźni stracili jaja i tyle. Od tego czasu włoscy mężczyźni do niczego się nie nadają. Twój dziadek, niech Bóg zachowa go w ziemi, był całkowitym zerem, nikomu nie umiał się postawić, pozwalał, żeby wszyscy nim rządzą, ale przynajmniej ciężko pracował i utrzymywał mnie i córkę, dopóki niewdzięcznica nie

napluła mi w twarz i nie wyszła za tego rowerzystę. A ten twój ojciec był jeszcze większym zerem. Nigdy nie zarobił ani centa.

- No, przynajmniej odkąd zginął - wtrąciła Alessandra, bardziej niż trochę oburzona.

- Mówię o czasach, kiedy jeszcze żył. Pracował, jak mógł najkrócej! Myślę, że brał narkotyki. Prawdopodobnie byłaś kokainowym dzieckiem.

- Nie wydaje mi się.

- A skąd niby możesz coś wiedzieć? - oburzyła się babcia. - Nie umiałaś wtedy nawet mówić.

Alessandra milczała i czekała.

- No więc? Mów.

- Mówiłam, ale nie chciałaś wierzyć.

- A co takiego powiedziałaś?

- Statek kolonizacyjny. Kosmiczny statek do jednej z planet formidów. Mamy ją badać i zasiedlać.

- Formidzi nie będą się skarżyć?

- Nie ma już formidów, babciu. Wszyscy zginęli.

- Paskudna sprawa, ale trzeba było to załatwić. Gdyby ten chłopak, ten Ender Wiggin, był gdzieś pod ręką, to mam listę innych, którym też przydałaby się solidna eliminacja. A czego ty właściwie chcesz?

- Nie chcę lecieć w kosmos. Z mamą. Ale jestem nieletnia. Gdybyś została moją prawną opiekunką, mogłabym się uniezależnić i nie odlatywać. Takie jest prawo.

- Ja twoją prawną opiekunką?

- Tak. Dbałabyś o mnie i utrzymywała mnie. Mieszkałabym tutaj.

- Wyjdz.

- Co?

- Wstań i wyjdz. Myślisz, że to jest hotel? Gdzie byś spała? Na podłodze, żebym potknęła się o ciebie w nocy i złamała sobie

biodro? Nie ma tu dla ciebie miejsca. Powinnam od razu zgadnąć, że będziesz stawiać żądania. Wynocha!

Nie było co dyskutować. W jednej chwili Alessandra zbiegła już po schodach, wściekła i upokorzona. Ta kobieta była nawet bardziej szalona niż mama.

Nie mam dokąd iść, myślała Alessandra. Z pewnością prawo nie pozwoli matce siłą zabrać mnie w kosmos, prawda? Nie jestem dzieckiem, mam czternaście lat, umiem czytać i pisać. I podejmować racjonalne decyzje.

Gdy pociąg dotarł do Monopoli, nie poszła prosto do domu. Musiała wymyślić jakieś dobre usprawiedliwienie swojego spóźnienia, więc mogła od razu znaleźć takie, które obejmuje trochę więcej czasu. Może biura Projektu Rozproszenie będą jeszcze otwarte...

Nie były. Nie mogła nawet wziąć broszury. Zresztą po co? Wszystko, co ważne, znajdzie w sieci. Czemu nie została po lekcjach w szkole i nie poszukała? Zamiast tego wybrała się z wizytą do babci.

To dowodzi, jakie dobre podejmuje decyzje.

Mama siedziała przy stoliku nad kubkiem czekolady. Uniosła głowę i patrzyła, jak Alessandra zamyka drzwi i odstawia teczkę. Milczała.

- Przepraszam, mam, ale...

- Zanim skłamiesz... - przerwała jej mama. - Czarownica zadzwoniła i wrzeszczała na mnie, zła, że cię przysłałam. Odłożyłam słuchawkę, jak zwykle w końcu robię, a potem wyłączyłam telefon z gniazdka.

- Przykro mi - szepnęła Alessandra.

- Nie przypuszczałaś, że mam powód, by trzymać ją z dala od ciebie?

Z jakiejś przyczyny to pytanie zwarło coś w umyśle Alessandry i zamiast się bronić, wybuchnęła.

- Nieważne, czy miałaś powód! Mogłaś mieć dziesięć milionów powodów, ale o żadnym mi nie powiedziałaś! Chciałaś, żebym słuchała cię na ślepo. Ale ty nie jesteś ślepo posłuszna swojej matce!

- Twoja matka nie jest potworem - stwierdziła mama.

- Istnieje wiele rodzajów potworów. Ty jesteś takim, który fruwa dookoła jak motyl, ale nigdy nie ląduje przy mnie na tak długo, żeby choć zrozumieć, kim jestem.

- Wszystko, co robię, robię dla ciebie.

- Nic nie robisz dla mnie. Wszystko jest dla tego dziecka, które wyobrażasz sobie, że urodziłaś, tego, które nie istnieje. Idealnego dziecka, które musi być szczęśliwe, bo ty pod każdym względem stanowisz dokładne przeciwieństwo własnej matki. No więc ja nie jestem tym dzieckiem. A w domu twojej matki działa prąd.

- To idź z nią zamieszkaj.

- Nie chce mi pozwolić.

- Długo byś nie wytrzymała. Nie wolno niczego dotykać. Zawsze trzeba robić to, czego ona sobie życzy.

- Na przykład odlecieć z Ziemi statkiem kolonizacyjnym?

- Zgłosiłam się na ten statek dla ciebie.

- To jakbyś kupiła mi biustonosz rozmiaru XL. Dlaczego nie popatrzysz, kim jestem, zanim zdecydujesz, co mi jest potrzebne?

- Powiem ci, kim jesteś. Jesteś dziewczyną zbyt młodą i niedoświadczoną, by zrozumieć, czego trzeba kobiecie. Ja sama jestem na tej drodze dziesięć kilometrów przed tobą; wiem, co cię czeka, staram się dostarczyć ci to, co niezbędne, żebyś pokonała tę drogę gładko i bez trudu. I wiesz co? Zrobiłam to mimo twoich protestów. Opierałaś się na każdym kroku, ale udało mi się doskonale. Nawet nie wiesz, jak doskonale, bo nie masz pojęcia, kim mogłabyś się stać.

- A kim mogłabym się stać, mamó? Tobą?
- Nigdy nie mogłabyś być mną - zapewniła mama.
- Co chcesz powiedzieć? Że byłabym nią?
- Nigdy się nie dowiemy, kim byś się stała, prawda? Bo jesteś już taka, jaką cię uczyniłam.

- Błąd. Wydaję się taka, jaka muszę się wydawać, żeby przeżyć w twoim domu. Ale naprawdę jestem kimś całkiem dla ciebie obcym. Obcym, którego zamierzasz powlec w kosmos, nie pytając nawet o zdanie. Kiedyś mieli specjalne słowo określające takich ludzi jak ja. Nazywali ich niewolnikami.

Alessandra miała ochotę wybiec do swojego pokoju i trzasnąć drzwiami. Ale nie miała pokoju. Spała na kanapie w pomieszczeniu z wnęką kuchenną i stołem.

- Rozumiem - powiedziała mama. - Pójdę do swojego pokoju, a ty możesz trzasnąć za mną drzwiami.

To, że mama naprawdę wiedziała, co ona myśli, chyba najbardziej Alessandrę rozzłościło. Ale nie zaczęła krzyczeć, nie próbowała wydrapać matce oczu, nie rzuciła się z płaczem na podłogę ani nawet nie położyła się na kanapie, by ukryć twarz w poduszce. Usiadła przy stole naprzeciw matki i spytała:

- Co jest na kolację?
- No tak. Koniec dyskusji, tak po prostu.
- Możemy rozmawiać, kiedy gotujemy. Jestem głodna.
- Nie ma nic do jedzenia, bo nie oddałam jeszcze naszej ostatecznej zgody, bo nie zdecydowałam, czy powinniśmy przespać lot, czy nie, a więc nie dostałyśmy premii za zgłoszenie, więc nie mamy pieniędzy.

- No to co zrobimy z kolacją?
Mama tylko odwróciła głowę.
- Już wiem! - zawołała radośnie Alessandra. - Pojedźmy do babci!

Mama rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- Mamo, jak mogły nam się skończyć pieniądze, skoro żyjemy z zasiłku? - zapytała Alessandra. - Inni na zasiłku potrafią jakoś kupować jedzenie i płacić rachunki za prąd.

- A jak ci się wydaje? Rozejrzyj się. Na co wydałam pieniądze od rządu? Gdzie te wszystkie ekstrawagancje? Zajrzyj do szafy i policz moje sukienki.

Alessandra zastanawiała się przez chwilę.

- Nigdy o tym nie myślałam. Czy jesteś coś dłużna mafii? Może ojciec był im winien pieniądze, zanim zginął?

- Nie - odparła mama wzgardliwie. - Masz teraz wszystkie potrzebne informacje, żeby to zrozumieć, a jednak się nie domyślasz, choć jesteś taka mądra i dojrzała.

Alessandra nie miała pojęcia, o co mamie chodzi. Nie miała przecież żadnych nowych informacji. Nie miała też nic do jedzenia.

Wstała i zaczęła otwierać szafki. Znalazła pudełko suchego radiatora i słoik czarnego pieprzu. Przeniosła rondel do zlewu, nalała wody, postawiła na palniku i zapaliła gaz.

- Nie ma sosu do makaronu - przypomniała mama.

- Jest pieprz. Jest oliwa.

- Nie możesz jeść radiatora tylko z pieprzem i oliwą. To jakbyś garściami pchała sobie do ust mokrą mąkę.

- To już nie mój problem - odparła Alessandra. - W tej chwili mogę zjeść makaron albo skórę z butów, więc lepiej pilnuj swojej szafy.

Mama spróbowała obrócić wszystko w żart.

- Oczywiście, typowa córka. Zjadłabyś tylko moje buty.

- Ciesz się, jeśli przestanę, zanim napocznę twoje nogi.

Mama udawała, że nadal żartuje:

- Dzieci pożerają rodziców żywcem. Zawsze to robią.

- Więc czemu ta okropna kreatura wciąż żyje w Polignano a Mare?

- Złamałam zęby na jej skórze! - Mama wciąż próbowała żartować.

- Tłumaczysz mi, jakie straszne są córki, ale sama też jesteś córką. Byłaś straszna?

- Wyszłam za pierwszego chłopaka, który dał mi skosztować dobroci i rozkoszy. To efekt głupoty.

- Połowę genów mam od tego człowieka, za którego wyszłaś - zauważyła Alessandra. - Czy dlatego jestem za głupia, żeby decydować, na jakiej planecie chcę mieszkać?

- To oczywiste, że na dowolnej, na której mnie nie będzie.

- Ty wymyśliłaś tę kolonię, nie ja. Ale teraz wydaje mi się, że podałaś swój własny powód. Chcesz kolonizować inną planetę, bo nie będzie tam twojej matki!

Mama przygarbiła się na krześle.

- Tak, to także. Nie będę udawać, że nie uważam tego za jeden z najlepszych skutków tej decyzji.

- Czyli zgodzisz się, że nie wszystko robiłaś dla mnie.

- Nigdy się nie zgodzę na takie kłamstwo. Wszystko robię dla ciebie.

- Ucieczka od twojej matki jest dla ciebie.

- Nie, dla ciebie.

- Jak może być dla mnie? Aż do dzisiaj nie wiedziałam nawet, jak wygląda moja babcia. Nie widziałam jej twarzy. Nie znałam jej imienia.

- A wiesz, ile mnie to kosztowało? - spytała mama.

- O co ci chodzi?

Mama odwróciła wzrok.

- Woda się gotuje.

- Nie, to ja się gotuję. Wytłumacz, co miałaś na myśli. Ile cię kosztuje, żebym ja nie znała własnej babci?

Mama wstała, wyszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

- Zapomniałaś nimi trzasnąć, mamo! A w ogóle to kto tutaj

jest matką? Kto wykazuje odpowiedzialność? Kto szykuje kolację?

Woda potrzebowała trzech minut, żeby zawrzeć. Alessandra wrzuciła do rondla dwie garści radiatora, po czym wyjęła podręczniki i zaczęła się uczyć przy stole. W rezultacie makaron gotował się za długo, a że był tani i marny, posklejał się. Oliwa nie chciała się go trzymać, utworzyła kałużę na talerzu. Pieprz słabo pomagał w przelękaniu tej brei. Alessandra skupiła się na nauce; jadła mechanicznie, aż w końcu zaczęła się dławić od pieczenia w ustach, więc musiała wstać i wypluć wszystko do zlewu. Wypiła szklankę wody i niewiele brakowało, żeby wszystko wymiotowała. Dwa razy pochylała się nad zlewem, nim wreszcie opanowała żołądek.

- Mmm, pyszności - mruknęła. I odwróciła się do stołu.

Siedziała tam mama. Chwyciła palcami kawałek makaronu i podniosła do ust.

- Ależ jestem dobrą matką - powiedziała cicho.

- Odrabiam teraz lekcje, mamó. Wykorzystałyśmy już czas na kłótnie.

- Bądź sprawiedliwa, kochanie. Prawie nigdy się nie kłócimy.

- To prawda. Kręcisz się dookoła i w ogóle nie zwracasz uwagi na to, co mówię, bo jesteś taka radosna. Ale możesz mi wierzyć, moja część tej kłótni przez cały czas odtwarza mi się w głowie.

- Mam zamiar powiedzieć ci o czymś, ponieważ masz rację, jesteś dostatecznie duża, żeby rozumieć pewne sprawy.

Alessandra usiadła.

- No dobrze, powiedz. - Spojrzała mamie prosto w oczy.

Mama odwróciła wzrok.

- Czyli jednak nie chcesz mi nic mówić - stwierdziła Alessandra. - No to będę odrabiać lekcje.

- Chcę ci powiedzieć - zapewniła mama. - Tylko nie będę na

ciebie patrzeć, kiedy mówię.

- Ja też nie będę. - Alessandra wróciła do lekcji.

- Mniej więcej dziesiątego każdego miesiąca matka do mnie dzwoni. Odbieram telefon, bo jeśli nie, wsiada do pociągu i przyjeżdża, a wtedy trudno mi wypchnąć ją z domu, zanim wrócisz ze szkoły. Dlatego odbieram, a ona mi mówi, że jej niekocham, że jestem niewdzięczną córką, bo ona siedzi w domu całkiem sama, nie ma pieniędzy i nie może mieć w życiu niczego pięknego. Przeprowadź się do mnie, tłumaczy, przywieź swoją śliczną córkę, możemy mieszkać razem i dzielić się pieniędzmi, a wtedy ich wystarczy. Nie, mam, odpowiadam. Nie przeprowadzę się do ciebie. A ona płacze i wrzeszczy, i mówi, jaką jestem okropną córką, która wyrzywa z jej życia całą radość i piękno, bo zostawiam ją samą i bez pieniędzy, więc obiecuję, że pošlę jej trochę. Ona mówi: nie wysyłaj, szkoda pieniędzy za przesyłkę, przyjadę odebrać, a ja na to: nie, nie będzie mnie w domu, bilet na pociąg kosztuje więcej niż przesyłka, więc wyślę. I jakoś udaje mi się skończyć tę rozmowę, zanim wrócisz ze szkoły. Później siedzę przez chwilę i nie podcinam sobie żył, a potem wkładam trochę pieniędzy do koperty, niosę na pocztę i wysyłam, a ona wtedy bierze moje pieniądze i kupuje jakiegoś obrzydliwego śmiecia, żeby powiesić go na ścianie albo postawić na półeczce, aż w końcu jej dom pełen jest rzeczy, za które zapłaciłam swoimi pieniędzmi, które powinnam przeznaczać na wychowanie mojej córki, ale płacę za to wszystko, co miesiąc brakuje mi pieniędzy, chociaż dostaję taki sam zasiłek jak ona, ale warto. Warto być głodnym. Warto znosić twój gniew, bo nie musisz znać tej kobiety, nie musisz jej mieć w swoim życiu. Więc tak, Alessandro, wszystko to robię dla ciebie. I jeśli wyrwę nas z tej planety, nie będę już musiała posyłać jej pieniędzy, nie będzie mogła zadzwonić, bo zanim dotrzemy do tamtego świata, ona już umrze. Żałuję tylko, że nie

zaufałaś mi i nie mogłyśmy stąd odjechać, zanim bym zobaczyła jej złą twarz, słyszała jej zły głos.

Mama wstała i wróciła do swojego pokoju.

Alessandra skończyła odrabiać lekcje, schowała rzeczy do plecaka, potem usiadła na kanapie i patrzyła w niedziałający telewizor. Przypominała sobie, jak przez tyle lat codziennie wracała ze szkoły i zawsze czekała na nią mama, tańczyła po domu, ciągle paplała o wrózkach i magii, i jak pięknie czarowała przez cały dzień, a naprawdę walczyła z potworem, nie pozwalając mu się wdrzeć sobie do domu i chwycić małej Alessandry w szpony.

To tłumaczyło głód. Tłumaczyło brak elektryczności. Tłumaczyło wszystko.

Nie oznaczało, że mama nie jest szalona. Ale teraz to szaleństwo tak jakby nabierało sensu. A w kolonii mama wreszcie będzie wolna. To nie Alessandra była gotowa do wyzwolenia.

Zastukała do drzwi.

- Uważam, że powinniśmy spać w czasie lotu.

Długie milczenie. A potem, z drugiej strony drzwi:

- Ja też tak uważam. - Po chwili mama dodała jeszcze: - W tej kolonii będzie młody człowiek. Wspaniały młody człowiek z widokami na przyszłość.

- Wierzę - zapewniła Alessandra. I wiem, że będzie podziwiał moją szczęśliwą, zwariowaną matkę. A moja cudowna matka też go pokocha.

I znowu milczenie.

W mieszkaniu było nieznośnie gorąco. Mimo otwartych okien powietrze stało nieruchomo. Alessandra leżała na kanapie w samej bieliźnie i żałowała, że tapicerka jest taka miękka. Położyła się na podłodze w nadziei, że jest tam odrobinę chłodniej, bo przecież gorące powietrze unosi się do

góry. Ale gorące powietrze w mieszkaniu piętro niżej też się unosiło i ogrzewało podłogę, więc nic nie zyskała, a podłoga była zbyt twarda.

A może i nie była, bo rano Alessandra obudziła się na podłodze, czując tchnienie bryzy od Adriatyku. Mama smażyła coś w kuchni.

- Skąd wzięłaś jajka? - spytała Alessandra, kiedy wróciła już z toalety.

- Wyżebrałam.

- Od któregoś z sąsiadów?

- Od paru kur sąsiadów.

- Nikt cię nie widział?

- Nikt mnie nie zatrzymał, widział czy nie.

Alessandra roześmiała się i przytuliła ją. Poszła do szkoły i tym razem nie była zbyt dumna, by zjeść obiad fundowany przez organizację dobroczynną, gdyż pomyślała: Moja mama zapłaciła za jedzenie dla mnie.

Tego wieczoru jedzenie pojawiło się także w domu, i to nie zwyczajne jedzenie, ale ryby, sos i świeże warzywa. Czyli mama musiała oddać końcowe dokumenty i wypłacili jej premię. A więc leciały.

Mama była skrupulatna. Zabrała ze sobą Alessandrę i poszła do domów sąsiadów, którzy trzymali kury; podziękowała za to, że nie wezwali policji, i zapłaciła za jajka. Próbowali odmawiać, ale uparła się, że nie może wyjechać z miasta z takim długiem, a ich dobroć i tak zostanie policzona w niebie. Były pocałunki i szloch, a potem mama odeszła nie tym udawanym, wróżkowym krokiem, ale swobodnym krokiem kobiety, której spadło z ramion ciężkie brzemie.

Dwa tygodnie później, kiedy Alessandra w szkolnej bibliotece przeszukiwała sieć, odkryła coś takiego, że aż syknęła głośno i kilka osób podbiegło do niej, więc musiała szybko przełączyć na

inny obraz, byli zatem przekonani, że oglądała pornografię, ale to jej nie obchodziło. Nie mogła się doczekać powrotu do domu, żeby przekazać mamie te wieści.

- Czy wiesz, kto będzie gubernatorem naszej kolonii? - spytała.

Mama nie wiedziała.

- Czy to ważne? Jakiś tłusty staruch. Albo śmiały poszukiwacz przygód.

- A jeśli to w ogóle jeszcze nie jest mężczyzna? Jeśli jest chłopcem, zaledwie trzynasto-, może czternastoletnim chłopcem, który jednak jest tak wybitnie mądry, że ocalił ludzkość?

- O czym ty mówisz?

- Ogłosili skład załogi naszego statku. Pilotem będzie Mazer Rackham, a gubernatorem kolonii Ender Wiggin.

Tym razem mama syknęła zdumiona.

- Chłopiec? Małego chłopca mianują gubernatorem?

- Dowodził flotą w czasie wojny, więc z pewnością potrafi rządzić kolonią.

- Mały chłopczyk.

- Nie taki mały. W moim wieku.

- A co, taka jesteś dorosła?

- Dostatecznie dorosła, sama wiesz. Tak jak mówiłaś: zdolna do rodzenia dzieci.

Mama pogrążyła się w zadumie.

- I w tym samym wieku, co Ender Wiggin...

Alessandra poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz.

- Mamo! Nawet nie myśl o tym, o czym wiem, że myślisz.

- A czemu o tym nie pomyśleć? Musi przecież z kimś się ożenić na tym dalekim świecie. Dlaczego nie z tobą? - Po czym mama też się zaczerwieniła i powachlowała dłońmi policzki. - Och, Alessandro, tak się bałam ci powiedzieć, ale teraz jestem

zadowolona. I ty też będziesz.

- Co mi powiedzieć?

- Wiesz, że postanowiłyśmy przespać całą drogę? No więc poszłam do biura oddać dokumenty, ale zauważyłam, że niechcący zaznaczyłam ten drugi kwadracik, żeby czuwać, uczyć się i być w pierwszej fali kolonistów. I pomyślałam: a jeśli nie pozwolą mi nic zmieniać? Więc zdecydowałam, że zmuszę ich do tej zmiany. Ale kiedy usiadłam tam z tą kobietą, byłam taka wystraszona, że nawet o tym nie wspomniałam. Zwyczajnie stchórzyłam. A teraz widzę, że to nie było tchórzostwo, tylko Bóg pokierował moją ręką. To jasne. Bo teraz będziesz przytomna przez cały lot. Ilu czternastolatków będzie przytomnych na statku? Ty i Ender. Tak uważam. Tylko wy dwoje.

- On się nie zakocha w takiej głupiej dziewczynie jak ja.

- Masz bardzo dobre stopnie, a poza tym mądry chłopak nie szuka dziewczyny, która jest jeszcze mądrzejsza, ale dziewczyny, która go kocha. On jest żołnierzem, który nigdy nie wrócił z wojny do domu. Ty staniesz się jego przyjaciółką. Bliską przyjaciółką. Miną lata, zanim przyjdzie czas, żebyście się pobrali. Ale kiedy ten moment nadejdzie, on będzie cię znał.

- Może ty wyjdiesz za Mazera Rackhama.

- Jeśli będzie miał szczęście - odparła mama. - Ale zadowolę się dowolnym staruszkiem, który poprosi mnie o rękę, dopóki będę pewna, że ty jesteś szczęśliwa.

- Nie wyjdę za Endera Wiggina, mammo. Nie licz na to, co nie jest możliwe.

- Nie mów mi, na co mam liczyć. Ale będę zadowolona, jeśli tylko zostaniesz jego przyjaciółką.

- A ja będę zadowolona, jeśli na jego widok nie posiusiam się w majtki. To najślawniejszy człowiek na świecie, największy bohater w historii.

- Niesiusianie w majtki to dobry pierwszy krok. Mokre majtki nie robią dobrego wrażenia.

Skończył się rok szkolny; dostały instrukcje i bilety. Miały dojechać pociągiem do Neapolu, a potem lecieć do Kenii, skąd prom miał zabrać w przestrzeń kolonistów z Europy i Afryki.

Ostatnie dni spędziły, robiąc wszystko, co lubiły robić w Monopoli: chodziły na nabrzeże, do małych parków, gdzie bawiła się w dzieciństwie, do biblioteki. Żegnały się ze wszystkim, co było miłe w tym miejskim życiu. Były na grobie ojca, by po raz ostatni położyć na nim kwiaty.

- Żałuję, że nie możesz lecieć z nami - szepnęła mama.

Alessandra się zastanowiła: gdyby nie zginął, czy musiałyby lecieć w kosmos, by tam szukać szczęścia?

Ostatniego wieczoru w Monopoli wróciły do domu późno, a kiedy dotarły na miejsce, zobaczyły siedzącą na schodach babcię. Poderwała się i zaczęła krzyczeć, zanim jeszcze znalazły się dość blisko, by zrozumieć, co mówi.

- Nie wracajmy - zaproponowała Alessandra. - Nie ma tam nic ważnego.

- Potrzebujemy ubrań na podróż do Kenii - przypomniała mama. - A ja się jej nie boję.

Więc szły ulicą, a sąsiedzi wyglądali z okien, by sprawdzić, co się dzieje. Głos babci stawał się coraz wyraźniejszy.

- Niewdzięczna córko! Chcesz porwać moją ukochaną wnuczkę i zabrać ją w kosmos! Nigdy już was nie zobaczę, a ty nawet mnie nie uprzedziłaś, żebym mogła się pożegnać! Jaki potwór tak się zachowuje? Nigdy o mnie nie dbałaś! Zostawiasz mnie samą na stare lata! Czy tak powinna się zachowywać córka? Wy wszyscy, którzy tu mieszkacie, co byście pomyśleli o takiej córce? Co za potwór żył między wami, potwór niewdzięczności!

I tak dalej, i tak dalej.

Jednak Alessandra się nie wstydziła. Jutro to już nie będą jej sąsiedzi. Nie musiała się nimi przejmować. Poza tym każdy z odrobiną rozumu od razu pojmie: nic dziwnego, że Dorabella Toscano zabiera swoją córkę od takiej złośliwej wiedźmy. Nie wiadomo, czy nawet kosmos jest dostatecznie daleki, by uciec przed tą staruchą.

Babcia stanęła przed mamą i wrzeszczała jej prosto w twarz. Mama nie odpowiadała; wyminęła ją tylko i podeszła do drzwi. Ale nie otwierała. Odwróciła się i uniosła rękę, by zatrzymać potok słów babci.

Babcia nie przerywała.

Mama wciąż trzymała dłoń w górze. I w końcu babcia zakończyła swoją przemowę, mówiąc:

- I teraz chce mi coś powiedzieć! Nie chciała rozmawiać przez te tygodnie, kiedy planowała lot w kosmos, dopiero kiedy przyjechałam tu ze złamanym sercem i zapłakaną twarzą, postanowiła się do mnie odezwać! Dopiero teraz! No więc mów! Na co czekasz? Mów! Ja słucham! Co cię powstrzymuje?

Wreszcie Alessandra weszła między nie i wrzasnęła babci w twarz:

- Nikt nie może nic powiedzieć, dopóki się nie zamkniesz!

Babcia uderzyła Alessandrę w twarz. To było mocne uderzenie, dziewczyna zachwiała się i omal nie upadła.

Wtedy mama podała babci kopertę.

- Tu są wszystkie pieniądze, jakie zostały z naszej premii za zgłoszenie. Wszystko, co posiadam na tym świecie, z wyjątkiem odzieży, jaką zabieramy do Kenii. Daję ci to. I teraz z tobą kończę. To ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek ode mnie dostaniesz. Oprócz tego.

I mocno uderzyła babcię w twarz.

Babcia zatoczyła się i już miała znowu zacząć krzyczeć, kiedy mama, niefrasobliwa, zrodzona z wrózek Dorabella

Toscano, przysunęła twarz do twarzy babci i sama krzyknęła:

- Nikomu i nigdy nie wolno bić mojej córki!

Po czym wcisnęła jej pod bluzkę kopertę z czekiem, chwyciła babcię za ramiona, odwróciła i pchnęła na ulicę.

Alessandra objęła mamę i zaszlochała.

- Do teraz nigdy nie rozumiałam... nie wiedziałam...

Mama objęła ją mocno, a nad jej ramieniem spojrzała na sąsiadów, którzy przyglądali się, przejęci zgrozą.

- Tak - oświadczyła. - Jestem okropną córką. Ale jestem bardzo, ale to bardzo dobrą matką!

Kilku sąsiadów zaklaskało ze śmiechem, inni jednak cmokali językami i odwracali się. Alessandra nie dbała o to.

- Pokaż - powiedziała mama i zbadała jej twarz. - Chyba będzie siniec, ale szybko się zagoi. Nie zostanie po nim nawet ślad, kiedy już spotkasz tego przystojnego młodego człowieka z widokami na przyszłość.

Rozdział. 6

To: GovNom%Colonyl@colmin.gov
From: GovAct%Colonyl@colmin.gov
Subject: Nazwa dla kolonii

Zgadzam się, że nazywanie tej planety Kolonią I z czasem będzie męczące. Zgadzam się też, że o wiele lepsze będzie wybranie nazwy teraz, niż jej zmiana, kiedy Pan i Pański statek doleciecie tu za pięćdziesiąt lat.

Jednak Pańska sugestia, „Prospero”, w tej chwili nie będzie dobrze przyjęta. Chowamy byłych pilotów myśliwskich w tempie jednego co drugi dzień, a nasz ksenobiolog usiłuje znaleźć leki zdolne do kontrolowania lub eliminacji unoszących się w powietrzu robaków, które wdychamy i które potem ryją w naszych żyłach, aż są tak gęsto perforowane, że wykrwawiamy się wewnętrznie.

Sel (to nasz xb) zapewnia, że lek, który nam właśnie dostarczył, spowolni je i zyska nam trochę czasu. Istnieje więc szansa, że kiedy doleciecie, nadal będzie tu jakaś kolonia. Jeśli ma Pan pytania na dotyczące samego pyłorobaka, musi Pan zadać je bezpośrednio na adres SMenach%Colonyl@colmin.gov/xbdiv.

Mój adres to moje stanowisko, ale nazywam się Witalij Kołmogorow, a mój podstawowy tytuł to admirał. Czy Pan ma jakieś nazwisko? Do kogo piszę?

To: GovAct%Colonyl@colmin.gov
From: GovNom%Colonyl@colmin.gov
Subject: Re: Nazwa dla kolonii
Szanowny admirale Kołmogorow,

Z wielką ulgą przeczytałem w ostatnich raportach, że pyłorobak został całkowicie opanowany dzięki zestawowi leków, jaki opracował wasz xb Sel Menach. Pasożyt zostanie nazwany na jego cześć, choć przed podaniem ostatecznej decyzji komitet będzie mógł się kłócić w nieskończoność, czy dla nazywania ksenogatunków należy używać łaciny. Niektórzy sugerują inny język dla każdego skolonizowanego świata, inni standaryzację we wszystkich koloniach, jeszcze inni są zwolennikami językowej dyferencjacji między gatunkami rodzimymi dla każdej z planet i gatunkami z planety macierzystej formidów, przeniesionymi na światy skolonizowane. Takie zajęcia znajdują sobie na Ziemi, gdy Wy tymczasem zajmujecie się prawdziwą pracą i próbujecie ustanowić przyczółek w obcej ekosferze.

Ja sam jestem częścią problemu, ze swoją obsesją na punkcie nazwy kolonii. Proszę mi wybaczyć, że marnuję na to Pański czas, ale trzeba tę sprawę załatwić. Uchronił mnie Pan już przed faux pas, które zaszkodziłyby relacjom między kolonistami a ministerstwem i jego podwładnymi (w tym mną). Ma Pan rację, „Prospero” nie jest dobrym pomysłem. Jednak z jakiejś przyczyny zależy mi na nazwie z „Burzy” Williama Shakespeare’a. Może właśnie Burza? Albo Miranda czy Ariel? Podejrzewam, że Kaliban nie byłby dobrym wyborem. Gonzalo? Sykoraks?

Co do mojego nazwiska, wciąż trwa dyskusja, czy poinformować kolonistów, kim jestem. Otrzymałem stanowczy zakaz zdradzania tego nawet Panu, „pełniącemu obowiązki” gubernatora. Tymczasem moje nazwisko krąży po wszystkich sieciach i nikt nie robi specjalnej tajemnicy z faktu, że zostałem mianowany gubernatorem Kolonii I. Ta informacja po prostu nie jest Panu przekazywana ansiblem. Tak łatwo was oszukać lub trzymać w niewiedzy - o czym będę pamiętał za czterdzieści lat, otrzymując wiadomości z KolMin jako gubernator. Chyba że przed odlotem uda mi się skłonić ich do zmiany tej bezsensownej praktyki.

Moim zdaniem władze się obawiają, że mianowanie na gubernatora kolonii trzynastoletniego chłopca może źle wpłynąć na morale Pańskich kolonistów, choć minie czterdzieści lat, zanim dotrę na miejsce. A równocześnie inni uważają, że zwyczajski dowódca jako gubernator może wzmocnić morale. Póki nie podejmą decyzji, wierzę w Pańskie zdolności dedukcyjne i Pańską dyskrecję.

To: GovNom%Colonyl@colmin.gov

From: GovAct%Colonyl@colmin.gov

Subject: Re: Nazwa dla kolonii

Szanowny gubernatorze - nominacie Wiggin,

Zaimponowała mi skwapliwość, z jaką KolMin zareagowało na Pańską petycję o udostępnienie pasma ansibla dla nieograniczonego dostępu kolonistów do sieci według uznania gubernatorów.

Moją pierwszą myślą było powiadomienie wszystkich mieszkańców o tożsamości ich gubernatora w podróży. Nazwisko Endera Wiggina budzi tutaj szacunek. Po naszym zwycięstwie studiowaliśmy toczony przez Pana bitwy i dyskutowaliśmy, jakie superlatywy byłyby najbardziej odpowiednie dla określenia Pańskiego militarnego geniuszu. Jednak widziałem też raporty z procesu płk. Graffa i adm. Rackhama. Próbowano zniszczyć Pańską reputację, więc nie chcę zachęcać kolonistów - kiedy wreszcie będą mogli bez przeszkód łączyć się z ojczyzną ludzkości - by się zastanawiali, czy jest Pan zbawcą, czy socjopatą.

Co nie oznacza, że którykolwiek z żołnierzy i pilotów wśród nas ma jakiegokolwiek wątpliwości, że jest Pan tym pierwszym. Jednak w ciągu pięćdziesięciu lat Pańskiej podróży pojawią się urodzone tutaj dzieci, które nie walczyły pod Pańskim dowództwem.

Przyznaje, że kiedy otrzymałem od Pana listę imion, musiałem ponownie przeczytać „Burzę”. Sykoraks, coś takiego! A jednak, choć imię to nie jest w sztuce pierwszoplanowe, wydaje się zaskakująco odpowiednie dla naszej sytuacji. Matka Kalibana, wiedźma, która przesyciła magią całą nieobecną na mapach wyspę - Sykoraks byłaby zatem imieniem odpowiednim dla królowej kopca, która kiedyś władała tym światem, ale teraz odeszła, pozostawiając tak wiele pamiątek... i pułapek.

Nasz xb - niezwykle młody człowiek, który nie chce nawet słyszeć o wdzięczności za ocalenie nam życia - twierdzi, że ciała formidów były wręcz podziurawione przez pyłorobaki. Najwyraźniej pojedyncze osobniki uznawano za tak nieistotne, że nie podjęto żadnej próby leczenia czy zapobiegania chorobie. Marnowanie życia! Na szczęście Sel odkrył, że w cyklu rozwojowym pyłorobaka jest faza, w której wymaga on żywienia się pewnym gatunkiem rośliny. Szuka teraz sposobu jej całkowitej eliminacji. Nazywa to ekobójstwem - straszliwą biologiczną zbrodnią. Zmagają się z wyrzutami sumienia. Jednak alternatywą są bezustanne zastrzyki albo genetyczna modyfikacja wszystkich dzieci urodzonych na tej planecie, aby ich krew stała się dla pyłorobaków trująca.

Krótko mówiąc, Sel JEST Prosperem. Królowa kopca była Sykoraks, formidzi - Kalibanem. Jak dotąd nie mamy Arielów, choć każda kobieta w

wieku rozrodczym cieszy się wielką czcią. Planujemy wkrótce loterię małżeńską. Ja sam wyłączyłem się z udziału, by nie oskarżano mnie, gdybym wygrał. Nikomu nie podoba się taki nieromantyczny, przymusowy system - ale głosowaliśmy nad metodą podziału cennych rezerw reprodukcyjnych, a Sel przekonał większość, że to najlepsze rozwiązanie. Nie mamy tu czasu na zaloty, zranione uczucia i odrzucenie.

Mówię to Panu, ponieważ nie mogę porozmawiać z nikim innym, nawet z Selem. Dostatecznie wiele mu ciąży, bym nie dorzucił mu jeszcze swojego brzemienia.

Przy okazji, kapitan Pańskiego statku wciąż do mnie pisze, jakby uważał, że może wydawać mi polecenia w kwestii zarządzania Kolonią I, nie odwołując się do Pana. Pomyślałem, że powinien Pan o tym wiedzieć, by podjąć odpowiednie kroki i po przybyciu do celu uniknąć starcia z potencjalnym regentem. Wydaje mi się oficerem z rodzaju tych, których nazywam „ludźmi pokoju” - biurokratą, który prosperuje w strukturach wojskowych tylko wtedy, kiedy nie ma wojny, ponieważ jego prawdziwym wrogiem jest każdy oficer sprawujący stanowisko czy funkcję, na której jemu zależy. A Pan jest kimś, kogo nienawidzi najbardziej: człowiekiem wojny. Proszę spojrzeć za siebie - tam zwykle stara się ustawić człowiek pokoju ze sztyletem w dłoni.

Witalij Denisowicz

To: GovAct%ColonyI@colmin.gov
From: GovNom%ColonyI@colmin.gov
Subject: Re: Nazwa dla kolonii
Drogi Witaliju Denisowiczu,

Wymyśliłem: Szekspir. Jako nazwa planety i pierwszej osady. Późniejsze można nazywać imionami postaci z „Burzy” i innych sztuk.

A tymczasem możemy określać pewnego admirała jako tana Kawdoru, by przypominało nam to o nieuniknionych skutkach wygórowanych ambicji.

Odpowiada panu „Szekspir” jako nazwa? Wydaje mi się właściwe, by nowy świat nazwany został imieniem wielkiego znawcy ludzkich dusz. Gdyby jednak uznał Pan to za nazbyt angielskie, nazbyt powiązane z konkretną kulturą, zacznę od nowa, podążając całkiem innym torem.

Jestem wdzięczny za Pańskie zaufanie. Mam nadzieję, że nasza korespondencja będzie trwała również w czasie lotu, choć z powodu dylatacji czasu wysłanie i odebranie wiadomości zajmie całe tygodnie.

Oczywiście oznacza to, że nie będę w stazie - po wylądowaniu wolę mieć lat piętnaście niż trzynaście.

Jak Pan wie, podróż nie zajmie nam pięćdziesięciu lat, ale bliżej czterdziestu. Dokonano udoskonaleń w jajach napędowych i osłonach inercyjnych statków, możemy więc szybciej przyspieszać i hamować w granicach systemu planetarnego i większą niż dotąd część drogi pokonać z prędkościami relatywistycznymi. Wprawdzie dostaliśmy całą technologię od formidów, ale to nie znaczy, że nie możemy jej poprawić.

Ender

To: GovNom%Colonyl@colmin.gov
From: GovAct%Colonyl@colmin.gov
Subject: Re: Nazwa dla kolonii
Drogi Enderze,

Szekspir należy do wszystkich, ale teraz szczególnie do naszej kolonii. Rozmawiałem z kilkoma kolonistami i ci, których to obeszło, uznali, że to dobra nazwa.

Zrobimy, co tylko możemy, żeby pozostać przy życiu, dopóki nie przylecicie, aby zwiększyć naszą liczebność. Ale zapamiętałem z własnego lotu na wojnę: te dwa lata wydadzą Ci się dłuższe niż nam nasze czterdzieści. My będziemy coś robić. Ty będziesz się snuć, znudzony i sfrustrowany. Ci, którzy wybrali stazę, będą szczęśliwsi. Ale Twój argument, że wolisz przylecieć, mając lat piętnaście, nie trzynaście, jest rozsądny. Lepiej od Ciebie rozumiem, jaką ofiarę chcesz złożyć.

Będę wysyłał Ci raporty co kilka miesięcy - kilka dni dla Ciebie - żebyś miał jakieś pojęcie, kim są koloniści, jak społecznie, rolniczo i technicznie funkcjonuje wioska, jakie są nasze osiągnięcia i jakie rozwiązaliśmy problemy. Będę się starał pomóc Ci poznać najważniejsze osoby. Ale nie powiem im, że to robię, gdyż poczuliby się szpiegowani. Kiedy dolecisz, staraj się nie dać im poznać, jak wiele Ci powiedziałem. Dzięki temu zrobisz wrażenie wnikliwego. A warto mieć taką reputację.

Zrobiłbym to samo dla admirała Morgana, gdyż istnieje szansa, że to on będzie rządził - żołnierze będą słuchać jego rozkazów, nie Twoich, a gdyby próbował jakichś nielegalnych akcji na powierzchni planety, to najbliższa instytucja egzekwująca prawo znajduje się o czterdzieści lat stąd. Nasi koloniści będą nieuzbrojeni i bez wojskowego szkolenia, zatem nie napotka tu na żaden opór.

Jednakże admirał Morgan upiera się przy wysyłaniu mi poleceń, choć

ani razu nie zapytał o nasze warunki. Wie tyle, ile przeczytał - lub nie przeczytał - w moich oficjalnych raportach. Staje się też coraz bardziej drażliwy, kiedy nie reaguję w sposób odpowiedni (choć w pełni wykonałem wszystkie jego uprawnione żądania i prośby). Podejrzewam, że jeśli przed lądowaniem przejmie władzę, usunięcie mnie z urzędu stanie się jego głównym priorytetem. Na szczęście prawa rządzące demografią sugerują, że będę martwy, zanim tu dotrze, a więc kwestia stanie się nieistotna.

Może i jesteś trzynastolatkiem, ale przynajmniej rozumiesz, że nie możesz prowadzić obcych ludzi. Możesz ich tylko zmusić albo przekupić.

Witalij

Sela Menacha bolały szyja i grzbiet od długich godzin patrzenia przez mikroskop na obce pleśnie. Jeśli potrwa to dłużej, pomyślał, przed trzydziestym piątym rokiem życia będę zgarbiony jak stara wiedźma.

Ale na polach byłoby to samo - gdyby pilił i próbował zatrzymać rozrost pnączy, by nie przesłaniały słońca kukurydzy. Tam również zginałby grzbiet, a skóra by mu zbrązowiała. W tym ostrym słońcu trudno odróżnić jedną rasę od drugiej... To jest jak wizja przyszłości. Personel wybrano ze wszystkich ras na Ziemi: lekarzy, geologów, ksenobiologów i klimatologów - a także pilotów bojowych, by mogli zabić wrogów, którzy kiedyś władali tą planetą. Teraz, po zakończeniu wojny, ci ludzie krzyżowali się tak intensywnie, że po trzech, może już dwóch pokoleniach zaniknie nawet koncepcja rasy czy pochodzenia narodowego.

A jednak każdy skolonizowany świat zachowa własne cechy, własny akcent wspólnego języka MF, który był zwykłym angielskim z kilkoma zmianami w pisowni i wymowie. Kiedy koloniści zaczną przemieszczać się między światami, pojawią się nowe podziały. Tymczasem sama Ziemia zachowa dawne rasy, narody i wiele dawnych języków, więc rozróżnienie między Ziemianami a kolonistami będzie coraz wyraźniejsze i poważniejsze.

Nie mój problem, uznał Sel. Mogę przewidzieć przyszłość, każdy może. Ale żadnej nie będzie na planecie zwanej teraz Szekspirem, jeśli nie znajdę sposobu, żeby zabijać tę pleśń, która atakuje ziemskie zboża. Jak może istnieć pleśń specyficzna dla traw, skoro ziemskie trawy, w tym zboża, nie mają tu żadnych genetycznych odpowiedników?

Afraima przyniosła nowe próbki z doświadczalnego ogrodu w szklarni. Co za ironia losu - tyle zaawansowanego sprzętu rolniczego, przenoszonego razem z myśliwcami w brzuchu transportowca, a jednak kiedy któraś maszyna zawiedzie, nie będzie nic na wymianę, żadnych części przez pięćdziesiąt lat. Może czterdzieści, jeśli nowy napęd rzeczywiście dostarczy statek kolonizacyjny szybciej. Zanim sprzęt tu dotrze, możemy żyć już w lesie drzew i wykopywać korzonki, bez żadnej działającej techniki.

Albo może mi się udać przystosowanie i adaptacja naszych zbóż, aby przynosiły plony na tym świecie. Wtedy uzyskamy gigantyczną nadwyżkę żywności, dostateczną, by dać nam wolny czas na rozwijanie technicznej infrastruktury.

Przybyliśmy tu, dysponując techniką na niezwykle wysokim poziomie - ale z niczym, co by ją podtrzymało. Jeśli runiemy, spadniemy na sam dół.

- Proszę na to spojrzeć - powiedziała Afraima.

Sel posłusznie wstał znad swojego mikroskopu i przeszedł na jej stanowisko.

- Tak... Na co patrzę?

- A co pan widzi? - spytała.

- Nie mam ochoty na zagadki.

- Proszę o niezależną weryfikację. Nie mogę nic powiedzieć.

A więc chodziło o coś ważnego. Przyjrzał się uważniej.

- To przekrój liścia kukurydzy. Z sekcji sterylnej, więc jest całkowicie czysty.

- Nie - odparła. - Jest z D-4.

Sel niemal rozplakał się ze szczęścia, ale równocześnie poczuł gniew. Po chwili gniew zwyciężył.

- Nie, to niemożliwe - oświadczył surowo. - Pomieszałaś próbki.

- Też tak pomyślałam. Dlatego wróciłam i pobrałam nowe z D-4. A potem jeszcze raz. Teraz ogląda pan to, co sprawdziłam trzykrotnie.

- A D-4 łatwo wytworzyć z miejscowych materiałów. Afraimo, udało się nam!

- Nie sprawdziłam nawet, czy działa na amarant.

- To by było zbyt wiele szczęścia.

- Albo błogosławieństwo. Pomyślał pan kiedyś, że Bóg chce, by nam się tu udało?

- Mógł zabić tę pleśń, zanim tu wylądowaliśmy - stwierdził Sel.

- Jasne, niech pan dalej okazuje niecierpliwość Bogu z Jego darami, na pewno pan Go rozzłości.

To były zwykłe przekomarzania, ale tkwiło w nich ziarno prawdy. Afraima była poważną żydówką - kiedy głosowali nad systemem doboru par, zmieniła sobie imię, by po hebrajsku znaczyło „płodna”, w nadziei, że jakoś skłoni to Boga, by dał jej żydowskiego męża. Zamiast tego, gubernator po prostu zlecił jej pracę u boku jedyne go wśród kolonistów ortodoksyjnego żyda. Gubernator Kołmogorow szanował religię. Sel również.

Tyle że nie był pewien, czy Bóg wie o tej planecie. A jeśli Biblia mówiła prawdę o kreacji tamtego konkretnego słońca, księżycy i ziemi - że to całość boskiej kreacji? A takie światy jak ten były tworem obcych bogów, mających sześć kończyn albo trójstronną symetrię budowy ciała? Takie były niektóre tutejsze formy życia.

Wkrótce wrócili do laboratorium z próbkami amarantu,

przygotowanymi w taki sam sposób.

- No, mamy... Skuteczne, przynajmniej na początek.

- Ale produkcja trwa bardzo długo... - przypomniała Afraima.

- To nie nasz kłopot. Chemicy mogą kombinować, jak produkować to szybciej i w większych ilościach. Ważne, że wiemy już, co działa. Wydaje się, że terapia nie uszkodziła żadnej z roślin, prawda?

- Jest pan geniuszem, doktorze Menach.

- Nie mam doktoratu.

- Termin „doktor” definiuję jako osobę, która dokonuje odkryć ratujących gatunki.

- Dołączę to do swojego podsumowania.

- Nie - rzekła.

- Nie?

Poczuł jej dłoń na ramieniu.

- Właśnie zaczynam płodny okres, doktorze. Chcę pańskiego nasienia na tym polu.

Spróbował obrócić to w żart.

- Za chwilę zaczniesz cytować pieśń Salomona.

- Nie proponuję romansu, doktorze Menach. Musimy przecież razem pracować. A ja jestem żoną Ewenezera. Nie musi wiedzieć, że dziecko nie jest jego.

Brzmiało to tak, jakby rzeczywiście wszystko sobie przemyślała. Teraz naprawdę był zakłopotany. I rozgoryczony.

- Mamy tu razem pracować, Afraimo.

- Chcę możliwie najlepszych genów dla swojego dziecka.

- Dobrze - rzekł. - Zostaniesz tutaj i będziesz prowadzić badania nad adaptacją. A ja przejdę do pracy w polu.

- Dlaczego? Mnóstwo ludzi może to robić.

- Albo ty stąd odejdziesz, albo ja. Nasza współpraca nie jest już możliwa.

- Przecież nikt się nie dowie!
- Nie będziesz cudzołożył... - powiedział Sel. - Podobno jesteś wierząca.
- Ale córki Midiana...
- Spały z własnym ojcem, ponieważ ważniejsze było rodzenie dzieci niż zachowanie egzogamii. - Sel westchnął. - Ale ważne jest też poszanowanie zasad monogamii, żebyśmy nie doprowadzili do kolonii rozrywanej konfliktami o kobiety.
- Dobrze - ustąpiła Afraima. - Proszę zapamiętać, że cokolwiek mówiłam.
- Nie mogę zapamiętać - oświadczył Sel.
- Więc dlaczego nie...
- Przegrałem w losowaniu, Afraimo. Teraz płodzenie dzieci stało się dla mnie nielegalne. Zwłaszcza z żoną innego mężczyzny. Ale też nie mogę brać środków zmniejszających libido, ponieważ muszę być spostrzegawczy i energiczny, by prowadzić badania nad formami życia tej planety. Nie mogę cię tutaj tolerować teraz, kiedy zaproponowałeś, że mi się oddasz.
- To był tylko pomysł. Potrzebuje mnie pan przy pracy.
- Potrzebuję kogoś. To nie musisz być ty.
- Ale ludzie będą się zastanawiać, czemu mnie pan wyrzucił. Evezezer odgadnie, że było coś między nami.
- To już twój problem.
- A jeśli powiem im, że zaszłam w ciążę z panem?
- Jesteś zwolniona. Natychmiast. Nieodwoalnie.
- Żartowałam!
- Może spróbuj znowu myśleć głową... Będą testy ojcostwa. DNA. Twój mąż stanie się pośmiewiskiem, a każdy mężczyzna będzie patrzył na własną żonę i zastanawiał się, czy oddaje się komuś innemu, żeby umieścić w gnieździe kukułcze jajo. Dlatego odchodzisz stąd. Dla dobra nas wszystkich.
- Jeśli będzie to aż tak oczywiste, podkopie zaufanie do

małżeństwa tak samo, jakbyśmy naprawdę to zrobili.

Sel usiadł na podłodze szklarni i ukrył twarz w dłoniach.

- Przepraszam - szepnęła Afracima. - Nie mówiłam całkiem poważnie.

- Sugerujesz, że gdybym się zgodził, ty byś odpowiedziała, że tylko żartowałeś, i zostawiła mnie poniżonego własną zgodą na cudzołóstwo?

- Nie - odparła. - Zrobiłabym to. Sel, jesteś najmądrzejszy i wszyscy o tym wiedzą. Nie powinieneś być odcięty od posiadania dzieci. To błąd. Potrzebujemy w puli twoich genów.

- To argument genetyczny - stwierdził Sel. - Ale jest też argument społeczny. Monogamia po wielokroć okazywała się optymalnym systemem organizacji społeczeństwa. Nie chodzi o geny, ale o dzieci. Muszą dorastać w takim właśnie społeczeństwie. Tego chcieliśmy. Głosowaliśmy za tym.

- A ja głosuję, żeby urodzić twoje dziecko. Tylko jedno.

- Proszę, wyjdź.

- To ja rozumiem logicznie. Przecież oboje jesteśmy żydami...

- Odejdź stąd. Zamknij za sobą drzwi. Mam dużo pracy.

- Nie możesz mnie odepchnąć - oświadczyła. - To by zaszkodziło kolonii.

- Podobnie jak zabicie cię. A jest to coraz bardziej kuszące, im dłużej zostajesz tutaj, żeby mnie dręczyć.

- To udręka tylko dlatego, że mnie pragniesz.

- Moje ciało jest ludzkie i męskie - oświadczył Sel. - Więc oczywiście chcę się zaangażować w czynności seksualne, niezależnie od konsekwencji. Moje funkcje logiczne już teraz są tłumione, a zatem dobrze, że podjąłem nieodwołalną decyzję. Nie zmuszaj mnie, bym przekształcił ją w bolesną rzeczywistość, odcinając tych małych drani.

- Więc tak to wygląda? I tak się kastrujesz, w taki czy inny sposób. No więc ja jestem kobietą i pragnę partnera, który da

mi najlepsze możliwe potomstwo.

- W takim razie, skoro już chcesz popełnić cudzołóstwo, poszukaj sobie kogoś wielkiego, silnego i zdrowego. I uważaj, żebym cię nie przyłapał, bo wszystko powiem.

- Mózg. Chcę twojego mózgu.

- Dzieciak miałby pewnie twój mózg i moją twarz. A teraz zabierz raporty o działaniu D-4 i zanieś na chemię.

- Nie jestem zwolniona?

- Nie - przyznał Sel. - To ja rezygnuję. Przechodzę do pracy w polu, a ciebie zostawiam tutaj.

- Jestem tylko rezerwowym xb. Nie potrafię wykonywać tej pracy.

- Powinnaś o tym pomyśleć, zanim przez ciebie nasza współpraca stała się niemożliwa.

- Kto kiedy słyszał o mężczyźnie, który nie chciałby potarzać się w sianie gdzieś na boku?

- Ta kolonia jest teraz moim światem, Afraimo. Twoim również. Nie sra się do własnej zupy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Rozpłakała się.

- Co ja takiego zrobiłem, że Bóg tak mnie karze? - zapytał Sel. - Co będzie dalej? Tłumaczenie snów podczaszego i piekarza faraona?

- Przepraszam - powiedziała. - Musisz dalej pracować jako xb, naprawdę jesteś geniuszem. Ja nawet bym nie wiedziała, od czego zacząć. I teraz wszystko zniszczyłam...

- Tak, to prawda - zgodził się Sel. - Ale masz też rację co do wszystkich moich rozwiązań. Byłyby niemal tak samo zabójcze jak wyjściowy pomysł. Dlatego zrobimy tak...

Czekała, a łzy wciąż płynęły jej z oczu.

- Nic nie zrobimy - rzekł. - Nigdy już o tym nie wspomnisz. Nigdy. Nie wolno ci mnie dotykać. W moim towarzystwie masz

być ubrana z absolutną skromnością. Będziemy się porozumiewać tylko w sprawach zawodowych. Język naukowy, oficjalny. Ludzie pomyślą, że się nie znosimy. A to dlatego, że nie mogę sobie pozwolić na tłumienie libido i równoczesne wykonywanie tej pracy. Jasne?

- Tak.

- Za czterdzieści lat przyleci statek kolonizacyjny z nowym xb i będę mógł rzucić tę robotę.

- Nie chciałam, żebyś się męczył. Myślałam, że będziesz szczęśliwy.

- Moje hormony były zachwycone. Uznały, że to najlepszy pomysł, o jakim w życiu słyszały.

- W takim razie czuję się lepiej - oznajmiła.

- Czujesz się lepiej, bo przez najbliższe czterdzieści lat ja będę przeżywał piekło?

- Nie bądź głupi. Jak tylko zacznę rodzić dzieci, stanę się gruba, nieatrakcyjna i zbyt zajęta, żeby tu przychodzić i pomagać. Produkcja dzieci jest najważniejsza, prawda? I już niedługo nowe pokolenie dostarczy ci nowego ucznia. W najgorszym razie będziesz się męczył przez kilka miesięcy. Może przez rok.

- Łatwo ci mówić.

- Doktorze Menach, naprawdę mi przykro. Jesteśmy naukowcami i zaczynam myśleć o ludzkiej reprodukcji jak o zwierzęcej. Nie chciałam być nielojalna wobec Ewenezera, nie chciałam, żeby pan się męczył. Po prostu ogarnęło mnie pożądanie. Wiedziałam, że jeśli mam urodzić dziecko, to powinno być pańskie, powinno być dzieckiem najbardziej wartościowym. Ale nadal pozostaję osobą racjonalną. Naukowcem. Zrobię tak, jak pan mówił: wyłącznie praca. Jakbyśmy się nie lubili i żadne z nas nie mogło nigdy pożądać drugiego. Niech mi pan pozwoli zostać, dopóki nie będę musiała

rzucić pracy, by zająć się dziećmi.

- Zgoda. Zanieś formułę chemikom i zostaw mnie samego. Muszę się zająć następnym problemem.

- A jaki to problem? Po pyłorobaku, po pleśni kukurydzy i amarantu, czym się teraz zajmiemy?

- Kolejny problem, którym ja się zajmę - odrzekł Sel - to zakopać się w najbardziej nudnej pracy, jaką potrafię sobie znaleźć, która nie wymaga żadnych kontaktów z tobą. Proszę, możesz już iść?

Wyszła.

Sel napisał sprawozdanie i przesłał je do maszyny gubernatora, żeby trafiło w kolejkę do transmisji ansiblem. Jeśli się okaże, że pleśń występuje też w innych koloniach, jego rozwiązanie również tam może się okazać skuteczne. A zresztą na tym właśnie polega nauka - na dzieleniu się informacją, na wspólnym zbieraniu wiedzy.

To moja pula genowa, Afraimo, pomyślał. Pula memetyczna, zbiorowa wiedza naukowa... To, co tutaj odkryję, czego się nauczę, problemy, jakie rozwiążę - to będą moje dzieci. Staną się częścią każdej generacji, jaka będzie żyła na tej planecie.

Kiedy zakończył sprawozdanie, Afraima jeszcze nie wróciła. Dobrze, uznał Sel. Niech siedzi cały dzień na chemii.

Wyszedł i ruszył przez wioskę na wspólne pola. Robotnikami kierował Fernao McPhee.

- Daj mi jakąś pracę - poprosił go Sel.

- Myślałem, że zajmujesz się pleśnią.

- Chyba rozwiązałem ten problem. Teraz to już sprawa chemików, żeby wymyślić, jak dostarczyć środek roślinom.

- Mam już ekipy do wszystkich zadań. Twój czas jest zbyt cenny, żeby go marnować na pracę fizyczną.

- Wszyscy pracują fizycznie. Gubernator pracuje fizycznie.

- Ekipy są kompletne. Nie znasz się na tej pracy, znasz się

na własnej, która jest o wiele ważniejsza. Idź, rób swoje i przestań mnie męczyć.

Mówił żartobliwie, ale nie żartował. A co Sel mógł mu odpowiedzieć? Chcę, żebyś dał mi jakąś męczącą pracę, żebym się spocił i przestał myśleć o swojej pięknej asystentce, która ofiarowała mi swoje ciało, abym umieścił w nim swoje dzieci...

- W ogóle mi nie pomagasz - stwierdził.

- No to jesteście kwita - odparł Fernao.

W tej sytuacji Sel wybrał się na długi spacer. Poza granicę pól, do lasu, gdzie zaczął zbierać próbki. Kiedy nie ma sytuacji zagrożenia, człowiek może się zająć nauką. Kolekcjonuje, klasyfikuje, analizuje i obserwuje... Zawsze ma coś do roboty.

Żadnego fantazjowania o niej ani o tym, co mogłoby się zdarzyć. Fantazje seksualne to scenariusze przyszłych zachowań.

Co mi przyjdzie z tego, że dziś powiedziałem „nie”; skoro za sześć miesięcy powiem „tak”, kiedy już w myślach po wielokroć popełnię cudzołóstwo?

Byłoby o wiele łatwiej, gdybym nie postanowił robić tego, co jest najlepsze dla wszystkich. Ten, co powiedział, że cnota sama jest dla siebie nagrodą, wygadywał bzdury.

Rozdział. 7

To: jpwiggin@gso.nc.pub, twiggin@uncg.edu

From: vwiggin%Colony1@colmin.gov/citizen

Subject: Z Enderem wszystko dobrze

Pod „wszystko dobrze” rozumiem oczywiście, że jego ciało i umysł wydają się funkcjonować normalnie. Ucieszył się na mój widok. Rozmawialiśmy swobodnie. Sprawia wrażenie pogodzonego ze wszystkim. Żadnej wrogości wobec nikogo. Mówił o Was obojgu z prawdziwym uczuciem. Wspominaliśmy dzieciństwo.

Ale kiedy tylko rozmowa dobiegła końca, widziałam, jak niemal fizycznie chowa się do skorupy. Ma obsesję na punkcie formidów. Myślę, że dręczą go wyrzuty sumienia, bo wszystkich zniszczył. Wie, że to bez sensu - że nie wiedział, co robi, że one próbowały zniszczyć nas, więc i tak byłaby to obrona własna - ale niezbadane są drogi sumienia. Wyewoluowało, abyśmy internalizowali wartości społeczne i sami siebie pilnowali. Ale co się dzieje, jeśli ktoś ma hiperaktywne sumienie i tworzy reguły, o których nikt inny nie wie, tylko po to, żeby mógł sam siebie karać za ich łamanie?

Nominalnie jest gubernatorem, ale zostałam ostrzeżona przez dwie różne osoby, że admirał Quincy Morgan nie zamierza pozwolić Enderowi na rządzenie czymkolwiek. Gdyby Peter znalazł się w takiej sytuacji, już by spiskował, by odebrać Morganowi dowództwo, zanim jeszcze zacznie się podróż. A Ender tylko cmoka i mówi: „Coś podobnego”. Kiedy go przycisnęłam, powiedział: „Nie będzie miał starcia, jeśli nie przystąpię do gry”. A kiedy przycisnęłam mocniej, zaczął się irytować i powiedział: „Urodziłem się dla jednej wojny. Wygrałem ją i skończyłem z tym”.

Teraz jestem rozdarta. Czy mam za niego próbować różnych manewrów? Czy raczej robić to, o co mnie prosi, i ignorować tę sytuację? On uważa, że czas podróży powinnam spędzić w stazie, żebyśmy po lądowaniu oboje byli w tym samym wieku piętnastu lat, a jeśli już muszę być przytomna, żebym spisała historię Szkoły Bojowej. Graff obiecał przekazać mi materiały, choć przecież mogę je znaleźć w publicznych archiwach, skoro i tak wszystkie ujawniono podczas procesu.

A oto moje pytanie filozoficzne: Czym jest miłość? Czy moja miłość do

Endera oznacza, że zrobię to, co uważam za najlepsze dla niego, nawet jeśli prosi, żebym tego nie robiła? Czy też miłość oznacza, że robię to, o co prosi, nawet jeśli uważam, że rola figuranta okaże się dla niego piekłem?

To jak lekcje gry na pianinie, drodzy rodzice. Tak wielu dorosłych skarży się, że cierpieli katusze, kiedy byli zmuszani do bezustannych ćwiczeń. A inni mówią rodzicom: „Dlaczego nie kazaliście mi ćwiczyć, żebym dzisiaj potrafił grać dobrze?”.

Ucałowania, Valentine

To: vwiggin%Colony1@colmin.gov/citizen

From: twiggin@uncg.edu

Subject: Re: Z Enderem wszystko dobrze

Kochana Valentine,

Twój ojciec uważa, że się zezłościł, kiedy Ci powiem, jak szokujące jest odkrycie, że jedno z moich dzieci nie wie wszystkiego, przyznaje to i nawet prosi rodziców o radę. Przez ostatnie pięć lat Ty i Peter byliście tak zamknięci w sobie jak bliźnięta mające prywatny język. Teraz, zaledwie po dwóch tygodniach od wyrwania się spod wpływów Petera, znowu odkrywasz rodziców. Sprawia mi to głęboką satysfakcję. Niniejszym ogłaszam, że jesteś moim ulubionym dzieckiem.

Nadal jesteśmy zdruzgotani - powolnym, żrącym typem zdruzgotania - że Ender postanowił do nas nie pisać. Nie wspominasz, żeby się na nas gniewał. Nie rozumiemy. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że nie wolno nam było do niego pisać? Dlaczego teraz nie czyta naszych listów? A może czyta, a potem decyduje, by nie zaznaczać pola odpowiedzi i nie napisać nic, choćby w stylu: „Dostałem wasz list”?

Co do Twoich pytań, odpowiedzi są proste. Nie jesteś jego matką ani ojcem. To my mamy prawo wtrącać się w jego życie i robić to, co uważamy za najlepsze dla niego, czy mu się to podoba, czy nie. Ty jesteś jego siostrą. Myśl o sobie jak o towarzyszcze, nawet powierniczce... Do Ciebie należy przyjmować to, co on daje, a to, o co prosi, dawać tylko wtedy, gdy uznasz, że tak będzie dobrze. Nie masz ani prawa, ani obowiązku dawania mu tego, o co stanowczo prosi, by mu nie dawać. To nie byłby dar od siostry ani od przyjaciółki.

Rodzice to szczególnie przypadek. On zbudował mur dokładnie w tym miejscu, gdzie wcześniej wzniosła go Szkoła Bojowa. Nie dopuszcza nas do siebie. Uważa, że nie jesteśmy mu potrzebni. Myli się. Podejrzewam, że bardzo pragnie kontaktu z nami. Tylko matka może zapewnić

niewysłowioną pociechę zranionej duszy. Tylko ojciec może powiedzieć „Ego te absolvo” i „Dobrze, służył dobry i wierny” tak, by uwierzył mu całą duszą.

Gdybyś była lepiej wykształcona i nie żyła w ateistycznej instytucji, zrozumiałabyś te odwołania. Kiedy już je wyszukasz, pamiętaj proszę, że ja nie musiałam.

Ściskam

Twoja sarkastyczna, przesadnie analityczna, głęboko zraniona, a jednak całkiem zadowolona

Matka

To: jpwiggin@gso.nc.pub, twiggin@uncg.edu

From: vwiggin%Colonyl@colmin.gov/citizen

Subject: Re: Z Enderem wszystko dobrze

Wiem o konfesjonatach ojca i o Twojej Biblii Króla Jakuba, i też nie musiałam niczego szukać. Czy sądzisz, że Twoja i ojca religia były tajemnicą dla Waszych dzieci? Nawet Ender wiedział, a opuścił dom, kiedy miał sześć lat.

Przyjmuję Twoją radę, ponieważ jest mądra i ponieważ nie mam lepszych pomysłów. Mam też zamiar posłuchać rad Endera i Graffa, czyli napisać historię Szkoły Bojowej. Nie jest to proste zadanie: opublikować ją jak najszybciej, by miała swój udział w zmyciu tych ohydnych oszczerstw, jakie padły w czasie procesu, oczyścić reputację dzieci, które wygrały wojnę, i dorosłych, którzy je wyszkolili i nimi kierowali. Chociaż wciąż ich nienawidzę za to, że zabrali nam Endera. Jednak całkiem jest dla mnie możliwe, by kogoś nienawidzić, a zarazem rozumieć jego stanowisko. To może jedyny cenny prezent, jaki podarował mi Peter.

Peter nie pisał do mnie ani ja do niego. Gdyby pytał, przekaż mu, że często o nim myślę i zauważam, że już go nie widuję. A jeśli liczy się to za „tęsknotę”, to owszem, tęsknię za nim.

Tymczasem miałam szansę, by przelotnie poznać Petrę Arkanian i rozmawiałam - a dokładniej pisałam - z Groszkiem, Dinkiem Meekerem, Hanem Tzu. Wysłałam listy do kilkorga innych. Im lepiej pozwolę mi zrozumieć, przez co przechodził Ender (ponieważ sam Ender nic nie mówi), tym lepiej będę wiedziała, co powinnam robić, ale nie robię, bo - jak mi przypomniałaś - nie jestem jego matką, a on prosił, żebym się powstrzymała. Na razie udaję, że chodzi mi tylko o pisanie książki.

Piszę zaskakująco szybko. Jesteś pewna, że nie mamy żadnych genów

Winstona Churchilla? Może miał jakiś flirt z Polką na uchodźstwie podczas drugiej wojny światowej? Czuję, że jest mi pokrewnym duchem, pomijając oczywiście jego ambicje polityczne, stały poziom alkoholu we krwi i spacerowanie nago po domu. Te jego cechy nie są moje.

Ucałowania

Twoja równie sarkastyczna, zaledwie dostatecznie analityczna, jeszcze nie zraniona ani zadowolona córka

Valentine

Graff zniknął z Erosa wkrótce po procesie, ale teraz wrócił. Zapewne jako minister kolonizacji nie mógł przepuścić okazji do reklamy, jaką dawał start pierwszego statku kolonizacyjnego.

- Projektowi Rozproszenia przyda się trochę rozgłosu - oświadczył, kiedy Mazer się z niego śmiał.

- A ty nie kochasz kamer?

- Spójrz na mnie. Straciłem dwadzieścia pięć kilo. Jestem tylko cieniem samego siebie.

- Przez całą wojnę tyłeś po trochu. Podczas procesu rozdałeś się jak balon. A teraz zrzucasz wagę. To ziemiska grawitacja?

- Nie byłem na Ziemi. Miałem mnóstwo pracy, przerabiając Szkołę Bojową na punkt zbiórki kolonistów. Kiedyś nikt nie rozumiał, czemu się upierałem, żeby wszystkie łóżka miały wymiary jak dla dorosłych. A teraz mówią o mojej zdolności przewidywania.

- Dlaczego mnie okłamujesz? - spytał Mazer. - Nie dowodziłeś tam, kiedy budowali Szkołę Bojową.

Graff pokręcił głową.

- Mazer, niczym nie dowodziłem, kiedy cię namówiłem na powrót do domu, prawda?

- Kierowałeś projektem „ściągnąć Rackhama do domu, żeby pomógł w szkoleniu Endera Wiggina”.

- Ale nikt nie wiedział, że taki projekt istnieje.

- Oprócz ciebie.

- No więc kierowałem projektem „pilnowania, żeby Szkoła Bojowa była gotowa na Projekt Rozproszenia Ludzkiego Genomu”.

- I dlatego tracisz na wadze - uznał Mazer. - Bo w końcu uzyskałeś fundusze i uprawnienia, żeby realizować ten prawdziwy projekt, o który chodziło ci od początku.

- Najważniejsze było wygranie wojny. Koncentrowałem się na pracy przy szkoleniu dzieci. Kto mógł przewidzieć, że wygramy w okolicznościach, które dadzą nam te wszystkie niezamieszkałe, już terraformowane i nadające się do życia planety? Spodziewałem się, że Ender zwycięży, albo Groszek, gdyby Ender zawiódł, ale sądziłem, że będziemy walczyć z robalami od świata do świata, a równocześnie jak najprędzej zakładać kolonie w przeciwnym kierunku, żebyśmy nie byli podatni na ich kontratak.

- Więc teraz jesteś tutaj, żeby zrobić sobie zdjęcie z kolonistami.

- Jestem, żeby mieć uśmiechnięte zdjęcie z Enderem, z tobą i kolonistami.

- Aha... - mruknął Mazer. - Chodzi o tych od sądu polowego.

- Najokrutniejsze w całym tym procesie było to, jak zszargali reputację Endera. Na szczęście większość ludzi pamięta zwycięstwo, nie dowody z procesu. A teraz umieścimy w ich umysłach kolejny obraz.

- Więc rzeczywiście troszczysz się o Endera?

Graff zrobił urażoną minę.

- Zawsze kochałem tego chłopaka. Trzeba być moralnym idiotą, żeby go nie kochać. Potrafię rozpoznać dobroć. I nienawidzę, kiedy łączą jego nazwisko z morderstwami dzieci.

- Naprawdę ich zabił.

- Nie wiedział o tym.

- Przecież to zupełnie inna sprawa, Hyrum, niż wygranie

wojny, kiedy myślał, że to gra - rzekł Mazer. - Wiedział, że to realna walka o życie, i wiedział, że musi wygrać rozstrzygająco. Musiał zdawać sobie sprawę, że możliwa jest śmierć przeciwnika.

- Sugerujesz, że jest tak winien, jak twierdzili nasi przeciwnicy?

- Sugeruję, że ich zabił i wiedział, co robi. Nie znał dokładnego wyniku walki, ale podejmował działania, które mogły spowodować poważne i trwałe obrażenia u tych chłopców.

- Oni chcieli go zabić!

- Bonzo tak - zgodził się Mazer. - Stilson był tylko małym dręczycielem.

- Ale Ender był niewyszkolony. Nie wiedział, jak ich rani, nie wiedział, że jego buty mają metalowe czubki. Chytrze to wymyśliliśmy, że zmuszaliśmy go do noszenia takich butów, aby zapewnić mu bezpieczeństwo.

- Hyrum, uważam, że działania Endera były całkowicie usprawiedliwione. Nie chciał walczyć z tymi chłopcami, więc jedyny wybór, jaki mu pozostał, to jak decydująco wygra.

- Albo przegra.

- Przegrana nigdy nie była dla Endera realną możliwością, Hyrum. Nie jest do niej zdolny, nawet jeśli wydaje mu się, że jest.

- Wiem tylko tyle, że obiecał spróbować to zdjęcie ze mną i z tobą wprowadzić do planu zajęć.

Mazer pokiwał głową.

- I według ciebie chciał przez to powiedzieć, że to robi.

- On nie ma planu zajęć. Myślałem, że ironizuje. Co właściwie ma do roboty oprócz włączenia się z Valentine?

Mazer parsknął śmiechem.

- A co robił przez ponad rok? Studiował formidów tak

obsesyjnie, że baliśmy się o jego zdrowie psychiczne. Ale muszę zaznaczyć, że od przybycia tu kolonistów przygotowuje się do bycia gubernatorem nie tylko z tytułu.

- Admirał Morgan będzie zawiedziony.

- Admirał Morgan sądzi, że postawi na swoim - stwierdził Mazer. - Bo nie zdaje sobie sprawy, że Ender poważnie myśli o rządzeniu kolonią. Ostatnio stara się zapamiętać dossier wszystkich kolonistów: wyniki testów, relacje rodzinne z innymi kolonistami i z członkami rodzin, którzy zostali na Ziemi, miasta i kraje, z których pochodzą, i co się tam działo w minionym roku, w okresie, kiedy się zgłaszali.

- I admirał Morgan nie wyciąga z tego wniosków?

- Admirał Morgan jest dowódcą. Wydaje rozkazy, które przekazywane są niżej. Znajomość z trepami to zadanie dla podoficerów.

Graff wybuchnął śmiechem.

- A ludzie nie rozumieją, czemu to dzieciom kazaliśmy dowodzić w decydującej kampanii.

- Każdy oficer uczy się funkcjonować w systemie, który pozwolił mu awansować - odparł Mazer. - Ten system nadal jest chory... Zawsze był i zawsze będzie. Ale Ender się nauczył, jak wygląda prawdziwe przywództwo.

- Albo urodził się z tą wiedzą.

- I dlatego bardzo się stara, by każdego z kolonistów powitać po imieniu i przynajmniej pół godziny z nim porozmawiać.

- Nie może tego robić w czasie lotu?

- Spotyka się tylko z tymi, którzy przejdą w stazę. Ci, którzy nie chcą spać, spotkają się z nim po starcie. Więc kiedy mówi, że postara się wcisnąć cię w swój plan zajęć, to nie żartuje. Większość kolonistów to śpiący i ledwie starcza mu czasu na rozmowy.

Graff westchnął.

- Czy on w ogóle sypia?

- Moim zdaniem uważa, że będzie miał na to czas po starcie. Kiedy admirał Morgan będzie dowodzić statkiem, a jemu nie pozostaną żadne oficjalne obowiązki z wyjątkiem tych, które sam sobie wyznaczy. Przynajmniej w taki sposób Valentine i ja odczytujemy jego zachowanie.

- Nie rozmawia z nią?

- Ależ rozmawia. Tylko nie chce się przyznać, że ma jakiegokolwiek plany albo powody, by robić to, co robi.

- Dlaczego ma przed nią sekrety?

- Nie jestem przekonany, że to sekrety. On może nie wiedzieć, że ma jakiegokolwiek plany. Myślę, że osobiście wita kolonistów, bo tego potrzebują i oczekują. To obowiązek, a ponieważ tak wiele dla nich znaczy, więc go wykonuje.

- Bzdura - uznał Graff. - Ender zawsze ma plany wewnątrz planów.

- Wydaje mi się, że myślisz o sobie.

- Ender jest w tym lepszy ode mnie.

- Wątpię - stwierdził Mazer. - Biurokratyczne manewry okresu pokoju? Nikt nie robi tego lepiej od ciebie.

- Chciałbym z nimi lecieć.

- Więc leć. - Mazer wybuchnął śmiechem. - Ale przecież wcale tego nie chcesz.

- Czemu nie? - obruszył się Graff. - Mógłbym kierować ministerstwem przez ansibl. Zobaczyłbym na własne oczy, co osiągnęli nasi koloniści przez te lata, kiedy czekali na wsparcie. A dzięki zaletom prędkości relatywistycznych dożyłbym do zakończenia mojego wielkiego projektu.

- Zaletom?

- Dla ciebie to straszliwa ofiara. Ale zauważyłeś pewnie, Mazer, że się nie ożeniłem. Nie mam żadnych skrywanych zaburzeń funkcji reprodukcyjnych. Moje libido i pragnienie

posiadania rodziny są tak samo silne jak u każdego mężczyzny. Ale już przed laty postanowiłem, że moją żonę zostanie pośmiertnie Matka Ewa i adoptuję wszystkie jej dzieci. Wszystkie mieszkały w tym samym zatłoczonym domu, gdzie mogły zginąć w jakimś nieszczęśliwym pożarze. Moim zadaniem stało się przeprowadzenie ich do stojących daleko od siebie domów, żeby mogły żyć wiecznie. Jako zbiorowość oczywiście. Zatem nieważne, dokąd się udam, nieważne z kim, zawsze będą mnie otaczały moje przybrane dzieci.

- Ty naprawdę udajesz Boga.

- Zapewniam cię, że to nie jest udawanie.

- Jak stary aktor... Wydaje ci się, że były przesłuchania i ty dostałeś rolę.

- Może wchodzę na zastępstwo. Kiedy On zapomina o jakichś drobiazgach, ja przejmuję obowiązki.

- No więc co masz zamiar zrobić w sprawie zdjęcia z Enderem?

- Prosta sprawa. To ja decyduję, kiedy statek odleci. A zatem w ostatniej chwili wystąpi usterka techniczna. Enderowi, który wykona już swoje obowiązki, zaproponujemy drzemkę. Kiedy się obudzi, zrobimy kilka zdjęć, problemy techniczne zostaną w cudowny sposób usunięte i statek ruszy w rejs.

- Z tobą na pokładzie - dokończył Mazer.

- Muszę być tutaj, żeby walczyć o ten projekt - oświadczył Graff. - Gdybym nie utrudniał życia przeciwnikom, projekt zostałby zlikwidowany po paru miesiącach. Na świecie jest tylu ważnych ludzi, którzy nie potrafią dostrzec żadnej wizji, o jakiej sami nie pomyśleli...

Valentine lubiła patrzeć, jak Graff i Rackham traktują Endera. Graff był jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie, Rackhama wciąż uważano za legendarnego bohatera, a jednak

obaj spokojnie ustępowali Enderowi. Nigdy niczego mu nie rozkazywali; zawsze brzmiało to: „Czy zechce pan stanąć tu na chwilę do fotografii?”, „Czy ósma rano będzie odpowiednia?” albo „Cokolwiek pan włoży, będzie właściwe, admirale Wiggin”.

Oczywiście Valentine wiedziała, że tytułowanie go admirałem przeznaczone było dla innych admirałów, generałów i ważnych polityków, którzy przyglądali się wszystkiemu - w większości ze złością, bo nie pozowali do fotografii. Widziała jednak wiele sytuacji, kiedy Ender wyrażał swoją opinię czy choćby się wahał. Graff zwykle mu ustępował. A jeśli nie, Rackham z uśmiechem wyrażał punkt widzenia Endera i upierał się przy nim.

Opiekowali się Enderem.

To była szczerza miłość i szacunek. Może i stworzyli go jak narzędzie w kuźni, może wykuli i oszlifowali do kształtu, jaki chcieli uzyskać, a potem wbili go w serce nieprzyjaciela. Ale teraz naprawdę kochali tę stworzoną przez siebie broń.

Myśleli, że jest poraniony. Że jego pasywność jest skutkiem traumy, odkrycia, co naprawdę zrobił - doprowadził do śmierci dzieci, wszystkich formidów, tysięcy ziemskich żołnierzy, którzy polegli w ostatniej kampanii, kiedy on wierzył, że to tylko gra.

Po prostu nie znają go tak dobrze jak ja, myślała Valentine.

Och, wiedziała, jak niebezpieczna może być taka myśl. Cały czas była czujna, by nie zaplątać się w sieć własnej próżności. Nie zakładała, że zna Endera. Przyglądała mu się jak obcemu, obserwowała, co robi, co mówi i co chce tym osiągnąć.

Na ogół jednak nauczyła się dostrzegać ukryte w nim dziecko. Widziała kiedyś, jak słucha rodziców - natychmiast, bez dyskusji, bez pytań, choć mógłby wyklócić się albo wyprosić zwolnienie od uciążliwych obowiązków. Godził się ponosić odpowiedzialność i godził się z tym, że nie zawsze on decyduje, za co odpowiada albo kiedy trzeba wykonać zadanie.

Dlatego polecenia rodziców wypełniał niemal bez wahania.

Ale to nie wszystko. To prawda, że Ender był poraniony. Ponieważ w jego posłuszeństwie było coś więcej niż to radosne dziecko, natychmiast spełniające prośby rodziców. Valentine dostrzegała też silne podobieństwa do tego, jak zachowywał się wobec Petera - okazując posłuszeństwo, by uniknąć konfliktu.

Ender krążył pomiędzy tymi dwiema postawami: gorliwością i rezygnacją zmieszaną z lękiem.

Nie mógł się już doczekać podróży, pracy, jaką miał wykonać. Rozumiał jednak, że stanowisko gubernatora to cena, jaką płaci za swój bilet. A więc grał swoją rolę, wykonywał obowiązki, wśród nich także pozowanie do zdjęć, oficjalne pożegnania, przemówienia tych samych oficerów, którzy pozwolili tak bardzo zszargać jego reputację podczas procesu Graffa i Rackhama.

Stał więc z uśmiechem - szczerym uśmiechem, jakby naprawdę lubił tego człowieka - gdy admirał Chamrajnagar przypinał mu najwyższe odznaczenie, jakie mogła przyznać Międzynarodowa Flota. Valentine przyglądała się temu niechętnie. Dlaczego nie dostał tego medalu w czasie procesu, gdy byłoby to symbolem protestu przeciwko tym strasznym oskarżeniom? Dlaczego rozprawa została pokazana publiczności, chociaż Chamrajnagar mógł ją utajnić? Dlaczego w ogóle się odbyła? Prawo jej nie wymagało.

Chamrajnagar nigdy, nawet przez chwilę, nie był przyjacielem Endera - choć Ender dał mu zwycięstwo, jakiego inaczej by nie osiągnął.

W przeciwieństwie do Graffa i Rackhama, Chamrajnagar nie okazywał Enderowi prawdziwego szacunku. Jasne, nazywał go admirałem, tylko kilka razy próbując mówić „mój chłopcze”, co natychmiast poprawiał Rackham, ku widocznej irytacji Chamrajnagara. Oczywiście, nic nie mógł z Rackhamem zrobić

- mógł tylko dopilnować, żeby znalazł się na wszystkich fotografiach, ponieważ dwaj bohaterowie obok wielkiego polemarchy tworzyli jeszcze bardziej niezapomniany obraz.

Dla Valentine było oczywiste, że Chamrajnagar jest zachwycony - i ta radość wynika oczywiście z faktu, że już wkrótce Ender znajdzie się na statku i odleci. Chciałby jak najbardziej przyspieszyć tę chwilę.

A jednak wszyscy czekali, aż zdjęcia zostaną wydrukowane w postaci fizycznej, aby Ender, Rackham i Chamrajnagar mogli podpisać te niezwykle cenne pamiątki.

Rackham i Ender dostali po jednym podpisanym egzemplarzu. Chamrajnagar wręczył im je szerokim gestem, jakby sobie wyobrażał, że to dla nich zaszczyt.

A potem wreszcie odszedł - „na stanowisko obserwacyjne, by być świadkiem, jak ten wspaniały statek wyrusza z misją nie zniszczenia, ale tworzenia”. Inaczej mówiąc, by pozować do zdjęć ze statkiem w tle. Valentine wątpiła, czy dziennikarzom pozwolono fotografować cokolwiek, co nie zawierało uśmiechniętej twarzy Chamrajnagara.

Wielkim ustępstwem było więc to, że fotografia Graffa, Rackhama i Endera w ogóle mogła zaistnieć. Może Chamrajnagar nie wiedział, że została zrobiona. Co prawda wykonał ją oficjalny fotograf floty, ale może był dostatecznie nielojalny, by zrobić zdjęcie, które nie spodoba się szefowi.

Valentine знала Graffa na tyle dobrze, by wiedzieć, że zdjęcia polemarchy będą publikowane rzadko w porównaniu z fotografią Graffa, Rackhama i Endera, która pojawi się we wszystkich możliwych wiadomościach: elektronicznych, wirtualnych i papierowych. Dla celów Graffa przydatne będzie uświadomienie mieszkańcom Ziemi, że MF ma teraz jedynie dwa zadania: wspieranie programu kolonizacji i karanie z kosmosu każdego mocarstwa na Ziemi, które ośmieli się użyć

broni jądrowej lub grozić jej użyciem.

Chamrajnagar nie pogodził się jeszcze z ideą, że większość budżetu MF, jej stacji i baz przechodzi przez ręce Graffa jako ministra kolonizacji. A równocześnie Graff doskonale zdawał sobie sprawę, że strach przed reakcją niezadowolonej MF - która mogłaby na przykład przejąć od polityków władzę nad światem, jak tego próbował Układ Warszawski - gwarantował fundusze dla jego projektu.

Chamrajnagar nigdy nie zrozumie, dlaczego stał się tylko dodatkiem do tego wszystkiego, dlaczego jego zabiegi nie przynoszą skutku - oprócz zgody na proces mający pomniejszyć rolę Endera.

Po raz kolejny wzbudziło w niej podejrzenie to, że Graff także mógł zapobiec procesowi, gdyby zechciał, że może to właśnie była cena, którą zapłacił za jakąś przyszłą przewagę. Nawet jeśli jedynym skutkiem rozprawy byłoby „wykazanie” Graffowi, że nie wszystko idzie po jego myśli, ten rezultat stanie się źródłem samozadowolenia dla rywali i przeciwników Graffa, a Valentine dobrze wiedziała, że samozadowolenie jest najlepszą możliwą postawą dla czyichś rywali i przeciwników.

Graff kochał i szanował Endera, ale nie cofnąłby się przed pozwoleniem, by zdarzyło mu się jakieś nieszczęście, jeśli tylko służyłoby to większej sprawie. Czy nie dowodził tego raz za razem?

No cóż, panie ministrze, zanim dotrzemy do kolonii Szekspir, prawie na pewno będzie pan albo martwy, albo bardzo, bardzo stary. Zastanawiam się, czy nadal będzie pan wszystkim kierował.

Biedny Peter... Starał się zdobyć władzę nad światem, podczas gdy Graff już tego dokonał. Różnica polegała na tym, że Peter chciał być uznany za władcę; wszystkie zewnętrzne formy rządów powinny wyraźnie prowadzić do jego tronu. Tymczasem

Graff zamierzał tylko używać swej władzy nad wszystkim, czym zechciał kierować, wyłącznie dla osiągnięcia swego jedyne, wzniosłego celu.

Ale czy poza tym nie są tacy sami? Manipulatorzy, którzy pozwalają, by ktokolwiek inny płacił cenę wymaganą dla osiągnięcia ich celu. W przypadku Graffa był to słuszny cel, Valentine chętnie współdziałała przy jego realizacji. Ale czy cel Petera także nie był dobry? Koniec wojen, gdyż świat będzie zjednoczony pod wspólnym rządem. Jeśli mu się uda, czy nie stanie się to błogosławieństwem dla ludzkości, tak samo jak wszystko, co osiągnie Graff?

Musiała obu oddać sprawiedliwość. Nie byli potworami. Nie żądali, by wszelkie koszty ponosili inni, a oni sami żadnych. W razie potrzeby byli skłonni do osobistych ofiar. Rzeczywiście służyli sprawom większym niż oni.

Ale czy tego samego nie da się powiedzieć o Hitlerze? W przeciwieństwie do Stalina i Mao, którzy nurzali się w luksusach, gdy inni wykonywali całą pracę i ponosili wszelkie ofiary, Hitler żył skromnie i naprawdę wierzył, że służy wielkiej sprawie. I właśnie to czyniło go takim potworem. Dlatego Valentine nie była całkiem przekonana, czy ofiary ponoszone przez Petera i Graffa wystarczą, by rozgrzeszyć ich z potworności.

No cóż, teraz to już nie będzie jej problem. Niech Rackham pilnuje Graffa i zabije go, gdyby przestał się kontrolować, co mało prawdopodobne. I niech ojciec i mama kontynuują swe żalosne starania, nie dopuszczając, by Peter stał się demonem. Czy oni w ogóle zdają sobie sprawę, że postawa dobrego syna to w wykonaniu Petera tylko gra? Że kilka lat temu Peter najwyraźniej podjął świadomą decyzję, by udawać takiego chłopca, jakim był Ender? Wszystko to gra, drodzy rodzice - widzicie to? Czasami mam wrażenie, że tak, ale kiedy indziej

jesteście jak ślepcy.

Wszyscy zaginą w przeszłości, zanim dotrę tam, dokąd zmierzam. Moją terażniejszością będzie Ender i to, co robi. On jest całą moją trzódką, muszę prowadzić go, nie pozwalając zobaczyć kija pasterskiego, którego używam, żeby nim kierować i go ochraniać.

O czym ja myślę? Kto tu jest megalomanem? Uważam, że lepiej od Endera będę wiedzieć, co jest dla niego dobre, gdzie powinien pójść, co powinien robić, przed czym należy go ochraniać?

A przecież tak właśnie sądzę, ponieważ to prawda.

Ender był tak śpiący, że ledwie mógł ustać na nogach, ale pozował do wszystkich fotografii; starał się uśmiechać szczerze i ciepło. Te zdjęcia zobaczą mama i tato. I dzieci Petera, jeśli będzie je miał. Niech pamiętają, że miały kiedyś wujka Endera, który jako nastolatek zrobił coś bardzo sławnego, a potem bardzo daleko odleciał. A tak wyglądał w dniu odlotu. Widzicie? Był bardzo szczęśliwy. Widzicie, mamó i tato? Nie skrzywdziliście mnie, kiedy pozwoliliście im mnie zabrać. Nic mi się nie stało. Wszystko u mnie w najlepszym porządku. Popatrzcie na mój uśmiech. Nie zwracajcie uwagi na to, jaki jestem zmęczony, jak bardzo się cieszę, że odejdę, kiedy pozwolą mi odejść.

Wreszcie zrobiono ostatnie zdjęcie. Ender uściśnął Mazerowi dłoń; chciał powiedzieć: Szkoda, że z nami nie lecisz. Ale nie mógł, bo wiedział, że Mazer nie chce porzucać Ziemi, więc byłoby to egoistyczne życzenie. Dlatego powiedział tylko:

- Dziękuję za wszystko, czego mnie nauczyłeś. I za to, że zawsze przy mnie stałeś.

Nie dodał „stałeś przy mnie na procesie”, bo słowa mógłby pochwycić jakiś zabłąkany mikrofon.

Następnie podał rękę Graffowi.

- Mam nadzieję, że ta nowa praca się panu spodoba - powiedział.

To był żart i Graff go zrozumiał, nawet się lekko uśmiechnął.

Może zresztą ten wymuszony uśmiech wynikał z faktu, że Graff słyszał, jak Ender dziękuje Mazerowi, i zastanawiał się, czemu dla niego nie ma żadnych podziękowań. Ale Graff nie był jego nauczycielem, tylko jego zwierzchnikiem, a to nie to samo. Graff nie bronił go na procesie, o ile Ender mógł się zorientować. Zresztą przecież cały opracowany przez Graffa program nauczania miał skłonić Endera, by do samej głębi swej duszy uwierzył, że nikt nigdy mu nie pomoże.

- Dziękuję za tę drzemkę - powiedział.

Graff parsknął głośno.

- Obyś zawsze miał ich tyle, ile potrzebujesz.

Potem Ender znieruchomiał, patrząc w przestrzeń, na pusty pokój. Myślał: Żegnaj, mamó, żegnaj, tato. Żegnaj, Peter. Żegnajcie, wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci Ziemi. Zrobiłem dla was wszystko, co mogłem, przyjąłem od was wszystko, co mogłem, a teraz ktoś inny odpowiada za was wszystkich.

Podszedł do rampy prowadzącej na prom. Valentine ruszyła tuż za nim.

Prom zabrał ich z Erosa po raz ostatni. Żegnaj, Erosie, żegnajcie wszyscy żołnierze na nim, ci, którzy walczyli dla mnie i pozostałych dzieciaków, którzy manipulowali nami i okłamywali nas dla dobra ludzkości, którzy spiskowali, by mnie pohańbić i nie dopuścić do mojego powrotu na Ziemię - wszyscy, dobrzy i źli, szlachetni i samolubni, żegnam się z wami, nie jestem już jednym z was, ani pionkiem, ani zbawcą. Rezygnuję z funkcji.

Prawie się nie odzywał do Valentine, jeśli nie liczyć banalnych uwag na temat przelotu. Minęło pół godziny

manewrów, nim prom zadokował na pancerzu statku transportowego. Kiedyś statek miał wieźć żołnierzy i broń na wojnę; teraz wyładowany był ogromną ilością sprzętu i zapasów na potrzeby rolnictwa i produkcji kolonii Szekspir, a także ludźmi, którzy mieli dołączyć do kolonistów, wzbogacić ich pulę genetyczną, pomóc im uzyskać taką produktywność, by mieli też czas wolny na naukę, twórczość i rozrywki - życie bliższe temu, jakie oferowały społeczności Ziemi.

Ale wszystko już załadowano, wszyscy ludzie już weszli na pokład. Ender był ostatni. Ender i Valentine.

U stóp schodów, które miały ich zaprowadzić do statku, Ender zatrzymał się i odwrócił do Valentine.

- Możesz się jeszcze wycofać - powiedział. - Widzisz, że sobie poradzę. Ludzie z kolonii, których dotąd poznałem, są mili. Nie będę samotny.

- Boisz się wejść pierwszy na schody? - spytała. - Dlatego się zatrzymałeś i wygłosiłeś mowę?

Zatem Ender ruszył dalej, a Valentine za nim, tak więc stała się ostatnią kolonistką, która przecięła więzi łączące ich z Ziemią.

Pod nimi zatrzasnął się właz promu, potem kłapa luku statku. Stali w śluzie, dopóki nie otworzyły się drzwi, a za nimi czekał już admirał Quincy Morgan z wyciągniętą ręką. Jak długo stał w tej pozie? - zastanowił się Ender. Może przez długie godziny, nieruchomy jak manekin?

- Witam, gubernatorze Wiggin - odezwał się Morgan.

- Admirale Morgan - odparł Ender. - Nie jestem gubernatorem niczego, dopóki nie postawię stopy na planecie. W tej podróży, na pańskim statku, jestem studentem ksenobiologii i adaptowanego rolnictwa w kolonii Szekspir. Mam jednak nadzieję, że jeśli nie będzie pan zajęty, będę miał możliwość porozmawiania z panem i nauczenia się czegoś o

życiu żołnierza.

- To pan brał udział w walce.

- Ja toczyłem grę. Nie widziałem wojny. Ale na Szekspirze są koloniści, którzy pokonali tę drogę wiele lat temu, nie mając nadziei na powrót do domu. Chciałbym się dowiedzieć, jakie było ich szkolenie, ich życie.

- W takim razie musi pan tego szukać w książkach - oświadczył wciąż uśmiechnięty Morgan. - Dla mnie to także pierwsza międzygwiazdna wyprawa. Co więcej, o ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie odbył dwóch. Nawet Mazer Rackham ma na koncie tylko jedną podróż, która zakończyła się w punkcie początkowym.

- Chyba ma pan rację, admirale Morgan - przyznał Ender. - Wszystkich na pańskim statku czyni to pionierami.

Właśnie... Czy mówił „pański statek” dostatecznie często, by zapewnić Morgana, że zdaje sobie sprawę z hierarchii władzy?

Uśmiech Morgana pozostał niezmienny.

- Z radością porozmawiam z panem w każdej chwili. To zaszczyt mieć pana na swoim statku, sir.

- Proszę nie zwracać się do mnie „sir”, sir - poprosił Ender. - Obaj wiemy, że jestem admirałem tylko z nazwy. Nie chcę, by koloniści słyszeli, że ktoś określa mnie innym tytułem niż pan Wiggin, a najlepiej i to nie. Proszę mi pozwolić być Enderem. Albo Andrew, jeśli woli pan być oficjalny. Czy tak może być, czy będzie to źle wpływać na dyscyplinę?

- Uważam - rzekł Morgan - że nie będzie to miało wpływu na dyscyplinę. A zatem będzie tak, jak pan sobie życzy. A teraz porucznik Akbar pokaże panu i pańskiej siostrze wasze kabiny. Ponieważ niewielu pasażerów zdecydowało się czuwać w czasie lotu, większość rodzin dostała kwatery podobnych rozmiarów. Informuję o tym z powodu pańskiej notatki, by nie przyznawać panu nadmiernie obszernego lokalu.

- Czy pańska rodzina jest na pokładzie, sir?
- Zabiegałem o względy przełożonych i dzięki nim narodziła się moja kariera. Międzynarodowa Flota była moją jedyną oblubienicą. Podobnie jak pan, wyruszam jako kawaler.

Ender uśmiechnął się szeroko.

- Myślę, że pański stan kawalerski, podobnie jak mój, wkrótce zostanie zakwestionowany.

- Naszą misją jest reprodukcja gatunku poza granicami Ziemi - odparł Morgan. - Ale podróż przebiegnie spokojniej, jeśli w czasie lotu będziemy gorliwie bronić naszego kawalerskiego stanu.

- Mnie zabezpiecza ignorancja młodości, a pana dystans wobec władzy. Dziękuję panu za zaszczyt, jaki pan nam uczynił, witając nas tutaj. Trochę nie dosypiałem przez ostatnie dni, więc mam nadzieję, że wybaczy mi pan, jeśli pozwolę sobie na osiemnaście godzin odpoczynku. Obawiam się, że stracę początek akceleracji.

- Wszyscy stracimy, panie Wiggin - wyjaśnił Morgan. - Na tym statku tłumiki inercji działają perfekcyjnie. Prawdę mówiąc, już teraz przyspieszamy na poziomie dwóch jednostek grawitacji, a jednak jedyne wyczuwalne ciężenie generowane jest przez siłę odśrodkową rotacji statku.

- Dziwne - zauważyła Valentine. - Siła odśrodkowa także jest inercyjna, więc chyba również powinna być tłumiona.

- Tłumienie jest silnie kierunkowe i działa jedynie na ruch statku do przodu. Bardzo przepraszam, że ignorowałem panią niemal całkowicie, panno Wiggin. Obawiam się, że sława i ranga pani brata tak mocno mnie zaintrygowały, że zapomniałem o uprzejmości.

- Nie jest mi pan jej winien - zapewniła ze śmiechem Valentine. - Jestem tu tylko do towarzystwa.

Rozstali się i porucznik Akbar zaprowadził ich do kwatery.

Nie była obszerna, ale dobrze wyposażona. Porucznik przez kilka minut pokazywał, gdzie umieszczono ich ubrania, sprzęty i pulpity oraz jak używać wewnętrznego systemu komunikacji. Uparł się, że rozłoży ich pościółki, a potem złoży je i zablokuje, żeby obejrzel pełną demonstrację. Pokazał też, jak unosić i opuszczać parawany, które zmieniały główną kabinę w dwie osobne sypialnie.

- Bardzo dziękuję - powiedział Ender. - A teraz chyba znowu rozłożę łóżko, żeby się przespać.

Cały w przeprosinach, porucznik Akbar ponownie rozłożył pościółki, nie zważając na ich protesty, że przecież wcześniejszy pokaz miał na celu nauczenie ich robić to samodzielnie. Kiedy wreszcie skończył, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

- Sir - powiedział. - Wiem, że nie powinienem, ale... Czy mogę uścisnąć panu dłoń, sir?

Ender wyciągnął rękę i uśmiechnął się ciepło.

- Dziękuję za pomoc, poruczniku.

- To zaszczyt mieć pana na pokładzie, sir. - Akbar zasalutował.

Ender odpowiedział tym samym, po czym porucznik wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Ender usiadł na łóżku. Valentine także usiadła na swoim, naprzeciwko. Ender spojrzał na nią i wybuchnął śmiechem. Ona także.

Śmiali się tak, że w końcu Ender musiał się położyć i wytrzeć łzy z oczu.

- Mogę spytać - odezwała się Valentine - czy śmiejemy się z tego samego?

- A z czego ty się śmiałaś?

- Ze wszystkiego - odparła. - Cała ta sesja zdjęciowa przed startem, Morgan, który powitał nas tak serdecznie, jakby nie planował wbić ci noża w plecy, ten kult bohatera u porucznika

Akbara, mimo twojego uporu, że jesteś tylko „panem Wigginem”, co oczywiście też jest pozą. I to wszystko tak mnie rozbawiło.

- Widzę, że to naprawdę śmieszne. Byłem zbyt zapracowany, by się tym bawić. Próbowałem tylko nie zasnąć i mówić to, co należy.

- Więc z czego się śmiałeś?

- To była czysta radość. Radość i ulga. Za nic w tej chwili nie odpowiadam. Na czas lotu to jest statek Morgana, a ja po raz pierwszy w życiu stałem się wolnym człowiekiem.

- Jeszcze nie całkiem człowiekiem. Dzieckiem. Ciągłe jesteś niższy ode mnie.

- Ależ Val - oburzył się Ender. - Muszę się już golić co najmniej raz w tygodniu, bo inaczej pokazują się baczki.

Pośmiali się znowu, tylko trochę. Potem Valentine rzuciła polecenie i między ich łózkami opadła bariera. Ender rozebrał się do bielizny, wsunął się pod prześcieradło - nic więcej nie było potrzebne w tym klimatyzowanym pomieszczeniu - i po chwili już spał.

Rozdział. 8

To: GovDes@ShakespeareCol@ColMin.gov/voy

From: MinCol@ColMin.gov

Subject: Fwd: Raport o tworzeniu planety

Ender,

Biłem się z myślami, czy Ci to wysłać. Z jednej strony to wiadomość fascynująca, nawet pocieszająca; z drugiej wiem, jak bardzo cierpiełeś z powodu zniszczenia ojczyzny formidów i przypomnienie o tym może być bolesne. Zaryzykuję ból - Twój ból, więc dla mnie to niewielkie ryzyko, prawda? - bo jeśli ktokolwiek powinien dostawać te raporty, to właśnie Ty.

Hyrum

Wiadomość przekazana

To: MinCol@ColMin.gov

From: Lpo%formcent@IFCom.gov/poz

Subject: Raport o tworzeniu planety

Drogi Hyrumie,

Nie jestem pewien, czy znalazłeś się na liście tych, którzy powinni to zobaczyć, ponieważ minie wiele czasu, nim badana planeta stanie się gotowa do kolonizacji. Ale że nie ma już tutaj nieprzyjaciela, pomyślałem, że chciałbyś zobaczyć skutki wojny - poniżej znajdziesz nasze raporty z „oceny zniszczeń” (zauważ, że w moim nowym przydziale mieliśmy NIE stosować normalnych wojskowych skrótów i nazywać mojego poletka „OceZ” albo „ZniOc”. Mamy używać jedynie pierwszych liter, POZ. Jak mawiają dzieciaki, kuso).

SecureLinka7977@rTTu7&!a*****poZ.gov

Ustawiłem to tak, że twoje pełne imię i nazwisko jest chwilowym hasłem - na przyszły tydzień.

Na wypadek gdybyś nie miał czasu przeczytać pełnego raportu we wskazanej lokalizacji, oto streszczenie. Dawna planeta macierzysta formidów, zniszczona w zeszłym roku przez destrukcję molekularną, formuje się znowu. Nasz okręt odwodowy, zamiast próbować ratować przegraną bitwę, przekonał się, że pełni misję astronomiczną: obserwuje formowanie planet z - całkiem dosłownie - pierwotnego pyłu.

Ponieważ pole dm rozbiło wszystko na składowe atomy, pył zbiera się z

zaskakującą szybkością. Nasz okręt obserwacyjny znalazł się niedawno na pozycji, skąd mogli obserwować obłok pyłu i bezpośrednio za nim gwiazdę. W czasie przelotu dokonali dostatecznie wielu pomiarów spektrometrycznych i masy, by się przekonać, że ogromna większość atomów połączyła się znowu w typowe, oczekiwane molekuly i że grawitacja obłoku jest wystarczająca dla utrzymania całego materiału. Nastąpiły pewne ubytki wskutek osiągnięcia prędkości ucieczki, a także przyciągania słońca, wiatru słonecznego itd. Jednak nasze wstępne oceny sugerują, że nowa planeta będzie miała masę nie mniejszą niż 80% dawnej - możliwe, że więcej. Przy tym rozmiarze nadal będzie posiadała atmosferę potencjalnie zdatną do oddychania. Pojawi się też płynne jądro i płaszcz, ocean i prawdopodobnie ruchy tektoniczne grubszych obszarów skorupy - tzn. kontynenty.

Krótko mówiąc, choć niemożliwe jest znalezienie jakichkolwiek wytworów dawnej cywilizacji, sama planeta pojawi się znowu, dogodnie otulona atmosferą, na orbicie wokół gwiazdy - mniej więcej za tysiąc lat. Być może ostygnie dostatecznie, by można ją badać, w ciągu kolejnych dziesięciu tysięcy. Nadsię do kolonizacji za sto tysięcy, o ile już w chwili pełnego uformowania oceanów zasiejemy ją bakteriami natleniającymi i innymi formami życia.

My, ludzie, potrafimy niszczyć, ale pragnienie tworzenia trwa we wszechświecie nieugaszone.

Li

Niewiele było pomieszczeń publicznych na „Dobrym statku Lizaczku” (jak nazywała go Valentine), znanym także jako „IFcoltrans1” (co wymalowano na pancerzu i co nadawał bezustannie ze swojej radiolatarni) albo „Pani Morgan” (jak za plecami dowódcy mówili o statku oficerowie i załoga).

Była stołówka, gdzie nikt nie mógł siedzieć zbyt długo, gdyż taka czy inna zmiana przychodziła na posiłek co godzinę. Biblioteka służyła poważnym studiom personelu statku; pasażerowie mieli pełny dostęp do jej zawartości na pulpitych w swoich kwaterach, więc nie byli ciepło witani w czytelnicy.

Mesy oficerska i załogi były dostępne dla pasażerów tylko za zaproszeniem, a takie zaproszenia zdarzały się rzadko. Teatr

nadawał się do oglądania widów i holo albo żeby zebrać wszystkich pasażerów i ogłosić im coś ważnego, jednak prywatne rozmowy były tutaj z pewną niechęcią uciszane.

Dla celów towarzyskich pozostawał więc pokład widokowy, którego ściany odsłaniały się tylko wtedy, gdy napęd gwiazdny był wyłączony, a statek manewrował w pobliżu planety. Było też kilka pustych miejsc w ładowni - w drodze, w miarę zużywania zapasów, miała rosnąć ich liczba i powierzchnia.

A zatem na pokład widokowy prznosił się Ender codziennie po śniadaniu. Valentine była zaskoczona tym, jaki jest towarzyski. Na Erosie sprawiał wrażenie raczej zamkniętego w sobie i pochłoniętego badaniami; rozmawiał niechętnie. Teraz witał każdego, kto się pojawił, i gawędził przyjaźnie z każdym, kto chciał zająć mu czas.

- Dlaczego pozwalasz im sobie przeszkadzać? - spytała Valentine pewnego wieczoru, kiedy już wrócili na kwaterę.

- Oni mi nie przeszkadzają - zapewnił Ender. - Rozmowa z nimi to mój cel. Inną pracą zajmuję się wtedy, kiedy nie jestem im potrzebny.

- Czyli jesteś ich gubernatorem.

- Nie jestem. W tej chwili niczym nie rządę. To statek admirała Morgana i nie mam tu żadnej władzy.

Tak brzmiała standardowa odpowiedź Endera, kiedy ktoś prosił go o rozwiązanie jakiegoś problemu - by rozstrzygnął spór, wyjaśnił wątpliwość co do reguł, poprosił o zmianę warunków albo jakiś przywilej.

- Niestety, moja władza zaczyna się od chwili, kiedy postawię stopę na planecie Szekspir - tłumaczył wtedy. - Ale jestem pewien, że uzyskacie pomoc od oficera, któremu admirał Morgan zlecił kontakty z pasażerami.

- Ale pan też jest admirałem - upierało się kilka osób. Niektórzy nawet wiedzieli, że wśród admirałów Ender ma

wyższą rangę od Morgana. - Przewyższa go pan stopniem.

- Jest dowódcą statku - wyjaśniał zawsze z uśmiechem. - Na pokładzie nikt nie ma wyższej władzy.

Valentine takie odpowiedzi nie wystarczały - nie wtedy, kiedy byli sami.

- *Mierda, mi hermano* - powiedziała. - Jeśli nie masz żadnych formalnych obowiązków i nie jesteś gubernatorem, to czemu tyle czasu poświęcasz na... bycie sympatycznym?

- Zakładam, że pewnego dnia dotrzemy do celu - odparł Ender. - Do tego czasu powinienem znać każdą osobę, która zostanie w kolonii. Powinienem znać ich dobrze. Muszę wiedzieć, jak dopasowują się w rodzinach albo do przyjaciół poznanych na statku. Muszę wiedzieć, kto dobrze zna wspólny, a kto ma kłopoty z komunikacją poza językiem ojczystym. Kto jest wojowniczy, kto potrzebuje opieki, kto jest twórczy i pomysłowy, jakie mają wykształcenie, co myślą o nowych ideach. Dla pasażerów w chłodniach poświęciłem tylko pół godziny na każdą grupę. Dla tych, którzy w czasie lotu zachowują przytomność, jak my, mam o wiele więcej czasu. Może dosyć, by sprawdzić, czemu zdecydowali się nie zasypiać po starcie. Boją się stazy? Liczą na jakieś przewagi, kiedy dolecimy? Jak widzisz, Valentine, pracuję tutaj bez przerwy. I jestem zmęczony.

- Zastanawiałam się, czy nie uczyć angielskiego. Zaproponować lekcje...

- Nie angielskiego. Wspólnego. Ma łatwiejszą ortografię, brak trybów warunkowych, są pewne zmiany w pisowni. To tylko kilka różnic.

- Więc mogłabym ich uczyć wspólnego. Co o tym myślisz?

- Myślę, że będzie to trudniejsze, niż ci się wydaje, ale naprawdę by pomogło ludziom, którzy uczęszczaliby na te lekcje. Pod warunkiem że przyszliby ci, którzy tego potrzebują.

- W takim razie sprawdzę w bibliotece, jakie mają programy do nauki języków.

- Ale najpierw, mam nadzieję, spytasz admirała Morgana.

- Po co?

- To jego statek. Kurs wspólnego może się odbywać tylko za jego zgodą.

- A czemu miałoby mu to przeszkadzać?

- Nie wiem, czy mu przeszkadza. Wiem tyle, że to jego statek i musimy sprawdzić, czy nie przeszkadza, zanim zaczniemy robić coś tak oficjalnego i regularnego jak kurs językowy.

Jak się okazało, oficer wydelegowany do kontaktów z pasażerami, pułkownik Jarrko Kitunen, planował już uruchomienie kursów wspólnego i przyjął pomoc Valentine natychmiast, gdy tylko ją zaproponowała. Poza tym flirtował z nią bezwstydnie ze swoim fińskim akcentem, a ona się przekonała, że lubi jego towarzystwo. Ender cały czas był zajęty, z kimś rozmawiał albo czytał coś, co właśnie otrzymał z ansibla albo ściągnął z biblioteki, więc dobrze było mieć jakiś miły sposób spędzania czasu. Nad swoją historią Szkoły Bojowej potrafiła pracować najwyżej kilka godzin dziennie i z ulgą witała towarzystwo.

Wyruszyła w ten rejs dla Endera, ale na razie nie chciał jej w pełni dopuścić do swoich spraw. Nie miała jednak obowiązku snuć się ze smętną miną. I gdyby się okazało, że Ender zamierza stale ją izolować, nie chce odtworzyć dawnych więzów, to przecież będzie musiała ułożyć sobie własne życie, prawda?

Co nie znaczy, że w tym życiu ważny będzie Jarrko. Przed wszystkim był prawie o dziesięć lat starszy od niej. I należał do załogi. A statek - kiedy zostanie już wyładowany wszelkimi artefaktami, towarami i zapasami, jakich dostarczy kolonia Szekspir - wystartuje i wróci na Ziemię. Lub na Erosa. Jej na pokładzie nie będzie. A zatem wszelkie kontakty z Jarrko

muszą się zakończyć. Jemu to może odpowiadać, ale Valentine nie.

Jak zawsze powtarzał ojciec: „Monogamia jest tym, co na dłuższą metę najlepiej się sprawdza w dowolnej społeczności. Dlatego połowa z nas rodzi się mężczyznami, a połowa kobietami - żeby wypadało po równo”.

W efekcie Valentine nie zawsze towarzyszyła Enderowi - miała co robić, była zapracowana, miała własne życie. A to więcej, niż kiedykolwiek dał jej Peter, więc ogólnie była raczej zadowolona.

Tak się jednak zdarzyło, że była akurat z Enderem na pokładzie widokowym i pracowała nad książką, kiedy ta Włoszka z nastoletnią córką podeszły i stanęły w milczeniu, czekając, aż je zauważy. Valentine znała je, bo obie uczęszczały na jej lekcje wspólnego.

Ender spostrzegł je i natychmiast rzekł z uśmiechem:

- Dorabella i Alessandra Toscano. To przyjemność wreszcie was poznać.

- Nie byłyśmy gotowe - powiedziała Dorabella z wyraźnym włoskim akcentem. - Aż do twoja siostra nauczy nas angielskiego dobrze. - Zachichotała. - To znaczy wspólnego.

- Chciałbym mówić po włosku - oświadczył Ender. - To przepiękny język.

- Język miłości - stwierdziła Dorabella. - Nie jest francuski, brzydki język cmokania wargami i prychania.

- Francuski także jest piękny - zapewnił Ender, rozbawiony jej naśladownictwem francuskiej wymowy.

- Dla Francuzów i głuchych ludzi.

- Mamo... - wtrąciła się Alessandra. Mówiła prawie jak wykształcona Brytyjka. - Wśród kolonistów są ludzie mówiący po francusku i on nie może ich obrażać.

- Dlaczego mają być obrażeni? Cmokają wargami, żeby

mówić, my udajemy, że nie widzimy?

Valentine zaśmiała się głośno. Dorabella była dość zabawna z tą swoją stanowczością. Żywiółowa - to jest chyba odpowiednie słowo. Choć miała tyle lat, że mogłaby być matką Endera - zakładając, że jej córka jest mniej więcej w jego wieku - zdawało się niemal, że z nim flirtuje. Może należała do kobiet, które flirtują z każdym, ponieważ nie znają innych metod nawiązywania znajomości.

- Teraz jesteśmy gotowe - stwierdziła Dorabella. - Twoja siostra uczy nas dobrze, więc my gotowe na pół godziny z tobą.

Ender zamrugął.

- Ach, myślałyście... Rozmawiałem po pół godziny z kolonistami, którzy mieli lecieć w stazie, bo tyle tylko mieliśmy czasu, zanim staną się niedostępni. Ale koloniści na statku... mamy przecież rok czy dwa, mnóstwo czasu. Wydzielanie trzydziestu minut nie ma sensu. Jestem tu stale.

- Ale jesteś ważnym osobą, ratujesz cały świat.

Ender pokręcił głową.

- To była moja wcześniejsza praca. Teraz jestem tylko dzieckiem na stanowisku, które mnie przerasta. Usiądźcie, porozmawiamy. Bardzo dobrze mówicie po angielsku. Valentine wspominała mi, jak ciężko pracujecie... A twoja córka nie ma żadnego obcego akcentu i mówi płynnie.

- Bardzo inteligentna dziewczyna - zapewniła Dorabella. - I ładna też, tak? Jak myślisz? Niezła figura jak na czternaście lat.

- Mamo! - Alessandra skuliła się na krześle. - Czy jestem używanym samochodem? Czy jestem kanapką z budki na ulicy?

- Uliczne budki... - westchnęła Dorabella. - Jeszcze za nimi tęsknię.

- Już - poprawiła ją Valentine.

- Już jestem tęskniąca za nimi - poprawiła się z dumą Dorabella. - Taka mała planeta Szekspir będzie. Żadnych miast. Co mówiłaś, Alessandro? Powtórz mu.

Alessandra była trochę zmieszana, ale matka naciskała.

- Powiedziałam tylko, że więcej jest postaci w sztukach Shakespeare'a niż kolonistów na planecie noszącej jego imię.

Ender parsknął śmiechem.

- Niezła myśl. Masz rację, prawdopodobnie nie moglibyśmy wystawić wszystkich jego sztuk tak, by niektórzy nie musieli występować w kilku rolach. Nie żebym miał jakiś plan wystawiania Shakespeare'a. Chociaż może powinniśmy? Jak myślicie? Czy ktoś chciałby się przygotować do występu w spektaklu dla kolonistów, którzy już tam są?

- Nie wiemy, czy podoba im się nowa nazwa - zauważyła Valentine.

I pomyślała: czy Ender w ogóle zdaje sobie sprawę z pracy, jakiej wymaga przygotowanie sztuki?

- Znają już tę nazwę - zapewnił ją Ender.

- Ale czy im się podoba?

- To nieważne - stwierdziła Alessandra. - Za mało kobiecych *ruoli, parti...* jak to powiedzieć? - Bezradnie spojrzała na Valentine.

- Ról. Postaci.

- Och... - Alessandra zachichotała. Nie był to chichot irytujący, raczej czarujący. Nie brzmiał głupio. - Role... To samo słowo. Oczywiście.

- Masz rację - zgodziła się Valentine. - Wśród kolonistów jest mniej więcej połowa kobiet, a w sztukach Shakespeare'a ile? Może pięć procent ról kobiecych.

- No tak... - westchnął Ender. - To tylko pomysł.

- Szkoda, że nie możemy wystawić sztuki - powiedziała Alessandra. - Ale może byśmy ją razem przeczytali?

- W teatrze - dodała Dorabella. - W miejscu na *holografi*.
Wszyscy czytamy. Ja, ja słucham, mój angielski nie jest dość
dobry.

- Świetna myśl - przyznał Ender. - Może pani to zorganizuje,
signora Toscano?

- Proszę mnie nazywać po prostu przez Dorabella.

- W tym zdaniu nie ma przyimków - stwierdziła Alessandra.
- Po włosku też nie.

- Angielski ma tak wiele przyimków, wszędzie same
przyimki, oprócz miejsc, gdzie ja je wstawiam.

Roześmiała się i dotknęła ramienia Endera. Chyba nie
zauważyła, jak powstrzymał odruch, by się cofnąć - nie lubił,
kiedy obcy go dotykali, nigdy nie lubił. Ale Valentine to
spozstrzegła. Nadal pozostał Enderem.

- Nigdy nie widziałem sztuki w teatrze - powiedział. -
Czytałem je, oglądałem holo i widy, ale nigdy nie byłem w
pomieszczeniu, gdzie żywi ludzie głośno wypowiadają tekst.
Nigdy nie udało mi się tego zobaczyć, lecz chciałbym tam być i
słuchać, jak to się dzieje.

- Więc musisz! - zawołała Dorabella. - Jesteś gubernatorem.
Spraw, by się stało.

- Nie mogę - zapewnił Ender. - Naprawdę. Ty to zrób, proszę.

- Nie, nie można - oświadczyła Dorabella. - Mój angielski za
słaby. *Il teatro* jest dla młodych. Ja będę patrzeć i słuchać. Ty i
Alessandra się zajmijcie. Jesteście uczniami, jesteście dzieci.
Romeo i Julia.

Czy można sobie wyobrazić jaśniejszą sugestię? - pomyślała
Valentine.

- Mama uważa - wtrąciła Alessandra - że jeśli ty i ja często
będziemy razem, to zakochamy się i pobierzemy.

Valentine niemal roześmiała się w głos. A więc córka nie
była współspiskowcem, została wciągnięta z przymusu.

Dorabella udała, że jest zaszokowana.

- Nie mam planu jak ten!

- Och, mam, mam, planowałaś to od początku. Jeszcze w miasteczku, gdzie mieszkaliśmy...

- W Monopoli - rzekł Ender.

- Nazywała cię „młodym człowiekiem z widokami na przyszłość”. Dobrym kandydatem na męża. Ja uważam, że jestem jeszcze bardzo młoda, i ty też.

Ender starał się ułagodzić matkę.

- Proszę cię, Dorabello, wcale nie jestem urażony i oczywiście wiem, że niczego nie planowałaś. Alessandra przekomarza się ze mną. Z nami obojgiem.

- Wcale nie, ale możesz mówić, co chcesz, żeby mama była zadowolona - oświadczyła Alessandra. - Nasze wspólne życie to jedno wielkie przedstawienie. Robi ze mnie... nie to, że gwiazdę mojej autobiografii... Ale zawsze widzi szczęśliwe zakończenie, od samego początku.

Valentine nie była pewna, co sądzić o stosunku tych dwóch kobiet. W słowach były niechętne, niemal wrogie. A równocześnie Alessandra mocno objęła matkę i wydawało się, że jest szczerą. Całkiem jakby te słowa były elementem jakiegoś rytuału, ale już nie miały ranić.

Cokolwiek się działo między Enderem i Alessandrą, Dorabella chyba się uspokoiła.

- Powinniśmy wystawić grecką sztukę - stwierdziła dziewczyna. - „Medeę”. To ta, gdzie matka zabija własne dzieci.

Valentine była wstrząśnięta - to okrucieństwo powiedzieć coś takiego przy własnej matce. Ale sądząc z reakcji Dorabelli, Alessandrze nie chodziło o nią. Roześmiała się bowiem i pokiwała głową.

- Tak, tak, Medea, zła mama.

- Tylko powinniśmy dać jej inne imię - dodała Alessandra. -

Isabella!

- Isabella! - wykrzyknęła Dorabella niemal w tym samym momencie.

Po czym obie zaczęły śmiać się prawie do łez. Ender im zawtórował.

A potem, ku zdumieniu Valentine, kiedy obie kobiety wciąż jeszcze oddychały ciężko, Ender zwrócił się do niej i wyjaśnił:

- Isabella jest matką Dorabelli. Nie rozstały się w zgodzie.

Alessandra spoważniała i spojrzała na Endera badawczo. Ale jeśli Dorabella była zdziwiona, że chłopiec tak dużo wie o ich przeszłości, nie okazała tego.

- Zgłosiliśmy się do kolonii, żeby się uwolnić od mojej idealnej matki. Santa Isabella, nie będziemy się do ciebie modlić!

Mówiąc to, Dorabella poderwała się i zademonstrowała jakiś rodzaj tańca, może walca - jedną ręką unosiła nieistniejącą suknię, drugą, tańcząc, kreśliła w powietrzu dziwne figury.

- Zawsze mam magiczną krainę, gdzie mogę być szczęśliwa, i zabieram moją córkę tam ze mną, zawsze szczęśliwą. - Zatrzymała się przed Enderem. - Teraz moja magiczna kraina to kolonia Szekspir. A ty jesteś królem... *folletti*? - Zerknęła na córkę.

- Elfy - powiedziała Alessandra.

- Albo elfowie - uzupełniła Valentine.

- *Gli elfi!* - wykrzyknęła zachwycona Dorabella. - Znowu to samo słowo. *Elfo, elve!*

- Elf - powiedziały chórem Alessandra i Valentine.

- Król elfów - stwierdził Ender. - Zastanawiam się, jaki adres mailowy dostanę dla tej funkcji. ElfKing@Faerie.gov... - Zwrócił się do Valentine. - Czy może Peter aspiruje do tego tytułu?

Uśmiechnęła się.

- Wciąż nie może dokonać wyboru między hegemonem a

Bogiem.

Dorabella nie rozumiała wzmianki o Peterze. Znów zaczęła tańczyć, ale tym razem śpiewała bez słów jakąś natrętną melodię. Alessandra pokręciła głową, lecz przyłączyła się do śpiewu. A zatem słyszała to już wcześniej, skoro nuciła wraz z matką. Ich głosy zlewały się słodko.

Valentine z fascynacją obserwowała taniec Dorabelli. Z początku wydawało się jej, że to reakcja dziecinna, nawet dość szaleńcza. Teraz jednak dostrzegła coś jeszcze: Dorabella wiedziała, że zachowuje się niemądrze, ale płynęło to z głębi serca. Co nadawało pewne ironiczne znaczenie jej poruszeniom, jej minom... Dzięki temu łatwo było wybaczyć dziecinność, natomiast szczerłość wydawała się ujmująca.

Ta kobieta nie jest stara, uświadomiła sobie Valentine. Jest młoda i nadal ładna. Piękna nawet - zwłaszcza teraz, zwłaszcza podczas tego dziwnego, magicznego tańca.

Pieśń dobiegła końca. Dorabella tańczyła dalej, w ciszy.

- Mamo, możesz już przestać latać - odezwała się cicho Alessandra.

- Ależ nie mogę! - zawołała Dorabella, tym razem otwarcie żartując. - W tym statku mamy lecieć pięćdziesiąt lat!

- Czterdzieści lat - poprawił ją Ender.

- Dwa lata - powiedziała Alessandra.

Najwyraźniej pomysł wystawienia sztuki spodobał się Enderowi, gdyż wrócił do tematu.

- Nie „Romeo i Julia” - rzekł. - Potrzebujemy komedii, nie tragedii.

- „Wesołe kumoszki z Windsoru” - zaproponowała Valentine.
- Dużo postaci kobiecych.

- „Poskromienie złościcy”! - wykrzyknęła Alessandra.

Dorabella niemal upadła ze śmiechu - pewnie znowu chodziło o skojarzenie z Isabellą. A kiedy przestały się śmiać,

upierały się obie, że „Złośnica” to idealny wybór.

- Ja będę czytać rolę tej wariatki - zdecydowała Dorabella.

Valentine zauważyła, że Alessandra z trudem powstrzymuje się od komentarza.

Tak więc zrodził się plan publicznego czytania sztuki w teatrze, za trzy dni - trzy dni pokładowe, choć sama koncepcja czasu wydawała się Valentine trochę absurdalna w tej podróży, gdy czterdzieści lat miało upłynąć w dwa. Kiedy powinna obchodzić urodziny? Czy wiek ma liczyć według czasu pokładowego, czy według kalendarza planetarnego, kiedy już wylądują? I jakie właściwie znaczenie miał ziemski kalendarz na Szekspirze?

Naturalnie, w trakcie przygotowań Alessandra i Dorabella często spotykały się z Enderem i zadawały mu niezliczone pytania. Chociaż wyraźnie zaznaczył, że pozostawia im wszystkie decyzje, że nie kieruje tą inicjatywą, to jednak nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. Zdawało się, że lubi ich towarzystwo - choć Valentine podejrzewała, że nie z powodu, na jaki liczyła Dorabella. Ender nie zakochał się w Alessandrze, już raczej durzył się w matce. Nie, jeśli coś w nich kochał, to ten ich rodzinny związek. Były sobie bliskie tak, jak dawno temu Ender i Valentine. I w tę bliskość włączały Endera.

Czemu ja nie mogłam tego zrobić? Valentine była trochę zazdrosna, ale tylko z powodu własnej porażki, nie dlatego, że chciałyby pozbawić go radości, jaką dawały kontakty z rodziną Toscano.

Było całkiem oczywiste, że wciągnęły go do obsady. Ender miał czytać rolę Lucencja, młodego wielbiciela Bianki - którą naturalnie grała Alessandra. Sama Dorabella wzięła dla siebie postać Katarzyny Złośnicy, Valentine zaś dostała tylko niewielką rolę Wdowy. Nie udawała, że jej to nie interesuje - na statku nie działo się nic ciekawszego, więc czemu nie miałyby w

tym uczestniczyć? Była siostrą Endera; niech ludzie usłyszą jej głos, zwłaszcza w roli wulgarnej, hałaśliwej Wdowy.

Z rozbawieniem obserwowała, jak uwaga chłopców i mężczyzn, obsadzonych w różnych rolach, koncentruje się na Dorabelli. Ta kobieta miała wspaniały śmiech, głęboki, gardłowy i zaraźliwy. Przyjemnie było wywołać u niej taki śmiech w tej komedii i wszyscy starali się ją zadowolić. Co skłoniło Valentine do zastanowienia, czy doprowadzenie do związku Endera i Alessandry rzeczywiście było głównym zamierzeniem tej kobiety. Ona mogła w to wierzyć, ale sama zajęła centrum sceny i chyba była zachwycona tym, że na siebie ściąga wszystkie spojrzenia. Flirtowała ze wszystkimi, czarowała wszystkich, a jednak zawsze zdawała się przebywać we własnym świecie.

Czy ktoś kiedyś grał w taki sposób Kasię Złościcę?

Może każda kobieta ma w sobie to, co Dorabella? Valentine szukała w sercu tej niezwyklej impulsywności... Umiem się bawić, przekonywała samą siebie. Umiem się cieszyć...

Wiedziała jednak, że w jej żartach zawsze tkwi ironia, w rozmowach rodzaj złośliwości. U Alessandry lękliwość przesłaniała wszystko - dziewczyna była śmiała w słowach, ale tak jakby po fakcie własne wypowiedzi ją zaskakiwały i krępowały. Za to Dorabella nie była ani ironiczna, ani zalękniona - była kobietą, która zmierzyła się ze wszystkimi smokami i zabiła je; teraz była gotowa na zachwyty podziwiających ją tłumów. Teksty Katarzyny wypowiadała z głębi serca, z gniewu, pasji, rozdrażnienia, frustracji, a w końcu z miłości. Końcowy monolog, w którym poddaje się woli męża, był tak piękny, że Valentine popłakała się trochę. Myślała przy tym: jak to jest, pokochać i zaufać mężczyźnie tak bardzo, żeby ukorzyć się jak Katarzyna? Czy jest w kobietach coś takiego, co każe nam tęsknić za poniżeniem? A może we wszystkich

ludzkich istotach coś sprawia, że kiedy zostajemy pokonani, cieszymy się z podporządkowania? Wyjaśniłoby to wiele historycznych wydarzeń.

Ponieważ każdy, kto interesował się przedstawieniem, już w nim występował, sam spektakl nie mógł nikogo zaskoczyć. Na ostatniej próbie Valentine chciała już spytać całą grupę: „Po co w ogóle premiera? Właśnie to zrobiliśmy i było wspaniale”.

Ale zapowiadany spektakl wzbudził już podniecenie na całym statku i Valentine zrozumiała, że próba to nie występ, choćby poszła im znakomicie. W końcu na widowni będą też ludzie, którzy nie oglądali prób. Dorabella krążyła więc po statku i zapraszała członków załogi, z których wielu obiecało przyjść. Pasażerowie, którzy nie występowali, szykowali się na spektakl, a niektórzy wyraźnie żalowali, że wcześniej zrezygnowali z udziału. „Następnym razem”, obiecywali.

Kiedy o wyznaczonej godzinie zjawili się w teatrze, przed wejściem stał Jarrko z surową, oficjalną miną. Nie, teatr nie będzie otwarty; z rozkazu admirała czytanie sztuki zostało odwołane.

- Gubernatorze Wiggin - powiedział.

Zły znak, skoro tytuł powrócił, uznała Valentine.

- Admirał Morgan chciałby natychmiast się z panem zobaczyć, sir, jeśli można.

- Oczywiście. - Ender z uśmiechem kiwnął głową.

A więc Ender spodziewał się czegoś takiego? Czy też zachowywał spokój, by się zdawało, że nic go nie zaskakuje?

Valentine ruszyła za bratem, ale Jarrko położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę cię, Val - szepnął. - Sam.

Ender uśmiechnął się do niej i pomaszerował sprężystym krokiem, jakby naprawdę się cieszył na spotkanie z admirałem.

- O co tu chodzi? - spytała cicho Valentine.

- Nie mam pojęcia - odparł Jarrko. - Naprawdę. Dostałem rozkaz: żadnych występów, teatr zamknięty, czy gubernator zechce natychmiast spotkać się z admirałem.

A zatem Valentine została z nim, próbując uspokoić aktorów i widzów, których reakcje wahały się od wściekłości do rewolucyjnego zapału. Niektórzy zaczęli nawet recytować swoje teksty na korytarzu, dopóki Valentine nie poprosiła ich, by przestali.

- Biedny pułkownik Kitunen będzie miał kłopoty, a jest zbyt uprzejmy, żeby wam przerywać.

W rezultacie wszyscy byli źli na admirała za to nieuzasadnione odwołanie całkiem nieszkodliwej inicjatywy. Valentine też nie mogła powstrzymać zdziwienia. Co ten człowiek sobie myśli? Słyszał kiedyś o morale? Może i słyszał, ale wyraźnie nie pochwalał.

Działo się tutaj coś dziwnego i zaczęła się zastanawiać, czy nie stoi za tym Ender. Czy to możliwe, że na swój sposób jest tak samo podstępny i zdradliwy jak Peter?

Nie. Niemożliwe. Zwłaszcza że Valentine zawsze umiała przejrzeć Petera. Ender wcale nie jest przebiegły. Mówi to, co myśli, i myśli to, co mówi.

Co teraz robi?

Rozdział. 9

To: Demostenes@LastBestHopeOfEarth.pol
From: PeterWiggindhegemony.gov/hegemon
Subject: Kiedy Cię nie było

Prosiłem kogoś z mojego personelu, żeby przeprowadził wyliczenia, ile czasu dla Ciebie minęło, odkąd rozpoczęłaś tę swoją relatywistyczną wyprawę w przyszłość. Podał mi zakres możliwego subiektywnego trwania - w każdym razie kilka tygodni. Dla mnie to parę lat. Mogę zatem bezpiecznie założyć, że tęsknię za Tobą o wiele bardziej niż Ty za mną. W tej chwili sądzisz zapewne, że nigdy i wcale nie będzie Ci mnie brakowało. Świat jest pełen ludzi przekonanych o tym samym. Mgliście pamiętają, że wybrano mnie na urząd hegemonu. Tyle że nie mogą sobie przypomnieć, do czego służy ten urząd. Kiedy w ogóle o mnie myślą, to uważają, że nazywam się Locke.

A jednak toczę wojnę. Moje wojsko jest małe i dowodzone - nigdy nie zgadniesz - przez Groszka, starego kumpla Endera. Pozostałe dzieci z jego jeeshu - to w slangu Szkoły Bojowej oznacza armię, ale przyjęło się tutaj i tak są nazywane - zostały porwane przez Rosjan, których zachęcił pewien zdradziecki mały drań imieniem Achilles, którego wywalili ze Szkoły Bojowej. Wydaje się, że Achilles wybrał sobie przeciwnika lepiej niż Bonito de Madrid - to Groszek stanął przeciwko niemu w ciemności, tak przynajmniej słyszałem, i zamiast zabić, oddał go w ręce władz. Słyszałaś kiedy tę historię? Czy Ender wiedział o niej, kiedy się zdarzyła? Achilles to Hitler działający ukradkiem. Stalin z mózgiem, energiczny Mao - wybierz własnego potwora. Achilles ma także niewygodne zalety, które czynią go trudnym do powstrzymania i jeszcze trudniejszym do zabicia. Groszek przysiągł, że to zrobi, ale miał już kiedyś szansę i ją zmarnował, więc jestem sceptyczny.

Chciałbym, żebyś tu była.

Więcej nawet: chciałbym, żeby był tu Ender. Prowadzę wojnę z pomocą armii liczącej parę setek ludzi - bardzo lojalnych, znakomicie wyszkolonych, ale tylko dwustu! Groszek to najlepszy z możliwych dowódców. Zawsze wygrywa, choć nie zawsze robi to, co mu każę, ani nie uderza tam, gdzie bym chciał. Sam sobie wybiera zadania. Trzeba mu

przyznać, że nie kłóci się ze mną przed swoimi (teoretycznie „moimi”) ludźmi.

Kłopot polega na tym, że te dzieciaki ze Szkoły Bojowej są takie cyniczne... W nic nie wierzą. A już z pewnością nie wierzą we MNIE. Tylko dlatego, że Achilles próbuje zamordować Groszka i zastraszył pozostałe dzieci, uważają, że nie są winni swej dożywotniej służby starszemu bratu Endera Wiggina. (To był żart. Nic mi nie są winni).

Wojny tu i tam, zmienne sojusze - przewidywałem, że to nastąpi, kiedy dzieciaki ze Szkoły Bojowej wrócą do domów. Stanowią taką doskonałą broń - potencjalnie zabójczą, ale bez opadu radioaktywnego ani grzybów atomowych. Nie wiem czemu, ale zawsze widziałem siebie jako sunącego po szczycie fali. Teraz czuję, że wciąga mnie w głąb. Z trudem potrafię rozpoznać, gdzie jest góra, i bez przerwy brakuje mi powietrza. Wydostaję się na szczyt, łapię oddech i znowu spadam na dół.

Na tym stanowisku przysługuje mi kilka przywilejów, przynajmniej na pewien czas. Minister kolonizacji Graff zapewnia, że mam nieograniczony dostęp do ansibla - mogę z Tobą rozmawiać, kiedy tylko zechcę. Pogratuluj mi, że nie przesadzam z wykorzystywaniem tego prawa. Wiem, że piszesz historię Szkoły Bojowej, więc pomyślałem, że przyda ci się informacja o karierach jej bardziej prominentnych absolwentów. Może do epilogu? Jeesh Endera walczył z formidami i wygrał, ale wszyscy prócz niego są teraz zaangażowani w ten czy inny sposób - jako jeńcy, podwładni, przywódcy, figuranci albo ofiary - w planowanie i działania wojskowe każdego kraju, który miał choć jednego z absolwentów i dość siły, by go obronić.

Przygotuj się zatem na góry informacji. Graff mówi, że wysłanie ich z jego biura (mieści się teraz w stacji dawnej Szkoły Bojowej) potrwa całe tygodnie, ale po twojej stronie dotrą niemal równocześnie. Mam nadzieję, że nie zirytuje to nadmiernie kapitana Waszego statku - jak rozumiem, to ktoś całkiem nieistotny, jednak nie Mazer Rackham - bo to, co wysłałem, idzie z priorytetem Hegemonii, co znaczy, że nie będzie mógł tego czytać, a wiadomości, których ON się spodziewa, będą musiały zaczekać. Przekaż mu moje przeprosiny - albo nie. Jak uznasz za stosowne.

Nigdy w życiu nie byłem taki samotny. Tęsknię za Tobą każdego dnia. Na szczęście ojciec i mama okazali się zaskakująco użyteczni. Nie, powinienem napisać „pomocni”, ale zostawię użytecznych, żebyś mogła pomyśleć: „Nic się nie zmienił”. Oni też za tobą tęsknią, a obok informacji

znajdziesz też listy od taty i mamy. A także listy od nich do Endera. Mam nadzieję, że chłopczyk przestanie w końcu się dąsać i im odpisze. Tęsknota za Tobą dała mi jakieś pojęcie o tym, co czują po stracie Endera (a teraz i Ciebie). Jeśli do nich napisze, będzie to dla nich ważne. A jego co to może kosztować?

Nie, ja nie będę do niego pisał. W tej firmie nie mam żadnych akcji. Mama i tato są biedni, bo tylko ja im zostałem jako dowód, że się rozmnażali. Spróbujcie rozjaśnić im trochę życie. Co jeszcze macie do roboty? Wyobrażam sobie, jak płyniesz przez kosmos z prędkością światła, służba przynosi ci drinki, a koloniści łaszą się i błagają Endera, żeby jeszcze raz opowiedział, jak rodzinna planeta formidów zrobiła BUM.

Kiedy to piszę, chwilami czuję się, jakbym znowu z Tobą rozmawiał. Ale w tej chwili to tylko bolesne przypomnienie, że to jednak nie jest rozmowa z Tobą. Wcale.

Jako oficjalny potwór rodziny mam nadzieję, że porównasz mnie z prawdziwym potworem, takim jak Achilles, i przyznasz mi parę punktów za to, że jednak nie byłem tak straszny, jak można być. Muszę Ci powiedzieć coś jeszcze: nauczyłem się, że kiedy nikomu już nie można zaufać - ale naprawdę nikomu - zawsze jest jeszcze rodzina. A jakoś udało mi się dopomóc w wygnaniu stąd dwojga ludzi spośród czworga, którym mogłem ufać. Wyjątkowo niezręcznie, n'est-ce pas?

Kocham Cię, Valentine. Żałuję, że od dzieciństwa nie traktowałem cię lepiej. Endera również. A teraz przyjemnej lektury. Na świecie panuje taki bałagan... Cieszę się, że Cię tu nie ma. Ale coś Ci obiecuję: zrobię wszystko, co możliwe, żeby uporządkować sprawy i zaprowadzić pokój. Mam nadzieję, że nie wywołałam po drodze zbyt wielu wojen.

Ściskam z całego serca.

Twój złośliwy brat

Peter

Admirał Morgan kazał mu czekać pod swoim gabinetem przez pełne dwie godziny. Jednakże Ender tego się właśnie spodziewał, więc zamknął oczy i wykorzystał ten czas na długą i odświeżającą drzemkę. Obudził się, słysząc krzyk zza drzwi:

- No to go obudź i przyprowadź, jestem gotowy!

Ender usiadł błyskawicznie, natychmiast orientując się w otoczeniu. Chociaż nigdy świadomie nie uczestniczył w bitwie,

opanovał wojskowy odruch zachowywania czujności nawet we śnie. Kiedy pojawił się podporucznik, który miał go obudzić, stał już i się uśmiechał.

- Jak rozumiem, pora na moje spotkanie z admirałem Morganem - powiedział.

- Tak, sir, jeśli pan pozwoli, sir.

Biedny dzieciak (był sześć czy siedem lat starszy od Endera, ale wciąż za młody, żeby admirał krzyczał na niego cały dzień) wychodził ze skóry, by okazać Enderowi uprzejmość. Więc Ender postarał się wyglądać na zadowolonego.

- Jest wściekły - szepnął porucznik.

- Zobaczymy, czy uda się poprawić mu trochę humor.

- Mała szansa - odpowiedział porucznik wciąż szeptem i otworzył drzwi. - Admirał Andrew Wiggin, sir.

Ender wszedł, gdy tylko został zaanonsowany. Młody oficer wyszedł pośpiesznie i zamknął za sobą drzwi.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zapytał admirał Morgan.

Twarz miał czerwoną z wściekłości. Ender drzemał przez dwie godziny, zatem Morgan albo był wściekły przez cały ten czas, albo potrafił wprowadzić się w taki stan, kiedy zechciał, dla lepszego efektu. Ender obstawiał to drugie.

- Spotykam się z dowódcą tego statku, na jego żądanie.

- Sir - dodał admirał Morgan z naciskiem.

- Och, nie musi się pan do mnie zwracać „sir” - zapewnił go Ender. - Nie lubię wymuszać przywilejów należnych randze.

Usiadł w wygodnym fotelu obok biurka, zamiast na stojącym przed nim twardym krześle.

- Na moim statku nie masz żadnej rangi - oświadczył Morgan.

- Nie mam władzy. Ale mój stopień podróżuje wraz ze mną.

- Podburzasz do buntu na moim statku, przejmujesz istotne rezerwy, stwarzasz zagrożenie dla misji, której głównym celem

jest dostarczenie ciebie do kolonii, którą rzekomo gotów jesteś zarządzać.

- Buntu? Przecież czytamy „Poskromienie złościcy”, a nie „Ryszarda II”.

- Jeszcze nie skończyłem, chłopcze! Może ci się wydawać, że jesteś wcieleniem heroizmu, bo ty i twoi kumple bawiliście się w grę wideo, która okazała się rzeczywistością, ale na moim statku nie będę tolerował dywersji! Cokolwiek zrobiłeś, co dało ci sławę i ten śmieszny awans, już się skończyło! Teraz żyjesz w prawdziwym świecie i jesteś tylko zasmarkanym bachorem ze złudzeniami własnej wielkości!

Ender siedział w milczeniu i przyglądał mu się spokojnie.

- Teraz możesz odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Na co Morgan zareagował taką wiązką obscenicznych i wulgarnych wyrażen, że brzmiało to, jakby kolekcjonował ulubione powiedzenia całej floty. Poprzednio był czerwony, teraz stał się fioletowy. A przez cały czas Ender usiłował zrozumieć, co w czytaniu sztuki mogło go tak rozwścieczyć.

Kiedy Morgan przerwał, by nabrać tchu, opierając się - nie, padając - na biurko, Ender wstał.

- Myślę, panie admirale, że powinien pan przygotować zarzuty dla sądu polowego.

- Sąd polowy? Nie postawię cię przed sądem, smarkaczu! Nie muszę! Mogę cię umieścić w stazie na cały czas podróży i wystarczy na to jeden mój podpis!

- Nie dla osoby w stopniu admirała - przypomniał mu Ender.

- Wydaje się też, że jedynie przedstawione sądowi formalne zarzuty pozwolą mi uzyskać sensowne wyjaśnienie, co zrobiłem, że uraziłem pańską godność i wywołałem taki niepokój.

- Ach, chcesz formalnego wyjaśnienia? Co powiesz na to: Całkowite przejęcie ansibla, tak że przez trzy godziny byliśmy

skutecznie odciąci od reszty znanego wszechświata? Jak to wyjaśnisz? Trzy godziny to ponad dwie doby w czasie rzeczywistym; mogła wybuchnąć rewolucja, mogły się zmienić moje rozkazy, mogło się wiele zdarzyć, a ja nie mogę nawet wysłać wiadomości ani zapytać!

- To rzeczywiście problem - zgodził się Ender. - Ale dlaczego uważa pan, że mam z tym coś wspólnego?

- Bo wszędzie tam jest twoje nazwisko. Przekaz jest adresowany do ciebie. I wciąż nadchodzi, blokując całą szerokość pasma ansibla.

- Nie przyszło panu do głowy, że wiadomość jest przeznaczona dla mnie, a nie ja ją wysłałem?

- Od Wiggina do Wiggina, do rąk własnych, z tak mocnym szyfrowaniem, że żaden z pokładowych komputerów nie zdołał go złamać.

- Próbował pan złamać kodowanie zabezpieczonej wiadomości skierowanej do wyższego oficera, bez zgody tego oficera?

- To wywrotowa wiadomość, mały, i dlatego musiałem ją przeczytać!

- Wie pan, że jest wywrotowa, bo nie potrafił pan złamać szyfru, a próbował pan złamać szyfr, bo jest wywrotowa - podsumował Ender.

Starał się mówić spokojnie i uprzejmie - nie dlatego, że ten jego niewzruszony spokój musiał Morgana rozjuszyć; to był tylko dodatkowy zysk. Zakładał po prostu, że cała ta rozmowa jest nagrywana i później może posłużyć jako dowód, więc nie miał zamiaru wypowiedzieć ani słowa czy zdradzić żadnej emocji, która nie świadczyłaby na jego korzyść w jakimś późniejszym procesie. Morgan mógł się zachowywać tak obraźliwie, jak tylko chciał - Ender nie zareaguje nawet jednym zdaniem, które potem można by zacytować, by wydał się

niechętny czy wrogi.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć - oświadczył Morgan. - Ściągnąłem cię tutaj i odwołałem to rzekome czytanie sztuki, żebyś odkodował transmisję w mojej obecności.

- Do rąk własnych, przekaz szyfrowany... Nie jestem pewien, czy powinien pan nalegać.

- Albo otworzysz ją teraz, przy mnie, albo trafisz do stazy i zejdziesz z tego statku dopiero na Erosie, żeby stanąć przed sądem wojennym.

Ktoś stanie przed sądem, pomyślał Ender, ale prawdopodobnie nie ja.

- Przyjrzę się jej - powiedział. - Nie mogę obiecać, że ją zdekoduję, ponieważ nie mam pojęcia, co w niej jest ani od kogo pochodzi.

- Jest od ciebie - odparł kwaśno Morgan. - Zorganizowałeś to wszystko przed odlotem.

- Nie zrobiłem tego, admirale Morgan. Zakładam, że ma pan w gabinecie zabezpieczony punkt dostępu?

- Przejdź tutaj i otwórz wiadomość.

- Sugeruję, żeby odwrócił pan terminal, admirale.

- Powiedziałem: przejdź i usiądź tutaj!

- Z całym szacunkiem, admirale Morgan, ale nie będzie żadnego nagrania, które pokazuje mnie siedzącego przy pańskim biurku.

Morgan wpatrywał się w niego i znowu czerwieniał na twarzy. Potem schylił się i odwrócił holograficzny wyświetlacz w stronę Endera.

Ender wcisnął palcem kilka pozycji w menu; Morgan stanął za nim, żeby patrzeć.

- Powoli, żebym widział, co robisz.

- Nic nie robię - odparł Ender.

- W takim razie trafisz do stazy, mój mały. Nigdy się nie

nadawałeś na gubernatora czegokolwiek. Jesteś dzieciakiem, za często chwalonym i całkiem rozpuszczonym. Nikt w tej kolonii nawet nie zwróci na ciebie uwagi! Jedyne sposob, żebyś w ogóle przeżył jako gubernator, to ten, że dostaniesz moje wsparcie. A po tym wszystkim możesz mieć pewność, że ci go nie udzielię. Skończyła się ta twoja zabawa w udawanie!

- Jak pan sobie życzy, admirale - rzekł Ender. - Ale nic nie robię z tą wiadomością, ponieważ niczego nie mogę zrobić. Nie jest adresowana do mnie i nie potrafię otworzyć zabezpieczonego przekazu, nie dla mnie przeznaczonego.

- Bierzesz mnie za durnia? Wszędzie tutaj jest twoje nazwisko!

- Tylko z zewnątrz. Rzeczywiście, wymieniony jest admirał Wiggin, czyli ja, ponieważ wiadomość została nadana z dowództwa floty przez bezpieczny kanał wojskowy, a docelowy adresat nie pełni żadnej wojskowej funkcji. Ale kiedy ją pan otworzy... a to ten poziom kodowania, że pańscy technicy zrobili to od razu, jestem pewien... przekona się pan, że Wiggin, będący tym docelowym adresatem, to nie A. Wiggin ani E. Wiggin, co by oznaczało mnie, lecz V. Wiggin, czyli moja siostra, Valentine.

- Twoja siostra?

- Technicy panu nie powiedzieli? I chociaż priorytet przekazowi nadał sam minister kolonizacji, prawdziwym nadawcą jest P. Wiggin, a jego przytoczony tytuł to hegemon. Uważam to za interesujące. Jedyne P. Wiggin, jakiego znam osobiście, to mój starszy brat Peter, a z tego chyba wynika, że mój brat został hegemonem. Wiedział pan o tym? Ja nie wiedziałem. Nie był nim, kiedy startowaliśmy.

Stojący mu za plecami admirał Morgan odpowiedział długą chwilą milczenia. Ender odwrócił się w końcu i spojrział na niego - znowu starając się nie dopuścić, by na jego twarzy

ukazał choćby cień tryumfu.

- Wydaje mi się, że mój brat, hegemon, wysłał prywatną wiadomość do mojej siostry, z którą przez wiele lat współpracował. Może potrzebuje jej rady. Ale nie ma to nic wspólnego ze mną. Wie pan, że nie widziałem się z bratem i nie porozumiewałem z nim w żaden sposób od chwili, kiedy w wieku sześciu lat trafiłem do Szkoły Bojowej. A z siostrą spotkałem się dopiero na kilka tygodni przed naszym odlotem. Przykro mi, że pańskie systemy łączności są zablokowane, ale jak powiedziałem, nie wiem, o co tu chodzi i nie mam z tym nic wspólnego.

Morgan wrócił za biurko i usiadł.

- Jestem zdumiony - oświadczył.

Ender czekał.

- Jestem zakłopotany - powiedział Morgan. - Wydawało mi się, że nastąpił atak na system łączności statku i że wykonawcą tego ataku jest admirał Wiggin. Wobec tego pańskie regularne spotkania z podgrupą kolonistów, na które zapraszał pan członków mojej załogi, podejrzenie przypominały bunt. Dlatego potraktowałem je jak bunt. Teraz przekonałem się, że moje podstawowe założenie było błędne.

- Bunt to poważna sprawa - przyznał Ender. - Oczywiście, że był pan zaniepokojony.

- Istotnie, pański brat jest hegemonem. Informacja o tym dotarła do mnie tydzień temu. Dwa tygodnie temu. W każdym razie rok temu czasu Ziemi.

- Absolutnie nie szkodzi, że mi pan nie powiedział. Z pewnością uznał pan, że dowiem się o tym z innych źródeł.

- Nie przyszło mi do głowy, że ten przekaz może pochodzić od niego i nie jest przeznaczony dla pana.

- Łatwo o Valentine zapomnieć. Stara się trzymać z tyłu. Taki już ma charakter.

Morgan spojrział na Endera z wdzięcznością.

- Więc rozumie mnie pan?

Rozumiem, że jesteś paranoicznym, żądnym władzy idiotą, odpowiedział w myślach Ender.

- Oczywiście.

- Czy pozwoli pan, że poślę po pańską siostrę?

Znów był na „pan”, nagle zaczął pytać o pozwolenie... Ale Ender nie chciał go przyciskać.

- Bardzo proszę. Jestem tak samo jak pan ciekaw treści tego przekazu.

Morgan wysłał podporucznika po Valentine, po czym usiadł i usiłował prowadzić swobodną pogawędkę. Opowiedział dwie na pozór zabawne historyjki z czasów swojego szkolenia - nigdy nie był w Szkole Bojowej, doszedł do wszystkiego „trudniejszą drogą”, przez kolejne awanse. Było jasne, że nie lubił Szkoły Bojowej i domniemanej niższości wszystkich, których tam nie zaproszono.

Czy tylko o to chodzi? - zastanawiał się Ender. O tradycyjną rywalizację między absolwentami akademii wojskowych i tymi, którzy nie mieli na starcie takich forów?

Kiedy weszła Valentine, Ender śmiał się głośno z opowieści Morgana.

- Val - powiedział, wciąż rozbawiony. - Chcemy, żebyś nam w czymś pomogła.

Szybko wyjaśnił, o co chodzi z transmisją, która zajęła na wiele godzin ansibla, blokując całą łączność.

- Spowodowało to wiele zamieszania, więc oczywiście admirał Morgan bardzo się zaniepokoił. Wszyscy byśmy odetchnęli z ulgą, gdybyś otworzyła tę wiadomość tutaj, na miejscu, żebyśmy mieli pojęcie, czego dotyczy.

- Będę patrzył, jak pani ją otwiera - wtrącił Morgan.

- Nie, nie będzie pan - odparła Valentine.

Przez chwilę patrzyli na siebie wrogo.

- Valentine chciała przez to powiedzieć - wyjaśnił szybko Ender - że nie chce pokazywać samej procedury bezpieczeństwa. Wiadomość od hegemonu... z pewnością rozumie pan tę ostrożność. Ale jestem pewien, że moja siostra pokaże nam zawartość wiadomości w jakiś łatwy do zweryfikowania sposób. - Ender spojrzał na siostrę z żartobliwie słodziutkim uśmiechem. - Zrobisz to dla mnie, Val?

Wiedział, że ona zobaczy w tym kpinę z ich relacji, przywołaną wyłącznie ze względu na Morgana. Zatem oczywiście przystąpiła do gry.

- Ale tylko dla ciebie, panie Kartoflany Łbie. Gdzie mogę się włączyć?

Po chwili siedziała już przy biurku i przestukiwała się przez holo.

- Och, jest tylko połowicznie zabezpieczona - powiedziała. - Samym odciskiem palca. Każdy mógłby ją odczytać, wystarczy, że odciąłby mi palec. Muszę przekonać Petera, żeby używał pełnych zabezpieczeń: siatkówka, DNA, puls... Żeby musieli zachować mnie przy życiu, by się przebić. Wyraźnie nie ceni mnie dostatecznie wysoko.

Czytała przez chwilę, po czym westchnęła.

- Nie mogę uwierzyć, jakim idiotą jest Peter. I Graff też, prawdę mówiąc. Nie ma tu nic, czego nie można by wysłać otwartą transmisją, i nie widzę żadnego powodu, by nie przesyłać wiadomości po kawałku, zamiast jednym nieprzerwanym ciągiem z najwyższym priorytetem. To tylko masa artykułów, omówień i tak dalej, dotyczących wydarzeń na Ziemi z ostatnich kilku lat. Jak się zdaje, były wojny i wieści o wojnach...

Zerknęła na Endera.

Rozpoznał to biblijne odwołanie - kilka lat temu nauczył się

długich wersetów z Biblii, co było elementem strategii rozwiązania drobnego kryzysu w Szkole Bojowej.

- No cóż, przesłanie tego zajęło czas i czasy, i połowę czasu - odpowiedział.

- Muszę dostać... chciałbym dostać jakiś dowód - oświadczył Morgan. - Musi pani zrozumieć, że wszystko, co zdawało się zagrażać mojemu statkowi i jego misji, wymaga weryfikacji.

- To trochę niezręczne - odparła Valentine. - Z przyjemnością pokażę panu cały ten zrzut informacji... Właściwie sugeruję nawet umieszczenie go w bibliotece, gdzie każdy będzie miał do niego dostęp. Ludzi z pewnością zafascynuje historia tego, co wydarzyło się na Ziemi. Ja sama nie mogę się doczekać lektury.

- Ale? - spytał Ender.

- Chodzi o list przewodni. - Wydawała się szczerze zakłopotana. - Mój brat wygłasza lekceważące uwagi na pański temat. Rozumie pan, mam nadzieję, że ani ja, ani Ender absolutnie nie dyskutowaliśmy o panu z Peterem. Wszystko, co pisze, to jego własne wymysły. Zapewniam, że Ender i ja żywimy dla pana najwyższy szacunek.

Po czym odwróciła holomonitor i wraz z Enderem czekała w milczeniu, aż Morgan przeczyta tekst.

Kiedy skończył, westchnął, oparł łokcie o blat, a czoło na czubkach palców.

- Rzeczywiście, jestem zakłopotany.

- Niesłusznie - zapewnił go Ender. - To całkiem zrozumiała pomyłka. Wolę raczej lecieć z kapitanem, który poważnie traktuje każde potencjalne zagrożenie, niż takim, który uważa, że trzygodzinna utrata łączności to żaden problem.

Morgan przyjął gałązkę oliwną.

- Cieszę się, że w ten sposób pan to widzi, admirale Wiggin.

- Ender - poprawił go Ender.

Valentine wstała z uśmiechem.

- Jeśli nie jestem już potrzebna, zostawię to zdekodowane na pańskim pulpicie, jeśli tylko obieca pan, że wszystko znajdzie się w bibliotece... oprócz osobistego listu mojego brata. - Zwróciła się do Endera. - Mówi, że mnie kocha, że za mną tęskni, i mam ci przekazać, byś napisał do rodziców. Nie stają się coraz młodszy i cierpią, nie mając żadnych wieści od ciebie.

- Powinienem to zrobić zaraz po starcie, ale nie chciałem zajmować czasu ansibla na sprawy osobiste. - Ender uśmiechnął się żałośnie do Morgana. - A potem doszło do czegoś takiego, bo Peter i Graff mają przesadne wyobrażenie o własnej ważności.

- Powiem mojemu bratu, temu egocentrykowi, żeby w przyszłości wysyłał informacje w inny sposób - obiecała Valentine. - Mam nadzieję, że pozwoli mi pan przekazać taką wiadomość ansiblem.

Oboje ruszyli do drzwi. Morgan odprowadził ich, cały w uśmiechach i „To miło, że rozumiecie”. Nagle Ender przystanął.

- Jeszcze coś, admirale Morgan - powiedział.

- Proszę nazywać mnie Quincy.

- Och, nigdy bym sobie nie pozwolił. Nasze stopnie na to pozwalają, ale gdyby ktokolwiek usłyszał, że mówię w ten sposób, nie dałoby się usunąć wizji nastolatka, który zwraca się do dowódcy statku w stylu mogącym dowodzić braku szacunku. Na pewno się pan z tym zgodzi. Nic nie może podkopywać autorytetu dowódcy.

- Rozsądna uwaga - zgodził się Morgan. - Lepiej dba pan o moje stanowisko niż ja sam. Ale chciał pan coś powiedzieć.

- Tak. Chodzi o to czytanie sztuki. To naprawdę nic więcej, chcemy przeczytać „Poskromienie złościcy” z podziałem na role. Ja gram Lucencja, Valentine także ma niewielką rolę. Wszyscy na to czekali. A teraz spektakl został odwołany bez słowa wyjaśnienia.

Morgan zrobił zdziwioną minę.

- Jeśli to tylko czytanie, proszę bardzo, zróbcie to.

- Oczywiście - zapewnił Ender. - Zwłaszcza teraz, kiedy mamy pańskie pozwolenie. Ale widzi pan, niektórzy z uczestników zaprosili na spektakl członków załogi. A to dzisiejsze odwołanie może wzbudzić niechęć. Co zaszkodzi morale, prawda? Chciałbym zaproponować panu pewien gest, który pokaże, że to naprawdę było nieporozumienie. Żeby zapobiec tej niechęci.

- Jaki gest?

- Po prostu... kiedy ustalimy nowy termin, przyjdzie pan popatrzeć. Niech zobaczą, jak śmieje się pan z komedii.

- Mógłby też wystąpić - zauważyła Valentine. - Na pewno ten człowiek, który gra Christophera Sly...

- Moja siostra żartuje - przerwał jej Ender. - To komedia, więc dowolna rola będzie poniżej godności kapitana statku. Sugeruję tylko, żeby pan przyszedł. Wystarczy nawet na pierwszą połowę. Zawsze może pan w przerwie wyjść z powodu pilnych zajęć. Wszyscy zrozumieją. Ale wcześniej się przekonają, że interesuje się pan nimi i tym, co robią. Bardzo to poprawi ich opinię o pańskim przywództwie, zarówno w czasie lotu, jak i po przybyciu na miejsce.

- Po przybyciu? - zdziwiła się Valentine.

Ender rzucił jej niewinne spojrzenie szeroko otwartych oczu.

- Admirał Morgan uświadomił mi w czasie rozmowy, jak nikła jest szansa, by koloniści słuchali nastoletniego chłopca. Trzeba ich upewnić, że admirał Morgan wspiera swoim autorytetem wszystko, co oficjalnie postanowię jako gubernator. Dlatego jest takie ważne, by mogli go poznać, by uwierzyli, że będzie silnym przywódcą.

Ender się obawiał, że Valentine straci panowanie nad sobą i wybuchnie śmiechem albo zacznie na niego krzyczeć. Ale nie.

- Rozumiem - powiedziała.

- To całkiem niezły pomysł - zgodził się Morgan. - Zaczniecie od razu?

- Nie - odparła Valentine. - Wszyscy są zbyt zdenerwowani. Nikt nie będzie w formie. Uspokoimy ich, wyjaśnimy, że to tylko pomyłka i wyłącznie z mojej winy. A potem ogłosimy, że weźmie pan udział, cieszy się pan, że przedstawienie jednak się odbędzie, że mamy okazję przed panem wystąpić. Wszyscy będą zachwyceni i podnieceni. A jeśli pozwoli pan przyjść także członkom załogi, którzy nie mają służby, tym lepiej.

- Nie chciałbym, żeby cokolwiek źle wpłynęło na dyscyplinę. Valentine odpowiedziała natychmiast.

- Jeśli będzie pan siedział przy nich, śmiał się i bawił na przedstawieniu, wtedy nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby to osłabić dyscyplinę. Może nawet wzmocnić morale. Naprawdę dobrze nam wychodzi ta sztuka.

- To byłoby dla nas bardzo ważne - dodał Ender.

- Oczywiście - ustąpił Morgan. - Przygotujcie wszystko, a ja zjawię się jutro o dziewiętnastej. To planowany czas dzisiejszego występu, prawda?

Ender i Valentine pożegnali się i wyszli. Mijani po drodze oficerowie ze zdziwieniem i ulgą patrzyli, jak rozmawiają ze sobą swobodnie.

Dopiero w swojej kabinie zrzucili tę fasadę, a i to tylko na tak długo, by Valentine zdążyła powiedzieć:

- Czy on planuje zrobić z ciebie figuranta, kiedy sam będzie rządził z za tronu?

- Nie ma żadnego tronu - odparł Ender. - A to rozwiązuje wiele moich problemów, nie sądzisz? Piętnastolatkowi trudno by było kierować gromadą kolonistów, którzy żyli już i uprawiali ziemię na Szekspirze przez czterdzieści lat, zanim tam doleciałem. Ale taki człowiek jak admirał Morgan jest

przyzwyczajony do wydawania rozkazów i do posłuszeństwa. Wszyscy bez dyskusji uznają jego autorytet.

Valentine wpatrywała się w niego, jakby stracił rozum. Wtedy Ender wykrzywił lekko dolną wargę, co zawsze było znakiem, że jego słowa są ironiczne. Miał nadzieję, że siostra wyciągnie z tego poprawne wnioski - że admirał Morgan na pewno dysponował środkami pozwalającymi słuchać ich rozmów, a w tej chwili bez wątpienia z nich korzystał, więc nic, co powiedzą, nie pozostanie tylko między nimi.

- No dobrze - mruknęła Valentine. - Jeśli tobie to odpowiada, to mnie również.

I na moment wytrzeszczyła oczy, co było jej znakiem dla niego, że kłamie.

- Mam już dość odpowiedzialności, Val - wyznał Ender. - Wystarczy mi to, co przeżyłem w Szkole Bojowej i na Erosie. Planuję poświęcić czas przelotu na poznawanie ludzi i na czytanie wszystkiego, co mi wpadnie w ręce.

- A na końcu możesz napisać wypracowanie „Jak spędziłem letnie wakacje”.

- Zawsze trwa lato, kiedy serce jest pełne radości - oświadczył Ender.

- Twoja głowa jest pełna bzdur - odparła Valentine.

Rozdział. 10

To: PeterWiggindhegemony.gov/hegemon
From: vwiggin%Colonyl@colmin.gov/citizen
Subject: Ty arogancki draniu

Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile narobiłeś kłopotów, wysyłając ten pakiet z tak wysokim priorytetem, że zablokował całą ansiblową łączność na statku? Pewne osoby uznały, że to jakiś atak na łączę, i niewiele brakowało, a Ender spędziłby resztę lotu w stazie - resztę, to znaczy tam i z powrotem.

Ale kiedy już to załatwiliśmy, informacje okazały się rzeczywiście ciekawe. Wyraźnie jakiś pseudokonfucjanin rzucił na ciebie klątwę, żebyś żył w ciekawych czasach. Przysyłaj, proszę, kontynuacje, ale nadaj im priorytet tak niski, żeby nie przerywały normalnej komunikacji. I nie pozwól, żeby Graff adresował je do Endera. Wiadomości przychodzą do mnie jako do kolonistki, a nie do desygnowanego na gubernatora.

Wydaje się, że całkiem dobrze sobie radzisz. Chociaż wszystko mogło się zmienić między twoim nadaniem i moją odpowiedzią. Tak, podróże kosmiczne są wspaniałe!

Czy Ender odezwał się już do rodziców? Nie mogę go spytać (to znaczy owszem, spytałam go, tylko nie mogę wydobyć odpowiedzi) i nie mogę zapytać ICH, bo od razu się domyślą, że próbuję go skłonić do napisania listu. To by ich bardzo zraniło, jeśli nie napisał, a obniżyło emocjonalną wartość jego listów, gdyby napisał.

Bądź inteligentny. Tego nie mogą ci odebrać.

Twoja była marionetka
Demostenes

Alessandra ucieszyła się na wieść, że czytanie sztuki jednak się odbędzie. Mama była załamana, choć okazywała to tylko Alessandrze i tylko w odosobnieniu ich kwatery. Starła się demonstracyjnie nie płakać - to dobrze - ale krążyła po niewielkiej przestrzeni, otwierała i zamykała różne rzeczy, trzaskała różnymi rzeczami, przy każdej okazji tupiała nogami, a od czasu do czasu wypowiadała jakąś gwałtowną, choć

tajemniczą frazę, w stylu:

- Dlaczego zawsze musimy płynąć w fali za czyjąś łodzią?

Potem, w środku gry w tryk - traka:

- W wojnach mężczyzn zawsze przegrywają kobiety.

I zza drzwi łazienki:

- Nie ma przyjemności tak prostej, by ktoś ci jej nie odebrał tylko po to, żeby cię zranić!

Na próżno Alessandra starała się ją uspokoić.

- Mamo, przecież to nie było skierowane przeciwko tobie, ale wyraźnie przeciwko Enderowi.

Podobne wypowiedzi zawsze wyzwały długie, pełne emocji dyskusje, kiedy to mama odrzucała wszelkie logiczne argumenty - chociaż już po chwili potrafiła całkowicie przejąć punkt widzenia Alessandry i zachowywać się, jakby tak właśnie uważała przez cały czas.

Jednak jeśli Alessandra nie odpowiadała na epigramatyczne uwagi matki, krążenie i tupanie stawały się coraz gorsze - mama potrzebowała reakcji, tak jak inni ludzie powietrza. Dlatego Alessandra odpowiadała, uczestniczyła w tej bezsensownej, ale gwałtownej dyskusji, ignorowała niezdolność mamy do przyznania, że zmieniła zdanie, chociaż zmieniła.

Mamie chyba ani na moment nie przyszło do głowy, że Alessandra też jest rozczarowana, że rola Bianki wobec Enderowego Lucencja wzbudziła w niej uczucia... jakie? Nie miłość - na pewno nie była zakochana. Ender to miły chłopiec, ale dla Alessandry akurat tak samo miły jak dla wszystkich innych, więc to oczywiste, że nie jest dla niego nikim szczególnym. Jej z kolei nie interesowało obdarzanie uczuciem kogoś, kto najpierw jej nie obdarzy. Nie, Alessandra czuła na sobie blask chwały. W rzeczywistości, oczywiście, będący odbiciem blasku wspaniałej gry mamy jako Kasi oraz sławy Endera jako zbawcy ludzkości - i jego niesławy jako potwora

mordującego dzieci, w co Alessandra naturalnie nie wierzyła, jednak wzmacniało to fascynację.

Wszelkie rozczarowania uległy zapomnieniu z chwilą, gdy na wszystkich pulpitych pojawiła się wiadomość, że spektakl jednak się odbędzie następnego wieczoru, a na widowni pojawi się sam admirał.

Alessandra natychmiast pomyślała: admirał? Na pokładzie jest dwóch admirałów, a jeden od początku uczestniczył w przedsięwzięciu. Czy to wyrachowana obraza, że wiadomość brzmi, jakby tylko jeden oficer miał tę dumną rangę? Fakt, że tak stanowczo wezwano Endera na spotkanie z Morganem, także był znaczący - czy Ender nie zasługiwał na większy szacunek? Trochę się rozgniewała w jego imieniu.

A potem powiedziała sobie: Nic mnie nie łączy z Enderem Wigginem, co kazałoby mi bronić jego przywilejów. Zaraziłam się mamy chorobą i zachowuję się tak, jakby jej plany i marzenia już się spełniły. Ender mnie nie kocha i ja jego też nie. Kiedy dolecimy do Szekspira, będą tam inne dziewczęta dojrzałe do małżeństwa, więc kim dla niego się stanę?

Co ja zrobiłam, wyruszając na tę wyprawę do świata, gdzie osób w moim wieku nie wystarczy nawet na zapełnienie miejskiego autobusu?

Nie po raz pierwszy Alessandra pozazdrościła matce umiejętności osiągania pogodnego nastroju jedynie siłą woli.

Na występ ubrały się ładnie. Część premii za zgłoszenie wydały na ubrania, zanim oddały resztę babci. Odzież musiała spełniać specyfikację z listu od Ministerstwa Kolonizacji - ciepłe rzeczy na chłodną, lecz niezbyt mroźną zimę, lekkie, ale mocne do pracy latem, i w końcu jedna długa i trwała suknia na specjalne okazje. Dzisiejsze czytanie było taką właśnie okazją - i tutaj się okazało, że mama zadbała, by część pieniędzy wydać na świecidełka i ozdoby. Były przesadnie krzykliwe, wyraźnie

tanie. Przydały się też olśniewające szale mamy, które na niej wyglądały niemal ironicznie ekstrawagancko, ale na Alessandrze ubogo i żałośnie. Mama była ubrana zabójczo, Alessandra mogła tylko starać się nie zniknąć w jej cieniu.

Dotarły na miejsce akurat w chwili, kiedy przedstawienie miało się zacząć. Alessandra natychmiast podbiegła do swojego stołka z przodu, a mama szła powoli, witając się ze wszystkimi i obdarzając ich uśmiechami.

Admirał Morgan siedział w drugim rzędzie, otoczony kilkoma oficerami całkowicie izolującymi go od publiczności - było oczywiste, że uważa się za lepszego i nie życzy sobie kontaktu ze zwykłymi kolonistami. Taki był przywilej rangi i Alessandra nie miała do niego pretensji. Żałowała raczej, że sama nie może stworzyć wokół siebie takiego kordonu, by nie mogli naruszać jej prywatności ci, których nie lubi.

Ku jej przerażeniu mama zeszła ze sceny i kontynuowała swe wspaniałe przejście, witając się z osobami siedzącymi w pierwszym rzędzie - i w drugim także. Wyraźnie zamierzała zmusić admirała Morgana, żeby się do niej odezwał.

Ale nie, mama zaplanowała coś jeszcze gorszego. Demonstracyjnie przedstawiła się, a nawet chwilę flirtowała z oficerami po obu stronach admirała, ale przed samym Morganem nawet nie przystanęła, jakby nie istniał. Afront! Wobec najpotężniejszego człowieka ich małego świata!

Alessandra ledwie mogła patrzeć na jego twarz, ale też nie mogła się zmusić, by odwrócić wzrok. Z początku obserwował zbliżającą się mamę z rezygnacją - będzie musiał zamienić kilka słów z tą kobietą. Kiedy jednak go ominęła, jego ledwie skrywane lekceważenie ustąpiło konsternacji, a potem narastającemu gniewowi. Mama zyskała sobie wroga. O czym myślała? Co zamierzała?

Pora już była zaczynać. Główni aktorzy siedzieli na stołkach,

reszta w pierwszym rzędzie, przygotowana, by wstać i odwrócić się do publiczności, kiedy przyjdzie ich kolej. Mama w końcu dotarła na swoje miejsce pośrodku sceny. Nim usiadła, rozejrzała się jeszcze łaskawie po sali.

- Bardzo wam dziękuję, że przyszlście na nasze skromne przedstawienie. Sztuka dzieje się we Włoszech, gdzie urodziłyśmy się ja i moja córka. Ale została napisana po angielsku, który jest dla nas drugim językiem. Moja córka mówi nim płynnie, ja nie. Jeśli pomylę się w wymowie, pamiętajcie, że Katarzyna była Włoszką i po angielsku mówiłaby z takim jak ja akcentem.

Mama powiedziała to jak zwykle promienna, typowym dla siebie swobodnym i radosnym tonem. To, co zwykle było dla Alessandry tak irytujące, że czasem miała ochotę krzyczeć, teraz brzmiało absolutnie czarująco; koloniści i część załogi zareagowali na to krótkie przemówienie śmiechami i oklaskami. Aktor grający Petruchia - który w oczywisty sposób durzył się w mamie, mimo że zabrał w rejs żonę i czwórkę dzieci - powiedział nawet:

- *Brava! Brava!*

I tak, kiedy sztuka się zaczęła, wszyscy patrzyli na mamę, mimo że występowała dopiero w drugim akcie. Zerkając z ukosa, Alessandra widziała, że mama siedzi jak w transie, całkowicie skupiona na sobie, kiedy mężczyźni dobijali targu z Petruchiem. Gdy inni aktorzy wspominali piękną Biankę i straszliwą Katarzynę, Alessandra rozumiała, jak działa poza mamy - jej reputacja rosła, publiczność spoglądała na nią coraz częściej i widziała doskonały spokój.

Ale taka postawa nie byłaby właściwa dla Bianki, uznała Alessandra. Przypomniała sobie coś, co powiedział Ender na ostatniej próbie: „Bianka doskonale zdaje sobie sprawę ze swego wpływu na mężczyzn”. Więc kiedy Katarzyna powinna

być tak spokojna, jak tylko mama potrafi, Bianka powinna być radosna, szczęśliwa i pożądana. Dlatego gdy mężczyźni mówili o pięknej Biance, Alessandra uśmiechała się i odwracała wzrok, jakby rumieniła się skromnie. To nieważne, że w rzeczywistości nie była piękna - jak zawsze tłumaczyła jej mama, całkiem zwyczajne kobiety zostawały gwiazdami filmowymi, ponieważ umiały się pokazać, nie dbając o własne niedostatki w urodzie. To, czego Alessandra nie potrafiła w prawdziwym życiu - patrzeć na świat ze szczerym uśmiechem - mogła robić jako Bianka.

I wtedy zrozumiała po raz pierwszy w życiu - mama nie potrafiła zmieniać nastroju, zwyczajnie decydując, że będzie wesoła. Nie, mama jest aktorką. Zawsze była. Ona tylko udaje przed publicznością, że jest wesoła.

Przez całe życie byłam jej publicznością. Nawet kiedy nie oklaskiwałam jej występu, zawsze przede mną grała i teraz rozumiem dlaczego. Ponieważ wiedziała, że kiedy wchodzi w tryb tańca wróżek, nie da się myśleć o niczym prócz niej.

Teraz jednak królowa wróżek zniknęła, a na jej miejscu siedziała po prostu królowa: mama, dumna i spokojna, pozwalająca mówić chłopom i dworakom, gdyż wiedziała, że jeśli zechce, może jednym oddechem zdmuchnąć ich ze sceny.

I tak się stało. Nadszedł czas na akt drugi, scenę pierwszą, kiedy Katarzyna powinna ciągnąć za sobą Biankę ze związanymi rękami. Alessandra stała się delikatna i słodka, błagając mamę, by ją puściła, przysięgając, że nikogo nie kocha. Mama tymczasem szydziła z niej, tak rozpalona wewnętrznym płomieniem wściekłości, że naprawdę Alessandrę wystraszyła. Nawet na próbach nie była tak gwałtowna. Alessandra nie sądziła, żeby mama wcześniej się powstrzymywała - nie wychodziło jej powstrzymywanie. Nie, ten szczególny ogień rozgorzał z powodu publiczności.

Nie całej publiczności. Stawało się to coraz wyraźniejsze w miarę rozwoju akcji. Wszystkie wypowiedzi Katarzyny o niesprawiedliwości ojca i głupocie mężczyzn były niezmiennie kierowane do admirała Morgana. I nie tylko w wyobraźni Alessandry - cała widownia to zauważyła. Widzowie najpierw chichotali, a potem śmiali się głośno, gdy kolejne złośliwe uwagi kierowane były nie tylko do postaci ze sztuki, ale też do mężczyzny siedzącego pośrodku drugiego rzędu.

Jedynie Morgan zdawał się tego nieświadomy. Najwyraźniej widząc, że mama patrzy tylko na niego, uważał, że jej gra - a nie znaczenie słów - jest dla niego przeznaczona.

Sztuka toczyła się bez potknięć. Pewnie, sceny z Lucencjem były nudne jak zawsze, ale to nie wina Endera - Lucencjo nie miał zabawnej roli. Podobny los spotkał Biankę, więc Alessandra i Ender z konieczności stanowili jedynie „miłą parę”, podczas gdy w centrum uwagi - i śmiechu, i romansu - znaleźli się Katarzyna i Petruchio. A to znaczy, że mimo wysiłków całkiem niezłego Patruchia wszyscy patrzyli tylko na mamę. On mógł krzyczeć, ale to jej twarz, jej reakcje wzbudzały śmiech. Jej głód, senność, rozpacz, wreszcie żartobliwa zgoda, kiedy Katarzyna w końcu rozumie i zaczyna uczestniczyć w szaleńczej grze Petruchia - wszystko to ukazywała twarz mamy, jej poza, ton jej głosu, gdy mówiła.

Mama jest świetna, uświadomiła sobie Alessandra. Absolutnie znakomita. Nic dziwnego, że zaproponowała czytanie sztuki.

A potem napłynęła kolejna myśl: Jeśli mama tyle potrafi, to czemu nie była aktorką? Czemu nie została gwiazdą sceny albo ekranu, nie dała nam życia w dostatku?

Odpowiedź była prosta: z powodu córki, którą mama urodziła, mając ledwie piętnaście lat.

Mama poczęła mnie, kiedy była w takim wieku, jak ja teraz,

uświadomiła sobie Alessandra. Zakochała się, oddała mężczyźnie - chłopcu - i urodziła dziecko. Dla Alessandry było to niewyobrażalne, bo ona sama nigdy nie czuła żadnej namiętności wobec żadnego z chłopców ze szkoły.

Ojciec musiał być naprawdę niezwykły.

Albo mama rozpaczliwie chciała uciec od babci. Co wydawało się bardziej prawdopodobne. Zamiast odczekać kilka lat i zostać aktorką, mama wyszła za mąż, zamieszkała osobno, urodziła dziecko - niekoniecznie w tej kolejności - a kiedy przyszłam na świat, nie miała już okazji, by zrobić karierę.

Mogłyśmy być bogate!

A teraz co? Teraz lecą do kolonii, gdzie żyją farmerzy, tkacze, murarze i naukowcy, ale nie ma miejsca na sztukę. Tam nie będzie czasu na przyjemności, nie tak jak na statku podczas lotu. Kiedy mama znowu będzie miała szansę pokazać, co potrafi?

Sztuka zbliżała się do końca. Valentine grała Wdowę zabawnie i z zaskakującą werwą - doskonale rozumiała tę rolę. Nie po raz pierwszy Alessandra żałowała, że nie może być tak genialna i piękna jak siostra Endera. Ale najbardziej zazdrościła mamie. Chciałaby być taka jak ona. Niewyobrażalne, ale prawdziwe.

Mama zeszła ze stołka i zaprezentowała swój monolog bezpośrednio pierwszym rzędem - bezpośrednio admirałowi Morganowi. Mówiła o obowiązkach kobiety wobec mężczyzny. I jak jej złościwości wymierzone były w Morgana, tak i obecna przemowa - ta słodka, uległa, wdzięczna, emocjonalna i pełna miłości homilia także była skierowana tylko do niego.

A Morgan siedział jak skamieniały. Usta miał na wpół otwarte, ani na moment nie odwracał wzroku od mamy. Kiedy uklękła i powiedziała: „Ja stopy męża chętnie ucałuję, jeśli mi powie, że go to raduje”, w oczach Morgana błysnęły łzy. Łzy!

Petruchio głośno wykrzyczał swój tekst:

- Cóż to za dziewczyna! Chodź, Kasiu, daj buzi!

Mama wstała z gracją i nie próbowała nawet pantomimy pocałunku, a raczej ukazała twarz, jaką kobieta pokazuje kochankowi, kiedy ma go pocałować - a jej oczy ponownie skierowały się ku Morganowi.

Teraz Alessandra zrozumiała - mama zmuszała Morgana, żeby się w niej zakochał.

I to skutecznie. Kiedy padły ostatnie słowa, kiedy widownia wstała i klaskała, kiedy aktorzy się kłaniali, Morgan dosłownie przeszedł nad pierwszym rzędem krzeseł, wśród burzy oklasków wspiął się na scenę i uścisnął mamie dłoń. Uścisnął? Nie, pochwycił ją i nie chciał puścić, jednocześnie zapewniając, jak była wspaniała.

Rezerwa mamy, zlekceważenie go na początku, wszystko to należało do planu. Była złoścnicą karzącą go za zuchwałość odwołania spektaklu, ale pod koniec została poskromiona - należała do niego w pełni.

Przez cały wieczór Morgan - który zaprosił wszystkich do mesy oficerskiej, gdzie do tej pory koloniści mieli absolutny zakaz wstępu - krążył wokół mamy. Był tak wyraźnie oczarowany, że kilku oficerów oględnie wspomniało o tym Alessandrze.

- Twoja matka zdołała chyba zmiękczyć to kamienne serce - powiedział któryś.

Usłyszała też rozmowę dwóch innych, gdy jeden z nich zauważył:

- Czy mi się zdaje, czy już ściąga spodnie?

Jeśli sądzili, że do tego dojdzie, to nie znali mamy. Alessandra miała za sobą wiele lat wysłuchiwanie matczynych rad co do mężczyzn. Nie pozwalaj im na to, nie pozwalaj na tamto - drażnij, sugeruj, obiecuj, ale na nic nie mogą liczyć

przed ślubem. Mama w przeszłości postąpiła odwrotnie i płaciła za to przez piętnaście lat. Teraz z pewnością zastosuje się do własnych rad i uwiedzie mężczyznę tylko słowami i uśmiechem. Chciała, by był zauroczony, a nie zaspokojony.

Och, mamó, co za grę prowadzisz... czy naprawdę... czy to możliwe... czy on cię naprawdę pociąga? Owszem, jest przystojny, w wojskowym stylu. A przy tobie wcale nie jest zimny ani daleki, a jeśli nawet, to próbuje zabrać cię ze sobą w to dalekie miejsce.

Znacząca scena: kiedy rozmawiał z kimś innym - jednym z kilku oficerów, którzy zabrali swe żony - delikatnie objął mamę, kładąc jej dłoń na ramieniu. Mama natychmiast sięgnęła ręką i zdjęła tę dłoń, ale równocześnie z uśmiechem zwróciła się do Morgana i zażartowała chyba, bo wszyscy się roześmiali. Przekaz był złożony, choć dość oczywisty: Nie śmieję mnie tknąć, śmiertelniku, ale owszem, podaruję ci ten uśmiech.

Jesteś mój, lecz ja jeszcze nie jestem twoja.

Mama chciała, żebym tak właśnie traktowała Endera Wiggina, „młodego człowieka z widokami na przyszłość”. Ale nie mogę w ten sposób omotać mężczyzny, tak samo jak nie mogę latać. Zawsze będę petentką, nigdy kusicielką, zawsze wdzięczna, nigdy łaskawa.

Podszedł Ender.

- Twoja matka była dzisiaj wspaniała.

Oczywiście, że to powiedział. Wszyscy to mówili.

- Ale wiem też coś, czego nie wie nikt inny.

- Co takiego? - spytała Alessandra.

- Wiem, że mój występ był do wytrzymania tylko z twojego powodu. My wszyscy, którzy graliśmy konkurentów Bianki, cała ta komedia opierała się na tym, że widzowie uwierzą, że ciebie pragniemy. A ty byłaś tak piękna, że nikt nie zwątpił w to nawet przez moment.

Uśmiechnął się i odszedł do siostry.
A Alessandra została bez tchu.

Rozdział. 11

To: vwiggin%ShakespeareCol@Colmin.gov/voy == PoslDreq

From: GovDes%ShakespeareCol@ColMin.gov/voy

Subject: Jak czysty jest twój pulpit

Mój pulpit jest całkowicie zabezpieczony, chociaż komputer statku po kilka razy dziennie próbuje instalować sniffery. Zakładam również, że każdy pokój, korytarz, toaleta czy komórka na tym statku jest przynajmniej na podsłuchu. W takim rejsie, gdy żadna zewnętrzna siła nie wspiera kapitańskiej władzy, groźba buntu zawsze jest aktualna. Nie jest więc paranoją ze strony Morgana, że monitoruje wszystkie rozmowy ludzi, którzy jego zdaniem stanowią zagrożenie dla wewnętrznego bezpieczeństwa statku.

Na nieszczęście, ale i zgodnie z przewidywaniami mnie również uważa za zagrożenie. Mam władzę, która w żaden sposób nie zależy od niego ani jego dobrych chęci. Groźbę, że umieści mnie w stazie i dowiezie na Erosa - za osiemdziesiąt lat - może zrealizować i choć dostanie pewnie naganę, nie będzie to uznane za działanie przestępcze. Panuje silne przekonanie, że kapitanowi jednostki zawsze należy wierzyć, kiedy stawia zarzut buntu czy spisku. Nawet zaszyfrowanie tej wiadomości jest dla mnie niebezpieczne. Jednak nie ma innego sposobu, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać. (Zauważysz pewnie, że moje zabezpieczenie - inaczej niż Petera - wymaga dowodu, że żyjesz, a nie tylko twojego palca wsuniętego do holoprzestrzeni).

Moja aktywność z pewnością doprowadza Quincy'ego do szału. Prawie co dzień (co miesiąc) dostaję wiadomości od tymczasowego gubernatora Kołmogorowa, który na bieżąco informuje mnie o wydarzeniach w kolonii Szekspir. Morgan nie ma pojęcia, o czym ze sobą rozmawiamy, musi po prostu przekazywać szyfrowane listy, kiedy tylko przychodzą przez ansibl.

Dostaję też artykuły naukowe i raporty składane przez zespoły chemiczne i biologiczne. Xb Sel Menach jest Linneuszem i Darwinem tej planety. Spotkał się z JEDYNYM dotąd odkrytym biotopem nie pochodzącym z macierzystego świata formidów (poza Ziemią, oczywiście) i wykonał wspaniałą robotę, dokonując genetycznych adaptacji miejscowych form biologicznych, by uzyskać jadalne dla ludzi szczepy

roślin i zwierząt, oraz hodując takie odmiany gatunków ziemskich, które mogą się rozwijać w tym świecie. Bez niego lecielibyśmy zapewne do nędznej, podupadającej kolonii. Tymczasem produkują nadwyżkę żywności i będą mogli zaopatrzyć statek, by był gotów do natychmiastowego odlotu (insz Allah).

Cała ta naukowa informacja dostępna jest admirałowi Morganowi, gdyby tylko się zainteresował. Ale cóż, jestem jedyną osobą, która zagląda do artykułów xb z kolonii Szekspir, ponieważ nasi xb są w stazie i nie obudzą się, dopóki nie wyjdziemy z prędkości relatywistycznej.

Widzisz teraz, czemu nie chciałem lecieć w stazie - miałem wizję admirała Morgana, który nie będzie się trudził budzeniem mnie, dopóki nie uzyska pełnej kontroli nad kolonią, powiedzmy: sześć miesięcy po lądowaniu. Nie leżałoby to w jego uprawnieniach, ale z pewnością w jego władzy. A kto by mu się sprzeciwił, skoro ma czterdziestu marines, których jedynym zadaniem jest dopilnowanie, by nikt nie kwestionował jego rozkazów, oraz załogę, której przetrwanie i wolność zależy od jego zachcianek?

Teraz jednak wszystko, co zrobię, może potencjalnie stać się prowokacją - wyraźnie to okazał swoimi działaniami i groźbami. Nie sądzę, żeby taki miał cel. Chyba naprawdę wierzył, że nastąpił jakiś atak. Ale zbyt pośpiesznie wyciągnął wniosek, że to ja jestem odpowiedzialny. Okazał się też wystarczającym paranoikiem, by reagować tak, jakby był to atak na jego autorytet, a nie na statek. Jesteśmy obserwowani i nie możemy zamienić nawet jednego słowa, w którym żartowalibyśmy z niego, krytykowali go albo kwestionowali jego decyzje.

Nie możemy też nikomu zawierzyć. Co prawda gubernator Kołmogorow ma moje pełne zaufanie (i vice versa), jednak nikt inny na planecie nie daje gwarancji, że spodoba mu się koncepcja oddania stanowiska gubernatora piętnastoletniemu chłopcu. Dlatego jedynym rozwiązaniem jest dla mnie takie zachowanie, jakbym naprawdę szanował Quincy'ego jak ojca i zamierzał we wszystkich sprawach słuchać jego rad. Kiedy zobaczysz, że podlizuję mu się bezwstydnie, pamiętaj, że to moralny odpowiednik wojny - przeprowadzam przed jego nosem swoje wojska przebrane za prostych wieśniaków. To, że cała armia składa się z ciebie i ze mnie, nie stanowi problemu - dopóki skłonna jesteś udawać absolutną niewinność. Ty i Peter robiliście to przez lata, prawda?

Po tym liście nie będzie wielu następnych - napiszę jedynie w sytuacji

alarmowej. Nie chcę, żeby zaczął się zastanawiać, o czym ze sobą rozmawiamy. Ma prawo przejąć nasze pulpity i zmusić nas do ujawnienia całej zawartości. A zatem wykasujesz i wymażesz tę wiadomość, podobnie jak ja. Oczywiście, dla ostrożności skopiowałem ją dla Graffa, z pełnym zabezpieczeniem. Gdyby kiedyś sąd wojenny miał rozstrzygnąć, czy Morgan miał prawo umieścić mnie w stazie i zabrać z powrotem na Erosa, chcę, żeby była dostępna jako dowód stanu mojego umysłu po tym drobnym incydencie z przekazem od Petera.

Zawsze jednak istnieje szansa, że Morgan planuje coś gorszego - że zamierza odesłać statek z powrotem, zamiast na nim odlecieć, że pozostanie na Szekspirze jako dożywotni gubernator. Zanim przyślą kogokolwiek z Erosa, żeby stłumił rebelię, zakończy życie albo będzie już tak stary, że niewart ścigania.

Nie wierzę jednak, by leżało to w jego naturze. Jest stworzeniem biurokratycznym - chce władzy, nie autonomii. Dodatkowo, o ile prawidłowo go oceniam, może zachować się obrzydliwie tylko wtedy, gdy znajdzie moralne usprawiedliwienie. Dlatego musiał doprowadzić się do wściekłości z powodu mojego rzekomego sabotażu ansibla, aby uzasadnić to, co praktycznie byłoby zamachem stanu przeciwko mnie jako gubernatorowi.

To wszystko odnosi się tylko do tego, co świadomie planuje, a nie czego podświadomie pragnie. Inaczej mówiąc, będzie wierzył, że reaguje na wydarzenia, kiedy następują, gdy w rzeczywistości będzie je interpretował tak, by uzasadnić działania, które chce podjąć - nawet jeśli nie zdaje sobie sprawy z tego, że chce. Zatem kiedy dotrzemy już na Szekspira, zawsze jest szansa, że natrafi tam na „sytuację krytyczną”, która wymaga od niego pozostania na miejscu dłużej, niż może czekać statek, czyli „zmusza go”, by statek odesłał, a sam został na planecie.

Konieczność zrozumienia Quincy'ego powoduje, że zachowuję bliskie kontakty z Toscano. Matka wyraźnie obstawia raczej Quincy'ego niż mnie jako przyszłą władzę, choć sama z pewnością wierzy, że stara się zabezpieczyć na obie strony. Chce mieć pewność, że ktokolwiek zwycięży, albo ona, albo jej córka będzie żoną kogoś znaczącego.

Jednak nie ma zamiaru stracić kontroli nad córką, co by nastąpiło, gdybyśmy się pobrali, a ja zostałbym gubernatorem faktycznym, nie tylko z nazwy. A więc, świadomie czy nie, matka staje się moim wrogiem. Jednak obecnie jest dla mnie najlepszym przewodnikiem po stanach umysłu

Quincy'ego, ponieważ często z nim przebywa. Muszę poznać tego człowieka. Nasza przyszłość zależy od tego, czy będziemy wiedzieli, co ma zamiar zrobić, zanim to zrobi.

A przy okazji, nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga, że mam się z kim podzielić tym wszystkim. Przez wszystkie lata w Szkole Bojowej kimś najbliższym powiernikiem był dla mnie Groszek. Ale mogłem mu się zwierzać tylko w pewnych granicach. Ten list jest dla mnie pierwszą próbą szczerzej rozmowy od czasu naszego spotkania nad jeziorem w Karolinie Północnej tak dawno temu.

Nie, czekaj... Minęły zaledwie trzy lata. Mniej? Trudno się połapać w upływie czasu. Dziękuję, że jesteś przy mnie, Valentine. Mam tylko nadzieję, że nie jest to bezsensowna próba, która zaprowadzi nas z powrotem na Erosa w stazie, przez co stracimy osiemdziesiąt lat historii ludzkości, a nie osiągniemy niczego prócz mojej porażki jako biurokraty.

Ender

Virloomi nie przewidziała, jak na nią wpłynie powrót do Szkoły Bojowej po wszystkim, co przeszła, co zrobiła.

Poddała się swoim wrogom, kiedy zrozumiała, że nic już nie zostało z wojny oprócz rzezi. Wiedziała - z rozpaczą w sercu - że to wszystko jej wina. Została ostrzeżona przez przyjaciół i potencjalnych przyjaciół: tego już za wiele. Wystarczy, że wyparłaś Chińczyków z Indii i wyzwoliłaś ojczyznę. Nie próbuj ich karać.

Okazała się takim samym głupcem jak Napoleon, Hitler, Kserkses i Hannibal. Uważała, że skoro nigdy nie została pokonana, to nigdy nie może być pokonana. Zwyciężała w walce ze znacznie przeważającymi siłami wroga i sądziła, że zawsze tak będzie.

A najgorsze, powtarzała sobie, że uwierzyłam we własną legendę. Świadomie podtrzymywałam wiarę w siebie jako boginię, ale na początku pamiętałam, że tylko udaję.

I w końcu Wolne Ludy Ziemi - WLZ, Hegemonia Petera Wiggina pod nową nazwą - ją pokonały. Suriyawong, Taj ze Szkoły Bojowej, który kiedyś ją kochał, przyjmował jej

kapitulację. Z początku odmówiła - ale szybko się przekonała, że jedynym, co oddziela natychmiastową kapitulację od czekania, aż zginą wszyscy jej ludzie, jest jej duma. A ta duma nie była warta życia nawet jednego żołnierza.

- *Satyagraha* - powiedział jej Suriyawong. - Znoś to, co znosić trzeba.

Satyagraha była też jej ostatnim apelem do jej ludu. Nakazuję wam żyć i znosić swój los.

Tak więc ocaliła życie swoich żołnierzy, a sama poddała się Suriyawongowi. A poprzez niego - Peterowi Wigginowi.

Wigginowi, który po swym zwycięstwie okazał jej miłosierdzie. To więcej niż jego młodszy brat, legendarny Ender, okazał formidom. Czy oni także zobaczyli w nim rękę śmierci, która ich odpycha? Czy mieli jakichś bogów, do których się modlili albo których woli się poddawali, albo których przeklinali, widząc nadchodzące zniszczenie? Może było im łatwiej, skoro zostali usunięci z wszechświata?

Virlomi zachowała życie. Nie mogli jej zabić - w Indiach wciąż oddawano jej cześć; gdyby ją stracono albo uwięziono, kraj znalazłby się w stanie ciągłej rewolucji. Nie dałoby się nim rządzić. Gdyby zwyczajnie zniknęła, stałaby się legendą: bogini, która odeszła, by pewnego dnia powrócić.

Dlatego nagrała widy, o które ją prosili. Błagała swój lud, by głosował za przystąpieniem do Wolnych Ludów Ziemi, by uznali władzę hegemonu, by rozbroili i rozformowali armię, a w zamian zyskali wolność samodzielnych rządów.

Han Tzu zrobił to samo dla Chin, a Alai - kiedyś jej mąż, dopóki go nie zdradziła - dla świata islamu. Lepiej czy gorzej, osiągnęli skutek.

Wszyscy zgodzili się na wygnanie. Ale Virlomi wiedziała, że tylko ona na nie zasłużyła.

To wygnanie polegało na przyjęciu stanowiska gubernatora

kolonii. Ach, gdyby tylko mianowano mnie jednocześnie z Enderem Wigginem, gdybym nigdy nie wróciła na Ziemię i nie doprowadziła do takiego rozlewu krwi... Ale tylko dlatego, że tak spektakularnie wyzwoliłam Indie spod chińskiego panowania i zjednoczyłam niemożliwy do zjednoczenia kraj, wykazałam, że nadaję się do rządzenia. Tylko z powodu tych strasznych czynów, jakie popełniłam, powierzono mi tworzenie nowego świata.

W niewoli na Ziemi - przez miesiące spędzone pod tajskim, a potem brazylijskim nadzorem, pilnowana, ale nigdy nie traktowana źle - wszystko ją drażniło; zapragnęła opuścić planetę, zacząć nowe życie.

Nie wzięła tylko pod uwagę, że nowym obozem przejściowym będzie stacja kosmiczna, gdzie kiedyś mieściła się Szkoła Bojowa.

Było tak, jakby zbudziła się z bardzo wyraźnego snu i znalazła się w miejscu swego dzieciństwa. Korytarze się nie zmieniły, światła barwnego kodu nadal pełniły służbę, prowadząc kolonistów do sypialni. Koszary były inne, oczywiście - koloniści by nie zniesli tłoku i dyscypliny, w jakich żyli uczniowie. Nikt nawet nie wspominał o żadnych bzdurach typu walk w nieważkości - jeśli sala treningowa była do czegoś używana, jej o tym nie powiedzieli.

Ale mesy wciąż były na miejscu, oficerskie i żołnierskie - tyle że ona jadała teraz w takiej, do której dawniej nigdy nie wchodziła: w stołówce nauczycieli. Kolonistów tam nie wpuszczano, więc przynajmniej czasem mogła się przed nimi ukryć. Otaczali ją ludzie Graffa z Ministerstwa Kolonizacji. Byli dyskretni i zostawiali ją samą, za co była wdzięczna; byli obojętni i trzymali się z daleka, co ją urażało. Przeciwnostawne reakcje, przeciwstawne założenia co do ich motywów... Wiedziała, że są uprzejmi, ale nadal bolało ją, że jest

traktowana jak trędowata i trzymana na dystans. Gdyby chciała przyjaźni, pewnie by ją znalazła; oni zapewne czekali na jej sygnał, czy zechce się włączyć do ich rozmów. Tęskniła za towarzystwem, ale nigdy nie przekroczyła tego wąskiego pasa podłogi między jej stolikiem a innymi. Jadała samotnie. Ponieważ nie wierzyła, by zasługiwała na włączenie do ludzkiej społeczności.

Irytowała ją nabożna cześć, jaką okazywali jej koloniści. Kiedy uczyła się jeszcze w Szkole Bojowej, była kimś całkiem zwyczajnym. Jako dziewczyna trochę się odróżniała, musiała walczyć o swoje - ale przecież nie była Enderem Wigginem, nie była legendą. Wtedy nie była wybitnym dowódcą - dopiero później, kiedy wróciła do Indii, między ludzi, których rozumiała, krew ze swej krwi.

Kłopot polegał na tym, że koloniści byli w większości Hindusami. Zgłosili się do programu właśnie dlatego, że Virlomi miała zostać gubernatorem kolonii. Kilku powiedziało jej nawet, że ciągnęli losy, walcząc o szansę odlotu. Kiedy odwiedzała ich, żeby porozmawiać, żeby lepiej ich poznać, przekonała się, że to daremny trud. Podziwiali ją tak, że nie mogli wykrztusić słowa, a jeśli już coś mówili, używali języka tak formalnego i wzniosłego, że uniemożliwiał normalne porozumienie.

Wszyscy zachowywali się tak, jakby naprawdę wierzyli, że zwracają się do bogini.

W czasie wojny zbyt dobrze grałam swoją rolę, myślała. Dla Hindusów porażka nie jest znakiem boskiej niełaski. Ważne, jak się tę porażkę znosi. A na to nie mogła nic poradzić - zachowała godność i z tego powodu wydawała się im boską istotą.

Może dzięki temu łatwiej będzie nimi rządzić? A może dzień, w którym stracą złudzenia, będzie czymś strasznym?

Grupa kolonistów z Hajdarabadu zjawiała się u niej z petycją.

- Planeta została nazwana Ganges, na pamiątkę świętej rzeki - powiedzieli. - I to jest słuszne. Ale czy nie możemy pamiętać, że wielu z nas jest z południa? Mówimy w telugu, nie w hindi czy urdu. Czy nie moglibyśmy dostać czegoś w tej nowej kolonii, czegoś należącego do nas?

Virlomi płynnie odpowiedziała im w telugu - nauczyła się tego języka, bo nie mogłaby w pełni zjednoczyć Indii, gdyby znała tylko hindi i angielski - i zapewniła, że zrobi to, na co pozwolą jej koloniści.

Był to pierwszy test jej przywództwa. Przeszła między ludźmi, od sypialni do sypialni, pytając ich o zdanie. Chciała wiedzieć, czy zgodzą się, by zbudowaną w nowym świecie wioskę nazwać Andhra, od prowincji, której Hajdarabad był stolicą.

I wszyscy natychmiast przystali na jej propozycję. Planeta będzie nosić nazwę Ganges, ale pierwsza wioska zostanie Andhrą.

- Naszym językiem musi być wspólny - tłumaczyła. - Serce mi pęka, gdyż muszę odrzucić piękne języki Indii, ale musimy mówić ze sobą jednym głosem. Wasze dzieci muszą w domach uczyć się wspólnego jako pierwszego języka. Możecie też uczyć je hindi albo telugu, albo dowolnego innego, ale wspólnego najpierw.

- Język Raj - oświadczył jakiś starzec.

Inni koloniści natychmiast krzyknęli na niego, by okazywał Virlomi więcej szacunku.

Lecz ona tylko się roześmiała.

- Tak - przyznała. - To język Raj. Bo kiedyś podbili nas Brytyjczycy, a potem Hegemonia. Ale to język, który znamy wszyscy. My z Indii dlatego, że Brytyjczycy tak długo nami rządzą, a potem robiliśmy interesy z Ameryką; nie - Hindusi dlatego, że znajomość wspólnego jest wymagana od każdego,

kto chce wyruszyć na tę wyprawę.

Starzec śmiał się razem z nią.

- A więc pamiętasz - pochwalił. - Nasza historia z tym tak zwanym wspólnym jest dłuższa niż kogokolwiek, z wyjątkiem jedynie samych Anglików i Amerykanów.

- Zawsze potrafiliśmy się uczyć mowy naszych najeźdźców, a potem przyswajać ją jak własną. Nasza literatura stawała się ich literaturą, a ich stawała się naszą. Używamy języka we własny sposób i za słowami skrywamy własne myśli. Jesteśmy, kim jesteśmy. Nic się nie zmienia.

W ten sposób rozmawiała z indyjskimi kolonistami. Ale byli też inni, około jednej piątej, którzy pochodzili z innych krajów. Niektórzy wybrali ją, ponieważ była sławna - przecież ona wzniosła Wielki Mur Indii - a jej walka o wolność porwała ich wyobraźnię.

Innych przydzielono do kolonii Ganges w wyniku losowania. Graff zdecydował, że z Indii może pochodzić nie więcej niż cztery piąte kolonistów. Jego notka była zwięzła: „Może nadejdzie kiedyś dzień, że kolonie będą zakładane przez pojedyncze grupy. Ale prawo pierwszych kolonii mówi, że wszyscy ludzie są równoprawnymi obywatelami. Podejmujemy ryzyko, pozwalając ci zabrać tylu Hindusów. Tylko polityczna rzeczywistość Indii skłoniła mnie, by odstąpić od normalnej reguły, by nie więcej niż jedna piąta była tej samej narodowości. I tak trafiają już do nas żądania Kenijczyków, Darfurczyków, Kurdów, mówiących quechua i Majów, a także innych grup, które pragną wyłącznie nowej ojczyzny. Skoro dajemy ją Hindusom Virlomi, to czemu nie im? Czy muszą wywołać krwawą wojnę, żeby... itd., itd. Właśnie dlatego muszę mieć możliwość, by wskazać im te dwadzieścia procent, które nie są Hindusami, i dlatego muszę wiedzieć, że istotnie będą równoprawnymi obywatelami”.

Tak, tak, pułkownikowi Graff, będzie tak, jak pan sobie życzy. Nawet kiedy już wylądujemy na Gangesie i nie będzie pan już miał na nas żadnego wpływu, dotrzymam słowa. Będę zachęcała do małżeństw mieszanych, do równego traktowania, będę się upierać przy angielskim... to znaczy wspólnym jako języku oficjalnym.

Ale mimo moich wysiłków te dwadzieścia procent zostanie wchłonięte. Za sześć pokoleń, pięć pokoleń, może nawet trzy, przybysze spotkają na Gangesie jasnowłosych i rudych Hindusów, piegowatych i jasnoskórych, hebanowoczarnych, spotkają twarze chińskie i afrykańskie, a jednak wszyscy ci ludzie powiedzą: „Jestem Hindusem”.

Indyjska kultura jest zbyt silna, by ktokolwiek ją kontrolował. Władałam Indiami, respektując indyjskie obyczaje, spełniając indyjskie marzenia. Teraz będę kierować kolonią Ganges - wioską Andhra - ucząc Hindusów, by udawali tolerancję wobec innych, nawet gdy będą się z nimi przyjaźnić i wprowadzać w nasze obyczaje. Wkrótce zrozumieją, że to my, Hindusi, jesteśmy rodowitymi mieszkańcami tego świata, a pozostali intruzami, chyba że się „wrodzą” i staną jednymi z nas. Nie da się temu zaradzić. Taka jest ludzka natura połączona z hinduskim uporem i cierpliwością.

A jednak Virłomi starała się docierać do nie-Hindusów przebywających na Stacji Przesiadkowej w dawnej Szkole Bojowej.

Przyjmowali ją dobrze. Opanowanie tutejszego slangu dawało jej dobry punkt zaczepienia. Po wojnie slang Szkoły Bojowej stał się modny wśród dzieciaków na całym świecie, a ona posługiwała się nim biegle. To intrygowało dzieci i młodych, a bawiło dorosłych. Dzięki temu wydawała się bardziej dostępna. Przystawała być sławą.

W koszarach... nie, w sypialniach, które służyły kiedyś nowo

przybyłym uczniom - nazywali ich starterami - przebywała też pewna kobieta z dzieckiem na rękach; konsekwentnie trzymała się z dala. Virlomi to nie przeszkadzało, nie wszyscy przecież musieli ją lubić. Wkrótce jednak, gdy coraz częściej odwiedzała te sypialnie, stawało się jasne, że Nichelle Firth nie jest tylko nieśmiała czy zagubiona. Jest wroga.

Fascynowała Virlomi, która starała się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Zawarta w aktach biografia była tak skąpa, że budziła podejrzenie, że jest fałszywa. Zresztą nie jedyna - czasem ludzie wyruszali do kolonii właśnie po to, by zostawić za sobą całą swoją przeszłość, a nawet własną tożsamość.

Jednak z tą kobietą nie dało się bezpośrednio porozmawiać. Uprzejmie obojętna, odpowiadała półsłówkami albo wcale; kiedy decydowała się nie odpowiadać, uśmiechała się z zaciśniętymi zębami, więc mimo uśmiechu Virlomi wyczuwała wrzącą gdzieś złość. Nie naciskała więc.

Obserwowała jednak jej reakcje na to, co Virlomi i inni mówili, gdy Nichelle, choć nie uczestniczyła w rozmowie, znalazła się w zasięgu słuchu. Wydawało się, że tym, co ją pobudza, co pozwala dostrzec w mowie ciała wściekłość, jest dowolna wzmianka o hegemonie, Peterze Wigginie, wojnach na Ziemi, Wolnych Ludach Ziemi albo o Ministerstwie Kolonizacji. Podobnie nazwiska Endera Wiggina, Graffa, Suriyawonga, a nade wszystko Juliana Delphiki - Groszka - powodowały, że mocniej przytulała dziecko i zaczynała szeptać mu do ucha jakieś inkantacje.

Kilka tych nazwisk Virlomi wymieniła sama, na próbę. Nichelle Firth z pewnością nie brała udziału w wojnie - jej zdjęcie nie wywołało żadnej reakcji u ekipy Petera, kiedy przesłała im zapytanie. A jednak bardzo emocjonalnie traktowała wydarzenia z niedawnej przeszłości.

Dopiero pod koniec okresu przygotowawczego Virlomi

wpadła na pomysł, by sprawdzić jeszcze jedno nazwisko. Udało jej się wprowadzić je do rozmowy z parą Belgów, ale dopilnowała, by Nichelle mogła ich usłyszeć. „Achilles Flandres”, powiedziała, wymieniając go jako najśłynniejszego Belga ostatnich lat. Oczywiście byli urażeni i sprostowali, że naprawdę nie był Belgiem. Kiedy starała się ich ułagodzić, jednocześnie obserwowała Nichelle.

Jej reakcja była silna, owszem, i na pierwszy rzut oka taka sama jak zawsze - przytulić dziecko, pocałować, mówić szeptem.

Jednak wtedy Virlomi zrozumiała. Ta kobieta nie była sztywna. Nie była gniewna. Była czuła wobec dziecka. Wydawała się uspokojona i zadowolona. Uśmiechała się.

I raz za razem szeptała w kółko: „Achilles Flandres”.

Było to tak niepokojące i dziwne, że Virlomi miała ochotę podejść do niej i krzyknąć: Jak śmiesz czcić imię tego potwora?

Ale zbyt dobrze pamiętała własne straszne uczynki. Wiele ją różniło od Achillesa, lecz istniały też podobieństwa i nierozsądnie byłoby gwałtownie go potępiać. Ta kobieta wyraźnie czuła do niego sympatię. Co z tego?

Virlomi wróciła z koszar i znowu zaczęła przeszukiwać sieci. Nie było żadnych śladów pobytu Achillesa w miejscu, gdzie mógłby spotkać tę Amerykankę. Virlomi nie wyobrażała sobie, by Nichelle mówiła po francusku, nawet źle. Chyba nie miała odpowiedniego wykształcenia - jak większość Amerykanów, opanowała tylko jeden język, którego używała niezbyt biegle, ale głośno. To absolutnie nie mogło być dziecko Achillesa.

Musiała jednak to sprawdzić. Zachowanie Nichelle Firth wyraźnie sugerowało taką możliwość.

Nie pozwoliła, by Firth z dzieckiem zapadła w stazę i trafiła na statek, dopóki nie otrzymała wyników badań porównawczych między zapisem genetycznym dziecka a genami

Achillesa.

Nie było zgodności. Nie mógł być ojcem.

No dobrze, pomyślała wtedy Virlomi. Ta kobieta jest dziwna i będzie sprawiać kłopoty. Ale nie takie, których z czasem nie da się rozwiązać. Daleko od Ziemi zblednie pamięć o tym, kto uczynił ją taką wielbicieleką potwora. Zaakceptuje przyjaźń innych.

Albo i nie, ale wtedy sama sobie wymierzy karę, jaką będzie ostracyzm ze strony tych, których przyjaźń odrzuciła. Tak czy inaczej, Virlomi sobie poradzi. Jakim problemem może być jedna kobieta wśród tysięcy kolonistów? Przecież Nichelle Firth nie ma żadnych cech przywódcy. Nikt za nią nie pójdzie. Nie będzie się liczyła.

Virlomi wydała zatem zgodę na umieszczenie matki i dziecka w stazie. Ale z powodu tego opóźnienia wciąż jeszcze byli na stacji, kiedy przyszedł Graff, żeby osobiście porozmawiać z tymi, którzy planowali zachować przytomność w czasie lotu. Było ich około setki - większość wybrała opcję snu - i Graff miał im wyjaśnić, że kapitan sprawuje absolutną władzę. A przede wszystkim podkreślić niemal nieograniczony zakres możliwych do zastosowania kar.

- Macie robić wszystko, co wam poleci ktoś z załogi. I macie to robić natychmiast.

- A jak nie? - zapytał ktoś.

Graff nie był urażony - to pytanie brzmiało raczej lęklwie niż wyzywająco.

- Kapitan ma władzę życia i śmierci. Zależnie od wagi wykroczenia. Jest też jedynym sędzią, który ocenia tę wagę. Nie będzie apelacji. Czy to jasne?

Wszyscy zrozumieli. Kilku nawet w ostatniej chwili skorzystało z możliwości lotu w stazie - nie dlatego, że planowali bunt, ale nie odpowiadała im perspektywa wielu lat

podróży z kimś, kto ma nad nimi taką władzę.

Po zakończeniu spotkania nastąpiło ogromne zamieszanie i gwar. Niektórzy ruszyli do stolika, gdzie przyjmowano ostatnie zgłoszenie do podróży w stazie, inni kierowali się do sypialni, jeszcze inni otoczyli Graffa - oczywiście ścigała ich sława, gdyż był niemal tak znany jak Virlomi, a po raz pierwszy mieli okazję widzieć go bezpośrednio.

Virlomi przeciskała się do stolika stazy, kiedy usłyszała głośny hałas - wiele syknięć i okrzyków równocześnie - od strony grupy ludzi wokół Graffa. Spojrzała tam, ale nie widziała, co się stało. Graff stał nieruchomo i uśmiechał się do kogoś; wyglądał przy tym całkiem normalnie. Tylko spojrzenia - wrogie spojrzenia - stojących przy nim zwróciły jej uwagę na kobietę, która wzburzona wychodziła z sali, najwyraźniej oddalając się od Graffa.

To była Nichelle Firth, oczywiście, z Randallem na rękach.

No cóż, cokolwiek zrobiła, najwyraźniej nie rozżłościła Graffa, choć wzburzyła innych.

Jednak to niepokojące, że Nichelle wykorzystwała tę okazję, by się z nim zmierzyć. Wrogość skłoniła ją do działania - zła wiadomość.

Dlaczego wobec mnie nie okazywała tak otwartej niechęci? Jestem tak samo znana jak...

Znana, ale z czego? Z tego, że Hegemonia pokonała mnie i wzięła do niewoli. A ci wrogowie, którzy sprzymierzyli się przeciwko mnie? Suriyawong. Peter Wiggin. A razem z nimi cały cywilizowany świat. Praktycznie ten sam zestaw, który walczył i nienawidził Achillesa Flandres.

Nic dziwnego, że zgłosiła się do mojej kolonii, nie żadnej innej. Uważa mnie za pokrewną duszę, skoro pokonali mnie ci sami wrogowie. Nie rozumie - a przynajmniej nie rozumiała, kiedy podpisywała zgłoszenie - że przyznaję rację tym, którzy

zwyciężyli, że postępowałam źle i trzeba mnie było powstrzymać. Nie jestem Achillesem. Nie jestem podobna do Achillesa.

Gdyby bogini chciała ukarać Virlomi za to, że grała jej rolę, by zdobyć władzę i zjednoczyć Indie, nie znalazłaby lepszego sposobu niż ten: sprawić, by wszyscy uważali, że jest podobna do Achillesa. I żeby ją za to lubili.

Na szczęście Nichelle Firth to tylko jedna osoba. Nikt jej nie lubi, bo ona nie lubi nikogo. Jej opinie są jej prywatną sprawą.

Cały czas sama siebie o tym przekonuję, pomyślała Virlomi. Czy to znaczy, że w najciemniejszych zakamarkach umysłu dziwaczne opinie tej kobiety już na mnie wpływają?

Oczywiście, że tak.

Satyagraha. To także zniosę.

Rozdział. 12

To: GovDes%Shakespeare@ColMin.gov/voy

From: MinCol@ColMin.gov

Subject: Dziwne spotkanie

Drogi Enderze,

Tak, nadal żyję. Dziesięć miesięcy każdego roku spędzam w stazie, żeby zobaczyć, jak się rozwija projekt. To możliwe tylko dlatego, że mam personel, któremu całkiem dosłownie mogę powierzyć własne życie. Tabele śmiertelności sugerują, że będę żywy, kiedy dolecisz do Szekspira.

Teraz jednak piszę do Ciebie, bo wiem, że z Groszkiem byliście sobie bliscy. Dołączam dokumentację na temat jego wady genetycznej. Wiemy dzisiaj, że prawdziwe nazwisko Groszka to Julian Delphiki; został porwany jako zamrożony embrion i on jedyny przeżył nielegalny eksperyment genetyczny. Zmiany w jego genach sprawiły, że stał się wybitnie inteligentny. Niestety, wpłynęły również na tempo jego wzrostu. W dzieciństwie był bardzo mały - to ten Groszek, którego znałeś. Nie było gwałtownego skoku w okresie dojrzewania; ma zapisany w genach jednostajny przyrost aż do śmierci. Nie chciał spędzić ostatnich lat życia w szpitalu, w żalnym stanie. Dlatego wyruszył z prędkością światła na wyprawę badawczą. Będzie żył tyle, ile by żył, ale praktycznie usunął się z Ziemi i z ludzkości.

Nie wiem, czy ktoś Ci o tym mówił, ale Groszek i Petra się pobrali. Mimo obaw Groszka, że ich dzieci mogą odziedziczyć jego chorobę, zapłodnili dziewięć jajeczek - ponieważ zostali oszukani przez lekarza, który twierdził, że potrafi usunąć u dzieci tę skazę. Petra urodziła jedno, ale pozostałe osiem embrionów porwano - podobnie jak zdarzyło się to z embrionem Groszka - i zaimplantowano zastępczym matkom, które nie znały pochodzenia dzieci. Po długotrwałych i rozległych poszukiwaniach udało nam się odnaleźć siedmioro. Ósme zaginęło bez śladu. Aż do teraz.

Piszę to, ponieważ spotkało mnie dzisiaj coś dziwnego. Jestem na Wyspie Ellis - tak nazywamy to, co było kiedyś Szkołą Bojową. Wszyscy koloniści zbierają się tutaj, są dzieleni na statki i wysyłani do kolonii. Eros znajduje się teraz zbyt daleko na orbicie, by był wygodny, więc ładujemy statki i wysyłamy je stąd.

Wygłaszałem swój wykład wprowadzający, pełen mojego typowego humoru i mądrości, dla grupy odlatującej do kolonii Ganges. Kiedy skończyłem, podeszła do mnie kobieta - Amerykanka, sądząc po akcencie - z dzieckiem na rękach. Nie odezwała się. Splunęła mi tylko na but i odeszła.

Naturalnie wzbudziło to moją ciekawość - zawsze pociągały mnie takie zalotne kobiety. Sprawdziłem ją. Inaczej mówiąc, poprosiłem jednego z moich przyjaciół na Ziemi, żeby dokładnie zbadał jej biografię. Okazuje się, że nazwisko jest fałszywe - nic aż tak niezwykłego i nie przejmujemy się tym, możesz być, kim zechcesz, o ile tylko nie jesteś pedofilem ani psychopatycznym zabójcą. W swym wcześniejszym życiu była żoną zastępcy kierownika sklepu spożywczego, a jej mąż był całkowicie bezpłodny. Czyli ten chłopczyk nie jest synem jej męża - i znowu, nic w tym niezwykłego. Niezwykłe jest to, że nie jest też jej synem.

Chcę teraz wyznać Ci coś, czego trochę się wstydzę... Obiecałem Groszkowi i Petrze, że nigdzie nie pozostanie ślad zapisu genetycznego ich dzieci. Zachowałem jednak kopię tego, którego używaliśmy do poszukiwań, w nadziei że kiedyś może natrafię na to zaginione.

W jakiś sposób tej kobiecie - Randi Johnson (z domu Alba), znanej obecnie jako Nichelle Firth - zaimplantowano zaginiony embrion. Chłopczyk cierpi na ten Groszkowy genetyczny gigantyzm. Będzie wybitnie inteligentny, ale umrze około dwudziestego roku życia (albo wcześniej) z powodu wzrostu, który zwyczajnie się nie zatrzyma.

Jest wychowywany przez kobietę, która nie wiadomo dlaczego mnie opluła. Nie jestem tym osobiście urażony, ale zaciekawiony, ponieważ takie działanie budzi podejrzenia, że w przeciwieństwie do innych matek zastępczych ta może coś wiedzieć o tym, czyje dziecko nosiła. Albo, co bardziej prawdopodobne, mogła usłyszeć fałszywą historię. W każdym razie nie mogę jej o to spytać, bo zanim uzyskałem te informacje, ona zdążyła odlecieć.

Zmierza teraz do kolonii Ganges, którą ma zarządzać młoda absolwentka Szkoły Bojowej. Virlomi nie była tak młoda jak ty, kiedy odlatywała - dość czasu spędziła na Ziemi po wyjściu ze Szkoły Bojowej, by wybawić Indie spod chińskiej okupacji, a potem doprowadzić do fatalnej (i fatalnie zaplanowanej) inwazji na Chiny. Pod koniec swej władzy stała się groźną dla samej siebie fanatyczką, która uwierzyła we własną propagandę. Teraz odzyskała rozum. Zamiast się zastanawiać, czy

odznaczyć ją za wyzwolenie swojego narodu, czy skazać za inwazję na naród najeźdźców, zrobiliśmy ją przywódcą kolonii, która po raz pierwszy uwzględnia kulturę pochodzenia na Ziemi. Większość kolonistów to Hindusi wyznania hinduistycznego - ale nie wszyscy.

Syn Groszka będzie inteligentny - jak jego ojciec plus jego matka. A Randi karmi go pewnie opowieściami, które mogą w nieprzyjemny sposób wykrzywić mu charakter.

Czemu Ci to mówię? Ponieważ kolonia Ganges to nasza pierwsza próba skolonizowania świata, który wyjściowo NIE był w posiadaniu formidów. Podróżują z nieco mniejszym ułamkiem prędkości światła, więc nie dotrą na miejsce, dopóki xb nie będą mieli szansy zakończenia pracy i przygotowania planety do kolonizacji.

Jeśli odpowiada ci zarządzanie Szekspirem i chcesz tam spędzić resztę życia, ta informacja nie będzie dla Ciebie szczególnie interesująca. Ale jeśli za kilka lat uznasz, że rządzenie to jednak nie Twoja działka, prosiłbym, żebyś poleciał kurierem na Ganges. Oczywiście, kolonia nawet nie powstanie, kiedy Ty spędzisz już pięć (czy nawet dziesięć) lat na Szekspirze. A droga na Ganges jest taka, że możesz opuścić Szekspira i dotrzeć na miejsce po czternastu (lub dziewiętnastu) latach od założenia. W tym momencie chłopiec (Randall Firth) będzie już duży jak dorosły - nie, większy - i tak szokująco inteligentny, że stanie się zagrożeniem dla spokoju i bezpieczeństwa kolonii. Albo może już być dyktatorem. Albo demokratycznie wybranym gubernatorem, który uratował ich przed obłędem Virłomi. Albo może być już martwy. Albo zupełnie nieważny. Kto wie?

I znowu: wybór należy do Ciebie. Nie mogę Ci niczego rozkazać. Groszek i Petra nie mogą Ci niczego rozkazać. Ale gdybyś uznał sprawę za interesującą - bardziej interesującą niż pozostanie na Szekspirze - Ganges byłby miejscem, gdzie mógłbyś polecieć i może pomóc młodej gubernator Virłomi, która jest błyskotliwa, ale niekiedy podejmuje całkiem błędne decyzje.

Niestety, sprzedaję Ci kota w worku. W czasie, kiedy powinieneś opuścić Szekspira, by mieć czas na skuteczne działanie, na Gangesie koloniści nie zjedną nawet ze statku. Być może wysyłam Cię do kolonii bez żadnych kłopotów, w której zatem nie będziesz miał nic do roboty.

Widzisz więc, jak planuję sprawy, których nie da się zaplanować. Ale czasem jestem naprawdę zadowolony, że to zrobiłem. Jeśli jednak uznasz,

że od teraz nie chcesz mieć nic wspólnego z moimi planami, zrozumiałem.

Twój przyjaciel

Hyrum Graff

PS Na wypadek gdyby kapitan Cię nie poinformował: pięć lat po Twoim odlocie MF zgodziła się na moją pilną prośbę i wysłała serię jednostek kurierskich, startujących do każdej z kolonii co pięć lat. Te statki to nie ogromne behemoty, które przewożą kolonistów, ale mają dość miejsca na sporą ilość ładunku. Mamy nadzieję, że umożliwią handel między koloniami. Naszym celem jest, by statek odwiedzał każdą kolonię co pięć lat - ale potem będzie podróżował od planety do planety, a na Ziemię powróci po wykonaniu pełnego obrotu. Członkowie załogi będą mogli dokończyć podróż albo przeskoczyć zastępcę na dowolnej planecie i pozostać tam, gdy ktoś inny dokończy misję. W ten sposób nikt nie będzie do końca życia uwięziony na tej samej planecie, nikt nie będzie tkwił do końca życia na jednym statku. Jak możesz się domyślać, nie narzekamy na brak ochotników.

Witalij Kołmogorow leżał w łóżku, czekał na śmierć i coraz bardziej się niecierpliwił.

- Nie ponaglaaj natury - uspokajał go Sel Menach. - To daje zły przykład.

- Niczego nie ponaglam. Ja tylko czuję się zniecierpliwiony. Myślę, że chyba mam prawo czuć to, co czuję.

- A ja czuję, że masz prawo myśleć to, co myślisz - odparł Sel.

- Aha, teraz ci się rozwinęło poczucie humoru, co?

- Ty zdecydowałeś, że to twoje łożo śmierci. Nie ja. Ale czarny humor wydaje się odpowiedni.

- Sel, nie bez powodu prosiłem, żebyś do mnie zajrzał.

- Chciałeś mnie wpędzić w depresję.

- Kiedy umrę, kolonii będzie potrzebny nowy gubernator.

- Przecież gubernator już tu leci z Ziemi, prawda?

- Technicznie, raczej z Erosa.

- Och, Witalij, wszyscy pochodzimy z Erosa.

- Bardzo zabawne i bardzo klasyczne. Zastanawiam się, jak

długo jeszcze kogokolwiek będą bawiły gry słów oparte na nazwach ziemskich asteroid i greckich bogów.

- W każdym razie, Witalij, nie mów mi tylko, że wyznaczasz mnie na gubernatora.

- Nic podobnego. Powierzam ci zadanie.

- I nikt nie może go wykonać oprócz podstarzałego ksenobiologa.

- Otóż to - zgodził się Witalij. - Jest pewna wiadomość, zaszyfrowana... i nie, nie dam ci klucza... Ta wiadomość czeka w kolejce do ansibla. Proszę cię o jedno: kiedy będę już całkiem i do końca martwy, ale zanim wybiorą nowego gubernatora, wyślij ją.

- Do kogo?

- Wiadomość już wie, do kogo ma trafić.

- Bardzo sprytna wiadomość. Dlaczego sama nie sprawdzi, kiedy umrzesz, i sama się nie wyśle?

- Obiecujesz?

- Tak, oczywiście.

- I obiecaj mi coś jeszcze.

- Starzeję się. Nie gwarantuję, że zapamiętam zbyt wiele obietnic naraz.

- Jeśli wybiorą cię na gubernatora, zgódź się.

- Nie wybiorą.

- Jeśli nie, to w porządku - zapewnił Witalij. - Ale jeśli jednak wybiorą, czego spodziewa się każdy oprócz ciebie, przyjmij.

- Nie.

- I właśnie dlatego musisz. Masz najlepsze kwalifikacje do tego stanowiska, ponieważ go nie chcesz.

- Nikt przy zdrowych zmysłach by nie chciał.

- Zbyt wielu go pragnie, nie dlatego że chcą tej pracy, ale dlatego że podobają im się zaszczyty. Prestiż. Ranga. - Witalij

się zaśmiał, lecz po chwili zaczął paskudnie kaszleć. Trwało to, dopóki nie napił się wody i nie uspokoił szarpanych spazmami płuc. - Za czymś takim na pewno nie będę tęsknił, kiedy już umrę.

- Za rangą?

- Chodziło mi o ten kaszel. To bezustanne łaskotanie w głębi piersi. Rzęzenie. Wzdęcia. Zamglony wzrok, niezależnie od tego, jak dobre mam okulary i jak dużo światła. Cały ten nieprzyjemny rozkład starości...

- A co z nieświeżym oddechem?

- On służy do tego, żebyście wy też byli zadowoleni z mojej śmierci. Sel, mówię poważnie. Kto inny może zostać gubernatorem? Tylko ktoś, kto chce tej funkcji i nie zrezygnuje z niej chętnie, kiedy przyleci nowy.

- Tak się to kończy, kiedy na dalekim Erosie decydują, żeby obok zapasów, sprzętu i wiedzy przysłać nam dyktatora.

- Ja też na początku byłem dyktatorem - przypomniał Witalij.

- Kiedy zaczynaliśmy i przetrwanie wydawało się niemożliwe. Owszem, starałeś się utrzymać dyscyplinę, dopóki nie znaleźliśmy sposobu na to wszystko, czym planeta usiłowała nas pozabijać. Ale ten czas już minął.

- Nie, wcale nie. Pozwól, że ci wytłumaczę. Ten statek, który do nas leci, ma na pokładzie dwóch admirałów. Jeden to nasz przyszły gubernator, drugi to dowódca statku. Zgadnij, który z nich wierzy, że powinien zostać gubernatorem.

- Kapitan statku, oczywiście. Inaczej byś o to nie pytał.

- Biurokrata. Karierowicz. Nie znałem go przed startem naszej wyprawy, ale znam ten typ.

- Czyli statek przyniesie nam wszystko, czego potrzebujemy, plus walkę o władzę.

- Nie chcę tu wojny. Nie chcę rozlewu krwi. Nie chcę, żeby

nowo przybyli musieli siłą obalać ambitnego p.o. gubernatora na Szekspirze. Chcę, żeby nasza kolonia była gotowa powitać nowych kolonistów i wszystko, co ze sobą przywiozą. I by zjednoczyć się przy gubernatorze, którego wybrano nam na Erosie. Wiedzieli, co robią, kiedy go mianowali.

- Wiesz, kto to jest - stwierdził Sel. - Wiesz, a jednak żywej duszy nie powiedziałeś.

- Oczywiście, że wiem - przyznał Witalij. - Koresponduję z nim od trzydziestu pięciu lat. Odkąd wystartował statek kolonizacyjny.

- I nie pisnałeś ani słowa? Kto to taki? Ktoś, o kim słyszałem?

- Skąd mogę wiedzieć, o kim słyszałeś, a o kim nie?

- Czyli nadal nie chcesz niczego zdradzić...

- Kiedy wyjdzie z podświetlonej, skontaktuje się z tobą. Potem możesz zdecydować, jak powiadomić o nim naszych ludzi. Cokolwiek ci powie, możesz im powtórzyć.

- Ale nie wierzysz, że dochowam tajemnicy?

- Sel, ty nie dochowujesz tajemnic. Mówisz to, co ci przyjdzie na myśl. Oszustwo nie leży w twojej naturze. Dlatego właśnie będziesz świetnym gubernatorem i dlatego nie mówię ci nic, czego nie mógłbyś powtórzyć wszystkim, jak tylko się o tym dowiesz.

- Nie umiem kłamać? W takim razie nie będę cię nawet przekonywał, że przyjmę urząd gubernatora, bo nie przyjmę. Nie będę musiał. Wybiorą kogoś innego. Nikt tu mnie nie lubi oprócz ciebie, Witalij. Jestem zręcznym staruszką, który rozstawia ludzi po kątach i doprowadza do płaczu niezręczne asystentki. Cokolwiek zrobiłem dla tej kolonii, dawno już jest przeszłością.

- Wiesz co? Zamknij się. Zrobisz, co zrobisz, a ja też zrobię, co zrobię. W moim przypadku oznacza to, że umrę.

- Ja też umrę, wiesz przecież. Prawdopodobnie jeszcze przed tobą.

- W takim razie musisz się spieszyć.

- Ten nowy gubernator... Czy on ma pojęcie, co będzie niezbędne, żeby ci nowi mogli tutaj żyć? Zastrzyki? Regularna dieta z modyfikowanej wieprzowiny, żeby przyswajali białka, na których robaki giną z głodu? Mam nadzieję, że nie przysłali nam żadnych wegetarian. To naprawdę paskudnie, że ci nowi będą mieli przewagę liczebną już w chwili, kiedy zejda z statku.

- Potrzebujemy ich - przypomniał Witalij.

- Wiem. Pula genetyczna też ich potrzebuje, farmy i fabryki ich potrzebują.

- Fabryki?

- Trochę majstrujemy przy jednym ze starych generatorów słonecznych formidów. Sądzimy, że uda się napędzać nim krosna.

- Rewolucja przemysłowa! Ledwie trzydzieści sześć lat od naszego przybycia na tę planetę! I twierdzisz, że ostatnio nic dla ludzi nie zrobiłeś!

- Bo nie ja to robię - oświadczył Sel. - Ja tylko namówiłem Lee Tee, żeby się temu przyjrzał.

- No tak, jeśli to wszystko...

- Powiedz to.

- Co mam powiedzieć? Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

- Powiedz, że przekonywanie ludzi, aby spróbowali coś zrobić, to właśnie metoda, jaką rządziłeś przez te trzydzieści pięć lat.

- Nie muszę mówić tego, co już wiesz.

- Nie umieraj - powiedział cicho Sel.

- Bardzo jestem wzruszony - zapewnił Witalij. - Ale nie

rozumiesz? Chcę tego. Skończyłem. Zużyłem się. Ruszyłem na wojnę, walczyliśmy i zwyciężyliśmy, a potem Ender Wiggin wygrał bitwę o planetę macierzystą i zdechły wszystkie tutejsze robale. Nagle przestałem być żołnierzem. A ja byłem żołnierzem, Sel. Nie biurokratą. Na pewno nie gubernatorem. Ale byłem admirałem i dowodziłem, to był mój obowiązek, więc go wypełniłem.

- Nie jestem tak obowiązkowy jak ty.

- Nie mówię teraz o tobie, do diabła! Ty zrobisz, co zechcesz. Mówię o sobie. Tłumaczę ci, co masz powiedzieć na tym moim nieszczęsnym pogrzebie!

- Aha...

- Nie chciałem być gubernatorem. Spodziewałem się raczej, że zginę w tej wojnie, ale tak naprawdę nie myślałem o przyszłości, nie więcej niż ty. Przylecieliśmy tutaj, byliśmy wyszkoleni, by przeżyć na świecie skolonizowanym przez formidów. Ale myślałem, że to będzie twoja robota, twoja i techników, a ja będę dowodził w walkach, ścierając się z hordami robali wysypujących się z za wzgórz, kopiących pod nami tunele... Nie masz pojęcia, jakie miałem koszmary na temat tej okupacji, oczyszczania, obrony... Bałem się, że na całym świecie nie wystarczy pocisków. Myślałem, że tu zginiemy.

- W takim razie Ender Wiggin cię rozczarował.

- Tak. Egoistyczny smarkacz. Jestem żołnierzem, a on wyrwał mi spod nóg moją wojnę.

- A ty go za to kochałeś.

- Spełniłem swój obowiązek, Sel. Spełniłem obowiązek.

- Ja też - odparł Sel. - Ale nie spełnię twojego.

- Spełnisz, kiedy odejdę.

- Nie będzie cię tu, żeby sprawdzić.

- Mam nadzieję na wieczne życie - oświadczył Witalij. - Nie

jestem naukowcem, wolno mi tak mówić.

- Większość naukowców wierzy w Boga - zauważył Sel. - Z pewnością większość z nas tutaj.

- Ale nie wierzysz, że będę żywy i zobaczę, co robisz.

- Chcę wierzyć, że Bóg ma dla ciebie ważniejsze zajęcia. Poza tym niebo w tej okolicy to niebo formidów. Mam nadzieję, że Bóg pozwoli tej części ciebie, która przetrwa, wrócić do nieba, gdzie są ludzie.

- Albo do piekła - stwierdził Witalij.

- Zapomniałem już, jakimi Rosjanie są pesymistami.

- To nie pesymizm. Po prostu chcę trafić tam, gdzie są moi przyjaciele. Gdzie jest mój ojciec, stary drań.

- Nie lubisz go? Ale chcesz z nim być?

- Chcę staremu pijakowi przywalić. A potem pójdziemy na ryby.

- Czyli nie będzie to niebo dla ryb.

- To będzie piekło dla wszystkich. Ale z dobrymi momentami.

- Całkiem jak nasze obecne życie tutaj - uznał Sel.

Witalij parsknął śmiechem.

- Żołnierze nie powinni się zajmować teologią.

- Ksenobiolodzy nie powinni się zajmować rządzeniem.

- Dziękuję ci za to, że moje ostatnie chwile udało ci się wypełnić niepewnością.

- Wszystko, byle ci poprawić humor. A teraz wybacz, ale muszę nakarmić świnię.

Sel wyszedł, a Witalij leżał samotny i zastanawiał się, czy powinien wstać z łóżka i jednak sam wysłać wiadomość.

Nie, podjął słuszną decyzję. Nie chciał żadnej rozmowy z Enderem. Niech dostanie ten list, kiedy będzie już za późno na odpowiedź. To mądry dzieciak. I dobry chłopak. Zrobi to, co należy.

Nie chcę, żeby mnie pytał o radę, bo jej nie potrzebuje, a mógłby jej posłuchać.

Rozdział. 13

To: GovDes%ShakespeareCol@ColMin/voy
From: GovAct%ShakespeareCol@colmin.gov
Subject: Odbierzesz to, kiedy już umrę
Ender,

W temacie napisałem wprost. Nie ma co owijać w bawełnę - piszę to, ponieważ czuję w sobie ziarna śmierci. Dopilnuję, żeby wiadomość wysłano, kiedy już mnie załatwią.

Spodziewam się, że moim następcą zostanie Sel Menach. Nie pragnie tego stanowiska, ale jest ogólnie lubiany i wszyscy mu ufają. Nie zechce trzymać się stołka, kiedy dolecisz. Ale jeśli to nie będzie on, musisz sam sobie radzić i życzyć Ci szczęścia.

Wiem, jak trudne chwile czekają moją małą społeczność. Przez trzydzieści sześć lat żyliśmy i staraliśmy się jak w małżeństwie. Nowe pokolenie odtworzyło równowagę płci, mamy już prawie dojrzałe wnuki. A potem przyleci twój statek i nagle populacja wzrośnie pięciokrotnie. Będzie ciężko. Wszystko się zmieni. Ale wierzę, że teraz już Cię poznałem i jeśli mam rację, ludzie nie mają się czego obawiać. Pomożesz nowym kolonistom przyjąć nasze zwyczaje, tam gdzie nasze zwyczaje mają sens na tej planecie. Pomożesz moim ludziom ustąpić nowym kolonistom tam, gdzie trzeba, ponieważ sposoby z Ziemi też mają sens.

W pewnym sensie, Ender, jesteśmy w tym samym wieku, a przynajmniej na tym samym etapie życia. Dawno temu opuściliśmy swoje rodziny. Z punktu widzenia świata weszliśmy do otwartego grobu i zniknęliśmy. Dla mnie to naprawdę było życie pozagrobowe, kariera po zakończeniu kariery, życie po życiu. I było dobre. Było niebem. Wypełnione pracą, przerażające, tryumfujące, a wreszcie spokojne... Oby dla Ciebie było takie samo, przyjacielu. Obyś był zadowolony z każdego dnia.

Nigdy nie zapomniałem, że Tobie zawdzięczamy zwycięstwo, a zatem i drugie życie - Tobie i pozostałym dzieciom, które poprowadziły nas na wojnę. Raz jeszcze Ci dziękuję - zza grobu.

Z miłością i szacunkiem
Witalij Denisowicz Kołmogorow

- Nie podoba mi się to, co robisz Alessandrze - oznajmiła

Valentine.

Ender spojrzał na nią znad lektury.

- A co takiego?

- Nakłoniłeś ją, żeby się w tobie zadurzyła.

- Naprawdę?

- Nie udawaj, że tego nie widzisz! Patrzy na ciebie jak zgłodniały szczeniak!

- Nigdy nie miałem psa. W Szkole Bojowej nie pozwalali nam trzymać maskotek armii i nie było żadnych bezpieczeństwa.

- I umyślnie do tego doprowadziłeś.

- Jeśli potrafię skłonić kobietę, żeby się we mnie zakochała, powinienem butelkować tę zdolność, sprzedawać ją na Ziemi i zbijać majątek.

- Nie kobietę skłoniłeś, żeby się w tobie zakochała, ale emocjonalnie uzależnioną, nieśmiałą, niesamodzielną dziewczynę, a to żałośnie łatwe. Wystarczyło, że byłeś dla niej wyjątkowo miły.

- Masz rację. Gdyby nie mój egoizm, pewnie bym ją pobił.

- Ender, rozmawiasz ze mną. Myślisz, że nie patrzyłam? Szukasz okazji, żeby ją wychwalać. Żeby prosić o radę nawet w sprawach zupełnie bez znaczenia. Żeby przez cały czas dziękować nie wiadomo za co. I uśmiechasz się do niej. Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że swoim uśmiechem mógłbyś topić stal?

- Niezbyt to wygodne na statku kosmicznym. Będę się uśmiechał rzadziej.

- Włączasz go jak... jak gwiazdny napęd! Ten uśmiech... całą twarzą, jakbyś swoją duszę wkładał jej w ręce.

- Val, mam dość ważny list. O co konkretnie ci chodzi?

- Co zamierzasz z nią zrobić teraz, kiedy masz ją już na własność?

- Nikogo nie mam na własność. Nigdy jej nawet nie

dotknąłem. Naprawdę nigdy. Żadnego podawania ręki, żadnego klepnięcia po ramieniu, nic. Żadnego fizycznego kontaktu. Nie flirtowałem z nią. Żadnych seksualnych podtekstów. Żadnych prywatnych żarcików. Nigdy też nie znikałem z nią sam na sam. Miesiąc po miesiącu jej matka spiskuje, żeby zostawić nas samych, lecz jej się nie udaje. Nawet jeśli w tym celu muszę dość nieuprzejmie wyjść z pokoju. Które właściwie z tych zachowań skłania ją, żeby się we mnie zakochała?

- Ender, nie lubię, kiedy mnie okłamujesz.

- Valentine, jeśli chcesz uczciwej odpowiedzi, napisz mi uczciwy list.

Westchnęła i usiadła na łóżku.

- Nie mogę się już doczekać końca tej podróży.

- Jeszcze tylko nieco ponad dwa miesiące. Już prawie koniec. I skończyłaś swoją książkę.

- Owszem, i jest bardzo dobra - stwierdziła Valentine. - Zwłaszcza kiedy weźmiesz pod uwagę, że praktycznie nikogo z nich nie spotkałam, a ty właściwie mi nie pomagałeś.

- Odpowiadałem na każde pytanie, jakie zadałaś.

- Tylko nie wtedy, kiedy cię prosiłam, żebyś ocenił ludzi, ocenił szkołę...

- Moje opinie to nie jest historia. To przecież nie miały być „Szkolne dni Endera Wiggina”, o których opowiada jego siostra Valentine.

- Nie wyruszyłam w tę podróż po to, żeby się z tobą kłócić.

Ender spojrzał na nią z tak teatralnym zdumieniem, że rzuciła w niego poduszką.

- Nie wiem, czy cię to pocieszy - powiedziała. - Nigdy nie byłam wobec ciebie tak złośliwa, jak wobec Petera przez cały czas.

- A więc wszystko jest w porządku z tym światem.

- Ale jestem zła na ciebie, Ender. Nie powinieneś się bawić

uczuciami tej dziewczyny. Chyba że naprawdę zamierzasz się z nią ożenić...

- Nie zamierzam - zapewnił Ender.

- Więc nie powinieneś zawracać jej w głowie.

- Nie zawracam - zapewnił ponownie.

- A ja uważam, że tak.

- Nie, Valentine. To, co robię, jest właśnie potrzebne, żeby dostała to, czego najbardziej pragnie.

- To znaczy ciebie.

- To stanowczo nie znaczy mnie. - Ender usiadł obok siostry na łóżku. - Najbardziej mi pomożesz, jeśli przyjrzy się komuś innemu.

- Przyglądam się wszystkim - oświadczyła Val. - Osądzam wszystkich. Ale ty jesteś moim bratem, więc tobą mogę dyrygować.

- A ty jesteś moją siostrą, więc mogę cię łaskotać, dopóki się nie posiusiasz albo nie popłaczesz. Albo jedno i drugie.

Co zaczął realizować, choć nie posunął się aż tak daleko. W każdym razie zoczyła się tylko trochę. A potem walnęła go mocno w ramię, na co powiedział „au” bardzo złośliwie i sarkastycznie, więc wiedziała, że go naprawdę zabolalo, ale udaje, że nie. Zasłużył na to. Paskudnie się zachowywał wobec Alessandry i w ogóle się tym nie przejmował, a co gorsza uważał, że może wszystkiemu zaprzeczyć. Żalodne.

Przez całe popołudnie Ender zastanawiał się nad słowami Valentine. Wiedział, co planuje, i naprawdę chciał dla Aleksandry jak najlepiej, ale się przeliczył, jeśli dziewczyna rzeczywiście się w nim zakocha. To miała być przyjaźń, ufność, może wdzięczność. Jak brat z siostrą. Tylko że Alessandra nie była Valentine. Nie nadażała. Nie wyciągała wniosków tak szybko jak Val... a w każdym razie nie te same wnioski. Nie

potrafiła dotrzymać mu kroku.

Gdzie znajdę kogoś, z kim będę mógł się ożenić? - zastanowił się. Nigdzie i nigdy, jeśli wszystkie dziewczyny będę porównywał z Valentine.

To prawda, wiedziałem, że budzę w Alessandrze takie uczucia. Lubię, kiedy patrzy na mnie w ten sposób. Petra nigdy tak nie patrzyła. Nikt tak nie patrzył. To przyjemne. Hormony się budzą i burzą. Zabawne. Mam piętnaście lat. Nie powiedziałem niczego, co mogłoby dać jej fałszywe pojęcie o moich intencjach, i nie zrobiłem niczego, nigdy, co by sygnalizowało jakiś rodzaj pociągu fizycznego. Więc zastrzelcie mnie za to, że lubię, jak ona mnie lubi, i postępuję tak, że budzę w niej dobre uczucia. Jakie tu są reguły? Albo ją totalnie ignorować, niech się męczy w tej swojej nicości, albo ożenić się z nią na miejscu? Tylko taki jest wybór?

Ale gdzieś w głębi umysłu gryzło go inne pytanie: Czy jestem jak Peter? Czy wykorzystuję ludzi do realizacji moich planów? Czy to jakaś różnica, że dążę do rezultatu, który da jej szansę na szczęście? Nie pytam jej o zdanie, nie pozwalam decydować, manipuluję nią. Kształtuję jej świat tak, żeby dokonywała pewnych wyborów, podejmowała pewne działania, które innych ludzi skłonią do zrobienia czegoś, co chcę, żeby zrobili, więc...

Więc co? Co mogę zrobić innego? Biernie pozwalać sprawom się toczyć, a potem powiedzieć: „Ojoj, ale się porobiło”? Przecież wszyscy manipulujemy innymi ludźmi. Nawet jeśli otwarcie prosimy, żeby sami wybrali, staramy się wyrazić to tak, by wybrali to, co naszym zdaniem powinni.

Gdybym jej powiedział, co zamierzam, pewnie i tak by mi pomagała. Dobrowolnie.

Ale czy jest tak dobrą aktorką, by nie dać matce poznać, że coś się dzieje? Czy nie pozwoli wyrwać sobie tej informacji? Alessandra jest tak zdominowana przez matkę, że trudno

uwierzyć, by zdołała dochować tajemnicy. W każdym razie nie na długo. A jeśli zdradzi tę grę, nie będzie jej to nic kosztowało - pozostanie w tym samym miejscu, w którym jest teraz. Natomiast ja stracę wszystko. Czy nie mam prawa uwzględnić w rachunkach siebie, swojego szczęścia, swojej przyszłości? A skoro istnieje szansa, że będę lepszym gubernatorem niż admirał Morgan, czy nie jestem tego winien kolonistom, żeby nadać sprawom taki bieg, bym to ja objął tę funkcję, nie on?

To nadal wojna, choć jedyną bronią są uśmiechy i słowa. Muszę użyć wszystkich sił, jakie mam do dyspozycji, wykorzystać teren i zmierzyć się z silniejszym przeciwnikiem na warunkach, które neutralizują jego przewagi. Alessandra jest żyjącą osobą, tak - ale jest nią też każdy żołnierz, każdy pionek w wielkiej rozgrywce. Mnie użyto do wygrania wojny. Teraz ja użyję kogoś innego. A wszystko dla „większego dobra”.

Ale gdzieś pod tymi wszystkimi moralnymi argumentami kryło się coś jeszcze. Wyczuwał to. Jakby swędzenie, głód, tęsknota. To jego wewnętrzny szympan, jak nazywali to on i Valentine. Zwierzę, które wyczuwało kobiecość Alessandry. Czy wybrałem taki plan i takie narzędzia, bo były najlepsze? Czy dlatego, że dzięki temu znajdę się blisko dziewczyny, która jest ładna i pragnie mojego zainteresowania?

Więc może Valentine ma rację...

Ale jeśli nawet... co z tego? Nie mogę cofnąć względów, jakie okazywałem Alessandrze. Czy mam nagle zacząć ją traktować lodowato, bez żadnego powodu? Czy to też nie będzie manipulacją?

Czy czasami nie mógłbym wyłączyć mózg i stać się tym bezwłosym szympansem, który rozgląda się tylko za dowolną dostępną samicą?

Nie.

- Jak długo zamierzasz prowadzić tę swoją gierkę z Enderem Wigginem? - spytała Dorabella.

- Gierkę? - zdziwiła się Alessandra.

- Wyraźnie się tobą interesuje. Zawsze stara się podejść i widziałam, jak się do ciebie uśmiecha. Lubi cię.

- Jak siostrę. - Alessandra westchnęła.

- Jest nieśmiały - uznała Dorabella.

Alessandra westchnęła znowu.

- Przestań tak wzdychać.

- Aha, czyli w twoim towarzystwie nie wolno mi wypuszczać powietrza?

- Nie zmuszaj mnie, żebym uszczypnęła cię w nos, a usta zapchała ciasteczkami.

- Mamo, przecież nie kieruję tym, co on robi.

- Ale kierujesz tym, co sama robisz.

- Ender nie jest admirałem Morganem.

- Nie, nie jest. To tylko chłopiec. Bez żadnego doświadczenia. Chłopiec, którego można prowadzić, można mu pomagać i pokazywać...

- Co pokazywać, mamo? Sugerujesz, żebym zrobiła coś... fizycznego?

- Moja ukochana, słodka, czarowna córeczko - rzekła Dorabella. - Nie dla ciebie i nie dla mnie. Dla dobra Endera Wiggina.

Alessandra przewróciła oczami... Taka z niej nastolatka, pomyślała Dorabella.

- Przewracanie oczami to żadna odpowiedź, moja ukochana, słodka czarowna córeczko.

- Mamo, nawet ludzie, którzy popełniają najokropniejsze czyny, zawsze twierdzą, że to dla dobra tej drugiej osoby.

- Ale w tym przypadku mam rację. Widzisz, admirał Morgan i ja staliśmy się sobie bliscy. Bardzo, bardzo bliscy.

- Sypiasz z nim?

Dorabella uniosła dłoń do uderzenia, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, co robi. Ale zdążyła się opanować.

- No popatrz - powiedziała. - Moja ręka sądzi, że należy do twojej babci.

- Kiedy powiedziałaś, że jesteście sobie bardzo, bardzo bliscy, pomyślałam, że sugerujesz... - Alessandrze drżał głos.

- Quincy'ego Morgana i mnie łączy dojrzały związek - oświadczyła Dorabella. - Rozumiemy się nawzajem. Ja wniosłam do jego życia światło, jakiego nigdy nie znał, a on dał mi męską stabilność, której twój ojciec, niech spoczywa w spokoju, nigdy nie miał. Istnieje też pociąg fizyczny, ale jesteśmy dorosłymi ludźmi, to my rządymy naszym libido, i nie, nie pozwoliłam mu się dotknąć.

- Więc o czym my teraz rozmawiamy?

- Kiedy byłam w twoim wieku, nie zdawałam sobie sprawy, że pomiędzy zimną czystością a robieniem tego, z czego się biorą dzieci, istnieje cały ciąg kolejnych stopni i etapów, które młodemu człowiekowi dadzą do zrozumienia, że jego awanse będą przyjęte z zadowoleniem. Do pewnych granic.

- Jestem tego świadoma, mamó. Widziałam, że inne dziewczęta w szkole ubierają się jak ładacznice i pokazują wszystko. Widziałam obmacywania, obściskiwania i podszczypywania. Jesteśmy Włoszkami, chodziłam do włoskiej szkoły i wszyscy chłopcy planowali wyrosnąć na włoskich mężczyzn.

- Nie próbuj odwracać mojej uwagi takimi etnicznymi stereotypami! Zostało nam jeszcze tylko kilka tygodni do lądowania...

- Dwa miesiące to nie jest kilka tygodni!

- Osiem to kilka. Kiedy dotrzemy do Szekspira, jedno jest pewne: admirał Morgan nie odda kolonii w ręce

piętnastoletniego chłopca. To byłoby brakiem odpowiedzialności. Lubi Endera, jak wszyscy, ale dzieci w Szkole Bojowej po całych dniach jedynie bawiły się w gry komputerowe. Rządzenie kolonią wymaga kogoś, kto ma doświadczenie w kierowaniu ludźmi. Nie zostało to powiedziane wprost, rozumiesz. Ale wywnioskowałam to z różnych sugestii, ze słów rzuconych przypadkiem albo... usłyszanych.

- Podśluchiwałaś!

- Byłam obecna, a ludzkie uszy nie dadzą się zamknąć. Chodzi mi o to, że najlepszym zakończeniem całej tej historii będzie, jeśli Ender zostanie gubernatorem, ale będzie słuchał rad admirała Morgana.

- We wszystkim.

- To lepsze niż Ender umieszczony w stazie i odesłany do domu.

- Nie! Tego by nie zrobił!

- Taka groźba już padła, a pojawiły się sugestie, że coś takiego może być konieczne. A teraz spójrz na taki obrazek: Ender i piękna dziewczyna - kolonistka zakochują się w sobie. Postanawiają się pobrać. Są zaręczeni. Tak się składa, że jego przyszła teściowa...

- Tak się składa, że jest obłąkana i myśli, że jest wróżką i matką wróżki.

- Przyszła teściowa jest albo wkrótce zostanie małżonką admirała, który bez żadnych wątpliwości będzie tą siłą za tronem, że tak powiem. Chyba że Ender zacznie mu sprawiać kłopoty, a wtedy całkiem otwarcie przejmie tron, że tak powiem. Ale Ender nie będzie sprawiał kłopotów, bo przecież nie musi. Piękna młoda żona zadba o jego interesy, omawiając najpierw sprawy ze swoją matką, która omówi je z mężem, a wszystko będzie szło gładko i bez konfliktów.

- Inaczej mówiąc, mam wyjść za niego, żeby być szpiegiem?

- Pojawią się dwie kochające i kochane pośredniczki, które dopilnują, by nie nastąpił konflikt między admirałami na tym statku.

- Ograniczając Endera i zmuszając, żeby tańczył, jak Quincy mu zagra?

- Dopóki nie dorośnie i sam nie zdobędzie doświadczenia - wyjaśniła Dorabella.

- Co nie nastąpi nigdy, przynajmniej według Quincy'ego - stwierdziła Alessandra. - Mamo, nie jestem głupia, inni zaangażowani w tę historię też nie są głupi. Zakładasz, że admirał Morgan obejmie władzę, więc wychodząc za niego, staniesz się żoną gubernatora kolonii. Ale że nie jesteś pewna, czy jednak Ender nie będzie górą, chcesz, żebym ja wyszła za niego. W ten sposób, ktokolwiek zwycięży w tej drobnej grze o władzę, my i tak zarobimy. Mam rację?

Alessandra użyła określenia „zarobimy” we wspólnym i Dorabella pochwyciła to słowo.

- Szekspir nie ma jeszcze pieniędzy, kochanie - powiedziała.
- Na razie obowiązują tam przydziały i handel wymienny. Nie uważałaś na wykładach o naszej przyszłej kolonii?

- Mamo! - zniecierpliwiła się Alessandra. - Taki masz plan, prawda?

- Ależ skąd. Jestem zakochaną kobietą. Ty też. Nie zaprzeczaj.

- Myślę o nim przez cały czas. Śnię o nim każdej nocy. Jeśli to miłość, powinni wymyślić na nią lekarstwo.

- Odczuwasz to w taki sposób, bo chłopiec, którego kochasz, nie jest dostatecznie świadomy własnych uczuć, by wyjaśnić je tobie, a nawet sobie samemu. To właśnie cały czas próbuję ci wytłumaczyć.

- Nie, mamo. Próbujesz wszystkiego oprócz tłumaczenia. To, czego ode mnie oczekujesz, ale nie chcesz powiedzieć wprost, to

żebym go uwiodła.

- Wcale nie!
- Mamo!
- Zawsze powtarzałam: długa jest droga między tęsknotą za nim a uwodzeniem go. Delikatne muśnięcia...
- Nie lubi być dotykany.
- Myśli, że nie lubi być dotykany, bo jeszcze nie zrozumiał, że cię kocha.
- No, no... Tyle opinii, chociaż nie kończyłaś psychologii.
- Wróżka nie musi studiować psychologii. Rodzi się z nią.
- Mamo!
- Po co to powtarzasz? Wiem, że jestem twoją matką.
- Czy chociaż raz w życiu nie możesz zwyczajnie powiedzieć, o co ci chodzi?

Dorabella przymknęła oczy. Mówienie czegoś wprost nigdy nie dawało właściwych rezultatów. Jednak Alessandra miała rację... Dziewczyna była tak naiwna, że nic nie rozumiała. Nie rozumiała potrzeby pośpiechu... I nie rozumiała, co powinna w tej sytuacji zrobić.

Szczerłość jest prawdopodobnie nieunikniona. Lepiej mieć ją za sobą.

- Usiądź, kochanie.
 - Czyli zanosi się na skomplikowane samookłamywanie - stwierdziła Alessandra. - Takie, które wymaga odpoczynku.
 - Wydziedziczę cię, jeśli nie przestaniesz.
 - Ta groźba nie podziała, dopóki nie będziesz miała czegoś, co możesz mi zostawić i czego bym chciała.
 - Siadaj, ty niegrzeczna, niedobra dziewczyno - nakazała Dorabella swoim żartobliwie surowym tonem.
- Alessandra położyła się na łóżku.
- Słucham.
 - Nigdy nie możesz zrobić tego, o co cię proszę?

- Słucham. I wcale nie poprosiłaś. Rozkazałaś.

Dorabella nabrała powietrza i wyłożyła wszystko jednym tchem:

- Jeśli nie zdobędziesz Endera i nie przywiążesz go do siebie w ciągu tych najbliższych tygodni, prawie na pewno zostanie na statku, pod strażą albo w stazie, kiedy admirał Morgan poleci na planetę zobaczyć, jak się rozwija kolonia. Ale jeśli Ender Wiggin będzie zięciem admirała Morgana, prawie na pewno zostanie przedstawiony Szekspirianom jako ich nowy gubernator. Więc albo zostaniesz narzeczoną tytularnego gubernatora i bohatera ludzkości, albo rozstaniesz się z nim na zawsze i kiedy przyjdzie pora małżeństwa, będziesz musiała wybrać któregoś z miejscowych ćwoków.

Alessandra leżała z zamkniętymi oczami tak długo, że Dorabella chciała już wylać na nią kubek wody, żeby się ocknęła.

- Dziękuję ci - powiedziała nagle Alessandra.

- Za co?

- Że mi wytłumaczyłaś, o co naprawdę chodzi. Jaki jest plan. Widzę teraz, że cokolwiek zrobię, zrobię to dla dobra Endera. Ale mam piętnaście lat, mamo, i jedyne, co wiem, to jak zachowywały się najgorsze dziewczyny w szkole. Nie sądzę, żeby to mi pomogło z Enderem Wigginem. Więc chociaż chciałabym postąpić tak, jak mówiłaś, nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Dorabella podeszła do łóżka Alessandry, uklękła i pocałowała ją w policzek.

- Mojej kochanej córeczce wystarczy tylko zapytać.

Rozdział. 14

To: smenach%ShakespeareCol@colmin.gov
From: GovDes%ShakespeareCol@colmin.gov/voy
Subject: Kiedy się zbliżamy
Szanowny doktorze Menach,

Podziwiałem - z wielką wdzięcznością - Pańskie prace, które studiowałem w czasie lotu. Witalij Kołmogorow wyrażał się o Panu z uczuciem przekraczającym zwykły podziw - zachwyt i głęboka przyjaźń to także zbyt słabe określenia. I chociaż nie znam Pana tak jak on, znam Pańskie dokonania. Fakt, że ja oraz tysiące nowych kolonistów przybędziemy do kolonii, wciąż intensywnie się rozwijającej, i nie staniemy przed koniecznością ratowania jej przed upadkiem, zawdzięczamy wszystkim kolonistom na Szekspirze, to oczywiste. Jednak gdyby nie Pańskie rozwiązania problemów chorób i niezgodności białkowych, całkiem możliwe, że po przylocie nie zastalibyśmy już nikogo.

Witalij przekazał mi, że nie chciał Pan objąć stanowiska gubernatora, ale widzę, że jednak się Pan zgodził i rządził sprawnie przez prawie pięć lat. Dziękuję, że zechciał Pan nagiąć swoje zasady i przyjąć tę polityczną funkcję. Zapewniam, że miałem niemal równie silne opory, jednak nie pozostawiono mi innego wyjścia.

Jestem młody i nie mam doświadczenia jako gubernator, choć podobnie jak Pan odsłużyłem swoje jako żołnierz. Mam nadzieję, że spotkam Pana, kiedy już dotrzemy do celu. Dzięki temu będę mógł uczyć się od Pana i współpracować z Panem, by zasymilować cztery tysiące „nowych kolonistów” i tysiąc „starych kolonistów”. Wierzę, że po rozsądnym czasie wszyscy staną się po prostu... obywatelami Szekspira.

Nazywam się Andrew Wiggin, choć ludzie zwykle zwracają się do mnie moim dziecięcym przezwiskiem: Ender. Ponieważ w czasie bitwy w tym systemie służył Pan jako pilot, całkiem możliwe, że słyszał Pan mój głos; z całą pewnością słyszał Pan głos jednego z moich dowódców. Żałuję pilotów, którzy zginęli w tym starciu; może i nie wiedzieliśmy, że nasze błędy kosztują życie prawdziwych ludzi, ale nie zdejmuję to z nas odpowiedzialności. Zdaję sobie sprawę, że dla Pana minęło już ponad czterdzieści lat; dla mnie ta bitwa rozegrała się niecałe trzy lata temu i nie

potrafię jej usunąć z pamięci. Wkrótce spotkam żołnierzy, którzy wtedy naprawdę walczyli, którzy pamiętają tych, co zginęli wskutek moich błędów.

Chciałbym już poznać dzieci i wnuki Pańskich kolegów. One naturalnie nie będą miały pojęcia, kim jestem ani dlaczego ich obrażono, wyznaczając na gubernatora piętnastoletniego chłopca.

Na szczęście przybędzie ze mną bardzo doświadczony oficer, admirał Quincy Morgan, który uprzejmie zaproponował, że będzie zarządzał kolonią - podobnie jak statkiem - przez cały okres swojego pobytu na Szekspirze. Witalij i ja wiele rozmawialiśmy o naturze dowodzenia i przywództwa i doszliśmy do wspólnego wniosku, że admirał Morgan jest człowiekiem pokoju, człowiekiem obdarzonym autorytetem; wie Pan lepiej ode mnie, co może to oznaczać dla kolonii.

Z góry przepraszam za ciężary, jakie nałoży na Pana nasz przylot, i z góry jestem Panu wdzięczny.

Z szacunkiem
Andrew

To: GovDees%ShakespeareCol@colmin.gov/voy

From: smenach%ShakespeareCol@colmin.gov

Subject: Niewygodny termin

Drogi Enderze,

Dziękuję Ci za ten rozważny list. Doskonale rozumiem, co miałeś na myśli, pisząc, że admirał Morgan jest człowiekiem pokoju i obdarzonym autorytetem. Chciałbym, byśmy mieli lepsze możliwości, by właściwie go tu powitać. Ale jedyni żołnierze wśród nas są w moim wieku, a młodzi nie mieli żadnych powodów, by uczyć się wojskowej dyscypliny czy zdobywać jakiegokolwiek żołnierskie umiejętności. Obawiam się, że nasze próby manewrów uznałybyś za żenujące. Jakiegokolwiek ceremonie, które powinny się odbyć po waszym przybyciu, muszą być w całości zaplanowane z waszej strony. Widziałem Twoją pracę, obserwowałem ją co najmniej tak uważnie, jak Ty moją, nie mam więc żadnych wątpliwości, że rozegrasz wszystko z zimną krwią.

Od śmierci Witalija nie miałem okazji użyć określenia „z zimną krwią”. Być może, skoro masz być gubernatorem (ku mojej ogromnej uldze), po prostu przeniosłem na Ciebie styl rozmów, jakie z nim prowadziłem.

Nieszczęśliwie się składa, że wasz przylot zbiegł się w czasie z pilną i długo odkładaną wyprawą, jaką muszę podjąć. Nie jestem już głównym

ksenobiologiem, ale moje obowiązki w tej dziedzinie nie zniknęły przecież. Teraz, kiedy przybywasz, mogę w końcu wyruszyć na szeroki pas lądu na południe od nas, który dotąd pozostaje niemal całkowicie niezbadany. Po lądowaniu osiedliliśmy się w klimacie subtropikalnym, żeby nie zamarznąć na śmierć, gdybyśmy nie znaleźli odpowiedniego paliwa ani schronienia. Teraz dostarczacie nam ziemskie rośliny, które do rozwoju wymagają niższych temperatur, i muszę się przekonać, czy znajdziemy dla nich odpowiednie nisze ekologiczne. Muszę też sprawdzić, czy trafimy tam na miejscowe owoce, warzywa czy zboża, które uda się wykorzystać - teraz, kiedy dostarczycie nam środków transportu, możliwa stanie się uprawa roślin w jednej strefie klimatycznej i ich konsumpcja w innej.

Z powodów, które powinny być dla Ciebie oczywiste, uważam też, że kręcący się pod nogami starzec nie byłby tak pomocny, jak sobie wyobrażasz. Kiedy dwóch ludzi z tytułem gubernatora przebywa razem, inni zwracają się do tego, którego lepiej znają. A nowi koloniści, którzy przylecieli w stazie, prawdopodobnie wezmą przykład ze starych. Moja nieobecność będzie twoim największym atutem. Ix Tolo, główny ksenobiolog, zaznajomi Cię z prowadzonymi badaniami.

Rozumiesz - jestem tego pewien - że ta wyprawa w żaden sposób nie wynika z mojego życzenia, by nie spotykać się z Tobą ani Ci nie pomagać. Gdybym uznał, że moja obecność będzie dla kolonii lepsza niż absencja, jedną z największych radości w życiu sprawiłoby mi uściśnięcie dłoni dowódcy, który prowadził nas do zwycięstwa. Wśród starych dziadków w kolonii spotkasz wielu takich, którzy wciąż Cię podziwiają. Okaż cierpliwość, jeśli będą onieśmieleni.

Pozdrawiam

Sel

Sel zaczął spokojnie przygotowywać się do wyprawy na południe. Zamierzał wyruszyć pieszo - w oryginalnej ekspedycji nie mieli żadnych zwierząt pociągowych, a nie chciał pozbawiać kolonii żadnego z pojazdów. I chociaż wiele nowych, jadalnych hybryd roślinnych rozprzestrzeniło się i rosło obficie, miał opuścić ich optymalną strefę temperatur, co oznaczało, że musi nieść ze sobą własną żywność. Na szczęście nie jadł dużo. Planował też zabrać ze sobą sześć nowych psów, które zaadaptował genetycznie tak, by mogły metabolizować

miejscowe białka. Psy będą polować; potem on zje dwa, a pozostałe wypuści. Będą to dwie pary rozrodowe, które wyżywią się naturalnie.

Nowe drapieżniki wypuszczone na swobodę - dobrze wiedział, jak groźne może się to okazać dla miejscowej ekosfery. Ale przecież nie mogą zjeść wszystkich miejscowych gatunków, a roślinność i tak zostawią w spokoju. Za to dla późniejszej eksploracji i kolonizacji przydatne będą dziko żyjące, jadalne i łatwe do udomowienia zwierzęta.

Nie jesteśmy tu, by zachowywać lokalną ekologię jak w muzeum. Jesteśmy, aby kolonizować, dopasowywać świat do naszych potrzeb.

I dokładnie to próbowali zrobić formidzi na Ziemi. Tyle że stosowali bardziej drastyczne metody: wypalić wszystko, a potem zasadzić roślinność ze swojej planety macierzystej.

A jednak z jakiegoś powodu tutaj postąpili inaczej. Nie znalazł żadnych gatunków, jakie formidzi zasiali na Ziemi prawie sto lat temu, podczas Smagania Chin. Tutaj znajdowała się jedna z ich najstarszych kolonii, a jej flora i fauna wydawały się genetycznie zbyt oddalone, by mieć wspólnych przodków z gatunkami formidów. Musieli zasiedlić planetę, zanim opracowali strategię formidyzacji, jaką zaczęli stosować na Ziemi.

Przez wszystkie te lata, aż do dzisiaj, Sel musiał całkowicie się poświęcić badaniom genetycznym niezbędnym dla życia kolonii, a potem, przez ostatnie pięć lat, zarządzaniu nią. Teraz wyruszy do niezbadanej krainy i dowie się tyle, ile zdoła.

Nie dotrze zbyt daleko - podejrzewał, że granicą będzie kilkaset kilometrów - bo nic mu nie przyjdzie z osiągnięcia wielkiej odległości, jeśli nie zdoła wrócić i opowiedzieć o swoich odkryciach.

Ix Tolo pomagał mu się spakować, narzekając na to czy

tamto - jak zwykle on. Że bierze za mało sprzętu albo za dużo, nie dość żywności, za dużo wody, dlaczego to, czemu nie tamto... Właśnie skupienie na szczegółach sprawiało, że był tak skuteczny w swojej pracy, więc Sel znosił jego narzekania z uśmiechem.

I oczywiście Ix miał też własne plany.

- Możesz rozpakować ten drugi plecak - powiedział Sel. - Nie pójdziesz ze mną.

- Drugi plecak?

- Nie jestem idiotą. Połowę sprzętu, którego postanowiłem nie zabierać, wsadziłeś do drugiego plecaka, razem z żywnością i dodatkowym śpiworem.

- Nigdy nie uważałem cię za idiotę. Ale nie jestem taki głupi, żeby sprowadzać zagrożenie dla kolonii, wysyłając na tę samą wyprawę obu głównych ksenobiologów.

- Więc dla kogo ten plecak?

- Dla mojego syna Po.

- Zawsze mnie niepokoiło, że nazwałeś go na pamiątkę tego szaleńczo romantycznego chińskiego poety. Czemu nie kogoś z historii Majów?

- Wszystkie postacie z *Popol Vuh* mają numery zamiast imion. To rozsądny chłopak. Silny. Jeśli będzie trzeba, potrafi donieść cię z powrotem tutaj.

- Och, nie jestem aż tak stary i słaby.

- Mógłby to zrobić - zapewnił Ix - ale tylko jeśli będziesz żywy. W przeciwnym razie będzie obserwował i opisywał proces twojego rozkładu, a potem weźmie próbki mikrobów i robaków, które zdołały się pożywić twoją doczesną powłoką.

- Miło wiedzieć, że wciąż myślisz jak naukowiec, a nie sentymentalny dureń.

- Po będzie dobrym towarzyszem.

- I pozwoli mi zabrać tyle sprzętu, żeby wyprawa się na coś przydała. Tymczasem ty zostaniesz tutaj i będziesz się bawił nowymi zabawkami ze statku.

- A także szkolił nowych ksenobiologów, których nam przysłali - oznajmił Ix. - Na pewno obiecałeś Wigginowi, że mu pomożę. Nic z tego. Mam dość własnej pracy, nawet bez

niańczenia nowego gubernatora.

Sel zignorował jego narzekania. Wiedział, że Ix pomoże Enderowi Wigginowi we wszystkim.

- A matce Po nie przeszkadza, że chłopak ma iść ze mną?

- Przeszkadza - przyznał Ix. - Ale wie, że nigdy by się do niej nie odezwał, gdyby mu nie pozwoliła. No więc mamy jej błogosławieństwo. Mniej więcej.

- W takim razie wyruszamy o świcie.

- Chyba że nowy gubernator wam zabroni.

- Nie ma żadnej władzy, dopóki nie postawi stopy na planecie. A nie weszli jeszcze na orbitę.

- Nie sprawdzałeś ich manifestu pokładowego? Mają cztery skimmery.

- Gdybyśmy takiego potrzebowali, wezwiemy was przez radio. W przeciwnym razie nie mów nikomu, gdzie jesteśmy.

- Dobrze, że formidzi pozbyli się wszystkich większych drapieźników.

- Żaden szanujący się drapieźnik nie tknie takiego stosu starych kości jak ja.

- Myślałem o moim synu.

- On też nie zechce mnie zjeść, nawet jeśli skończy się nam żywność.

Tej nocy Sel położył się wcześniej, a potem - jak zwykle - wstał i poszedł do toalety zaledwie po kilku godzinach snu. Zauważył, że mruga światelko ansibla. Wiadomość...

Nie mój problem.

No ale to przecież nieprawda... Skoro Ender obejmie władzę dopiero w chwili, kiedy stanie na powierzchni planety, to ja nadal pełnię obowiązki gubernatora. Zatem muszę odbierać wszelkie wiadomości z Ziemi.

Usiadł i dał sygnał, że jest gotów do odbioru.

W pamięci były dwie wiadomości. Odtworzył pierwszą -

składała się z obrazu twarzy ministra kolonizacji Graffa, a przekaz był krótki: „Wiem, że zamierza Pan opuścić miasto, zanim dotrze tam Wiggin. Proszę z nim porozmawiać, zanim Pan wyruszy. Nie będzie próbował Pana zatrzymać, więc bez obaw”.

I to wszystko.

Druga wiadomość pochodziła od Wiggina. Wyglądał na swój wiek, ale zbliżał się już do normalnego, dorosłego wzrostu. W kolonii od takich nastolatków oczekiwano, że będą pracować jak mężczyźni, a na spotkaniach przysługiwał im taki sam głos jak dorosłym. Może więc jego sytuacja nie będzie tak niezręczna, jak obawiał się Sel.

- Proszę, skontaktuj się ze mną przez ansibl, jak tylko to odsłuchasz - powiedział Ender. - Jesteśmy już w odległości kontaktu radiowego, ale nie chcę, żeby ktokolwiek przechwycił sygnał.

Przez chwilę Sel się zastanawiał, czy nie przekazać wiadomości Ixowi, żeby to on odpowiedział, ale zrezygnował. W końcu nie chodziło mu o to, żeby się chować przed Enderem, prawda? Tylko o to, żeby zostawić mu wolne pole działania.

Wysłał sygnał, że chce nawiązać połączenie. Po kilku sekundach pojawił się Wiggin. Teraz, kiedy statek kolonizacyjny nie podróżował z prędkością relatywistyczną, nie było dylatacji czasu i ansibl transmitował natychmiastowo. Nawet bez opóźnienia typowego dla radia.

- Witam, gubernatorze Menach. - Wiggin się uśmiechnął.

- Witam, sir... - Sel chciał odpowiedzieć uśmiechem, ale... przecież rozmawiał z samym Enderem Wigginem.

- Kiedy dostałem wiadomość, że opuszczasz kolonię, moją pierwszą myślą było błagać cię, żebyś został.

Sel zignorował jego słowa.

- Cieszę się, że w manifeście pokładowym znalazłem

zwierzęta, dające mleko, wełnę, jaja i mięso, a także pociągowe. Są naturalne dla Ziemi, czy zostały genetycznie dostosowane do żywienia się tutejszą roślinnością?

- Twoje metody wydawały się bardzo obiecujące, kiedy odlatywaliśmy, ale sprawdzono je, dopiero kiedy byliśmy już w drodze. Dlatego wszystkie zwierzęta i rośliny, jakie tu mamy, są naturalne. Wszystkie przebywają w stazie i mogą być utrzymywane w tym stanie jeszcze przez pewien czas, nawet kiedy statek już odleci. Zdążymy dokonać zmian w kolejnej generacji.

- Ix Tolo prowadzi na bieżąco własne badania, ale na pewno przeszkoli waszych nowych kseno.

- Ix Tolo pozostanie głównym ksenobiologiem pod twoją nieobecność - oświadczył Wiggin. - Przyglądałem się jego pracom przez ostatnie tygodnie... dla was lata. Znakomicie go wykształciłeś i nasi kseno zamierzają się od niego uczyć. Chociaż mają nadzieję, że wrócisz niedługo. Chcą cię poznać. Jesteś dla nich kimś w rodzaju bohatera. To jedyny świat z florą i fauną pochodzenia nieformidoidalnego. Inne kolonie pracowały na tych samych grupach genetycznych. Tylko tutaj pojawiły się nietypowe wyzwania, więc musiałeś samotnie dokonać tego, co innym koloniom udało się zdziałać wspólnie.

- Ja i Darwin.

- Darwin mógł liczyć na większą pomoc. Mam nadzieję, że radio będziesz miał na nasłuchu, a nie wyłączone. Bo chcę móc spytać cię o radę, gdybym jej potrzebował.

- Nie będziesz potrzebował - stwierdził Sel. - A teraz wracam do łóżka. Jutro będę dużo chodził.

- Mogę wysłać po ciebie Skimmer. Nie będziesz musiał nosić zapasów. Dzięki temu zwiększysz możliwy dystans.

- Ale wtedy starzy osadnicy będą oczekiwać mojego szybkiego powrotu. Będą czekać na mnie, zamiast odwoływać

się do ciebie.

- Nie mogę udawać, że nie możemy cię wysledzić i znaleźć.

- Ale możecie im powiedzieć, że nie próbujecie, by okazać mi szacunek. Na moją prośbę.

- Tak - zgodził się Ender. - Tak zrobię.

Niewiele zostało im do powiedzenia. Rozłączyli się i Sel znów się położył. Zasypiał łatwo. I jak zwykle, zbudził się dokładnie wtedy, kiedy zamierzał - godzinę przed świtem.

Po już na niego czekał.

- Pożegnałem się z mamą i tatą - oświadczył.

- Dobrze - pochwalił go Sel.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi iść z tobą.

- A mogłem cię powstrzymać?

- Tak - zapewnił Po. - Nie okazałbym ci nieposłuszeństwa, wujku Sel.

Całe pokolenie wnuków tak go nazywało.

- Dobrze. - Sel pokiwał głową. - Jadłeś już?

- Tak.

- No to ruszajmy. Ja nie muszę nic jeść aż do południa.

Trzeba zrobić krok, potem następny. To właśnie wędrówka. Ale krok z otwartymi oczami nie jest wędrówką - jest przebudową własnego umysłu. Człowiek widzi rzeczy, których nie widział nigdy w życiu. Rzeczy nieoglądane oczami ludzkich istot. I widzi je własnymi, konkretnymi oczami, wytrenowanymi, by zobaczyć nie po prostu roślinę, ale właśnie tę roślinę, wykorzystującą właśnie tę niszę ekologiczną, z tą albo tamtą różnicą.

A kiedy te oczy przez czterdzieści lat szkoliły się w poznawaniu systemów tego świata, to człowiek staje się Antonie van Leeuwenhoekiem, który pierwszy zobaczył przez mikroskop świat drobnoustrojów; staje się Linneuszem, pierwszy raz

dzielącym stworzenia na rodziny, rodzaje i gatunki; i Darwinem układającym linie ewolucyjne od jednego gatunku do drugiego.

Dlatego nie poruszali się szybko. Sel musiał się zmuszać, by iść naprzód w jakimkolwiek sensownym tempie.

- Nie pozwalaj mi tak długo marudzić przy każdej nowej rzeczy, jaką zobaczę - zwrócił się do Po. - Byłoby naprawdę upokarzające, gdyby moja wielka wyprawa skończyła się dziesięć kilometrów na południe od kolonii. Musimy chociaż przekroczyć pierwszy łańcuch gór.

- A jak mam cię powstrzymać od marudzenia, skoro każesz mi fotografować, pobierać próbki, pakować i notować?

- Odmawiaj. Każ mi podnieść z ziemi moje kościste kolana i ruszać dalej.

- Przez całe życie uczono mnie, żeby słuchać starszych, patrzeć i się uczyć. Jestem twoim asystentem. Twoim uczniem.

- Po prostu masz nadzieję, że nie dojdziemy zbyt daleko, więc kiedy umrę, nie będziesz musiał długo dźwigać mojego trupa.

- Myślałem, że ojciec cię uprzedził: jeśli rzeczywiście umrzesz, mam wezwać pomoc i obserwować proces rozkładu.

- Zgadza się. Poniesiesz mnie, tylko jeśli będę nadal oddychał.

- A może chcesz, żebym już teraz wziął cię na ramiona, byś nie mógł co pięćdziesiąt metrów odkrywać nowej rodziny roślin?

- Jak na pełnego szacunku i posłusznego młodzieńca jesteś wyjątkowo sarkastyczny.

- Byłem tylko trochę sarkastyczny. Jeśli chcesz, postaram się bardziej.

- To dobrze. Tak się zająłem kłótnią z tobą, że przeszliśmy spory kawałek, a ja niczego nie zauważyłem.

- Tyle że psy coś znalazły.

To coś okazało się niewielką rodziną rogatych gadów, która

wypełniała chyba niszę królików - wielkozębne pożeracze liści, walczące tylko zapędzone w ślepy zaułek. Rogi nie wyglądały na broń, były zbyt tępe. A kiedy wyobraził sobie ich rytuał godowy, w którym te stworzenia wyskakują do góry i uderzają się głowami, nie rozumiał, co może to dawać poza rozbiciem mózgów, gdyż czaszki miały bardzo lekkie.

- Pewnie mają być oznaką zdrowia - uznał Sel.
- Poroże?
- Rogi.
- Myślę, że są zrzucane, a potem odrastają - stwierdził Po. -
Czy te zwierzaki nie wyglądają, jakby zrzucały skórę?

- Nie.
- Rozejrzę się gdzieś za taką zrzuconą.
- Długo będziesz się rozglądał.
- Czemu? Bo zjadają te skóry?
- Bo ich nie zrzucają.
- Skąd ta pewność?
- Nie jestem pewny - oświadczył Sel. - Ale to nie jest import z planety formidów, to miejscowy gatunek, a u miejscowych nie widzieliśmy dotąd zrzucania skóry.

Tak rozmawiali po drodze. Robili zdjęcia, owszem. Od czasu do czasu, kiedy spotykali coś naprawdę nowego, zatrzymywali się i pobierali próbki. Jednak szli ciągle. Sel był stary i niekiedy musiał się opierać na lasce, ale wciąż potrafił utrzymać równe tempo. Po zwykle szedł raczej przed nim niż z tyłu, ale właśnie on jęknął, kiedy Sel uznał, że po krótkim odpoczynku trzeba ruszać dalej.

- Nie wiem, po co ci ta laska - oświadczył.
- Żeby się na niej oprzeć dla odpoczynku.
- Ale musisz nieść ją przez cały czas.
- Nie jest ciężka.
- Wygląda na ciężką.

- Jest z drzewa balsa... No, z tego, które nazwałem balsą, bo ma takie lekkie drewno.

Po wziął ją do ręki. Ważyła tylko około pół kilograma, choć była gruba, sękata i rozszerzała się na czubku jak kielich.

- I tak bym się zmęczył, gdybym ją niósł.

- Tylko dlatego, że masz plecak cięższy od mojego.

Po nie próbował nawet dyskutować.

- Pierwsi zdobywcy ziemskiego Księżyca i innych planet mieli łatwiej - stwierdził, kiedy wspięli się na wysoki grzbiet. - Tylko pusta przestrzeń między nimi a celem. Żadnej pokusy, żeby zatrzymać się i coś badać.

- Jak pierwsi podróżnicy morscy. Płynęli od lądu do lądu, ignorując morze, bo nie mieli żadnych narzędzi, które pozwoliłyby badać głębinę.

- Jesteśmy konkwistadorami - uznał Po. - Tylko że zabiliśmy wszystkich, zanim jeszcze stanęliśmy na ich ziemi.

- To różnica czy podobieństwo? - spytał Sel. - Ospa i inne choroby wyprzedzały konkwistadorów.

- Gdybyśmy tylko mogli z nimi porozmawiać... Czytałem o konkwistadorach. My, Majowie, mieliśmy wiele powodów, by starać się ich zrozumieć. Kolumb napisał, że tubylcy nie mają żadnego języka, tylko dlatego, że nie rozumieli żadnego z tych, które znał jego tłumacz.

- Ale formidzi naprawdę nie mieli żadnego.

- My tak uważamy.

- Żadnych urządzeń komunikacyjnych na ich statkach. Nic, co mogłoby transmitować dźwięki albo obrazy. Ponieważ nie było im potrzebne. Łączyli się pamięcią. Bezpośrednim przekazem zmysłów. Jakikolwiek był ten mechanizm, działał lepiej od języka, ale i gorzej, bo nie mieli sposobu, żeby się z nami porozumieć.

- Więc kto był niemową? - zapytał Po. - My czy oni?

- Obie strony były niemowami - odparł Sel. - I wszyscy byli głusi.

- Wiele bym dał, żeby mieć choć jednego żywego.

- Ale przecież nie mógłby być jeden. Tworzyli kopce. Potrzebowali setek, może tysięcy, żeby uzyskać masę krytyczną dla osiągnięcia inteligencji.

- Albo nie. Może tylko królowa miała świadomość. Inaczej czemu by wszystkie zdechły, kiedy zginęły królowe?

- Chyba że królowe były ogniskiem, jądrem sieci neuronowej, dlatego wszyscy padli razem z nimi. Ale do tej chwili istnieli indywidualnie.

- Jak powiedziałem, chciałbym, żeby został jeden żywy. Żebyśmy coś wiedzieli, zamiast zgadywać na podstawie paru zasuszonych zwłok.

Sel cieszył się w duchu, że kolejna generacja kolonistów wydała przynajmniej jednego osobnika, który myślał jak naukowiec.

- Mamy ich zachowanych więcej niż jakakolwiek inna kolonia. Tutaj jest niewielu padlinożerców, którzy mogliby je zjadać, a przetrwały dość długo, żebyśmy zdążyli przylecieć i niektóre zamrozić. I rzeczywiście mogliśmy badać ich budowę.

- Ale żadnej królowej.

- To smutek mojego życia - wyznał Sel.

- Naprawdę? Tego najbardziej żałujesz?

Sel milczał.

- Przepraszam...

- Nie szkodzi. Zastanawiałem się tylko nad twoim pytaniem. Czego najbardziej żałuję... Co za problem... Jak mógłbym żałować tego, że zostawiłem wszystko na Ziemi, skoro odleciałem, żeby ją ratować? A przybycie tutaj pozwoliło mi robić coś, o czym inni naukowcy tylko marzą. Udało mi się nazwać ponad pięć tysięcy gatunków i stworzyć rudymmentarny

system klasyfikacji pełnego miejscowego biotopu. Więcej niż na jakiegokolwiek planecie formidów.

- Dlaczego?

- Bo formidzi ogołocili te planety, a potem wprowadzili tam ograniczony podzbiór własnej flory i fauny. To jedyny świat, gdzie większość gatunków ewoluowała na miejscu. Jedyny, który jest chaotyczny. Formidzi sprowadzili na swoje kolonie mniej niż tysiąc gatunków. A ich planeta macierzysta, która zapewne miała o wiele większą różnorodność biologiczną, nie istnieje.

- Więc nie żałujesz, że się tu znalazłeś?

- Oczywiście, że żałuję - stwierdził Sel. - Ale cieszę się, że tu trafiłem. Żałuję, że jestem starym wrakiem człowieka. Cieszę się, że jeszcze nie umarłem. Mam wrażenie, że każdy mój żal równoważony jest przez coś, z czego jestem zadowolony. Czyli średnio niczego naprawdę nie żałuję. Ale też nie jestem ani trochę szczęśliwy. Idealna równowaga. Średnio, niczego nie czuję. Myślę, że w ogóle nie istnieję.

- Tato mówi, że jeśli uzyskujesz absurdalne wyniki, to nie jesteś naukowcem, tylko filozofem.

- Ale moje wyniki nie są absurdalne.

- Przecież istniejesz. Widzę cię i słyszę.

- W sensie genetycznym, Po, nie ma mnie. Wypadłem z sieci życia.

- Czyli wybrałeś pomiar według jedyne go standardu, który pozwala ci uznać swoje życie za bezwartościowe?

Sel zaśmiał się głośno.

- Widzę, że jesteś synem swojej matki.

- Nie ojca?

- Obojga, oczywiście. Ale twoja matka nie przyjmuje żadnego smętnego pieprzenia.

- Skoro już o tym mowa, nie mogę się doczekać, żeby

zobaczyć prawdziwy pieprz.

Teraz, kiedy statek hamował gwałtownie i zbliżali się do Szekspira, załoga miała więcej zajęć niż dotąd. Głównym było dokowanie do okrętu transportowego, który czterdzieści lat temu dostarczył do tego świata flotę wojenną i pozostał jako wielki satelita na orbicie synchronicznej nad miejscem założenia kolonii. Energia słoneczna wystarczała, by przez te czterdzieści lat podtrzymać działanie jego komputerów i systemów łączności.

Oryginalna załoga - obecnie koloniści - wykorzystwała myśliwce jako lądowiki; zapasy i wyposażenie na pierwsze lata kolonii zostały przygotowane tak, by dały się w ten sposób przetransportować. I wszystkie maszyny wyposażono w ansible. Ale myśliwce były przeznaczone do jednokrotnego lądowania; nie miały możliwości opuszczenia powierzchni planety.

Załoga admirała Morgana musiała sprawdzić i wyposażyć transportowiec. Wieźli ze sobą nowe satelity komunikacyjne i meteorologiczne, które mieli umieścić na orbicie synchronicznej w równych odstępach wokół całej planety. Stary okręt dostanie nowego dowódcę i załogę i wyruszy w rejs - nie z powrotem na Erosa, ale do następnej kolonii.

Mimo tej krzątaniny Ender nie miał złudzeń, że admirał Morgan zrezygnuje z obserwowania jego działań. Morgan był planistą, intrygantem... I chociaż taki jak on „człowiek pokoju” sprawia wrażenie, że płynie z prądem i nigdy nie robi zbyt wiele, zawsze jest gotów do zadania ciosu.

Gdy więc zbliżał się przełomowy moment - przybycie na Szekspira - Ender musiał zadbać, by nie dać Morganowi żadnych powodów do podejrzeń, że cokolwiek knuje. Morgan uważał Endera za inteligentnego, energicznego piętnastoletniego chłopca i te oczekiwania powinny być

spełnione. Ale też Morgan obawiał się bezspornego prawa Endera do tytułu gubernatora. Musiał uzyskać pewność, że Ender bez oporów pozwoli mu zostać szarą eminencją.

Właśnie dlatego Ender udał się do Morgana, by prosić o zgodę na użycie ansibla do komunikacji z szekspirowskimi ksenobiologami.

- Wie pan, że studiowałem systemy biologiczne formidów. A teraz mogę porozmawiać z tymi ludźmi w czasie rzeczywistym. Mam mnóstwo pytań.

- Nie chciałbym, żebyś im przeszkadzał - odparł Morgan. - I tak mamy masę roboty, szykując się do lądowania.

Ender wiedział, że ludzie na planecie nie mają absolutnie nic do roboty oprócz tego, żeby nie wchodzić w drogę. Morgan wylądował, a potem zdecyduje, jakiego zaopatrzenia wymaga na drogę powrotną. Czy znajdzie się na pokładzie, czy nie, statek wróci na Ziemię.

- Panie admirale, ksenobiolodzy muszą wiedzieć, jakie gatunki zwierząt mamy ze sobą, żeby mogli przygotować je do trawienia obcych białek. To bardzo pracochłonny projekt i dopóki nie pojawi się nowa generacja przystosowanych zwierząt, dopóty nie będziemy mieli mięsa. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się niecierpliwia. A ja jestem w pełni przygotowany, ponieważ od startu z Erosa pracuję nad manifestami pokładowymi.

- Wysłałem im już te manifesty.

Tak naprawdę to Ender je wysłał, zanim jeszcze statek wystartował. Ale po co się kłócić?

- W listach wymienione są krowy i świnie. Potrzebują więcej informacji. Mam je, mogę je przesłać, nikt nie korzysta z ansibla, sir. To naprawdę ważne.

Ender miał ochotę powiedzieć „naprawdę, naprawdę, naprawdę”, ale uznał, że byłoby to przesadnie dziecinne i

wzbudziłyby podejrzenia.

Morgan westchnął.

- To jest właśnie powód, dla którego nie należy powierzać dzieciom zadań dorosłych. Nie szanujecie priorytetów. Ale... Jeśli tylko przerwiesz to, co robisz, kiedy ktoś z załogi będzie chciał użyć ansibla, proszę bardzo. A teraz, jeśli pozwolisz, mam prawdziwą pracę do wykonania.

Ender wiedział, że „prawdziwa” praca Morgana więcej niż z lądowaniem ma wspólnego z przygotowaniem do ślubu na pokładzie. Dorabella Toscano doprowadziła go do takiego szaleństwa pożądania... nie, raczej uczucia przywiązania, pragnienia głębokiej więzi, trwałej relacji... że zgodził się, by stała na Szekspirze jako żona admirała.

Ender nie miał nic przeciwko temu. I nie zamierzał im przeszkadzać.

Poszedł do kabiny łączności i przesłał swoje wiadomości bezpośrednio. Gdyby łączył się ze swojego pulpitu, z pewnością zostałyby przechwycone i zapamiętane, możliwe do odczytania w dowolnej chwili. Przez chwilę rozważał, czy nie zablokować systemu obserwacyjnego, żeby nikt nie słyszał, o czym rozmawia z Selem Menachem; zrezygnował jednak. Wprawdzie zastosowano standardowy system zabezpieczenia MF, co oznaczało, że znaczna liczba dzieciaków ze Szkoły Bojowej potrafiłaby się do niego włamać, przestawić albo - jak Ender - przedostać do jądra i oszukać całkowicie, jednak nie mógł ryzykować, że Morgan poprosi o wid Endera w pomieszczeniu ansibla i dowie się, że nie ma nagrań z tego okresu.

Zresztą przesłał tylko krótką wiadomość dla Graffa - prosił o niewielką pomoc w obecnej sytuacji. Potem miał kilka spokojnych chwil tylko dla siebie, nim weźmie się do pracy, o której mówił wcześniej Morganowi.

Zrobił to, co zawsze robił, kiedy miał szansę na moment

całkowitej samotności: oparł głowę na ramionach i zamknął oczy w nadziei, że kilka chwil snu odświeży jego umysł.

Obudził się, ponieważ ktoś delikatnie masował mu kark.

- Biedactwo - odezwała się Alessandra. - Usnąłeś przy pracy.

Ender się wyprostował, a ona nadal ugniatała mięśnie jego ramion, karku i szyi. Rzeczywiście były napięte i ten masaż wydawał się całkiem przyjemny. Gdyby mu to zaproponowała, odmówiłby - unikał fizycznego kontaktu między nimi; gdyby nie spał, a ona podeszła i spróbowała czegoś takiego, odsunąłby się, ponieważ nie znosił, kiedy ktoś go dotykał bez jego zgody.

Ale teraz spał, a gdy się obudził, uczucie było zbyt przyjemne, by z niego rezygnować.

- Nie robię nic ważnego - powiedział. - Zwykła biurokracja. Niech dorośli zajmują się ważnymi sprawami. Ja tylko zabijam czas.

Okłamywał Alessandrę całkiem odruchowo.

- Nie oszukasz mnie - oświadczyła. - Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje.

- Nie uważam, że jesteś głupia - zapewnił.

To była prawda. Nie dostałaby się do Szkoły Bojowej, ale przecież nie była głupia.

- Wiem, że ci się nie podoba ten ślub mamy z admirałem Morganem.

A czemu miałoby mnie to obchodzić? - pomyślał.

- Nie, to świetnie. Sądzę, że trzeba korzystać z miłości, kiedy się ją znajdzie, a twoja matka wciąż jest młoda. I piękna.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się Alessandra. - Mam nadzieję, że będę do niej podobna. Kobiety w rodzinie ojca wszystkie były chude. Żadnych krągłości.

Ender od razu zrozumiał, po co tu przyszła. To wspomnienie o „krągłościach”, kiedy go masowała, było zbyt oczywiste, by je przeoczyć. Ale chciał sprawdzić, dokąd to wszystko zmierza i

dlaczego. A przede wszystkim dlaczego teraz.

- Chuda czy zaokrąglona, każda kobieta jest atrakcyjna w odpowiednich okolicznościach.

- A jakie okoliczności są odpowiednie dla ciebie, Ender? Kiedy ktoś wyda ci się atrakcyjny?

Wiedział, czego od niego oczekuje.

- Ty jesteś atrakcyjna, Alessandro. Ale jeszcze zbyt młoda.

- Jestem w tym samym wieku co ty.

- Ja też jestem za młody - odparł Ender.

Mieli już za sobą podobną rozmowę - ale wtedy raczej abstrakcyjną, pogratulowali sobie, że są tak dobrymi przyjaciółmi, bez żadnych seksualnych kontekstów. Najwyraźniej nastąpiła zmiana programu.

- Nie wiem - powiedziała Alessandra. - Na Ziemi ludzie pobierają się coraz później. A współżyją coraz wcześniej. Błędem było rozdzielenie tego, wiem, ale kto może przewidzieć, jaki kierunek okaże się właściwy? Może biologia naszych ciał jest mądrzejsza niż wszystkie powody odwlekania małżeństwa? Może nasze organizmy chcą wychować dzieci, póki są jeszcze dość młode, by za nimi nadażyć.

Ender się zastanawiał, ile z jej wypowiedzi zaplanowała dla niej matka. Pewnie niewiele. Alessandra naprawdę myślała o takich sprawach - dostatecznie często rozmawiali na tematy społeczne i polityczne, by ta wypowiedź brzmiała naturalnie.

Problem polegał na tym, że chociaż Ender doskonale rozumiał, co się dzieje, i tak mu się to podobało.

Ale to musiało się skończyć. Skończyć albo zmienić. Taki masaż karku nie może trwać wiecznie.

Nie mógł przerwać go nagle. Miał rolę do odegrania. Morgan musiał uwierzyć, że Ender jest zakochany w Alessandrze, więc żeniąc się z Dorabellą, zostanie jego przyszłym teściem. Kolejny zestaw dźwigni pozwalających go kontrolować. Ender zamierzał

rozegrać to platonicznie. Czas spędzany z Alessandrą i poświęcana jej uwaga powinny wystarczyć.

Aż do teraz. Teraz próbowali go przycisnąć. Poprzez Alessandrę - bo nie wierzył, że sama zaplanowała to spotkanie.

- A jeśli już mowa o twojej mamie i admirale Morganie - powiedział. - Jesteś zazdrosna?

Teraz już musiała cofnąć ręce.

- Nie - zapewniła. - Wcale nie. Ale co masaż twoich ramion ma wspólnego z ich ślubem?

Ender odwrócił krzesło i spojrzał na nią. Ubrała się... inaczej. Nic oczywistego, nic w stylu tych widów, które oglądał, prezentujących rzekomo seksowną ziemską modę. Miała na sobie ubranie, w którym już ją widział... ale nie zapięła ostatniego guzika. Czy to jedyna różnica? Być może dlatego, że dotykała go przed chwilą, patrzył na nią inaczej niż dotąd.

- Alessandro, nie udawajmy, że nie wiemy, co się tutaj dzieje.

- A jak myślisz, co się dzieje? - spytała.

- Zasnąłem, a ty zachowałeś się tak, jak jeszcze nigdy.

- Bo nigdy się tak nie czułam. Zrozumiałam, jak ciężkie brzemie dźwigasz. Nie tylko to gubernatorstwo i w ogóle, ale też... wszystko, co było wcześniej. Brzemie bycia Enderem Wigginem. Wiem, że nie lubisz, kiedy ktoś cię dotyka, ale to nie znaczy, że inni nie chcą cię dotknąć.

Ender wyciągnął rękę i ujął jej dłoń; ścisnął lekko palcami. I od razu zrozumiał, że nie powinien. Ale pragnienie, by to zrobić, było niemal nie do pokonania, a jakaś część jego umysłu tłumaczyła: Przecież to nic złego. Trzymanie się za ręce? Ludzie przez cały czas to robią.

Owszem. Inne rzeczy też robią, odpowiedziała inna część.

Nie marudź, rzuciła część, której podobało się dotykanie Alessandry.

A gdyby wszystko potoczyło się według scenariusza dziewczyny - a raczej matki? To przecież nie najgorszy los. Przybywał do kolonii, a w koloniach najważniejsza jest reprodukcja. Lubił tę dziewczynę. W kolonii nie będzie wielkiego wyboru dziewcząt. Wśród pasażerów w stazie znajdowało się tylko kilka w jego wieku, więc będzie musiał wybierać przede wszystkim spośród dziewcząt z Szekspira. A one będą... nie z Ziemi.

Ale kiedy bił się z myślami, ona mocniej ścisnęła jego dłoń, przysunęła się, stanęła przy nim. Czuł jej ciepło - albo wyobrażał sobie, że czuje. Bokiem dotknęła jego ramienia. Drugą ręką, tą, której nie trzymał, zaczęła gładzić jego włosy. Uniosła jego dłoń do piersi. Przycisnęła ją - nie do biustu, to byłoby zbyt oczywiste - ale poniżej, gdzie biło serce. A może wyczuwał raczej dudnienie własnego pulsu?

- W czasie lotu mogłam cię poznać - szepnęła. - Nie tego sławnego chłopca, który uratował świat, ale nastolatka, młodego człowieka w moim wieku, tak delikatnego, troszczącego się o innych, pełnego cierpliwości dla nich. Dla mnie... Dla mojej matki... Myślisz, że tego nie zauważyłam? Nigdy nie chcesz nikogo zranić, nikogo urazić, ale też nie pozwalasz, żeby ktokolwiek się do ciebie zbliżył. Nikt z wyjątkiem twojej siostry. Czy to jest twoja przyszłość, Enderze? Ty i twoja siostra w kręgu, który nikogo nie dopuszcza do środka?

Tak, pomyślał Ender. Tak postanowiłem. Kiedy pojawiła się Valentine, pomyślałem: Tak, mogę zaufać jednej osobie.

Tobie nie mogę zaufać, Alessandro, myślał. Służysz planom kogoś innego. Może naprawdę wierzysz w to, co mówisz, może jesteś szczerą. Ale też jesteś wykorzystywana. Jesteś bronią wymierzoną w moje serce. Ktoś cię dzisiaj ubrał. Ktoś ci powiedział, co masz robić i jak. A jeśli sama to wiedziałaś, to

mnie przerastasz. Za bardzo dałem się wciągnąć. Za bardzo chcę, żeby poszło dalej to, co mi proponujesz.

Muszę to przerwać, postanowił.

Ale nawet kiedy podjął decyzję, nie mógł przecież zerwać się na nogi z okrzykiem: „Idź precz, kusicielko!” - jak Józef do żony Potifara. Musi sprawić, że sama będzie chciała przestać, by admirałowi Morganowi nawet nie przyszło do głowy, że odmówił. Morgan z pewnością obejrzy nagranie tej sceny. I w wigilię własnego ślubu nie może widzieć, że Ender odmawia Alessandrze.

- Alessandro - odezwał się szeptem, jak ona. - Czy naprawdę chcesz żyć życiem swojej matki?

Po raz pierwszy zawahała się niepewna.

Ender cofnął rękę i wstał. Przyciągnął dziewczynę do siebie, objął i uznał, że aby wszystko się udało, powinien ją pocałować.

No więc pocałował. Nie umiał tego robić, ale z ulgą się przekonał, że ona też nie. Wyszło trochę niezgrabnie, trochę się minęli i musieli trafiać, i żadne nie wiedziało, jak właściwie powinni to robić. Co dziwne, pocałunek zmienił nastrój i kiedy odsunęli się od siebie, oboje parsknęli śmiechem.

- Już - rzekł Ender. - Zrobiliśmy to. Nasz pierwszy pocałunek. I mój też pierwszy, z kimkolwiek.

- Mój też - odparła. - Pierwszy, jakiego chciałam.

- Moglibyśmy się posunąć dalej - stwierdził Ender. - Oboje jesteśmy odpowiednio wyposażeni. I jestem pewien, że stworzymy dopasowany zestaw.

Znowu się roześmiała. Tak dobrze, pomyślał Ender. Śmiech to odpowiednia postawa, nie ta druga.

- Mówiłem poważnie o twojej matce - powiedział. - Ona to zrobiła właśnie w twoim wieku. Poczęła cię, kiedy miała czternaście lat, i urodziła jako piętnastolatka. Tak jak ty w tej chwili. I wyszła za młodego chłopca, tak?

- I to było cudowne - zapewniła Alessandra. - Mama wiele razy mi opowiadała, jaka była z nim szczęśliwa. Jaki był dla niej dobry. Jak bardzo oboje mnie kochali.

Oczywiście, że ci tak mówi, myślał. Jest dobrym człowiekiem, nie chce, żebyś wiedziała, jaki to koszmar, mieć piętnaście lat i już dźwignąć taką odpowiedzialność.

Ale może to rzeczywiście było cudowne? - odezwała się część jego umysłu, ta część, która była wyraźnie świadoma, że ich ciała nadal się stykają, że jego palce delikatnie naciskają jej bluzkę, gładząc plecy pod materiałem.

- Twoja matka była zdominowana przez kogoś silniejszego od siebie. Przez twoją babcię. Chciała od niej uciec.

To wystarczyło. Alessandra się odsunęła.

- Co ty wygadujesz? Co możesz wiedzieć o mojej babci?

- Tylko tyle, ile twoja mama sama mi powiedziała. Byłaś przy tym.

Przypomniała sobie, jej gniew zgasł. Ale nie przytuliła się już. A on jej nie zachęcał. Lepiej mu się myślało, kiedy stała o pół metra od niego. Metr byłby jeszcze lepszy.

- Moja mama w niczym nie przypomina babci - oświadczyła Alessandra.

- Oczywiście - zgodził się. - Ale wy dwie byłyście razem przez całe twoje życie. I byłyście sobie bardzo bliskie.

- Nie próbuję od niej uciec - zapewniła. - Nie wykorzystywałamby cię w taki sposób.

Ale jej twarz mówiła coś innego. Może zrozumiała, że naprawdę próbowała go wykorzystać, tak jak jej zasugerowała matka.

- Pomyślałem tylko - ciągnął Ender - że nawet w tej radosnej krainie czarów, w której tak często udaje, że żyje...

- A skąd...? - zaczęła i urwała nagle, bo Dorabella wiele razy odgrywała królową wrózek ku radości kolonistów.

- Pomyślałem - podjął Ender - że po tak długim czasie możesz nie chcieć spędzić reszty życia w jej magicznej krainie. Może twój świat realny jest dla ciebie lepszy niż jej wymyślony. Tak sobie myślałem. Ona uplotła dla ciebie wygodny kokon, ale może jednak zechcesz się wyrwać i odlecieć.

Alessandra uniosła dłoń do ust. A potem łzy błysnęły jej w oczach.

- *Per tutte sante* - szepnęła. - Ja przecież... robiłam to, co ona chciała. Myślałam, że to mój pomysł, ale to jej, to... Chciałam, żebyś mnie lubił, naprawdę, nie udawałam, tylko że pomysł, by tu przyjść... Wcale przed nią nie uciekałam, ale robiłam, co mi kazała...

- Naprawdę? - zdziwił się Ender. Starał się zachowywać tak, jakby się wcale nie domyślał.

- Powiedziała mi, co robić, jak daleko... - Alessandra zaczęła rozpinać bluzkę. Łzy ciekły jej po policzkach. Pod spodem nie miała niczego. - Co możesz zobaczyć, czego dotknąć, ale nie więcej...

Ender powstrzymał ją, objął znowu, żeby nie mogła odpinać kolejnych guzików. Ponieważ nawet w tej pełnej emocji chwili jakaś część jego interesowała się jedynie tą bluzką i tym, co odsłoni, a nie dziewczyną.

- Naprawdę się o mnie troszczysz - powiedziała Alessandra.

- Oczywiście.

- Bardziej niż ona. - Łzy zmoczyły jej bluzkę.

- Prawdopodobnie nie - stwierdził Ender.

- Zastanawiam się czy w ogóle jej na mnie zależy - wymamrotała Alessandra z twarzą wtuloną w jego pierś. - Zastanawiam się, czy w ogóle byłam dla niej kimś więcej niż marionetką, tak jak ona dla babci. Może gdyby mama została w domu, nie wyszła za męża i nie miała mnie, babcia też żyłaby w pięknej magicznej krainie... ponieważ by postawiła na swoim.

Idealnie, pomyślał Ender. Mimo biologicznych impulsów wszystko poszło idealnie. Admirał Morgan się przekona, że chociaż podejście seksualne nie zagrało według scenariusza, Ender i Alessandra nadal są sobie bliscy, nadal ze sobą związani - jakkolwiek zechce to interpretować. Gra jeszcze się nie skończyła, nawet jeśli romans został chwilowo zawieszony.

- Drzwi tej kabiny nie mają zamka - oświadczył.

- Wiem.

- W każdej chwili ktoś może wejść.

Nie chciał jej przypominać, że kamery nadzoru znajdują się we wszystkich pomieszczeniach, tutaj tym bardziej, i ktoś może im się przyglądać nawet teraz.

Zrozumiała sugestię, odsunęła się i zapięła bluzkę. Tym razem do samej góry, tak jak zwykle.

- Przejrzałeś mnie - stwierdziła.

- Nie - zapewnił Ender. - Zobaczyłem cię. Może twoja matka naprawdę nie widzi.

- Wiem, że nie. Wiem... Jestem tylko... to tylko... Admirał Morgan, o niego tu chodzi, mówiła, że sprowadza mnie tutaj, żeby znaleźć młodego człowieka z widokami na przyszłość, ale znalazła starszego mężczyznę z jeszcze lepszymi widokami, o to chodzi, a ja tylko dopasowałam się do jej planów i...

- Nie mów tak - przerwał jej Ender. - Twoja mama cię kocha, nie była cyniczna, uważała, że w ten sposób pomaga ci uzyskać to, czego pragniesz.

- Możliwe. - Alessandra zaśmiała się z goryczą. - A może to jest twoja wersja krainy czarów? Wszyscy chcą, żebym była szczęśliwa, więc budują wokół mnie fałszywą rzeczywistość. Tak, chcę być szczęśliwa, ale nie dzięki kłamstwom!

- Ja cię nie okłamuję.

Spojrzała na niego wzburzona.

- Pożądałeś mnie? Choć trochę?

Ender zamknął oczy i kiwnął głową.

- Spójrz na mnie i powiedz to.

- Chciałem ciebie - oświadczył.

- A teraz?

- Wiele jest rzeczy, których bym chciał, ale nie powinienem ich dostać.

- Brzmi to, jakby twoja matka nauczyła cię tak mówić.

- Gdyby mnie wychowywała, może by to zrobiła - odparł Ender. - Ale w rzeczywistości nauczyłem się tego, kiedy postanowiłem iść do Szkoły Bojowej, kiedy zdecydowałem się żyć według jej reguł. Na wszystko są reguły, nawet jeśli nikt ich nie tworzy, nawet jeśli nikt nie uważa tego za grę. I jeśli chcesz, żeby wszystko się dobrze ułożyło, lepiej jest znać te reguły i łamać je tylko wtedy, kiedy prowadzisz całkiem inną grę i stosujesz się do tamtych reguł.

- Wydaje ci się, że to ma jakiś sens?

- Dla mnie miało. Chcę ciebie. Ty chciałaś mnie. Miło to wiedzieć. I przeżyłem swój pierwszy pocałunek.

- Nie był taki zły, prawda? Nie wyszedł okropnie?

- Ujmę to tak... Nie wykluczam powtórzenia tego w przyszłości.

Zachichotała. Przestała płakać.

- Naprawdę muszę popracować - rzekł Ender. - I możesz mi wierzyć, rozbudziłaś mnie całkowicie. W ogóle nie jestem senny. Dziękuję.

Roześmiała się głośno.

- Zrozumiałam. Czas, żebym sobie poszła.

- Chyba tak - zgodził się. - Ale zobaczymy się później. Jak zawsze.

- Postaram się nie zachowywać dziwnie i nie chichotać za dużo.

- Zachowuj się naturalnie. Nie możesz być szczęśliwa, jeśli

będziesz cały czas udawać.

- Mama tak ma.

- Ale co? Jest szczęśliwa? Czy udaje?

- Udaje, że jest szczęśliwa.

- Więc może kiedy dorośniesz, będziesz szczęśliwa bez konieczności udawania.

- Może - rzuciła. I już jej nie było.

Ender miał ochotę krzyknąć ze złości na stłumione pożądanie, z wściekłości na matkę, która posyła córkę w takiej misji, na admirała Morgana, przez którego to wszystko było konieczne, na siebie, że jest takim kłamcą. „Nie możesz być szczęśliwa, jeśli będziesz cały czas udawać”. No cóż, jego własne życie nie przeczyło takiemu stwierdzeniu. Przez cały czas udawał i z całą pewnością nie był szczęśliwy.

Rozdział. 15

To: GovDes%ShakespeareCol@colmin.gov/voy

To: vwiggin%ShakespeareCol@colmin.gov/voy

Subject: Spokojnie, mały E.

Nic w Twoim zachowaniu wobec A. nie powinno Cię ani zaskakiwać, ani krępować. Gdyby pragnienia nie zaćmiewały umysłu, nikt nigdy by się nie żenił, nie upijał ani nie tył.

V.

Minęły dwa tygodnie, Sel i Po mieli za sobą prawie dwieście kilometrów i zdążyli przynajmniej dwa razy omówić każdy możliwy temat. Teraz szli w milczeniu, chyba że sytuacja zmusiła ich do mówienia.

Wygłaszali wtedy jednozdaniowe ostrzeżenia:

- Nie chwytaj tego pnącza, nie jest bezpieczne.

Albo spekulacje naukowe:

- Ciekawe, czy ten jaskrawo ubarwiony żabopodobny stwór jest jadowity.

- Wątpię, zwłaszcza że to kamień.

- Och... Kolory są takie żywe, że myślałem...

- Rozsądne założenie. Przecież nie jesteś geologiem, nie można wymagać, żebyś rozpoznał kamień.

Ale zwykle nie działo się nic. Prócz tego, że chłonęli odgłosy, zapachy i widoki nowego świata, odsłaniającego się pierwszym z ludzkiego gatunku, którzy przechodzili przez tę jego część.

Jednak po dwustu kilometrach musieli się zatrzymać. Starannie racjonowali żywność, ale została już tylko połowa. Rozbili więc stały obóz przy źródle czystej wody, wybrali bezpieczne miejsce i wykopali latrynę, rozstawili namiot, wbijając kołki głębiej i lepiej wygładzając grunt pod spodem. Zamierzali tu zostać przez tydzień.

Tydzień, ponieważ mniej więcej tyle spodziewali się przeżyć na mięsie dwóch psów, które zabili po południu.

Tylko dwa z pozostałej czwórki, widząc skóry i tusze, doszły do wniosku, że ludzie nie są już godnymi zaufania towarzyszami. Te dwa uciekły, ale drugą parę musieli odpędzać kamieniami.

Sel i Po, tak samo jak wszyscy mieszkańcy kolonii, wiedzieli, jak konserwować mięso. Ugotowali więc tylko trochę świeżego, ale nie wygasili ognia, żeby uwędzić resztę rozwieszoną na gałęziach drzewa podobnego do paproci... albo paproci podobnej do drzewa.

Na mapie satelitarnej, którą mieli ze sobą, wyznaczyli przybliżony krąg i codziennie wyruszali w innym kierunku, by sprawdzić, co tam znajdują. Bez pośpiechu zbierali próbki i robili zdjęcia, które przesyłali do orbitującego transportowca, by przechować je w pamięci komputera pokładowego. Dzięki temu fotografie i rezultaty testów były bezpieczne - niezależnie od tego, co się stanie z Selem i Po.

Jednak zdecydowanie najcenniejsze były fizyczne próbki. Kiedy z nimi wrócą, będą mogli je spokojnie przebadac przy użyciu lepszego sprzętu - nowych narzędzi, które przywiozą nowi kseno ze statku.

Nocą Sel przez długie godziny nie mógł zasnąć. Przypominał sobie, co zobaczyli razem z Po, klasyfikował wszystko w myślach i próbował nadać sens biologii tego świata.

Ale kiedy się obudził, nie pamiętał, by przeżył jakieś olśnienie w nocy, a już na pewno nie rankiem. Żadnych wielkich przełomów, tylko kontynuacja pracy, którą wykonał wcześniej.

Powinienem wyruszyć na północ, do dżungli, pomyślał.

Lecz badanie dżungli jest o wiele bardziej niebezpieczne, a ja jestem już starym człowiekiem. Dżungla mogłaby mnie zabić.

Ten płaskowyż o klimacie umiarkowanym - chłodniejszym niż kolonia, bo leży nieco bliżej bieguna i na większej wysokości - był także przynajmniej latem bezpieczniejszy dla starca, który tu nie musiał się przedzierać przez gąszcz, nic groźnego nie łąpało go ani nie gryzło.

Piątego dnia trafili na ścieżkę.

Nie mogło być wątpliwości. Nie była to droga, na pewno nie, ale to żadna niespodzianka, formidzi rzadko budowali drogi. Zostawiali po sobie ścieżki, a i te powstawały nieumyślnie, jako rezultat tysięcy stóp podążających tym samym szlakiem.

Te stopy deptały również ten grunt, chociaż było to czterdzieści lat temu. Deptały tak długo i często, że nawet po tylu latach nieuzbrojone oko nadal potrafiło rozpoznać tę ścieżkę na kamienistym dnie wąskiej aluwialnej doliny.

Teraz nie zastanawiali się nawet, czy nadal szukać nieznanych okazów flory i fauny. Formidzi znaleźli tu coś wartościowego, więc przynajmniej na kilka godzin archeologia zyskała pierwszeństwo przed ksenobiologią.

Ścieżka wiała się w górę, między zbocza, ale na szczęście niezbyt daleko i wkrótce natrafili na kilka otworów w skale.

- To nie są jaskinie - uznał Po.

- Nie?

- To tunele. Są za nowe, a zbocza nie ukształtowały się same wokół nich, jak to się dzieje przy naturalnych jaskiniach. Wykopano je jako przejścia. Wszystkie są tej samej wysokości, widzisz?

- Tej paskudnie niewygodnej wysokości, przez którą tak ciężko jest przejść ludziom.

- To nie jest obecnie naszym celem - przypomniał Po. - Znaleźliśmy ciekawe miejsce. Wezwijmy innych, żeby zbadali te tunele. My przybyliśmy dla żywych, nie dla martwych.

- Muszę wiedzieć, co oni tutaj robili. Na pewno nie

utrzymywali farm, nie ma śladu zdziczałych plonów. Nie ma sadów. Ani śmietników; nie była to duża osada. A jednak trwał spory ruch po tej jedynej ścieżce.

- Górnictwo?

- A potrafisz sobie wyobrazić coś innego? W tych tunelach jest coś, co formidzi uznali za warte wykopania. I to w dużych ilościach. Przez długi czas.

- Nie aż tak dużych - stwierdził Po.

- Nie? - zdziwił się Sel.

- To jak produkcja stali na Ziemi. Chociaż celem było wytapianie żelaza i otrzymywanie stali, a węgiel ludzie kopali do pieców i kuźni, to przecież nie wozili węgla do żelaza. Wozili żelazo do węgla... ponieważ do wytworzenia stali trzeba o wiele więcej węgla niż żelaza.

- Musiałeś dostawać dobre stopnie z geografii.

- Moi rodzice i ja urodziliśmy się tutaj, ale przecież jestem człowiekiem. Ziemia to mój dom.

- Czyli sugerujesz, że to, co wydobywali w tych tunelach, nie występowało w tak dużych ilościach, żeby opłacało się zbudować tu miasto?

- Budowali miasta tam, gdzie była żywność albo paliwo. Tego czegoś tutaj wydobywali tak niewiele, że bardziej ekonomiczny był transport do miast niż budowanie miasta tutaj, żeby przerabiać surowiec na miejscu.

- Może jeszcze coś z ciebie wyrośnie, Po.

- Ja już wyrosłem, wujku Sel. I już coś ze mnie jest. Tyle że za mało, aby któraś z dziewczyn za mnie wyszła.

- A czy wiedza o zasadach ziemskiej ekonomiki przyciągnie partnerkę?

- Pewnie tak samo jak poroże tej króliczej ropuchy.

- Rogi - poprawił go Sel.

- Czyli wchodzimy?

Sel umieścił małą lampkę olejową w rozszerzonym końcu laski.

- Myślałem, że ten otwór na czubku twojej laski to dekoracja... - zdziwił się Po.

- To była dekoracja - zgodził się Sel. - A także sposób, w jaki wyrosło drzewo.

Sel zwinął koce. Trochę żywności schował do plecaka, razem ze sprzętem do testów.

- Planujesz spędzić tam noc?

- A jeśli znajdziemy coś wspaniałego, a potem trzeba będzie wyleźć z tych dziur, zanim zdążymy to zbadać?

- Namiot chyba nie będzie nam potrzebny.

- Wątpię, żeby mocno padało - zgodził się Sel.

- W jaskiniach może kapać.

- Znajdziemy sobie jakieś suche miejsce.

- Co może tam żyć? To nie jest naturalna jaskinia. Ryb raczej tam nie znajdziemy.

- Są ptaki i inne stworzenia, które lubią ciemność. Albo takie, które uznają wnętrza za cieplejsze i bezpieczniejsze. A może gatunki prymitywnych strunowców, owadów, jakieś robaki czy grzyby, których jeszcze nie widzieliśmy.

Przy wejściu Po westchnął ciężko.

- Gdyby tylko te tunele były większe...

- Nie moja wina, że taki duży urosłeś.

Sel zapalił lampę zasilaną olejem wyciskany z pewnego owocu, który znalazł na pustkowiach. Nazwał go oliwką na pamiątkę oleistych owoców z Ziemi, choć w niczym innym go nie przypominał - z pewnością nie aromatem ani wartościami odżywczymi.

Koloniści hodowali teraz te owoce w sadach, trzy razy w roku zbierali plony, a potem wyciskali i filtrowali olej. Poza tym owoce nie nadawały się do niczego prócz użyźniania gleby.

Dobrze jednak było mieć czyste paliwo do lamp, zamiast podłączać do sieci każdy budynek, zwłaszcza w zewnętrznych osiedlach. To było jedno z ulubionych odkryć Sela - tym bardziej że nie znaleźli żadnych śladów wskazujących na to, by formidzi wykorzystali olej. Oczywiście, formidzi doskonale sobie radzili w ciemności. Sel wyobraził sobie, jak biegają tymi tunelami, zadowolając się tylko słuchem i węchem.

Ludzie ewoluowali ze stworzeń, które kryły się na drzewach, nie w jaskiniach, myślał Sel. I chociaż w przeszłości wielokrotnie w nich mieszkali, zawsze jednak z pewną nieufnością. Ciemne, głębokie nory wydawały się jednocześnie atrakcyjne i przerażające. Nie było żadnej szansy, by formidzi pozostawili w stanie dzikim jakiegokolwiek duże drapieżniki, zwłaszcza w jaskiniach, ponieważ sami byli budowniczymi tuneli i mieszkańcami jaskiń.

Gdyby tylko ich macierzysty świat nie został zniszczony podczas wojny... Jak wiele moglibyśmy się dowiedzieć, śledząc obcą ewolucję, która doprowadziła do inteligencji...

Z drugiej strony, gdyby Ender Wiggin ich nie rozwalił, pewnie byśmy przegrali tę wojnę. Wtedy nie moglibyśmy badać tego świata. Tutaj ewolucja nie doprowadziła do inteligencji - a jeśli nawet, to formidzi już ją usunęli, wraz ze śladami, które mogli po sobie zostawić ci oryginalni myślący tubylcy.

Sel pochylił się i w kucki wszedł do tunelu. Ale trudno było iść w ten sposób - plecy nie wytrzymały. Nie mógł nawet oprzeć się o laskę, bo była za długa, więc musiał wlec ją za sobą, możliwie blisko pionu, żeby nie wylał się olej.

Po chwili zwyczajnie nie mógł już utrzymać tej pozycji. Usiadł, a wraz z nim Po.

- Nic z tego nie będzie - stwierdził Sel.
- Krzyż mnie boli - oświadczył Po.
- Przydałoby się trochę dynamitu...

- Tak jakbyś kiedyś go użył.

- Nie twierdzę, że byłoby to moralnie uzasadnione. Tylko wygodne. - Sel wręczył Po swoją laskę z lampką na czubku. - Jesteś młody, szybko ci przejdzie. A ja wypróbuję nową pozycję.

Sprawdził, czy mógłby iść na czworakach, ale szybko zrezygnował - za bardzo dokuczały mu kolana, kiedy opierał je bezpośrednio o skalne podłoże. W końcu zdecydował się usiąść; wyciągał ręce do przodu, wspierał się na nich, a potem przesuwał nogi i biodra. To było powolne pełzanie.

Po także spróbował posuwać się na rękach i kolanach, ale się poddał. Ponieważ jednak trzymał laskę ze światłem, zmuszony był iść zgięty wpół, niemal w kucki.

- Skończę jako kaleka - poskarżył się.

- Ja przynajmniej nie będę musiał słuchać, jak twoja matka i ojciec się skarżą, co ci zrobiłem, ponieważ nie spodziewam się, że wyjdę stąd żywy.

A potem nagle wszystko pociemniało. Sel myślał przez chwilę, że lampa zgasła, ale nie - to Po wyprostował się i unióś laskę do pionu, tak że tunel znalazł się w cieniu.

Sel zobaczył komorę przed nimi. Była to naturalna grotta, z podtrzymującymi sklepienie stalaktytami i stalagmitami.

Tylko że nie były to typowe proste kolumny, jakie się formują, kiedy wapienna woda ścieka w dół, pozostawiając po sobie osad. Te kolumny skręcały się szaleńczo. Wiły się.

- To nie są naturalne depozyty - uznał Po.

- Nie. Były zbudowane. Ale te zwoje nie wyglądają na planowane.

- Fraktalna losowość?

- Nie wydaje mi się. Losowość tak, ale naturalna, nie fraktalna. Nie matematyczna.

- Jak psie kupy - podsumował Po.

Sel wstał, wciąż przyglądając się kolumnom. Rzeczywiście

był w nich pewien spiralny wzorzec, jaki uzyskują spadające na ziemię psie odchody. Stałe, ale elastyczne. Jakby te kolumny spływały z góry, tyle że nadal były połączone ze stropem.

Sel spojrzał w górę, po czym odebrał Po laskę i uniósł wysoko.

Komora zdawała się sięgać w nieskończoność, podtrzymywana przez te wijące się kamienne filary. Łuki, jak w starożytnych świątyniach, ale na wpół stopione.

- To skała kompozytowa - oświadczył Po.

Sel spojrzał na chłopca, który samopodświetlającym mikroskopem badał właśnie podstawę kolumny.

- Wydaje się, że ma ten sam skład mineralny co podłoże - mówił dalej Po. - Ale ziarnisty. Jakby skała została roztarta, a potem sklejona z powrotem.

- Sklejona nie - stwierdził Sel. - Spojona jakoś? Scementowana?

- Myślę, że jednak sklejona. Wydaje się, że to coś organicznego.

Po odebrał laskę i uniósł płomyk lampy pod występ jednej z bardziej poskręcanych kolumn. Substancja się nie zapaliła, ale zaczęła się pocić i kapać.

- Przestań - polecił Sel. - Jeszcze zwali się nam na głowy.

Teraz, kiedy mogli już normalnie chodzić, szybko podążyli w głąb jaskini. To Po wpadł na pomysł, żeby znaczyć drogę - urywał kawałki swojego koca i rzucał je na ziemię. Od czasu do czasu oglądał się, by sprawdzić, czy idą w linii prostej. Sel także spojrzał do tyłu i zobaczył, że nigdy nie odnaleźliby wylotu korytarza, którym tu przyszli, gdyby nie znakowanie Po.

- No więc wytłumacz mi, jak to zbudowano - zwrócił się do chłopca. - Nie ma śladów narzędzi na sklepieniu ani na podłożu. Te kolumny, zrobione ze zmielonej skały z dodatkiem kleju... Jakby pasta, ale dostatecznie mocna, żeby podtrzymać

strop tak wielkiej komory. Ale nie został żaden sprzęt do kruszenia, żadne wiadra do noszenia kleju.

- Wielkie skałozerne robaki - stwierdził Po.

- Ja też tak myślę - zgodził się Sel.

Po parsknął śmiechem.

- Żartowałem.

- Ja nie.

- Jak robaki mogłyby jeść skałę?

- Mają bardzo ostre zęby, które szybko odrastają. Przegryzają się. Drobny żwir łączy się z jakąś kleistą wydzieliną i wyciskają te kolumny, a potem łączą je ze sklepieniem.

- Ale w jaki sposób taki stwór mógłby wyewoluować? - spytał Po. - W skale nie ma substancji odżywczych. A żeby zrobić to wszystko, trzeba gigantycznej energii. Nie wspomnę już o tym, z czego miałyby zbudowane te zęby.

- Może nie wyewoluowały - mruknął Sel. - Popatrz... Co to jest?

Przed nimi leżało coś błyszczącego, co odbijało światło lampy.

Kiedy podeszli bliżej, zauważyli też odbicia światła na kolumnach. A nawet na sklepieniu.

Nic jednak nie było tak jasne jak ten leżący na ziemi obiekt.

- Wiadro po kleju? - spytał Po.

- Nie - odparł Sel. - To ogromny chrząszcz. Żuk. Mrówka. Coś w rodzaju... Spójrz na to, Po.

Byli już dość blisko, by stwierdzić, że jest sześcionogi, choć środkowa para wydawała się przeznaczona raczej do czepiania się niż chodzenia czy chwytania. Przednie służyły chwytaniu i rozrywaniu. Tylne - do kopania i biegu.

- Jak myślisz? Dwunogi? - spytał Sel.

- Sześć- albo cztero- , ale dwunogi w miarę potrzeby. - Potrącił żuka stopą. Żadnej reakcji. Stwór był wyraźnie martwy.

Chłopiec schylił się, zgiął i przekręcił tylne odnoże. Potem przednie. - Wspina się, pełza, chodzi i biega, wszystko równie sprawnie.

- Mało prawdopodobna ścieżka ewolucyjna - uznał Sel. - Anatomia zwykle każe się trzymać jednej metody.

- Tak jak mówiłeś: nie ewoluował. Został wyhodowany.

- Po co?

- Do wydobywania.

Po przewrócił żuka na brzuch. Był bardzo ciężki; udało się to dopiero po kilku próbach. Ale teraz lepiej widzieli, co odbijało światło - grzbiet stworza był pokryty warstwą litego złota. Gładką jak pokrywa skrzydeł chrząszcza, ale tak grubą, że żuk musiał ważyć z dziesięć kilogramów.

Dwadzieścia pięć, może trzydzieści centymetrów długości, szeroki i krępy. A cały egzozkielet cienko złożony, z grzbietem pod ciężkim złotym pancerzem...

- Myślisz, że te stwory wydobywały złoto? - spytał Po.

- Nie tą paszczą - odparł Sel. - Nie tymi nogami.

- Lecz złoto jakoś przedostało się im do wnętrza. I zostało zmagazynowane w skorupie.

- Chyba masz rację. Ale to jest dojrzały osobnik. Plon. Sądzę, że formidzi wynosili te żuki z kopalni do oczyszczenia. Wypalali części organiczne i zostawał czysty metal.

- Czyli wchłaniają to złoto jako larwy...

- Potem owijają się w kokon...

- A kiedy wychodzą, ich ciała są pokryte złotem.

- I są tam - oznajmił Sel, znowu unosząc lampę. Ale tym razem podszedł bliżej do kolumny i zobaczyli, że błyski światła odbijają się od wpół uformowanych stworzeń; ich grzbiety tkwiły w kolumnach, głowy i brzuchy pokrywała cienka warstwa złota.

- Te kolumny są kokonami - domyślił się Po.

- Organiczne górnictwo - rzekł Sel. - Formidzi hodowali te żuki w celu wydobycia złota.

- Ale po co im złoto? Przecież nie używali pieniędzy. Dla nich złoto to tylko miękki metal.

- Użyteczny. A kto może wiedzieć, czy nie mieli podobnych chrząszczy, ale wyhodowanych do pozyskiwania żelaza, platyny, aluminium, miedzi...

- Czyli nie potrzebowali narzędzi do robót górniczych.

- Nie. To właśnie są narzędzia. I rafinerie. - Sel przyklęknął.

- Zobaczymy, czy uda się pobrać próbki DNA.

- Przecież te stworzenia są od dawna martwe.

- W żaden sposób nie mogą pochodzić z tej planety. Formidzi je tu sprowadzili. A zatem pochodzą z ich planety macierzystej. Albo są wyhodowane z jakichś tamtejszych zwierząt.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się Po. - Przecież inne kolonie na pewno już by je znalazły.

- Nam to zajęło czterdzieści lat, prawda?

- A jeśli to hybrydy? Czyli istnieją tylko na naszej planecie?

Tymczasem Sel pobierał próbki DNA i odkrył, że jest to bardzo łatwe.

- Po, ten żuk nie może być od czterdziestu lat martwy.

Żuk nagle drgnął pod jego ręką.

- Ani od dwudziestu minut - dodał Sel. - Nadal ma odruchy. Nie jest całkiem martwy.

- W takim razie umiera - stwierdził Po. - Nie ma energii.

- Założę się, że z głodu. Może właśnie zakończył metamorfozę, spróbował dotrzeć do tunelu, zatrzymał się tutaj i zdechł.

Po odebrał próbki i schował je do plecaka Sela.

- To znaczy, że te złote żuki nadal są żywe, chociaż formidzi od czterdziestu lat nie dostarczają im pożywienia? Ile trwa metamorfoza?

- Nie czterdzieści lat. - Sel wstał, ale pochylił się znowu, by obejrzeć złotego żuka. - Myślę, że te chrząszcze w kokonach, osadzone w kolumnach, są młode. Świeże.

Wyprostował się i ruszył w głąb jaskini.

Spotykali tu więcej złotych żuków, z których większość leżała na ziemi. Ale w przeciwieństwie do pierwszego te były zniszczone, wydrażone. Pozostały tylko grube złote skorupy ich grzbietów i odnóża odrzucone na bok, jakby...

- Wyplute - stwierdził Sel. - Zostały zjedzone.

- Przez co?

- Przez larwy. Pożerają dorosłe osobniki, bo poza nimi nie ma tu nic do jedzenia. Każda generacja jest mniejsza... Popatrz, jaki ten jest wielki. Jest mniejsza, bo żywi się tylko ciałami dorosłych osobników.

- I przesuwały się w stronę wyjścia - dodał Po. - Żeby się wydostać na zewnątrz, gdzie jest jedzenie.

- Kiedy formidzi przestali przychodzić...

- Skorupy są za ciężkie, żeby mogły pokonać większą odległość. Dlatego dochodzą jak najdalej, potem larwy żywią się ciałem dorosłego, pełzną do światła tunelu, jak najdalej potrafią, zawijają się w kokon, a potem wychodzi kolejna generacja, mniejsza od poprzedniej.

Znajdowali teraz o wiele większe skorupy.

- Te żuki powinny chyba mieć ponad metr długości - domyślił się Sel. - Im bliżej wyjścia, tym są mniejsze.

Po zatrzymał się i wskazał lampę.

- Kierują się do światła?

- Może uda nam się jakiegoś zobaczyć.

- Pożerające skałę larwy, które kruszą kamienie i wydalają spojone kamienne kolumny...

- Nie powiedziałem, że chciałbym je oglądać z bliska.

- Ale chciałbyś.

- No... tak.

Obaj rozglądali się teraz, mrużąc oczy i próbując zobaczyć ruch w jaskini.

- A jeśli jest coś, co lubią bardziej niż światło? - zapytał Po.

- Miękkie jedzenie? Nie myśl, że nie przyszło mi to do głowy. Formidzi dostarczali im jedzenie. Może teraz my również.

I w tym momencie Po wznosił się pionowo w górę.

Sel uniósł laskę. Bezpośrednio nad nim przyłgnęła do stropu wielka, ślimakowata larwa. Jej paszcza ścisnęła plecak Po.

- Odepnij paski i zeskocz! - zawołał Sel.

- Ale nasze próbki...

- Zawsze możemy pobrać nowe! Nie chcę wyciągać z tych kolumn kawałków ciebie!

Po odpiął się i zeskoczył na ziemię.

Plecak zniknął w paszczy larwy. Słyszeli metaliczne zgrzyty i piski, kiedy zęby próbowały rozdrobnić instrumenty. Nie czekali, by sprawdzić, czy się to uda; ruszyli do wyjścia. Kiedy minęli ciało pierwszego złotego żuka, rozejrzeli się za wyznaczającymi drogę strzępami koca.

- Weź mój plecak. - Sel zrzucił go, nie zatrzymując się. - W środku jest radio i próbki DNA. Wyjdź na zewnątrz i wezwij pomoc.

- Nie zostawię cię - oświadczył Po. Ale zarzucił plecak Sela na ramiona.

- Tylko ty potrafisz dotrzeć do wyjścia szybciej, niż ten stwór może pełzać.

- Nie widzieliśmy, jak szybko pełza.

- Owszem, widzieliśmy. - Sel wrócił kawałek i uniósł lampę.

Larwa była jakieś trzydzieści metrów za nimi i zbliżała się szybciej, niż szli.

- Podąża za światłem czy za ciepłem ciała? - zainteresował się Po, kiedy ruszyli biegiem.

- Może za dwutlenkiem węgla z naszych oddechów? Albo za wibracjami podłoża od kroków? Albo za biciem serc? - Sel podał mu laskę. - Bierz to i uciekaj.

- A co ty zrobisz? - Po nie wziął laski.

- Jeśli idzie za światłem, utrzymasz dystans, jeśli pobeigniesz.

- A jeśli nie?

- To się wydostaniesz i wezwiesz pomoc.

- A ta larwa tymczasem zje cię na obiad.

- Jestem twardy i łykowaty.

- Ten stwór gryzie skałę.

- Bierz światło - poleciał Sel. - I uciekaj stąd.

Po się wahał, ale tylko przez moment. Sel z ulgą przyjął fakt, że chłopiec dotrzymuje obietnicy całkowitego posłuszeństwa.

Albo jest przekonany, że larwa podąży za światłem.

I Po miał rację. Kiedy Sel zwolnił i popatrzył na zbliżającą się larwę, zrozumiał, że nie kieruje się ku niemu, ale zbacza w bok. A kiedy chłopiec pobiegł, zaczęła przyspieszać.

Minęła Sela. Miała ponad pół metra grubości i poruszała się jak wąż, wijąc się po podłożu, przybierając kształty dokładnie takie jak kolumny, tyle że w poziomie. I oczywiście przesuwała się naprzód.

Na pewno dogoni Po, kiedy ten będzie się przeciskał przez tunel.

- Zostaw lampę! - krzyknął Sel. - Zostaw!

Po chwili zobaczył laskę opartą o ścianę jaskini, obok wylotu tunelu prowadzącego do zewnętrznego świata. Po był już pewnie w jego wnętrzu.

Larwa jednak zignorowała światło i wsunęła się do tunelu. Nie musiała iść na czworakach ani w kucki - bez trudu chłopca dogoni.

- Nie! Nie, stój! - krzyknął Sel. Ale zaraz pomyślał: A jeśli Po

mnie usłyszysz? - Idź dalej, Po! Uciekaj!

A potem bezgłośnie wrzasnął w myślach: Stój! Wracaj tutaj! Wracaj do jaskini! Wracaj do swoich dzieci!

Wiedział, że to szaleństwo, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Formidzi porozumiewali się myślowo. A tutaj miał do czynienia z dużą insektoidalną formą życia, pochodzącą z macierzystej planety formidów. Może uda się do niej przemówić tak, jak królowe kopców do swoich robotnic i wojowników.

Przemówić? To idiotyczne. Nie miały języka. Nie mówiły.

Sel zatrzymał się i w myślach uformował wyraźny obraz złotego żuka na gruncie jaskini. Tylko odnóża drżały lekko. I kiedy go sobie wyobraził, spróbował poczuć się głodny - a przynajmniej przypomnieć sobie, jakie to uczucie. Albo też znaleźć w sobie głód - w końcu nie jadł już od paru godzin.

A potem wyobraził sobie larwę zbliżającą się do złotego żuka, okrążającą go...

Larwa wynurzyła się z tunelu. Sel nie słyszał wrzasków Po, więc go nie dogoniła. Może za bardzo zbliżyła się do wylotu, słońce ją oślepiło i nie mogła iść dalej. Albo zareagowała na obrazy i uczucia w umyśle Sela. Tak czy owak, Po był już bezpieczny na zewnątrz.

Oczywiście, larwa mogła uznać, że nie warto się męczyć z ofiarą, która ucieka, i wróciła do ofiary, która stoi w miejscu, usiłując się ukryć za kolumną.

Rozdział. 16

To: GovDes%ShakespeareCol@ColMin.gov/voy

From: MinCol@ColMin.gov

Subject: Według zamówienia

Handshake key: 3390ac8d9aff9121001

Drogi Enderze,

Tak jak prosiłeś, przesłałem do systemów statku holograficzną wiadomość ode mnie i od polemarchy Bakossiego Wuri, wykorzystując lukę, jaką wprowadziłeś do oprogramowania pokładowego ansibla. Jeśli twój program działa tak, jak mówisz, wiadomość całkowicie przejmie komunikację statku. Dodatkowo dołączyłem oficjalne zawiadomienie dla admirała Morgana, które powinieneś wydrukować i mu wręczyć.

Mam nadzieję, że zdobyłeś jego zaufanie w dostatecznym stopniu, by udzielił Ci dostępu, jaki będzie niezbędny, byś cokolwiek z tego mógł wykorzystać. Ta wiadomość nie pozostawi żadnych śladów po swoim istnieniu, kiedy ją wykasujesz.

Powodzenia

Hyrum

Admirał Morgan nawiązał kontakty z pełniącym obowiązki pełniącego obowiązki gubernatora Ixem Tolo - śmieszne nazwisko - ponieważ oficjalny pełniący obowiązki niezbyt uprzejmie zniknął, wyruszając na całkiem niepotrzebną wyprawę, akurat kiedy był potrzebny, żeby oficjalnie przekazać władzę. Na pewno nie mógł znieść myśli, że ktoś inny zastąpi go na stanowisku. Ależ niektórzy są próżni...

Pierwszy oficer Morgana, komandor das Lagrimas, potwierdził, że, o ile da się to ocenić z orbity, przygotowane przez kolonistów lądowisko promu spełnia wymagania. Dzięki niebiosom, że nie musieli już asfaltować pasów - to musiało być kłopotliwe w czasach, kiedy jednostki latające lądowały na kołach.

Jedyne, co Morgana niepokoiło, to zabranie tego młodego

Wiggina w pierwszy przelot. Łatwo byłoby przekonać dawnych osadników, że Morgan przyleciał pierwszy, żeby wszystko przygotować. I wtedy ludzie by się domyślili, że Wiggina, młody chłopak, nie może być prawdziwym gubernatorem.

Dorabella zgodziła się z nim. Ale potem zauważyła:

- Oczywiście, wszyscy starsi ludzie w kolonii to piloci i żołnierze, którzy walczyli pod dowództwem Endera. Mogą być rozczarowani, kiedy go nie zobaczą. Ale nie, tym bardziej się ucieszą, kiedy przyleci później.

Morgan zastanowił się i uznał, że zabranie Wiggina będzie raczej atutem niż przeszkodą. Niech zobaczą tego legendarnego chłopca...

I dlatego wezwał młodego Wiggina do swojej kwatery.

- Nie sądzę, żebyś przy pierwszym spotkaniu z kolonistami musiał cokolwiek mówić - oświadczył.

To był test - czy dzieciak się rozgniewa, że nakazuje mu milczenie?

A Wiggina zgodził się natychmiast.

- Doskonale, bo nie jestem dobry w przemowach.

- No to świetnie. Będziemy tam mieli marines na wypadek, gdyby ci ludzie planowali stawiać opór. Nigdy nie wiadomo, cała ta ich współpraca to może być podstęp. Cztery dekady żyli tu samodzielnie; może im się nie spodobać narzucanie władzy z odległości czterdziestu lat świetlnych.

Wiggina zrobił poważną minę.

- O tym nie pomyślałem. Naprawdę uważa pan, że mogą się zbuntować?

- Nie, ale dobry dowódca przygotowuje się na wszystko. Jestem pewien, że z czasem sam nabierzesz takich odruchów.

Wiggina westchnął.

- Tyle jeszcze nauki...

- Kiedy wylądujemy, wysuniemy rampę i marines

zabezpieczą bezpośrednio otoczenie. Poczekamy, aż ludzie zbiorą się u stóp rampy, i wtedy wyjdziemy. Przedstawię cię, powiem kilka słów, a potem wrócisz do promu, dopóki nie przygotujemy dla ciebie odpowiedniej kwatery w osadzie.

- *Toguro* - rzekł Wiggin.

- Co takiego?

- Przepraszam. Slang Szkoły Bojowej.

- A tak. Nigdy nie byłem w Szkole Bojowej.

Oczywiście, ten bachor musiał delikatnie przypomnieć, że uczęszczał do Szkoły Bojowej, a Morgan nie. Ale użycie slangu brzmiało zachęcająco. Im bardziej dziecinny wyda się Ender, tym łatwiej będzie go marginalizować.

- Kiedy może przylecieć Valentine?

- Nowych kolonistów zaczniemy transportować nie wcześniej niż po kilku dniach. Musimy mieć pewność, że wszystko odbędzie się w sposób uporządkowany. Nie chcemy przecież zdusić starych kolonistów zbyt wielką liczbą nowych, zanim przygotujemy dla nich schronienie i żywność. To samo dotyczy zapasów.

- Lecimy na dół z pustymi rękami? - Wiggin wydawał się zaskoczony.

- No... Nie, oczywiście, że nie - odparł Morgan. Nie pomyślał o zabraniu ze sobą jakichś zapasów. To rzeczywiście byłby miły gest. - Jak myślisz, coś do jedzenia? Czekolada?

- Mają lepsze jedzenie od nas - przypomniał Ender. - Świeże owoce i warzywa to będzie ich podarunek dla nas. Ale założę się, że oczy wytrzeszczą na widok skimmerów.

- Skimmery! To zawansowana technologia.

- No ale przecież tutaj, na statku, na nic się nie przydadzą. - Ender się roześmiał. - To może jakiś sprzęt dla ksenobiologów. Coś, co im pokaże, jak bardzo nasz przyłot im się przyda. Skoro się pan obawia, że przyjmą nas wrogo, to jeśli prześlemy im

jakąś naprawdę użyteczną technologię, zostaniemy mile przywitani.

- Oczywiście. To właśnie planowałem. Nie myślałem tylko o skimmerach przy pierwszym lądowaniu.

- Na pewno pomogą im przetransportować ładunek tam, gdzie będzie składowany. Będą wdzięczni, że nie muszą taszczyć towarów ręcznie albo na wózkach, czy czego tam używają.

- Doskonale - zgodził się Morgan. - Widzę, że już zaczynasz łapać, o co chodzi w przywództwie.

Dzieciak rzeczywiście był sprytny. Ale to Morgan zbierze plon sympatii, jaką wzbudzą skimmery i zaawansowany sprzęt. Sam by na to wpadł, gdyby miał okazję usiąść i trochę pomyśleć. Chłopak mógł sobie siedzieć i myśleć o wszystkim, ale Morgan nie miał na to czasu. Zawsze był w pogotowiu, a choć das Lagrimas załatwiał większość spraw, Morgan musiał dodatkowo radzić sobie z Dorabellą.

Co nie znaczy, że była specjalnie wymagająca. Właściwie to była zaskakująco oddana. Nigdy się nie wtrącała, nie usiłowała wtykać nosa w nie swoje sprawy. Nigdy na nic nie narzekała, zawsze dopasowywała się do jego planów, zawsze się uśmiechała, zachęcała, współczuła, lecz nigdy nie próbowała niczego doradzać ani sugerować.

Ale go rozpraszała - w pozytywnym sensie. Kiedy tylko nie był akurat zajęty na jakimś spotkaniu, myślał o niej. Ta kobieta była po prostu zadziwiająca. Taka chętna, starająca się o niego... Miał wrażenie, że wystarczy mu o czymś pomyśleć, a ona już to robi. Zauważył, że szuka pretekstów, by wrócić do swojej kwatery, ponieważ ona zawsze tam była, zawsze ucieszona, że go widzi, zawsze chętnie słuchająca... I jej ręce - dotykające go, nie pozwalające mu wyjść tak szybko, jak powinien...

Od wielu ludzi słyszał, że małżeństwo to piekło. Miodowy miesiąc trwa jeden dzień, mówili, a potem kobieta zaczyna żądać, upierać się, narzekać... Same kłamstwa.

A może prawda, tylko Dorabella jest wyjątkowa. Jeśli tak, cieszył się, że zaczekał, by poślubić tę jedną z miliona, która uczyni go naprawdę szczęśliwym.

Był zauroczony. Wiedział, że ludzie żartują z niego za plecami - widział ich drwiące uśmiešky, kiedy wracał ze spotkania z Dorabellą, trwającego godzinę czy dwie w samym środku dnia pracy. A niech się śmieją! To wszystko zazdrość.

- Sir... - odezwał się Wiggin.

- A tak - mruknął Morgan. Znowu mu się to zdarzyło: w środku rozmowy zaczynał myśleć o Dorabelli. - Mam wiele spraw, a my chyba już skończyliśmy. Bądź na promie o ósmej. Wtedy zamykamy śluzy; załadunku dopilnuje ostatnia nocna wachta. Przelot zajmie kilka godzin, tak przynajmniej uprzedzają piloci, ale raczej nikt nie zaśnie. Dlatego połóż się wcześniej spać, żebyś był wypoczęty. I lepiej wchodzić w atmosferę z pustym żołądkiem, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Oczywiście, sir.

- W takim razie możesz odejść.

Wiggin zasalutował i wyszedł, a Morgan roześmiał się niemal w głos. Dzieciak nie zdawał sobie sprawy, że nawet na statku, jako starszy stopniem, miał prawo do pewnej swobody. W szczególności mógł wychodzić, kiedy chciał, a nie czekać na pozwolenie jak zwykły podwładny. Ale dobrze, że zna swoje miejsce. To, że Morgan musiał zapracować na tytuł admirała, który temu dzieciakowi sprezentowali, nie oznaczało jeszcze, że musi udawać szacunek dla niedoświadczonego nastolatka.

Na promie Wiggin zjawił się jeszcze przed Morganem, ubrany po cywilnemu, nie w wojskowym mundurze - tym lepiej. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie zobaczyli, że obaj mają podobne

mundury i insygnia, ale Ender znacząco więcej odznaczeń bojowych. Morgan skinął mu tylko głową i przeszedł do swojego fotela z przodu, gdzie miał do dyspozycji zestaw łączności.

Z początku lot przypominał zwykle podróże kosmiczne - równy, całkowicie pod kontrolą. Ale kiedy okrążyli planetę i zniżyli się do punktu wejścia w atmosferę, prom się przeorientował, by tarcza pochłaniała i rozpraszała ciepło. Wtedy zaczęły się wstrząsy, odchylenia i kołysania. Piloci uprzedzili ich wcześniej: „Wychylenia i odchylenia to nic; dopiero kiedy zaczniemy się nachylać, mogą być problemy”.

Morgan miał trochę mdłości, zanim wyrównali lot na dziesięciu tysiącach metrów. Ale biedaczysko Wiggin... Chłopak praktycznie popędził do toalety na rufie, gdzie pewnie głowa mu odpadała od nudności. Chyba że zapomniał o tym, by nie jeść i naprawdę miał czym wymiotować.

Lądowanie przebiegło gładko, ale Wiggin nie wrócił na miejsce - cały czas siedział w toalecie. I wciąż tam był, kiedy marines zameldowali, że gromadzą się koloniści.

Morgan osobiście stanął przed drzwiami toalety i zapukał.

- Wiggin - powiedział głośno. - Już czas.

- Jeszcze chwilę, sir - odparł Wiggin. Głos miał słaby i drżący. - Naprawdę. Oglądanie skimmerów zajmie im kilka minut, a potem powitają nas oklaskami.

Morganowi nie przyszło na myśl, żeby wysłać skimmary, zanim sam wyjdzie z promu, ale Wiggin miał rację. Kiedy ludzie najpierw zobaczą jakieś naprawdę wspaniałe przykłady ziemskiej techniki, z większym entuzjazmem powitają tego, który je dostarczył.

- Nie mogą ich oglądać w nieskończoność - stwierdził jednak. - Kiedy przyjdzie pora, żeby do nich wyjść, mam nadzieję, że do mnie dołączysz.

- Na pewno - obiecał Wiggin, ale kolejny odgłos wymiotów

zadał kłam jego słowom.

Oczywiście, takie dźwięki można wydawać także bez mdłości. Morgana na moment ogarnęły podejrzenia, więc zaczął działać: bez żadnego ostrzeżenia otworzył drzwi.

Wiggin klęczał nad muszlą, brzuch mu falował, a całe ciało wygięło się przed kolejnym atakiem. Zdjął marynarkę i koszulę, które leżały teraz na podłodze przy drzwiach - miał przynajmniej tyle przytomności umysłu, żeby nie ubrudzić garnituru.

- Mogę jakoś pomóc? - spytał Morgan.

Wiggin zwrócił ku niemu udręczoną twarz.

- To przecież nie może trwać wiecznie - powiedział z bladym uśmiechem. - Za chwilę mi przejdzie.

I znowu pochylił się nad muszlą. Morgan zamknął drzwi i powstrzymał się od uśmiechu. A tak się martwił, że dzieciak nie zechce współpracować... Wiggin nie zjawi się na swojej wielkiej prezentacji i nie będzie to nawet winą Morgana.

Rzeczywiście, kadet wysłany po Wiggina wrócił z wiadomością, nie z chłopakiem.

- Mówi, że wyjdzie, jak tylko będzie w stanie.

Morgan zastanawiał się przez moment, czy nie odpowiedzieć, że nie ma zamiaru pozwalać, by spóźnienie Wiggina przeszkodziło w wygłoszeniu mowy powitalnej. Ale nie, mógł sobie pozwolić na wielkoduszność. Zresztą nie wyglądało, by tamten był gotów w krótkim czasie.

Powietrze na Szekspirze było przyjemne, lecz dziwne; wiała lekka bryza i niosła ze sobą jakieś pyłki. Morgan zdawał sobie sprawę z faktu, że samym oddychaniem może zarazić się tym wysysającym krew robakiem, który niemal wybił całą kolonię na samym początku jej istnienia; ale mieli już na to lekarstwa, więc na pewno zdąży dostać pierwszą dawkę. Dlatego po raz pierwszy od lat rozkoszował się zapachem planetarnego

powietrza - ostatnio był na Ziemi sześć lat przed wyruszeniem na tę wyprawę.

W niewielkiej odległości od lądowiska krajobraz przypominał sawannę - tu i tam rosnące drzewa, sporo krzewów. Bliżej dookoła rosły zboża. Morgan zrozumiał, że pas mogli umieścić tylko wśród pól uprawnych. Na pewno im się to nie podobało - dobrze, że wpadł na pomysł, by wysłać skimmery przodem; to odwróci ich uwagę od zniszczeń, jakie spowodowało lądowanie.

Ludzie przyszli zaskakująco licznie. Niejasno sobie przypominał, że te kilka setek oryginalnego korpusu ekspedycyjnego wzrosło teraz do prawie dwóch tysięcy, bo mnożyli się jak króliki, chociaż w początkowej grupie mieli stosunkowo niewiele kobiet.

Najważniejsze jednak, że klaskali, kiedy się pojawił. Być może te brawa przeznaczone były bardziej dla skimmerów niż dla niego, ale to mu wystarczało, dopóki nie stawiali oporu.

Jego adiutanci ustawili system nagłaśniający, choć Morgan nie sądził, żeby był potrzebny. Tłum zebrał się licznie, lecz było w nim wiele dzieci, a ludzie tłoczyli się tak bardzo, że ze szczytu rampy wszyscy byli w zasięgu głosu. Mimo to, kiedy już ustawiono mównicę, głupio by wyglądało, gdyby Morgan z niej nie skorzystał. Podszedł więc i oburącz chwycił pulpit.

- Mężczyźni i kobiety z kolonii Szekspir, przynoszę wam pozdrowienia od Międzynarodowej Floty i Ministerstwa Kolonizacji.

Spodziewał się oklasków, ale... nic.

- Jestem kontradmirał Quincy Morgan, dowódca statku, który dostarczył do waszej osady nowych kolonistów, nowy sprzęt i zapasy.

Nadal nic. Oczywiście słuchali uważnie, bez śladu wrogości, ale tylko kiwali głowami, a i to nieliczni. Jakby na coś czekali. Na co?

Czekają na Wiggina... Ta myśl pojawiła się jak fala żółci w krtani. Wiedzą, że Wiggin ma być ich gubernatorem, i czekają na niego.

No to szybko się przekonają, kim naprawdę jest Wiggin. I kim nie jest.

I wtedy Morgan usłyszał odgłos biegnących stóp, najpierw z wnętrza promu, potem już na rampie. Wiggin nie mógł wybrać sobie lepszego momentu. Wszystko naprawdę pójdzie bardziej gładko, jeśli tłum będzie mógł na niego patrzeć.

Uwaga tłumu skierowała się na Wiggina. Morgan uśmiechnął się lekko.

- Przedstawiam wam...

Ale go nie słuchali. Wiedzieli, kto to taki. Brawa i krzyki zagłuszyły głos Morgana, mimo wzmacniaczy. Nie musiał zresztą wymieniać nazwiska Wiggina, bo wykrzykiwali je głośno.

Odwrócił się, żeby wykonać powitalny gest, i ze zdumieniem zobaczył, że Wiggin ma na sobie pełny mundur galowy. Baretki odznaczeń były niemal obscenicznie rozległe, przyćmiewając wszystko, co sam miał na piersi. To przecież śmieszne: Wiggin wiedział tylko, że bawi się grami wideo, a tutaj nosi odznaczenia za każdą bitwę tej wojny, razem ze wszystkimi medalami, jakie dostał za zwycięstwo.

W dodatku ten mały drań świadomie go oszukał. Włożył cywilne ciuchy, a potem przebrał się w toalecie, żeby go zepchnąć ze sceny. Czy te mdłości też udawał, żeby zapewnić sobie odpowiednie wejście? Trudno, Morgan będzie uśmiechał się fałszywie, lecz później dzieciak za to zapłaci. Może jednak nie zachowa go jako figuranta.

Ale Wiggin nie zajął miejsca za pulpitem, które wskazywał mu Morgan. Wręczył mu tylko złożoną kartkę papieru, a potem zbiegł po rampie na ziemię - gdzie natychmiast otoczył go tłum.

Okrzyki „Ender Wiggin!” ustąpiły miejsca rozmowom i śmiechom.

Morgan spojrział na kartkę. Po zewnętrznej stronie, ołówkiem, Wiggin napisał: „Pańskie zwierzchnictwo skończyło się w chwili, kiedy prom dotknął gruntu. Pańska władza kończy się u stóp tego pomostu”. I podpisał „Admirał Wiggin” - przypominając mu, że w porcie jest starszy stopniem.

Co za bezczelność... Czy on naprawdę wierzy, że takie roszczenie utrzyma się tutaj, czterdzieści lat świetlnych od Ziemi, kiedy to przecież Morgan dowodzi oddziałem świetnie wyszkolonych marines?

Rozłożył kartkę. To był list. List od polemarchy Bakossiego Wuri i ministra kolonizacji Hyruma Graffa.

Ixa Tolo Ender rozpoznał natychmiast, z opisu Witalija, i podbiegł wprost do niego.

- Ix Tolo! - zawołał. - Tak się cieszę, że mogę cię poznać!

Ale zanim jeszcze uścisnął mu rękę, rozglądał się za starymi ludźmi. Wyszukiwał ich i usiłował rozpoznać młodsze twarze, które starał się zapamiętać, zanim jeszcze statek wystartował.

Na szczęście poprawnie odgadł pierwszego, a potem drugiego, zwracając się do nich stopniem i nazwiskiem. Mówił poważnie - to było pierwsze spotkanie z pilotami, którzy naprawdę walczyli w tej wojnie.

- Jestem dumny, że wreszcie mogę się z wami spotkać - powiedział. - Długo czekałem.

Wszyscy natychmiast zrozumieli, co się dzieje, i cofnęli się, wypychając najstarszych do przodu, by Ender zobaczył wszystkich. Wielu szlochało, ściskając mu rękę; kilka starych kobiet koniecznie chciało go uścisnąć. Próbowali z nim rozmawiać, coś mu powiedzieć, ale on tylko uśmiechał się i unosił dłoń, dając znak: Czekać, muszę przywitać innych.

Uściskał dłonie wszystkim starym żołnierzom, a kiedy czasem błędnie odgadł nazwisko, poprawiali go ze śmiechem.

Za nimi głośniki wciąż milczały. Ender nie miał pojęcia, co Morgan robi z listem, ale musiał cały czas działać tutaj, na ziemi, by nie powstała luka, w którą Morgan mógłby się wcisnąć.

Kiedy przywitał się z ostatnim starym człowiekiem, uniósł rękę i obrócił się w miejscu, dając znak, by wszyscy zebrali się wokół niego. Zresztą już to zrobili i tłum otaczał go całkowicie.

- Są nazwiska, których nie miałem okazji wymienić - powiedział. - Mężczyźni i kobiety, z którymi już się nie spotkam. - A potem z pamięci wyrecytował listę nazwisk ludzi, którzy zginęli w bitwie. - Zbyt wielu poległo. Gdybym wiedział, jaka jest cena moich błędów, mniej bym ich popełniał.

Och, trochę płakali, słuchając tego, nawet jeśli niektórzy odkrzyknęli:

- Jakie błędy?!

Potem Ender przytoczył kolejną listę - kolonistów, którzy zmarli w pierwszych tygodniach od osiedlenia.

- Dzięki ich śmierci, dzięki waszym heroicznym staraniom, powstała ta kolonia. Gubernator Kołmogorow mówił mi, jak tu żyliście, co udało się wam osiągnąć. Byłem jeszcze dwunastoletnim chłopcem na Erosie, kiedy wy prowadziliście wojnę przeciwko chorobom tej planety, i zwyciężyliście bez żadnej pomocy z mojej strony.

Ender uniósł ręce do poziomu twarzy i klasnął.

- Oddaję cześć tym, którzy zginęli w przestrzeni, i tym, którzy umarli tutaj.

Podniósł się gwar.

- Oddaję cześć Witalijowi Kołmogorowowi, który prowadził was przez trzydzieści sześć lat wojny i pokoju! - Brawa. - I Selowi Menachowi, człowiekowi tak skromnemu, że nie mógł

znieść myśli o uwadze, jaką mu z pewnością poświęcę! - Oklaski i śmiechy. - Selowi Menachowi, który nauczy mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć, żeby wam służyć! Ponieważ jestem tutaj, będzie teraz miał czas, żeby wrócić do swojej prawdziwej pracy.

Ryk śmiechu i znowu brawa.

Dopiero teraz z tyłu odezwały się głośniki.

- Mężczyźni i kobiety z kolonii Szekspir, wybaczcie proszę, że się wtrącam. Nie to przewidywał dzisiejszy program.

Ludzie wokół Endera ze zdziwieniem spoglądali na rampę. Morgan mówił uprzejmym, może nawet żartobliwym tonem, ale bez związku z tym, co się działo. Był intruzem na tej ceremonii. Czy nie rozumiał, że Ender Wiggin jest zwycięskim dowódcą, który spotyka się ze swoimi weteranami? I co Quincy Morgan ma z tym wspólnego?

Czy nie przeczytał listu?

Morgan tylko pobieżnie przejrzał list. Był wściekły na Wiggina, że ten wbiegł prosto w tłum. Co on wyprawia? Czy rzeczywiście zna nazwiska tych ludzi?

Ale wtedy zdania listu zaczęły przebijać się do świadomości, więc przeczytał jeszcze raz z pełną koncentracją.

Drogi kontradmirał Morgan,

Były polemarcha Chamrajnagar, zanim przeszedł w stan spoczynku, uprzedził nas o ryzyku, że kiedy już dotrze Pan do kolonii Szekspir, nie w pełni sobie Pan uświadomi ograniczenie natury Pańskich obowiązków. Wziął na siebie pełną odpowiedzialność za takie nieporozumienie, a jeśli się mylił, przepraszamy Pana za podjęte działania. Proszę jednak zrozumieć: byliśmy zmuszeni do zastosowania środków zapobiegawczych na wypadek, gdyby doszedł Pan do błędnego wniosku, że powinien Pan choćby chwilowo przedłużyć sprawowanie władzy na czas pobytu na powierzchni planety. Bardzo się staraliśmy dopilnować, by w wypadku, gdyby zachował się Pan absolutnie poprawnie, nikt oprócz Pana i wiceadmirała Wiggina się nie

dowiedział, jakie działania byliśmy gotowi podjąć w sytuacji, gdyby jednak było inaczej.

Poprawne działanie jest takie: uznaje Pan, że w chwili zejścia na Szekspira wiceadmirał Wiggin staje się gubernatorem Wigginem i sprawuje pełną władzę we wszystkich kwestiach dotyczących kolonii oraz transferu osób i materiałów między kolonią i statkiem. Zachowuje rangę wiceadmirała, tak że poza samym statkiem ma wyższy stopień i może wydawać Panu polecenia.

Wróci Pan na statek, nie schodząc na powierzchnię planety. Nie będzie się Pan spotykał z żadnym mieszkańcem kolonii. Dopilnuje Pan pełnego i uporządkowanego przekazania towarów i osób ze statku do kolonii, dokładnie według specyfikacji gubernatora Wiggina. Wszystkie Pańskie działania powinny być przejrzyste dla dowództwa MF i dla Ministerstwa Kolonizacji, dlatego co godzinę powinien Pan składać ansiblem raporty ze wszystkich działań podjętych w zgodzie z rozkazami gubernatora Wiggina.

Zakładamy, że takie właśnie miał Pan zamiary. Jednakże, z powodu ostrzeżeń polemarchy Chamrajnagara, uwzględniamy też możliwość, że miał Pan całkiem inne plany i że podejmie Pan próbę ich realizacji. Czterdziestoletni dystans, jaki nas dzieli, zmusił nas do podjęcia czynności, które mogą być i będą cofnięte po udanym zakończeniu tej misji i powrocie do prędkości podświetlnej.

Co dwanaście godzin gubernator Wiggin zamelduje się nam holograficznym łączem ansibla, zapewniając o Pańskiej pełnej współpracy. Jeśli nie złoży raportu albo jeśli wyda się nam, że jest w jakimkolwiek stopniu przymuszany, aktywujemy program osadzony obecnie w komputerze Pańskiego statku. Program będzie też uruchomiony przez dowolną próbę korygowania go albo powrotu do wcześniejszego stanu oprogramowania.

Program spowoduje głosowe i holograficzne transmisje do wszystkich ansibli na pokładach Pańskiego statku i promów, przez wszystkie głośniki i monitory komputerowe na Pańskim statku i promach, oraz do każdego ansibla w kolonii Szekspir. Przekazana zostanie informacja, że jest Pan oskarżony o bunt, zakazująca wykonywania Pańskich poleceń i nakazująca aresztowanie Pana i umieszczenie w stazie na cały lot powrotny na Erosa, gdzie stanie Pan przed sądem jako buntownik. Zdajemy sobie sprawę, że jeśli nie planował Pan zachowania innego niż właściwe, samo istnienie tej wiadomości będzie dla Pana obrazą. Żałujemy.

Ale w takim przypadku Pańskie działania zagwarantują, że nikt jej nie zobaczy. A kiedy wróci Pan do prędkości podświetlonej, po udanym zakończeniu swej misji, wiadomość zostanie wyeliminowana z systemów Pańskiego komputera i nie pozostanie żaden ślad jej istnienia. Będzie Pan przyjęty z pełnymi honorami i Pańska kariera będzie się rozwijać dalej, bez najmniejszej szkazy.

Kopię tego listu otrzymał Pański pierwszy oficer, komandor Vlad das Lagrimas, ale nie wolno mu go otwierać, dopóki gubernator Wiggin będzie nam potwierdzał, że postępuje Pan właściwie.

Ponieważ to pierwszy statek kolonizacyjny, który dotarł do miejsca przeznaczenia, Pańskie działania staną się precedensem dla całej MF. Z przyjemnością poinformujemy flotę o Pańskim wzorcowym zachowaniu.

Z poważaniem

Polemarcha Bakossi Wuri

Minister kolonizacji Hyrum Graff

Morgan przeczytał list. Z początku ogarnęła go wściekłość i lęk, stopniowo jednak nastrój się zmieniał. Jak mogli podejrzewać, że planuje cokolwiek innego niż dopilnowanie spokojnego przejścia władzy przez Wiggina? Jak Chamrajnagar śmiał powiedzieć im coś, co wzbudziło podejrzenie, że ma jakiegokolwiek inne zamiary?

Będzie musiał napisać im bardzo stanowczy list, informując o swoim rozczarowaniu tym arbitralnym i całkowicie zbędnym traktowaniem.

Nie, jeśli wyśle list, znajdzie się on w aktach. A jego akta muszą pozostać absolutnie czyste. Przecież będzie spore zamieszanie wokół tego, że jest pierwszym dowódcą statku kolonizacyjnego, który zakończył swoją misję - to na pewno przyspieszy jego karierę.

Musi się zachowywać tak, jakby ten list nie istniał.

Tłum wiwatował. Krzyczeli i klaskali cały czas, kiedy Morgan czytał list. Uniósł głowę i zobaczył, że teraz całkowicie otoczyli Wiggina; nikt nawet nie zwracał uwagi na prom, na rampę, na admirała Morgana. Wszyscy patrzyli na Endera Wiggina w

skupieniu, z oddaniem, gorliwie. Po każdym jego słowie klaskali, śmiali się albo płakali.

Niesamowite, ale kochali go.

Nawet bez tego listu, bez żadnej interwencji ze sztabu MF ani ministerstwa Morgan przegrał walkę o władzę w chwili, kiedy Ender Wiggin pojawił się w galowym mundurze, kiedy powitał weteranów po nazwisku i przywołał pamięć o poległych. Dzieciak wiedział, jak zdobyć ich serca, i zrobił to bez oszustwa ani przymusu. Zadbał o nich na tyle, by nauczyć się nazwisk i zapamiętać twarze. To on prowadził ich do zwycięstwa czterdzieści jeden lat temu - kiedy Morgan dowodził zaopatrzeniem w pasie asteroidów.

Z tego, co wiem, ten list może być czystym blefem, myślał Morgan. Wiggin sam go napisał, żeby odwrócić moją uwagę, gdy dokona tego reputacyjnego przewrotu. Gdybym chciał stanąć mu na drodze, musiałbym działać za jego plecami, podkopać ich zaufanie do niego, zniszczyć go jako gubernatora, tak żebym musiał wkroczyć i...

Znowu zaczęli bić brawo, kiedy Wiggin przywołał nazwisko pełniącego obowiązki gubernatora.

Nie, Morgan nigdy nie zdoła zniszczyć ich zaufania do Wiggina. Oni chcieli, żeby został ich gubernatorem. Dla nich Morgan był nikim. Obcym. Intruzem. Nie należeli już do MF. Nie dbali o autorytet czy rangę. Byli teraz obywatelami kolonii, ale mieli legendę o tym, jak ta kolonia powstała. Wielki Ender Wiggin poprzez swoje zwycięstwo usunął wszystkich formidów z powierzchni tego świata i otworzył go dla tych ludzi, by mogli tutaj zamieszkać. A teraz Wiggin przybył do nich we własnej osobie. To jakby drugie przyjście Chrystusa. Morgan nie miał teraz żadnych szans.

Adiutanci obserwowali go czujnie. Nie wiedzieli, co było w liście, ale podczas czytania jego twarz mogła nie być tak

obojętna, jak by chciał; co gorsza, taka obojętność sama w sobie byłaby silnym przekazem. Dlatego uśmiechnął się do nich.

- No to tyle, jeśli chodzi o nasz scenariusz - powiedział. - Okazuje się, że gubernator Wiggin miał na dzisiaj własne plany. Byłoby miło, gdyby nas o nich poinformował, ale... trudno przewidzieć figle małego chłopca.

Zaśmiali się, bo wiedzieli, że tego od nich oczekuje. Zdawał sobie sprawę, że doskonale rozumieją, co zaszło. Nie znali treści listu, ale widzieli całkowite zwycięstwo Wiggina. Mimo to Morgan zamierzał zachowywać się, jakby tak właśnie wszystko miało się potoczyć. Oni przyłączą się do tego udawania i dyscyplina na statku pozostanie niezagrożona.

Pochylił się do mikrofonu i przemówił przyjaznym, żartobliwym tonem.

- Mężczyźni i kobiety z kolonii Szekspir, wybaczcie, proszę, że się wtrącam. Nie to przewidywał dzisiejszy program.

Zebrani spojrzeli na niego z roztargnieniem, niektórzy nawet poirytowani. I natychmiast znowu zwrócili się do Endera, który patrzył na niego nie z radosnym uśmiechem zwycięstwa, ale z tą samą poważną miną, jaką zawsze prezentował na statku.

Mały sukinsyn... - myślał Morgan. Smarkacz od początku to planował, ale nic nie dał po sobie poznać. Nawet kiedy oglądałem nagrania z jego prywatnej kwatery, widy z córką Dorabelli, nigdy nie przestał udawać. Ani na moment... Dzięki niech będą gwiazdom, że zostaje na tej planecie, a nie wraca, by zostać moim rywalem na drodze do kariery w MF.

- Zajmę wam tylko chwilę - mówił Morgan. - Moi ludzie natychmiast wyładują cały sprzęt, jaki przywieźliśmy, a marines zostaną na miejscu, żeby pomagać gubernatorowi Wigginowi w sposób, jaki uzna za stosowny. Wrócę teraz na statek, aby wypełnić instrukcje gubernatora Wiggina co do

kolejności i czasu transferu materiałów i ludzi na powierzchnię. Moja praca tutaj dobiegła końca. Chciałbym wyrazić uznanie dla waszych dokonań. Dziękuję za uwagę.

Usłyszał grzecznościowe oklaski, ale wiedział, że większość w ogóle go nie słucha. Czekają tylko, aż skończy, żeby wrócić do adorowania Andrew Wiggina.

Co tam... Na statku czeka Dorabella. Ślub z tą kobietą to najlepsze, co w życiu zrobię.

Oczywiście nie miał pojęcia, jak przyjmie wiadomość, że ona i jej córka nie zostaną jednak kolonistkami, że wyruszą z nim w rejs powrotny na Ziemię. Ale jak mogłyby się skarżyć? W tej kolonii żyłyby w ciężkich, prymitywnych warunkach. A jako żona admirała - tego admirała, który pierwszy dostarczył zapasy i osadników do skolonizowanego świata - na pewno Dorabella będzie żyła przyjemnie. Rozkwitnie w towarzystwie - naprawdę jest w tym wspaniała. Co do córki... Może iść na studia i mieć normalne życie. Nie, nie normalne - wyjątkowe, ponieważ pozycja Morgana zagwarantuje jej najlepsze możliwości.

Odwrócił się i szedł już w stronę luku, kiedy usłyszał głos Wiggina.

- Panie admirale! Wydaje mi się, że tutejsi mieszkańcy nie do końca rozumieją, ile pan zrobił dla nas wszystkich. Trzeba im to powiedzieć!

Ponieważ Morgan miał świeżo w pamięci treść listu Wurięgo i Graffa, nie mógł nie dostrzec w słowach Wiggina ironii i złośliwości. Miał ochotę iść dalej, jakby nie usłyszał.

Jednak chłopak był gubernatorem, a on musiał pamiętać o własnych podwładnych. Jeśli teraz dzieciaka zignoruje, w oczach oficerów będzie to jak przyznanie się do porażki - i to dość tchórzliwe. Zatem, aby zachować pozycję, odwrócił się i słuchał, co Wiggin ma do powiedzenia.

- Chciałem podziękować, sir, za to, że bezpiecznie nas pan tutaj dostarczył. Nie tylko mnie, ale też kolonistów, którzy dołączają do oryginalnych osadników i tych, którzy w tym świecie się urodzili. Odnowił pan więzy między ojczyzną ludzkości i tymi dalekimi dziećmi ludzkości.

Wiggin znowu zwrócił się do kolonistów.

- Admirał Morgan, jego załoga i ci marines, których tu widzicie, nie przybyli tu, by prowadzić wojnę. Żaden z nich nie zginie z rąk nieprzyjaciela. Ale złożyli wielką ofiarę, taką jak oryginalni osadnicy na tej planecie. Porzucili wszystko, co znali i kochali, odeszli ze swojej przestrzeni i czasu, by znaleźć nowe życie wśród gwiazd. A każdy nowy kolonista na pokładzie zrezygnował ze wszystkiego, co posiadał, licząc na nowe życie między wami.

Koloniści spontanicznie zaczęli klaskać - początkowo kilku, ale wkrótce już wszyscy. Wznosili okrzyki na cześć admirała Morgana, marines, niepoznanych jeszcze kolonistów na statku.

A ten mały Wiggin, niech go licho porwie, zasalutował. Morgan nie miał wyboru, musiał odpowiedzieć tym samym i jak dar od chłopaka przyjąć wyrazy wdzięczności i szacunku kolonistów.

Potem Wiggin podszedł do promu - ale nie po to, by coś jeszcze powiedzieć Morganowi. Zbliżył się do dowódcy oddziału marines i zwrócił się do niego po nazwisku. Czy zdążył się też nauczyć nazwisk członków załogi Morgana i żołnierzy?

- Chciałem, żeby poznał pan swojego odpowiednika - odezwał się Wiggin głośno. - Człowieka, który dowodził marines w oryginalnej ekspedycji.

Podprowadził go do starszego mężczyzny, obaj zasalutowali i po chwili wszystkich żołnierzy nie tylko otoczyli starcy, ale też młodzi.

Morgan zrozumiał, jak niewiele tego, co robi Wiggin, dotyczy

jego. Owszem, pokazał Morganowi jego miejsce. Dokonał tego już w pierwszej minucie, kiedy listem odwrócił jego uwagę, a potem zademonstrował, że oryginalnych osadników zna z nazwiska; zachowywał się - nie bez podstaw - jak dowódca weteranów, który spotyka się z nimi czterdzieści jeden lat po wielkim zwycięstwie.

Ale głównym celem Wiggina było ukształtowanie stosunku tej społeczności do Morgana, marines, do załogi statku i przede wszystkim do nowych kolonistów. I przełamał lody, przywołując świadomość wspólnej ofiary.

I ten dzieciak twierdził, że nie umie przemawiać... Kłamca. Powiedział dokładnie to, co należało powiedzieć. Morgan był przy nim nowicjuszem. Nie, był niezręcznym ignorantem.

Admirał Morgan wrócił do wnętrza promu. Zatrzymał się tylko, by poinformować oficerów, że gubernator Wiggin wyda im polecenia dotyczące rozładunku.

Potem wszedł do toalety, podarł list na drobne kawałki, przeżuł je na masę i wypluł całą grudę do muszli. Smak papieru i tuszu wywołał mdłości; kilka razy musiał walczyć z odruchem wymiotnym, zanim wreszcie się opanował.

Usiadł potem w centrum łączności i zjadł lunch. Nie skończył jeszcze, kiedy komandor porucznik przyprowadził dwójkę miejscowych, którzy przynieśli świeże owoce i warzywa, tak jak przewidział Wiggin. Były bardzo smaczne; potem Morgan zdrzemnął się trochę. Obudził go jeden z adiutantów, informując, że wyładunek dobiegł końca, że wzięli na pokład dużą ilość znakomitej żywności i wodę i że szykują się do startu i powrotu na statek.

- Ten młody Wiggin będzie świetnym gubernatorem, nie sądzi pan? - spytał Morgan.

- Tak, sir, tak uważam.

- I pomyśleć, wydawało mi się, że na początku będzie

potrzebował mojej pomocy... - Morgan się zaśmiał. - No ale muszę zadbać o statek. Wracajmy tam.

Sel obserwował czujnie, jak larwa wsuwa się z powrotem do jaskini. Czy kierowała się ku niemu, czy wracała drogą, którą tu przypełzła? Mógłby to sprawdzić, gdyby się przemieścił, ale wtedy sam ruch mógłby ściągnąć jej uwagę.

- Grzeczna larwa... - szepnął Sel. - Co powiesz na pyszny kawałek suszonego psa?

Sięgnął za plecy, żeby wyjąć żywność, ale ręka trafiła w pustkę. Po zabrał jego plecak.

Ale Sel miał u pasa małą sakiewkę, gdzie nosił własne zapasy jedzenia na każdy dzień marszu. Otworzył ją, wyjął suszone psie mięso i jarzyny, które tam trzymał, i rzucił wszystko w stronę larwy.

Zatrzymała się. Trąciła leżącą na ziemi żywność. Na wypadek, gdyby przesyłanie myślowych obrazów rzeczywiście działało, Sel stworzył wizję jedzenia jako części brzucha umierającego żuka. To magiczne myślenie, tłumaczył sobie, wierzyć, że to, co sobie wyobrażam, może wpłynąć na zachowanie tej bestii. Ale przynajmniej miał czym zająć myśli, kiedy czekał, aż się okaże, czy larwa lubi jedzenie w małych porcjach, czy raczej w dużych i na nogach.

Larwa uniosła się i rzuciła z otwartą paszczą na pożywienie - jak remora przysysająca się do rekina.

Sel potrafiłby sobie wyobrazić, że mniejsze wersje larwy były takimi remorami czepiającymi się większych stworzeń, żeby wysysać im krew. Albo się wgryzać?

Pamiętał te maleńkie pasożyty, które zabijały ludzi na początku istnienia kolonii. Te, dla których odstraszania Sel wymyślił dodatki do krwi.

Ten stwór naprawdę jest hybrydą - w połowie miejscowy, w

połowie pochodzący od organizmów ze świata formidów.

Nie, nie organizmów. Pochodzący od samych formidów. Struktura ciała jest zasadniczo formidoidalna... Trzeba bardzo twórczych i inteligentnych operacji genowych, by skonstruować zdolne do życia stworzenie wyrastające z tak różnego dziedzictwa genetycznego. Rezultatem byłyby pewnie organizm będący na wpół formidem, więc królowe kopców chyba mogły porozumiewać się z nimi myślowo, sterować jak normalnymi formidami. Tyle że wciąż były dostatecznie różne, a zatem niezwiązane tak mocno z królową - dlatego kiedy królowa kopca tego świata zginęła, złote żuki przetrwały.

A może już wcześniej mieli u siebie gatunek, który wykorzystywali do prostych robót, taki ze słabym powiązaniem myślowym z królowymi, i ten właśnie skrzyżowali z pasożytniczymi robakami? W efekcie osobniki miały te niesamowite zęby, które potrafią przegryźć się przez skórę, tkaninę i kości. Ale też były świadome, a przynajmniej prawie. Nadal dawały się kontrolować przez umysł królowej kopca.

Albo mój umysł. Czy larwa nie wróciła na moje wezwanie? Czy może po prostu wolała najpierw zająć się łatwiejszą zdobyczą?

Teraz jednak larwa pochłonięła wszystkie kawałki jedzenia - razem z cienką warstwą kamienia pod nimi. Chyba naprawdę była głodna.

Sel uformował w myślach obraz - tym razem bardziej złożony. Wizja Sela i Po przynoszących do tunelu pożywienie. Karmiących larwę. Przedstawił sobie i Po, jak wchodzi i wychodzą z tunelu, jak znoszą jedzenie, dużo jedzenia. Liście. Ziarno. Owoce. Małe zwierzęta.

Larwa podpełzła do niego, ale go okrążyła. Wiła się przy jego nogach. Jak dusiciel? Czy w tym także mogła przypominać węża?

Nie. Nie zaciskała się. Zachowywała się raczej jak kot.

A potem pchnęła go lekko z tyłu. Szturchnięciem skierowała do tunelu.

Stwór zrozumiał. Nastąpiła jakaś śladowa komunikacja.

Sel wszedł do tunelu, schylił się, usiadł i spróbował przesuwać się do wyjścia w taki sam sposób, w jaki tu wszedł.

Larwa wsunęła się za nim i zatrzymała się... Czekala.

Obraz przemknął mu przez głowę; tylko rozbłysk: Sel trzymający się larwy.

Chwycił suchą, przegubową powłokę, a larwa ruszyła naprzód. Starła się nie przygniatać go do ścian, choć od czasu do czasu zaczepiał o występy. To bolało, pewnie krwawił, ale nie złamał żadnej kości, a skaleczenia nie były głębokie. Może hodowano te zwierzęta, by mogły w ten sposób przewozić formidów, kiedy jeszcze żyli. Dla formida uderzenie o skalę nie byłoby problemem.

Larwa się zatrzymała. Ale teraz Sel widział już światło; larwa także. Nie wychodziła na zewnątrz; wycofała się obok Sela w głąb tunelu.

Kiedy Sel wreszcie wyszedł, Po podbiegł do niego i objął mocno.

- Nie zjadła cię!

- Nie, ale podwiozła tutaj.

Po nie był pewien, jak to rozumieć.

- Obiecałem, że ją nakarmimy - powiedział Sel. - Daj całą naszą żywność.

Po nie dyskutował. Zaczął wyjmować z plecaka jedzenie, które Sel zbierał do zdjętej z siebie koszuli.

- Na razie to wystarczy.

Cała koszula była już wypchana. Sel z wysiłkiem wsunął się do tunelu. Wkrótce znowu zjawiała się larwa i owinęła wokół niego. Wysypał żywność. Larwa zaczęła jeść łapczywie. Sel

wciąż był dostatecznie blisko otworu, by przykucnąwszy, wyjść na zewnątrz.

- Będzie potrzebne więcej - oznajmił.
- Ale co może jeść taka larwa? - zapytał Po. - Trawę? Krzaki?
- Zjadła jarzyny, które miałem na drugie śniadanie.
- Tutaj raczej nie rośnie nic jadalnego...
- Nic jadalnego dla nas. Ale jeśli się nie pomyliłem, ten stwór jest w połowie rodzimy i prawdopodobnie trawi miejscową roślinność.

Jeśli cokolwiek naprawdę umieli robić, to identyfikować miejscową florę. Po chwili wnosili już do tunelu pełne koszule bulwiastych roślin, na zmianę dostarczając larwie jedzenia.

Morgan zniknął we wnętrzu promu, Ender wydał polecenia, załoga wyładowywała sprzęt, a miejscowi pakowali go na skimmery i przewozili w wyznaczone miejsca. Inni wiedzieli lepiej od Endera, jak to robić, więc dał im wolną rękę. Ix zabrał go do stacji ksenobiologicznej, gdzie wśród sprzętu komunikacyjnego czekał też ansibl Sela.

- Muszę wysłać szybką wiadomość na Erosa - powiedział Ender.

Nadal ją układał, kiedy z radia odezwał się głos młodego Po Tolo.

- Nie, nie jestem twoim ojcem - powiedział Ender. - Zawołam go.

Nie musiał - Ix usłyszał jego głos, prawdopodobnie słyszał też Po przez radio, i zjawił się natychmiast. Ender szybko skończył list, chwytając przy tym sens rozmowy Ixa z synem. Przesyłał wiadomość do Graffa i Wuriego akurat w chwili, kiedy Ix powiedział:

- Będziemy tam szybciej, niż się spodziewasz.
- Potem zwrócił się do Endera.

- Musimy zabrać Skimmer do Sela i Po. Skończyły im się zapasy.

Ender nie mógł uwierzyć, że Sel tak źle zaplanował wyprawę. Ale zanim zdążył zareagować, Ix mówił dalej:

- Znaleźli jakieś stworzenie, hybrydę. Żyje w jaskini. W postaci dorosłej sześcionóg. Duża, glistowata larwa. Potrafi rozgryzać skałę, ale jej nie metabolizuje. Głodowała, więc oddali jej swoją żywność.

- Jest bardzo szlachetnym człowiekiem - stwierdził Ender.

- Skimmer dotrze tak daleko? - zaniepokoił się Ix. - Dwieście kilometrów po nierównym terenie?

- Bez trudu. Ładuje się solarnie, ale normalny zasięg to pięćset kilometrów, bez przerw na uzupełnienie energii.

- Bardzo się cieszę, że dotarliście właśnie teraz.

- To nie przypadek - wyjaśnił Ender. - Sel odszedł z powodu mojego przylotu, zapomniałeś?

- Nie musiał - stwierdził Ix.

- Wiem, ale jak wspomniałem, jest człowiekiem szlachetnym.

W ciągu dwudziestu minut przygotowali dwa załadowane żywnością skimmery. Oprócz doświadczonych marines do pilotowania maszyn Ender zabrał też Ixa. Jechali razem w tej z mniejszym ładunkiem.

Szkoda, że żaden z nowych kseno jeszcze się nie obudził - pewnie mogliby zabić za szansę wybrania się z nimi. Ale wszystko w swoim czasie.

Po drodze Ix przekazał informacje uzyskane od syna.

- Po nie chciał za szybko wyciągać wniosków. To ostrożny chłopak. Ale Sel uważa, że to jakieś genetyczne połączenie gatunku formidoidalnego i miejscowego robaka. Możliwe, że właśnie tego, który próbował wybić nasze pierwsze pokolenie.

- Tego, którego kontrolujecie zastrzykami?

- Teraz mamy już lepsze metody - odparł Ix. - Raczej

zapobiegamy, niż leczymy. Nie mogą się zagnieździć. Wyjściowo kłopot polegał na tym, że byliśmy już silnie skażeni, zanim w ogóle wiedzieliśmy, że taki problem istnieje. Trzeba je było usuwać. Ale moje pokolenie już się nie zaraża. Wy też nie. Zobaczycie.

- Zdefiniuj formidoida - poprosił Ender.

- Widzisz, ja sam nie jestem pewny Po i ja nie rozmawialiśmy długo. Ale zgaduję, że chodziło mu o „formidoida” w takim sensie, w jakim mówimy „ssak”, czy nawet „strunowiec”, a nie „humanoid”.

Ender wydawał się trochę rozczarowany.

- Musisz zrozumieć, że mam lekką obsesję na punkcie formidów. To mój stary nieprzyjaciel. Wszystko, co ułatwi mi ich zrozumienie...

Ix nie odpowiedział. Albo zrozumiał, albo nie. Tak czy owak, w tej chwili interesowało go tylko to, że jego syn i jego nauczyciel są gdzieś na pustkowiu, bez żywności, i że dokonali odkrycia naukowego, które odbije się echem na Ziemi i we wszystkich koloniach.

Mając na orbicie tylko jednego satelitę - oryginalny transportowiec - w żaden sposób nie mogli dokonać triangulacji i wyznaczyć pozycji. To stanie się możliwe później, kiedy ludzie Morgana umieszczą sieć satelitów na orbicie stacjonarnej. Na razie musieli polegać na mapach, które wygenerowali przed lądowaniem, i na przekazanym przez Po opisie trasy, którą powinni podążać. Ender był zaskoczony, że chłopak udzielił tak precyzyjnych instrukcji - nie przeoczył żadnego charakterystycznego punktu, żadnego zakrętu. Nie mieli żadnych opóźnień.

Nawet zachowując ostrożność, uzyskali przyzwoity czas. Byli na miejscu pięć godzin po rozmowie z Po. Wciąż jeszcze trwał dzień, choć wkrótce miał się skończyć. Kiedy wjechali do doliny

z wylotami tuneli, Ender z pewnym rozbawieniem odkrył, że machający do nich młody człowiek jest najwyżej rok czy dwa lata starszy od niego. Dlaczego się zdziwił, że Po może dobrze i odpowiedzialnie wykonywać poważną pracę? Przecież sam robił to od lat.

Ix wyskoczył ze skimmera, zanim pojazd się na dobre zatrzymał. Podbiegł do syna i objął go mocno. Ender był wprawdzie gubernatorem, ale tutaj dowodził Ix, wskazując marines miejsca do parkowania i wyładunku. Ender zatwierdził jego polecenia porozumiewawczym mrugnięciem, a potem zaczął pomagać przy pracy. Był już na tyle duży, że ta pomoc się liczyła, choć oczywiście nie mógł zrobić tyle, co każdy z dwóch dorosłych i wyszkolonych mężczyzn. Gawędzili przy pracy, więc Ender poruszył sprawę, o której myślał przez większą część lotu.

- Taki świat... - powiedział. - Chyba trochę wam żal, że musicie znów go opuścić?

- Mnie nie - odparł jeden z nich. - Wszystko tu jest brudne. Poważnie, wolę życie na pokładzie i gówniane jedzenie.

Ale drugi nie odpowiedział, spojrzał tylko na Endera i odwrócił głowę. A więc zastanawiał się nad tym. Nad zostaniem tutaj. To coś, co Ender będzie musiał wynegocjować z Morganem. Byłoby przykre, gdyby fakt, że pokrzyżował admirałowi plany, stał się przeszkodą w opracowaniu jakiegoś sposobu, by niektórzy ludzie z załogi mogli tu zostać. Może jakaś wymiana? Przecież na Szekspirze znajdzie się przynajmniej kilka osób z młodszego pokolenia, które marzą, by opuścić tę malutką wioskę i zobaczyć wielki świat. To była stara morska tradycja... i cyrkowa: w każdym porcie zostawić kilku ludzi, ale dobrać kilku innych, których świerzbą stopy i którzy z rozmarzeniem patrzą w dal.

Tymczasem z niskiego tunelu wynurzył się starszy

mężczyzna, który potrzebował dłuższej chwili, żeby się wyprostować. Zamienił kilka słów z Po i Ixem, którzy zacierali do jaskini, ciągnąc za sobą sanie wyładowane korzeniami i owocami - sanie, których załadunku Ix dopilnował osobiście.

A potem Sel Menach odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął na Endera.

- Ender Wiggin - powiedział. - Witam.

- Po mówił, że zaatakował was tu gigantyczny robak - odrzekł Ender.

Sel zerknął na marines, którzy stali z rękami na kolbach pistoletów.

- Broń nie będzie potrzebna. Mówiąc szczerze, tak naprawdę nie rozmawiamy z tymi stworami, ale rozumiemy najprostsze obrazy.

- Stworami? - powtórzył Ender.

- Kiedy karmiliśmy jednego, zjawiły się dwa następne. Nie wiem, czy to wystarczy na początek hodowli, ale lepsze to niż trafić na gatunek z tylko jednym żywym osobnikiem. Albo żadnym.

- Pojawiło się określenie „formidoid”...

- Nie mam pewności, dopóki nie pobierzemy i nie przeskanujemy materiału genetycznego. Gdyby naprawdę były formidami, to już by nie żyły. Ciało dojrzałych osobników mają skorupy zamiast sierści i endoszkielec. Może nie są nawet tak bliskie formidom, jak nam lemury... choć mogą być bliskie jak szympansy. Ale... - Selowi oczy zaśniły. - Rozmawiałem z jednym. Nie; myślałem do niego. Przesłałem mu obraz, a on odpowiedział. Wysłał mi coś z powrotem. Pokazał, jak może mnie przeciągnąć przez tunel.

Ender spojrzął na porwane, poszarpane ubranie Sela.

- Ciężka jazda.

- Ciężka droga. Jazda była w porządku.

- Wiesz, że przyleciałem tu dla formidów - powiedział Ender.
- Ja też - uśmiechnął się Sel. - Żeby ich zabić.
- Ale teraz po to, żeby ich zrozumieć.
- Myślę, że tutaj znaleźliśmy klucz. Może nie do wszystkich drzwi, ale coś jednak otworzy.

Objął Endera za ramiona i odprowadził na bok. Ender zwykle nie lubił takiego zagrania z ręką na ramionach - w ten sposób jeden człowiek demonstrował wyższość nad drugim. Ale u Sela nie wyczuł takiego zamiaru. To było raczej jak dowód przyjaźni. A nawet wspólnej tajemnicy.

- Wiem, że nie możemy rozmawiać otwarcie - rzekł Sel. - Ale powiedz mi wprost: jesteś gubernatorem czy nie?

- Faktycznym, nie tylko z nazwy - zapewnił Ender. - Groźba została zażegnana, on wrócił na statek i współpracuje, jakby nigdy nie planował nic innego.

- Może i nie - mruknął Sel.

Ender parsknął śmiechem.

- A może ta larwa, którą odkryłeś, przed wieczorem nauczy nas rachunku różniczkowego.

- Byłbym zachwycony, gdyby umiała policzyć do pięciu. Później, już po zmroku, wszyscy siedzieli przy ognisku i jedli świeżą, nietrwałą żywność, którą matka Po przysłała na dzisiejszą kolację. Sel był wylewny, pełen teorii, pełen nadziei.

- Te stworzenia metabolizują złoto i wydalają je w swoich skorupach. Może potrafią tego dokonać z dowolną rudą, a może hodowali osobne podgatunki dla każdego potrzebnego metalu. Może to nie jedyna populacja, która przetrwała. Może uda nam się znaleźć żuki wydobywające żelazo, miedź, cynę, srebro, aluminium... wszystko, czego nam trzeba. Ale jeśli ta grupa stanowi przeciętną, to pewnie znajdziemy i takie, gdzie wszystkie osobniki wymarły, a także inne, liczniejsze. Byłoby zbyt dziwne, gdybyśmy trafili na jedyną ocalałą populację na

planecie.

- Weźmiemy się do tego od razu - postanowił Ender. - Póki wciąż mamy tu marines ze statku, którzy pomogą w poszukiwaniach. Mogą też zabierać... miejscowych, żeby przed odlotem statku nauczyli się prowadzić skimmery jak eksperci.

Ix zaśmiał się głośno.

- O mało nie powiedziałaś „rodowitych” zamiast „miejscowych”.

- Owszem - przyznał bez oporów Ender. - O mało co.

- Nic nie szkodzi - zapewnił Ix. - Formidzi też tutaj nie ewoluowali. Zatem „rodowici” oznacza po prostu „tu urodzeni”, co opisuje mnie i Po... właściwie wszystkich oprócz pradawnych z pokolenia Sela. Rodowici i nowo przybyli... Ale w następnym pokoleniu wszyscy będziemy rodowitymi.

- Uważasz, że takiego określenia powinienem używać?

- Tak, jesteśmy rodowitymi Szekspirianami - zgodził się Ix.

- Ufam, że nie ma jakiejś krwawej inicjacji, żeby być przyjętym do szczepu.

- Nie - uspokoił go Ix. - Biały człowiek przynoszący skimmery zawsze jest mile widziany.

- To, że jestem biały, jeszcze nie znaczy... - Ender dostrzegł rozbawienie Ixa i uśmiechnął się. - Za bardzo się pilnuję, żeby nikogo nie urazić. I w efekcie sam za szybko bywam urażony.

- W końcu się przyzwyczaisz do majowskiego poczucia humoru.

- Nie, nie przyzwyczai się - stwierdził Sel. - Nikomu innemu się to nie udało.

- Wszystkim się udało oprócz ciebie, staruszku - odparował Ix.

Sel śmiał się ze wszystkimi. Potem rozmowa zboczyła na inne tematy. Marines opowiadali o swoim szkoleniu, o życiu na Ziemi i w zaawansowanym technicznie społeczeństwie

obejmującym Układ Słoneczny.

Ender zauważył tęskne spojrzenie Sela i źle je zrozumiał. Kiedy szykowali się już do snu, zapytał:

- Czy myślisz czasem o powrocie? Do domu? Na Ziemię? Sel otrząsnął się energicznie.

- Nie! Co ja bym tam robił? Tutaj są wszyscy i wszystko, co kocham i na czym mi zależy. - A potem znowu posmutniał. - Ale nie mogę przestać myśleć, jaka to szkoda, że nie znalazłem tych tuneli trzydzieści, dwadzieścia, a choćby i dziesięć lat temu. Stale byłem zajęty, stale miałem jakąś pracę w osadzie, lecz zawsze chciałem wyruszyć na wyprawę i gdybym wtedy to zrobił, może żyłoby ich więcej, a mnie zostałoby więcej czasu, żeby je badać. Stracona okazja, mój młody przyjacielu. Cóż, w życiu zawsze czegoś żałujemy.

- Ale cieszysz się, że znalazłeś to teraz.

- Cieszę się - przyznał Sel. - Każdy z nas traci pewne rzeczy, a znajduje inne. Tutaj jest coś, co pomogłem odszukać. I ani o minutę za wcześnie. - Potem się uśmiechnął. - Zauważyłem coś ciekawego. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale... larwa nie zjadła tego złotego żuka, na którego trafiliśmy najpierw, tego, który jeszcze był żywy. A jest naprawdę żarłoczna.

- Jedzą tylko padlinę? - spytał Ender.

- Nie, na żółwie też się rzucały. Nie ziemskie żółwie, ale tak je nazywamy. Larwy lubią żywe mięso. Ale zjedzenie złotego żuka to byłby kanibalizm. Rozumiesz? Generacja ich rodziców. Zjadały ich, bo nie miały nic innego, ale czekały, aż będą martwi. Rozumiesz?

Ender kiwnął głową. Doskonale rozumiał. Szcątkowy szacunek dla żywych. Dla praw innych. Te złote żuki nie są tylko zwierzętami. Nie są też formidami, ale może pozwolą zajrzeć do umysłów formidów - a raczej do umysłów choć trochę podobnych.

Rozdział. 17

To: MinCol@ColMin.gov

From: Gov%ShakespeareCol@ColMin.gov

Subject: Przeprowadźmy spokojną rewolucję

Drogi Hyrumie,

Zostałem tu bardzo ciepło przyjęty jako nowy gubernator, co w dużej mierze zawdzięczam Twojej dalekosiężnej interwencji oraz entuzjazmowi tubylców.

Kolonistów ze statku ściągamy, jak tylko powstają dla nich domy. Rozdzielimy się na cztery osady - oryginalną Mirandę, Falstaffa, Poloniusza i Merkuca. Nazwa Kaliban także wzbudziła pewien entuzjazm, który jednak szybko opadł, kiedy ludzie wyobrazili sobie przyszłą szkołę w tej wiosce i to, jak by wyglądała ich maskotka.

Zdajesz sobie pewnie sprawę, że samodzielne rządy w koloniach są nie do uniknięcia, a im szybciej zostaną wprowadzone, tym lepiej. Choć z pewnością macie dobre chęci i choć to bardzo ważne, by Ziemia wciąż płaciła astronomiczne (gra słów zamierzona) sumy za loty kosmiczne, mając mglistą nadzieję, że inwestycja kiedyś się zwróci, nie ma żadnego sposobu, by MF wmusiła niechcianego gubernatora niechętniej populacji. W każdym razie nie na długo.

Lepiej będzie, jeśli okręty MF będą przybywać ze statusem ambasadorów, żeby wspierać handel i przyjazne stosunki, żeby dowozić kolonistów i zapasy jako rekompensatę za obciążenie, jakie stanowią dla miejscowej gospodarki.

By zastosować się do własnej dobrej rady, zamierzam pracować tu dwa lata jako gubernator i w tym czasie doprowadzić do napisania konstytucji. Przekażemy ją Ministerstwu Kolonizacji nie dla zatwierdzenia - jeśli się nam spodoba, to będzie w końcu nasza konstytucja - ale abyście ocenili, czy możecie polecać Szekspira jako cel dla przyszłych kolonistów. Stąd powinna się brać Wasza władza: możecie zdecydować, czy nowi koloniści mogą się przyłączyć do istniejącej kolonii, czy nie.

Może jakaś komisja regulacyjna mogłaby spotykać się przez ansible, z jednym reprezentantem i jednym głosem z każdej kolonii, by potwierdzać, że jej członkowie są godnymi zaufania partnerami handlowymi. Jeśli jakaś

kolonia powoła rząd nie do przyjęcia, może się spotkać z ostracyzmem, może być odcięta od handlu i dopływu nowych mieszkańców. Nikt jednak nie spróbuje absurdu, jakim jest próba wypowiedzenia wojny (to inna nazwa dla forsowania swojej polityki) planecie, do której lot trwa całe życie.

Czy ten list stanowi deklarację niepodległości? Formalnie nie. To raczej stwierdzenie prostego faktu, że jesteśmy niezależni, czy ogłosimy to oficjalnie, czy też nie. Ci ludzie przetrwali czterdzieści jeden lat wyłącznie o własnych siłach. Chętnie przyjmują sprzęt i nowy materiał rozplodowy (roślinny, zwierzęcy i ludzki), ale bez nich też sobie poradzą.

W pewnym sensie każda z kolonii to hybryda - ludzka z genów i tradycji kulturowych, formidzka z infrastruktury. Formidzi budowali dobrze; nie musimy karczować terenów, szukać ani oczyszczać wody, a ich systemy ścieków przetrwają wieki. Wspaniały pomnik! Nadal nam służą, odprowadzając nasze odchody. Dzięki temu, co przygotowali dla nas formidzi i co osiągnęli tacy naukowcy jak Sel Menach, MF i MinKol nie mają takiej władzy, jaką by mogli mieć.

Mówię to wszystko, mając jednocześnie nadzieję, że osiągniemy kiedyś stan, w którym każda kolonia będzie odwiedzana raz w roku. Zapewne nie za twojego życia ani mojego, ale taki powinien być cel.

Chociaż, jeśli historia może być jakkolwiek wskazówką, ta ambicja za pięćdziesiąt lat wyda się pewnie absurdalnie skromna, a statki będą mogły przylatywać co sześć miesięcy, co miesiąc albo nawet co tydzień, przez cały rok. Obyśmy tego dożyli.

Andrew

Trudno czasem zrozumieć kaprysy dzieci. Kiedy Alessandra ledwie raczkowała, Dorabella tylko cmokała ze zdumienia, co córka próbowała robić. Gdy Alessandra potrafiła już mówić, jej pytania zdawały się wynikiem procesów myślowych tak niepojętych, że Dorabella niemal wierzyła, że dziecko naprawdę przyniosły jej wróżki.

Ale w wieku szkolnym młodzi stają się zwykle rozsądniejsi. Nie dzięki rodzicom czy nauczycielom, tylko dzięki innym dzieciom, które albo wyśmiewają, albo odtrącają dziecko, którego działania i wypowiedzi nie pasują do ich standardu normalności.

A jednak Alessandra zawsze potrafiła ją zaskoczyć. I akurat tę chwilę, kiedy biedak Quincy wciąż przeżywał swoją przegraną w biurokratycznych manewrach z Enderem, wybrała sobie na coś całkiem nierozsądnego.

- Mamo - zaczęła. - Większość śpiących już się zbudziła i odleciała na Szekspira. Od paru dni jestem spakowana. Kiedy lecimy?

- Spakowana? - zdziwiła się Dorabella. - Myślałam, że dostałaś ataku porządkowania. Już chciałam prosić lekarzy, by zbadali, czy nie zaraziłaś się czymś dziwnym.

- Nie żartuję, mammo. Zgłosiliśmy się do kolonii. Jesteśmy w pobliżu kolonii. O jeden kurs promu od celu. Podpisałyśmy kontrakt.

Dorabella wybuchnęła śmiechem. Ale dziewczyna wyraźnie nie miała zamiaru dać się zbyć.

- Moja ukochana córko - rzekła Dorabella. - Jestem teraz mężatką. Wyszłam za admirała, który jest dowódcą tego statku. Gdzie leci statek, leci on. Gdzie leci on, lecę ja. Gdzie lecę ja, lecisz ty.

Alessandra milczała. Wyglądała na gotową do kłótni.

A jednak nie zaczęła się kłócić.

- No dobrze, mammo. Więc przez najbliższe lata czeka nas czyste życie pod dachem.

- Mój drogi Quincy mówił, że naszym kolejnym celem jest inna kolonia, leżąca o wiele bliżej niż Ziemia. Najwyżej kilka miesięcy lotu.

- Dla mnie bardzo męczących - poskarżyła się Alessandra. - Tutaj zostaną wszyscy ciekawi ludzie.

- To znaczy Ender Wiggin, jak rozumiem - stwierdziła Dorabella. - Tak bardzo liczyłam, że uda ci się zainteresować sobą tego niezwykłego młodego człowieka z widokami na przyszłość. Ale postanowił chyba nas odepchnąć.

Alessandra zdziwiła się wyraźnie.

- Nas? - powtórzyła.

- To bardzo sprytny chłopak. Wiedział, że zmuszając mojego drogiego Quincy'ego do opuszczenia Szekspira, odsyła także ciebie i mnie.

- O tym nie pomyślałam. W takim razie bardzo jestem zła na niego.

Dorabellę przeszył nagle dreszcz podejrzliwości. Alessandra zbyt spokojnie to wszystko przyjmowała. To do niej niepodobne. A sugestia dziecięcych dąsów na Endera Wiggina była niemal parodią świadomie dziecięcego wróżkowego tonu Dorabelli.

- Co planujesz? - spytała Dorabella.

- Planuję? Jak mogę cokolwiek planować, skoro cała załoga jest zajęta, a marines odlecieli na planetę?

- Planujesz zakraść się na prom bez pozwolenia i odlecieć na powierzchnię planety bez mojej wiedzy.

Alessandra spojrzała na nią tak, jakby uważała, że matka jest szalona. Ale że był to jej normalny wyraz twarzy, Dorabella spodziewała się kłamstwa i córka jej nie rozczarowała.

- Oczywiście, że nie planowałam niczego takiego. Zamierzam dostać twoją zgodę.

- Odmawiam.

- Leciałyśmy tak daleko, mammo... - Teraz w głosie Alessandry odezwało się zwykle nadąsanie, więc może jej argumenty były szczerze. - Chcę przynajmniej odwiedzić ten świat. Chcę się pożegnać z ludźmi, których poznałam w drodze. Chcę zobaczyć niebo. Nie widziałam nieba od dwóch lat.

- Przecież byłaś w niebie - przypomniała Dorabella.

- Bardzo sprytna odpowiedź - przyznała Alessandra. - Dzięki temu moja tęsknota za wyjściem na świeże powietrze całkiem znika. Ot... tak sobie.

Teraz, kiedy Alessandra o tym wspomniała, Dorabella zdała

sobie sprawę, że sama również tęskniła za spacerem pod gołym niebem. Sala gimnastyczna zawsze była pełna marines i członków załogi, a chociaż koloniści też mieli obowiązek chodzić po bieżni przez określony czas, i tak nigdy się nie czuła, jakby szła dokądkolwiek.

- To nie jest takie nierozsądne - uznała.

- Żartujesz...

- To znaczy co? Myślisz, że jest nierozsądne?

- Nie myślałam, że ty uznasz to za rozsądne.

- Jestem urażona - oświadczyła Dorabella. - Przecież też mam ludzkie uczucia. I tęsknię za widokiem chmur na niebie. Mają tam chmury, prawda?

- Skąd mogę wiedzieć, mamo?

- Polecimy razem - zdecydowała Dorabella. - Matka i córka chcą się pożegnać z przyjaciółmi. Nie zrobiliśmy tego, kiedy wyjeżdżaliśmy z Monopoli.

- Nie miałyśmy przyjaciół - przypomniała Alessandra.

- Na pewno miałyśmy i musieli uznać, że to niegrzeczne tak odjechać bez pożegnania.

- Założę się, że dręczy ich to codziennie: „Ciekawe, co się stało z tą niegrzeczną Alessandrą, która zostawiła nas bez słowa pożegnania... czterdzieści lat temu?”.

Dorabella parsknęła śmiechem. Córka miała taki kąśliwy język...

- To znowu moja mądra córeczka wrózek. Tytania nie dorównywała ci złośliwością.

- Szkoda, że nie skończyłaś czytania Shakespeare'a na „Poskromieniu złościcy”.

- Od tylu lat żyłam w „Śnie nocy letniej” i nie miałam o tym pojęcia! To właśnie było dla mnie jak powrót do domu, a nie dotarcie do jakiejś obcej planety.

- No więc ja żyję w „Burzy” - stwierdziła Alessandra. -

Uwięziona na wyspie, z której rozpaczliwie chcę się wydostać.

Dorabella znów się roześmiała.

- Poproszę twojego ojca, żeby pozwolił nam lecieć na którymś z promów i wrócić następnym. Co ty na to?

- Znakomicie. Dziękuję, mammo.

- Chwileczkę - rzuciła Dorabella.

- O co chodzi?

- Za szybko się zgodziłaś. Co kombinujesz? Myślisz, że ci się uda schować gdzieś w lesie i ukrywać, dopóki nie wystartujemy i nie odleczę bez ciebie? No więc ci się nie uda, moja droga. Nie polecę bez ciebie, a Quincy nie poleci beze mnie. Jeśli spróbujesz uciec, marines cię wytropią i przywloką do mnie. Rozumiesz?

- Mammo! Ostatnim razem, kiedy uciekłam, miałam sześć lat!

- Moja droga, uciekłaś ledwie kilka tygodni przed naszym wyjazdem z Monopoli. Opuściłaś lekcje i pojechałaś odwiedzić babcię.

- To nie była ucieczka. Przecież wróciłam.

- Dopiero kiedy odkryłaś, że twoja babcia to wdowa po szatanie.

- Nie wiedziałam, że diabeł nie żyje.

- Skoro był jej mężem, wyobrażasz sobie, że by się nie zabił?

Alessandra parsknęła śmiechem.

Tak się to załatwia. Trzeba określić zasady, ale potem doprowadzić ludzi do śmiechu, żeby z radością dawali sobą rządzić...

- Polecimy na Szekspira, a potem wrócimy do domu, na statek. Statek jest teraz naszym domem. Nie zapominaj o tym.

- Dobrze - obiecała Alessandra. - Ale mammo...

- Tak, kochana magiczna córko?

- On nie jest moim ojcem.

Dorabella przez chwilę nie rozumiała, o czym mowa.

- Kto nie jest twoim czym?
- Admirał Morgan. Nie jest moim ojcem.
- Jestem twoją matką. On jest moim mężem. I jak myślisz, czym go to czyni? Twoim siostrzeńcem?
- Nie... moim... ojcem.
- Och, jak mi smutno... A myślałam, że się ucieszysz moim szczęściem.
- Bardzo się cieszę twoim szczęściem - zapewniła Alessandra. - Ale mój ojciec był prawdziwym człowiekiem, nie królem elfów i nie odtańczył do puszczy, tylko umarł. Każdy, za kogo wyjdiesz, będzie twoim mężem, ale nie moim ojcem.
- Nie wyszłam za każdego, wyszłam za cudownego mężczyznę, z którym na pewno będę miała dzieci, więc jeśli nie uznasz go za ojca, nie braknie mu dziedziców, którym zostawi swój majątek.
- Nie chcę jego majątku.
- W takim razie lepiej znajdź sobie bogatego męża - poradziła jej Dorabella. - Na pewno nie chcesz wychowywać własnego dziecka w takim ubóstwie, jak ja ciebie.
- Po prostu nie nazywaj go moim ojcem.
- Jakoś musisz się do niego zwracać, tak jak ja. Bądź rozsądna, skarbie.
- Więc będę go nazywać Prosperem - zdecydowała Alessandra. - Bo nim właśnie jest.
- Co? Dlaczego?
- Potężny obcy przybysz, który bez reszty nami zawładnął. Ty jesteś Arielem kochającym swego pana. Ja to Kaliban. I chcę tylko się uwolnić.
- Jesteś nastolatką. Wyrośniesz z tego.
- Nigdy.
- Nie ma czegoś takiego jak wolność - oświadczyła Dorabella.
- Ale czasami masz szansę, żeby wybrać sobie pana.

- Bardzo dobrze, mamó. Ty wybrałaś swojego. Ale ja nie.
- Nadal ci się wydaje, że ten młody Wiggin w ogóle cię zauważa.

- Wiem, że tak, ale nie z nim wiązę swoje nadzieje.

- Chciałaś mu się oddać, moja droga, a on cię odrzucił. To było raczej upokarzające, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Alessandra zarumieniła się lekko. Ruszyła do drzwi ich kwatery, ale nagle odwróciła się gwałtownie. Na twarzy miała ból i wściekłość.

- Patrzyłaś! - powiedziała. - Quincy to nagrał, a ty oglądałaś!

- Oczywiście. Gdyby nie ja, to on albo ktoś inny z załogi by to obejrzał. Myślisz, że chciałam, aby któryś z nich gapił się na twoje ciało?

- Posłałaś mnie do Endera i liczyłaś, że będę z nim naga, i wiedziałaś, że to jest nagrywane, i podglądałaś mnie!

- Ale nie byłaś naga, prawda? A nawet gdyby, to co? W latach podcierania ci pupy widziałam twoje nagie ciało od różnych stron, o których nawet byś nie pomyślała.

- Nienawidzę cię, mamó.

- Kochasz mnie, bo zawsze się o ciebie troszczę.

- I Ender wcale mnie nie upokorzył. Ani nie odrzucił. Odrzucił ciebie! Odrzucił to, jak kazałaś mi się zachowywać!

- A gdzie się podziało: „Och, dzięki ci, mamó! Teraz wreszcie zdobędę mężczyznę, którego kocham”?

- Nigdy tak nie mówiłam.

- Dziękowałaś mi, chichotałaś, a potem dziękowałaś znowu. Pozwoliłaś, żebym cię umalowała jak dziwkę, bo chciałaś go oczarować. W którym momencie zmusiłam cię do zrobienia czegoś wbrew twojej woli?

- Powiedziałaś, że muszę to zrobić, jeśli chcę, żeby Ender mnie kochał. Tylko że taki mężczyzna jak Ender nie daje się

nabrać na takie sztuczki jak twoje!

- Mężczyzna? Chyba chłopiec. Jedyne powód, dla którego nie złapał się na te sztuczki, to taki, że pewnie jeszcze nie osiągnął dojrzałości płciowej. O ile w ogóle jest heteroseksualny.

- Sama siebie posłuchaj, mamó - powiedziała Alessandra. - W jednej chwili Ender jest początkiem i końcem świata, najlepszą szansą na wielkiego człowieka, jaką będę miała okazję zdobyć. A w następnej to smarkacz i gej, który mnie zawstydził. Oceniasz go według tego, czy jest dla ciebie przydatny.

- Nie, skarbie. Czy jest przydatny dla mojej małej dziewczynki.

- No więc nie jest - oświadczyła Alessandra.

- O to właśnie mi chodzi - odparła Dorabella. - A jednak strasznie na mnie napadłaś, kiedy to powiedziałam. Może się zdecyduj, mój mały Kalibanie.

W tym miejscu Dorabella wybuchnęła śmiechem, a za nią także Alessandra, całkiem wbrew woli.. Dziewczyna była tak rozgniewana na siebie za ten śmiech - albo na Dorabellę, że ją do śmiechu doprowadziła - że wybiegła z kabiny, trzaskając drzwiami. To znaczy próbowała; pneumatyka wyhamowała je i zamknęły się cicho.

Biedna Alessandra, pomyślała Dorabella. Nic nie idzie tak, jak byś chciała.

Witaj w prawdziwym świecie, moje dziecko. Pewnego dnia zrozumiesz, że skłonienie drogiego Quincy'ego, żeby się we mnie zakochał, to najlepsza rzecz, jaką dla ciebie zrobiłam. Ponieważ wszystko robię dla ciebie. A w zamian chcę tylko, żebyś wypełniała to, co należy do ciebie, i wykorzystywała okazje, jakich ci dostarczam.

Valentine starała się wejść do pokoju normalnie, zachowując

absolutny spokój. Ale była tak zde gustowana zachowaniem Endera, że ledwie mogła się powstrzymać. Chłopak wyraźnie starał się być „dostępny” dla wszystkich nowych kolonistów i dawnych osadników - odpowiadał na pytania, gawędził o sprawach, których przecież nie mógł pamiętać z tych półgodzinnych rozmów sprzed dwóch lat, kiedy był tak zmęczony, że ledwie mówił. A jednak kiedy szukał go ktoś, z kim łączył go prawdziwy osobisty związek, jakoś nie można go było znaleźć.

To całkiem podobnie do tego, jak wciąż odmawiał napisania do rodziców. Nie, właściwie nie odmawiał. Za każdym razem obiecywał, że napisze. Ale nigdy nie pisał.

Przez dwa lata obiecywał - przez implikację, jeśli już nie słownie - że jeśli ta biedna mała Toscano się w nim zakocha, nie będzie to źle przyjęte. A teraz ona i jej matka wylądowały na planecie, żeby „podziwiać widoki”. Dziewczynę najwyraźniej interesował tylko jeden widok: Ender Wiggin. A jego nigdzie nie było.

Valentine miała tego dosyć. Chłopak może i jest odważny, ale na pewno nie w sytuacji, kiedy pojawia się coś angażującego emocjonalnie, czego tak naprawdę nie chce zrobić. Może uważał, że unikem przekazuje dziewczynie wyraźną wiadomość, ale winien był jej przynajmniej pożegnanie. Nie musiało być czułe, po prostu niech się pożegnają.

Wreszcie znalazła go w pokoju ansibla XB. Pisał coś - prawdopodobnie list do Graffa albo coś równie nieistotnego dla ich życia w tym nowym świecie.

- Aha, siedzisz tutaj - rzekła Valentine. - Twoja arogancja jest niewybaczalna.

Ender spojrzał na nią, z pozoru szczerze zdziwiony. No, tego pewnie nie udawał - pewnie wypchnął dziewczynę z pamięci tak dokładnie, że nie miał teraz pojęcia, o co chodzi siostrze.

- Przeglądasz swoją pocztę! To znaczy, że masz listę pasażerów tego promu.

- Spotkałem się już z nowymi kolonistami.

- Oprócz jednej osoby.

Ender uniósł brew.

- Alessandra nie jest kolonistką.

- Szuka cię.

- Mogła kogokolwiek spytać, gdzie jestem, a by jej powiedzieli. To żadna tajemnica.

- Nie może zapytać.

- W takim razie jak chciała mnie znaleźć?

- Nie udawaj głupiego. Bo ja nie jestem taka głupia, żeby uwierzyć w twoją głupotę, nawet jeśli udajesz takiego głupiego, że nie wiem.

- No dobra, to o głupocie zrozumiałem. Możesz być bardziej konkretna?

- Wybitnie głupi.

- Nie chodzi mi o poziom, kochana siostró.

- Emocjonalnie nieczuły.

- Valentine, czy nie przyszło ci do głowy, że może wiem, co robię? Nie mogłabyś trochę we mnie uwierzyć?

- Uważam, że starasz się uniknąć kłopotliwego emocjonalnie spotkania.

- Więc dlaczego nie ukryłem się przed tobą?

Nie była pewna, czy rozzłościć się jeszcze bardziej za to, że się na niej odgrywa, czy raczej poczuć ulgę, że jednak konfrontację z nią uważa za emocjonalną. Nie była pewna, czy ich więź jest tak silna, by spotkania budziły emocje - przynajmniej z jego strony.

Ender sprawdził godzinę na wyświetlaczu komputera i westchnął.

- Wiesz, twoje wyczucie czasu jest jak zawsze bez zarzutu,

nawet jeśli nie wiesz, o co chodzi.

- Może bym się domyśliła, gdybyś mi dał jakąś wskazówkę.

Ender wstał i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że naprawdę jest od niej wyższy. Owszem, zauważyła, że on rośnie, ale nie zdawała sobie sprawy, że ją wyprzedził.

- Val - powiedział cicho. - Gdybyś obserwowała, co mówię i robię, byłoby dla ciebie oczywiste, co się dzieje. Ale ty nie analizujesz; widzisz coś, co nie wygląda odpowiednio, pomijasz całe myślenie i przeskakujesz prosto do „Ender robi coś źle i muszę go powstrzymać”.

- Myślę! I analizuję!

- Analizujesz wszystko i wszystkich. Dlatego twoja historia Szkoły Bojowej jest taka piękna i prawdziwa.

- Przeczytałeś?

- Dałaś mi ją trzy dni temu. Oczywiście, że przeczytałem.

- Nic nie mówiłeś.

- Pierwszy raz się widzimy, odkąd skończyłem. Val, pomyśl, proszę.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

- Czuć się traktowaną protekcjonalnie to nie to samo co myśleć - powiedział takim tonem, jakby się wreszcie zirytował. Valentine poczuła się trochę lepiej. - Nie osądzaj mnie, dopóki mnie nie zrozumiesz. Nie możesz mnie zrozumieć, jeśli już mnie osądziłaś. Uważasz, że źle traktowałem Alessandrę, ale to nieprawda. Traktowałem ją wyjątkowo dobrze. I mam zamiar uratować jej życie. Ale nie potrafisz mi zaufać, że zrobię to, co właściwe. Nie chce ci się nawet zastanowić, co byłoby właściwe, zanim uznasz, że tego nie robię.

- A co to takiego, o czym myślę, że tego nie robisz, a robisz? Dziewczyna tęskni za tobą...

- To jej uczucia... Nie jej potrzeby. Nie to, co dla niej rzeczywiście najlepsze. Uważasz, że najgorsze, co jej zagraża, to

zranione uczucia.

Valentine poczuła, że sprawiedliwy gniew nagle ją opuszcza.

O jakim zagrożeniu mówił Ender? Jakie potrzeby ma Alessandra poza tym, że potrzebuje Endera? Co Valentine przeoczyła?

Ender objął siostrę i uścisnął, a potem wyszedł z pokoju i z budynku. Valentine nie miała innego wyboru, jak iść za nim.

Szybkim krokiem przeszedł przez trawiasty skwer pośrodku kompleksu badawczego. Były to cztery jednopiętrowe budynki, tutaj pracowała nad biologią i techniką garstka naukowców, dzięki którym funkcjonowały kolonia i koloniści. Teraz jednak, kiedy przybyli nowi, w budynkach roiło się od ludzi. Ender poprosił już kierujących grupami roboczymi, by zmienili trochę priorytety i wznieśli dla naukowców dodatkowe budynki. Odgłosy budowy nie ogłuszały, bo działało niewiele maszyn. Ale głośne polecenia, ostrzeżenia, stukanie siekier i młotków... wszystko razem tworzyło pełen wigoru gwar - odgłos świadomej i oczekiwanej zmiany.

Czy Ender naprawdę wiedział, gdzie będą obie Toscano? Bo rzeczywiście ruszył prosto do odpowiedniego miejsca. I teraz, kiedy Valentine się zastanowiła - kiedy to przeanalizowała - uświadomiła sobie, że Ender czekał na koniec ich wizyty, do chwili, kiedy prom będzie już szykowany do lotu powrotnego. Nie całkiem ostatni prom, ale ostatni, którym nie odleci tłum marines i członków załogi. Ostatni prom mający miejsce dla dodatkowych pasażerów.

Alessandra stała zasmucona u stóp rampy, a matka ciągnęła ją za rękaw i ponaglała, by już wsiadły. Dziewczyna zobaczyła zbliżającego się Endera, wyrwała się matce i pobiegła do niego. Czy jej zachowanie mogłoby być bardziej oczywiste?

Zarzuciła mu ręce na szyję i trzeba przyznać, że objął ją chętnie. Prawdę mówiąc, Valentine trochę się zdziwiła, że

naprawdę z uczuciem przytula policzek. Co chciał w ten sposób pokazać? Co o tym pomyśli ta dziewczyna? Ender, czy naprawdę jesteś tak nieczuły?

Kiedy praktycznie skoczyła mu w ramiona, Ender zrobił krok w tył, by wyhamować jej rozpęd; dopilnował jednak, by jego usta znalazły się blisko jej ucha.

- Szesnaście lat to wiek wystarczający, żeby dołączyć do kolonii bez zgody rodziców - powiedział cicho.

Alessandra odsunęła się i z niemym pytaniem spojrzała mu w oczy.

- Nie - odparł Ender. - Nic nie będzie między nami. Nie proszę cię, żebyś została dla mnie.

- Więc po co prosisz, żebym została?

- Nie proszę. Mówię, co ci wolno. W tej chwili i w tym miejscu mogę cię uwolnić od matki. Nie po to, żeby zająć jej miejsce, żeby kontrolować twoje życie, ale żebyś sama wzięła je pod kontrolę. Pytanie brzmi: czy tego chcesz?

Łzy stanęły w oczach Alessandry.

- Nie kochasz mnie?

- Troszczyć się o ciebie - odparł Ender. - Jesteś dobrym człowiekiem, który nigdy nie zaznał wolności. Twoja matka kieruje wszystkim. Oplata cię opowieściami i w końcu zawsze w nie wierzysz i zawsze robisz to, czego ona chce. Nie wiesz, czego chcesz ty sama. Tutaj, na Szekspirze, to odkryjesz. Tam, z matką i admirałem Morganem, chyba nie dowiesz się nigdy.

Kiwnęła głową, zrozumiała.

- Wiem, czego chcę. Chcę zostać.

- Więc zostań.

- Powiedz jej - szepnęła. - Proszę.

- Nie.

- Jeśli zacznę z nią rozmawiać, znajdzie jakiś powód, aby się

okazało, że jestem głupia.

- Nie musisz jej wierzyć.

- Wzbudzi we mnie poczucie winy. Jakbym to jej robiła coś okropnego.

- Nie robisz. W pewnym sensie ty także jej dajesz wolność. Może urodzić dzieci Morganowi i nie przejmować się tobą.

- Wiesz coś o tym? Wiesz, że będzie miała z nim dzieci?

Ender westchnął.

- Nie mamy teraz czasu na tę rozmowę. Twoja matka tu idzie, spodziewa się, że z nią odleci. Jeśli postanowisz zostać, udzielię ci wsparcia. Jeśli z własnej woli pójdziesz, nie kiwnę palcem, żeby cię zatrzymać.

Po czym odsunął się od niej, właśnie w chwili, kiedy obok stanęła Dorabella.

- Widzę, co on robi - oświadczyła mama. - Obiecuje ci wszystko, co chcesz, żebyś tylko została i była jego... zabawką!

- Mamo - odpowiedziała Alessandra. - Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem, że cokolwiek ci mówił, to kłamstwo. On cię nie kocha.

- Sam mi powiedział, że nie kocha.

Odczuła pewną satysfakcję, widząc jej zdumioną minę.

- Więc co to za uściski? To przytulanie...

- Szepnął mi coś do ucha.

- Co takiego?

- Przypomniał mi tylko coś, o czym już wiedziałam - wyjaśniła Alessandra.

- Powiesz mi na promie, mała księżniczko wrózek, bo zaczynają się już niecierpliwić. Nie chcą, żeby twój ojciec się rozgniewał z powodu ich spóźnienia.

Nie minął jeszcze dzień, odkąd Alessandra prosiła matkę,

żeby nigdy nie nazywała Quincy'ego jej ojcem, a ona znów zaczęła. Zawsze tak było - mama decydowała, jak ma być. Zawsze to Alessandra musiała się zmienić. Czegokolwiek mama sobie życzyła, Alessandra zawsze w końcu się zgodziła, bo tak było łatwiej. Mama pilnowała, żeby postępowanie według jej życzeń zawsze było łatwiejsze.

Sprzeciwiałam się tylko za jej plecami, myślała Alessandra. Kiedy nie patrzyła, kiedy mogłam udawać, że się nie dowie. Żyję w lęku przed nią, chociaż nie jest potworem jak moja babcia. Albo... może jest, lecz nigdy nie sprzeciwiłam się jej tak mocno, żeby się przekonać.

Nie muszę z nią odlatywać. Mogę tu zostać.

Ale Ender mnie nie kocha. Kogo tu mam? Właściwie żadnych przyjaciół. Ludzi, których poznałam w czasie lotu, lecz to raczej znajomi mamy niż moi. Rozmawiali o mnie w mojej obecności, bo mama rozmawiała. Kiedy zwracali się do mnie, to tylko po to, żeby powiedzieć to, co mama kazała im powiedzieć. Nie mam przyjaciół.

Jedynie Ender i Valentine traktowali mnie jak niezależną osobę. A Ender mnie nie kocha.

Dlaczego mnie nie kocha? Jestem ładna, jestem inteligentna... Nie tak inteligentna jak on albo Valentine, ale nikt im nie dorówna, nawet na Ziemi. Wtedy, na statku, mówił, że mnie pożąda. Pragnie mnie, ale nie kocha. Jestem dla niego tylko ciałem, wielkim zerem, a jeśli tu zostanę, przez cały czas wszystko będzie mi o tym przypominać.

- Moja czarodziejska córeczko. - Mama znów chwyciła ją za rękaw. - Chodź ze mną. Będziemy szczęśliwe, wędrując pośród gwiazd. Będziesz się kształcić razem z kadetami, twój ojciec mi to obiecał, a zanim osiągniesz odpowiedni wiek, z pewnością będziemy już na Ziemi, gdzie pójdziesz na prawdziwe studia i znajdziesz sobie prawdziwego mężczyznę zamiast tego

wstrętnego, egoistycznego chłopaka.

Teraz mama praktycznie ciągnęła ją do promu. Zawsze tak było - zawsze dostosowanie się do jej planów wydawało się nieuniknione. Alternatywy zawsze były straszne. Inni ludzie nigdy nie rozumieli Alessandry tak jak mama.

Ale mama wcale nie rozumie, myślała Alessandra. Nie rozumie mnie. Rozumie tę obłąkaną wizję mnie, jaką sobie stworzyła. Wizję swojej magicznej córki podrzuconej przez wróżki.

Alessandra obejrzała się przez ramię, szukając wzrokiem Endera. Tam stoi... Jego twarz nie wyraża niczego. Jak on tak może? Czy nie ma uczuć? Nie będzie za mną tęsknił? Nie zawoła mnie? Nie wstawi się za mną?

Nie. Powiedział, że nie. Powiedział... mój wybór... z własnej woli...

Czy idę z nią z własnej woli?

Ciągnie mnie za sobą, ale przecież nie mocno. Przekonuje mnie przy każdym kroku, a ja idę. Jak szczury podążające za grajkami z Hammelin. Muzyka jej głosu mnie oczarowuje, a ja idę, i nagle znajduję się już... na rampie, zmierzając do wjazdu...

Wracam tam, gdzie przez cały czas będzie mną dyrygować. Gdzie będę rywalką dla dzieci, które urodzi Quincy'emu. W końcu będę przeszkodą. Co się stanie, kiedy ona zwróci się przeciwko mnie? A jeśli nawet nie, to tylko dlatego, że całkowicie się jej podporządkuję, zrobię to, czego chce dla mnie.

Alessandra się zatrzymała.

Dłoń matki ześliznęła się z jej rękawa - naprawdę wcale jej nie trzymała... no może, ale bardzo lekko.

- Córeczko, widziałam, jak się na niego oglądasz. Widzisz? On cię nie chce. Nie woła cię. Nie ma tu nic dla ciebie. Ale tam, wśród gwiazd, będziesz miała moją miłość. Będziesz miała magię naszego cudownego wspólnego świata.

Ale ten ich cudowny świat nie był magiczny; był koszmarem, który mama nazywała magią. A teraz w tym „cudownym świecie” zjawił się ktoś nowy, z kim mama spała i z kim będzie miała dzieci.

Mama okłamuje nie tylko mnie, ale i siebie. Tak naprawdę wcale mnie tam nie chce. Znalazła nowe życie i tylko udaje, że w efekcie nic się nie zmieni. Prawda jest taka, że mama koniecznie musi się mnie pozbyć, żeby cieszyć się własnym szczęściem. Przez szesnaście lat byłam ciężarem przyginającym ją do ziemi. Teraz zdobyła mężczyznę swoich marzeń... no, raczej mężczyznę, który zapewni jej życie z marzeń. A ja stoję jej na drodze.

- Mamo - powiedziała Alessandra. - Nie polecę z tobą.

- Polecisz.

- Mam szesnaście lat. Prawo mówi, że mogę sama decydować, czy dołączyć do kolonii.

- Bzdura.

- To prawda. Valentine Wiggin polecała, choć miała piętnaście lat, a rodzice nie chcieli jej puścić.

- Takich kłamstw ci naopowiadała? Możesz myśleć, że to odważne i romantyczne, ale w efekcie zostaniesz całkiem samotna.

- Mamo, i tak przez cały czas jestem samotna.

Te słowa wstrząsnęły matką.

- Jak możesz tak mówić, ty niewdzięczna smarkulo? Jestem przy tobie. Nigdy nie jesteś samotna.

- Zawsze jestem - odparła Alessandra. - A ty nigdy nie jesteś przy mnie. Jesteś przy swoim ukochanym, anielskim, czarodziejskim dziecku podrzuconym przez wróżki. A to nie ja.

Alessandra odwróciła się i ruszyła rampą w dół.

Usłyszała kroki mamy. Nie, wyczuła je, gdyż pomost drżał lekko od uderzeń stóp.

A potem poczuła, że mama pchnęła ją z tyłu - mocno i brutalnie, aż Alessandra zatoczyła się naprzód.

- No to idź, ty mała dziwko! - wrzasnęła mama.

Alessandra usiłowała odzyskać równowagę, ale poczuła, że się przewraca. Rampa wydawała się taka stroma, uderzy o nią tak mocno, ręce jej nie wyhamują i...

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ułamku sekundy, a potem poczuła, że ktoś chwyta ją od tyłu, a ona, zamiast uderzyć o rampę, pochyła się mocno i prostuje. Ale to nie mama ją przytrzymała - mama wciąż stała kilka kroków za nią.

To był porucznik Akbar z zatroskaną, niespokojną twarzą.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Dobrze! - krzyknęła mama. - Proszę zaprowadzić tego niewdzięcznego bachora do promu!

- Czy chcesz wrócić z nami na statek? - spytał porucznik Akbar.

- Oczywiście, że chce - zapewniła mama, stając u boku porucznika. Alessandra widziała, jak zmienia się jej twarz, przechodząc od trybu wrzaskliwej kobiety, nazywającej ją dziwką i smarkulą, w tryb słodkiej królowej wrózek. - Moja ukochana czarodziejska córka jest szczęśliwa tylko ze swoją matką.

- Chcę tu zostać - powiedziała cicho Alessandra. - Puści mnie pan?

Porucznik Akbar pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Chciałbym zostać razem z tobą. - Po czym stanął na baczność. - Żegnam, Alessandro Toscano. Życzę ci szczęścia na tej dobrej planecie.

- Co ty wygadujesz! Mój mąż postawi cię za to przed sądem polowym! - Mama wyminęła młodego oficera i ruszyła do Alessandry. Jej ręka wyciągnęła się po nią jak koścista ręka

śmierci.

Porucznik Akbar chwycił Dorabellę za przegub.

- Jak śmiesz? - syknęła mu prosto w twarz. - Właśnie podpisałeś swój wyrok śmierci za bunt.

- Admirał Morgan będzie wdzięczny, że powstrzymałem jego żonę od łamania prawa - rzekł Akbar. - Zatwierdzi moją decyzję, by pozwolić wolnej kolonistce skorzystać z jej prawa do wypełnienia kontraktu i pozostania w tej kolonii.

Mama przysunęła twarz do jego twarzy. Alessandra widziała, jak kropelki śliny trafiają do jego ust i nosa, osiadają na brodzie i policzkach. Jednak się nie cofnęła.

- Nie o to chodzi, ty durniu - powiedziała Dorabella. - Chodzi o to, jak próbowałeś mnie zgwałcić w zaciemnionej kabinie na statku.

Przez chwilę Alessandra się zastanawiała, kiedy mogło do tego dojść i dlaczego mama wcześniej nic nie mówiła.

Ale zaraz zrozumiała: nic takiego się nie zdarzyło. Mama groziła Akbarowi kłamstwem. A kłamać potrafiła doskonale - bo wierzyła w swoje kłamstwa.

Akbar tylko się uśmiechnął.

- Lady Dorabella Morgan o czymś zapomina.

- O czym?

- Wszystko jest nagrywane.

Odwrócił Dorabellę i pchnął ją lekko w stronę promu.

Alessandra nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

Mama odwróciła się gwałtownie, z wściekłością. Wyglądała całkiem jak babcia.

- Babcia - powiedziała głośno Alessandra. - Myślałam, że została na Ziemi, ale popatrz, przywiozłaś ją ze sobą.

To były najokrutniejsze słowa, jakie mogła wypowiedzieć. Ale były też prawdziwe; nie powiedziała tego, żeby mamę zranić.

Słowa wyrwały jej się z ust same, kiedy uświadomiła sobie, że tak właśnie jest.

- Żegnaj, mamó - dodała jeszcze. - Miej dużo dzieci z admirałem Morganem. I zawsze bądź szczęśliwa. Życzę ci tego. Szczerze.

A potem pozwoliła, by podporucznik Akbar sprowadził ją z rampy.

Na dole czekał Ender - zbliżył się, kiedy mama ją zagadywała, a Alessandra nawet tego nie zauważyła. Ale jednak przyszedł po nią.

Z Akbarem zeszli na sam dół i wtedy zauważyła, że Ender nie postawił stopy na rampie.

- Panie poruczniku - powiedział. - Myli się pan co do admirała Morgana. Uwierzy jej, choćby po to, żeby ją uspokoić.

- Obawiam się, że ma pan rację - zgodził się młody oficer. - Ale co mogę zrobić?

- Może pan zrezygnować ze stanowiska. Zarówno w czasie rzeczywistym, jak i relatywistycznym okres pańskiej służby już minął.

- Nie mogę zejść z pokładu w trakcie rejsu.

- Nie jest pan w trakcie rejsu. Jest pan w porcie znajdującym się pod władzą Hegemonii, reprezentowaną przeze mnie, czyli gubernatora.

- On na to nie pozwoli - westchnął Akbar.

- Pozwoli - uspokoił go Ender. - Będzie posłuszny regułom prawa, ponieważ to właśnie prawo daje mu całkowitą władzę w czasie lotu. Jeśli naruszy je, by działać przeciwko panu, ktoś może je naruszyć, by wystąpić przeciw niemu. On o tym wie.

- A gdyby nie - dokończył Akbar - to właśnie go pan poinformował.

Dopiero wtedy Alessandra uświadomiła sobie, że ich słowa nadal są rejestrowane.

- Istotnie - przyznał Ender. - A więc nie grożą panu konsekwencje za sprzeciwienie się pani Morgan. Pańskie działania były całkowicie uzasadnione. Tutaj, w mieście Miranda, będzie pan traktowany z szacunkiem należnym prawemu człowiekowi. - Odwrócił się i szerokim gestem wskazał całą osadę. - Miasteczko jest bardzo małe. Ale spójrzcie, o ile większe niż statek.

To prawda. Alessandra spostrzegła to po raz pierwszy. Tu mogłaby uciec od ludzi, gdyby miała ich dosyć. Mogła wykroić przestrzeń dla siebie, mówić słowa, których nikt nie usłyszy, myśleć własne myśli.

Dokonałam właściwego wyboru.

Podporucznik Akbar zszedł z pomostu. Alessandra również. Na rampie mama coś wrzasnęła, lecz Alessandra nie zrozumiała.

Nie musiała ich rozumieć. Nie musiała słuchać. Nie żyła już w świecie mamy.

Rozdział. 18

To: Gov%ShakespeareCol@ColMin.gov

From: MinCol@ColMin.gov

Subject: Niespodziewani koloniści

Drogi Enderze,

Cieszę się, słysząc, że w kolonii Szekspir wszystko układa się pomyślnie. Udana asymilacja nowych osadników nie wszędzie poszła równie dobrze; zgodziliśmy się też na petycję gubernatora Kolonii IX, żeby jednak nie przysyłać im kolonistów - ani nowego gubernatora. Krótko mówiąc, ogłosili się jeszcze bardziej niezależnymi niż Wy. (Twoja deklaracja, że Szekspir nie przyjmie już gubernatora z zewnątrz, była cytowana jako akt, który skłonił ich do podjęcia decyzji, czy w ogóle chcą nowych kolonistów. Czyli w pewnym sensie to wszystko Twoja wina, nie sądzisz?).

Niestety, ich deklaracja nadeszła, kiedy miałem już blisko celu statek z kilkoma tysiącami kolonistów, nowym gubernatorem i całą masą zapasów. Wystartowali niedługo po Was. Teraz są trzydzieści dziewięć lat świetlnych od Ziemi, a przyjęcie, na które byli zaproszeni, właśnie zostało odwołane.

Szekspir jest blisko ich trasy; w tej chwili znaleźli się na takiej pozycji, że możemy zacząć hamowanie, wykonać skręt, kiedy tylko będzie to rozsądne, i dostarczyć ich na Twoją planetę mniej więcej za rok.

Ci koloniści będą dla Ciebie obcy. Mają swojego gubernatora - to ktoś, kogo nie znasz i o kim nawet nie słyszałeś. Prawie na pewno byłoby najlepiej, gdyby założyli własną osadę, korzystali z Waszych rad, pomocy medycznej i zapasów, ale rządzą się samodzielnie.

Ponieważ już podzieliłeś swoją kolonię na cztery osady, to ich piąta będzie większa od Twoich. Asymilacja będzie o wiele trudniejsza niż po przylocie Twojego statku, sugeruję więc raczej federację dwóch kolonii niż przyłączenie ich do Twojej. Albo, jeśli wolisz, federację pięciu miast, choć przewaga starych kolonistów nad nowymi w stosunku cztery do jednego także będzie w takiej federacji źródłem napięć.

Jeśli powiesz, żeby ich nie przysyłać, dostosuję się. Mogą latać w kółko, nawet jeśli większą część załogi trzeba będzie umieścić w stazie, dopóki któraś z terraformowanych obecnie planet nie będzie dla nich gotowa.

Ale jeżeli ktokolwiek może się przystosować do tej sytuacji i skłonić swoją kolonię do przyjęcia nowych ludzi, to tylko Ty.

Dołączam pełną dokumentację, w tym akta osobowe i manifest ładunkowy.

Hyrum

To: MinCol@ColMin.gov

From: Gov%ShakespeareCol@ColMin.gov

Subject: Re: Niespodziewani koloniści

Drogi Hyrumie,

Znajdziemy odpowiednią lokalizację i przygotujemy mieszkania, zanim przybędą. Umieścimy ich w pobliżu miasta formidów, żeby mogli korzystać z ich technologii i uprawiać ich pola, tak jak my. A że dałeś nam roczne wyprzedzenie, mamy dość czasu, żeby ich sady i pola obsiać zaadaptowaną dla ludzi lokalną roślinnością i genetycznie uzdatnionymi ziemskimi uprawami. Mieszkańcy Szekspira przegłosowali to i entuzjastycznie podchodzą do projektu. Wyruszę niebawem, by znaleźć odpowiednie miejsce.

Andrew

Przez całe jedenaście lat życia Abry zaszło tylko jedno ważne wydarzenie: przybycie Endera Wiggina.

Do tego czasu wszystko było pracą. Od dzieci oczekiwano, że będą robić to, co potrafią, a Abra pechowo urodził się ze sprawnymi rękami. Potrafił rozwiązywać i zawiązywać węzły, zanim jeszcze nauczył się układać zdania. Wiedział, jak działają maszyny, a kiedy miał już dość siły, aby używać dorosłych narzędzi, potrafił je naprawiać albo przerabiać. Rozumiał przepływ energii przez metalowe części. Zawsze zatem miał jakieś zajęcie, choć inne dzieci mogły się bawić.

Jego ojciec, Ix, był dumny z syna, więc Abra też był z siebie dumny. Cieszył się, że jest dzieckiem, które wzywają do dorosłych prac. Był o wiele mniejszy niż jego starszy brat Po, który pojechał kiedyś z wujkiem Selem i znalazł złote żuki; ale to Abre wysłali, aby pomógł zbudować wózek, którym ludzie wjeżdżali i wyjeżdżali z tej jaskini, wożąc tam jedzenie dla

kolonii żuków, a z powrotem wywożąc złote skorupy.

Abra jednak spoglądał tęsknie na dzieci w swoim wieku (nie mógł nazywać ich przyjaciółmi, ponieważ zbyt mało czasu spędzał w ich towarzystwie), jak biegną do jeziora, wspinają się na drzewa w sadzie albo strzelają do siebie z drewnianych karabinów.

Tylko jego matka, Hannah, to widziała. Czasem zachęcała go, aby poszedł z innymi dziećmi i zostawił to, czym się akurat zajmował. Lecz było już za późno. Tak jak mały ptak, którym opiekuje się dziecko i w efekcie ma na sobie zapach człowieka, Abra został naznaczony swoją pracą z dorosłymi. Dzieci nie miały mu tego za złe. Po prostu nie uważały go za jednego z nich. Gdyby próbował pobiec z nimi, wszystkim wydawałoby się to niewłaściwe, jak gdyby ktoś dorosły się uparł, żeby się z nimi bawić. Wszystko by zepsuł. Zwłaszcza że w głębi serca Abra był przekonany, że nie poradzi sobie z dziecięcymi zabawami. Kiedy był jeszcze mały i próbował budować coś z klocków, płakał, gdy inne dzieci przewracały jego konstrukcje. Ale inne dzieci nie mogły zrozumieć, po co miałyby je budować, jeśli nie po to, aby zobaczyć, jak się rozpadają.

Dlatego przyłot Endera okazał się dla Abry taki ważny: Ender Wiggin był gubernatorem, a jednak był młody, w wieku Po. Dorośli rozmawiali z Enderem, jakby był jednym z nich. Nie - jakby był ważniejszy od nich. Przedstawiali mu do rozwiązania swoje problemy. Dyskutowali przy nim i godzili się z jego decyzją, słuchali jego wyjaśnień, zadawali pytania i akceptowali jego punkt widzenia.

Jestem jak on, myślał Abra. Dorośli radzą się mnie w sprawie maszyn, tak jak konsultują z Enderem inne problemy. Słuchają moich wyjaśnień. Robią to, co im radzę. On i ja mamy podobne losy - nie jesteśmy naprawdę dziećmi. Nie mamy przyjaciół.

Oczywiście Ender miał siostrę, ale ona była strasznym samotnikiem. Tkwiała w domu przez cały dzień, z wyjątkiem porannego spaceru latem i wieczornego spaceru zimą. Podobno pisała książki. Wszyscy dorośli naukowcy pisali różne rzeczy i wysyłali je na inne światy, a potem czytali artykuły i książki, które przysyłano z powrotem. Ale to, co ona pisała, to w ogóle nie była nauka. To była historia, przeszłość. Dlaczego miałyby być ważna, skoro tyle zostało do odkrycia w teraźniejszości? Ender na pewno nie interesował się takimi sprawami. Abra nie potrafił sobie nawet wyobrazić, o czym mogą rozmawiać. „Dzisiaj dałem Lo i Amato zgodę na rozwód”. „Czy to się zdarzyło sto lat temu?”. „Nie”. „To mnie nie obchodzi”.

Abra też miał rodzeństwo. Po dobrze go traktował. Tak jak wszyscy. Ale nie bawili się z nim. Bawili się ze sobą.

I bardzo dobrze. Abra był poważny. Jemu taką samą przyjemność sprawiało naprawianie maszyn, jak innym gry, udawane walki i zapasy. A teraz, kiedy mama powiedziała, że nie musi już chodzić do szkoły i nie będą go cały czas zawstydzają tym, że nie potrafi czytać i pisać, Abra cały wolny czas poświęcał na chodzenie za Enderem.

Gubernator Wiggin od czasu do czasu odzywał się do Abry - to coś tłumaczył, to zadawał pytania. Lecz zwykle po prostu pozwalał, by Abra włókł się za nim, a jeśli inni dorośli, którzy czasem omawiali z nim ważne sprawy, spoglądali na Abre, jakby chcieli zapytać, co to dziecko tu robi, Ender ignorował te bezgłośnie pytania. Wkrótce wszyscy zachowywali się tak, jakby chłopca tam nie było.

Więc kiedy Ender wyruszał na swoją wyprawę, by znaleźć odpowiednie miejsce dla nowej kolonii, nikt nawet nie wątpił, że Abra wyruszy razem z nim. Ojciec jednak wziął Abre na bok i chwilę z nim porozmawiał.

- To wielka odpowiedzialność - powiedział. - Masz nie robić

niczego niebezpiecznego. Jeżeli cokolwiek się zdarzy gubernatorowi, twoim pierwszym obowiązkiem jest zawiadomić mnie o tym przez telefon satelitarny. Wyznaczymy wasze miejsce pobytu i natychmiast wyślemy pomoc. Nie próbuj niczego robić sam, dopóki ci nie powiemy. Zrozumiałeś?

Abra zrozumiał, oczywiście. Dla taty Abra jechał tam po prostu jako wsparcie. Mama była trochę mniej pesymistyczna w kwestii jego wartości.

- Nie kłóć się z nim - poradziła. - Słuchaj, a potem dyskutuj.

- Oczywiście, mammo.

- Mówisz „oczywiście”, ale słuchanie ci nie wychodzi. Zawsze wiesz, co ludzie chcą powiedzieć, ale musisz im pozwolić, aby to powiedzieli, bo czasem się mylisz.

Abra pokiwał głową.

- Będę słuchał Endera, mammo.

Przewróciła oczami, chociaż na inne dzieci krzyczała, gdy tak robiły w rozmowie z nią.

- Tak, chyba będziesz. Tylko Ender jest dość mądry, by wiedzieć więcej niż mój Abra!

- Wcale nie wiem wszystkiego, mammo.

Nie umiał jej wytłumaczyć, że dorośli irytują go tylko wtedy, gdy myślą, że rozumieją maszyny, a nie rozumieją. W innych sytuacjach praktycznie się nie odzywał. Na ogół jednak dorośli uważali, że wiedzą, co dolega uszkodzonej maszynie, i na ogół nie mieli racji, a zatem większość rozmów z nimi polegała na poprawianiu ich albo ignorowaniu. O czym jeszcze mogliby rozmawiać oprócz maszyn? A maszyny Abra znał lepiej niż oni. Rozmowy z Enderem prawie nigdy nie dotyczyły maszyn. Dotyczyły wszystkiego i Abra chłonał wszystko.

- Spróbuję zmusić Po i Alessandrę, żeby zaczekali ze ślubem do twojego powrotu - obiecała mama.

- To nieważne - odparł Abra. - Nie muszą czekać. Nie będę

im potrzebny w noc poślubną.

- Czasami twoja buzia aż się prosi o pacnięcie - powiedziała mama. - Dziwne, że Ender jakoś z tobą wytrzymuje. Ten chłopak jest święty. Santo Andre.

- San Ender - poprawił ją Abra.

- Na chrzcie dano mu Andrew - odparła mama.

- Ale imię, które czyni go świętym, to Ender - upierał się Abra.

- Mój syn został teologiem! I uważasz, że wcale nie wiesz wszystkiego! - Pokręciła głową najwyraźniej zniesmaczona.

Abra nigdy nie rozumiał, jak zaczynają się takie dyskusje i dlaczego zwykle kończą się tym, że dorośli kręcą głowami i odwracają się od niego. On brał ich pomysły poważnie (z wyjątkiem tych dotyczących maszyn), więc dlaczego nie mogli względem niego zachowywać się tak samo?

Ender tak robił. A on niedługo spędzi wiele dni, a może tygodni tylko z Enderem Wigginem. Tylko we dwóch.

Załadowali do skimmera zapasy na trzy tygodnie, choć Ender uważał, że wyprawa nie powinna trwać aż tak długo. Po przyszedł się z nimi pożegnać, a Alessandra lgnęła do niego jak grzyb.

- Postaraj się nie przeszkadzać, Abra - powiedział.

- Jesteś zazdrosny, że mnie zabiera, a nie ciebie - odparł chłopiec.

Alessandra odezwała się - gadający grzyb.

- Po nie chce nigdzie wyjeżdżać.

Co znaczyło, że nie może znieść myśli, by opuścić ją choćby na chwilę.

Po zachował obojętną twarz, więc Abra zrozumiał, że wprawdzie jest całkiem *imasen* z powodu tej dziewczyny, ale jednak wolałby wyruszyć z Enderem, niż tu z nią zostawać. Lecz wbrew opinii mamy Abra w ogóle się nie odezwał. Nawet

nie mrugnął do Po. Zachował twarz tak samo obojętną jak brat. To był sposób Majów na wyśmiewanie się z kogoś w jego obecności, ale w taki sposób, by nie być niegrzecznym ani nie doprowadzić do bójki.

Wyprawa okazała się dla Abry niezwykłym doświadczeniem. Z początku, oczywiście, sunęli ponad polami wokół domu - znajomy teren. Potem podążyli drogą do Falstaffu, który leżał na zachód od Mirandy. To także był znajomy teren, ponieważ zameżna siostra Abry, Alma, mieszkała tam razem z mężem, wielkim głupim *eemo* Simonem, który zawsze łaskotał młodsze dzieci, aż się posusiały ze śmiechu, a potem szydził z nich, że moczą się jak maluchy. Abra się ucieszył, że Ender zatrzymał się na krótko, tylko by przywitać naczelnika wioski, a potem bez zwłoki ruszył dalej.

Pierwszej nocy obozowali w osłoniętej od wiatru trawiastej dolince. Nocą nadeszła burza, ale leżeli skuleni w namiocie i bez żadnego namawiania Ender opowiedział o Szkole Bojowej, jak prowadzili grę, jaka była Sala Treningowa, i że tak naprawdę to wcale nie była gra, lecz szkolenie i testowanie ich zdolności dowódczych.

- Niektórzy ludzie rodzą się, by dowodzić - tłumaczył Ender.
- Po prostu myślą w ten sposób, niezależnie od tego, czy chcą dowodzić, czy nie. Inni natomiast rodzą się, pragnąc władzy, ale nie mają żadnych zdolności przywódczych. To smutne.

- Dlaczego ludzie chcą robić coś, co im nie wychodzi?

Abra próbował sobie wyobrazić, że chce zostać naukowcem, chociaż ma kłopoty z czytaniem. To przecież bzdura.

- Dowodzenie to dziwna rzecz - odparł Ender. - Ludzie widzą, że to się dzieje, ale nie mają pojęcia, w jaki sposób.

- Wiem - zgodził się Abra. - Większość ludzi ma tak samo z maszynami. A i tak próbują je naprawiać i tylko bardziej je psują.

- Więc rozumiesz doskonale - rzekł Ender. - Oni nie widzą, co robi przywódca. Widzą tylko, że wszyscy go szanują, więc też chcą mieć ten powszechny szacunek, nie pojmując, co dokładnie trzeba zrobić, by na niego zasłużyć.

- Ciebie wszyscy szanują - zauważył chłopiec.

- A przecież prawie nic nie robię - stwierdził Ender. - Muszę się wiele nauczyć o pracy innych, aby im pomagać, ponieważ nie mam dość własnych zajęć. Przewodzenie kolonii jest zbyt łatwe, by było jedynym zajęciem.

- Łatwe dla ciebie - mruknął Abra.

- Tak przypuszczam. Ale z drugiej strony, nawet gdy wykonuję ich pracę, wciąż pełnię funkcję gubernatora. Ponieważ zawsze staram się poznawać ludzi. Nie możesz przewodzić ludziom, których nie znasz i których nie rozumiesz. Na przykład jeśli podczas wojny nie wiesz, co potrafią twoi żołnierze, jak możesz prowadzić ich do bitwy i mieć nadzieję na zwycięstwo? To samo z wrogiem. Musisz znać wroga.

Abra myślał o tym, leżąc z Enderem w ciemności namiotu. Myślał tak długo, że nawet śnił przez chwilę o Enderze, który siedzi i rozmawia z robalami - tylko nowi nazywali ich formidami - a potem wymienia z nimi gwiazdkowe prezenty. A może tylko sobie to wyobrażał, ponieważ naprawdę nie spał, kiedy szepnął:

- Dlatego tak cię ciekawią złote żuki?

Wydawało się, że Ender myśli o tym samym, gdyż nie udzielił mu jednej z tych niecierpliwych dorosłych odpowiedzi typu: O czym ty mówisz? Wiedział, że Abra wciąż ma w pamięci ich poprzednią rozmowę. Prawdę mówiąc, głos Endera brzmiał sennie i chłopiec zastanawiał się, czy Ender się nie zdrzemnął i pytanie go obudziło. A jednak wiedział, o co chodzi.

- Tak - odparł. - Zrozumiałem królowe kopców tak dobrze, by je pokonać. Ale nie aż tak, by zrozumieć, czemu mi na to

pozwoliły.

- Pozwoliły?

- Niezupełnie... Twardo walczyły, żeby nie dopuścić do mojego zwycięstwa. Ale także zebrały się razem tam, gdzie mogłem je wszystkie zabić w jednej bitwie. Wiedziały, że mam broń, która jest do tego zdolna. Broń, której działanie rozumiały lepiej od nas, ponieważ zdobyliśmy ją od nich. I nadal do końca nie wiemy, jaka nauka za tym stoi. Ale one rozumiały. Jednak zebrały się razem i czekały na mnie. Tego nie rozumiem. No i staram się porozumieć z larwami złotych żuków, żeby zdobyć jakieś pojęcie o tym, jak myślały królowe kopców.

- Po mówi, że nikt nie radzi sobie z tym lepiej od ciebie.

- Naprawdę?

- Twierdzi, że wszyscy inni muszą pracować i pracować, aby przesłać do umysłu złotego żuka choćby najprostszy obraz lub go odebrać, a tobie wyszło za pierwszym razem.

- Nie wiedziałem, że to takie niezwykle - stwierdził Ender.

- Rozmawiają o tym, kiedy cię nie ma. Po zawsze rozmawia z tatą.

- To ciekawe, że innym takie porozumienie przychodzi z trudem - przyznał Ender.

Nie mówił tak, jakby mu to pochlebiało albo jakby udawał skromnego. Naprawdę brzmiało to tak, jakby uważał, że jego talent do rozmów ze złotymi żukami to zwyczajny fakt.

Ale kiedy Abra się nad tym zastanowił, uznał, że to ma sens. Człowiek nie powinien być dumny z tego, że jest dobry w tym, z czym się urodził. To by było równie głupie jak duma z tego, że się ma dwie nogi, mówi językiem albo robi kupę.

A ponieważ był z Enderem, uznał, że może powiedzieć to, co właśnie wymyślił. Ender roześmiał się głośno.

- Masz rację. Coś, czego osiągnięcie wymaga pracy, to inna sprawa. Czemu nie być z tego dumnym? Dlaczego nie miałbyś

się dobrze czuć? Ale coś, z czym się urodziłeś, to po prostu to, jaki jesteś. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli cię zacytuję?

Abra nie był pewien, o co chodzi z cytowaniem. Ender zamierzał napisać pracę naukową? Albo list do kogoś?

- Proszę bardzo - powiedział.

- No więc nietypowo dobrze wychodzą mi rozmowy ze złotymi żukami - kontynuował Ender. - Nie miałem o tym pojęcia. Chociaż to oczywiście nie rozmowa. To jakby pokazywanie, co pamiętają, i dodanie do tego uczuć. Na przykład: oto moje wspomnienie jedzenia, do którego dodają uczucie głodu. Albo ten sam obraz jedzenia i uczucie odrazy lub strachu, co znaczy, że jest zatrute albo im nie smakuje.

- Bez słów - podsumował Abra.

- Właśnie.

- To tak jak ja widzę maszyny. Nie mam słów, żeby to wytłumaczyć ludziom, ale kiedy je widzę, po prostu wiem. Lecz nie sądzę, aby maszyny do mnie mówiły. Żadnych uczuć.

- Może i nie mówią, ale to nie znaczy, że nie słyszysz.

- No właśnie! Tak! Zgadza się! - Abrze łązy stanęły w oczach, chociaż nie wiedział dlaczego. Albo... wiedział. Żaden dorosły nigdy wcześniej nie rozumiał, jakie to uczucie.

- Miałem kiedyś przyjaciela i myślę, że on tak widział bitwy. Ja musiałem wszystko przemyśleć, zrozumieć, jak rozstawione są siły, lecz Groszek po prostu widział. Nawet nie całkiem rozumiał, że inni potrzebują więcej czasu, aby to pojąć, albo wręcz nigdy nie pojmą. Dla niego było to oczywiste.

- Groszek? To imię?

- Był sierotą. Tak go nazwali na ulicy. Dopiero o wiele później odkrył swoje prawdziwe imię. Ludzie, którym na nim zależało, przeprowadzili poszukiwania i odkryli, że został porwany jako embrion. Dokonano w nim zmian genetycznych, aby go przerobić na takiego geniusza.

- Aha, czyli nie był taki naprawdę.

- Nie, Abro. Naprawdę jesteśmy tym, kim zrobili nas nasze geny. Mamy te zdolności, jakie nam dają. I z tym zaczynamy. To, że jego geny zostały ukształtowane świadomie przez uczonego przestępcę, nie znaczy, że są jego genami w mniejszym stopniu niż nasze, ukształtowane przez przypadkowy dobór z genów ojca i matki. Ja też zostałem świadomie ukształtowany. Nie w nielegalnym eksperymencie naukowym, ale przez moich rodziców, którzy dlatego wybrali siebie nawzajem, że oboje byli tacy inteligentni. A potem Międzynarodowa Flota poprosiła, aby spłodzili trzecie dziecko, ponieważ wprawdzie mój starszy brat i siostra okazali się wybitnie inteligentni, ale nie byli całkiem tym, czego potrzebowała MF. Czy to znaczy, że nie jestem naprawdę mną? A kim bym był, gdyby moi rodzice mnie nie spłodzili?

Abra z trudem nadażał za tą rozmową. Trochę go usypiała. Ziewnął.

Ale wtedy Ender wpadł na porównanie, które Abra zrozumiał.

- To tak jakby zapytać, czym byłaby ta pompa, gdyby nie była pompą.

- Głupie pytanie. To jest pompa. Przecież gdyby nie była pompą, nie byłaby niczym.

- Czyli zrozumiałeś.

Abra myślał przez chwilę i szepnął:

- A więc jesteś jak mój ojciec i nie wierzysz, że ludzie mają dusze.

- Nie. Nic nie wiem o duszach. Wiem tylko, że póki żyjemy w naszych ciałach, możemy zrobić to, co one potrafią. Moi rodzice wierzą w dusze. Znałem ludzi, którzy byli absolutnie pewni, że dusze istnieją. Mądrych ludzi. Dobrych ludzi. Dlatego to, że czegoś nie rozumiem, nie daje mi jeszcze pewności, że to coś nie

może być prawdą.

- Tak właśnie mówi tata.

- Widzisz? Czyli on tak naprawdę nie wierzy w brak duszy.

- Ale mama mówi... na przykład, że potrafi spojrzeć mi w oczy i zajrzeć w głąb duszy.

- Może potrafi.

- Tak jak ty możesz zajrzeć do larwy złotego żuka i zobaczyć, o czym myśli?

- Możliwe - odparł Ender. - Tylko ja nie widzę, o czym ona myśli. Widzę jedynie to, co zechce pchnąć do mojego umysłu. A ja próbuję pchnąć myśli do jej umysłu, choć nie sądzę, abym faktycznie je przesyłał. Myślę, że ta zdolność należy wyłącznie do larwy. Wciska mi obrazy do umysłu, a potem zabiera to, co chcę jej pokazać. Ja sam niczego nie robię.

- Jeżeli nic nie robisz, to jak możesz być w tym lepszy od innych ludzi?

- Jeżeli faktycznie jestem lepszy... a pamiętaj, że twój ojciec i Po naprawdę nie mogą tego wiedzieć... to może dlatego, że mam umysł, do którego złoty żuk łatwiej może się dostać.

- Dlaczego? - spytał chłopak. - Dlaczego istota ludzka urodzona na Ziemi miałaby umysł, do którego łatwiej się dostać złotemu żukowi?

- Nie wiem. Przyleciałem na tę planetę, żeby to zrozumieć.

- Przecież nie mogłeś tu przylecieć, aby odkryć, czemu twój umysł jest łatwiej dostępny dla żuków, bo dopóki tu nie przyleciałeś, w ogóle nie wiedziałeś, że jest do tego zdolny!

Ender się roześmiał.

- Nie potrafisz znieść żadnego *kuso*, co?

- Co to jest *kuso*?

- *Mierda* - odparł Ender. - Bzdury.

- Ale dlaczego mnie okłamujesz?

- Wcale nie - zapewnił Ender. - Chodzi o coś takiego...

Podczas wojny miałem na Erosie sny. Nie wiedziałem, że prowadzę wojnę, ale tak było. Miałem jeden sen, gdzie gromada formidów robiła mi wiwisekcję. Ale zamiast rozcinać moje ciało, wycinały raczej moje wspomnienia, wyświetlały je jak hologramy i próbowały zrozumieć. Dlaczego miałem taki sen, Abra? Kiedy wygrałem wojnę i odkryłem, że tak naprawdę walczyłem z królowymi kopców, a nie jedynie z symulacją komputerową czy moim nauczycielem, wróciłem do niektórych snów i zacząłem się zastanawiać. Czy królowe próbowały zrozumieć mnie tak mocno, jak ja próbowałem je zrozumieć? Czy miałem ten sen dlatego, że na pewnym poziomie zdawałem sobie sprawę, że one przedostają się do mojego umysłu, i to mnie przerażało?

- No, no - mruknął Abra. - Ale jeśli potrafiły czytać ci w myślach, to czemu nie potrafiły cię pokonać?

- Ponieważ tych zwycięstw nie miałem w myślach. I to jest dziwne. Musiałem myśleć o tych bitwach, owszem, ale nie widziałem ich tak jak Groszek. Zamiast tego widziałem ludzi. Moich żołnierzy. Wiedziałem, do czego są zdolne te dzieciaki. Dlatego stawiałem ich w sytuacjach, gdzie ich decyzje były kluczowe. Mówiłem, czego od nich oczekuję, a potem ufałem, że podejmą takie decyzje, które doprowadzą do realizacji moich celów. Tak naprawdę nie wiedziałem, co zrobią, zatem wejście do mojego umysłu nigdy nie zdradziłoby królowym kopców, co planuję, ponieważ nie miałem żadnych planów. Nie takich, których mogłyby użyć przeciwko mnie.

- I dlatego myślałeś w taki sposób? Żeby nie mogły poznać twoich planów?

- Nie wiedziałem, że ta gra jest prawdziwa. To wszystko przyszło mi do głowy dopiero potem. Kiedy próbowałem zrozumieć.

- Ale jeśli to prawda, przez cały czas komunikowałeś się z

robalami, formidami, królowymi kopców.

- Nie wiem. Może one próbowały, ale nie mogły tego pojąć. Jestem pewien, że nie wciskały mi niczego do głowy, w każdym razie nie tak wyraźnie, żebym to zrozumiał. A co mogły wziąć z moich myśli? Nie wiem. Może to wszystko się nie zdarzyło. Może tylko śniłem o tym, ponieważ cały czas o nich myślałem. Co bym zrobił, gdybym stanął wobec prawdziwej królowej kopca? Gdyby ta symulacja była prawdziwą bitwą, jak by myślała królowa? Takie rzeczy.

- A co o tym myśli tata? - spytał Abra. - On jest naprawdę mądry i wie teraz o złotych żukach więcej niż ktokolwiek inny.

- Nie rozmawiałem o tym z twoim ojcem.

- Ach. - Abra w milczeniu przetrwał tę wiadomość.

- Abro - odezwał się Ender. - Nie rozmawiałem o tym z nikim.

- Ach. - Chłopiec poczuł się jak porażony zaufaniem Endera. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Śpijmy już. Chcę, żebyśmy o brzasku byli już w drodze. Ta nowa kolonia powinna być o kilka dni drogi, nawet skimmerem. Kiedy już mniej więcej znajdziemy odpowiednią okolicę, muszę wyznaczyć konkretne miejsca na budynki, pola i lądowisko dla promu.

- Może znajdziemy jeszcze jedną jaskinię złotych żuków.

- Może - zgodził się Ender. - A może jakieś inne metale. Jak na przykład ta jaskinia boksytów, którą ty znalazłeś.

- Ale z tego, że wszystkie aluminiowe żuki były martwe, nie wynika, że nie znajdziemy innej z żywymi, prawda? - spytał Abra.

- Mogliśmy znaleźć jedyne, które przeżyły.

- Tato twierdzi, że nie ma na to dużych szans. Byłoby to całkiem nieprawdopodobne, gdyby złote żuki, które przeżyły najdłużej, przypadkiem były tymi, które przypadkiem odkryli

wujek Sel i Po.

- Twój ojciec nie jest matematykiem i nie bardzo rozumie prawdopodobieństwo.

- O czym mówisz?

- Sel i Po znaleźli jaskinię z żywymi larwami złotych żuków, a zatem prawdopodobieństwo, że ją znajdą w tym przyczynowym wszechświecie, wynosi sto procent. Ponieważ to się zdarzyło.

- Aha.

- Lecz ponieważ nie wiemy, ile jest innych jaskiń z żukami ani gdzie są usytuowane, to każda ocena szans ich odkrycia nie ma nic wspólnego z prawdopodobieństwem. To tylko zgadywanie. Nie mamy wystarczających danych, żeby ocenić matematyczne prawdopodobieństwo.

- Wiemy, że była druga - przypomniał Abra. - Więc to nie tak, że niczego nie wiemy.

- Ale z tych danych, które mamy w tej chwili: jedna jaskinia z żywymi złotymi żukami i jedna z martwymi aluminiowymi, jakie możesz wyciągnąć wnioski?

- Że mamy taką samą szansę znalezienia żywych, jak martwych. Tak mówi ojciec.

- Ale przecież to nie jest prawda - zauważył Ender. - Ponieważ w tej jaskini, którą odkryli Sel i Po, te żuki wcale się nie rozwijały. One już prawie wymarły. A w tej drugiej całkiem wymarły. Więc jaka jest szansa?

Abra długo myślał.

- Nie wiem - odparł. - To zależy od tego, jaka duża była każda z tych kolonii i czy wpadły na to, żeby jeść ciała swoich rodziców, jak te złote żuki. I może zależy to jeszcze od innych spraw, o których nie mam pojęcia.

- Właśnie zacząłeś myśleć jak naukowiec - pochwalił go Ender. - A teraz proszę cię, pomyśl jak osoba śpiąca. Jutro też

porozmawiamy.

Podróżowali przez cały następny dzień i dla Abry wszystko wydawało się takie same.

- Co ci nie pasuje w którymś z tych miejsc? - zapytał. - Te... formidy uprawiały tu ziemię i jakoś sobie radziły. A lądowisko mogłoby być tam.

- Za blisko - odparł Ender. - Za mało miejsca, aby nowo przybyli rozwinęli własną kulturę. Tak blisko, że gdyby byli zazdrośni o wioskę Falstaff, mogliby ją przejąć.

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Bo są ludźmi. A w szczególności dlatego, że wtedy mieliby u siebie ludzi, którzy wiedzą wszystko to, co my wiemy, i mogliby robić wszystko, co my robimy.

- Ale to nadal byliby nasi ludzie - stwierdził Abra.

- Nie na długo - odparł Ender. - Teraz, kiedy wioski są oddzielone, falstaffczycy będą myśleć o tym, co jest dobre dla ich wioski. Mogą mieć za złe Mirandzie przekonanie, że powinniśmy nimi rządzić, więc może zechcą się przyłączyć do tych nowych z własnej woli.

Chłopiec zastanawiał się nad tym przez jakieś dziesięć kilometrów.

- A czemu to by było niedobre? - zapytał.

Tym razem Ender musiał chwilę pomyśleć, zanim odpowiedział.

- Ach, pytasz o Falstaff? No cóż, nie wiem, czy byłoby w tym coś złego. Wiem tylko, co chciałbym, aby się zdarzyło. Chciałbym, aby wszystkie wioski, w tym ta nowa, były dostatecznie izolowane, by mogły wytworzyć własne tradycje i kulturę, dostatecznie odległe, aby nie musiały walczyć o te same zasoby, a jednocześnie dość bliskie, aby dopuszczały mieszane małżeństwa i handel. Mam nadzieję, że jest jakaś

taka idealna odległość, która spowoduje, że nie zaczną ze sobą walczyć przynajmniej jeszcze przez długi czas.

- Dopóki ty jesteś gubernatorem, i tak wygramy - stwierdził Abra.

- Nie interesuje mnie, kto wygra. Samo prowadzenie wojny jest straszne.

- Ale nie uważałeś tak, kiedy rozbijałeś formidów.

- Nie - zgodził się Ender. - Kiedy chodzi o przetrwanie ludzkości, nic na to nie poradzisz: zależy ci na wygranej. Ale czemu miałbym się przejmować, która strona wygra w wojnie między kolonistami na tej planecie? Tak czy inaczej, będzie zabijanie, będą straty, ból i nienawiść, gorzkie wspomnienia i załóżki przyszłych wojen. I obie strony będą ludźmi, więc cokolwiek się stanie, ludzie przegrają. I będą stale przegrywać. Abro, czasami się modłę, wiedziałeś o tym? Ponieważ moi rodzice się modlili. Czasami rozmawiam z Bogiem, choć tak naprawdę nic o nim nie wiem. I proszę Go: Niech skończą się wojny.

- Przecież się skończyły - zauważył Abra. - Na Ziemi. Hegemon zjednoczył cały świat i nikt już nigdzie nie walczy.

- No właśnie - odparł Ender. - Wreszcie osiągnęli pokój na Ziemi, więc czy nie byłoby śmieszne, gdybyśmy na Szekspirze znowu zaczęli tę całą wojenną historię?

- Hegemon jest twoim bratem, tak?

- Bratem Valentine.

- Ale to twoja siostra.

- Jest bratem Valentine - powtórzył Ender, a jego twarz przybrała mroczny wyraz i Abra już nie zapytał, o co właściwie mu chodzi.

Trzeciego dnia podróży, kiedy słońce było już mniej więcej o dwie dłonie nad zachodnim horyzontem - czas na ich zegarach i

zegarkach nic nie znaczył, ponieważ były zrobione na Ziemi i wyliczały ziemskie dni, natomiast nikomu nie podobały się różne wersje podziału szekspirowskich dni na godziny i minuty - Ender zatrzymał Skimmer na wzgórzu ponad szeroką dolinę, porośniętą sadami i polami z niezberanym od czterdziestu lat plonem. Na zboczach zauważyli wejścia do tuneli i kominy dowodzące, że prowadzono tu jakąś produkcję.

- Miejsce równie dobre jak każde inne - uznał Ender.

I w ten sposób wybrali lokalizację na nową kolonię. Rozbili namiot, Ender przygotował kolację, a potem razem zeszli do doliny i zajrzeli do paru jaskiń. Oczywiście nie znaleźli żadnych żuków, ponieważ nie było to tego rodzaju miejsce, ale znaleźli maszyny, jakich wcześniej nie widzieli. Abra chciał się natychmiast na nie rzucić i rozpracować, ale Ender go powstrzymał.

- Obiecuję, że ty pierwszy te maszyny obejrzysz, ale nie teraz. To nie jest nasza misja. Musimy wyznaczyć miejsce dla kolonii. Muszę określić, gdzie będą pola, źródła wody, trzeba znaleźć system kanałów formidów i zobaczyć, czy uda się uruchomić generatory. Wszystko to, co robiło pokolenie Sela Menacha dawno temu, przed twoimi narodzinami. Ale już niedługo będziemy mieli czas na maszyny formidów i pozwolą ci bawić się nimi przez całe dni i tygodnie.

Abra miał ochotę prosić jak dziecko, ale wiedział, że Ender ma rację, dlatego zaakceptował jego obietnicę i został z nim do końca wieczornej przechadzki.

Słońce zaszło, zanim wrócili do obozu; kiedy kładli się spać, na niebie pozostał tylko słaby blask. Przed zaśnięciem Ender poprosił Abre, aby opowiedział mu historie, które znał od rodziców, majowskie opowieści ojca i chińskie matki, a także katolickie, które były dla nich wspólne. Trwało to długo, aż wreszcie chłopcu zaczęły się kleić powieki, a potem zasnęli.

Następnego dnia wyznaczili pola, wytyczyli ulice. Wszystko rejestrowali na holomapach na polowym pulpicie Endera. Mapy były automatycznie przesyłane do komputera na orbicie. Abra uznał, że nie warto dzwonić do taty przez telefon satelitarny, bo przecież wszystkie informacje dostanie automatycznie i będzie wiedział, jak im idzie praca.

Później tego popołudnia Ender westchnął:

- Wiesz, to właściwie trochę nudne.
- Naprawdę? - spytał sarkastycznie Abra.
- Nawet niewolnicy mieli czasem trochę wolnego.
- Kto?

Abra obawiał się, że to jest jakaś szkolna wiedza, której nie opanował, gdyż nie potrafił czytać i przez to nie chodził do szkoły.

- Nie masz pojęcia jak jestem szczęśliwy, że nie wiesz, o czym mówię.

No cóż, jeśli Ender był zadowolony, to i Abra był zadowolony.

- Uważam, że przez następną godzinę możemy robić, co chcemy - zdecydował Ender.

- Na przykład co? - spytał Abra.

- Chcesz powiedzieć, że to ja mam decydować, co będzie dla ciebie zabawne?

- A co ty będziesz robił?

- Sprawdzę, czy rzeka nadaje się do pływania.

- To niebezpieczne i nie powinieneś robić tego sam.

- Jeśli utonę, wezwiesz ojca, żeby po ciebie przyjechał.

- Wiesz przecież, że potrafię sam doprowadzić Skimmer do domu.

- Ale sam nie załadujesz mojego ciała - zauważył Ender.

- Nie mów o umieraniu - poprosił chłopiec. Chciał powiedzieć to gniewnie, lecz głos mu drżał i zabrzmiał raczej lękliwie.

- Dobrze pływam - uspokoił go Ender. - Przy okazji sprawdzę wodę, czy się jakoś nie zatruję, i będę pływał tylko tam, gdzie nie ma prądu, zgoda? Jeśli chcesz, możesz popływać razem ze mną.

- Nie lubię pływać. - Abra nigdy się tego dobrze nie nauczył.

- W takim razie nie włącz do żadnych jaskiń i nie majstruj przy maszynach, dobrze? - poprosił Ender. - Ponieważ te maszyny naprawdę są przerażające.

- Tylko dlatego, że ich nie rozumiesz.

- Słusznie - zgodził się Ender. - Ale jeżeli coś się nie uda i to ja będę musiał zawieźć twoim rodzicom twoje okaleczone i popalone ciało?

Abra zaśmiał się głośno.

- Więc ja mogę pozwolić, aby zginął gubernator, ale ty nie możesz pozwolić, aby zginął jeden głupi dzieciak?

- Właśnie tak. Ponieważ ja jestem za ciebie odpowiedzialny, a ty odpowiadasz tylko za meldunek o mojej śmierci, gdyby do niej doszło.

Ender wrócił do skimmera i wydobył zestaw do testowania wody. Abra doskonale wiedział, że i tak trzeba sprawdzić wodę w rzece, więc zrozumiał, że tak naprawdę Ender nie robi sobie przerwy, jedynie daje wolny czas jemu. Ale to może działać w obie strony: Abra wykorzysta ten czas, aby zbadać szczyt przeciwległego grzbietu i zobaczyć, co leży po drugiej stronie. To się przyda. To prawdziwe zadanie, które i tak trzeba wykonać. Więc kiedy Ender będzie sobie pływał w rzece, Abra uzupełni mapę.

Spacer okazał się dłuższy, niż chłopiec przypuszczał. Te dalekie wzgórza wydawały się złudnie bliskie. Jednak im wyżej wchodził, tym łatwiej było zobaczyć miejsce, gdzie był Ender - i faktycznie pływał. Abra nie wiedział, czy on także go widzi. Odwrócił się i pomachał parę razy, lecz Ender nie zareagował,

pewnie dlatego, że Abra wyglądał dla niego jak punkcik, skoro Ender wyglądał jak punkcik dla niego. A może w ogóle nie patrzył w tę stronę, i to też dobrze. Czyli mu uwierzył, że niczego nie popsuje, nie zgubi się i nie zrobi sobie krzywdy.

Na szczycie wzgórza Abra zrozumiał, dlaczego rzeka w dolinie się poszerza - między zboczami stała tama nawadniająca. To rozszerzenie rzeki było tak naprawdę jeziorkiem przed tamą. Jednak różnica poziomów nie była duża, a pewne przelewy zostały otwarte, więc rzeka wpływała nieustannie do trzech kanałów. Jednym z nich było oryginalne łożysko, a pozostałe dwa przenosiły wodę nieco wyższymi torami wzdłuż północnego krańca doliny. Natomiast tutaj, po południowej stronie doliny, kanały były zupełnie puste. Abra się przekonał, jaką różnicę sprawia nawadnianie. Obie strony doliny poniżej tamy pokrywała bujna roślinność, ale po tej wilgotnej stronie rosły drzewa, a po suchej tylko trawa i niskie krzewy.

Kiedy spojrzął na południową, trawiastą stronę, uświadomił sobie, że z pejzażem coś jest nie tak. Powinna to być gładka równina zalewowa, jak ta część doliny za nim, gdzie teraz był Ender. Ale zauważył kilka kopców, a w ich położeniu nie było nic naturalnego.

Musieli je usypać formidzi. Po co?

Zaczął patrzeć uważniej. Tu i tam znajdowały się jeszcze bardziej sztuczne z wyglądu struktury. Nie przypominały normalnych konstrukcji formidów. Było w nich coś nowego i dziwnego, i chociaż porosły je trawa i pnącza, nadal pozostały wyraźnie widoczne.

Abra ruszył w dół zbocza, ale nie biegiem, gdyż nie znał terenu. Nie chciałby zwichnąć sobie nogi i stać się ciężarem dla Endera. Zbliżył się do najbliższego z tych sztucznych kopców. Zbocza były strome, lecz porośnięte trawą, więc łatwo wspiał się

na górę. Dotarł na szczyt i zrozumiał, że kopiec wewnątrz jest pusty i zebrała się w nim woda.

Przeszedł wzdłuż brzegu i odkrył, że z jednego końca dwie krawędzie wydłużają się jak nogi, tworząc poszerzającą się kotlinę między nimi. A kiedy się odwrócił, zauważył też niskie grzbiety, które mogły być rękami, a tam gdzie byłaby głowa, lśniła w słońcu duża biała skała, która wyglądała całkiem jak czaszka.

Ten kopiec ukształtowany był jak człowiek. Nie jak formid - jak człowiek.

Abra poczuł dreszcz lęku, niepewności i podniecenia. Takie miejsce nie mogło istnieć. A jednak istniało.

Usłyszał wołanie. Obejrzał się i zobaczył, że Ender jedzie skimmerem i go szuka. Zamachał rękami.

- Tutaj jestem!

Ender zauważył go i podjechał do podstawy kopca.

- Przyjdź tu - poprosił chłopiec.

A kiedy Ender wdrapał się na zbocze, wyrywając po drodze kilka kęp trawy, ponieważ był większy i więcej ważył, Abra wskazał mu podobną do ciała strukturę sztucznych pagórków.

- Patrz. Trudno uwierzyć.

Najwyraźniej Ender nie widział tego tak jak Abra. Po prostu patrzył i milczał.

- Wygląda, jakby zginął tu olbrzym - mówił chłopiec. - A grunt się podniósł i przykrył trupa.

Usłyszał gwałtowne westchnienie. Tak, teraz Ender zobaczył. Wyjął lornetkę i przyglądał się przez dłuższy czas.

- Niemożliwe - mruknął.

- Co takiego? Co to jest?

Ender nie odpowiadał. Przeszedł wzdłuż pagórka, kierując się w stronę „głowy”. Abra zszedł w dół na szyję, a potem wdrapał się na brodę.

- Ktoś musiał to wszystko zbudować - oświadczył. Poskrobał białą powierzchnię. - Popatrz, ta niby - czaszka to wcale nie skała. To beton.

- Wiem - odparł Ender. - Zbudowali to dla mnie.

- Co?

- Znam to miejsce, Abro. Robale zbudowały je dla mnie.

- Już nie żyli, kiedy przylecieli tu dziadek z babcią - stwierdził chłopiec.

- Masz rację, to niemożliwe. Ale wiem, co mówię. - Ender objął chłopca za ramiona. - Abro, nie powinienem cię ze sobą zabierać.

- Gdzie?

- Tam. - Ender wskazał ręką. - To może być niebezpieczne. Jeśli znali mnie tak dobrze, żeby to wszystko zbudować, to mogli też zaplanować...

- Wyrównanie z tobą rachunków - dokończył chłopiec.

- Za to, że ich zabiłem.

- Więc nie idź, Ender. Nie rób tego, czego się po tobie spodziewali.

- Jeśli chcą się zemścić, Abro, mnie to nie przeszkadza. Ale to nie jest pewne. Może starali się w ten sposób porozumieć. Zostawić mi wiadomość.

- Nie potrafili czytać ani pisać. Nie mieli nawet idei czytania i pisania. Przynajmniej tak mówił mi tata. Więc skąd wiedzieli o zostawianiu wiadomości?

- Może właśnie się uczyli, kiedy zginęli - odparł Ender.

- W każdym razie to pewne jak diabli, że nie będę się tu pętał, kiedy ty gdzieś wyruszasz. Idę z tobą.

Ender wydawał się rozbawiony, gdy Abra powiedział „diabli”. Z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Jesteś za młody, żeby się narażać...

- Daj spokój - przerwał mu Abra z niesmakiem. - Jesteś

Ender Wiggin. Nie będziesz mnie uczył, czego nie mogą robić jedenastoletni chłopcy!

Dlatego pojechali razem skimmerem do pierwszego zestawu tych struktur. Tworzyły je metalowe szkielety, teraz ukryte i podtrzymujące pnącza. Abra zdał sobie sprawę, że to huśtawki i zjeżdżalnie, takie jakie mieli na placu zabaw w Mirandzie. Te w Mirandzie były mniejsze, gdyż służyły małym dzieciom, lecz trudno było się pomylić.

Ale formidzi nie mieli dzieci, mieli larwy. Larwy nie potrzebują huśtawek i zjeżdżalni.

- Zrobili ludzkie zabawki - stwierdził Abra.

Ender kiwnął głową.

- Naprawdę pobierali wspomnienia z twojej głowy - powiedział chłopiec.

- To jedno z wyjaśnień.

Wsiedli do skimmera i pojechali dalej. Wydawało się, że Ender zna drogę. Zbliżali się już do najdalszej budowli. Była to gruba wieża i jakieś niskie mury, wszystko porośnięte bluszczem. Pod szczytem wieży zauważyli okno.

- Wiedziałeś, że tu będzie - uznał Abra.

- To był mój koszmar - odezwał się Ender. - Moje wspomnienie gry fantasy.

Abra nie miał pojęcia, co to takiego „gra fantasy”, ale rozumiał, że to miejsce przedstawiało jeden z tych snów, które formidzi odebrali z głowy Endera, kiedy robili mu wiwisekcję podczas koszmaru.

Ender wysiadł ze skimmera.

- Nie idź za mną. Jeśli nie wrócę za godzinę, to znaczy, że jest tam niebezpiecznie, a ty musisz wrócić do domu i wszystko opowiedzieć.

- Wypchaj się, Ender. Pójdę z tobą. Ender spojrzał na niego chłodno.

- Sam się wypchaj, Abra, bo cię wyłożę do błota.

Słowa były żartobliwe, podobnie jak ton, ale w oczach nie było rozbawienia i Abra wiedział, że Ender mówi poważnie.

Dlatego został przy skimmerze i patrzył. Ender pobiegł do zamku, wspiął się po zewnętrznej ścianie wieży, a potem wszedł do środka przez okno.

Abra czekał i obserwował wieżę bardzo długo. Raz po raz sprawdzał zegar w skimmerze. Potem zaczął się rozglądać. Patrzył na ptaki, owady, małe zwierzęta w trawie i chmury na niebie.

Dlatego nie zauważył, jak Ender wychodzi z wieży. Zobaczył go dopiero, gdy zbliżył się do skimmera. Pod pachą niósł zwiniętą w kłębek kurtkę.

Miał coś pod tą kurtką. Ale Abra nie pytał, co znalazł. Rozumiał, że jeśli Ender zechce, by wiedział, to sam mu powie.

- Nie zbudujemy tu nowej kolonii - powiedział Ender.

- Jasne - odparł Abra.

- Wracajmy zwinąć obóz.

Szukali jeszcze pięć dni na wschód i południe od miejsca, które znaleźli najpierw, aż wreszcie natrafili na dobrą lokalizację. Było to większe osiedle formidów, miało większy areał pól oraz ślady bardziej obfitych opadów.

- To lepsze miejsce - uznał Ender. - Lepszy klimat i bardziej żyzna gleba.

Poświęcili tydzień na wyznaczenie nowej osady.

A potem nadszedł czas, by wrócić do domu. W ostatnią noc leżeli pod gołym niebem, gdyż było zbyt gorąco, żeby spać w namiocie. Wtedy Abra w końcu zapytał. Nie o to, co Ender wyniósł z wieży, o to nigdy by nie spytał. Zadał poważniejsze pytanie:

- O co im chodziło, kiedy budowali to dla ciebie?

Ender milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie powiem ci całej prawdy, Abra. Ponieważ nie chcę, aby ktokolwiek się dowiedział. Nie chcę nawet, aby się dowiedzieli, co tam znaleźliśmy. Mam nadzieję, że wszystko się rozsypie i rozłoży, zanim ludzie znowu tam trafią. A jeśli nawet nie, i tak nikt tego nie zrozumie. W dalekiej przyszłości nikt nie uwierzy, że formidzi to zbudowali. Uznają, że to ślady po ludzkich kolonistach.

- Nie musisz mi mówić wszystkiego - zapewnił Abra. - A ja nikomu nie powiem, co znaleźliśmy.

- Wiem, że nie powiesz - zapewnił go Ender. Znowu się zawahał. - Nie chcę cię okłamywać. Więc powiem ci tylko to, co jest prawdziwe. Znalazłem odpowiedź, Abro.

- Na co?

- Na moje pytanie.

- Czy możesz mi ją podać?

- Nigdy nie zadałeś tego pytania. I mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, jak brzmiało.

- Ale to była wiadomość przeznaczona dla ciebie.

- Tak, Abro. Zostawili wiadomość, w której wytłumaczyli mi, dlaczego zginęli.

- I czemu?

- Nie, Abro. To jest moje brzemie i tylko moje. - Ender uścisnął chłopcu ramię. - Niech nie krążą żadne plotki o tym, co znalazł Ender Wiggin, kiedy przybył tutaj.

- Nigdy nie będą - obiecał Abra.

- Chcesz powiedzieć, że w wieku jedenastu lat jesteś gotów zabrać tę tajemnicę do grobu?

- Tak - odparł chłopiec bez wahania. - Ale mam nadzieję, że nie będę musiał tego robić za szybko.

Ender wybuchnął śmiechem.

- Też mam taką nadzieję. Mam nadzieję, że przed tobą długie, długie życie.

- Zachowam ten sekret przez całe życie. Chociaż tak naprawdę nie wiem co to za sekret.

Ender wrócił do domu, gdy Valentine pracowała nad przedostatnim tomem historii wojen formidów. Ustawił własny pulpit na stole naprzeciwko niej. Spojrzała. Uśmiechnął się - odruchowym mechanicznym uśmiechem - i zaczął pisać.

Nie dała się oszukać. Ten uśmiech był fałszywy, ale radość, którą skrywał, prawdziwa.

Ender był naprawdę szczęśliwy.

Co się stało podczas tej podróży w poszukiwaniu miejsca na nową kolonię?

Nie powiedział. A ona nie pytała. Wystarczało jej, że jest szczęśliwy.

Rozdział. 19

To: jpwiggin%ret@gso.nc.pub, twiggin%em@uncg.edu

To: Gov%ShakespeareCol@MinCol.gov

Subject: Trzeci

Kochani Mamo i Tato,

Na pewne rzeczy nic się nie da poradzić. Dla Was minęło 47 lat milczenia Waszego trzeciego i najmłodszego dziecka. Dla mnie to sześć lat w Szkole Bojowej, gdzie żyłem tylko w jednym celu: aby zniszczyć formidów, potem rok po zwycięstwie, kiedy się dowiedziałem, że dwa razy zabiłem inne dzieci, że zniszczyłem cały inteligentny gatunek, którego chyba nigdy naprawdę nie rozumiałem, i że każdy popełniony przeze mnie błąd kosztował życie mężczyzn i kobiet w miejscach oddalonych o lata świetlne ode mnie; i w końcu dwa lata podróży, w czasie której nawet przez chwilę nie mogłem mówić szczerze ani okazywać swoich uczuć.

Przez cały ten czas próbowałem zrozumieć, co to znaczy, że daliście mi życie. Co to znaczy mieć dziecko ze świadomością, że zobowiązaliście się, by na żądanie oddać je władzom. Czy nie przypomina to trochę bajki o Rumpelstiltskinie? Ale w tej bajce ktoś słyszy przypadkiem to tajne imię, które uwolni rodziców od przyrzeczenia. W naszym przypadku wszechświat nie działał na naszą korzyść i kiedy Rumpelstiltskin przyszedł się upomnieć, oddaliście dziecko. Mnie.

Sam dokonałem wyboru - choć co naprawdę rozumiałem w wieku sześciu lat, trudno dzisiaj zgłębić. Myślałem, że jestem już sobą; nie byłem świadomy żadnych niedostatków moich osądów. Ale teraz, kiedy sięgam pamięcią do tego czasu, zastanawiam się, czemu tak wybrałem. W części była to chęć, by uciec przed prześladowaniami i groźbami Petera, ponieważ Valentine naprawdę nie potrafiła go powstrzymać, a Wy nie mieliście pojęcia, co się dzieje między nami, dziećmi. Częściowo chciałem ocalić ludzi, których znałem, przede wszystkim moją obrończynię Valentine, przed zagrożeniem formidów.

W części była to nadzieja, że okażę się bardzo ważnym chłopcem. W części wyzwanie i nadzieja zwycięstwa we współzawodnictwie z innymi dziećmi, by zostać wielkim dowódcą. W części pragnienie, by opuścić ten świat, w którym każdego dnia mi przypominano, że Trzeci są nielegalni,

niechciani, pogardzani, odbierający ze światowych rezerw więcej, niż się należy ich rodzinie.

W części było to wrażenie, że choć płakaliście (Mama) i awanturowaliście się (Tato), jednak moje odejście pozytywnie wpłynie na życie rodziny. Nie będziecie już ludźmi, którzy mają dodatkowe dziecko, a jednak nie zostali ukarani zgodnie z prawem. Po usunięciu monitora nie byłoby już żadnych widocznych uzasadnień. Wyobrażałem sobie, jak tłumaczycie innym: „Rząd wydał zgodę na jego narodziny, żeby poszedł do szkoły wojskowej, ale kiedy nadszedł czas, on odmówił”.

Żyłem tylko z jednego powodu. I kiedy nadszedł ten czas, uznałem, że nie mam rozsądnego wyboru i muszę zrealizować cel swojego istnienia.

Udało mi się, prawda? Zdominowałem inne dzieci w Szkole Bojowej, chociaż nie byłem najlepszym strategiem (był nim Groszek). Poprowadziłem swój jeesh i - nieświadomie - wielu pilotów do całkowitego zwycięstwa w wojnie, choć znowu w kluczowym momencie to Groszek pokazał mi właściwą drogę. Nie wstydzę się, że potrzebowałem pomocy. Zadanie było zbyt ciężkie dla mnie i zbyt ciężkie dla któregokolwiek z pozostałych dzieci, ale moja rola polegała na dowodzeniu, na wydobyciu z każdego z nich wszystkiego, co w nim najlepsze.

Ale kiedy zwyciężyliśmy, nie mogłem wrócić do domu. Graffa postawili przed sądem. Stosunki międzynarodowe były napięte, bo wszyscy się obawiali, co zrobi Ameryka, kiedy zdobędzie wielkiego wojennego bohatera, by dowodził ich ziemskimi żołnierzami.

Ale przyznaję, że to nie wszystko. Zorientowałem się, że mój brat i siostra piszą eseje, które mają na celu nie dopuścić do mojego powrotu. Motywów Petera mogłem się domyślić, były kontynuacją naszych stosunków w dzieciństwie. Peter nie może żyć na tej samej planecie co ja. A przynajmniej wtedy nie mógł.

To wszystko było dla mnie tajemnicą. Byłem dwunastoletnim chłopcem, od prawie roku na Erosie. Nie mogłem wrócić na Ziemię. Moje rodzeństwo stało po stronie tych, którzy chcieli mi to uniemożliwić. I ani razu w żadnych newsach nie widziałem cytatu czy oświadczenia moich rodziców, proszących wielkich tego świata, żeby pozwolili ich synowi wrócić do domu. Nie słyszałem też o żadnych działaniach z Waszej strony, żeby przylecieć i spotkać się ze mną, skoro ja nie mogłem przylecieć do Was.

Zamiast tego, kiedy już pojawiła się Valentine, otrzymywałem sugestie - od zawołanych po bezpośrednio - że z jakiegoś powodu to ja mam obowiązek do Was napisać. Przez dwa lata naszego lotu - dla Was czterdzieści - Valentine opowiadała mi o korespondencji, jaką z Wami prowadzi. I powtarzała, że powinienem napisać, że muszę napisać. A ja przez cały ten czas wiedziałem, że mogliście bez trudu poznać mój adres i że Wasze listy dotarłyby do mnie tak łatwo, jak docierały do Valentine. A jednak nie otrzymałem od Was żadnej wiadomości.

Czekałem.

Teraz jesteście już dość starzy. Peter ma prawie sześćdziesiąt lat i rządzi światem - wszystkie jego marzenia się spełniły, choć zdaje się, że po drodze przeżył też sporo koszmarów. Z wieści, jakie do mnie docierają, rozumiem, że cały czas staliście przy nim, pracując dla niego i dla jego sprawy. Składaliście wspierające go oświadczenia dla prasy, a w chwilach kryzysu broniliście go naprawdę dzielnie. Byliście wspaniałymi rodzicami. Wiecie, jak się to robi.

A ja nadal czekałem.

Ostatnio poznałem odpowiedzi na wiele pytań, niemających z Wami związku, i uznałem, że to ja jestem odpowiedzialny za połowę milczenia między nami. I postanowiłem, że nie będę dłużej czekać, napiszę. Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego to moim obowiązkiem stało się otworzenie

tych drzwi. W jaki sposób przeskoczyłem bezpośrednio od braku odpowiedzialności sześciolatka do pełnej odpowiedzialności, która najwyraźniej na mnie spadła, by odnowić nasze relacje, kiedy wreszcie stało się to znowu możliwe?

Myślałem: wstydzicie się mnie. Moje „zwycięstwo” zbiegło się ze skandalem związanym z moimi zabójstwami, więc woleliście o mnie zapomnieć. Jakie więc mam prawo, by się upierać, żebyście mnie uznawali? Ale przecież zabiłem Stilsona, kiedy byłem jeszcze dzieckiem żyjącym w Waszym domu. Nie możecie o to winić Szkoły Bojowej. Dlaczego nie wystąpiliście, nie przyjęliście odpowiedzialności za stworzenie mnie i wychowywanie przez te pierwsze sześć lat?

Myślałem: Tak podziwialiście moje wielkie dokonania, że czuliście się niegodni nalegania na przywrócenie kontaktów - tak jak z rodami królewskimi, czekaliście, aż to ja Was zaproszę. Tutaj jednak obserwacja, że nie podziwiacie osiągnięć Petera aż tak bardzo, skoro stoicie przy nim, choć jego dokonania są zdaniem niektórych większe - w końcu doprowadził do pokoju na Ziemi - mówi mi, że podziw nie jest zbyt silną motywacją w Waszym życiu.

Potem pomyślałem: Podzielili rodzinę. Valentine jest współrodzicem i została przydzielona mnie, a siebie przydzielili Peterowi. Inni ludzie zajęli się szkoleniem mnie do ocalania świata, ale kto mógł wyszkolić Petera, kto mógłby go pilnować, kto powstrzymać, jeśli przeliczy się z siłami albo stanie się tyranem? Tam byliście bardziej potrzebni, tam czekała praca Waszego życia. Valentine poświęciła się mnie, a Wy Peterowi.

Ale jeśli tak uważaliście, to ja uważam, że dokonaliście złego wyboru. Valentine jest osobą tak dobrą, jak ją zapamiętałem, i tak samo inteligentną. Ale nie potrafi zrozumieć ani mnie, ani tego, czego mi trzeba, nie zna mnie tak dobrze, by mi zaufać, i to doprowadza ją do szału. Nie jest moją matką ani ojcem, jest tylko moją siostrą, a jednak została wyznaczona - albo sama siebie wyznaczyła - by wziąć na siebie matczyną rolę. Stara się, jak może. Mam nadzieję, że nie jest zbyt nieszczęśliwa z powodu zawartej przez siebie umowy, że odleci ze mną w ten rejs. Ofiara, jaką złożyła, by być ze mną, jest zbyt wielka. Val teraz uważa, obawiam się, że rezultaty dla niej nie są wiele warte.

Nie znam Was, kobiety i mężczyzny po osiemdziesiątce. Znałem młodego mężczyznę i kobietę po trzydziestce, zajętych własnymi niezwykłymi karierami, wychowujących niezwykle dzieci, z których każde

przez pewien czas nosiło w podstawie czaszki monitor MF. Zawsze był ktoś jeszcze, kto mnie pilnował. Zawsze należałem do kogoś innego. Nigdy nie czułem, że jestem w pełni Waszym synem.

A jednak jestem Waszym synem. Wasz ślad jest we mnie, w zdolnościach, które posiadam, w wyborach, których dokonuję, nie zdając sobie sprawy, że wybieram, w moich głębokich uczuciach wobec religii, którą wyznawaliście w tajemnicy, a którą studiowałem, kiedy tylko mogłem. Jesteście wyjaśnieniem wielkiej części tego, co jest niewyjaśnialne.

A moja umiejętność, by całkiem usunąć z umysłu pewne sprawy, odłożyć je na bok, żebym mógł pracować nad innymi projektami, także pochodzi od Was, ponieważ sądzę, że to właśnie učiniliście ze mną. Odłożyliście mnie na bok i tylko wprost o to prosząc, mogę znowu zdobyć Wasze zainteresowanie.

Widziałem wiele bolesnych relacji między rodzicami i dziećmi. Widziałem rodziców, którzy kontrolują, i rodziców, którzy zaniedbują, rodziców, którzy popełniają straszliwe błędy, głęboko raniąc swe dzieci, i rodziców, którzy wybaczą dzieciom straszne czyny. Widziałem szlachetność i odwagę. Widziałem przerażający egoizm i całkowitą ślepotę. I wszystko to widziałem u tych samych rodziców, wychowujących te same dzieci.

Zrozumiałem tyle, że nie ma pracy trudniejszej niż praca rodzica. Nie istnieje ludzki związek z takim potencjałem dla wielkich osiągnięć i strasznych zniszczeń. I mimo wszystkich ekspertów, którzy piszą na ten temat, nikt nie ma pojęcia, czy konkretna decyzja okaże się dla konkretnego dziecka właściwa, najlepsza czy choćby nie całkiem okropna. To praca, jakiej zwyczajnie nie da się wykonać poprawnie.

Z powodów, na które naprawdę nie mieliście wpływu, stałem się dla Was obcy. Z powodów, których nie rozumiem, nie podjęliście próby, by stanąć w mojej obronie i sprowadzić mnie do domu ani choćby wytłumaczyć mi, dlaczego tego nie zrobiliście, nie mogliście czy nie powinniście. Ale pozwoliliście przyjść do mnie mojej siostrze, zrezygnowaliście z jej obecności w swoim życiu. To był wspaniały dar, ofiarowany wspólnie przez nią i przez Was. Nawet jeśli teraz tego żałuje, nie wpływa to na szlachetność tej ofiary.

Dlaczego do Was piszę? Nieważne, jak bardzo się staram być samowystarczalny, jednak nie jestem. Przeczytałem dosyć o psychologii i

socjologii, przez te dwa lata obserwowałem dostatecznie wiele rodzin, by zrozumieć, że w życiu dziecka nie da się zastąpić rodziców. W wieku piętnastu lat osiągnąłem więcej niż ktokolwiek inny, poza garstką najwybitniejszych ludzi w historii. Mogę spojrzeć na zapisy moich dokonań i wyraźnie zobaczyć, że tak właśnie jest. Ale nie wierzę w to. Spoglądam w siebie i widzę tylko niszczyciela życia. Nawet kiedy nie dopuściłem, żeby tyran przechwycił władzę w kolonii, nawet kiedy pomogłem młodej dziewczynie uwolnić się spod wpływu dominującej matki, gdzieś w głębi umysłu słyszałem głos mówiący: „Czym jest to wszystko wobec pilotów, którzy zginęli wskutek błędów twojego dowodzenia? Czym jest wobec śmierci z twojej ręki dwóch istotnie niemłych, ale jednak bardzo młodych chłopców? Czym jest wobec rzezi całego gatunku, który unicestwiłeś, nie zrozumiawszy wcześniej, czy należy go unicestwić?”.

To coś, co mogą dać tylko rodzice; potrzebuję tego i nie wstydzę się Was o to prosić.

Od mojej matki potrzebuję świadomości, że wciąż mam wśród Was swoje miejsce, że nie jestem sam.

Od mojego ojca potrzebuję pewności, że ja - jako oddzielna istota - zasłużyłem na swoje miejsce na tym świecie.

Pozwólcie, że odwołam się do Pisma, które - jak wiem - tak wielką rolę odegrało w waszym życiu. Od mojej matki potrzebuję wiedzy, że obserwowała moje życie i „chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu”. Od mojego ojca chcę usłyszeć te słowa: „Dobrze, słuگو dobry i wierny... wejdź do radości twego pana”.

Nie, nie myślę, że jestem Jezusem, ani nie uważam Was za Boga. Po prostu wierzę, że każde dziecko potrzebuje tego, co swojemu Synowi dała Maryja, i że Bóg z Nowego Testamentu pokazuje nam, czym w życiu dzieci powinien być ojciec.

Oto ironia sytuacji: ponieważ muszę o to prosić, będę podejrzliwy co do Waszych odpowiedzi. Dlatego proszę Was nie tylko o te dary, ale o pomoc w uwierzeniu, że dajecie je szczerze.

W zamian daję Wam to: Rozumiem, jak trudno było mieć mnie za syna. Wierzę, że w każdym przypadku wybieraliście to, co Waszym zdaniem było dla mnie najlepsze. Nawet jeśli nie zgadzam się z Waszymi wyborami - a im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej się zgadzam - wierzę, że nikt, kto wiedziałby tyle co Wy, nie mógłby wybrać lepiej.

Spójrzcie na swoje dzieci. Peter rządzi światem i wydaje się, że udaje

mu się to przy minimalnej ilości krwi i strachu. Ja zniszczyłem wroga, który przerażał nas najbardziej ze wszystkich, a teraz jestem całkiem niezłym gubernatorem niedużej kolonii. Valentine to wcielenie bezinteresowności i miłości - a także autorka błyskotliwych tekstów, które ukształtują sposób, w jaki ludzkość będzie myślała o swojej przeszłości.

Jesteśmy niezwykłym zestawem. Oddaliście nam swoje geny, a potem stanęliście przed straszliwym problemem, jak nas wychować. Z tego, co widzę u Valentine, i z tego, co mi mówi o Peterze, doskonale daliście sobie radę, choć Wasza ręka nigdy nie była dla nich zbyt ciężka.

Co do mnie, tego nieobecnego, syna marnotrawnego, który nigdy nie wrócił do domu, wciąż czuję odciski Waszych palców na mojej duszy i moim życiu, i gdzie tylko znajdę te ślady Waszego rodzicielstwa, cieszę się z nich. Cieszę się, że mogłem być Waszym synem.

Dla mnie minęły zaledwie trzy lata, w których MOGŁEM do Was napisać. Przykro mi, że potrzebowałem aż tyle czasu, żeby poukładać sobie wszystko w sercu i w myślach tak, aby mieć do powiedzenia coś sensownego. Dla Was minęło czterdzieści jeden lat, podczas których, jak sądzę, moje milczenie braлиście za prośbę o milczenie.

Jestem teraz daleko od Was, ale przynajmniej znowu poruszamy się przez czas w tym samym tempie, dzień w dzień, rok w rok. Jako gubernator kolonii mam stały dostęp do ansibla; przypuszczam, że jako rodzice hegemonia macie te same możliwości. Kiedy byłem w drodze, mogliście poświęcić tygodnie na ułożenie odpowiedzi, gdy dla mnie minąłby ledwie dzień. Teraz jednak ile czasu Wam to zajmie, tyle ja będę czekał.

Z miłością, żalem i nadzieją
Wasz syn Andrew

Valentine przyszła do Endera, niosąc wydrukowane kartki jego niewielkiej książeczki.

- Jaki dasz tytuł? - spytała, a głos jej drżał.

- Nie wiem - odparł Ender.

- Żeby tak sobie wyobrazić życie królowych kopców, spojrzeć na wojnę z ich perspektywy, ośmielić się wymyślić im całą historię i opowiedzieć ją, jakby to sama królowa kopca mówiła...

- Nie wymyśliłem jej - oświadczył Ender.

Valentine przysiadła na brzegu stołu.

- W tej wyprawie z Abłą, kiedy szukałeś miejsca na nową kolonię... Co wtedy znalazłeś?

- Trzymasz to w ręku. Znalazłem to, czego szukałem cały czas od dnia, kiedy królowe kopców pozwoliły mi się zabić.

- Chcesz powiedzieć, że znalazłeś na tej planecie żywych formidów?

- Nie - zaprzeczył Ender i formalnie była to prawda. Znalazł tylko jednego formida. A zresztą czy uśpioną poczwarkę można nazwać „żywą”? Gdyby ktoś trafił tylko na jedną poczwarkę, czy powiedziałby, że znalazł żywe motyle?

Prawdopodobnie. Ale nie mam wyboru, muszę wszystkich okłamywać. Gdyby się wydało, że jedna królowa kopca wciąż żyje na tej planecie, w kokonie, z którego w każdej chwili może wyjść, mając w sobie kilka milionów zapłodnionych jajeczek i niosąc w swym fenomenalnie pojemnym umyśle wiedzę wszystkich królowych przed sobą, załączki techniki, która niemal nas zniszczyła, oraz wiadomości pozwalające stworzyć jeszcze straszniejszą broń, jeśli tylko zechce... Gdyby ludzie się o tym dowiedzieli, jak długo by przetrwał ten kokon? Jak długo przeżyłby ktoś, kto próbowałby go bronić?

- Coś jednak znalazłeś - stwierdziła Valentine. - Coś, co cię upewnia, że ta historia, którą napisałeś, jest nie tylko piękna, ale i prawdziwa.

- Gdybym mógł ci powiedzieć coś więcej, tobym powiedział.

- Ender, czy kiedykolwiek mówiliśmy sobie wszystko?

- A czy ktokolwiek mówi?

Valentine ścisnęła go za rękę.

- Chcę, żeby wszyscy na Ziemi to przeczytali.

- Czy ktoś się przejmie?

Ender wahał się między nadzieją i rozpaczą. Chciałby, żeby ta książka zmieniła wszystko. Wiedział, że nie zmieni niczego.

- Ktoś na pewno - zapewniła Valentine. - To dosyć.

Ender parsknął śmiechem.

- No więc wyślę to do wydawnictwa, oni to opublikują i co potem? Będą mi przysyłać czeki z tantiemami tutaj, gdzie mogę wydać te pieniądze na... co właściwie możemy tu kupić?

- Wszystko, czego potrzebujemy - odparła Valentine i oboje wybuchnęli śmiechem. A potem, już poważnie, Valentine dodała: - Nie podpisuj jej swoim nazwiskiem.

- Zastanawiałem się, czy powinienem.

- Jeśli będzie wiadomo, że autorem jesteś ty, Ender Wiggin, recenzenci będą ją tylko psychoanalizować i nic nie powiedzą o samej treści. I dojdą do mądrego wniosku, że to twoje sumienie usiłuje radzić sobie z twoimi różnymi grzechami.

- Nie spodziewam się lepszego traktowania.

- Ale jeśli tekst będzie opublikowany całkiem anonimowo, ludzie będą go czytać dla niego samego.

- Pomyślą, że to fikcja. Że to wszystko wymyśliłem.

- I tak pomyślą - stwierdziła Valentine. - Ale to nie brzmi jak fikcja. Brzmi jak prawda. I niektórzy tak będą to odbierać.

- Więc nie podpiszę swoim nazwiskiem.

- Ale jakimś podpisz. Warto podać jakieś imię, do którego będą się mogli odnieść. Ja też nadal używam Demostenesa.

- Nikt nie uważa, że to ten sam Demostenes, który był takim podżegaczem w dawnych czasach, zanim Peter zapanował nad światem.

- To wymyśl jakiś pseudonim.

- Może Locke?

Valentine roześmiała się głośno.

- Wciąż są ludzie, którzy go tak nazywają...

- A gdybym książce dał tytuł „Nekrolog”, a za autora podał... bo ja wiem? „Grabarza”?

- Co powiesz na „Panegiryk” autorstwa „Mówcy

pogrzebowego”?

W końcu nadał książce tytuł „Królowa kopca” i podpisał ją „Mówca Umarłych”. A w swojej anonimowej, niemożliwej do wyśledzenia korespondencji z wydawcą uparł się, żeby wydrukowano ją bez noty o prawach autorskich. Wydawca o mało się nie wycofał, ale Ender nalegał tym mocniej.

- Niech pan da na okładce informację, że ludzie mogą robić tyle jej kopii, ile chcą, ale że pańska edycja jest bardzo wygodna, mogą nosić egzemplarz ze sobą, robić w nim notatki i podkreślać.

Valentine była rozbawiona.

- Zdajesz sobie sprawę, co robisz? - spytała.

- Co?

- Każesz im traktować tę książkę jak święte pismo. Naprawdę sądzisz, że ludzie będą ją w ten sposób czytać?

- Nie wiem, co zrobią ludzie - odparł Ender. - Ale rzeczywiście myślę o niej jak o świętości. Nie chcę na niej zarabiać. Po co mi tutaj pieniądze? Chcę, żeby wszyscy ją przeczytali, żeby wszyscy się dowiedzieli, jacy byli formidzi. Co straciliśmy, unicestwiając ich.

- Ratowaliśmy nasze życie, Ender.

- Nie. Myśleliśmy, że ratujemy, i za to powinno się nas osądzać. Ale w rzeczywistości wybiliśmy istoty, które rozpaczliwie pragnęły zawrzeć z nami pokój, które próbowały nas zrozumieć... Tyle że nigdy nie pojęły, czym jest mowa i język. Teraz po raz pierwszy udało im się zabrać głos.

- Za późno - westchnęła Valentine.

- Tak już bywa w tragediach.

- A tą ich tragiczną skazą była... niemota?

- Ich tragiczną skazą była arogancja. Uznały, że mogą przebudować każdą planetę, na której nie ma inteligencji tego rodzaju, jaki umieją rozpoznać. To znaczy istot, które

rozmawiają ze sobą umysłami.

- Tak jak przemawiają do nas złote żuki.

- Złote żuki tylko kwiczą... psychicznie - stwierdził Ender.

- Znalazłeś jedną - stwierdziła Valentine. - Pytałam, czy znalazłeś formidów, a ty zaprzeczyłeś. Ale znalazłeś jednego osobnika.

Ender milczał.

- Nigdy więcej o to nie spytam - obiecała Valentine.

- Dobrze.

- A ta jedna... jest samotna.

Tylko wzruszył ramionami.

- Nie zabiłeś jej. Ona ciebie nie zabiła. Powiedziała ci... nie, pokazała ci... wszystkie swoje wspomnienia, a ty umieściłeś je w tej książce.

- Jak na kogoś, kto miał mnie już nigdy nie pytać, masz całą masę pytań, dziewczynko.

- Nie waż się mówić do mnie w ten sposób.

- Jestem pięćdziesięcioletnim starcem.

- Może i urodziłeś się pięćdziesiąt cztery lata temu, ale masz tylko szesnaście, zresztą nieważne, ile masz, ja jestem o dwa lata starsza.

- Kiedy przybędzie statek kolonizacyjny, zamierzam nim odlecieć.

- Chyba się domyślałam - odparła Valentine.

- Nie mogę tu zostać. Muszę ruszyć w długą podróż. Oderwać się od wszystkich żyjących ludzi.

- Statki latają tylko między planetami, na których żyją ludzie.

- Ale zajmuje im to dużo czasu. Jeśli będę wyruszał w jedną podróż po drugiej, w końcu zostawię za sobą ludzkość, jaka teraz istnieje.

- To bardzo długa i samotna wyprawa.

- Jeśli wyruszę na nią sam.
- To ma być zaproszenie?
- Żebyś została przy mnie, dopóki będzie to dla ciebie interesujące.
- Uczciwa propozycja - przyznała Valentine. - Zgaduję, że będziesz teraz lepszym towarzystwem, skoro nie masz już tej wiecznej chandry.
- Chyba jednak nie - odparł Ender. - Podczas każdego lotu zamierzam pozostawać w stazie.
- I przegapić wszystkie czytania sztuk po drodze?
- Możesz skończyć swoją książkę, zanim przyjdzie pora odlotu?
- Prawdopodobnie. A na pewno ten tom.
- Myślałem, że to już ostatni.
- Przedostatni - stwierdziła Valentine.
- Omówiłaś wszystkie aspekty wojny z formidami i teraz opisujesz końcową bitwę.
- Pozostały jeszcze do rozplątania dwa porządne supły.
Ender przymknął oczy.
- Myślę, że moja książka rozwiązuje jeden z nich.
- Owszem - zgodziła się Valentine. - Chcę ją dołączyć na końcu ostatniego tomu.
- Nie jest chroniona. Możesz robić, co chcesz.
- Chcesz wiedzieć, jaki jest drugi supeł?
- Zakładam, że chodzi o Petera, który jednoczy cały świat po zakończeniu wojny - próbował odgadnąć Ender.
- A co to ma wspólnego z historią wojen z formidami? - spytała. - Ostatni supeł to ty.
- Jestem raczej węzłem gordyjskim. Nie rozplątuj, po prostu rozetnij.
- Mam zamiar napisać o tobie.
- Nie będę tego czytał.

- Proszę bardzo. Nie pokażę ci.

- Nie mogłabyś poczekać?

Chciał powiedzieć: dopóki nie umrę. Ale nie był aż tak konkretny.

- Może jakiś czas - obiecała Valentine. - Zobaczymy.

Ender całe dni poświęcał na sprawy nowych osadników, przygotowując wszystko na ich przyłot, pilnując, by osiągnąć dostateczną nadwyżkę plonów we wszystkich czterech wioskach oraz na polach nowej kolonii. Dzięki temu, gdyby nowo przybyłych dotknął nieurodzaj przez dwa, a nawet trzy lata z rzędu, nadal nie zagrozi im głód.

- Będziemy też potrzebowali pieniędzy - uznał. - Tutaj, gdzie wszyscy znamy się nawzajem, nieźle się sprawdzał ten stosowany przez nas ad hoc komunizm. Ale żeby poprawnie funkcjonował handel, potrzebujemy jakiegoś środka wymiany.

- Po i ja znaleźliśmy złote żuki - przypomniał Sel Menach. - Czyli mamy złoto. Możemy bić monetę.

Abra wymyślił, jak przerobić tłocznię olejową na prasę do bicia monet, a jeden z chemików opracował stop, w którym złoto nie ścierałoby się bezustannie przy krążeniu pieniędzy z rąk do rąk. Któryś z uzdolnionych młodych ludzi narysował portret Sela Menacha, a jedna ze starszych kobiet z pamięci nakreśliła twarz Witalija Kołmogorowa. Sel się uparł, żeby Kołmogorow trafił na mniejszą monetę.

- Ponieważ tę twarz ludzie widują najczęściej. Zawsze najwybitniejszy człowiek trafia na najniższe nominały.

Ćwiczyli się w używaniu pieniędzy, aby dało się wyznaczyć ceny jeszcze przed przybyciem nowych kolonistów. Na początku było to tematem żartów w stylu „Pięć kur nie daje krowy”. Zamiast Jedynekami” i „piątkami”, monety szybko stały się „selami” i „witami”. „Oddaj Selowi co Sela, ale trzymaj się Wita”. „Sel mądry, Wit głupi”.

Ender usiłował ustalić kurs tych monet w stosunku do międzynarodowego dolara Hegemonii, ale Valentine uznała, że nie warto.

- Wartość sama się ustali w powiązaniu z tym, ile ludzie będą płacić za to, co kiedyś będziemy eksportować do innych światów.

Tak więc waluta krążyła wewnątrz ich własnego, prywatnego wszechświata.

Pierwsze wydanie „Królowej kopca” sprzedawało się początkowo dość wolno, ale potem coraz szybciej i szybciej. Przetłumaczono ją na wiele języków, chociaż każdy na Ziemi umiał się posługiwać wspólnym, gdyż był to oficjalny język Wolnych Ludów Ziemi - taką propagandową nazwę Peter wybrał dla swojego międzynarodowego rządu.

Tymczasem darmowe kopie krążyły w sieciach, a pewnego dnia ktoś dołączył ją do wiadomości przesłanej do którejś z ksenobotaników, a ona zaczęła opowiadać o książce wszystkim znajomym w Mirandzie. Wkrótce już drukowano i rozdawano tekst. Ender i Valentine nie komentowali; kiedy Alessandra wcisnęła egzemplarz Enderowi, przyjął go, odczekał jakiś czas i zwrócił.

- Czy to nie cudowna książka? - spytała Alessandra.

- Tak, myślę, że tak - zgodził się Ender.

- O tak... Ten analityczny ton, beznamiętna narracja...

- Cóż mogę powiedzieć? Jestem, kim jestem.

- Uważam, że ta książka zmieniła moje życie - oświadczyła Alessandra.

- Mam nadzieję, że na lepsze. - Ender się uśmiechnął. A patrząc na jej rosnący brzuch, dodał: - Zmieniła bardziej niż to? Także się uśmiechnęła.

- Jeszcze nie wiem. Powiem ci za rok.

Ender nie odpowiedział: Za rok będę na statku kosmicznym,

daleko stąd.

Valentine skończyła przedostatni tom swojej historii, a na końcu umieściła pełny tekst „Królowej kopca” z krótkim wstępem:

„Tak mało wiemy o formidach, że jako historyk nie jestem w stanie opowiedzieć o tej wojnie z ich punktu widzenia. Dlatego dołączam artystyczne przedstawienie tej historii, ponieważ wprawdzie nie da się go udowodnić, ale wierzę, że to prawdziwa opowieść”.

Wkrótce potem Valentine zjawiała się u Endera.

- Peter przeczytał moją książkę - oznajmiła.
- Cieszę się, że ktoś jednak to zrobił.
- Przesłał mi wiadomość co do ostatniego rozdziału. Brzmi: „Wiem, kto ją napisał”.

- I miał rację?
- Miał.
- Spryciarz z niego.
- Był poruszony, Ender.
- Ludziom chyba się podoba.
- Więcej niż podoba i dobrze o tym wiesz. Przeczytam ci, co jeszcze napisał: „Jeśli potrafi mówić dla robali, to potrafi też dla mnie”.

- Niby co to ma znaczyć?
- Chce, żebyś napisał o nim. O jego życiu.
- Kiedy ostatni raz widziałem Petera, miałem sześć lat, a on ledwie parę godzin wcześniej groził, że mnie zabije.

- Więc mówisz: nie?
- Mówię: pogadam z nim i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Rozmawiali po godzinie za każdym razem - Peter sporo po pięćdziesiątce, ze słabym, budzącym niepokój lekarzy sercem, i Ender, wciąż szesnastoletni. Ale Peter nadal pozostał sobą, tak samo jak Ender, tyle że tym razem nie było między nimi

gniewu. Może dlatego, że Peter osiągnął wszystko, o czym marzył, a Ender nie stawał mu na drodze czy wręcz - przynajmniej w opinii Petera - go nie przewyższał.

W opinii Endera także.

- To, co zrobiłeś - powiedział Ender - wiedziałeś, że robisz.

- To dobrze czy źle?

- Nikt nie musiał oszustwem skłaniać Aleksandra do podboju Persji. W przeciwnym razie czy nazywaliby go wielkim?

Kiedy Peter opowiedział mu o całym swoim życiu, o wszystkim, co robił, a co było dostatecznie istotne, by pojawić się w ich rozmowach, Ender w zaledwie pięć dni napisał cienki tomik, który zatytułował „Hegemon”.

Wysłał Peterowi kopię z notką: „Ponieważ autorem będzie Mówca Umarłych, nie można tego opublikować przed twoją śmiercią”.

Peter odpisał: „Nie może się to zdarzyć ani o moment za wcześnie”. Ale pisząc do Valentine, przelał w list swe uczucia. Tłumaczył, ile to dla niego znaczy, że został tak w pełni zrozumiany. „Nie ukrył żadnego z moich złych postępów. Ale zachował równowagę. Ujął je w perspektywie”.

Valentine pokazała ten list Enderowi, a on się roześmiał.

- Równowagę? Jak ktokolwiek może ocenić relatywny ciężar grzechów i wspaniałych dokonań? Pięć kur naprawdę nie daje krowy.

Rozdział. 20

To: MinCol@ColMin.gov

From: Gov@Shakespeare.gov

Subject: Czy posada nadal jest wolna?

Drogi Hyrumie,

Mam istotne powody, których nie chcę wyjaśniać, ale też uważam, że Szekspirowi będzie lepiej, jeśli znajdzie się na pokładzie odlatującego statku kolonizacyjnego. Będę na miejscu przy lądowaniu i tworzeniu nowej kolonii. Obecni mieszkańcy przeszli głęboką przemianę. Koloniści, którzy przylecieli ze mną, także są teraz objęci określeniem „starzy osadnicy”, w przewidywaniu pojawienia się nowych. Ci najstarsi, którzy jeszcze walczyli z formidami, nazywani są teraz „oryginalnymi”, ale nie ma jakiegoś powszechnie używanego określenia, które by rozróżniało ich potomków i ludzi, którzy przylecieli ze mną.

Gdybym tu został, to zarówno ja, jak i gubernator nowej kolonii bylibyśmy nominowani przez ministerstwo. Jeśli odlecę, zastąpi mnie wybrana rada czterech osad, z wybranym prezydentem i wybranymi burmistrzami. Wygeneruje to niemal nieodparty nacisk na nowego gubernatora, by ograniczył się do jednej dwuletniej kadencji, jak ja, i pozwolił się zastąpić wybranym burmistrzem.

Tymczasem starzy osadnicy zadbali o plony dla nowych, ale wybudowali tylko połowę domów. To moja sugestia; dzięki temu nowi będą mogli się włączyć do pracy przy wznoszeniu pozostałych. Powinni się przekonać, ile wysiłku to kosztuje, żeby mogli docenić pracę, jaką dla nich wykonali starzy osadnicy. Poza tym praca ramię w ramię spowoduje, że przestaną być sobie obcy, chociaż ulokowałem ich dostatecznie daleko, by dało się zrealizować twój cel, to znaczy niezależny rozwój. Nie mogą jednak całkowicie się izolować, gdyż egzogamia stanie się niepraktyczna, a dla przyszłego zdrowia ludzkiej hodowli geny są w tej chwili ważniejsze od kultury.

Ludzka hodowla... Ale naprawdę musimy koncentrować się na fizycznych ciałach, tak jak zawsze postępowali hodowcy. Wujek Sel pierwszy by się roześmiał i powiedział, że tak właśnie być powinno. Jesteśmy przede wszystkim ssakami, a dopiero potem ludźmi, i jeśli

kiedykolwiek zapomnimy o ssakach, to, co w nas ludzkie, szybko zostanie unicestwione przez wygłodniałą bestię.

Przeczytałem wszystko, co znalazłem na temat Virlomi i wojen, które prowadziła. Cóż za niezwykła kobieta! Jej akta ze Szkoły Bojowej wskazują na całkiem przeciętną studentkę (oczywiście w bardzo nieprzeciętnej grupie). Ale w Szkole Bojowej chodziło o wojnę, nie o rewolucję czy o przetrwanie narodu; Wasze testy nie mierzyły też skłonności do zostawiania półbogiem. Gdybyście takie mieli, ciekawe, co by wykryły u Petera na początku, kiedy był jeszcze dzieckiem, a nie władcą świata.

Jeśli już mowa o Peterze, to rozmawiamy ze sobą, jak zapewne wiesz. Nie wysłałyśmy wiadomości, ale wykorzystujemy pasmo ansibla na pogawędki. To gorzkie i słodkie zarazem oglądać go w wieku prawie sześćdziesięciu lat. Siwe włosy, skóra zwiotczała, lekka nadwaga (ale nadal sprawny), zmarszczki odpowiedzialności na twarzy. Nie jest już chłopcem, którego znałem i nienawidziłem. Ale istnienie tego mężczyzny nie usuwa z mojej pamięci tamtego chłopca. Dla mnie to po prostu dwie różne osoby, które przypadkiem noszą to samo imię i nazwisko.

Przekonałem się, że podziwiam tego człowieka. Kocham go nawet. Stawał wobec wyborów wcale nie mniej strasznych niż moje - i podejmował decyzje z otwartymi oczami. Wiedział, zanim je podjął, że w rezultacie zginą ludzie. A jednak ma w sobie więcej współczucia niż wszyscy - on sam albo ja, albo nawet Valentine - się u niego spodziewaliśmy.

Powiedział mi, że w dzieciństwie, kiedy odleciałem do Szkoły Bojowej, uznał, że aby odnieść sukces, musi ludzi oszukać, przekonać ich, że jest tak miły jak ja. (Myślałem, że żartuje, ale nie; nie wydaje mi się, żebym w Szkole Bojowej uważany był za „miłego”, ale Peter wiedział tylko, jak mnie pamiętano w domu). Od tej chwili, kiedy zastanawiał się nad decyzją, myślał: Co by zrobił człowiek dobry? A potem to właśnie robił. Ale przez ten czas nauczył się czegoś niezwykle ważnego dla ludzkiej natury: jeśli ktoś przez całe życie udaje dobrego człowieka, to w końcu staje się od niego nieodróżnialny. Bezustanna hipokryzja zmienia się w prawdę. Peter sam siebie uczynił dobrym, nawet jeśli powody, dla których to zrobił, nie były całkiem czyste.

Daje to nadzieję również mnie. Teraz wystarczy mi znaleźć sobie jakąś pracę, która zdejmie brzemię z moich ramion. Zarządzanie kolonią było zajęciem interesującym i wartościowym, ale nie pomogło mi tak, jak na to liczyłem. Ciągłe się budzę, widząc martwych formidów, martwych żołnierzy

i martwe dzieci. Budzę się ze wspomnieniami, które mówią, że jestem taki, jaki dawniej był Peter. Kiedy to minie, znowu będę mógł być sobą.

Wiem, że moja postawa Cię niepokoi. No cóż, to jest z kolei Twoje brzemie. Ale chcę Cię zapewnić, że to moje jest przynajmniej w połowie tylko moim dziełem. Ty i Mazer, i wszyscy oficerowie, którzy szkolili mnie i używali jako broni, robiliście to w słusznej sprawie - i byliście skuteczni. W stosunku do mnie jesteście tak samo odpowiedzialni jak dowódcy wobec swoich żołnierzy, którzy przeżyli, ale okaleczeni. Ci żołnierze sami odpowiadają za to, jak ułożą sobie życie; jest gorzką ironią, że Twoja szczerza odpowiedź dla nich musi brzmieć: To nie moja wina, że przeżyliście. Gdybyście zginęli, nie mielibyście problemów z ranami. To jest część życia, która została wam zwrócona; nieprzyjaciel odebrał wam jego pełnię, której teraz wam brakuje. Moim zadaniem było dopilnowanie, żeby wasza śmierć albo wasze rany nie poszły na marne, i to mi się udało.

Tego właśnie nauczyłem się od żołnierzy tutaj. Wciąż pamiętają swoich poległych towarzyszy, wciąż tęsknią za życiem, które porzucili na Ziemi, za rodzinami, których nigdy nie zobaczyli, za miejscami, które mogą odwiedzać tylko w snach i we wspomnieniach. A jednak nie winią mnie. Są dumni z tego, czego razem dokonaliśmy. Praktycznie każdy z nich powiedział do mnie przynajmniej raz: „Warto było”. Bo wygraliśmy.

Dlatego ja mówię Tobie: Jakiegokolwiek brzemie dźwigam w efekcie, warto było, ponieważ wygraliśmy.

Dlatego jestem wdzięczny za ostrzeżenie i wiadomość o tej książeczce, która krąży teraz wszędzie, o „Królowej kopca”. W przeciwieństwie do Ciebie, nie uważam jej za bzdurną. Myślę, że ten Mówca Umarłych powiedział coś prawdziwego, czy jest to zgodne z faktami, czy nie. Przypuśćmy, że królowe kopców były rzeczywiście tak wspaniałe i pełne dobrych chęci, jak je maluje wyobraźnia Mówcy Umarłych. Nadal pozostaje faktem, iż podczas tej wojny nie potrafiły nam przekazać, że ich intencje się zmieniły i że żałują tego, co zrobiły wcześniej.

Nadal pozostaje faktem nasza niewinność (choć niewinność nie zwalnia nas z odpowiedzialności).

Mam pewne podejrzenie, którego nie mogę potwierdzić. Myślę, że chociaż pojedynczy formidzi byli tak uzależnieni od królowych, że kiedy zginęły, padli też wojownicy i robotnice, to jednak nie oznacza, że tworzyli jeden organizm ani że królowe kopców nie musiały uwzględniać najgłębszych potrzeb i woli podległych osobników. A ponieważ

indywidualni formidzi byli tak głupi, królowe nie mogły im wyjaśnić wszystkich subtelności. Czy nie jest możliwe, że gdyby odmówiły walki w tych początkowych bitwach i pozwoliły nam wyróżnić się jak prawdziwi pacyfiści, instynkt przetrwania zwykłych formidów zadziałałby z taką mocą, że mogliby odrzucić władzę swoich pań? I tak musielibyśmy wtedy stoczyć te bitwy, tylko że formidzi walczyliby bez planu ani prawdziwej inteligencji. To z kolei mogłoby formidów w innych miejscach popchnąć do buntu przeciwko królowym. Nawet dyktator musi szanować wolę pionków, ponieważ bez ich posłuszeństwa nie ma żadnej władzy.

Przedstawiam Ci moje rozważania o „Królowej kopca” dlatego, że o nie prosiłeś. A nade wszystko dlatego, że muszę wysłuchać swoich myśli, tak samo jak muszę je wypowiedzieć. W tamtej wojnie Ty byłeś moją królową kopca, a ja Twoim formidem. Dwa razy chciałem odrzucić Twoją władzę, dwa razy Groszek interweniował i pchnął mnie z powrotem pod jarzmo. Ale wszystko, co robiłem, robiłem z własnej wolnej woli, jak każdy dobry żołnierz, sługa albo niewolnik. Zadaniem tyrana nie jest przymuszać, ale przekonać nawet niechętnych, że posłuszeństwo lepiej służy ich interesom niż opór.

Jeśli więc zechcesz wysłać ten nadlatujący statek do kolonii Ganges, polecę tam i zobaczę, co mogę zrobić, żeby pomóc Virlomi w konflikcie z porwanym synem Groszka i jego bardzo dziwną matką (choć to nie plucie na Ciebie dowodzi, że jest dziwna; są - albo były - setki ludzi, którzy ustawiliby się w kolejce po ten przywilej). Mam przeczucie, że dla Virlomi sytuacja będzie rzeczywiście zbyt trudna, ponieważ jej kolonia jest zdominowana przez Hindusów. Wskutek tego nie - Hindusom jej decyzje wydają się niesprawiedliwe, a jeśli ten Randall Firth jest choćby w przybliżeniu tak inteligentny jak jego ojciec, i jeśli matka wychowała go w nienawiści do każdego, kto kiedykolwiek stanął na drodze Achillesa Flandres - a to z pewnością obejmuje też Virlomi - ten podział może się stać klinem, który Randall wykorzysta, by zniszczyć ją i objąć władzę.

I choć w MF, a nawet w Ministerstwie Kolonizacji są tacy, którzy wierzą, że nic, co dzieje się w koloniach, nie może zagrozić Ziemi, cieszę się, że przynajmniej Ty rozumiesz, jak bardzo się mylą. Waleczny buntownik na planecie kolonialnej może porwać wyobraźnię milionów ludzi na Ziemi. Może nawet miliardów. A „Królowa kopca” może mu w tym pomóc. Sprytny demagog z kolonii może stanąć pod sztandarem unieczystwionych królowych i wzbudzić silne emocje, wzbudzić poczucie, że

światy skolonizowane zostały jakoś „skrzywdzone” przez Ziemię, która wobec tego jest im coś winna. To irracjonalne, ale istnieją precedensy wskazujące na jeszcze bardziej nielogiczne rozumowania.

Jednak nawet gdybyś nie chciał już wysłać mnie na Ganges, i tak odleczę tym statkiem. Mam więc nadzieję, że plan lotu pchnie mnie w jakieś interesujące miejsce. Valentine nie zdecydowała jeszcze, czy ze mną poleci, ale ponieważ ciągle pracuje nad swoimi książkami, pozostała zupełnie odizolowana od kolonistów, emocjonalnie i towarzysko. Myślę, że będzie mi towarzyszyć, bo nic nie skłania jej do życia tutaj beze mnie.

Twoja zawsze pracowita pszczołka
Ender

Achilles przyszedł do chaty, gdzie w swym wyniosłym ubóstwie mieszkała gubernator Virlomi. Zrobiła prawdziwe widowisko z tego, że ma najprostsze z możliwych mieszkań - ale to przecież zupełnie zbędne, by budować jej lepiankę krytą strzechą, kiedy wokół tyle świetnego drewna. Każde działanie Virlomi było obliczone na to, by zwiększać jej prestiż wśród hinduskich kolonistów. Achillesa taka demonstracja napełniała pogardą.

- Randall Firth - przedstawił się stojącemu przed wejściem „przyjacielowi”.

Virlomi powiedziała: „Moi przyjaciele stoją na straży, aby ochraniać mój czas, bym mogła medytować”. Ale ci „przyjaciele” jedli przy wspólnym stole i otrzymywali pełny przydział z plonów, a więc ich służba była w rzeczywistości opłacana. Byli policjantami albo strażnikami, i wszyscy o tym wiedzieli. Ale nie, wszyscy Hindusi twierdzili, że to ochotnicy i że poza tym wypełniają swoje zwykłe obowiązki.

Zwykłe obowiązki... dla Hindusów. Wystarczyło trochę gorąca i zaraz szli się położyć, kiedy normalni ludzie musieli tyrać za nich.

Nic dziwnego, że mój ojciec, Achilles Wielki, poprowadził Chińczyków na podbój Hindusów. Ktoś musiał ich nauczyć

pracy. Ale nic nie mogło ich nauczyć myślenia.

W chacie Virlomi ręcznie przędła nici. Dlaczego? Ponieważ tak robił Gandhi. Mieli już cztery mechaniczne przędzalnie i dwa mechaniczne krosna, a także części zamienne, aby utrzymać je w ruchu przez sto lat. Przez ten czas będą pewnie w stanie wyprodukować nowe. Ręcznie tkane nici nie były nikomu potrzebne. Nawet Gandhi robił to tylko dlatego, że chciał zaprotestować przeciwko mechanicznym krosnom, które odbierały pracę Hindusom. A co chciała osiągnąć Virlomi?

- Randall, dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała.

- Nikt nie potrafi odmówić poleceniu naszej ukochanej gubernator.

Spojrzała na niego ze znużeniem.

- A jednak tobie zawsze się jakoś udaje.

- Tylko dlatego, że twoja władza jest bezprawna - odparł Achilles. - Zanim jeszcze założyliśmy naszą kolonię, Szekspir ogłosił niezależność i zaczęli wybierać gubernatorów na dwuletnie kadencje.

- A my robimy to samo - zauważyła.

- I zawsze wybierają ciebie. Osobę wyznaczoną przez MinKol.

- Tak działa demokracja.

- Demokracja tak działa, gdyż gramy fałszywymi kartami. Dosłownie. Są tu sami Hindusi. A ty odgrywasz świętobliwą kobietę, żeby utrzymać ich w zniewoleniu.

- Masz chyba zbyt wiele czasu na lektury - oświadczyła Virlomi - jeżeli używasz takich słów jak „zniewolenie”.

Tak łatwo się odsłoniła...

- Dlaczego uważasz, że powinnaś zniechęcać obywateli do nauki? - zapytał Achilles.

Uprzejma twarz Virlomi nie zmieniła wyrazu.

- Dlaczego dla ciebie wszystko sprowadza się do polityki?

- Byłoby lepiej, gdyby ludzie ignorowali politykę i mogłabyś

mieć ją tylko dla siebie?

- Randall, nie sprowadziłam cię tutaj z powodu twojej agitacji wśród niehinduskich kolonistów.

- A jednak właśnie dlatego przyszedłem.

- Mam dla ciebie propozycję.

Achilles musiał jej to przyznać: nie ustępowała. Może to jeden z atrybutów hinduskiej bogini.

- Chcesz mi zaproponować kolejne wymyślane stanowisko, żeby zaspokoić moje ego?

- Ciągłe powtarzasz, że jesteś uwięziony na tym świecie, że nigdy nie byłeś gdzie indziej, że całe życie musisz spędzić pod dominacją Hindusów, otoczony indyjską kulturą.

- Twoi szpiegcy donoszą ci dokładnie.

Spodziewał się, że tym zbije ją z tropu i sprowadzi na poboczną kwestię, czy jej informatorzy są szpiegami, czy nie, ponieważ to zwykli obywatele, którzy z własnej woli uczestniczą w publicznych zebraniach, a potem o nich rozmawiają. Ale chyba była zmęczona tym tematem. Zresztą najwyraźniej miała ważniejsze sprawy.

- Mniej więcej za miesiąc przyleci tu statek. Przybywa z kolonii Szekspir, przywozi nam kilka ich bardzo udanych hybryd oraz modyfikacji genetycznych, które poszerzą nasz zakres upraw. To bardzo ważna wizyta.

- Nie jestem farmerem - stwierdził Achilles.

- Kiedy przylatuje tu statek - rzekła Virlomi - nigdy nie zostaje długo. Zjawia się, a potem nas opuszcza.

Teraz dopiero Achilles zrozumiał, co mu proponuje. To rzeczywiście była oferta, a nie przymusowe wygnanie.

- Dokąd odleci? - zapytał.

- Zapewniono mnie, że pilot poprowadzi statek z powrotem na Ziemię. No, w pobliże Ziemi, tak aby próbki z Szekspira razem z naszymi skromnymi darami można było zbadać,

rozmnożyć i rozesłać do innych kolonii. Może niektóre trafią na samą Ziemię ze względu na wysoką wydajność i możliwość adaptacji klimatycznych.

- I któryś z tych gatunków nazwą na twoją cześć?

- Daję ci szansę, abyś wyruszył do tego wielkiego świata i sam go zobaczył. Hindusi stanowią w tej chwili tylko jedną czwartą ziemskiej populacji i jest wiele miejsc, gdzie nie spotkasz żadnego Hindusa.

- Nie Hindusi mi przeszkadzają - zapewnił uprzejmie.

- Nie?

- To ten zadowolony z siebie autorytarny rząd udający demokrację.

- Hindusi stanowią tu większość. Z definicji demokratyczną, nawet jeśli zadowoloną z siebie - odparła Virlomi.

- Ziemią rządzi zła dyktatura.

- Na Ziemi rządzi Kongres, któremu przewodzi wybierany hegemon.

- Ta hegemonia powstała dzięki zamordowaniu...

- ...człowieka, którego błędnie uważasz za ojca - dokończyła Virlomi.

To zdanie trafiło Achillesa jak młot. Przez całe życie on i matka utrzymywali jego pochodzenie w tajemnicy. Nikt inny nie słyszał, żeby zwracała się do niego tym tajnym, choć prawdziwym imieniem, Achilles. Zawsze Randall to, Randall tamto, i tylko w chwilach całkowitej prywatności nazywała go Achillesem. Tylko w myślach sam siebie tak nazywał.

Ale Virlomi wiedziała. Skąd?

- Widziałam, jak twój rzekomy ojciec z zimną krwią morduje dzieci - powiedziała. - Zamordował mojego dobrego przyjaciela. Bez żadnego powodu.

- To kłamstwo.

- Aha, masz świadka, który mi zaprzeczy?

- To była prowokacja. Próbował zjednoczyć świat i zaprowadzić pokój.

- Był psychopata, który mordował każdego, kto mu pomógł albo kto zobaczył go bezradnego.

- Nie każdego - zauważył Achilles. - Tobie pozwolił żyć.

- Nie pomogłam mu. Nie stałam mu na drodze. Pozostawałam niewidzialna, aż wreszcie zdołałam uciec. Dopiero wtedy zaczęłam walczyć o uwolnienie mojego kraju spod okrutnej okupacji, którą na nas sprowadził.

- Achilles Flandres chciał zaprowadzić pokój, a ty na powrót wywołałaś wojnę w świecie, który spacyfikował.

- Ale nie masz kłopotów z wiarą w te fantazje, że był twoim ojcem?

- Myślę, że moja matka wie na ten temat więcej niż ktokolwiek inny.

- Twoja matka wie tyle, ile jej powiedziano. Była surogatką, nie jest twoją genetyczną matką. Twój embrion został jej wszczepiony. Okłamano ją. A ona przekazała ci to kłamstwo. Jesteś tylko kolejną porwaną przez Achillesa ofiarą. I trzyma cię w niewoli aż do dzisiaj. Jesteś ostatnią i najbardziej żalowaną z ofiar.

Achilles uderzył, zanim zdążył się powstrzymać. Nie mocno, nie użył całej siły.

- Zostałam zaatakowana - powiedziała spokojnie Virlomi.

Dwóch jej „przyjaciół” weszło do chaty. Chwycili Achillesa pod rękę.

- Oskarżam Randalla Firtha o napad na gubernatora. Pod odpowiedzialnością karną za składanie fałszywych zeznań, Randallu, czy przyznajesz się, że mnie uderzyłeś?

- To bezsensowne kłamstwo - odparł Achilles.

- Myślałam, że tak właśnie powiesz - rzekła Virlomi. - Trzy widy nagrane z trzech różnych kątów powinny wystarczyć do

potwierdzenia zarzutu napaści fizycznej oraz składania fałszywych zeznań. Kiedy staniesz przed sądem, będę sugerowała, żeby skazano cię na wygnanie. Na Ziemię, do miejsca, które chyba uważasz za nieskończenie lepsze od Gangesu. Twoja matka może lecieć z tobą albo nie, jak zechce.

Podeszła mnie, pomyślał Achilles. Mój ojciec nigdy by na to nie pozwolił. Poniżenie - to niewybaczalna obraza. Tak żył mój ojciec i tak ja będę żył.

- Całe nagranie - rzucił. - Zobaczą, jak mnie sprowokowałaś.

Virlomi wstała płynnie i podeszła, zbliżając usta do jego ucha.

- Całe nagranie pokaże, kogo uważasz za ojca i że aprobujesz jego działania, które cała ludzkość wciąż uważa za ohydne.

Odsunęła się od niego.

- Możesz sam zdecydować, czy pokazany będzie cały zapis, czy tylko jego część.

Achilles wiedział, że powinien zacząć jej grozić albo żałośnie się awanturować. Ale zapis wciąż trwał.

- Widzę, że potrafisz manipulować dzieckiem - odparł. - Mam dopiero szesnaście lat, a ty sprowokowałaś mój gniew.

- A tak, szesnaście. Jesteś duży jak na swój wiek, prawda?

- W sercu i w umyśle, nie tylko w ciele i kościach - odparł; to była jego typowa odpowiedź. - Proszę pamiętać, ekscelencjo, że zastawienie na mnie pułapki to jedna sprawa, ale pokonanie to całkiem inna.

Odwrócił się, a potem poczekał, aż obaj trzymający go za ramiona mężczyźni przebiegną dookoła, by znów przy nim stanąć. Wyszli z chaty razem. Po chwili Achilles zatrzymał się nagle.

- Wiecie, że mogę strząsnąć was jak muchy, jeśli będę miał ochotę.

- O tak, panie Firth. Mieliśmy być obecni jako świadkowie. Poza tym zatrzymanie pana było wyłącznie symboliczne.

- Mieliście nadzieję, że uderzę kogoś z was przed kamerą.

- Mamy nadzieję, że wszyscy mężczyźni i kobiety mogą żyć wspólnie bez przemocy.

- Ale nie przeszkadza wam, jeśli zostaniecie ofiarami przemocy, o ile tylko uda się to wykorzystać, by zdyskredytować lub zniszczyć waszego wroga.

- Jest pan naszym wrogiem, panie Firth?

- Mam nadzieję, że nie. Ale wasza bogini chce, abym nim był.

- Och, ona nie jest boginią, panie Firth. - Zaśmiali się obaj, jakby sam pomysł był absurdalny.

Odchodząc, Achilles planował już następny krok. Miała zamiar użyć przeciw niemu złej sławy jego ojca. Nie wierzył, że zachowa to w tajemnicy, ponieważ miała rację - każdy związek między nim a Achillesem Wielkim już na zawsze zniszczy jego reputację.

Jeśli mój ojciec jest powszechnie uważany za najgorszego człowieka w ludzkiej historii, to muszę znaleźć jeszcze gorszego, z którym ją połączę.

Co do stwierdzenia, że matka była tylko zastępczą, Achilles nie miał zamiaru pozwolić, by kłamstwo Virlomi stało między nimi. Samo pytanie o macierzyństwo złamałoby jej serce. Nie, Virlomi, nie pozwolę, żebyś zmieniła mnie w broń, którą zranisz moją matkę.

Rozdział. 21

To: AWiggin%Ganges@ColLeague.adm

From: hgraff%retlist@IFCom.adm

Subject: Witaj znowu we wszechświecie ludzi

Przyjmij kondolencje z powodu śmierci rodziców. Ale jak dowiedziałem się od nich, zanim odeszli, korespondowaliście ze sobą intensywnie ku wzajemnej satysfakcji. Zgon Twojego brata był bardziej zaskakujący. Był dość młody, ale jego serce się zatrzymało. Nie zwracaj uwagi na głupie plotki, które zawsze towarzyszą śmierci ludzi wielkich. Widziałem wyniki autopsji, a Peter miał słabe serce, mimo zdrowego trybu życia. Wszystko stało się szybko - skrzep przerwał jego żywot we śnie. Peter umarł u szczytu swej kariery i u szczytu władzy. Niezła chwila, by odejść. Mam nadzieję, że przeczytasz znakomity esej o jego życiu, napisany rzekomo przez autora „Królowej kopca”. Jest zatytułowany „Hegemon” i dołączam go do listu.

Kiedy byłeś w stazie, żeglując z Szekspira na Ganges, przytrafiła mi się interesująca rzecz: wyrzucili mnie.

To coś, czego nie przewidziałem (uwierz mi, bardzo niewiele udało mi się przewidzieć w moim długim życiu; zdołałem przetrwać i osiągnąć swoje cele, ponieważ szybko się adaptowałem), choć powinienem. Kiedy dziesięć miesięcy każdego roku spędzasz w stazie, pojawiają się pewne skutki uboczne. Podwładni i zwierzchnicy zaczynają twoje przebudzenia uważać za wizyty intruza. Ci, którzy byli wobec ciebie absolutnie lojalni, odchodzą w stan spoczynku albo rozpoczynają karierę gdzie indziej, albo zostają wymanewrowani ze stanowisk. Po krótkim czasie wszyscy wokół są lojalni tylko względem siebie, swoich karier, albo kogoś, kto chce zająć twoje miejsce. Ale po każdym przebudzeniu wszyscy okazywali mi taki demonstracyjny szacunek... Meldowali o wykonaniu wszystkich moich poleceń z ostatniego przebudzenia albo tłumaczyli, dlaczego nie zostały wykonane.

Od trzech przebudzeń powinienem zauważyć, jak nieprzekonujące są te usprawiedliwienia i jak nieefektywnie wypełniane są moje instrukcje. Powinienem dostrzec, że ta biurokratyczna zupa, w której nawigowałem od tak wielu lat, zaczęła gęstnieć wokół mnie. Powinienem zrozumieć, że te

długie nieobecności czynią mnie bezsilnym.

To była czysta próżność, Ender. To nie mogło działać, nie mogło trwać. Pewnego dnia obudziłem się i odkryłem, że na drzwiach mojego gabinetu nie ma już mojego nazwiska. Znalazłem się na liście emerytów dowództwa MF - i to z pensją pułkownika, żeby jeszcze do krzywdy dodać zniewagę. Jakakolwiek emerytura z Ministerstwa Kolonizacji w ogóle nie wchodziła w grę, ponieważ nie odszedłem na emeryturę, ale zostałem usunięty za lekceważenie obowiązków służbowych. Powołali się na całe lata opuszczania narad, kiedy byłem w stazie, na to, że nigdy nie starałem się o urlop; sięgnęli nawet do tego dawnego procesu, by wykazać „wzorzec niedbałych zachowań”. A więc... zwolniony dyscyplinarnie, żeby żyć z emerytury pułkownika.

Oni chyba naprawdę uważali, że w czasie sprawowania urzędu udało mi się wzbogacić. Ale nigdy nie byłem tego rodzaju politykiem.

Jednakże nie dbam też zbyt o sprawy materialne. Wracam na Ziemię, gdzie wciąż jestem właścicielem niewielkiej posiadłości - pilnowałem, żeby regularnie płacić podatki. Będę mógł żyć spokojnie na cudownym kawałku ziemi w Irlandii, w którym się zakochałem i który kupiłem w czasie, kiedy przemierzałem świat w poszukiwaniu dzieci do wykorzystania i być może zniszczenia im życia w Szkole Bojowej. Nikt tam nie będzie miał pojęcia, kim jestem - a raczej kim byłem. Przeżyłem własną niesławę.

Jedno jest jednak istotne na emeryturze: straciłem przywileje w korzystaniu z ansibla. Nawet ten list będzie wysłany z tak niskim priorytetem, że miną lata, zanim do Ciebie dotrze. Ale komputery nie zapominają i nie dadzą się wykorzystać przez kogoś tak mściwego, by próbował mi uniemożliwić pożegnanie ze starymi przyjaciółmi. Zadbalem o bezpieczeństwo systemu, a przywódcy MF i WLZ rozumieją, jak ważne jest zachowanie niezależności sieci. Zobaczysz tę wiadomość, kiedy sam wyjdiesz ze stazy po przybyciu na Ganges, za cztery lata.

Pisząc, mam dwa cele. Po pierwsze, chcę, byś wiedział, że rozumiem i pamiętam, jak wielki dług mamy wobec Ciebie ja sam i cały nasz świat. Pięćdziesiąt siedem lat temu, zanim wyruszyłeś na Szekspira, zebrałem twoją pensję należną za czas wojny (wstecznie podniesioną do wysokości poborów admirała), premie finansowe, jakie postanowiono przyznać Tobie i Twojemu jeeshowi w pierwszym przypływie wdzięczności, a także Twoją pensję gubernatora Szekspira, po czym wpłaciłem je na sześć różnych

funduszy inwestycyjnych o nieskazitelnej reputacji.

Fundusze te będą podlegać ciągłemu audytowi przez najlepsze oprogramowanie, jakie znalazłem. Może Cię rozbawi, kiedy powiem, że jest oparte o jądro Gry Fantasy (albo „gry myślowej”, jak także nazywano ją w Szkole Bojowej). Ten program jest zdolny monitorować siebie i wszystkie źródła danych i przeprogramowywać się w reakcji na nowe informacje, więc będzie dobrze dbał o Twoje finansowe interesy. Ludzcy menedżerowie finansowi mogą się okazać niekompetentni, odczuwać pokusę defraudacji albo umrzeć i być zastąpieni przez kogoś gorszego.

Możesz swobodnie czerpać z narosłych odsetek, nie płacąc żadnych podatków, póki nie osiągniesz pełnoletności, która - jako że tak wiele dzieci obecnie podróżuje - obliczana jest na podstawie sumy czasu pokładowego w rejsach dodanej do czasu rzeczywistego pomiędzy rejsami. Czas w stazie liczy się jako zero. Zrobiłem, co mogłem, żeby chronić Twoją przyszłość przed niepewnymi kolejami losu.

Co prowadzi do mojego drugiego celu. Jestem starym człowiekiem, który wierzył, że potrafi manipulować czasem i zobaczyć, jak realizują się wszystkie jego plany. W pewnym sensie to mi się udało. Pociągałem za wiele sznurków i większość moich marionetek skończyła swój taniec. Przeżyłem większość ludzi, których znałem, i wszystkich moich przyjaciół.

Chyba że i Ty jesteś moim przyjacielem. Ja zacząłem tak o Tobie myśleć; mam nadzieję, że nie przekraczam granic znajomości, ponieważ chcę Ci teraz zaoferować przyjacielską radę.

Kiedy znowu czytałem wiadomość, w której prosiłeś, żeby wysłać Cię na Ganges, w zwrocie „mam istotne powody” dostrzegłem możliwość, że wykorzystujesz loty kosmiczne tak, jak ja wykorzystywałem stazę - jako sposób, żeby żyć dłużej. W Twoim przypadku jednak nie próbujesz zobaczyć, jak spełniają się Twoje plany - nie jestem pewien, czy w ogóle masz jakieś plany. Uważam raczej, że usiłujesz oddalić się na dekady, może stulecia, od własnej przeszłości.

Sądzę, że to całkiem chytry plan, jeśli chcesz doczekać, aż przeminie Twoja sława, żyć potem spokojnie i anonimowo, ożenić się i mieć dzieci. Żyć wśród ludzi, którzy nie potrafią sobie nawet wyobrazić, że ich sąsiad Andrew Wiggin ma cokolwiek wspólnego z wielkim Enderem Wigginem, który ocalił świat.

Obawiam się jednak, że próbujesz się oddalić od czegoś innego. Obawiam się, że chcesz się ukryć przed tym, co (całkiem nieświadomie)

zrobiłeś i sprawami ujawnionymi w moim bardzo nieszczęśliwym procesie. Obawiam się, że próbujesz uciec przed śmiercią Stilsona i Bonza Madrida, tysiocy ludzi i miliardów formidów w wojnie, którą tak błyskotliwie i niewyobrażalnie wygrałeś dla nas wszystkich.

Nie uda ci się to, Ender. Nosisz ich wszystkich w sobie. Wciąż będą nawiedzać Twoje myśli, choć cały świat dawno już o nich zapomni. Broniłeś się przed chłopcami, którzy zamierzali cię zniszczyć, i robiłeś to skutecznie. Gdybyś tego nie zrobił, czy wciąż byłbyś zdolny do swoich wielkich zwycięstw? Broniłeś naszej planety przed niezdolnym do rozmów przeciwnikiem, który bez namysłu odbierał ludziom życie, próbując zdobyć nasz świat, nasz dom, nasze dokonania, przyszłość planety Ziemia. Za to, o co sam siebie obwiniasz, ja Cię podziwiam. Proszę, usłysz w myślach mój głos obok swoich samooskarżeń. Postaraj się je zrównoważyć.

Jesteś człowiekiem, którym zawsze byłeś. Takim, który bierze odpowiedzialność, który przewiduje konsekwencje i podejmuje działania, by chronić innych oraz - owszem - siebie. Taki człowiek niełatwo zrzuca swoje brzemie.

Ale nie wykorzystuj lotów kosmicznych jak narkotyku, nie używaj ich, by zapomnieć. Z doświadczenia ci mówię, że życie pocięte na krótkie odwiedziny w naszej cywilizacji to nie życie. Jesteśmy ludźmi, tylko jeśli należymy do społeczeństwa. Kiedy zjawiłeś się w Szkole Bojowej, próbowałem Cię izolować, ale to było niemożliwe. Otoczyłem Cię wrogością; a Ty większość swoich wrogów i rywali zmieniłeś w przyjaciół. Bez oporów nauczałeś wszystkiego, co potrafiłeś, i osiągałeś wyniki nawet ze studentami, z których my, nauczyciele, zrezygnowaliśmy. Niektórzy z nich znaleźli w sobie wielkość i wiele osiągnęli. Przez całe życie nosili Cię w sobie. Lepiej od nas wykonałeś naszą pracę.

Twój jeesh Cię kochał, Ender. Byli Ci oddani tak, że mogłem tylko zazdrościć. Miałem w życiu wielu przyjaciół, ale nigdy tak lojalnych jak te dzieciaki wobec Ciebie. Każdy z nich oddałby za Ciebie życie. Bo wiedzieli, że Ty oddałbyś życie za nich.

Raporty, jakie docierały z kolonii Szekspir - od Sela Menacha, od Ixa Tolo i jego synów, Po i Abry, a także od kolonistów, którzy nawet Cię nie poznali, ale trafili w miejsce przez Ciebie przygotowane - wszystkie dowodzą, że byłeś powszechnie kochany i szanowany, że wszyscy uważali Cię za najlepszego z członków swojej społeczności, swojego dobroczyńcę i przyjaciela.

Mówię Ci o tym, ponieważ się obawiam, że lekcja, której udzieliłem Ci na początku, jest tą, którą opanowałeś najlepiej: że zawsze jesteś sam, że nikt Ci nigdy nie pomoże, że gdy coś trzeba zrobić, możesz to zrobić tylko Ty. Nie potrafię przemówić do głęboko ukrytych zakamarków Twojego umysłu, a tylko do tej wierzchniej warstwy, tej świadomej, która z taką elokwencją rozmawiała i pisała do mnie przez wszystkie te lata. Dlatego mam nadzieję, że moja wiadomość dotrze do Ciebie i przekażesz ją do tej części, która z początku pewnie nie uwierzy.

Jesteś człowiekiem najmniej samotnym ze wszystkich, jakich znam. Zawsze pozostajesz w sercu każdego, komu pozwoliłeś siebie kochać, oraz wielu takich, którym nie pozwoliłeś.

W Twoim sercu spotykają się wszystkie społeczności, które stworzyłeś. Ludzie wiedzieli, że tam trafiają, i to uczyniło ich wspólnotą. A jednak tego daru, który im ofiarowałeś, nikt nie był w stanie ofiarować Tobie - obawiam się, że dlatego, iż zbyt dobrze wykonałem swoją złą robotę: zbudowałem w Twoim umyśle mur, który nie pozwala Ci przyjąć wiedzy, kim naprawdę jesteś.

Irytuje mnie, gdy widzę, że ten Mówca Umarłych swoimi głupimi książeczkami zyskał wpływ, na jaki Ty zasługiwałeś. Ludzie zaczynają zmieniać ten wpływ w religię - pojawiają się samozwańczy mówcy umarłych, którzy ośmielają się przemawiać na pogrzebach i wyjawiać „prawdę” o zmarłym - obrzydliwa profanacja, bo kto może poznać prawdę o kimś innym? Pozostawiłem instrukcje, by żadnego z tych pozerów nie dopuszczać w pobliże mojego pogrzebu, jeśli w ogóle ktoś zechce go urządzać. Ty ocaliłeś świat i nie pozwolono Ci wrócić do domu. Ten hochsztapler wymyśla historię formidów i pisze obronę Twojego brata Petera, a ludzie robią z tego religię. Trudno zrozumieć nasz gatunek.

Masz przy sobie Valentine. Pokaż jej ten list i przekonaj się, czy nie potwierdzi każdego słowa, które tu napisałem. Może nie będę już żył, kiedy to przeczytasz, ale nadal żyje wielu z tych, których znałeś jako uczniów w Szkole Bojowej, w tym większa część Twojego jeeshu. Są już starzy, ale nikt o Tobie nie zapomniał. (Od czasu do czasu koresponduję z Petrą; dwa razy została wdową, ale pozostaje osobą zadziwiająco szczęśliwą i pełną optymizmu, utrzymuje kontakt z pozostałymi). Oni, ja i Valentine możemy potwierdzić, że należałeś do ludzkości głębiej i pełniej niż większość ludzi potrafi sobie wyobrazić.

Znajdź jakiś sposób, żeby w to uwierzyć, i nie ukrywaj się przed życiem

w niezgłębionych, bezświatlnych głębinach przestrzeni relatywistycznej.

Wiele w życiu osiągnąłem, ale największe z moich dokonań to odnalezienie Ciebie, rozpoznanie, kim jesteś, i to, że jakoś udało mi się nie zniszczyć Cię, zanim zdążyłeś ocalić świat. Żałuję tylko, że nie potrafiłem Cię uleczyć. To jednak musi być twoim własnym dokonaniem - a może Valentine. Może przyjdzie to od dzieci, które pewnego dnia musisz, MUSISZ mieć.

Tego bowiem osobiście najbardziej żałuję. Nie ożeniłem się nigdy i nie miałem dzieci. Porywałem dzieci innych ludzi, szkoliłem je - ale nie wychowywałem. Łatwo powiedzieć, że adoptuje się całą ludzkość, ale to nie to samo co żyć w domu razem z dzieckiem, pomagać mu zostać kimś szczęśliwym, spełnionym i dobrym. Nie staraj się przeżyć życia, ani razu nie trzymając dziecka w ramionach, na kolanach, we własnym domu, ani razu nie czując, jak ręce dziecka obejmują Ciebie, nie słysząc jego głosu, nie widząc jego uśmiechu.

Ja nie zaznałem takich chwil, ponieważ nie traktowałem w ten sposób porwanych przeze mnie dzieci w Szkole Bojowej. Dla żadnego z nich nie byłem ojcem ani biologicznie, ani przez adopcję. Ożeń się, Ender. Miej dzieci, adoptuj je albo pożycz - wszystko jedno. Ale niech Twoje życie nie będzie jak moje.

Dokonałem rzeczy wielkich, ale teraz, pod koniec, nie jestem szczęśliwy. Żałuję, że nie pozwoliłem przyszłości samej o siebie zadbać i zamiast przeskakiwać naprzód w czasie, nie założyłem rodziny i nie umarłem w odpowiednim wieku, otoczony dziećmi.

Widzisz, jak otwieram przed Tobą serce? W jakiś sposób mnie też przyjąłeś do swojego jeeshu.

Wybacz starcowi tę gderliwość. Kiedy będziesz w moim wieku, zrozumiesz.

Nie traktowałem Cię jak syna, kiedy byłeś w mojej mocy, ale kochałem Cię jak syna. W tym liście zwracam się do Ciebie tak, jak mógłbym się zwracać do synów. I mówię Ci: Dobrze się spisałeś, Ender. A teraz bądź szczęśliwy.

Hyrum Graff
płk MF w st. spocz.

Kiedy Ender wyszedł ze stazy, zaszokowała go zmiana, jaka zaszła w Valentine w czasie rejsu.

- Mówiłam ci, że nie przejdę do stazy, dopóki nie skończę

swojej książki - wyjaśniła, kiedy zobaczyła jego minę.

- Ale nie zostałam chyba przytomna przez cały lot?

- Zostałam. To nie była czterdziestoletnia podróż w dwa lata, jak ta pierwsza, to tylko czternastoletnia podróż w trochę ponad czternaście miesięcy.

Ender przeliczył szybko w pamięci i zrozumiał, że ma rację. Akceleracja i deceleracja zawsze trwała mniej więcej tyle samo; różnicę w czasie subiektywnym określała długość lotu pomiędzy nimi.

- Mimo to... stałaś się kobietą.

- Pochlebia mi, że zauważyłeś. Byłam rozczarowana, że żaden kapitan statku się we mnie nie zakochał.

- Może jakoś wiąże się to z faktem, że kapitan Hong ma ze sobą żonę i rodzinę.

- Krok po kroku ludzie się uczą, że nie trzeba poświęcać wszystkiego, by zostać gwiazdym wędrowcem.

- Arytmetyka... Mam siedemnaście lat, a ty prawie dwadzieścia jeden.

- Mam dwadzieścia jeden - odparła. - Nazywaj mnie ciocią Val.

- Nic z tego. Skończyłaś książkę?

- Napisałam historię kolonii Szekspir aż do chwili twojego przybycia. Nie mogłabym, gdybyś był przytomny.

- Ponieważ nalegałbym na dokładność?

- Ponieważ nie dałbyś mi pełnego dostępu do swojej korespondencji z Kołmogorowem.

- Moja korespondencja jest podwójnie szyfrowana hasłem!

- Ender, przecież rozmawiasz ze mną. Sądziłeś, że nie odgadnę „Stilsona” i „Bonza”?

- Nie użyłem ich nazwisk w ten sposób, takich gołych.

- Dla mnie były gołe, Ender. Uważasz, że nikt cię nie rozumie, ale ja potrafię odgadnąć twoje hasła. Jestem dla ciebie

hasłowym przyjacielem.

- Jesteś włamywaczem - stwierdził Ender. - Nie mogę się doczekać, żeby przeczytać twoją książkę.

- Nie martw się, twoje nazwisko nie pada. Jego maile są cytowane jako „list do przyjaciela” z datą.

- Ależ jesteś rozważna.

- Nie dąsaj się. Nie widziałam cię od czternastu miesięcy i tęskniłam. Nie staraj się, żebym zmieniła zdanie.

- Widziałem cię wczoraj i przez ten czas włamałaś się do moich plików. Nie licz, że będę to ignorował. Gdzie jeszcze się włamałaś?

- Nigdzie. Twój bagaż jest zamknięty na klucz. Nie jestem kasiarzem.

- Kiedy mogę przeczytać książkę?

- Kiedy ją kupisz i ściągniesz z sieci. Stać cię.

- Nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie czytałeś jeszcze listu od Hyruma Graffa - powiedziała Valentine. - Zapewnił ci przyzwoitą emeryturę i możesz z niej czerpać, nie płacąc żadnych podatków, dopóki nie będziesz pełnoletni.

- Czyli nie ograniczałaś się do tematu swoich badań?

- Nigdy nie wiesz, czy list zawiera przydatne informacje, dopóki go nie przeczytasz.

- To znaczy, że przeczytałaś wszystkie listy napisane w całej historii ludzkości?

- Tylko te napisane od założenia Kolonii Pierwszej po trzeciej wojnie z formidami. - Pocałowała go w policzek. - Dzień dobry, Ender. Witaj znowu w świecie.

Pokręcił głową.

- Nie Ender - powiedział. - Nie tutaj. Tutaj jestem Andrew.

- Ach... Ale dlaczego nie Andy? Albo Drew?

- Andrew - powtórzył Ender.

- Chyba powinieneś zawiadomić o tym gubernator, ponieważ jej zaproszenie adresowane jest do Endera Wiggina.

Ender zmarszczył czoło.

- W Szkole Bojowej w ogóle się nie znaliśmy.

- Domyślałam się, że ona wierzy, że cię zna, skoro była tak blisko związana z połową twojego jeeshu.

- To znaczy, że wgnietli w ziemię jej armię...

- To bardzo intymny związek, przyznasz. Taki układ Grant-Lee.

- Pewnie Graff ją uprzedził, że przylatuję.

- Twoje nazwisko było na liście pasażerów, gdzie znalazła się też informacja, że do zakończenia dwuletniej kadencji byłeś gubernatorem Szekspira. To silnie zawęży wybór między wszystkimi Andrew Wigginiami.

- Byłaś już na powierzchni?

- Nikt nie był. Prosiłam kapitana, żeby pozwolił mi cię obudzić, byś znalazł się na pierwszym promie. Oczywiście był zachwycony, że może cokolwiek zrobić dla wielkiego Endera Wiggina. Należy do tego pokolenia; był na Erosie w dniu twojego zwycięstwa. Mówi, że nieraz widywał cię tam na korytarzach.

Ender przypomniał sobie krótkie spotkanie z kapitanem, tuż przed wejściem w stazę.

- Nie rozpoznałem go.

- Nie liczył na to. To naprawdę miły człowiek. O wiele lepszy w tym fachu niż ten poprzedni... jak mu było...

- Quincy Morgan.

- Pamiętam jego nazwisko, Ender. Po prostu nie mam ochoty go wymawiać ani słyszeć.

Ender się umył. Po stazie miał uczucie, że całe ciało pokrywa jakiś osad, a skóra chrzęści delikatnie przy każdym ruchu. To na pewno niezdrowe, myślał, szorując mocno, aż

skóra protestowała, wysyłając ukłucia bólu. Ale Graff tkwi w stazie przez dziesięć miesięcy w roku, a nadal świetnie się trzyma.

I zorganizował mi emeryturę. To miło. Nie wyobrażam sobie, żeby Ganges używał waluty Hegemonii, podobnie jak Szekspir. Ale kiedy handel międzygwiazdny naprawdę się rozwinie, może dolary WLZ zyskają jakąś siłę nabywczą.

Umyty i ubrany, odebrał swój bagaż z magazynu i w zamkniętej kabinie Valentine - z której dyskretnie się wyniosła - otworzył skrzynkę zawierającą kokon ostatniej królowej kopca we wszechświecie.

Przez chwilę się bał, że umarła podczas lotu. Ale nie - kiedy przez kilka minut potrzymał kokon w dłoniach, obraz zamigotał mu w myślach. A raczej cała seria szybko się zmieniających obrazów: twarze setek królowych, tysiący, następujące po sobie tak szybko, że żadnej nie potrafił się przyjrzeć. Całkiem jakby po przebudzeniu - po restarcie - wszystkie przodkinie tej konkretnej królowej musiały pojawić się w pamięci, nim odeszły i pozwoliły jej odzyskać kontrolę nad własnym umysłem.

To, co nastąpiło potem, nie było rozmową; nie mogło nią być. Kiedy jednak Ender ją wspominał, wydawała się konwersacją - kompletną, razem z dialogiem. Całkiem jakby jego mózg nie był zaprojektowany do pamiętania tego, co działo się między nimi, tego bezpośredniego transferu ukształtowanej pamięci. Musiał tłumaczyć wymianę myśli na normalny tryb ludzkiego, wzajemnie responsywnego języka.

- Czy to mój nowy dom? Czy pozwolisz mi wyjść?

Tak spytała, a raczej pokazała mu siebie wynurzającą się z kokonu w chłodne powietrze jaskini. Wraz z obrazem nadeszło odczucie pytania - a może żądania?

- Za szybko - odpowiedział. W jego umyśle to naprawdę były słowa, a przynajmniej idee możliwe do wyrażenia słowami. -

Nikt jeszcze o tobie nie zapomniał. Będą przerażeni. Zabiją cię, jak tylko odkryją ciebie albo któreś z twoich dzieci.

- Znowu czekanie - powiedziała. - Wiecznie czekanie.

- Tak. Będę podróżował tak często, jak tylko zdołam, tak daleko, jak to możliwe. Pięćset lat. Tysiąc lat. Nie wiem, ile czasu trzeba, zanim będę mógł cię bezpiecznie wypuścić, ani gdzie to nastąpi.

Przypomniała mu, że nie podlega relatywistycznym efektom podróży kosmicznych.

- Nasze umysły działają na takiej zasadzie, jak wasze ansible. Zawsze jesteśmy połączone z rzeczywistym czasem wszechświata.

Do tej wypowiedzi użyła obrazu zegarów, który pobrała z jego pamięci. Jej własną metaforą dla czasu był ruch słońca po niebie dla oznaczenia dni, a dla lat jego dryf na północ i z powrotem na południe. Królowe kopców nigdy nie potrzebowały dalej dzielić czasu na godziny, minuty i sekundy, ponieważ z jej dziećmi - formidami - wszystko działo się nieskończenie teraz.

- Przykro mi, że musisz doświadczać całego czasu lotu - rzekł Ender. - Ale sama chciałaś, żebym podróżował w stazie, żebym zachował młodość dostatecznie długo, by znaleźć ci dom.

Staza - porównała jego hibernację z własnym przepoczwarzeniem.

- Ale wychodzisz taki sam. Żadnej zmiany.

- My, ludzie, nie zmieniamy się w kokonach. Zachowujemy przytomność w całym procesie dojrzewania.

- A więc dla ciebie ten sen nie jest narodzinami.

- Nie. To chwilowa śmierć. Wygaszenie, ale z wciąż jarzącą się w popiele iskrą. Nawet nie śniłem.

- Ja wyłącznie śnię - oświadczyła. - Śnię całą historię mojego ludu. To moje matki, ale teraz również siostry, gdyż pamiętam, jak robiłam wszystko to co one.

Sięgnęła do obrazów Petera i Valentine, by powiedzieć „siostry”. A kiedy pojawiła się twarz Petera, wspomnieniu towarzyszył strach i ból.

- Już się go nie boję - zapewnił Ender. - Ani nie nienawidzę. Okazał się wielkim człowiekiem.

Ale królowa kopca mu nie uwierzyła. Ściągnęła z jego umysłu obraz starego człowieka z ansiblowych rozmów i porównała z dzieckiem z najgłębszych wspomnień Endera. Wydawali się zbyt odmienni, by być tym samym człowiekiem.

Ender nie mógł się z nią spierać. Peter Hegemon nie był Peterem potworem. Może nigdy nim nie był. Może obaj byli jedynie iluzją. Ale Peter potwór głęboko utkwiał w pamięci Endera i niewielka istniała szansa, by kiedykolwiek udało się go usunąć.

Umieścił kokon z powrotem w jego kryjówce, zamknął na klucz, a potem zostawił na wózku z bagażami transportowanymi na powierzchnię.

Virloomi osobiście wyszła na spotkanie promu; i natychmiast jasno pokazała, że okazuje tę uprzejmość wyłącznie z powodu Endera. Weszła na pokład, żeby z nim porozmawiać.

Ender nie uznał tego za dobry znak. Kiedy czekali, aż się zjawi, spojrzął na Valentine.

- Nie chce mnie tutaj. Woli, żebym wrócił na statek.

- Zaczekaj, aż się przekonamy - odparła. - Może chce tylko sprawdzić, co zamierzasz.

Virloomi wyglądała na o wiele starszą od tej dziewczyny, której twarz Ender oglądał na widach wojny chińsko - indyjskiej. Rok czy dwa rozpamiętywania porażki, a potem szesnaście lat zarządzania kolonią musiały wywrzeć skutek.

- Dziękuję, że zgodziliście się na moją tak wczesną wizytę - powiedziała.

- Swoim powitaniem wyświadczyłaś nam wyjątkowy zaszczyt
- odparł Ender.

- Musiałam cię zobaczyć, zanim pojawisz się w kolonii.
Przysięgam, że nikomu nie mówiłam o twoim przybyciu.

- Wierzę ci - zapewnił Ender. - Ale twoja wypowiedź
sugeruje, że ludzie wiedzą o mojej obecności.

- Nie. Nie ma żadnych plotek o tobie, dzięki Bogu.

Któremu Bogu? - zastanowił się Ender. A może, skoro
podobno sama była boginią, dziękuje sobie?

- Kiedy pułkownik Graff, czy jaki tam miał wtedy tytuł, dla
mnie zawsze będzie pułkownikiem Graffem... kiedy powiedział,
że prosił, byś tu przyleciał, to dlatego, że przewidywał kłopoty z
pewną matką i synem.

- Nichelle i Randall Firth - stwierdził Ender.

- Tak. I tak się składa, że ja również dostrzegłam w nich
potencjalne źródło problemów, jeszcze przed odlotem, w dawnej
Szkole Bojowej... to znaczy na Wyspie Ellis, czy jak się wtedy
nazywało to miejsce. Dlatego zrozumiałam jego niepokój. Nie
wiedziałam tylko, czemu jego zdaniem potrafisz poradzić sobie z
nim lepiej ode mnie.

- Nie jestem pewien, czy potrafię. Może chciał tylko zapewnić
ci wsparcie, gdybym miał jakieś pomysły. Czy stali się
problemem?

- Matka to typowa samotnicza paranoiczka. Ale pracowała
tu ciężko. I chociaż wydawała się obsesyjnie zaborcza względem
syna, w ich związku nie było żadnej perwersji; nigdy nie
próbowała trzymać go w swoim łóżku ani nie kąpała go, odkąd
przestał być niemowlakiem. Czyli żadnych oznak zagrożenia.
Był bardzo małym dzieckiem, prawie jak zabawka. Ale
niesamowicie wcześnie zaczął mówić i chodzić. Szokująco
wcześnie.

- I ciągle był mały - dopowiedział Ender. - Dopóki nie stał się

nastolatkiem. Po prostu ciągle rósł w normalnym tempie, a potem nie przestawał. Wyobrażam sobie, że w tej chwili jest olbrzymem.

- Pełne dwa metry wzrostu i ciągle rośnie - potwierdziła Virlomi. - Skąd wiedziałeś?

- Ponieważ wiem, kim są jego rodzice.

Virlomi syknęła.

- Graff wie, kim jest jego prawdziwy ojciec. I nie powiedział mi. Jak miałam rozwiązać tę sytuację, jeśli nie przekazał mi wszystkich informacji?

- Wybacz, że o tym przypominam - rzekł Ender - ale nie cieszyłaś się wtedy powszechnym zaufaniem.

- Sądziłam, że skoro mianował mnie gubernatorem, udzieli mi... Cóż, to już przeszłość. Było, odeszło.

Ender się zastanawiał, czy rzeczywiście Graff już odszedł. Nie było go w żadnym rejestrze ewidencji zgonów, jaki znalazł, ale stracił już przywilej nieograniczonego dostępu do ansibla. Istniały dokładniejsze metody wyszukiwania, na które po prostu nie starczyło mu czasu.

- Graff nie chciał pozbawiać cię wiedzy. Dlatego oddał ją mnie i mojej decyzji pozostawił, ile ci przekazać.

- Więc ty również mi nie ufasz?

Jej głos brzmiał żartobliwie, ale kryło się pod nim cierpienie.

- Nie znam cię - odparł Ender. - Prowadziłaś wojnę z moimi przyjaciółmi. Uwolniłaś swój kraj od najeźdźców, ale potem sama stałaś się mściwym najeźdźcą. Nie wiem, co zrobić z tą informacją. Pozwól, że podejmę decyzję, kiedy już cię poznam.

Valentine odezwała się po raz pierwszy od powitania.

- Ale co takiego się zdarzyło, co kazało ci zapewnić nas, że nikomu nie powiedziałaś o przybyciu Endera?

Virlomi spojrzała na nią z szacunkiem.

- To element długotrwałego konfliktu między mną a

Randallem Firthem.

- Przecież jest jeszcze dzieckiem - zdziwił się Ender.

Virlomi zaśmiała się z goryczą.

- Czy absolwenci Szkoły Bojowej naprawdę potrafią tak do siebie mówić?

Ender parsknął.

- Najwyraźniej tak. Jak długo już trwa ten konflikt?

- Zanim Randall Firth skończył dwanaście lat, był już tak wytrawnym i nad wiek rozwiniętym... oratorem, że pierwsi osadnicy i niehinduscy koloniści, którzy przylecieli ze mną, jedli mu z ręki. Z początku był tylko ich inteligentną maskotką. Teraz jest bliższy... przywódcy duchowemu albo...

- ...ich Virlomi - dokończył Ender.

- Rzeczywiście, traktują go podobnie jak mnie hinduscy koloniści - przyznała. - Nigdy nie twierdziłam, że jestem boginią.

- Nie wracajmy już do tych starych spraw.

- Chcę tylko, żebyście znali prawdę.

- Nie, Virlomi - odezwała się znowu Valentine, całkiem nie w porę, a przynajmniej tak sugerowała mina Virlomi. - Świadomie zbudowałaś obraz bogini, a kiedy ludzie pytali, odpowiadałaś nieprzeczącymi zaprzeczeniami w stylu: „Od kiedy to boginie chodzą po ziemi?”, „Czy bogini myliłaby się tak często?”. Czy też najbardziej obrzydliwie zwodniczym ze wszystkich: „A jak myślisz?”.

Virlomi westchnęła.

- Nie masz litości.

- Mam wiele litości. Po prostu nie mam dobrych manier.

- Tak - przyznała Virlomi. - Randall mnie obserwował i uczył się, jak kieruję Hindusami, jak mnie wielbią. Jego grupa nie ma wspólnej religii ani tradycji. Ale skonstruowali je sobie, zwłaszcza że wszyscy czytali tę złowrogą książkę, „Królową

kopca”.

- Czemu jest złowroga? - spytał Ender.

- Bo to same kłamstwa. Kto może wiedzieć, co królowe kopców myślały, czuły, pamiętały albo próbowały zrobić? Ale ta książka zmieniała formidów w tragiczne ofiary, zwłaszcza w umysłach łatwowiernych głupców, którzy uczą się całego tekstu na pamięć.

Ender parsknął śmiechem.

- Sprytny chłopak.

- Co takiego? - Virlomi spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jak zgaduję, mówisz mi to dlatego, że jakoś podaje się za dziedzica królowych kopców.

- Co jest kompletnym absurdem, ponieważ jesteśmy właśnie pierwszą kolonią, która nie powstała na gruzach dawnej cywilizacji formidów.

- Więc jak mu się to udało?

- Twierdzi, że hinduscy mieszkańcy, to znaczy osiemdziesiąt procent populacji, próbują dokładnie odtworzyć kulturę, w jakiej żyli na Ziemi. Tymczasem on i jego wyznawcy starają się stworzyć coś nowego. I naprawdę ma czelność nazywać ten swój ruch Rodowitymi Gangesu. Powtarza, że Hindusi są jak szakale na innych światach: niszczą rodowitych mieszkańców i kradną to, co tamci zbudowali.

- Ludzie to kupują?

- Większość niehinduskich kolonistów stara się zachować dobre stosunki ze wszystkimi.

- Ale niektórzy mu wierzą?

- Miliony.

- Nie ma aż tylu kolonistów - zauważyła Valentine.

- On nie gra tylko dla miejscowych - wyjaśniła Virlomi. - Wysyła swoje teksty ansiblem. Placówki Rodowitych Gangesu znajdują się w większości dużych miast. Nawet w Indiach.

Miliony, jak mówię.

- W sieciach widziałam, że określa się ich tylko jako Rodowitych. Nie zwracałam uwagi. To się zaczęło tutaj?

- Uważają „Królową kopca” za swoje pismo święte, a formidów za duchowych przodków - wyjaśniła Virlomi. - Na Ziemi ich doktryna jest niemal całkowitym przeciwieństwem tego, co Randall głosi tutaj. Twierdzą, że rząd WLZ powinien zostać zlikwidowany, ponieważ eliminują „naturalne”, „rodowite” ziemskie kultury. Nie chcą mówić we wspólnym. Demonstracyjnie wyznają tradycyjne miejscowe religie.

- Tymczasem tutaj Randall potępia twoich obywateli właśnie za to, że zachowują swoją dawną ziemską kulturę - stwierdził Ender.

- Tak. Ale w jego opinii nie ma w tym sprzeczności, bo nie tutaj hinduska kultura ma swój początek. To nowe miejsce, a więc on i jego Rodowici Gangesu tworzą prawdziwą nową, miejscową kulturę tego świata, zamiast odgrzewanej kopii tej starej, z Ziemi.

Ender parsknął śmiechem.

- Dla ciebie to zabawne - mruknęła Virlomi.

- Wcale nie. Pomyślałem tylko, że Graff naprawdę był geniuszem. Nie tak inteligentny jak dzieciaki, które trenował w Szkole Bojowej, ale... Randall był jeszcze niemowlakiem na rękach matki, a Graff już wiedział, że narobi kłopotu.

- I wysłał cię na ratunek?

- Wątpię, czy potrzebujesz ratunku.

- Nie, nie potrzebuję. Już sobie poradziłam. Sprowokowałam go i zaatakował mnie w moim domu. Jest to nagrane, odbyła się rozprawa i skazano go na wygnanie. Wraca na Ziemię, razem ze wszystkimi malkontentami, którzy mają ochotę mu towarzyszyć.

Ender pokręcił głową.

- I nie przyszło ci do głowy, że właśnie tego od ciebie oczekiwał?

- Oczywiście, że przyszło. Ale to mnie już nie obchodzi, byle tylko go tu nie było.

Ender westchnął.

- Oczywiście, że cię to obchodzi, Virloomi. Jeśli już ma tam wyznawców, a teraz wróci na Ziemię jako wygnaniec z planety, którą nazywa „rodowitym światem”, to właśnie zasiałaś ziarno, które może przewrócić WLZ i odtworzyć chaos i nienawiść, które Peter Wiggin przerwał całkiem niedawno.

- Nie mój problem - stwierdziła krótko Virloomi.

- Nasza generacja straciła władzę - powiedział Ender. - Wszędzie poza kilkoma dalekimi koloniami. Peter nie żyje. Jego następcy to bezbarwni biurokraci. Myślisz, że poradzą sobie z Randallem Firthem?

Zawahała się.

- Nie.

- Czy jeśli świadomie zarażasz kogoś wirusem, a wiesz, że jego ciało nie potrafi go zwalczyć, czy nie mordujesz go w ten sposób?

Virloomi ukryła twarz w dłoniach.

- Wiem... Próbowałam nie wiedzieć, ale wiem.

- Nadal nie mogę zrozumieć - powiedziała Valentine - dlaczego w swoich pierwszych słowach protestowałaś, że nie mówiłaś nikomu o przylocie Endera. Dlaczego to takie ważne?

Virloomi uniosła głowę.

- Ponieważ w czasie procesu i potem on cały czas wykorzystywał Endera. I nawiązywał do tego potwora, swojego ojca... Potwora, którego uważa za ojca.

- A konkretnie? - zachęciła ją Valentine.

- Nazywa go Enderem Ksenobójcą. Mówi, że jest najgorszym zbrodniarzem wojennym w historii, ponieważ to on wymordował

rodowitych mieszkańców wszystkich tych światów, aby mogli przyjść złodzieje i ukraść ich domy i ziemie.

- To było do przewidzenia - mruknął Ender.

- Petera nazywa Bratem Ksenobójcy, który próbował wymazać wszystkie rodowite kultury Ziemi.

- Coś takiego...

- Natomiast Achilles Flandres nie był potworem, to tylko propaganda grupy proksenobójczej. Achilles jako jedyny stanął na drodze planom Petera i Endera. Próbował cię powstrzymać w Szkole Bojowej, więc twoi przyjaciele doprowadzili do odesłania go na Ziemię i zamknięcia w szpitalu dla psychicznie chorych. Potem, kiedy uciekł i zaczął działać, by walczyć z zagrożeniem, że hegemon zostanie dyktatorem świata, ruszył walec propagandowy Petera, uruchamiając lawinę oszczerstw. - Virilomi westchnęła. - A do tego Randall przez cały czas udaje wielki szacunek dla mnie. Nazywa mnie bohaterką, która wystąpiła przeciwko jeeshowi ksenobójców: Hanowi Tzu, Alai, Petrze i wszystkim, którzy z tobą służyli.

- A jednak cię uderzył.

- Twierdzi, że został sprowokowany, że wszystko było ukartowane. Gdyby człowiek jego wzrostu i siły rzeczywiście chciał mi zrobić krzywdę, byłabym martwa. Starał się mnie tylko obudzić, skłonić, bym dostrzegła ogrom kłamstw, w jakich żyję i jakim wierzę. Jego wyznawcy całkowicie akceptują to wyjaśnienie. Albo też nie przejmują się, czy jest zgodne z prawdą.

- Miło, że nawet kiedy jestem w stazie, ktoś uważa mnie za użytecznego.

- To nie jest żart. Wszędzie w sieciach te jego rewizjonistyczne poglądy zyskują coraz większe poparcie. Wszystkie bzdury z procesu Graffa jeszcze bardziej zyskują na znaczeniu. Fotografie martwych ciał... tych brutalii...

- Och, domyślam się - uspokoił ją Ender.

- Musiałam cię o tym zawiadomić jeszcze przed zejściem z promu - ciągnęła Virlomi. - On nie mógł wiedzieć, że przylatujesz. Po prostu wybrał akurat tę chwilę, żeby przywołać twoje imię. Pewnie dlatego, że ja używałam imienia Achillesa jako symbolu potwora. Postanowił więc wykorzystać ciebie, by wyprzedzić Achillesa w potworności. Gdyby nie „Królowa kopca”, ten obrzydliwy stek kłamstw, nie znalazłby tak żyznego gruntu dla swoich bzdur.

- Zrobiłem wszystko, o co mnie oskarża - przypomniał jej Ender. - Tamci chłopcy umarli. Tak samo jak wszyscy formidzi.

- Ale nie jesteś mordercą. Ja też przecież czytałam stenogramy. I rozumiałam. Byłam w Szkole Bojowej, rozmawiałam z ludźmi, którzy cię znali, wszyscy wiedzieliśmy, jak dorośli kształtowali nasze życie i jak nas kontrolowali. I wszyscy rozumieliśmy, że ta twoja niszcząca samoobrona była perfekcyjną doktryną wojskową.

Ender jak zwykle, kiedy ktoś próbował go usprawiedliwić, pozostawił te słowa bez komentarza.

- No więc, Virlomi, nie jestem pewien, co twoim zdaniem powinienem teraz zrobić.

- Mógłbyś wrócić na statek i odlecieć. - I o to właśnie mnie prosisz?

- Nie przyleciał tu, żeby odebrać ci stanowisko - zapewniła Valentine. - Nie jest dla ciebie zagrożeniem.

Virlomi się roześmiała.

- Nie próbuję się pozbyć twojego brata, Valentine. Ender, zostań, jak długo zechcesz. Jeśli zostaniesz, na pewno przyda mi się twoja pomoc i rada. Dla mnie dobrze, że przyleciałeś. Randall nie będzie miał wyboru i zwróci całą swą nienawiść przeciwko tobie. Proszę, zostań.

- Cieszę się, że tak mówisz - odparł Ender. - Przyjmuję

zaproszenie.

- Nie - sprzeciwiła się Valentine. - Taka sytuacja prowadzi do przemocy.

- Obiecuję nikogo nie zabić, Valentine.

- Chodzi mi o przemoc skierowaną przeciw tobie.

- Mnie też.

- Jeśli uda mu się doprowadzić tłum do wrzenia...

- Nie - rzekła stanowczo Virlomi. - Z tej strony nie masz się czego obawiać. Będziesz miał ochronę.

- Nikt nikogo nie potrafi ochraniać w pełni - zauważyła Valentine.

- Jestem pewien, że ludzie Virlomi doskonale się sprawdzą - oświadczył Ender. - Jak powiedziałem, przyjmuję twoje uprzejme zaproszenie. A teraz zostawmy tę łódkę i zejźmy na brzeg, co?

- Jak sobie życzysz. Cieszę się, że będziesz tutaj. Ale zostałeś ostrzeżony i dopóki statek czeka na orbicie, możesz jeszcze odlecieć. Nie spodoba ci się, kiedy Randall przeciw tobie skieruje swój gniew. Potrafi używać słów.

- Tylko słów? - upewnił się Ender. - Czyli żadnej przemocy?

- Jak dotąd.

- A więc jestem bezpieczny. Dziękuję za wielki zaszczyt, jaki mi wyświadczyłaś. Proszę, podaj informację, że tutaj jestem. I że jestem właśnie tym Andrew Wigginem.

- Jesteś pewien?

- Wariaci zawsze są pewni - mruknęła Valentine.

Ender się zaśmiał, Virlomi także zachichotała nerwowo.

- Zaprosiłabym was dzisiaj na kolację. Tyle że jednym z moich przyzwyczajzeń jest skromne jedzenie. I oczywiście jako Hinduska mam dietę czysto wegetariańską.

- Powiedz gdzie i kiedy, a przyjdziemy - obiecał Ender.

Po kilku słowach pożegnania Virlomi wyszła.

- Zabrałeś mnie tutaj, żebym oglądała twoją śmierć? - spytała Valentine, rozgniewana i zasmucona równocześnie.

- Nigdzie cię nie zabierałem. Sama przyleciałaś.

- To nie jest odpowiedź.

- Każdy w końcu umiera, Valentine. Mama i tato nie żyją. Peter nie żyje. Graff prawdopodobnie też.

- Zapominasz, że cię znam, Ender - oświadczyła Valentine. - Postanowiłeś zginąć. Postanowiłeś sprowokować tego chłopca, żeby cię zabił.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- A czyich nazwisk użyłeś jako haseł? Nie potrafisz żyć z wyrzutami sumienia.

- To nie są wyrzuty sumienia, Val. To odpowiedzialność.

- Nie zmuszaj tego chłopca, żeby cię zabił - poprosiła.

- Nikogo do niczego nie będę zmuszał. Co ty na to?

- Powinnam zostać w domu i patrzeć, jak Peter podbija świat.

- Ależ nie, Valentine. Znaleźliśmy się na o wiele ciekawszej czasoprzestrzennej trajektorii.

- Nie mam zamiaru przespać całego życia, tak jak ty, Ender. Mam pracę do wykonania. Zamierzam nadal pisać swoje historie. Nie ciąży mi twoje pragnienie śmierci.

- Gdybym pragnął własnej śmierci, pozwoliłbym Bonzo Madridowi i jego kumplom rozchlapać mój mózg na kafelkach w łazience w Szkole Bojowej.

- Znam cię...

- Wiem, że tak ci się wydaje. A jeśli zginę, pomyślisz, że tego chciałem. Ale prawda jest bardziej złożona. Nie zamierzam tu zginąć. Ale nie obawiam się ryzykować życia. Czasami żołnierz musi się zmierzyć z niebezpieczeństwem, aby odnieść zwycięstwo.

- To nie jest twoja wojna - rzekła Valentine.

Ender zaśmiał się gorzko.
- To zawsze jest moja wojna.

Rozdział. 22

To: VWiggin%Ganges@ColLeague.Adm/voy
From: AWiggin%Ganges@ColLeague.Adm/voy
Subject: Jeśli nie żyję
Kochana Val,

Nie spodziewam się, że zginę. Spodziewam się, że będę żywy, a wtedy nie otrzymasz tego listu, ponieważ będę nadawał kod „nie wysyłaj” aż do zakończenia tej nadchodzącej konfrontacji.

Chodzi o tę moją skrzynkę. Kod otwierający zamek to imię Twojego ukochanego pluszowego zwierzaka z dzieciństwa. Kiedy ją otworzysz, przez dłuższy czas potrzymaj w rękach to, co znajdziesz. Jeśli wpadniesz na jakiś dobry pomysł, działaj; jeśli nie, zapakuj obiekt dokładnie tak, jak go znalazłaś, i postaraj się wysłać go do Abry Tolo na Szekspirze, z wiadomością: „To jest to, co znalazłem tamtego dnia. Proszę, nie pozwól, żeby zostało zniszczone”.

Ale nie będziesz musiała tego robić, bo zgodnie ze swoim zwyczajem spodziewam się zwycięstwa.

Ucałowania
Twój wymagający i tajemniczy młodszy brat
Ender
choć powinienem chyba napisać: Ended

Ponieważ statek nie wiozł nowych kolonistów, dla większości mieszkańców Andhry jego przyłot nie miał właściwie znaczenia. Oczywiście wszyscy się zjawili, aby patrzeć, jak ląduje prom. Nastąpiło pewne poruszenie, gdy wyładowano sporo towarów handlowych, a załadowano obfite zapasy. Jednak ludzie szybko stracili zainteresowanie i wrócili do swojej pracy. Wizyta na promie gubernator Virlomi, przez tych, którzy o niej słyszeli, została uznana za świadectwo dobrych manier. Większość nie zdawała sobie sprawy, co w takich sytuacjach nakazuje protokół, więc nie mieli pojęcia, że został zmieniony. A ci, którzy wiedzieli, uznali za element charakteru Virlomi - albo jej pozy -

fakt, że nie czekała, aż goście ją odwiedzą.

Dopiero kiedy wieczorem obcy zjawili się na kolacji w domu Virlomi, który Achilles i inni Rodowici Gangesanie nazywali „rezydencją gubernatora”, pobudzili ciekawość niektórych osób. Nastoletni chłopiec i młoda, dwudziestoletnia kobieta... Czemu byli jedynymi pasażerami tego statku? Dlaczego Virlomi tak wyjątkowo ich zaszczyca? To nowi koloniści, urzędnicy Hegemonii... czy ktoś jeszcze?

Ponieważ tym właśnie statkiem Achilles miał się udać na wygnanie, bardzo mu zależało, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co mogłoby uniemożliwić realizację tego planu. Goście byli niezwykli, nieoczekiwani, niezapowiedziani i niewytłumaczalni. A to znaczyło, że stanowią okazję, by przynajmniej wprawić Virlomi w zakłopotanie - może pokrzyżować jej szyki, a nawet ją zniszczyć, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Jego zwolennicy potrzebowali dwóch dni, aby zaprzyjaźnić się z załogą. W końcu ktoś dostał w ręce listę pasażerów i znalazł nazwiska. Valentine Wiggin, studentka. Andrew Wiggin, student.

Student?

Achilles nie musiał nawet niczego sprawdzać. Statek ostatnio zawijał do kolonii Szekspir. Aż do jego przybycia gubernatorem Szekspira był Andrew Wiggin, admirał MF w stanie spoczynku, sławny dowódca floty MF podczas trzeciej wojny z formidami. Dwa loty kosmiczne z prędkością relatywistyczną wyjaśniały wiek tego chłopca. Chłopca? Był o rok starszy od Achillesa.

Wiggin był wysoki (ale Achilles wyższy), silny (lecz Achilles silniejszy). Został wybrany do Szkoły Bojowej, ponieważ był inteligentny, ale Achilles jeszcze w życiu nie spotkał nikogo, kto byłby tak inteligentny jak on. Virlomi też była w Szkole Bojowej, lecz zdarzało się jej przeoczyć to, co on dostrzegał, i myślała

tylko dwa ruchy naprzód zamiast dziesięciu. A była chyba najbliższa jego klasie.

Achilles nauczył się ukrywać swoją inteligencję i traktować innych, jakby byli mu równi. Ale znał prawdę i liczył na nią: był szybszy, inteligentniejszy i mądrzejszy od wszystkich pozostałych. Czy jako zaledwie chłopiec z dalekiej kolonii, używając tylko ansiblowych wiadomości o najniższym priorytecie, nie stworzył znaczącego ruchu politycznego na Ziemi?

Nawet inteligentni ludzie czasami po prostu mają szczęście. Przybycie Wiggina właśnie teraz najwyraźniej mieściło się w tej kategorii. Wiggin nie mógł wiedzieć, że ląduje w kolonii, gdzie mieszka syn Achillea Wielkiego, którego śmierć zaaranżował brat Endera. A kiedy Achilles, nazywany Randallem, rozpoczął atak na reputację Endera, nazywając go Ksenobójcą, nie miał pojęcia, że po kilku miesiącach ten właśnie Ksenobójca będzie jadł kolację w domu Virlomi.

Nietrudno było zdobyć zdjęcie Virlomi i Wiggina razem. Równie łatwo było ściągnąć z sieci zdjęcie hegemonia w tym samym wieku, w jakim teraz był Ender. Wystarczyło ułożyć je obok siebie, by od razu dostrzec, że są braćmi, tak silne było podobieństwo. Achilles wystawił wtedy zdjęcia Endera i Virlomi, żeby każdy widział, jak to brat Petera kontaktuje się z antyrodowitą gubernator Gangesu.

Nieważne, że to Peter zesłał Virlomi na wygnanie. Achilles odrzucił to jako oczywiste oszustwo. Virlomi od początku była elementem spisku Petera - gdyby ktoś miał wątpliwości, wyraźnie dowodził tego fakt, że zadaje się z Enderem Wigginem.

Teraz Achilles mógł przedstawić swoje wygnanie jako oczywisty element spisku Virlomi i sterujących nią Wigginów - siostra Endera też się więc przydała. Chcieli się go pozbyć, żeby ksenobójcze, antyrodowite spiski mogły bez przeszkód rozwijać

się na Gangesie.

Trzeba było tygodnia, żeby ta historia dotarła do Ziemi, lecz komputery pracowały bezstronnie i Virlomi nie mogła go powstrzymać od rozsyłania wieści. Lokalnie, oczywiście, historia i zdjęcia pojawiły się natychmiast.

Achilles z radością obserwował, jak ludzie zaczynają pilnować każdego kroku Wiggina. Na wszystko, co zrobił czy powiedział, spoglądano przez pryzmat oskarżeń Achillesa. Nawet Hindusów, którzy traktowali Achillesa podejrzliwie lub wrogo, zdjęcia przekonały, że Achilles nie kłamie. Co więc się dzieje?

Zapłacisz teraz, Virlomi. Zaatakowałaś mojego ojca, a poprzez niego i mnie. Próbowowałaś mnie stąd przepędzić, miałaś nadzieję, że moja matka zniknie razem ze mną. Tymczasem ja zaatakowałem Endera Wiggina, a poprzez niego ciebie - a ty bardzo uprzejmie przyjęłaś go jako honorowego gościa dokładnie w tej chwili, kiedy jest to dla mnie najbardziej użyteczne.

Trzy dni po publicznym zdemaskowaniu Endera Wiggina Achilles wykonał kolejny ruch. Tym razem użył zastępczego autora - jednego ze swych bardziej inteligentnych zwolenników, który potrafił nawet sensownie składać zdania - aby opublikować oskarżenie, pozornie przeczące, jakoby Virlomi planowała, by sam Ender Wiggin zabił Randalla Firtha podczas podróży na Ziemię. Niby Randall Firth został wygnany, ale potem nikt by go już nie zobaczył.

Randall Firth obraził nie tylko Virlomi - pachołka Wigginów - ale cały hegemonistyczny spisek. Mówi się więc, że musi zostać wyeliminowany. Nie odkryliśmy jednak żadnych dowodów, które by potwierdzały tę teorię, zatem musimy ją odrzucić jako bezpodstawne podejrzenie. Jak więc możemy inaczej wytłumaczyć wielokrotne tajne spotkania Wiggina z Virlomi?

Randall Firth, gdy go o to spytano, stwierdził, że Virlomi jest zbyt

inteligentna, by otwarcie zadawać się z Wigginem, gdyby istotnie planowała jakąś drastyczną akcję przeciwko niemu. A zatem nie lęka się niczego.

My jednak zastanawiamy się, czy Virlomi nie liczy właśnie na takie założenie Firtha, które uśpi jego czujność.

Czy gubernator będzie nalegała, by Firth podróżował w stazie, a wtedy Wiggin na pokładzie statku dopilnuje, by już nigdy się nie obudził? Zbyt łatwo byłoby nazwać to wypadkiem.

Firth jest za odważny i nie liczy się z własnym bezpieczeństwem. Przyjaciele martwią się o niego bardziej niż on sam.

Tym razem atak Achillesa wywołał reakcję Virlomi, a w końcu na tym mu zależało. „Wizyta Andrew Wiggina jest oczywistym przypadkiem. Wyruszył w kosmos, gdy Randall Firth był jeszcze niemowlakiem, a kolonia Ganges nie została jeszcze założona”.

„W oczywisty sposób to zaprzeczenie niczemu nie zaprzecza” - pisał zwolennik Achillesa. „Virlomi twierdzi, że wizyta Wiggina jest przypadkiem, ale nie twierdzi, że Randall Firth nie znajdzie się na jego łasce podczas swego lotu na wygnanie - czy też, jak twierdzą niektórzy, po śmierć”.

Kolonie rozdarły gorące dyskusje i Achilles z zachwytem zauważył, że nawet Hindusi stawali teraz po stronie twierdzących: „Nie można wysłać Randalla tym samym statkiem co Wiggina”. „Czy nie zamordował już dwójki dzieci?”. „Przestępstwo Randalla Firtha nie powinno być ukarane śmiercią”.

Pojawił się oddolny ruch, żądający zmiany wyroku na Randalla Firtha i zatrzymanie go na Gangesie. Mówiono nawet o aresztowaniu Endera Wiggina za zbrodnie wojenne. Achilles nagłośnił tę propozycję, wypowiadając się publicznie przeciwko niej. „Z pewnością minął okres przedawnienia nawet za potworną zbrodnię ksenocydu. Minęło sześćdziesiąt jeden lat, odkąd Ender Wiggin unicestwił królowe kopców. Jaki sąd ma

nad nim teraz jurysdykcję?”.

Tymczasem zainteresowanie na Ziemi było tak wielkie, że wszelkie teksty Achillesa i jego zwolenników otrzymały wyższy priorytet w kolejce do ansibla. Na Ziemi pojawiły się otwarte żądania, by MF aresztowała Andrew Wiggina i sprowadziła go na Ziemię, by postawić przed sądem. Sondaże wykazały nawet istnienie niewielkiej, ale rosnącej mniejszości, która żądała sprawiedliwości za wymordowanie królowych kopców.

Nadszedł czas, by Randall Firth spotkał się z Enderem Wigginem twarzą w twarz.

Łatwo było to zaaranżować. Zwolennicy Achillesa obserwowali Wiggina i gdy pewnego ranka szedł z siostrą i gubernator brzegiem rzeki, Achilles pojawił się tam samotnie.

Virlomi zeszywniała i próbowała odciągnąć Endera, ale on ruszył naprzód, stanął przed Achillesem i wyciągnął rękę.

- Chciałem pana poznać, panie Firth - powiedział. - Jestem Andrew Wiggin.

- Wiem, kim jesteś - odparł Achilles tonem wyrażającym wzgardę i rozbawienie.

- Och, w to wątpię - odparł Ender, a jego pozorne rozbawienie było nawet większe. - Ale chciałem pana zobaczyć i sądzę, że gubernator usiłowała trzymać nas z daleka od siebie. Wiem, że panu bardzo zależało na tej chwili.

Achilles zamierzał powiedzieć: „A co ty wiesz o mnie?”. Jednak wiedział, że tego właśnie chce Wiggin, a wolał sam decydować o kierunku tej rozmowy. Więc zapytał tylko:

- Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć? Jest pan sławny, jak mi się wydaje.

- Och, obaj jesteśmy dość znani. - Ender teraz wprost chichotał. - Ja z powodu tego, co zrobiłem, pan z powodu tego, co powiedział.

Po czym uśmiechnął się szeroko. Drwiąco?

- Próbuje pan sprowokować mnie do jakiegoś nierozsądnego działania, panie Wiggin?

- Proszę, mów mi Andrew.

- To imię chrześcijańskiego świętego - oznajmił Achilles. - Wolę pana nazywać imieniem straszliwego przestępcy wojennego. Ender.

- Gdyby był jakiś sposób, aby przywrócić do życia królowe kopców, przywrócić im dawną chwałę i potęgę, zrobiłby pan to, panie Firth?

Achilles od razu rozpoznał pułapkę. Inną sprawą jest czytać „Królową kopca” i uronić łzę nad wymarłą cywilizacją, a całkiem inną chcieć jej powrotu. W ten sposób sam prosiłby się o nagłówki krzyczące: „Przywódca ruchu Rodowitych chciałby ożywić formidów”, a obok nich krwawe zdjęcia ze Smagania Chin.

- Nie interesują mnie hipotezy - odparł.

- Oprócz hipotetycznego oskarżenia, że zamierzam zabić pana we śnie podczas podróży na Ziemię.

- To nie moje oskarżenie - zaprzeczył Achilles. - Wystąpiłem w pańskiej obronie.

- Pańska obrona to jedyny powód, by ktokolwiek słyszał o tym oskarżeniu - odparł Ender. - Proszę nie sądzić, że dam się zwieść.

- Kto mógłby zwieść takiego geniusza jak pan?

- No cóż, ta wymiana ciosów trwa już wystarczająco długo. Chciałem się tylko panu przyjrzeć.

Achilles okręcił się zamasyście, żeby Ender mógł mu się przyjrzeć ze wszystkich stron.

- Czy to wystarczy?

I nagle w oczach Endera błysnęły łzy.

Jaką grę teraz prowadzi?

- Dziękuję - powiedział i odwrócił się, by dołączyć do swojej

siostry i gubernator.

- Zaczekaj! - zawołał Achilles.

Nie rozumiał, o co chodzi z tymi łzami, i to go niepokoiło.

Ale Wiggin nawet się nie obejrzał. Po prostu podszedł do obu kobiet, a potem zawrócili od rzeki i ruszyli w stronę miasta.

Achilles planował wykorzystać to spotkanie - rejestrowane przez teleobiektyw i mikrofon kierunkowy - do propagandowego widu. Miał nadzieję, że uda mu się sprowokować Endera do jakiegoś nieprzemyślanego stwierdzenia lub absurdalnego przeczenia. Nawet ujęcie rozgniewanego Endera byłoby bardzo przydatne. Ale okazał się niewzruszony, nie wpadł w żadną pułapkę, a te ostatnie chwile cikliwych emocji mogły również zastawić lub zatrzaskać całkiem inną, choć Achilles nie miał pojęcia, jaka mogłaby to być pułapka.

W żaden sposób niezadowolające spotkanie. A jednak nie mógłby wytłumaczyć swoim zwolennikom, czemu nie chce wykorzystać nagrania, które uzyskali z takim wysiłkiem. Pozwolił więc umieścić je w sieci, a potem czekał, co z tego wyniknie.

Nikt na Ziemi nie wiedział, jak je rozumieć. Komentatorzy oczywiście zauważyli łzy w oczach Endera i pojawiły się spekulacje. Niektórzy Rodowici twierdzili, że to krokodyle łzy - płacz drapieżnika nad tragicznym losem jego ofiary. Ale niektórzy dostrzegli coś innego. „Ender Wiggin nie pasuje do roli, w jakiej go obsadzono - mordercy i potwora. Wydaje się raczej delikatnym młodym człowiekiem, rozbawionym tą najwyraźniej zaplanowaną konfrontacją. Pod koniec te słynne łzy wydały mi się rodzajem współczucia. Może miłości do przeciwnika. Kto tu usiłuje doprowadzić do starcia?”.

To było straszne, ale na szczęście to tylko jeden głos z wielu. Zwolennicy Achillesa na Ziemi odpowiedzieli szybko: „A kto by się ośmielił szukać starcia z Enderem Ksenobójcą? Ci, którzy

próbowali, zawsze źle kończyli”.

Przez całe życie Achilles potrafił sterować przebiegiem spraw. Nawet jeśli zdarzyło się coś nieoczekiwanego, adaptował się, analizował i uczył. Tym razem nie miał pojęcia, czego się nauczyć.

- Nie wiem, co on robi, mamó - wyznał.

Pogłaskała go po głowie.

- Moje biedne maleństwo... Oczywiście, że nie wiesz, jesteś taki niewinny. Jak twój ojciec. Nigdy nie rozumiał, że spiskują przeciwko niemu. Ufał temu potworowi Suriyawongowi.

Achilles nie lubił, kiedy mówiła w ten sposób.

- Nie do nas należy litowanie się nad nim, mamó.

- Ale ja się lituję. Miał tak wspaniałe zdolności, ale w końcu zgubiła go ufna natura. To była jego tragiczna skaza, że był tak łagodny i dobry.

Achilles przestudiował życiorys ojca i znalazł tam siłę i wytrwałość, by robić to, co konieczne. Współczucie i ufność nie były oczywistymi atrybutami Achillesa Wielkiego.

Ale matka może sobie snuć takie sentymentalne opowieści. W końcu czy nie „pamiętała” teraz, że Achilles Wielki odwiedził ją i spał z nią, aby począć syna? A przecież kiedy był mały, niczego takiego nie twierdziła. Opowiadała mu, jak przybył posłaniec i zorganizował to tak, by jej jajeczko zostało zapłodnione bezcenną spermą Achillesa. Z tego i wielu innych przypadków zmiennych wspomnień wnioskuje, że matka nie jest już świadkiem godnym zaufania.

A jednak tylko ona znała jego prawdziwe imię i kochała go z absolutnym oddaniem. Mógł z nią rozmawiać, nie bojąc się krytyki.

- Ender Wiggin. Nie potrafię go rozgryźć.

- Ciesz się, że nie rozumiesz umysłu diabła.

Lecz nie nazywała go diabłem, dopóki nie rozwinęła się

kampania Achillesa. Ignorowała Endera Wiggina, ponieważ nigdy realnie nie walczył przeciwko jej cudownemu Achillesowi Flandres, tak jak jego brat.

- Nie wiem, co z nim teraz zrobić, mammo.

- Musisz oczywiście pomścić swojego ojca.

- Ender go nie zabił.

- Jest mordercą. Zasługuje na śmierć.

- Ale nie z mojej ręki, mammo.

- Syn Achillesa Wielkiego zabija potwora - powiedziała. - Nie ma lepszych rąk niż twoje.

- Nazwą mnie mordercą.

- Twojego ojca też tak nazywali - odparła. - Jesteś lepszy od niego?

- Nie, mammo.

Chyba sądziła, że to zamyka dyskusję. Był trochę zaskoczony. Czy naprawdę chciała, by zabił człowieka?

- Niech ten krewny hegemonu zapłaci za śmierć mojego Achillesa. Niech wymrą wszyscy Wigginowie. Cały ten morderczy, jadowity ród.

O nie, znowu weszła w tryb krwawej zemsty! Cóż, sam do tego doprowadził, prawda? Przecież wiedział. Teraz będzie musiał jej wysłuchać.

A ona mówiła i mówiła - o tym, że wielkie zbrodnie można zmyć tylko krwią.

- Peter Wiggin przechytrzył nas, umierając na atak serca, kiedy byliśmy w podróży - tłumaczyła. - Ale teraz jego brat i siostra sami do nas przyszli. Jak możesz zlekceważyć los, który wepchnął ich w twoje ręce?

- Nie jestem mordercą, mammo.

- Pomszczenie śmierci ojca to nie morderstwo. Myślisz, że kim jesteś? Hamletem?

I tak to trwało.

Zwykle, kiedy wpadała w taki szal, Achilles słuchał dość nieuważnie, ale teraz słowa do niego docierały. Naprawdę miał wrażenie, że jakiś złowieszczy los w tej właśnie chwili sprowadził do niego Wigginów. To było nieracjonalne, lecz tylko matematyka jest racjonalna, a i to nie zawsze. W realnym świecie zdarzają się rzeczy nieracjonalne, niemożliwe zbiegi okoliczności, bo prawdopodobieństwo wymaga, aby zbiegi okoliczności przytrafiały się rzadko, ale nie nigdy.

Więc zamiast zignorować matkę, zaczął się zastanawiać: Jak doprowadzić do śmierci Endera Wiggina tak, żebym nie musiał go sam zabijać?

Od tego przeszedł do bardziej subtelny planu: Już na wpół zniszczyłem Endera Wiggina. Jak mogę dokończyć dzieła?

Jeśli go zabiję, zostanie męczennikiem. Ale gdybym zdołał sprowokować go, aby to on znowu zabił - zabił kolejne dziecko - byłby skończony już na zawsze. To jest jego schemat działania. Wyczuwa rywala, prowokuje go do ataku, a potem zabija w samoobronie. Zrobił to dwa razy i został uniewinniony. Ale jego obrońców tu nie ma. Prawie na pewno wszyscy już umarli. Pozostały tylko fakty.

Czy uda mi się go skłonić, by znów postąpił według schematu?

Podzielił się tym pomysłem z matką.

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Jeżeli znów zamorduje, tym razem szesnastolatka, ale wciąż dziecko, nieważne, że wysokie, jego reputacja na zawsze legnie w gruzach. Postawię go przed sądem i tym razem skazaę. Nie uwierzą, że przypadkiem trzy razy zabijał w samoobronie. W ten sposób będzie unicestwiony zupełnie, bardziej niż gdybym po prostu przerwał jego życie. Zniszczę na zawsze jego imię.

- Mówisz o tym, że pozwolisz, by to on zabił ciebie?

- Mamo, ludzie nie muszą pozwalać Enderowi, by ich zabijał.

Wystarczy, że dostarczą mu jakiegoś pretekstu, a potem sam sobie radzi.

- Ale... ty? Masz umrzeć?

- Tak jak powiedziałaś, mamó. Zniszczenie wrogów ojca warte jest każdej ofiary.

Poderwała się na nogi.

- Nie po to cię urodziłam, żebyś teraz odrzucał swoje życie! Jesteś wyższy od niego o głowę. W porównaniu z tobą jest karłem. Jak w ogóle mógłby cię zabić?

- Jest wyszkolonym żołnierzem. I to niedawno wyszkolonym, mamó. A czego ja się uczyłem? Jak być farmerem. Mechanikiem. Wykonywania tych przypadkowych prac, jakie są wymagane od nastolatka, który akurat jest nienaturalnie duży, inteligentny i silny. Nie uczyłem się sztuki wojennej. Ani walki. Z nikim się nie biłem od czasu, gdy byłem jeszcze całkiem mały i musiałem walczyć, żeby się mnie nie czepiali.

- Twój ojciec i ja nie po to cię poczęliśmy, żebyś zginął z ręki Wiggina jak on.

- Tak naprawdę ojciec zginął z rąk Delphiki. Juliana, ściślej mówiąc.

- Delphiki czy Wiggin, to dwie strony tej samej monety. Zakazuję ci pozwalać, żeby cię zabił.

- Powiedziałem ci, mamó. Znajdzie jakiś sposób. Zawsze mu się udaje. To wojownik.

- Nie!

Potrzebował dwóch godzin, aby ją uspokoić, a przez ten czas musiał znosić jej płacz i krzyki. Wiedział, że sąsiedzi z pewnością ich słuchają i próbują coś z tego zrozumieć. Ale w końcu matka zasnęła.

Poszedł do biura kontroli rezerw i użył ich komputera, żeby wysłać Enderowi wiadomość.

Sądzę, że źle cię oceniłem. Jak możemy dokończyć rozmowę?

Nie spodziewał się odpowiedzi aż do następnego dnia, ale nadeszła, zanim się wylogował.

Gdzie i kiedy chciałbyś się spotkać?

Czy to naprawdę będzie aż tak łatwe?

Czas i miejsce nie miały wielkiego znaczenia. Musiały to być taki czas i takie miejsce, gdzie nie powstrzymają ich Virlomi i jej sługusi. Musi być jednak dość światła, by dało się nakręcić wid. Co by mu przyszło z tego, że zginął za swego ojca, gdyby czyn nie został zarejestrowany? Wiggin mógłby kłamać do woli i kolejne morderstwo uszłoby mu na sucho.

Umówili się na spotkanie. Achilles się wylogował.

A potem siedział przed komputerem i drżał. Co ja zrobiłem? Przecież to naprawdę Ender Wiggin. Zaplanowałem własną śmierć. Jestem silniejszy niż on - całkiem jak obaj chłopcy, których zabił. Królowe kopców też były silniejsze i co im z tego przyszło? Ender Wiggin nie przegrywał.

Po to właśnie się urodziłem. Do tego od wczesnego dzieciństwa wychowywała mnie matka. Istnieję, aby pomścić ojca. By zniszczyć Hegemonię, by doprowadzić do ruiny wszystkie dzieła Petera Wiggina. Cóż, to może być niemożliwe. Ale obalenie Endera Wiggina - to mogę zrobić, pozwalając, aby mnie zabił, i pokazując światu, jak do tego doszło. Matka będzie rozpaczać, ale i tak rozpacza całe życie.

Jeśli jest taki sprytny, to na pewno wie, co planuję. Nie uwierzy przecież, że nagle zmieniłem zdanie. Jak mógłbym oszukać Endera Wiggina tak oczywistym planem? Na pewno odgadnie, że wszystko rejestrujemy.

Ale może nie sądzi, że będzie musiał mnie zabić. Może uważa mnie za tak łatwego przeciwnika, że zdoła mnie pokonać bez zabijania. Może sądzi, że jestem wielką niezdara i nawet go nie uderzę.

A może przeceniam jego inteligencję. W końcu przeżył całą

wojnę z obcym wrogiem i ani razu nie podejrzewał, że to nie komputer ani nauczyciele prowadzą symulację jego bitew. Jak można być takim tępym?

Pójdę. Zobaczymy, co się stanie. Jestem gotów umrzeć, ale tylko wtedy, gdy to całkowicie go zniszczy.

Spotkali się dwa dni później o brzasku, za pojemnikami kompostowymi. Nikt tu nie przychodził; smród sprawiał, że ludzie unikali tego miejsca, kiedy tylko mogli, a odpadki roślinne wyrzucano raz dziennie, pod koniec dnia pracy.

Jego przyjaciele zamontowali kamery, aby obejmowały cały obszar. Każde słowo zostanie zarejestrowane. Ender pewnie się tego domyśla - przecież wszystko, co Achilles osiągnął, stało się dzięki propagandzie w sieci - ale nawet jeśli odejdzie, to ta konwersacja będzie zaciekle i obróci się przeciwko niemu. A jeśli nie, Achilles po prostu nie wykorzysta nagrań.

Poprzedniego dnia parokrotnie myślał o możliwości śmierci. Za każdym razem było tak, jakby inna osoba słuchała wiadomości. Czasami wydawało się to niemal zabawne. Achilles był taki silny, o wiele wyższy, miał większą masę i zasięg ramion. Kiedy indziej wydawało się to nieuniknione, choć bezcelowe i wtedy myślał: Jaki jestem głupi, żeby odrzucać własne życie w pustym hołdzie dla zmarłego.

Ale pod koniec dnia zrozumiał: Nie robię tego dla ojca. Nie robię tego, bo matka wychowała mnie do zemsty. Robię to dla wszystkich ludzi. Ci, którzy na przestrzeni dziejów okazali się największymi potworami, prawie nigdy nie odpowiadali za swoje czyny. Umierali ze starości albo przeżywali ostatnie lata na wygodnym wygnaniu, albo też - zagrożeni porażką - odbierali sobie życie.

Warto zostać ostatnią ofiarą Endera Wiggina nie dla jakichś prywatnych zatargów rodzinnych, ale by świat zobaczył, że tacy

przestępcy nie unikną kary. W końcu popełnią o jedną zbrodnię za wiele i wtedy muszą za nią odpowiedzieć.

Będę tą ostatnią ofiarą - tą, której śmierć powali Endera Ksenobójcę.

Inna częśćka Achillesa mówiła: Nie wierz we własną propagandę.

A jeszcze inna krzyczała: Żyj!

Ale odpowiadał im: Ender Wiggin nie potrafi znieść porażki. Właśnie tak go skuszę; sprawię, że spojrzy klęsce prosto w twarz, i wtedy zaatakuję, by jej uniknąć. A kiedy mnie zabije, naprawdę go pokonam. To jego największa wada - można nim manipulować, stawiając go wobec klęski.

Gdzieś z głębi próbowało wyrwać się na powierzchnię pytanie, z którym musiałby się zmierzyć: Czyli to nie wina Endera, ponieważ on naprawdę nie ma wyboru i musi niszczyć swoich wrogów?

Jednak Achilles natychmiast stłumił te obiekcje. Wszyscy jesteśmy produktami naszych genów i wychowania, w połączeniu z przypadkowymi wydarzeniami w życiu. „Wina” czy „wstyd” to dziecięce koncepcje. Liczy się to, że działania Endera były potworne i nadal będą potworne, chyba że ktoś go powstrzyma. Przecież może żyć niemal wiecznie, włączając się tylko tu i tam, by sprowadzać kłopoty. Ale ja z tym skończę. To nie zemsta, lecz zapobieganie. A ponieważ on stanie się przykładem, może inne potwory powstrzymają się od zabijania.

Ender wynurzył się z cienia.

- Cześć, Achillesie.

To zajęło pół sekundy, pół kroku, by Achilles zrozumiał, jakim imieniem zwrócił się do niego Ender.

- To imię, którym sam siebie określasz na osobności - rzekł Ender. - W swoich snach.

Skąd mógł to wiedzieć? Kim on był?

- Nie masz dostępu do moich snów.

- Chcę, byś wiedział, że prosiłem Virlomi, aby zmieniła twój wyrok. Ponieważ muszę być na tym statku, kiedy odleci, a nie chcę wracać na Ziemię.

- Domyślałem się, że nie - odparł Achilles. - Tam wszyscy głośno żądają twojej krwi.

- To chwilowe. Takie żądania pojawiają się i odchodzą. Jakby całkiem nie wiedział, że Achilles do tego doprowadził.

- Mam zadanie do wykonania i zabieranie cię ze sobą na Ziemię jako wygnańca będzie tylko stratą czasu. Chyba prawie przekonałem Virlomi, że Wolne Ludy Ziemi nigdy nie udzielały gubernatorom prawa wyrzucania kolonistów, jeśli sami tego nie chcą.

- Nie boję się powrotu na Ziemię.

- Tego właśnie się obawiam. Wszystko to robiłeś w nadziei, że tam zostaniesz odesłany. „Ach, nie wrzucaj mnie do tych głogów!”.

- W Szkole Bojowej czytali ci na dobranoc bajki Wuja Remusa? - spytał Achilles.

- Zanim tam poleciałem. A czy tobie matka czytała te baśnie?

Achilles uświadomił sobie, że pozwala zbić się z tropu. Stanowczo wrócił do tematu.

- Nie boję się powrotu na Ziemię - oznajmił. - Nie sądzę też, abyś wstawiał się za mną u Virlomi.

- Możesz sądzić, co chcesz - stwierdził Ender. - Przez całe życie otaczały cię kłamstwa. Trudno oczekiwać, żebyś zauważył, kiedy wreszcie pojawi się prawda.

Zaczynało się - pierwsza z tych złośliwości, które miały skłonić Achillesa do działania. Ender wyraźnie nie zrozumiał, że Achilles właśnie po to przyszedł, by dać się sprowokować, a zatem aby Ender mógł go zabić „w samoobronie”.

- Zarzucasz mojej matce kłamstwo?
- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego jesteś taki wysoki? Twoja matka nie jest wysoka. Achilles Flandres też nie był.
- Nigdy się nie dowiemy, jaki wysoki mógł urosnąć.
- Ja wiem, czemu jesteś taki duży - rzekł Ender. - To choroba genetyczna. Przez całe życie rośniesz w tym samym równym tempie. Jesteś mały jako dziecko, później osiągasz normalny wzrost, a potem, kiedy wszystkie inne dzieci strzelają w górę w okresie dojrzewania, ty znowu zostajesz w tyle. Ale one przestają rosnąć, a ty nie. Wciąż i wciąż. W końcu od tego umrzesz. Masz teraz szesnaście lat; prawdopodobnie w wieku dwudziestu jeden, dwudziestu dwóch lat twoje serce nie zdoła już zaopatrywać w krew tak wielkiego ciała.

Achilles nie wiedział, jak to potraktować. O czym on mówi? Tłumaczy mu, że umrze w wieku dwudziestu kilku lat? Czy to jakieś czary voodoo, żeby zdenerwować przeciwnika?

Ale Ender wyraźnie nie skończył.

- Niektórzy z twoich braci i siostr cierpieli na to samo, inni nie. O tobie nie wiedzieliśmy, w każdym razie nie mieliśmy pewności. Dopiero kiedy cię zobaczyłem, zrozumiałem, że stajesz się olbrzymem, jak twój ojciec.

- Nie mów o moim ojcu - rzucił Achilles. A równocześnie myślał: Czemu się boję tego, co on mówi? Dlaczego mnie to złości?

- Ale i tak się ucieszyłem, że mogę cię zobaczyć. Nawet jeśli twoje życie będzie tragicznie krótkie, patrzyłem na ciebie, gdy tak uśmiechałeś się drwiąco, i widziałem w tobie ojca. Widziałem twoją matkę.

- Moją matkę? W ogóle nie jestem podobny do matki.
- Nie chodzi mi o matkę zastępczą, która cię wychowała.
- Próbujesz mnie skłonić, abym cię zaatakował, prowokując dokładnie w taki sposób, jak zrobiła to Virilomi - oświadczył

Achilles. - To ci się nie uda.

A jednak już kiedy to mówił, udawało się; miał ochotę pozwolić, aby wezbrał w nim gniew, ponieważ musiało to wyglądać wiarygodnie. Ender sprowokował go do ataku, więc kiedy zabije, wszyscy zobaczą ten wid i zrozumieją, że to wcale nie była samoobrona. Zrozumieją, że wcześniej to też nie była samoobrona.

- Ze wszystkich dzieci w Szkole Bojowej twojego ojca znałem najlepiej. Był lepszy ode mnie. Wszyscy z jeeshu wiedzieli o tym. Był szybszy, mądrzejszy i zawsze lojalny. W tym ostatnim momencie, kiedy wszystko wydawało się beznadziejne, on wiedział, co zrobić. Praktycznie powiedział mi, co zrobić. A jednak zostawił to mnie. Był wielkoduszny. Naprawdę wielki. Pękło mi serce, gdy się dowiedziałem, jak zdradziło go jego ciało. Tak samo zdradza teraz ciebie.

- Zdradził go Suriyawong. A Julian Delphiki go zabił.

- A twoja matka - mówił dalej Ender - była moją obrończynią. Kiedy zostałem włączony do armii, której dowódca mnie nienawidził, to właśnie ona wzięła mnie pod swoje skrzydła. Polegałem na niej, ufałem jej i nigdy mnie nie zawiodła. Kiedy usłyszałem, że wyszła za twojego ojca, byłem bardzo szczęśliwy. Ale potem twój ojciec umarł i wyszła za mojego brata.

Zrozumienie wywołało furję, która niemal go oślepiła.

- Petra Arkanian? Twierdzisz, że Petra Arkanian jest moją matką? Jesteś szalony? Ona pierwsza zastawiła pułapkę na mojego ojca, kusiła go...

- Daj spokój, Achillesie - przerwał mu Ender. - Z pewnością w wieku szesnastu lat sam już zrozumiałeś, że twoja zastępcza matka jest obłąkana.

- Jest moją matką! - krzyknął Achilles. A potem, jakby po namyśle i słabym głosem, dodał: - I nie jest obłąkana.

Nic nie szło zgodnie z planem. Co on opowiada? Co to za gra?

- W dodatku wyglądasz dokładnie jak oni. Jesteś bardziej podobny do ojca niż do matki. Kiedy na ciebie patrzę, widzę mojego drogiego przyjaciela, Groszka.

- Julian Delphiki nie jest moim ojcem! - Achillesowi z wściekłości pociemniało w oczach. Serce waliło mu młotem. Dokładnie tak powinno się to rozwijać.

Z wyjątkiem jednej rzeczy. Miał wrażenie, że stopy wrosły mu w ziemię. Nie atakował Endera Wiggina. Po prostu stał nieruchomo i słuchał.

W tej właśnie chwili na polankę za pojemnikami kompostu wbiegła Valentine Wiggina.

- Co ty tu robisz? Zwariowałaś?

- Nie jest to aż taka rzadkość - zauważył Ender.

- Wynoś się stąd - powiedziała. - On nie jest tego wart.

- Valentine, nie wiesz, co robisz. Jeśli spróbujesz się wtrącić, zniszczysz mnie. Rozumiesz? Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

- Nieustannie okłamujesz.

- To, że ci czegoś nie mówię, nie znaczy, że kłamię - oświadczył Ender.

- Nie pozwolę, żeby to się stało. Wiem, co planujesz.

- Z całym szacunkiem, Val, nic nie wiesz.

- Znam cię, Ender, lepiej niż ty sam.

- Ale nie znasz tego chłopca, który nazywa siebie imieniem potwora, ponieważ uważa, że ten szaleniec był jego ojcem.

Na kilka chwil gniew Achillesa opadł, ale teraz powracał.

- Mój ojciec był geniuszem!

- Te koncepcje nie są sprzeczne - rzuciła lekceważąco Valentine. A potem zwróciła się do Endera. - To ich nie przywróci.

- Jeśli mnie kochasz - rzekł Ender - od tej chwili

przestaniesz mówić.

Jego głos był jak śmignięcie pejczem: niezbyt głośny, lecz ostry i celny. Odsunęła się, jakby ją uderzył. Otworzyła usta, już miała odpowiedzieć...

- Jeśli mnie kochasz - powtórzył.

- Twój brat próbuje ci chyba powiedzieć, że ma jakiś plan - rzucił Achilles.

- Mój plan - odparł Ender - to powiedzieć ci, kim jesteś. Julian Delphiki i Petra Arkanian ukrywali się, ponieważ Achilles Flandres wysłał swoich agentów, by ich znaleźli i zabili. Zwłaszcza Petrę, ponieważ sam jej kiedyś pożądał w swym chorym stylu.

Gniew znowu wzbierał w Achillesie, a on witał go z radością. Niewiele brakowało, by przybycie Valentine wszystko zepsuło.

- Mieli dziewięć zapłodnionych jajeczek, które powierzyli lekarzowi. Obiecał im, że oczyści embriony z tej genetycznej skazy, na którą i ty cierpisz. Z gigantyzmu. Lekarz oszukał ich, czego dowodzi twój obecny stan. A tak naprawdę pracował dla Achillesa i ukradł wszystkie embriony. Twoja matka urodziła jedno dziecko, znaleźliśmy siedem innych, które zaimplantował matkom zastępczym. Ale Hyrum Graff zawsze podejrzewał, że znaleźli te siedem, gdyż Achilles chciał, aby je znaleźli, aby poszukujący uwierzyli, że ich metody są skuteczne. Znając Achillesa, Graff był pewien, że dziewiątego dziecka nie da się znaleźć w ten sam sposób. A potem twoja matka opluła Hyruma Graffa, a on zaczął sprawdzać jej przeszłość i odkrył, że nie nazywa się Nichelle Firth, ale Randi. A kiedy zbadał wyniki testów DNA, odkrył, że nie masz żadnych wspólnych genów z twoją rzekomą matką. W żaden sposób nie możesz być jej genetycznym dzieckiem.

- To kłamstwo - stwierdził Achilles. - Mówisz tak tylko po to, żeby mnie sprowokować.

- Mówię tak dlatego, że to prawda, i w nadziei, że cię uwolni. Inne dzieci zostały odszukane i wróciły do rodziców. Pięcioro nie miało wady genetycznej, twojego gigantyzmu, i tych pięcioro wciąż żyje na ziemi. Bella, Andrew, na moją pamiątkę muszę zaznaczyć, Julian Trzeci, Petra i Ramon. Troje miało gigantyzm i oczywiście w tej chwili nie ma ich już na Ziemi. Ender, Cincinnatus i Carlotta. Ty jesteś tym brakującym, którego przestali szukać. Tym, który nigdy nie otrzymał imienia. Ale twoje nazwisko brzmi Delphiki. Znałem twoich rodziców i szczerze ich kochałem. Nie jesteś synem potwora, jesteś dzieckiem dwojga najlepszych ludzi żyjących na Ziemi.

- Julian Delphiki jest potworem! - krzyknął Achilles i rzucił się na Endera.

Ku jego zaskoczeniu, Ender nie wykonał żadnego uniku. Cios Achillesa trafił mocno i Ender rozciągnął się na ziemi.

- Nie! - krzyknęła Valentine.

Ender wstał i spokojnie stanął przed nim.

- Wiesz, że mówię prawdę - oświadczył. - Dlatego tak się złościsz.

- Złoszczę się, bo twierdzisz, że jestem synem zabójcy mojego ojca!

- Achilles Flandres mordował każdego, kto okazał mu dobroć. Zakonnice, która załatwiła mu operację kalekiej nogi. Lekarkę, która go operowała. Dziewczynę, która przyjęła go do grupy, kiedy był najędźniejszym z uliczników w Rotterdamie. Udawał, że ją kocha, ale potem udusił ją i wrzucił do Renu. Wysadził dom, w którym mieszkał twój ojciec, próbując zabić jego i całą rodzinę. Porwał Petrę i próbował ją uwieść, ale nim wzgardziła. Kochała Juliana Delphiki. Jesteś ich dzieckiem, zrodzonym z ich miłości i nadziei.

Achilles zaatakował znowu, ale świadomie zrobił to dość niezręcznie, aby Ender miał dość czasu, by zablokować cios i

uderzyć.

Ale Ender znów nawet nie spróbował się odsunąć. Przyjął uderzenie, tym razem mocny cios w żołądek, i upadł na ziemię. Z trudem łapał oddech.

I ponownie wstał.

- Znam cię lepiej, niż ty znasz sam siebie.

- Jesteś królem kłamstwa - stwierdził Achilles.

- Nigdy nie nazywaj siebie tym ohydnyim imieniem. Nie jesteś Achillesem. Twój ojciec jest bohaterem, który ocalił świat przed tym potworem.

Achilles uderzył znowu. Tym razem podszedł powoli i z rozmachem zadał cios, łamiąc Enderowi nos. Krew trysnęła z nozdrzy i niemal natychmiast poplamiała cały przód koszuli.

Valentine krzyknęła, a Ender zachwiał się i osunął na kolana.

- Walcz ze mną - syknął Achilles.

- Jeszcze nie rozumiesz? Nie podniosę ręki na dziecko moich przyjaciół.

Achilles kopnął go w szczękę tak mocno, że Ender poleciał na plecy. To nie była udawana walka, jak w głupich widowiskach, gdzie bohater i czarny charakter wymierzają sobie zabójcze ciosy, a jednak przeciwnik spokojnie wstaje i walczy dalej. Uszkodzenia w ciele Endera były poważne i głębokie. Sprawiały, że był niezręczny i z trudem utrzymywał równowagę. Łatwy cel.

Nie zabije mnie, pomyślał Achilles.

Sprawiło mu to taką ulgę, że roześmiał się głośno.

A potem pomyślał: Więc jednak taki był plan mamy. Czemu sobie wyobrażałem, że powinienem dać się zabić? Jestem synem Achillesa Flandres. Prawdziwym synem. Mogę zabijać tych, których zabić należy. Mogę raz na zawsze przerwać ten jego zgubny żywot, mszcząc mojego ojca, królowe kopców i tych dwóch chłopców, których zabił.

Achilles kopnął leżącego Endera w żebra. Pękły z takim trzaskiem, że nawet Valentine to usłyszała. Krzyknęła.

- Cicho - powiedział Ender. - Tak to już bywa.

Przetoczył się, krzywiąc się i jęcząc cicho z bólu. A jednak jakoś udało mu się wstać.

Włożył ręce do kieszeni.

- Możesz zniszczyć te widy, które nagrywasz. Nikt się nie dowie, że mnie zamordowałeś. Nie uwierzą Valentine. Powiesz, że to było w samoobronie. Wszyscy w to uwierzą; sprawiłeś, że boją się mnie i nienawidzą. Oczywiście musieliście mnie zabić, żeby ratować swoje życie.

Ender chciał umrzeć? Teraz? Z ręki Achillesa?

- W co ty grasz?

- Twoja rzekoma matka wychowała cię, abyś pomścił jej wymyślonego kochanka, twojego fałszywego ojca. Zrób to, do czego cię wychowała, co dla ciebie zaplanowała. Ale ja nie podniosę ręki na syna moich przyjaciół, nieważne, jak bardzo się dałeś oszukać.

- Więc jesteś głupcem. Bo to zrobię. Przez pamięć mojego ojca i dla mojej matki, za tego biednego chłopaka, Stilsona, i za Bonzo Madrida, formidów i całą ludzkość.

I wtedy zaczął już bić na poważnie. Jeden cios w żołądek, kolejny w twarz. Dwa kopniaki, gdy Ender leżał już nieruchomo na ziemi.

- Czy właśnie to zrobiłeś Stilsonowi? - spytał Achilles. - Kopalesz go znowu i znowu, raz za razem, tak pisali w raportach.

- Syn - odparł Ender. - Moich przyjaciół.

- Proszę! - błagała Valentine.

Ale nie ruszyła się nawet, by go powstrzymać. Nie wzywała też pomocy.

- Przyszedł czas, abyś zginął - oświadczył Achilles.

Kopnięcie w głowę załatwi sprawę. Jeśli nie, to dwa kopnięcia. Ludzki mózg nie wytrzyma takiego obijania się o wnętrze czaszki. Ender albo umrze, albo dozna takich uszkodzeń mózgu, że będzie tak, jakby umarł. I w ten sposób zakończy się życie Ksenobójcy.

Podszedł do leżącego Wiggina. Ender spoglądał na niego poprzez krew ze złamanego nosa.

Jednak z jakiegoś powodu, mimo pulsującej w głowie wściekłości, Achilles nie mógł go kopnąć.

Stał nieruchomo.

- Syn Achilleusa by się nie wahał - szepnął Ender.

Czemu go nie zabijam? Czy naprawdę jestem tchórzem? Nie jestem godny ojca? Ender ma rację - ojciec by go zabił, gdyż to konieczne, bez żadnych skrupułów i bez wahania.

W tej chwili zrozumiał, co oznaczają słowa Endera. Matkę oszukano. Powiedzieli jej, że jest dzieckiem Achilleusa Flandres. Okłamywała go, gdy dorastał, opowiadając, że jest jej synem, ale była tylko matką zastępczą. Poznał ją dobrze i wiedział, że jej opowieści kształtowało raczej to, jak jej zdaniem powinna wyglądać prawda, niż to, jak faktycznie wyglądała. Dlaczego nie wyciągnął oczywistego wniosku, że wszystko, co mówiła, jest kłamstwem? Ponieważ nigdy nie przestawała, ani na chwilę. Kształtowała świat i nie pozwalała, by światło dzienne ujrzeć jakikolwiek przeczący jej dowód.

Tak samo jak nauczyciele manipulowali dziećmi, które walczyły za nich w wojnie.

Achilles wiedział, zawsze wiedział. Ender Wiggin wygrał wojnę, nie mając pojęcia, że w niej walczy; unicestwił cywilizację, bo sądził, że to symulacja komputerowa. Tak samo jak ja wierzyłem, że Achilles Flandres jest moim ojcem, że noszę jego imię i mam obowiązek dopełnić jego przeznaczenia lub go pomścić.

Wystarczy otoczyć dziecko kłamstwami, a przylgnie do nich jak do pluszowego misia czy dłoni matki. Im gorsze i bardziej mroczne kłamstwo, tym bardziej musi je wewnętrznie przyswoić, by w ogóle je znieść.

Ender powiedział, że prędzej umrze, niż podniesie rękę na syna przyjaciół. A nie był obłąkany jak matka Achillesa.

Achillesa... Nie był Achillem. To tylko fantazja matki. Wszystko było jej fantazją. Wiedział, że jest szalona, a jednak żył wewnątrz jej koszmaru i ukształtował życie tak, by stał się prawdą.

- Jak się nazywam? - szepnął.

Z ziemi u jego stóp Ender też odpowiedział szeptem:

- Nie wiem. Delphiki. Arkanian. Dwie twarze. W twojej.

Valentine podbiegła do nich.

- Proszę, czy możecie już skończyć?

- Wiedziałem - szepnął Ender. - Syn Groszka. Petry. Nie zdoła.

- Nie zdoła co? Złamał ci nos. Mógł cię zabić.

- Chciałem go zabić - oświadczył Achilles. A potem zalał go ogrom tego wszystkiego. - Chciałem go zabić kopniakiem w głowę.

- A ten dureń by ci na to pozwolił - stwierdziła Valentine.

- Jedna szansa - odezwał się Ender. - Na pięć. Że zabije. Niezły wynik.

- Nie zdołam go zanieść. Proszę, weź go do lekarza. Masz dość siły.

Dopiero kiedy pochylił się i podniósł Endera, zdał sobie sprawę, jak bardzo poobijał własne dłonie, jak mocne zadawał ciosy.

A jeśli on umrze? Jeśli i tak umrze, chociaż teraz wcale nie chcę jego śmierci?

Ostrożnie, ale z pośpiechem niósł Endera po nierównym

gruncie. Valentine musiała podbiegać, aby dotrzymać mu kroku. Lekarz jeszcze nie wyszedł do pracy w szpitalu. Raz tylko spojrzął na Endera i natychmiast kazał go ułożyć na stole.

- Widzę, kto przegrał - powiedział lekarz. - Ale kto wygrał?

- Nikt - odparł... Achilles.

- Ty nie masz żadnych śladów - zauważył lekarz.

Chłopak wyciągnął ręce.

- Tu są ślady - powiedział. - Ja to zrobiłem.

- Ale on cię nie uderzył.

- Nawet nie próbował.

- A ty ciągle go biłeś? Do tego stopnia? Co za... - Lekarz odwrócił się, zdjął z Endera ubranie i zaklął cicho, widząc potężne sińce na klatce piersiowej i brzuchu. Dotykami sprawdził kości. - Cztery żebra. Wielokrotne złamania. - Spojrzął znowu na Achillesa z odrazą. - Wyjdź z mojego domu.

Achilles się odwrócił.

- Nie - powstrzymała go Valentine. - Wszystko przebiegło zgodnie z planem Endera.

Doktor parsknął.

- Rozumiem. Zaplanował własne pobicie.

- Albo własną śmierć - odparła Valentine.

- Ja to zaplanowałem - rzekł Achilles.

- Tylko tak ci się wydaje - stwierdziła. - Od samego początku tobą manipulował. Taki rodzinny talent.

- To matka mną manipulowała - powiedział Achilles. - Ale nie musiałem jej wierzyć. Ja to zrobiłem.

- Nie - zapewniła go Valentine. - Dokonało tego wychowanie twojej matki i kłamstwa, których naopowiadał jej Achilles. Natomiast ty... ty to przerwałeś.

Achilles skulił się, osunął na kolana. Targał nim szloch.

- Nie wiem, jak mam teraz siebie nazywać. Nienawidzę imienia, którym mnie nazywała.

- Randall? - zdziwił się lekarz.

- Nie... nie.

- Nazywał siebie Achillesem. Ona go tak nazywała.

- Jak mogę... to cofnąć? - spytał.

- Biedny chłopak - rzekła Valentine. - Przez ostatnie lata Ender próbował rozstrzygnąć ten sam problem. Myślę, że wykorzystał cię, aby uzyskać częściową odpowiedź. Skłonił cię, abyś pobił go tak, jak zamierzali to zrobić Stilson i Bonzo Madrid. Jediną różnicą jest fakt, że jesteś synem Juliana Delphiki i Petry Arkanian, a więc głęboko w tobie jest coś, co nie pozwala ci dokonać morderstwa, czy to na zimno, czy w gniewie. A może to nie ma nic wspólnego z rodzicami, tylko z tym, że wychowała cię matka psychicznie chora. Współczułeś jej tak głęboko, że nie potrafiłeś zniszczyć jej wymyślonego świata. Może o to chodzi. A może to twoja dusza. Coś, co Bóg owinął ciałem, tworząc człowieka. Cokolwiek to było, powstrzymało cię.

- Arkanian Delphiki - powiedział.

- To będzie dobre nazwisko - odparła Valentine. - Doktorze, czy mój brat przeżyje?

- Ma ciężki uraz głowy - stwierdził lekarz. - Spójrz w jego oczy. To poważny wstrząs. Może coś gorszego. Musimy go dostarczyć do szpitala.

- Ja go zaniosę - oznajmił... nie Achilles... Arkanian.

Doktor się skrzywił.

- Pozwolic, by napastnik niósł ofiarę? Ale nie chcę czekać na kogoś innego. Co za paskudną porę wybraliście na ten... pojedynek.

Kiedy szli drogą do szpitala, kilku wcześniej wstających spoglądało na nich z zaciekawieniem. Jedna z kobiet zbliżyła się nawet, ale lekarz tylko machnął na nią ręką.

- Planowałem, że to on mnie zabije - odezwał się Arkanian.

- Wiem - stwierdziła Valentine.
 - To, co zrobił tamtym chłopcom. Myślałem, że znów to zrobi.
 - Chciał, byś sądził, że będzie się bronił.
 - A zaczął mówić. Przeciwnieństwo wszystkiego.
 - Ale uwierzyłeś mu. Od razu wiedziałeś, że to prawda.
 - Tak.
 - I byłeś wściekły.
- Arkanian wydał z siebie głęboki odgłos, coś między skowytami a skomleniem, jak wilk wyjący do księżyca. Wiedział, że ten dźwięk tkwi w nim i musi się uwolnić.
- Ale nie mogłeś go zabić - mówiła dalej Valentine. - Ponieważ nie jesteś aż takim głupcem, by uwierzyć, że możesz ukryć się przed prawdą, zabijając posłańca.
 - Jesteśmy na miejscu - oznajmił lekarz. - Nie do wiary, że tak pocieszasz człowieka, który pobił twego brata.
 - Och, to pan nie wie? To jest Ender Ksenobójca. Zasluguje na wszystko, co ktoś mu zrobi.
 - Nikt na to nie zasługuje - odparł lekarz.
 - Jak mogę to cofnąć? - spytał Arkanian. I tym razem nie chodziło mu o rany Endera.
 - Nie możesz - stwierdziła Valentine. - Zresztą to już tam było, wbudowane w tę książkę, „Królową kopca”. Gdybyś ty tego nie powiedział, zrobiłby to ktoś inny. Gdy tylko ludzie zrozumieli, jaką tragedią było zniszczenie królowych kopców, musieliśmy rzucić na kogoś winę, by reszta mogła uzyskać rozgrzeszenie. To wszystko zdarzyłoby się i bez ciebie.
 - Ale nie zdarzyło się beze mnie. Muszę powiedzieć prawdę. Muszę przyznać, co...
 - Nie musisz - przerwała mu. - Musisz żyć swoim życiem. Twoim. A Ender będzie żył swoim.
 - A co z tobą? - spytał cynicznie lekarz.

- Och, ja też będę żyła życiem Endera. Jest o wiele bardziej interesujące od mojego.

Rozdział. 23

To: ADelphiki%Ganges@ColLeague.Adm, P Wiggin%ret@FPE.adm
From: E Wiggin%Ganges@ColLeague.Adm/voy
Subject: Arkanianie Delphiki, oto twoja matka. Petro, oto twój syn.
Droga Petro, drogi Arkanianie,

Na tak wiele sposobów jest za późno, ale na takie, które się liczą, akurat na czas. Ostatnie z Twoich dzieci, Petro, Twoja prawdziwa matka, Arkanianie. Pozwolę, żeby sam opowiedział Ci swoją historię, a Ty mu opowiesz swoją. Graff już dawno wykonał testy genetyczne i nie ma żadnych wątpliwości. Nie powiedział Ci, ponieważ nie byłby w stanie doprowadzić do Waszego spotkania i chyba uwierzył, że tylko Cię to zasmuci. Może miał rację, ale sądzę, że zasługujesz na przeżycie tego smutku, jeśli tak się to skończy, ponieważ jest Ci on prawnie należny. Tak właśnie postąpiło wobec Ciebie życie. Teraz się przekonamy, jak Wy postąpicie wobec życia.

Jednak, Petro, powiem Ci tyle: to dobry chłopak. Mimo szaleństw jego wychowania, w chwili kryzysu okazał się synem Groszka i Twoim. Nigdy nie pozna swojego ojca inaczej, niż poprzez Ciebie. Ale Petro, zobaczyłem w nim Groszka. Olbrzym ciałem. I łagodnego serca.

Tymczasem ruszam w dalszą drogę, drodzy przyjaciele. To właśnie zaplanowałem, Arkanian. Mam inne zadanie. Nie zepchnąłeś mnie z wybranego szlaku. Tyle że na tym statku nie pozwolą mi przejść do stazy, dopóki nie wygoją się rany - w stazie nic się nie goi.

Ściskam Was oboje
Andrew Wiggin

W małym domku nad dzikim wybrzeżem Irlandii, niedaleko Doonałt, wąty staruszek klęczał w ogródku i wyrывał chwasty. O'Connor podjechał swoim skimmerem, dostarczając zakupy i pocztę, a staruszek podniósł się wolno i wyszedł mu na spotkanie.

- Proszę wejść - powiedział. - Mam herbatę.
- Nie mogę zostać - odparł O'Connor.
- Nigdy nie może pan zostać.

- Taka jest prawda, panie Graff. Nie mogę. Ale nie z braku chęci. Wiele domów czeka, żebym dostarczył im to co panu.

- I nie mamy sobie nic do powiedzenia - stwierdził Graff i uśmiechnął się. Nie, zaśmiał: chuda pierś zafalowała.

- Bywa, że nic nie trzeba mówić - rzekł O'Connor. - A bywa, że człowiek nie ma czasu na herbatę.

- Kiedyś byłem gruby - oświadczył Graff. - Może pan uwierzyć?

- A ja kiedyś byłem młody - odparł O'Connor. - I nikt w to nie wierzy.

- No proszę... Czyli jednak przeprowadziliśmy jakąś rozmowę.

O'Connor się roześmiał - ale odjechał zaraz, kiedy tylko pomógł wyładować zakupy.

Dlatego Graff był sam, kiedy otworzył list od Valentine Wiggin.

Przeczytał jej opowieść, jakby słuchał jej głosu - taki miała pisarski dar, kiedy przestała już być Demostenesem, jakiego Peter kazał jej stworzyć, i stała się sobą, nawet jeśli nadal używała tego samego pseudonimu.

Była to opowieść, której z pewnością nigdy nie opublikuje. Graff wiedział, że jest jedynym czytelnikiem. A że jego ciało powoli, ale konsekwentnie traciło wagę i przez cały czas słabło, pomyślał, że to właściwie szkoda: Valentine tyle czasu poświęcała, by umieścić wspomnienia w mózgu, który zatrzyma je przez krótki czas, by potem wszystkie jednocześnie uwolnić do ziemi.

A jednak robiła to dla niego i był jej wdzięczny. Czytał o starciu Endera z Quincym Morganem na statku i opowieść o tej biednej dziewczynie, której się wydawało, że go kocha. Oraz opowieść o złotych żukach - Ender przekazał mu jej część, ale wersja Valentine opierała się również na wywiadach z innymi,

zawierała więc elementy, o których Ender albo nie wiedział, albo świadomie je opuścił.

Potem o tym, że na Gangesie Virlomi radziła sobie całkiem dobrze. Odetchnął z ulgą. Była jedną z wielkich; potem własną dumą obróciła wszystko w ruinę, ale wcześniej nauczyła swój naród, jak uwolnić się od najeźdźców.

I wreszcie opowieść o Enderze i Randallu Fircie, chłopcu, który kiedyś nazywał siebie Achillesem, ale teraz nazywany był Arkanianem Delphiki.

Graff skończył, pokiwał głową i spalił list. Prosiła go o to, ponieważ Ender nie chciał, by wydruk krążył gdzieś po Ziemi. „Mój cel to zostać zapomniany”, zacytowała brata Valentine.

Mała szansa, choć czy będzie pamiętany dobrze, czy źle, Graff nie potrafił przewidzieć.

- Uważa, że w końcu dostał lanie, które planowali mu spuścić Stilson i Bonzo - zwrócił się Graff do imbryka. - Jest głupcem mimo swojej inteligencji. Stilson ani Bonzo by się nie zatrzymali. Nie byli synami Groszka i Petry. To właśnie Ender powinien zrozumieć. Na świecie naprawdę istnieje zło i niegodziwość, i wszelkie odmiany głupoty. Istnieje złośliwość, okrucieństwo i... sam nie wiem, którą z tych cech mam ja.

Pogłaskał imbryk.

- Nie ma tu żywej duszy, która by słuchała, co mówię.

Zaczął pić z kubka, zanim jeszcze herbata porządnie się zaparzyła. Była słaba, ale to mu nie przeszkadzało. Właściwie ostatnio nic mu już specjalnie nie przeszkadzało, dopóki wdychał i wydychał powietrze, i nic go nie bolało.

- Ale i tak to powiem - oświadczył. - Głuptas z niego. Pacyfizm działa tylko z przeciwnikiem, który nie potrafi zamordować niewinnego. A ile razy człowiek ma szczęście na takiego trafić?

Kiedy przyszedł list od Endera, Petra Arkanian Delphiki Wiggin była z wizytą u swojego syna Andrew i jego żony Lani oraz ich dwójki najmłodszych dzieci, ostatnich mieszkających jeszcze z rodzicami.

Weszła do pokoju, gdzie wszyscy grali w karty. Twarz miała mokrą od łez. Ścisnęła list i nie mogła wykrztusić słowa.

- Kto umarł?! - zawołała Lani.

Andrew podszedł i objął matkę.

- To nie z rozpaczy, Lani. To z radości.

- Skąd wiesz?

- Kiedy mama jest zła i smutna, drze różne rzeczy, a ten list jest tylko pognieciony i wilgotny.

Petra dała mu klapsa, ale zaśmiała się i po chwili mogła już mówić.

- Przeczytaj głośno, Andrew. Przeczytaj. Znalazł się nasz ostatni synek. Ender go dla mnie odszukał. Och, gdyby Julian mógł wiedzieć... Gdybym tylko mogła z nim znowu porozmawiać...

Potem znów płakała, dopóki Andrew nie zaczął czytać. List był krótki. Ale Andrew i Lani, ponieważ sami mieli dzieci, dobrze rozumieli, ile to dla niej znaczy. Dlatego też zapłakali ze wzruszenia, aż dwoje nastolatków wyszło z pokoju z wyraźnym niesmakiem.

- Zawołajcie nas, kiedy zaczniecie trochę nad sobą panować - powiedzieli.

- Nikt nie panuje nad niczym - stwierdziła Petra. - Wszyscy jesteśmy żebrakami przed tronem losu. Ale czasem doznajemy łaski.

Ponieważ statek nie niósł na wygnanie Randalla Firtha, nie musiał wracać najkrótszą drogą na Erosa. Dodawało to cztery miesiące do subiektywnego czasu lotu - sześć lat w czasie

rzeczywistym - ale dostali zgodę dowództwa MF, a kapitanowi to nie przeszkadzało. Chętnie dostarczy pasażerów tam, gdzie zechcą, bo choćby nikt w MF nie rozumiał, kim są Andrew i Valentine Wigginowie, kapitan wiedział. Jakoś wyjaśni zwierzchnikom to nadłożenie drogi. Jego załoga zaczęła służbę razem z nim, więc także pamiętali. I nie mieli nic przeciw temu.

W swojej kabinie, w przerwach od pisania historii kolonii Ganges, Valentine opiekowała się wracającym do zdrowia Enderem.

- Przeczytałam ten twój głupi list - oświadczyła pewnego dnia.

- Który? Tyle ich piszę...

- Ten, który miałam zobaczyć dopiero po twojej śmierci.

- To nie moja wina, że lekarz dał mi pełne znieczulenie, żeby nastawić nos i usunąć te kawałki kości, które nigdzie nie pasują.

- Pewnie chcesz, żebym zapomniała, co przeczytałam.

- Czemu nie? Ja zapomniałem.

- Wcale nie - stwierdziła. - W tych wszystkich podróżach nie chodzi tylko o ukrycie się przed niesławą, prawda?

- Rozkoszuję się również towarzystwem mojej siostry, osoby profesjonalnie wścibskiej.

- Ta skrzynka... Szukasz miejsca, gdzie będziesz mógł ją otworzyć.

- Val - westchnął Ender. - Czy ja cię pytam o twoje plany?

- Nie musisz. Mój plan to włączyć się wszędzie za tobą, aż tak mi się to znudzi, że już dłużej nie wytrzymam.

- Cokolwiek wydaje ci się, że wiesz - rzekł Ender - mylisz się.

- Skoro tak wyraźnie mi to tłumaczysz...

Potem, trochę później, Ender powiedział:

- Wiesz co, Val? Przez chwilę mi się wydawało, że on naprawdę mnie zabije.

- Och, biedactwo. Musiało być porażające odkrycie, że obstawiłeś niewłaściwy rezultat.

- Myślałem, że kiedy nastąpi ta chwila, kiedy naprawdę zrozumieć, że umieram, przyjmę to z ulgą. Przestaną się przejmować tymi problemami. Ktoś inny może posprzątać cały bałagan.

- Tak, ja. Bardzo ci jestem wdzięczna, że planowałeś wszystko to zwalić na mnie.

- Ale kiedy się zbliżał, żeby mnie wykończyć... Wiedziałem, że planuje kopniaka czy dwa w głowę, a w głowie miałem taki mętlik od wstrząsów, że na pewno by mnie to załatwiło... więc kiedy podchodził, wcale nie poczułem ulgi. Chciałem wstać. Wstałbym, gdybym mógł.

- I uciekł, jeśli zachowałeś choć odrobinę rozsądku.

- Nie, Val - odparł ze smutkiem Ender. - Chciałem wstać i zabić go pierwszy. Nie chciałem umierać. Nieważne, czy mi się wydawało, że na to zasługuję albo że da mi to ukojenie, a przynajmniej zapomnienie. Wtedy o niczym takim nie myślałem. Chodziło tylko o to, żeby przeżyć. Przeżyć, choćby nie wiem co. Nawet gdybym musiał zabić.

- Coś takiego! - zdumiała się Valentine. - Odkryłeś instynkt przetrwania! Wszyscy inni ludzie wiedzą o nim od lat.

- Są ludzie, którzy nie mają tego instynktu, nie taki jak inni. A my dajemy im medale za to, że rzucają się na granaty albo wbiegają do płonących domów, żeby ratować dziecko. Fakt, że pośmiertnie. Ale są odznaczani.

- Mają ten instynkt - zapewniła go Valentine. - Po prostu bardziej zależy im na czymś innym.

- Mnie nie. Na niczym mi bardziej nie zależy.

- Pozwoliłeś mu tak się pobić, że nie mogłeś już walczyć - przypomniała mu Valentine. - Dopiero kiedy wiedziałeś, że już nie zrobisz mu krzywdy, pozwoliłeś sobie poczuć ten instynkt

przetrwania. Więc przestań wygadywać bzdury, jak to jesteś tym samym złym człowiekiem, który zabił dwóch chłopców. Udowodniłeś, że potrafisz zwyciężyć, świadomie przegrywając. I dość. Wystarczy. Proszę cię, nie zaczynaj bójki z kimkolwiek, jeśli nie zamierzasz jej wygrać. Zgoda? Obiecuj.

- Żadnych obietnic - odparł Ender. - Ale spróbuję nie dać się zabić. Wciąż mam pewne sprawy do załatwienia.

Posłowie

Nie planowałem książki w ten sposób. Chciałem poświęcić kilka rozdziałów, żeby przerzucić Endera z Erosa na Szekspira, a potem na Ganges. Ale odkryłem, że cała rzeczywista opowieść, która prowadziła do konfrontacji na Gangesie, miała miejsce wcześniej. I ku mojemu zaskoczeniu powstała powieść, której akcja dzieje się w większości między czternastym a piętnastym rozdziałem „Gry Endera”.

Ale pisząc, wiedziałem, że to prawdziwa historia, której brakowało. Wojna się kończy. Żołnierz wraca do domu i musi radzić sobie z tym wszystkim, co się na wojnie zdarzyło. Tylko że Ender nie wrócił do domu i z tym również musiał sobie poradzić.

A jednak tego materiału nie brakowało w oryginalnej powieści - nie bardziej niż brakowało czegokolwiek w tej noweli, która powstała przed powieścią. Gdybym po rozdziale czternastym umieścił „Endera na wygnaniu”, żadna z opowieści nie wglądałaby jak należy. Przede wszystkim „Wygnanie” jest w części kontynuacją „Cienia olbrzyma” - to tam urwały się historie Virlomi, Randi i Achillesa/Randalla/Arkaniana, które czekały na rozwiązanie. Poza tym „Gra Endera” kończy się tak, jak powinna. Opowieść, którą tutaj przeczytaliście, brzmi lepiej w tej właśnie formie - jako osobna książka. Historia żołnierza po zakończeniu wojny.

Jest tylko jeden drobny problem. Kiedy w 1984 roku

pisałem „Grę Endera”, w ostatnim, piętnastym rozdziale koncentrowałem się na przygotowaniu pola dla „Mówcy umarłych”. Nie wyobrażałem sobie żadnej książki między tymi dwoma. Dlatego byłem dość niedbały i nieostrożny, opowiadając o Enderze w pierwszej kolonii. Byłem nieuważny i całkiem zapomniałem, że na wszystkich planetach formidów prócz ostatniej przebywaliby już ludzie: piloci i załogi, które przeżyły. A ci, którzy ich wysyłali, przynajmniej dopuściliby taką możliwość i dobrali ludzi przeszkolonych do wykonywania prac, jakie zapewne okażą się konieczne.

Więc chociaż sedno piętnastego rozdziału „Gry Endera” pozostaje niezmienione, zmieniają się pewne szczegóły oraz linia czasowa. Nie są takie, jak powinny wyglądać wtedy, i z pewnością nie takie powinny być teraz. Od powstania tego rozdziału napisałem takie opowiadania jak choćby „Doradca inwestycyjny” (w „Pierwszych spotkaniach”), gdzie Ender osiąga prawną pełnoletność na planecie Sorelledolce i poznaje Jane (ważną postać „Mówcy”); to jednak nie zgadzało się z linią czasową opisaną w „Grze Endera”. Doszedłem do wniosku, że piętnasty rozdział jest błędny, a nie późniejsze opowiadania, które uwzględniały więcej szczegółów i lepiej rozwijały tę historię.

Dlaczego zatem miałbym trzymać się decyzji podjętych nieostrożnie dwadzieścia cztery lata temu? To, co od tego czasu napisałem, jest słuszne; te niezgodne z późniejszą wersją, choć ważne szczegóły z oryginalnej powieści są błędne.

Napisałem więc piętnasty rozdział na nowo i w przyszłości pojawi się pewnie edycja „Gry Endera” z dołączonym przerobionym rozdziałem. Tymczasem pełny tekst znajduje się w sieci, dostępny dla każdego, kto kiedykolwiek kupił albo kupi numer mojego magazynu „Orson Scott Card’s InterGalactic Medicine Show” (oscIGMS.com). Umieściłem je na stronie

magazynu, ponieważ każdy jego numer zawiera opowiadanie z uniwersum „Gry Endera”. Mam nadzieję, że jeśli kupicie numer, żeby przeczytać nową wersję rozdziału, sprawdzicie też wszystkie zamieszczone teksty i przekonacie się, jak znakomitą grupę pisarzy publikujemy.

Ale bądźcie spokojni, nic istotnego w tym rozdziale się nie zmieniło. Niczego nie stracie, jeśli go nie przeczytacie.

Prawdę mówiąc, podstawowym celem tej przeróbki było powstrzymanie ludzi od informowania mnie o sprzecznościach między oryginalnym rozdziałem piętnastym a tą powieścią. Jeśli więc uwierzycie mi na słowo, że wszystkie sprzeczności zostały usunięte, nie musicie zaglądać do tekstu w sieci.

Przygotowując tę powieść, musiałem znowu powrócić na dawne terytoria. Nie chodzi o to, że musiałem dopasować wszystko do „Gry Endera” (tam gdzie było to w ogóle możliwe). Ta historia musiała uwzględniać każdą przypadkową decyzję, jaką podjąłem w „Cieniu Endera”, „Cieniu hegemonia”, „Teatrze cieni”, „Cieniu olbrzyma”, „Mówcy umarłych”, „Ksenocydzie” i „Dzieciach Umysłu”, nie wspominając już o wszystkich opowiadaniach.

Niemożliwe, bym znalazł czas na ponowne przeczytanie tych książek. Zasmuciłoby mnie tylko, gdybym zauważył wszystko, co dzisiaj - jako lepszy, a przynajmniej bardziej doświadczony twórca - chciałbym zmienić.

Na szczęście mogłem liczyć na pomoc ludzi, którzy czytali moje powieści uważniej niż ja i w dodatku całkiem niedawno.

Po pierwsze i przede wszystkim, Jake Black napisał ostatnio „The Ender’s Game Companion” (Przewodnik po Grze Endera), w której opisuje każde zdarzenie, postać, miejsce i sytuację we wszystkich powieściach i opowiadaniach o Enderze. Był konsultantem przy niniejszej książce (podobnie jak przy komiksowej adaptacji „Gry Endera” w Marvel Comics) i

wszystko sprawdził.

A przygotowując swoją książkę, korzystał z pomocy Ami Chopine, samodzielnej pisarki, która była też najwyższą matką i/lub nianią PhiloticWeb.Net, oraz Andy'ego Wahra (alias „Hobbes” na mojej stronie [Hatrack.com](http://www.hatrack.com)), którzy pomagali mi także bezpośrednio, odpowiadając na pytania, jakie pojawiły się podczas przygotowań do tej powieści. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał pisać powieści o Enderze bez ich wsparcia. A tymczasem uważam ich za dobrych przyjaciół.

Mogłem też korzystać ze społeczności dobrych ludzi i przyjaciół na <http://www.hatrack.com>, których bezlitośnie wykorzystuję jako źródło informacji. Kiedy postanowiłem napisać tę powieść, szukałem odpowiedzi na kilka pytań. Jeśli w dowolnej wcześniejszej książce poruszałem jakąś kwestię, musiałem o tym wiedzieć, a jeśli tak, musiałem też wiedzieć, co napisałem, żebym starał się temu nie przeczyć.

Oto oryginalna prośba, jaką umieściłem na [Hatrack.com](http://www.hatrack.com):

Nie mogę zaufać własnej pamięci w sprawie szczegółów w „Grze Endera” i cyklu Cieni, a boję się, że pisząc „Endera na wygnaniu”, mógłbym doprowadzić do sprzeczności z pewnymi elementami uniwersum GE. Może ktoś zdoła mi pomóc w odpowiedzi na poniższe pytania:

1. Kto zdecydował, że Ender nie może wrócić na Ziemię i dlaczego? Peter był w to zaangażowany, ale wydaje mi się, że on sam podaje inną motywację, niż wskazuje Valentine i/lub narrator GE.

2. Myślę, że już wystąpiła sprzeczność między GE i cyklem Cieni (Olbrzym?) w kwestiach dotyczących gubernatorstwa Endera i kto dowodził statkiem kolonizacyjnym. Ale czy problem został w pełni rozwiązany? To znaczy: Mazer miał dowodzić tym statkiem, ale nie poleciał? Przypominam sobie, że zostało to wyjaśnione w rozmowie z Hanem Tzu (kiedy obywatele Hatrack pierwsi wskazali mi tę sprzeczność).

Odnoszę się do ostatniego rozdziału GE, ale na pewno nie zdołam wyszukać szczegółów z czterech powieści Cienia czy też wszystkich przypadkowych odniesień w innych miejscach GE i książkach z cyklu o Mówcy. Będę wdzięczny za wszystkie informacje z tego okresu - od końca

ostatniej bitwy Endera do jego przybycia na nowy kolonizowany świat; nie tylko o tym, co działo się z Enderem, ale też z Peterem i Valentine, Mazerem i Graffem oraz światem jako całością.

Na ten *cri de coeur* cenne listy przesłali mi C. Porter Bassett, Jaime Benley, Chris Wegford, Marc Van Pelt, Rob Taber, Steven R. Beers, Shannon Blood, Jason Bradshaw, Lloyd Waldo, Simeon Anfinrud, Jonathan Barbee, Adam Hobart, Beau Pearce i Robert Prince. Dziękuję im wszystkim za to, że zanurkowali znowu w tych książkach i odszukali odpowiedzi na moje pytania.

Dodatkowo Clinton Parks znalazł kwestię, o jakiej nawet nie pomyślałem, i przysłał moim współpracownikom taki oto list:

Wiem, że pewnie sami na to trafiliście, ale chcę o tym przypomnieć na wszelki wypadek. Czy pamiętaliście, że w „Cieniu olbrzyma” była dyskusja, w której ujawniono, że nazwa pierwszej kolonii brzmi „Szekspir”? Utknęło mi to w pamięci, bo zastanawiałem się, czemu Ender miałby tak nazwać kolonię. W każdym razie chciałem zachować czujność i wysłać przypomnienie.

Była to istotnie prawdziwa sprzeczność - gdzie indziej wyraźnie napisałem, że nowa kolonia została nazwana Rov. To dlatego, że pisząc wcześniejsze książki, nie mogłem korzystać ze wsparcia społeczności uczynnych czytelników albo nie pomyślałem, żeby ich prosić o pomoc, jak powinienem. Wpadałem więc na świetne nowe pomysły w sprawach, które opisałem wcześniej, ale zapomniałem o nich w późniejszych latach.

To także zostało rozwiązane.

Pracowałem kiedyś jako korektor. Wiem z doświadczenia, że nawet najbardziej czujni i staranni redaktorzy i korektorzy, pracujący w grupie, żeby wyłapywać swoje pomyłki, nadal przepuszczają błędy. Świat tak złożony jak ten, z tak wieloma opowieściami w nim osadzonymi, musi zawierać dotąd niewykryte sprzeczności. Proszę więc, byście zawiadamiali o

wszystkich znalezionych (oprócz tych z dawnego rozdziału piętnastego „Gry Endera”) na Hatrack.com, a może znajdę jakiś sposób, by je później naprawić.

Można też podejść do nich filozoficznie i zdać sobie sprawę, że gdyby były to prawdziwe opowieści, i tak zakradłyby się do nich błędy i sprzeczności. Niewiele znajdziemy historii, które przez wszystkich świadków opisywane były identycznie. Udawajcie więc, że wszelkie pozostałe nieścisłości to efekt błędów w historycznym przekazie. Nawet jeśli to „historia” wydarzeń oddalonych o setki lat w przyszłość.

Korzystałem z pomocy nie tylko uczynnych czytelników; pokazywałem kolejne powstające rozdziały zwykłej ekipie niewiarygodnie cierpliwych przyjaciół. Otrzymywanie tekstu w częściach to stara tradycja - fani Charlesa Dickensa zawsze musieli czytać jego powieści w odcinkach drukowanych w gazecie. Ale czytać rozdział co kilka dni, gdy koniecznie trzeba zareagować szybko, bo moje terminy są tak napięte, to więcej niż miałbym prawo domagać się od przyjaciół.

Jake Black po raz pierwszy znalazł się w grupie tych pierwszych czytelników, aby mógł zaktualizować swoją encyklopedyczną wiedzę o uniwersum Endera. Kathryn H. Kidd, długo cierpiąca z mojego powodu współautorka mocno i tylko z mojej winy spóźnionej kontynuacji „Lovelocka” zatytułowanej „Rasputin”, od lat należy do moich pierwszych czytelników. Podobnie Erin i Phillip Absherowie; do Philipa należy też honor zmuszenia mnie do usunięcia kilku rozdziałów, by podążyć za wątkiem, który ja uważałem za całkiem poboczny, ale on mnie przekonał, że stanowi serce i duszę opowieści. On miał rację, ja nie, a książka lepiej na tym wyszła. Na szczęście tym razem nie zażądał, żebym przepisywał całe fragmenty powieści. Ale zachęta jego, Erin, Kathy i Jake’a pomogły mi nabrać przekonania, że opowiadam historię wartą

poświęconego jej czasu.

Jednak moją absolutnie pierwszą czytelniczką pozostaje moja żona Kristine, która dźwiga też brzemień opieki nad rodziną, kiedy ja przechodzę w tryb twórczy. Jej sugestie mogą się jej wydawać drobne, ale dla mnie są ważne; jeśli ma jakieś wątpliwości, zmieniam tekst, dopóki nie znikną.

Kristine i nasza najmłodsza córka Zina, ostatnia mieszkająca jeszcze z nami, podczas pisania książki muszą znosić ojca, który krąży po domu jak zamyślony i nerwowy duch. Ale zdarzają się wieczory, kiedy razem oglądamy „Idola” albo „Po prostu tańcz” i przez godzinę czy dwie przebywamy wszyscy w tym samym wszechświecie.

Miałem też pomoc Kathleen Bellamy, redaktor naczelnej „The InterGalactic Medicine Show”, która nie czyta moich książek, dopóki nie uzyskają formy egzemplarzy próbnych, kiedy to zagląda do nich po raz pierwszy - jako nasz końcowy korektor, zanim książka trafi do drukarni. Kathleen stanowi naszą ostatnią linię obrony. Natomiast nasz szef sieci i IT utrzymuje w ruchu Hatrack i oscIGMS; to dzięki niemu istnieje społeczność, którą mogę prosić o pomoc.

Przy tej książce Beth Meacham, moja redaktorka z Tor, zrobiła więcej, niż zwykle oczekuję od redaktorów. Ponieważ książka jest dość dziwaczna - stanowi „midquel” i nakłada się na moją najpopularniejszą powieść - nie chciałem kontynuować bez zapewnienia, że to naprawdę coś, co Tor chce wydać. Jej sugestie i zastrzeżenia były mądre i pomocne na każdym etapie planowania i powstawania książki.

Dziękuję zespołowi produkcyjnemu w Tor za poświęcenia, jakie były niezbędne, ponieważ tak bardzo spóźniłem się z maszynopisem. Fakt, że ta książka ukazała się jednak na czas, zawdzięczam ich dodatkowej pracy i stałej trosce o jakość. Nawet w pośpiechu byli dumni ze swojej pracy, więc w efekcie

powstała książka, z której ja mogę być dumny. Gdzie bym się znalazł, gdyby inne dobre dusze nie starały się nadrabiać moich braków?

Postać Endera, przedstawiona w oryginalnej powieści, była pod wieloma względami wzorowana na moim synu Geoffreyu, który miał pięć, a potem sześć lat, kiedy pisałem tamtą książkę. Teraz ma ponad trzydzieści i dorobił się dwójki dzieci (przy wielkiej pomocy swojej żony, dawniej Heather Heavener). Ku mojej wielkiej uldze Geoffrey nigdy nie został wezwany, by służyć swojemu krajowi na wojnie.

Tak więc, by opisać doświadczenia Endera, musiałem korzystać z licznych lektur, oczywiście, ale też z korespondencji i rozmów z dzielnymi mężczyznami i kobietami, którzy służyli naszemu krajowi w Afganistanie, Iraku i w innych punktach zapalnych, gdzie spełniliśmy nasz obowiązek jako jedyny kraj posiadający siłę i wolę, by pomóc uciskanym ludziom w walce z tyranią. To Wy dźwigacie brzemień za nas wszystkich i oddaję Wam cześć.

Opłakuję tych, którzy polegli albo przeżyli z tak groźnymi ranami lub ze złamanym sercem, że pozbawiło to ich przyszłości, o której niegdyś marzyli. Jako obywatel Stanów Zjednoczonych także ponoszę odpowiedzialność za wysłanie tych ludzi tam, gdzie trafili, a z pewnością korzystam z ich trudu. Jak Ender, mogłem nie wiedzieć, co zostaje poświęcone w moim imieniu, ale uznaję związek między nami.

A wobec tych, którzy przetrwali z pozoru cali i zdrowi, ale noszą w sobie wewnętrzne zmiany, których nikt nie widzi, wspomnienia, których z nikim nie dzielą, mam tylko nadzieję, że wykonałem dobrą robotę, ukazując poprzez Endera Wiggina część z tego, co oni czują i co pamiętają.